

ZMIANY



Czym jest czas? Tajemnicą — bo jest nierealny a wszechpo-
tężny. Jest warunkiem zjawiskowego świata, jest ruchem zespo-
lonym i przemieszanym z istnieniem realnych ciał w przestrzeni
i z ich ruchem. A czy nie byłoby czasu, gdyby nie było ruchu?
I ruchu, gdyby nie było czasu? Pytania i pytania! Czy czas jest
funkcją przestrzeni? Czy też odwrotnie? Czy raczej są z sobą
identyczne? Za wiele już pytań! Czas jest czynny, ma takie
właściwości jak czasowniki. Ma „poczesny” udział w tworze-
niu. Ale czego? Zmiany! Co jest teraz, nie było wówczas, co
jest tu, nie jest tam, bo między nimi leży ruch. Ale skoro ruch,
którym się mierzy czas, jest okrężny, w sobie samym zamknię-
ty, to można by i czas, i wszelką zmianę równie dobrze nazwać
spokojem i bezruchem — to bowiem, co było wówczas, powta-
rza się nieustannie w tym, co jest teraz, a to, co jest tam —
w tym, co jest tu. A że ponadto skończonego czasu i ograni-
czonej przestrzeni niepodobna sobie wyobrazić — nie pomogą
najbardziej rozpaczliwe wysiłki — więc ostatecznie zaczęto
sobie przedstawiać czas i przestrzeń jako wieczne i nieskończo-
ne, zapewne w przekonaniu, że jeśli i w ten sposób nie można
ich sobie wyobrazić dobrze, to przynajmniej można nieco lepiej.
Czy jednakże uznanie wieczności i nieskończoności nie jest uni-
cestwieniem przez logikę i rachunek wszystkiego, co ograniczo-
ne, skończone, względne, czy nie jest sprowadzeniem tego do
zera? Czy rzeczy mogłyby w wieczności następować jedne po

drugich, a w nieskończoności występować jedne obok drugich? Z tymi założeniami, że istnieje wieczność i nieskończoność, założeniami przyjmowanymi z musu, jakże da się pogodzić istnienie we wszechświecie odległości, ruchu, zmiany lub choćby tylko ograniczonych ciał? To pytania, których mimo wszystko nie da się uniknąć.

Hans Castorp stawiał te i tym podobne pytania — mózg jego zaraz po przybyciu w te strony okazał się skłonny do takiej niedyskrecji i zrzędzenia; niedobry a potężny, później utracony popęd jakby specjalnie wyostrzył pod tym względem jego umysł i dodał mu zuchwałości w stawianiu takich pytań. Stawiał je zarówno sobie samemu, jak i pocziwemu Joachimowi, a także zasypanej od niepamiętnych czasów śniegiem dolinie, choć znikąd nie mógł się tu spodziewać czegoś w rodzaju odpowiedzi — trudno nawet powiedzieć, skąd najmniej należało się jej spodziewać. Sobie stawiał tylko pytania, bo odpowiedzi na nie nie miał. A u Joachima nie znajdował dla swych pytań żadnej sympatii, bo ten, jak to Hans Castorp pewnego wieczoru zauważył po francusku, myślał jedynie o tym, aby tam na nizinach być żołnierzem, i toczył o to zażartą walkę w nadziei, że to nastąpi, nadziei, która to zbliżała się, to znów zwodniczo kryła w oddali, ostatnio zaś okazywał skłonność do zakończenia tej walki przez zamach. Tak, ten cierpliwy, pocziwy, lojalny Joachim, znający tylko służbistość i dyscyplinę, ulegał napadom buntu przeciw „skali Gaffky'ego”, temu systemowi badania, który na dole, w laboratorium, czyli w „laborze”, jak się zwykle mówiło, stosowano do ustalania i określania stopnia zarażenia pacjenta bakcydami: czy analiza wykazuje odosobnione zarazki, czy też wykazuje je masowo i w niezliczonej ilości — to określała wysokość cyfry Gaffky'ego, a właśnie o nią chodziło. Albowiem w sposób zupełnie nieomylny określała szansę wyzdrowienia, na jaką można było liczyć; można też było na jej podstawie ustalić ilość miesięcy czy lat, którą pacjent będzie musiał tu jeszcze pozostać: wahało się to pomiędzy półroczną krótką wizytą a wyrokiem „dożywotnio”, który zresztą mógł oznaczać bardzo niewielką ilość czasu. Na tę to skalę Gaffky'ego

oburzał się Joachim, otwarcie odmawiał wiary w jej autorytet, a właściwie niezupełnie otwarcie, bo nie wobec przełożonych, natomiast wobec kuzyna i nawet w rozmowach przy stole. — Mam już tego dość, nie pozwolę robić z siebie głupca — mówił głośno i krew napływała do jego ciemno opalonej twarzy. — Przed dwoma tygodniami miałem na Gaffkym nr 2, a więc bagatelę, najlepsze widoki, a dziś nr 9, po prostu zagęszczenie zarasków i o nizinach nie ma już mowy. Diabli wiedzą, jak to z człowiekiem jest, doprawdy nie można już wytrzymać. Tam w górze na Schatzalp leży pewien człowiek, grecki chłop, przysłali go z Arkadii, jakiś pośrednik go przysłał — wypadek beznadziejny, ma przebieg galopujący, każdego dnia może oczekiwać końca, a chory nigdy w życiu nie miał zarasków w płwocinie. Za to ten gruby belgijski kapitan, który wyjechał wyleczony — gdy tu przyjechałem, miał Gaffky'ego nr 10, roiło się u niego od zarasków, a przy tym miał tylko zupełnie małą kawernę. Niech diabli biorą Gaffky'ego. Skończę z tym, jadę do domu, choćby to miała być dla mnie śmierć! — Tak mówił Joachim i wszyscy byli boleśnie dotknięci widząc tego delikatnego i solidnego młodego człowieka w takim podnieceniu. A wobec groźby Joachima, że wszystko rzuci i odjedzie w niziny, Hans Castorp nie mógł nie myśleć o tym, co od kogoś trzeciego usłyszał po francusku. Jednakże milczał; bo czyż miał kuzynowi dawać siebie i swoją cierpliwość za przykład, jak to czyniła pani Stóhr, która go napominała, by zaniechał bluźnierczego oporu, by poddał się pokornie i brał przykład z sumienności, z jaką ona, Karolina, tu wytrzymuje i nie bez wysiłku woli wyrzeka się pełnienia obowiązków pani domu w Cannstatt, aby za to kiedyś powrócić tam do męża jako całkowicie i gruntownie wyleczona małżonka! Nie, tego Hans Castorp jednakże nie chciał; zwłaszcza że od karnawału sumienie jego wobec Joachima nie było czyste, mówiło mu, że w tym, o czym milczeli, a o czym Joachim niewątpliwie wiedział, musiał on odczuwać jakby zdradę, dezercję, niewierność, a to ze względu na parę okrągłych brązowych oczu, na mało usprawiedliwioną gotowość do śmiechu i na zapach pomarańczy, rzeczy, na których działanie co

dzień pięciokrotnie był wystawiony, ale wobec których surowo i przyzwoicie oczy spuszczał na talerz... Tak, w milczącym opozycji, jaki Joachim przeciwstawił jego spekulacjom i koncepcjom dotyczącym „czasu”, Hans Castorp wyczuwał coś z wojskowej obyczajności, będącej wyrzutem dla jego sumienia.

Co się zaś tyczy doliny, tej grubo śniegiem pokrytej zimowej doliny, do której ze swego znakomitego leżaka Hans Castorp również kierował swe nadzmysłowe pytania, to jej wierchy i turnie, zarysy jej ścian i brązowo-zielono-czerwonawe lasy stały milcząc wśród czasu, objęte cicho przepływającym czasem ziemskim, lśnią w głębokim błękitcie nieba lub mgłą spowite, to czerwono się żarząc na szczytach w odchodzącym słońcu, to znów skrząc się twardo jak diament w czarze nocy bezksiężycowej — jednakże zawsze w śniegu, od sześciu miesięcy, tak tu trudnych do objęcia myślą, a które jednak przemknęły w mgnieniu oka. Wszyscy goście oświadczyli, że na śnieg nie mogą już patrzeć, że wzbudza w nich obrzydzenie, już lato zaspokoilo pod tym względem ich potrzeby, ale teraz te codzienne masy śniegu, kupy śniegu, nawisy śniegu — to już przekracza siły ludzkie, jest zabójcze dla umysłu i serca. I nakładali kolorowe okulary, zielone, żółte, czerwone, nakładali je zapewne i dlatego, by oszczędzać oczy, jednakże więcej jeszcze z potrzeby serca.

Dolina i góry pod śniegiem już od sześciu miesięcy? Od siedmiu! Czas idzie naprzód, podczas gdy opowiadamy — nasz czas, który poświęcamy temu opowiadaniu, ale także dawno miniony czas Hansa Castorpa i towarzyszy jego losu, tam w górze, w śniegu; idzie naprzód i sprowadza zmiany. Wszystko było już na najlepszej drodze do spełnienia się, jak to w zapusty w powrotnej drodze z Uzdrowiska Hans Castorp zapowiadał zapalczywymi słowy, wprowadzając tym w gniew pana Settembriniego: wprawdzie przesilenie dnia z nocą jeszcze nie było bliskie, ale Wielkanoc przeszła już przez białą dolinę, kwiecień miał się ku końcowi, otworzyła się perspektywa na Zielone Świąta, niebawem obudzi się wiosna i stopnieje śnieg, nie cały wprawdzie, bo na szczytach od południa, w rozpadli-

nach skalnych Rhatikonu od północy zostanie jeszcze pewna jego ilość, nie mówiąc o śniegu, który we wszystkich miesiącach letnich spadnie wprawdzie, ale się nie utrzyma; mimo wszystko przełom roku już nastąpił i na najbliższy czas niewątpliwie zapowiadał decydujące przemiany, bo od owej nocy karnawałowej, gdy Hans Castorp pożyczył był od pani Chauchat ołówek, który jej potem zwrócił, a w zamian otrzymał, tak jak chciał, coś innego, ów pamiątkowy upominek, który nosił w kieszeni, od nocy owej upłynęło już sześć tygodni — a więc dwa razy więcej, niż Hans Castorp pierwotnie miał zamiar tu w górze pozostać.

Istotnie upłynęło sześć tygodni od wieczoru, w którym Hans Castorp poznał się z Kławdią Chauchat i powrócił do swego pokoju znacznie później niż służbisty Joachim do swojego; sześć tygodni od następnego dnia, w którym nastąpił wyjazd pani Chauchat, jej tymczasowy wyjazd do Dagestanu, daleko na wschód za Kaukazem. Że był to wyjazd tymczasowy, wyjazd tylko na ten raz, że pani Chauchat zamierza wrócić, że nie wiadomo kiedy, ale prędzej czy później na pewno będzie chciała czy nawet musiała wrócić, co do tego Hans Castorp miał zapewnienie bezpośrednie i ustne, złożone nie w podanym tu obcojęzycznym dialogu, lecz później, w okresie, który z naszej strony przepuściliśmy bez słów, w którym przerwaliśmy uwarunkowany czasem bieg naszego opowiadania i oddaliśmy głos tylko jemu, czystemu czasowi. W każdym razie młody człowiek otrzymał te zapewnienia i pocieszające obietnice, zanim jeszcze powrócił pod nr 34; w następnym bowiem dniu nie zamienił już ani słowa z panią Chauchat, a tylko ją dwa razy z daleka widział: raz przy obiedzie, gdy w niebieskiej sukiennej spódnicy i białym swetrze, trzasnąwszy oszklonymi drzwiami i wśliznąwszy się z wdziękiem, raz jeszcze siadła do stołu; Hansowi Castorpowi serce biło wtedy w gardle i gdyby nie pilnowała go czujnie panna Engelhart, byłby twarz zakrył rękoma; po raz drugi zaś widział ją po południu o trzeciej godzinie podczas jej odjazdu, przy którym właściwie nie był obecny, ale któremu się przyglądał z okna na korytarzu, wychodzącego na podjazd.

Wydarzenie to miało przebieg taki, jaki Hans Castorp podczas swego pobytu nieraz już tu oglądał: sanki czy powóz zatrzymywały się przed podjazdem, woźnica i posługacz przymocowywali kufry, a zaprzyjaźnieni goście sanatoryjni zbierali się przy drzwiach wejściowych dla pożegnania tego, kto — wyleczony lub nie wyleczony — wyjeżdżał z powrotem w niziny, aby tam żyć lub umrzeć; byli nawet tacy, co przerywali swoją robotę dla użycia wrażeń, jakie zapowiadał wyjazd; zjawiał się pan w tużurku z zarządu sanatorium, niekiedy nawet lekarze, i w końcu wychodził odjeżdżający, przeważnie z promieniejącym obliczem, na chwilę bardzo ożywiony spotykającą go przygodą, łaskawie się kłaniając tym, co ciekawie stali dokoła i którzy pozostawali, gdy on odjeżdżał... Tym razem wyjeżdżającą była pani Chauchat: wyszła uśmiechając się, z naręczem kwiatów, w długim płaszczu podróżnym z szorstkiego materiału, obszytym futrem, i w wielkim kapeluszu, a towarzyszył jej pan Bułgyn, jej wklęsły rodak, który odbywał z nią część drogi. Ona również wydawała się radośnie podniecona, tak samo jak wszyscy wyjeżdżający, ze względu na samą zmianę trybu życia, niezależnie od tego, czy wyjeżdżali za zgodą lekarzy, czy też, doprowadzeni do rozpacz, przerywali pobyt na własną odpowiedzialność i z nieczystym sumieniem. Jej policzki były zaczerwienione, mówiła bez przerwy, zapewne po rosyjsku, podczas gdy okrywano jej kolana futrem... Stawili się nie tylko jej rodacy i sąsiedzi przy stole, ale także liczni inni goście, dr Krokowski, śmiejąc się jędrnie, ukazywał wśród brody swe żółte zęby; przybyło jeszcze więcej kwiatów, stara ciotka ofiarowała „konfekty”, jak zwykła była z rosyjska nazywać marmoladki; stała też opodal nauczycielka, a w pewnej odległości, rozglądając się ponuro — mannheimczyk; jego bolesne oczy prześliznęły się po domu, gdzie w korytarzowym oknie zauważyły Hansa Castorpa, i posepnie zatrzymały się na nim... Radca dworu Behrens nie pokazał się; widocznie już poprzednio w sposób bardziej prywatny pożegnał się był z odjeżdżającą... Po czym wśród pożegnań i okrzyków konie ruszyły, a szarpnięcie sanek sprawiło, że pani Chauchat opadła na poduszki i wtedy jej

skośne oczy jeszcze raz z uśmiechem przebiegły po fasadzie „Berghofu” i przez ułamek sekundy zatrzymały się na twarzy Hansa Castorpa... Wrócił błady do swego pokoju, do swej łodzi, aby z niej raz jeszcze zobaczyć sanki, które dzwicząc dzwonkami ześlizgiwały się w dół drogi wjazdowej ku Wsi, potem rzucił się na fotel, z kieszeni na piersi wyjął pamiątkowy upominek, fant; tym razem nie były to brązowawo-czerwone wiórki, lecz szklana płytką w cienkiej ramce, którą trzeba było trzymać pod światło, by cośkolwiek w niej rozpoznać — a wtedy ukazywał się wewnętrzny portret Kławdii, bez twarzy wprawdzie, z cienkimi kośćmi i wszystkimi organami klatki piersiowej, otoczonymi blado i upiornie miękkimi kształtami jej ciała...

Jakże często płytkę tę oglądał i do ust przyciskał w ciągu czasu, który odtąd upłynął, pociągając za sobą tyle przemian! Przyzwyczał się na przykład do życia tu w górze, choć Kławdia była nieobecna i przestrzennie daleka — przyzwyczał się nawet szybciej, niż należałoby przypuszczać; tutejszy czas był właśnie tego rodzaju i tak zorganizowany, że przyzwyczajano się choćby tylko do tego, iż się nie przyzwyczajano. Nie było już brzęczącego trzasku drzwi, słyszanego na początku pięciu niezwykle obfitych posiłków, i nie można go było oczekiwać; gdzie indziej, w niesłychanej odległości pani Chauchat trzaskała drzwiami — był to przejaw jej osobowości, który z jej istnieniem, jej chorobą w podobny sposób był zespolony i złączony jak czas z ciałami w przestrzeni; może właśnie to było jej chorobą i nic więcej... Ale jeśli była niewidzialna i nieobecna, to jednocześnie dla Hansa Castorpa była niewidzialna, a obecna — była dlań duchem tego miejsca, genius loci; w niedobrej, występnie słodkiej godzinie, z którą nie licowała żadna pogodna piosenka z nizin, poczuł on go i posiadał, i wewnętrzną jego sylwetkę nosił na swym od dziewięciu miesięcy tak bardzo zajęтым sercu.

W ciągu owej godziny jego drgające usta w obcej i własnej mowie wyjąkały na wpół nieświadome, na wpół stłumione występne propozycje, oferty, szalone pomysły i zamiary, które

slusznie zostały odrzucone — a więc: że- duchowi będzie towarzyszyć poprzez Kaukaz, że pojedzie za nim, że będzie go oczekiwiał w miejscu, które kaprys ducha wybierze sobie jako następną siedzibę, i że się z nim już nigdy nie rozstanie, a poza tym jeszcze inne nieodpowiedzialne rzeczy. Z tej godziny wewnętrznej przygody prostoduszny młody człowiek wyniósł jedynie ów fant w postaci cienia i tę do prawdopodobieństwa zbliżającą się możliwość, że pani Chauchat prędzej czy później powróci tu na czwarty pobyt, gdy każe tak jej choroba, zwalniana ją od wszelkich więzów. Ale kiedykolwiek to nastąpi, wcześniej czy później, Hansa Castorpa — jak to było powtórzone przy pożegnaniu — na pewno „wtedy już dawno tu nie będzie”; proroctwo to ze swą lekceważącą intencją byłoby jeszcze trudniejsze do zniesienia, gdyby nie pamięć o tym, że pewne rzeczy są przepowiadane nie po to, by nastąpiły, lecz właśnie, by nie nastąpiły, proroctwo ma służyć za zaklęcie. Prorocy tego rodzaju urągając przyszłości mówią jej, jaką będzie, by się wstydziała być taką naprawdę. A gdy ów duch w ciągu przytoczonej tu rozmowy a także kiedy indziej nazywał Hansa Castorpa *joli bourgeois au petit endroit humide*, co było niejako przetłumaczeniem powiedzenia Settembriniego o „wiecznym strapieniu”, to pozostawało pytanie, który to składnik mieszaniny stanowiącej istotę młodzieńca okaże się silniejszy, *bourgeois* czy ten drugi... A duch nie liczył się również z tym, że przecież sam wielokrotnie odchodził i wracał i że także Hans Castorp w odpowiedniej chwili będzie mógł wrócić, choć co prawda tylko po to tu jeszcze w ogóle pozostawał, aby nie potrzebował wracać: był to wyraźnie sens jego pobytu, podobnie jak pobytu tylu innych...

Jedno szydercze proroctwo karnawałowego wieczoru spełniło się rzeczywiście: Hans Castorp miał zły, pełen ostrych załamań wykres gorączki, który uroczyście sobie wyrysował: krzywa wzrastała w nim, a po pewnym obniżeniu się przebiegała jakby płaskowzgórzem lekko sfalowanym, utrzymując się wciąż ponad dawniejszym poziomem. Była to zwyżka temperatury, której wysokość i uporczywość, wedle słów radcy Behrensa, nie zga-

działa się z wynikiem badania. — Jest pan jednak bardziej zatruty, przyjacielu, niżby się można było po panu spodziewać — powiedział. — No, spróbujemy zastrzyków! To panu dobrze zrobi. Za trzy, cztery miesiące będzie pan zdrow jak ryba, jeśli wszystko pójdzie tak, jak niżej podpisany przypuszcza. — I na skutek tego Hans Castorp dwa razy w tygodniu, w środy i soboty, zaraz po rannej przechadzce, miał się stawiać na dole w „laborze” na zastrzyki.

Obaj lekarze wykonywali kolejno ten zabieg, to jeden, to drugi, ale radca dworu wykonywał go z wirtuozyją, z rozmachem, naciskając tłok równocześnie z ukłuciem. Zresztą, nie troszczył się o to, gdzie kłuł, tak że ból nieraz był diabelny i miejsce ukłucia jeszcze długo piekło. Ponadto zastrzyk mocno działał na cały organizm, wstrząsał systemem nerwowym niczym gwałtowny wyczyn sportowy, świadczyło to o jego sile objawiającej się także w tym, że na razie temperatura nawet się podnosiła: radca dworu tak to przepowiedział i tak się też stale działo, zjawisko było przewidziane i nic mu nie można było zarzucić. Gdy już wreszcie przyszła na pacjenta kolej, zabieg odbywał się szybko; w mgnieniu oka miało się już antytoksynę pod skórą uda czy ramienia. Parę jednak razy, gdy radca Behrens był w dobrym usposobieniu i nie odurzony tytoniem, z okazji zastrzyku dochodziło do krótkiej z nim rozmowy, którą Hans Castorp w taki mniej więcej sposób umiał poprowadzić:

— Chętnie nadal wspominam nasz miły podwieczorek u pana, panie radco, w zeszłym roku, jesienią, kiedy się to tak przypadkiem złożyło. Właśnie wczoraj, czy może trochę dawniej, przypomniałem memu kuzynowi...

— Gaffky siedem — mówił radca dworu. — To ostatni wynik. Młodzieniec chce i znów nie chce pozbyć się swego jadu. A przy tym nigdy jeszcze mnie tak nie męczył, jak ostatnio, że chce jechać i pobrzękiwać szabelką, ach, ten dzieciak. Krzyczy mi gwałtu o te swoje pięć kwartalików, jakby to były eony. Chce jechać, tak czy inaczej — czy i panu to mówi? Powinien mu pan przemówić do sumienia od siebie, ale z naciskiem!... Zgubi się człowieczysko, jeśli przedwcześnie zaczniesz łykać wa-

szą miłą mgłą, tu z prawej w górze. Taki buńczuczny wojak niekoniecznie ma dużo oleju w głowie, ale pan jako człowiek solidniejszy, cywil, społecznie wyrobiony, powinien mu dać reprimendę, zanim zacznie robić głupstwa.

— Robię to, panie radco — odpowiedział na to Hans Castorp nie przestając kierować rozmową. — Robię to nieraz, gdy o tym przebąkuje, i myślę, że nabierze rozumu. Ale przykłady, jakie się ma przed oczami, nie zawsze są najlepsze, z tym jest bieda. Ciągłe ktoś odjeżdża w równiny, własnowolnie i bez należytego upoważnienia, ale robi się z tego powodu uroczystość, jakby to był legalny wyjazd — i to zwodzi słabsze charaktery. Na przykład, niedawno... kto to niedawno jeszcze odjechał? Jedną z pań z lepszego rosyjskiego stołu, pani Chauchat. Do Dagestanu, jak opowiadano. No, Dagestan, nie znam tamtejszego klimatu, ostatecznie mniej jest niekorzystny niż ten na północy nad wodą. Jednakże w naszym pojęciu to nizina, choć może jest to kraj górzysty z geograficznego punktu widzenia, nie znam się tak bardzo na tym. Jak tam żyć, gdy się nie jest wyleczonym, a brak podstawowych pojęć i nikt nie zna naszej organizacji, i co tam robić z leżeniem i mierzeniem? Zresztą, ona i tak tu wróci, powiedziała mi to kiedyś przy okazji — skądżeśmy to o niej zaczęli mówić? Ach, tak, wtedy spotkaliśmy pana w ogrodzie, jeśli pan, panie radco, sobie to przypomina, to znaczy pan nas spotkał, bo siedzieliśmy na ławce, pamiętam jeszcze na której, mógłbym ją panu dokładnie określić, siedzieliśmy na niej i paliliśmy. A raczej, ja paliłem, bo przecież mój kuzyn, rzecz dziwna, nie pali. Pan akurat też palił i poczęstowaliśmy się wzajemnie cygarami, jak to sobie właśnie przypominam — pańskie brazylijskie nadzwyczaj mi smakowały, ale myślę, że trzeba się z nimi tak ostrożnie obchodzić jak z młodymi końmi, bo może się przydarzyć, jak panu wtedy po tych dwóch małych importach, kiedy to pan myślał, że z falującą piersią galopuje na tamten świat. Ponieważ się to dobrze skończyło, więc można się z tego śmiać. A ostatnio znów obstałowałem sobie z Bremy parę setek „Marii Mancini”, bardzo jestem przywiązany do tej marki, ze wszech miar ją lubię. Tylko cło

i porto podrażają je dotkliwie, a jeśli mi pan w przyszłości doda jeszcze jakichś nowych kosztownych zabiegów, panie radco, to ostatecznie nawrócę się na jakieś tutejsze zielsko — w oknach sklepowych widzi się zupełnie ładne. A potem pozwolił nam pan obejrzeć swe obrazy, jak dziś pamiętam, była to największa przyjemność, byłem po prostu zdziwiony, co pan olejnymi farbami odważa się robić, ja bym się nie odważył. Wtedy widzieliśmy też portret pani Chauchat z jej pierwszorzędnie namalowaną skórą — mogę powiedzieć, że byłem zachwycony. Nie znałem jeszcze wtedy modelu, jedynie z widzenia, z nazwiska. Potem, na krótko przed jej obecnym odjazdem, poznałem ją też osobiście.

— Co pan mówi — odrzekł radca, tak samo (jeśli wolno cofnąć się wstecz) jak wówczas, gdy Hans Castorp przed pierwszym badaniem zakomunikował mu, że ma zresztą także trochę temperatury. I więcej nie powiedział już nic.

— A tak, poznałem ją — potwierdził Hans Castorp. — Jak wiemy z doświadczenia, nie jest wcale tak łatwo tu w górze robić znajomości, ale między panią Chauchat i mną to się w ostatniej chwili jednak jakoś ułożyło i doszło do tego, żeśmy przez rozmowy... — Hans Castorp wciągnął powietrze przez zęby. Właśnie dostał zastrzyk. — Fff! — syknął odwracając się. — Musiał pan przypadkiem trafić w bardzo ważny nerw, panie radco. O tak, tak, boli piekielnie. Dziękuję, trochę masażu pomaga... Przez nasze rozmowy zbliżyliśmy się nieco do siebie.

— Tak? No i co? — powiedział radca. Pytał kiwając głową, z wyrazem kogoś, kto oczekuje bardzo pochlebnej odpowiedzi i już w pytanie wkłada od siebie potwierdzenie oczekiwanej pochwały.

— Przypuszczam, że moja francuszczyzna trochę kulą — rzekł Hans Castorp wymijająco. — Ale ostatecznie, skąd mam mieć wprawę. Jednak we właściwej chwili przychodzi coś do głowy, i w ten sposób porozumieć się można wcale nieźle.

— Pewnie, no i co? — powtórzył radca swe wyzwanie. I od siebie dodał: — Pięknie, prawda?

Hans Castorp zapinając kołnierzyk stał z rozstawionymi nogami i łokciami, z twarzą zwróconą ku sufitowi.

— Ostatecznie nie jest to nic nowego — powiedział. — W miejscowości kuracyjnej mieszkają dwie osoby czy też rodziny tygodniami pod jednym dachem, ale trzymają się z dala od siebie. Pewnego dnia zawierają znajomość, szczerze sobie wzajem przypadają do gustu — a jednocześnie okazuje się, że jedna strona zbiera się do wyjazdu. Wyobrażam sobie, że takie ubolewania godne rzeczy zdarzają się nieraz. A chciałoby się przynajmniej zachować kontakt, miewać o sobie wiadomości, wymieniać listy. Ale pani Chauchat...

— Taak, a ona tego pewnie nie chce — zaśmiał się radca dobrodusznie.

— Nie, nie chciała o tym słyszeć. A do pana czy nie pisuje czasami stamtąd, gdzie przebywa?

— E, Boże zachowaj — odpowiedział Behrens. — Jej to ani w głowie. Najpierw, przez lenistwo, a potem, jakżeby miała pisać? Po rosyjsku nie czytam — kaleczę język, kiedy konieczne trzeba, ale przeczytać nie umiem ani słowa. Pan przecież także nie. No, po francusku czy po nowo-górnoniemiecku miauczy kotka w przemiły sposób, ale pisać — to by ją wprowadziło w najwyższe zakłopotanie. Ortografia, drogi przyjacielu! Nie, co do tego to musimy się pocieszyć, młodzieńcze. Ona przecież zawsze od czasu do czasu tu wraca. To rzecz techniki i temperamentu, jak powiedziałem. Jeden wyjeżdża raz po raz i musi potem raz po raz wracać, a inny od razu zostaje tak długo, że nie potrzebuje już nigdy wracać. Jeśli pański kuzyn teraz wyjedzie, to niech mu pan powie, że łatwo się może zdarzyć, iż pan doczeka się jego uroczystego powrotu.

— Ale, panie radco, jak długo myśli pan, że ja...

— Że pan? Że on! Że nie będzie mógł zostać na dole tyle czasu, ile był tu w górze. Tak jest, jeśli pan chce wiedzieć, co szczerze myślę, i to panu polecam powiedzieć mu, jeśli pan zechce być tak uprzejmy.

W podobny zapewne sposób przebiegała taka rozmowa prowadzona przez Hansa Castorpa chytrze, jednakże z wynikiem

znikomym, a nawet dwuznacznym. Bo na pytanie, ile czasu trzeba pozostać, aby doczekać się powrotu tego, kto wyjechał przedwcześnie, dawała odpowiedź dwuznaczną, a o tej, która wyjechała, nie mówiła właściwie nic. Hans Castorp nie będzie mieć żadnych o niej wiadomości, póki ich dzielić będzie tajemnica przestrzeni i czasu, ona nie będzie do niego pisywać, a także i on nie będzie miał sposobności do pisania... Zresztą, jeśli się nad tym dobrze zastanowić, dlaczego miałoby być inaczej? Czyż to nie był mieszczański i pedantyczny pomysł, że muszą do siebie pisywać, podczas gdy przedtem nie uważał za konieczne ani za pożądane, aby z sobą rozmawiali? I czy rzeczywiście on z nią „rozmawiał” — w tym sensie, w jakim ten wyraz rozumie kulturalny Zachód — wówczas, w ów wieczór karnawałowy? Czy też raczej mówił przez sen, obcym językiem i w niezbyt cywilizowany sposób? W takim razie po co pisać, na papierze listowym czy na kartkach pocztowych, jakie czasem do domu na równiny wysyłał, aby zawiadomić o wahaniach zdrowia i wynikach badań? Czy Klawdia nie miała racji, uważając się za zwolnioną od korespondencji z racji wolności, jaką jej dawała choroba? Rozmawiać, korespondować — to naprawdę zajęcie dla humanistów-republikanów, dla takich jak pan Brunetto Latini, autor książki o cnotach i wadach, któremu Florentyńczycy zawdzięczają swą ogładę i który nauczył ich mówienia i sztuki kierowania rzecząpospolitą, zgodnego z zasadami polityki...

Skierowało to myśli Hansa Castorpa na Lodovica Settembriniego i zaczerwienił się tak samo jak wówczas, gdy do pokoju, w którym leżał chory, pisarz wszedł niespodziewanie i zapalił nagle światło. Do pana Settembriniego mógł być również kierować swe pytania dotyczące nadzmysłowych zagadek, jednakże traktując je tylko jako wyzwanie i narzekanie, nie zaś w oczekiwaniu, że od humanisty, którego zabiegi skierowane były na ziemskie sprawy życiowe, otrzyma na nie odpowiedź. Wszakże od owego karnawałowego wieczoru i gwałtownego opuszczenia salonu muzycznego przez pana Settembriniego wytworzył się między Hansem Castorpem a Włochem chłód, pochodzący

u jednego z nieczystego sumienia, u drugiego z głębokiego niezadowolenia wychowawcy; a chłód ten sprawiał, że się wzajem unikali i tygodniami nie zamieniali ani słowa. Czy Hans Castorp był jeszcze w oczach pana Settembriniego „wiecznym strapieniem”? Nie, w oczach jego, jako tego, który moralności szukał w rozsądku i cnocie, był człowiekiem straconym... A Hans Castorp zaciął się wobec pana Settembriniego, ściągał brwi i wydymał wargi, ilekroć czarne, błyszczące spojrzenie tamtego spoczęło na nim z milczącym wyrzutem. To zacięcie minęło jednak niezwłocznie, skoro tylko literat po paru tygodniach znów doń przemówił, choć uczynił to jedynie mimochodem, i w formie aluzji mitologicznych, zrozumiałych tylko dla ludzi o zachodnim wykształceniu. Było to po obiedzie; spotkali się w oszklonych drzwiach, które przestały już trzaskać. Wyprzedzając młodego człowieka i z wyraźnym zamiarem, by niezwłocznie go opuścić, Settembrini rzekł:

— No cóż, inżynierze, jakże smakował granat? *

Hans Castorp uśmiechnął się, ucieszony i zmieszany.

— To znaczy... O czym pan mówi? Granat? Przecież granatów nie było? Ja nigdy w życiu... Chociaż tak, raz piłem sok z granatu z wodą sodową. Miał słodkawy smak.

Włoch, który go tymczasem już wyminął, odwrócił głowę i mówił akcentując każde słowo:

— Bogowie i śmiertelni odwiedzali niekiedy państwo cieniów i znajdowali drogę powrotną. Ale mieszkańcy podziemi wiedzą, że kto skosztuje owoców ich królestwa, należy już do nich.

I poszedł dalej, w swoich odwiecznych jasnych spodniach w kratę, zostawiwszy za sobą Hansa Castorpa, którego powinny były „przewiercić” słowa tak pełne znaczenia i które poniekąd istotnie to uczyniły, choć go zarazem rozgniewały i rozweseliły tą swą pretensją. I mruzczał do siebie:

— Latini, Carducci, zawracanie głowy, zostaw mnie w spokoju.

Jednakże był szczęśliwy i podniecony tym pierwszym zawiązaniem rozmowy, gdyż mimo swą zdobycz, mimo ów makabryczny upominek, noszony na sercu, miał sympatię do pana

Settembriniego, zależało mu na jego osobie i myśl, że tamten mógłby całkowicie i na zawsze go odtrącić i przestać się nim zajmować, byłaby dla jego duszy cięższa i straszniejsza niż uczucie chłopca, na którego w szkole machnięto ręką i który korzysta z dodatnich stron swej hańby, jak to było z panem Albinem... Jednakże nie śmiał jeszcze sam zwracać się do swego mentora, ten zaś znów tygodniami nie zbliżał się do swego przysparzającego mu tyle trosk wychowanka.

Zmieniło się to dopiero wówczas, gdy fale czasu, toczące się w wiecznie jednostajnym rytmie, przyniosły Wielkanoc, obchodzoną w „Berghofie” równie pieczołowicie jak wszystkie etapy i zmiany, przerywające nierozczłonkowaną jednostajność. Każdy przy pierwszym śniadaniu znalazł przy swym nakryciu pęczek fiołków, przy drugim otrzymał pisanekę, a przy obiedzie odświętna zastawa była ozdobiona zajaczkami z cukru i czekolady.

— Czy odbywał pan, tenente *, podróże morskie albo pan, inżynierze? — pytał pan Settembrini, gdy w hallu po jedzeniu, z wykałaczką w ręce podszedł do stolika kuzynów... Jak większość gości skracali sobie oni dzisiaj obowiązek głównego wywandowania o kwadrans, zasiadłszy do kawy z koniakiem. — Te zajaczki, te pisaniki przypominają mi życie na wielkim parowcu wśród pustego od tygodni horyzontu, wśród słonej pustyni, w warunkach, o których okropności jedynie idealne wygody pozwalają powierzchownie zapomnieć, a w głębszych regionach umysłu świadomość tej okropności nurtuje jak utajony dreszcz... I tutaj panuje ten sam duch, w którym na pokładzie takiej arki obchodzi się z pietyzmem te same uroczystości co na terra ferma *. Jest w tym myśl o zaświatach, sentymentalne wspomnianie kalendarza... Na lądzie byłaby dziś Wielkanoc, wszak prawda? Na lądzie obchodzi się dziś urodziny króla — i my to też robimy w miarę możliwości, my też jesteśmy ludźmi... Czyż nie tak?

Kuzyni przyznali mu rację. Rzeczywiście, tak jest. Hans Castorp, wzruszony tym, że się doń zwrócono, i podniecony przez wyrzuty sumienia, chwalił przemówienie w najgorniejszych

słowach, że jest dowcipne, doskonałe, literackie, i ze wszystkich sił potakiwał panu Settembriniemu. Rzeczywiście, tylko powierzchownie — pan Settembrini tak plastycznie to wyraził — komfort pozwala na transatlantyku zapomnieć, w jak ryzykownej sytuacji znajdują się na nim ludzie, a jeśli mu to wolno dodać od siebie, ten doskonały komfort ma w sobie coś frywolnego i prowokacyjnego, co starożytni nazywali hybris * (cytował nawet starożytnych, aby wyrzucić korzystne wrażenie), krótko mówiąc, jest czymś występny. Z drugiej strony jednak luksus statków implikuje („implikuje!”) wielki triumf ludzkiego ducha i ludzkiej godności — bo skoro wynosi on zbytek i komfort aż na słone piany i śmiało je na nich utrzymuje, to znaczy, że kielzna żywioły, te dzikie potęgi, to zaś implikuje zwycięstwo cywilizacji ludzkiej nad chaosem, jeśli wolno mu na własną rękę użyć tego wyrażenia...

Pan Settembrini słuchał go uważnie, ze skrzyżowanymi nogami, a także i rękami, wytwornie przy tym muskając wykałaczką wygięte w łuk wąsy.

— Godne to uwagi — rzekł — że człowiek nie może cokolwiek obszerniej wypowiedzieć się w sprawach ogólniejszej natury, nie zdradzając się całkowicie, nie wkładając niechcący w tę wypowiedź całej swej jaźni, nie wyrażając jakoś w przeźroczności głównego tematu i pierwotnego zagadnienia swego życia. Tak się też to teraz panu wydarzyło, inżynierze. To, co pan powiedział, wyszło naprawdę z samego dna jego osobowości, a nawet wyraziło poetycko chwilowy stan tej osobowości: jest to wciąż jeszcze stan eksperymentu...

— Placet experiri! — rzekł Hans Castrop kiwając głową, śmiejąc się i z włoska wymawiając „c”.

— Sicuro * — jeśli jest to czcigodna namiętność poznawania świata, a nie rozwiązła zabawa. Mówił pan o hybris, używał pan tego wyrażenia. Ale hybris rozumu przeciw ciemnym mocom jest najwyższym człowieczeństwem i jeśli wywoła zemstę zazdrosnych bóstw, jeśli per esempio * owa luksusowa arka zachwieje się i pogrąży w głębinie, to jest to koniec honorowy. Czyn Prometeusza to była też hybris, a jego męka na skale

scytyjskiej jest dla nas najświętszym męczeństwem. Ale jakże to rzecz ma się z tą drugą hybris, gdy ktoś ginie eksperymentując rozwiążle z potęgami bezrozumnymi i wrogimi ludzkości? Czy w tym jest honor? Czy może być honor? Si o no *?

Hans Castorp mieszał łyżeczką w filiżance, choć nie już w niej nie było.

— Inżynierze, inżynierze — rzekł Włoch skinąwszy głową i utkwivszy w przestrzeń swe zamyślonę czarne oczy — czy nie lękaś się pan orkanu drugiego koliska piekielnego *, porywającego tych, którzy grzeszyli cielesnie i rozum poświęcili dla rozkoszy? Gran Dio *, gdy sobie wyobrażam, jak ten podmuch będzie panem miotać, głową w górę, to znów w dół, to nie chce mi się żyć ze zmartwienia...

Śmieli się, zadowoleni, że żartuje i mówi poetycznie. Ale Settembrini dodał:

— Pamięta pan, inżynierze, jak owego karnawałowego wieczoru przy winie już się pan ze mną poniekąd pożegnał, tak, zdarzyło się coś w tym rodzaju. A teraz kolej na mnie. Otóż, moi panowie, chcę się pożegnać z wami. Opuszczam sanatorium.

Obaj zdziwili się bardzo.

— To niemożliwe! To tylko żart — wołał Hans Castorp, tymi samymi słowy co kiedyś w innych okolicznościach. Był teraz prawie równie przerażony jak wówczas. Tymczasem jednak Settembrini powiedział:

— Bynajmniej. Jest tak, jak panom mówię. Zresztą wiadomość ta nie powinna być dla nich niespodzianką. Zapowiedziałem panom, że w chwili, w której zawiedzie mnie nadzieja, iż stanę się znów człowiekiem pracy, jestem zdecydowany zwinąć namioty i gdzieś tu w pobliżu na stałe się urządzić. Cóż panowie chcecie — chwila ta nadaszła. Nie wyzdrowieję, to jest pewne. Mogę z biedą żyć, ale tylko tu. Wyrok, ostateczny wyrok brzmi: dożywotnio — radca Behrens oznajmił mi go z właściwym sobie humorem. Więc dobrze, wyciągam stąd konsekwencje. Mieszkanie jest już wynajęte i właśnie zamierzam przenieść do niego mój niewielki ziemski dobytek i mój warsztat

literacki. To nawet niedaleko stąd, we Wsi, będziemy się spotykać, na pewno nie stracę panów z oczu, ale jako domownik mam zaszczyt się z nimi pożegnać.

Takie było oświadczenie Settembriniego w wielkanocną niedzielę. Kuzynów bardzo ono podnieciło. Długo jeszcze i wielokrotnie mówili z nim o jego postanowieniu: o tym, że *privatim* będzie mógł kurację dalej prowadzić, że zabierze i będzie kontynuować podjętą przez się rozległą encyklopedyczną pracę, ów przegląd arcydzieł światowej literatury z punktu widzenia konfliktów, które stwarza cierpienie, i ich usunięcia; mówili wreszcie o tym, że zamieszka w domu pewnego kupca korzennego. Pan Settembrini opowiadał, że kupiec korzenny górne piętro swej posiadłości wynajął pewnemu Czechowi, krawcowi damskiemu, który przyjmuje sublokatorów...

Rozmowy te należały teraz już do przeszłości. Czas, posuwając się naprzód, dokonał niejednej zmiany. Settembrini rzeczywiście nie mieszkał już w międzynarodowym sanatorium „Berghof”, lecz od paru tygodni u krawca damskiego Lukačka. Jego wyprowadzka nie była zwykłym odjazdem sankami, lecz widziano go, jak wywijając laską wychodził pieszo, w krótkim żółtym paltocie, obszytym częściowo futrem przy kołnierzu i mankietach, w towarzystwie człowieka, który na taczkach transportował literacki i ziemski bagaż ręczny pisarza — i jak przed wyjściem pod portalem uszczypnął jeszcze dwoma palcami w policzek jedną z kelnererek... Kwiecień, jak się rzekło, w znacznej części, w trzech czwartych pogrążył się już w cień przeszłości; co prawda zima była jeszcze w pełni, w pokojach bywało z rana niepełne sześć stopni, a na dworze mróz dziewięciostopniowy, atrament zostawiony w łodzi zamarzał przez noc w bryłę lodu, w kawałek węgla. Ale wiosna zbliżała się, każdy to wiedział; w ciągu dnia, gdy świeciło słońce, jej lekką, bardzo jeszcze delikatną zapowiedź czuło się w powietrzu; okres topnienia śniegu był już bliski, a w związku z nim nieustannie dokonywały się w „Berghofie” zmiany, których nie mógł zatrzymać nawet autorytet, nawet żywe słowo radcy, aczkolwiek w pokoju i w sali, przy każdym badaniu, każdej wizycie, każdym posiłku zwalczał

on przesąd tak rozpowszechniony w stosunku do okresu topnienia śniegów.

Czy ma do czynienia z amatorami sportów zimowych — zapytywał — czy też z chorymi, z pacjentami? Po co im, na miłość boską, śnieg, zamarznięty śnieg? Topnienie śniegu ma być nieodpowiednim czasem? Właśnie jest najodpowiedniejszym! Można dowieść, że w całej dolinie jest stosunkowo w tym czasie mniej takich, co muszą leżeć, niż w jakiegokolwiek innej porze roku! Wszędzie na świecie warunki klimatyczne dla chorych na płuca są w tym okresie gorsze niż właśnie tu! Kto ma iskierkę rozsądku, ten powinien tu wytrwać i wyzyskać hartujące działanie tutejszego klimatu. Potem stanie się odporny na wszystko, zabezpieczony przed wszystkimi klimatami świata, z zastrzeżeniem, że poczeka do zupełnego wyzdrowienia, i tak dalej. Ale radca mógł sobie mówić co chciał — uprzedzenie wobec topnienia śniegu tkwiło głęboko w umysłach i uzdrowisko opróżniało się; być może, że to zbliżająca się wiosna hałasowała ludziom we krwi i czyniła, że zasiedziali kuracjusze stawali się niespokojni i żądni odmiany — dość że w „Berghofie” „dzikie” i „nielegalne” wyjazdy mnożyły się w niepokojący sposób. Na przykład pani Salomon z Amsterdamu, pomimo przyjemności, jaką jej sprawiały badania lekarskie i związane z nimi demonstrowanie najcieńszej koronkowej bielizny, wyjechała w sposób najzupełniej dziki i fałszywy, bez jakiegokolwiek pozwolenia i nie dlatego, że było jej lepiej, lecz że właśnie było jej coraz gorzej. Początek jej pobytu tu w górze ginał w mroku przeszłości wyprzedzającej znacznie przyjazd Hansa Castorpa; przybyła więcej niż rok temu z zupełnie lekkim niedomaganiem, na które miała przepisane trzy miesiące kuracji. Po czterech miesiącach miała być „na pewno za cztery tygodnie zdrowa”, ale po sześciu nie było już mowy o wyzdrowieniu: mówiono, że powinna pozostać jeszcze przynajmniej cztery miesiące. Nie inaczej działo się i potem, ale że nie było to ani włoskie bagno, ani syberyjska kopalnia, więc pani Salomon została i pokazywała dalej swe najpiękniejsze dessous. Gdy wszakże po ostatnim badaniu w obliczu topnienia śniegów otrzymała nowy pię-

ciomiesięczny dodatek, a to na skutek świstów w lewym szczycie i niezaprzeczenie złych szmerów pod lewą łopatką, cierpliwść jej się wyczerpała i z protestami i złorzeczeniami na Wieś i Uzdrowisko, na ich sławetne powietrze, na międzynarodowy zakład leczniczy „Berghof” i na lekarzy wyjechała do domu, do wietrznego i zalanego wodą Amsterdamu.

Czy było to mądre postępowanie? Radca Behrens podnosił ramiona i ręce i hałaśliwie opuszczał je na biodra. Najpóźniej jesienią pani Salomon będzie tu z powrotem — ale wtedy już na zawsze. Czy zapowiedzi jego się sprawdzą? Będziemy się mogli o tym przekonać, my, którzy jeszcze na dłuższy czas jesteśmy związani z tym miejscem rozrywek. Jednakże sprawa pani Salomon nie była bynajmniej odosobniona. Czas przynosił zmiany — robił to co prawda zawsze, ale zazwyczaj bardziej stopniowo, nie w tak uderzający sposób jak teraz. Sala jadalna ukazywała luki przy wszystkich siedmiu stołach, zarówno przy lepszym rosyjskim, jak i przy gorszym, przy stołach stojących wzdłuż i w poprzek. O frekwencji w sanatorium nie dawało to jednak właściwego wyobrażenia; przyjazdy zdarzały się jak zawsze; pokoje zapewne były zajęte, ale przez gości znajdujących się w stadium końcowym choroby, które ograniczało swobodę ich ruchów. Z sali jadalnej, jak się rzekło, znikał ten czy ów dzięki pozostającej mu jeszcze swobodzie, a niektórzy znikali nawet w głębię i pustkę, jak dr Blumenkohl, który zakończył życie. Twarz jego coraz bardziej nabierała takiego wyrazu, jak gdyby miał coś niesmacznego w ustach; potem długo musiał leżeć w łóżku i wreszcie umarł; nikt nie umiałby dokładnie powiedzieć, kiedy. Sprawa została potraktowana ze zwykłą w sanatorium oględnością i dyskrecją. Powstała luka. Pani Stóhr siedziała przy tej luce i odczuwała lęk przed nią. Dlatego przeniosła się i zajęła miejsce po drugiej stronie młodego Ziemsse-na, dawne miejsce miss Robinson, zwolnionej po wyleczeniu, a naprzeciw nauczycielki, która siedziała po lewej stronie Hansa Castorpa i nie opuszczała swego miejsca. Siedziała ona obecnie zupełnie sama po tej stronie stołu, pozostałe trzy miejsca były wolne. Student Rasmussen, co dzień głupszy i słabszy, mu-

siał położyć się do łóżka i uchodził za skazanego na śmierć, a stara ciotka z siostrzenicą i Marusia o wysokich piersiach udały się w podróż — mówimy „udały się w podróż”, jak mówili wszyscy, bo ich bliski powrót nie ulegał wątpliwości. Jesienią będą tu znowu — czyż można to było uważać za całkowity odjazd? Letnie przesilenie dnia z nocą będzie już bliskie, jak tylko miną Zielone Świąta, a te są już za pasem; skoro zaś tylko przyjdzie najdłuższy dzień, to potem szybkim już krokiem pójdzie ku zimie — dość że, właściwie mówiąc, ciotka i Marusia już jakby były z powrotem, i to całe szczęście, bo śmieszka Marusia bynajmniej nie jest wyleczona i wolna od zarazków; nauczycielka miała pewne informacje o tuberkulicznych wrzodach, które ta cierrmooka Marusia jakoby miała na swym obfitym łonie i które wielokrotnie trzeba było operować. Gdy nauczycielka o tym mówiła, Hans Castorp szybko spojrzął na Joachima; ten pochylił nad talerzem twarz, na której wystąpiły plamy.

Dziarska ciotka wydała dla swych współbiedniaków, a więc dla obu kuzynów, nauczycielki i pani Stóhr pożegnalną kolację, wystawne przyjęcie z kawiozem, szampanem, likierami, podczas którego Joachim przeważnie zachowywał milczenie, mówił tak niewiele i tak bezdźwięcznym głosem, że aż ciotka w swej życzliwości dodawała mu odwagi i nawet mówiła mu „ty”, wbrew temu, co przyjęte w cywilizowanym świecie. — To nic, ojczulku — mówiła doń — nic sobie z tego nie rób, tylko pij, jedz i rozmawiaj, wrócimy niebawem. Wszyscy jedzmy, pijmy i gawędźmy, zgryzotę pozostawmy zgryzotom. Bóg da, że jesień przyjdzie, zanim zdążymy o niej pomyśleć — powiedz sam, czy jest się czego martwić! — Następnego zaś ranka porozdawała na pamiątkę różnobarwne pudła z „konfektami”, porozdawała je prawie wszystkim sąsiadom z sali jadalnej, i potem z obu swymi pannami na jakiś czas wyjechała.

A co działo się z Joachimem? Czy doznał wyzwolenia i ulgi, czy też dusza jego cierpiała w obliczu opustoszałej drugiej strony stołu? Czy jego niezwykła i buntownicza niecierpliwość, jego groźba, że odjedzie „dzikim sposobem”, jeśli go dalej będą

za nos wodzić, miała związek z wyjazdem Marusi? Czy raczej fakt, iż na razie jednak nie wyjechał, lecz chętnie słuchał pochwały topnienia śniegów, wygłaszanej przez radcę, nie tłumaczył się tym innym faktem, że Marusia o wysokim łonie nie wyjechała na dobre, lecz jedynie wyjechała w podróż i powróci, ledwie minie pięć najmniejszych jednostek tutejszego czasu? Ach, wszystko to było jednocześnie prawdą, i to w równym stopniu; Hans Castorp był tego pewien, choć nigdy o tej sprawie z Joachimem nie mówił. Od tego bowiem powstrzymywał się stanowczo, tak samo jak znów Joachim unikał nazwiska pewnej innej osoby, która również na jakiś czas wyjechała.

Tymczasem zaś przy stole Settembriniego, na miejscu Włocha — któż siedział tam od niedawna, w towarzystwie holenderskich gości, których apetyt był tak olbrzymi, że każdy z nich na początku codziennej kolacji, złożonej z pięciu dań, kazał sobie jeszcze przed zupą podawać trzy jajka sadzone? Teraz siedział tam Anton Karłowicz Ferge, który doznał piekielnego wypadku wstrząsu opłucnowego! Tak, pan Ferge opuścił łóżko i nawet bez sztucznej odmy stan jego na tyle się poprawił, że większą część dnia spędzał ubrany i w ruchu, i że ze swymi dobrodusznie nastrzępionymi wąsami i swą wielką krtanią, równie dobrodusznie robiącą wrażenie, brał już udział w posiłkach. Kuzyni nieraz gawędzili z nim w sali i w hallu, a niekiedy także, jeśli się tak złożyło, odbywali wspólnie obowiązkowe przechadzki, pełni sympatii dla prostodusznego męczennika, oświadczającego, że wszelkie wyżyny są dlań niedostępne, ale który po tym zastrzeżeniu w nie mniej miły sposób, podczas gdy we mgle brnęli przez roztopiony śnieg, opowiadał o fabrykacji kaloszy w dalekich krajach państwa rosyjskiego, w Samarze czy Gruzji.

Bo drogami rzeczywiście ledwie można było chodzić, były zupełnie rozmoknięte, a nad nimi kłębiły się mgły. Radca mówił, że nie są to mgły, lecz chmury; ale, wedle Hansa Castorpa, były to tylko słowne wybiegi. Wiosna toczyła ciężką walkę, ciągnącą się miesiącami, aż do czerwca, wśród setek nawrotów do najgorszej zimy. Już w marcu, gdy słońce świeciło, na bal-

konie i na leżaku mimo najłżejsze ubrania i mimo parasolki trudno było z gorąca wytrzymać i niektóre panie zachowywały się już jak w lecie, od pierwszego śniadania występując w muślinach. Było to poniekąd usprawiedliwione klimatem panującym tu w górze, który sprzyjał zamieszaniu* bo obalał meteorologiczną kolejność pór roku; niemniej w postępowaniu tych pań była krótkowzroczność i brak wyobraźni, ograniczenie istot żyjących chwilą, które niezdolne są pomyśleć, że może być znów inaczej niż jest, przede wszystkim zaś żądza odmiany i nie licząca się z czasem niecierpliwość: w kalendarzu był marzec, a zatem wiosna, prawie lato, więc wyciągały z kufrów muślinowe suknie, by się w nich pokazać, zanim przyjdzie jesień. A ta się już poniekąd ukazywała. W kwietniu nadeszły ponure wilgotno-zimne dni, długotrwałe deszcze przechodziły w śnieg, w wirujący świeży śnieg. W łodzi kostniały palce, oba koce z wielbłądziej sierści na nowo stały się potrzebne, mało brakło, a trzeba by sięgnąć do worka na futrze, zarząd zdecydował się znów palić i wszyscy się skarżyli, że zawiedli się na wiośnie. Pod koniec miesiąca wszystko było pokryte grubym śniegiem, ale potem przyszedł wiatr halny, przewidziany, przeczytany przez doświadczonych i wrażliwych gości: pani Stóhr, blada jak z kości słoniowej panna Levi, a także wdowa pani Hessenfeld czuły go zgodnie, nim jeszcze od południa pokazała się pierwsza chmurka na szczycie granitowej skały. Pani Hessenfeld zaczęła zaraz objawiać skłonność do spazmów, panna Levi położyła się do łóżka, a pani Stóhr szczerząc krnąbrnie swe zajęcze zęby zapowiadała co chwila z zabobonnym lękiem, że dostanie krwotoku; bo mówiono, że wiatr halny przyspiesza go i wywołuje. Zapanowało nieprawdopodobne ciepło, kaloryfery ostygły, zostawiano na noc otwarte drzwi na balkon i pomimo to stwierdzano nazajutrz jedenaście stopni w pokoju; śnieg topniał gwałtownie, nabierał wyglądu lodu, stawał się porowaty i podziurawiony, a tam, gdzie leżał w większej ilości, kurczył się, zdawało się, że się chowa pod ziemię. Wszędzie się coś sączyło i szmerało, w lesie kapalo z drzew, topniały śniegi po obu stronach oczyszczonych dróg, małały w oczach blade dywany na łąkach,

choć masy śniegu zbyt były wielkie, aby mogły prędko zniknąć. Ukazywały się dziwne zjawiska, niespodzianki wiosenne na drogach, bajkowe, nigdy nie widziane. Bliżej rozpościerały się łąki, w głębi sterczał stożek Schwarzhornu, jeszcze cały w śniegu, opodal po prawej lodowiec Scaletta, również głęboko zasypany śniegiem, pod śniegiem była też dolina ze swą szopą na siano, choć tu pokrywa śnieżna była cienka i rzadka, przerywana na wzniesieniach, a wszędzie poprzetykana suchą trawą. Wędrowcy twierdzili, że ten rodzaj zaśnieżenia jest nieprawidłowy — w dali, pod leśnymi stokami było gęstsze, ale z bliska, przed oczami przyglądających się, sucha jeszcze jak w zimie i bezbarwna trawa była śniegiem już tylko nakrapiana, cętkowana, jakby ukwiecona... Przyglądali się z bliska, schylali się pełni zadziwienia — to nie był śnieg, lecz kwiaty śnieżne, śnieg kwietny, kielichy na krótkich łodygach, białe i białoniebieskawe, to były krokusy, zaprawdę, milionami wyrosłe z sączącej wodę łąki, tak gęste, że łatwo je można było uważać za śnieg, w który też dalej niepostrzeżenie przechodziły.

Śmieli się ze swej omyłki, śmieli z radości wobec cudu dokonującego się w ich oczach, widząc, jak uroczym, trwożliwym, nadsładowniczo przystosowuje się życie organiczne, gdy pojawia się znowu po raz pierwszy. Zrywali, oglądali i badali delikatne twory o kształcie kielichów, zdobili nimi swe butonierki, zanosili je do domu, wstawiali je w swych pokojach do wody, bo nieorganiczne stężenie doliny trwało długo — długo, mimo że było urozmaicone.

Tymczasem śnieg kwiatów pokryty został przez śnieg prawdziwy, a tak samo stało się z błękitnymi urdzikami, żółtymi i czerwonymi pierwiosnkami, które pojawiły się w ślad za krokusami. Jakże trudno było wiośnie wydostać się z oków i przemóc tutejszą zimę. Była odrzucana dziesięciokrotnie, zanim mogła się tu w górze utrwalić — zdawało się, że ponownie wdziera się zima z białą zawieruchą, lodowatym wiatrem i uruchomieniem kaloryferów. W początku maja (bo tymczasem nastąpił już maj, podczas gdyśmy opowiadali o śnieżnych kwiatkach), w początku maja było po prostu męką napisać w lodzii

kartkę pocztową na niziny, palce bolały jak od ostrej listopadowej wilgoci; a te nieliczne drzewa liściaste, które rosły w okolicy, były tak suche, jak to na równinach bywa w styczniu. Deszcz padał całymi dniami, lał przez tydzień i gdyby nie własności tutejszych leżaków, które godziły z werandowaniem, byłoby ze wszech miar ciężko wśród kłębiących się chmur, z wilgotną, zeszywniałą twarzą tyle godzin wytrzymać leżąc na powietrzu. Jednakże w gruncie rzeczy był to deszcz wiosenny i w miarę jak padał, coraz bardziej ujawniał swą wiosenność. Stopił cały prawie śnieg: znikła biel, jedynie tu i ówdzie pozostała brudna szarość lodu i łąki zaczęły już teraz naprawdę zieleńć.

Co za dobrodziejstwo dla oka, ta zieleń łąk po nieskończonej bieli. A wraz z nią pojawiła się inna jeszcze zieleń, która delikatnością i wdzięczną miękkością jeszcze znacznie przewyższała zieleń młodej trawy. To modrzewie wypuściły młode pęki igieł. Hans Castorp rzadko mógł się na obowiązkowych spacerach od tego powstrzymać, by ich ręką nie popieścić i by nie pogłaskać nimi swej twarzy, tak nieodparty był urok ich miękkości i świeżości. — Miałoby się ochotę zostać botanikiem — mówił do swego towarzysza — nabiera się naprawdę do tego chęci, z uciechy wobec przebudzenia się natury po takiej zimie jak ta u nas w górze! To gencjana, człowieku, to, co widzisz na stoku, a to tu — to jakaś odmiana żółtych fiołków, której nie znam. Ale to są jaskry, u nas na dole nie wyglądają one też inaczej, z rodziny Ranunculaceae *, pełne, jak widzę, szczególnie uroczą rośliną, zresztą dwupłciowa, widzisz tu moc naczyń pyłkowych, a tu wiele zalążków owocowych, androeceum i gynoecium *, jeśli się nie mylę. Koniecznie trzeba sobie sprawić parę botanicznych kobył, aby się lepiej poinformować o tej dziedzinie życia i wiedzy. Jakżeż barwnie robi się na świecie!

— W czerwcu będzie jeszcze lepiej — mówił Joachim. — Wtedy przyjdzie to sławne tutejsze kwitnienie łąk. Ale nie sądzę, bym się tu tego doczekał. A ty pewnie pod wpływem Krokowskiego chcesz studiować botanikę?

Krokowski? Skądże mu przyszedł do głowy? Ach tak, stąd że

dr Krokowski ostatnio w jednym ze swych wykładów występował jako botanik. Byłby w błędzie ten, kto by przypuszczał, iż wywołane przez czas zmiany skłoniły dra Krokowskiego do zaprzestania odczytów. Wygłaszał je co dwa tygodnie w tużurku, choć już nie w sandałach, które nosił tylko w lecie, a więc wkrótce znów nosić będzie — co drugi poniedziałek w sali jadalnej, tak samo jak w jednym z pierwszych dni pobytu Hansa Castorpa, gdy ten zjawił się na odczycie za późno i cały umazany krwią. W ciągu trzech kwartałów analityk mówił o miłości i chorobie — nigdy dużo na raz, w niewielkich dawkach, w półgodzinnych czy trzechkwadransowych pogawędkach roztrząsał skarby swej wiedzy i myśli, a czynił to tak, że każdy miał wrażenie, iż nigdy nie przerwie i będzie mówić bez końca. Był to rodzaj „tysiąca i jednej nocy” powtarzanych co pół miesiąca, snujących za każdym razem dowolny ciąg dalszy, a zdolnych, jak bajki Szecherezady, ciekawego księcia uspokoić i od gwałtów powstrzymać. W swej bezbrzeżności temat dra Krokowskiego przypominał owo przedsięwzięcie, w którym współpracował Settembrini, mianowicie *Encyklopedię cierpienia*-, a jakie możliwości temat ten w sobie zawierał, widać stąd, że prelegent ostatnio mówił nawet o botanice, dokładniej: o grzybach... Zresztą tym razem zmienił on może cośkolwiek swój przedmiot, mówił raczej o miłości i śmierci, co dawało mu powód do rozważań po części subtelnie poetyckich, a po części nieubłaganie naukowych. W tym związku uczony — przemawiający wschodnio przeciągającym akcentem i wymawiający „r” za pomocą jednorazowego uderzenia języka o zęby — doszedł do botaniki, to znaczy do grzybów — tych bujnych i fantastycznych zjawisk życia organicznego, z natury swej mięsistych, zbliżonych do zwierząt, zawierających wytwory zwierzęcej przemiany materii, białko i glikogen, a więc czynniki siły zwierzęcej. Dr Krokowski mówił o pewnym grzybie, który od czasów starożytnych zyskał sławę dla swego kształtu i dla przypisywanych mu sił, mianowicie o smardzu, którego łacińska nazwa obejmuje przymiotnik *impudicus* *, którego kształt przywodzi na myśl miłość, a zapach — śmierć. Bo, rzecz uderzająca, *impudicus* wydaje zapach

trupi, gdy z jego kapelusza, podobnego do dzwonu, skapuje pokrywający go zasobny w zarodniki śluz. Wśród laików grzyb ten po dziś dzień uchodzi za środek erotycznie podniecający.

Tego już było za wiele ze względu na damy, jak zauważył prokurator Paravant, który, podtrzymywany na duchu propagandą radcy, pozostał tu na okres topnienia śniegów. Ale także pani Stóhr, która również dawała dowody silnego charakteru i opierała się pokusom dzikiego odjazdu, oświadczyła przy stole, że dr Krokowski był dziś obskurny ze swym klasycznym grzybem. Hansa Castorpa zaś zdziwiło, że Joachim robił aluzję do dra Krokowskiego i jego botaniki: bo właściwie o analityku nie mówili z sobą tak samo, jak nie mówili o Kławdii Chauchat i o Marusi — nie wspominali o nim, jego osobę i działalność najchętniej pomijali milczeniem. Tymczasem teraz Joachim wspomniał o asystencie — a uczynił to tonem, w którym dźwięczał zły humor, jak zresztą już jego uwaga, że nie zamierza oczekiwać pełnego kwitnięcia łąk, dowodziła złego humoru. Widać było, że poczciwy Joachim bliski jest utraty równowagi. Głos jego z rozdrażnienia załamywał się przy mówieniu, nie był już tym samym człowiekiem co dawniej, łagodnym i rozsądnym. Czy cierpiał z powodu braku zapachu pomarańcz? Czy też te istne dziwy z cyframi Gaffky'ego doprowadzały go do rozpaczy? A może rozdrażnienie jego pochodziło stąd, że nie mógł się zdecydować, czy ma doczekać tu jesieni, czy też „fałszywie” wyjechać?

W rzeczywistości coś jeszcze innego wywoływało to podrażnienie w drżącym głosie Joachima i było przyczyną, że o wykładzie botanicznym wspomniał w tonie bez mała szyderczym. O tym czymś Hans Castorp nie wiedział, czy raczej nie wiedział, iż Joachim o tym wie, sam bowiem będąc zbiegiem i wiecznym dla życia i pedagogiki strapieniem, wiedział o tym aż nazbyt dobrze. Rzecz w tym, że Joachim wykrył pewne podstępny swego kuzyna, złapał go znienacka na zdradzie, podobnej znów do tej, jaką popełnił w ostatni wtorek karnawału, a to sprzeniewierzenie się pogarszała jeszcze pewność, iż Hans Castorp popełnia je stale.

W wiecznie jednostajnym rytmie upływał czas, normalne dni miały wprawdzie urozmaicony, ale ustalony, niezmienny porządek, tak że można je było pozamieniać i poplątać z sobą; dni były identyczne jak niewzruszona wieczność, tak iż trudno było pojąć, jak w ogóle może dochodzić do przemian; a do tego niezmiennego codziennego porządku, jak każdy pamięta, należało, że dr Krokowski obchodził między wpiół do czwartej a czwartą pokoje, ściśle mówiąc balkony, przechodząc od leżaka do leżaka. Ileż razy odnowił się normalny dzień „Berghofu” od owego czasu, gdy Hans Castorp irytował się w swej poziomej pozycji, że asystent okrzyknął go i nie wziął wcale pod uwagę! Dawno już z ówczesnego gościa stał się kolegą — dr Krokowski zwracając się doń podczas swych wizyt kontrolnych często go nawet nazywał „Kamerad”; dźwięk „r” w tym wyrazie wydobywał egzotycznie za pomocą jednorazowego uderzenia języka o przód podniebienia; z tym wojskowym wyrazem było mu bardzo nie do twarzy, jak to orzekł Hans Castorp, mówiąc z Joachimem, choć nieźle odpowiadał jego mocnemu po męsku wesołemu sposobowi bycia, pobudzającemu do niczym nie zmaconego zaufania, ale z tym sposobem bycia klóciła się znów jego czarniawa bladość — a tkwiło w nim zawsze coś budzącego obawę.

— No cóż, kolego, jak się panu powodzi? — mówił dr Krokowski, odszedłszy od rosyjskiej pary i zbliżając się do posłania Hansa Castorpa, który ze złożonymi na piersi rękami uśmiechał się co dzień na nowo, boleśnie i uprzejmie, słysząc ten obrzydliwy zwrot, i wpatrywał się w żółte zęby doktora, ukazujące się w jego czarnej brodzie. — Czy dobrze pan wypoczął? — tak zapewne dr Krokowski ciągnął dalej. — Krzywa opada? a dziś się podnosi? Nie, to nic nie znaczy, do wesela wszystko będzie w porządku. Pozdrawiam pana. — Iz tymi słowami, które również szkaradnie brzmiały w jego ustach, bo je wymawiał: „pozddawiam pana” — szedł już dalej, do Joachima — był to wszak tylko obchód chorych, krótki rzut oka, mający przekonać, czy wszystko jest w porządku, i nic więcej.

Niekiedy co prawda dr Krokowski zatrzymywał się dłużej,

jego szeroka postać stawała opodal leżącego, uśmiechał się po męsku i gawędził z kolegą o tym i o tamtym, o pogodzie, o wyjazdach i przyjazdach, o nastroju pacjenta, jego dobrym i złym humorze, nawet o jego sprawach osobistych, jego pochodzeniu i widokach na przyszłość, aż wreszcie mówił „pozddawiam pana” i szedł dalej; a Hans Castorp, ręce dla odmiany zakładając pod głowę, odpowiadał z uśmiechem na to wszystko, choć przenikało go uczucie obrzydliwości; tak, zapewne, jednakże mu odpowiadał. Rozmawiali przyciszonym głosem — a choć szklane ściany niezupełnie oddzielały jedną łodzież od drugiej, Joachim nie mógł słyszeć rozmowy, nie robił zresztą najmniejszego pod tym względem wysiłku. Słyszał, jak kuzyn jego wstawał z leżaka i wchodził z drem Krokowskim do pokoju, zapewne aby mu pokazać swój wykres temperatury, i rozmowa musiała się jeszcze ciągnąć przez dobrą chwilę, sądząc z opóźnienia, z jakim asystent od strony pokoju wchodził do Joachima.

O czym mówili koledzy? Joachim nie pytał; ale gdyby ktoś z nas, nie biorąc zeń przykładu, postawił to pytanie, to można by mu powiedzieć, że niemało jest tematów i podniet dla wymieniających swe myśli mężczyzn i kolegów, których podstawowe poglądy noszą piętno idealizmu, a z których jeden w trakcie rozwoju doszedł do pojmowania materii jako pierwotnego grzechu ducha, jako jego wybudzenia pod wpływem jakiejś podniety, a drugi, jako lekarz, dowodził pochodnego charakteru chorób organicznych. Niejedno mogli sobie powiedzieć o materii jako niegodnym zwyrodnieniu niematerialnego bytu, o życiu jako o bezwstydzie materii, o chorobie jako wyuzdanej postaci życia! W nawiązaniu do bieżących wykładów mogła być mowa o miłości jako potędze chorobotwórczej, o nadzmysłowej istocie znamion, o „starych” i „świeżych” miejscach, rozpuszczalnych jadach i napojach miłosnych, o prześwietleniu podświadomości, o błogosławieństwie analizy duszy, o wstecznej przemianie symptomów — są to jedynie propozycje i domysły na wypadek, gdyby zostało postawione pytanie, co dr Krokowski i Hans Castorp mieli sobie do powiedzenia!

Zresztą nie mówili już teraz z sobą, należało to do przeszłości,

było tak tylko przez krótki czas, przez parę tygodni; ostatnio dr Krokowski znowu nie zatrzymywał się przy tym pacjencie dłużej niż przy wszystkich innych. „No cóż, kolego" i „pozdawiam pana" — do tego zazwyczaj znów się przeważnie ograniczała wizyta. Natomiast Joachim zrobił inne odkrycie, to, w którym dopatrzył się zdrady ze strony Hansa Castorpa; a zrobił je zupełnie nieumyślnie, bo był po wojskowemu niepodejrzliwy i nie myślał o szpiegowaniu, tego można być pewnym. Po prostu pewnej środy został odwołany z ранnego werandowania i wezwany do podziemi, aby go kąpielowy zważył, i wtedy — zobaczył. Szedł na dół schodami, tymi czyściutko wyłożonymi linoleum schodami, z których widać było gabinet lekarski, a po jego obu stronach pokoje do prześwietlania, jeden do organicznego, drugi zaś do psychicznego, leżący za* rogiem, o stopień niżej, z biletem dra Krokowskiego na drzwiach. Ale w połowie schodów Joachim się zatrzymał, bo właśnie Hans Castorp po zastrzyku opuszczał gabinet lekarski. Wyszedłszy z drzwi zamknął je obu rękami i nie rozglądając się, skierował się na prawo ku drugim, na których przybity był pluskiewkami bilet wizytowy; do drzwi tych dotarł niewielu, podanymi naprzód, bezgłośnie się kołyszającymi krokami. Zastukał, po czym nachylił się, przytknął ucho do stukającego palca. Gdy zaś barytonowe „proszę" z egzotycznie dźwięczącym „r" i półkniętą samogłoską nosową odezwało się z wewnątrz, Joachim widział, jak jego kuzyn znikł w półmroku analitycznej jaskini dra Krokowskiego.

JESZCZE KTOS

Dni były długie, najdłuższe, mówiąc rzeczowo i biorąc pod uwagę ilość słonecznych godzin; bo jeśli chodzi o szybkość, z jaką uciekały, każdy z osobna i wszystkie razem, to ich astronomiczne trwanie nie miało na nią żadnego wpływu. Wiosenne zrównanie dnia z nocą minęło już prawie trzy miesiące temu i nadeszło letnie przesilenie dnia z nocą. Ale rok naturalny ociągając się nadażał tu w górze za kalendarzem: dopiero teraz,

dopiero w tych dniach nastąpiła ostatecznie wiosna, wiosna jeszcze bez ociążałości lata, aromatyczna, o przejrzystym i lekkim powietrzu, ze srebrnie promieniejącym błękitem nieba i dziecięco barwnym kwieciami łąk.

Hans Castorp znajdował na zboczach te same znów kwiaty, które niegdyś Joachim uprzejmie wstawił mu był do pokoju na powitanie: krwawniki i dzwonki. Był to dlań znak, że rok dobiegł końca. Z młodych szmaragdowych traw na stokach gór i łąkach jakże różne wykwitły formy życia organicznego, bądź gwiazdy, kielichy, dzwony, bądź nieregularne twory, a wszystkie wypełniały słoneczne powietrze swym suchym aromatem: smółki i dzikie bratki w ogromnych ilościach, kaczeńce, stokrotki, pierwiosnki w żółtym i czerwonym kolorze, o których Hans Castorp sądził, że są o wiele piękniejsze niż te wszystkie, które widywał na nizinach, jeśli tam w ogóle zwracał na nie uwagę; a rosły tu także urdziki z dzwonkami o długich rżęsach, niebieskie, purpurowe i różowe, jakby pochylające się w ukłonie, specjalność tych regionów.

Rwał te wszystkie śliczności, niósł bukiety do domu, poważnie nastrojony, niósł je nie tyle dla ozdobienia pokoju, ile dla ściśle naukowego ich opracowania, jakie sobie zamierzył. Podręczny aparat florystyczny został nabyty, zarys ogólnej botaniki, wygodna mała łopatka do wykopywania roślin, herbarium, mocne szkło powiększające, i młody człowiek operował tym wszystkim w swej lodzii, już znów ubrany po letniemu, w jednym z tych ubrań, które swego czasu przywiózł był z sobą — jeszcze jeden objaw zakończenia się rocznego okresu.

Świeże kwiaty stały w kilku szklankach porozstawiane na meblach w głębi pokoju, na stoliku z lampą przy doskonałym leżaku. Kwiaty, na wpół zwiędłe, już nieświeże, ale jeszcze nie uschłe, zalegały parapet balkonu, leżały rozrzucone na podłodze lodzii, podczas gdy inne, porządnie rozłożone między bibułami wypijającymi ich wilgoć, leżały przygniecione kamieniami, aby Hans Castorp mógł potem za pomocą nagumowanych skrawków papieru wklejać wysuszone preparaty do swego albumu. Leżał podciągnąwszy wysoko kolana i założywszy jedno na drugie,

a rozarty i odwrócony podręcznik grzbietem swym tworzył jakby daszek na jego piersi; krążek grubo szlifowanego szkła powiększającego trzymał między swymi dobrodusznymi niebieskimi oczami a kwiatem, którego koronę odciął częściowo scyzorykiem, aby móc lepiej studiować jej dno; korona pod soczewką rozrastała się w dziwacznego mięsisty twór. Woreczki pyłkowe osypywały końce pykuków swym żółtym pyłkiem, z załączni sterczała zakończona znamieniem szyjka słupka, a gdy się ją przecinało, to można było oglądać delikatny kanalik, przez który w cukrzystej wydzielinie ziarnka pyłku i łagiewki pyłkowe przedostawały się do wnętrza załączni. Hans Castorp liczył, sprawdzał, porównywał; badał budowę i rozmieszczenie działek i płatków, jak też męskie i żeńskie organy płciowe, pilnował zgodności tego, co widział, zarówno ze schematycznymi jak i z robionymi z natury rycinami, sprawdzał z zadowoleniem słuszność naukowych teorii w budowie znanych sobie roślin, a wreszcie te, dla których nie znał nazw, usiłował przynajmniej umieścić wedle Linneusza w odpowiedniej gromadzie, klasie, rzędzie, rodzinie, rodzaju i gatunku. Że zaś miał wiele czasu, robił pewne postępy w systematyce botanicznej na podstawie morfologii porównawczej. Pod zasuszoną rośliną w herbarium wpisywał kaligraficznie łacińską nazwę, jaką jej humanistyczna nauka z galanterią nadała, dopisywał wyróżniające ją cechy i pokazywał poczciwemu Joachimowi, który patrzył na to ze zdziwieniem.

Wieczorem przyglądał się gwiazdom. Opanowało go zainteresowanie rokiem, który kończy się w tym samym punkcie, w którym się zaczął; opanowało go, choć dwadzieścia kilka obiegów słońca spędził już na ziemi i nigdy się o takie sprawy nie troszczył. Gdyśmy mimo woli posługiwali się takimi wyrażeniami jak „wiosenne zrównanie dnia z nocą”, to było to w jego duchu i już w związku z tym, co go teraz przejmowało. Bo takiego rodzaju terminami lubił od niedawna sypać i wiedzę w tym zakresie wprowadzał swego kuzyna w zdumienie.

— Słońce już teraz niezadługo wejdzie w znak Raka — tak mniej więcej chętniej zaczynał na spacerach. — Czy zdajesz

sobie z tego sprawę? To pierwszy letni znak zodiaku, czy rozumiesz? Przez znak Lwa i Panny dojdzie do punktu jesieni, do zrównania dnia z nocą, w końcu września, gdy znów Słońce znajdzie się na równiku niebieskim jak ostatnio w marcu, gdy weszło w znak Barana.

— Tegom nie zauważył — mówił Joachim mrukliwie. — O czym ty tak biegle rozprawiasz? Baran? Zodiak?

— Tak, rzeczywiście, zodiak. Prastare znaki niebieskie, Skorpion, Łucznik, Koziorożec, Wodnik i jak się tam one wszystkie nazywają, jakże można się tym nie interesować! Jest ich dwanaście, tyle przynajmniej wiesz, trzy na każdą porę roku, wstępujące i zstępujące, krąg gwiazdozbiorów, przez które Słońce przechodzi — to według mnie wspaniałe! Wyobraź sobie, że w egipskiej świątyni znaleziono je wymalowane na płafonie — w dodatku w świątyni Afrodyty niedaleko od Teb. Chaldejczycy też już je znali — Chaldejczycy, proszę ciebie, ten stary lud czarodziei, arabsko-semicki, uczony w astrologii i wróżbiarstwie. Oni studiowali już krąg niebieski, w którym obracają się planety, i podzielili go na dwanaście znaków gwiazdnych, dodekatemoria, tych samych, które doszły do nas. To wspaniałe. To ludzkość!

— Mówisz „ludzkość” — jak Settembrini.

— Tak jak on albo nieco inaczej. Trzeba ją brać taką, jaka jest, ale już w tym jest wspaniałość. Dużo i z sympatią myślę o Chaldejczykach, gdy tak leżę i patrzę na te planety, które oni już znali, bo wszystkich jednakże nie znali, choć byli tak mądrzy. Ale tych, których nie znali, ja też nie mogę dojrzeć, Uran został odkryty za pomocą teleskopu dopiero niedawno, przed stu dwudziestu laty.

— Niedawno?

— Pozwól, że nazwę to „niedawno” w porównaniu z trzema tysiącami lat od owych czasów. Ale gdy tak leżę i oglądam sobie planety, to te trzy tysiące lat stają się dla mnie też „niedawno” i poufale jak o bliskich istotach myślę o Chaldejczykach, którzy je również widzieli i po swojemu ujmowali — i to jest ludzkość.

— No, dobrze, masz wspaniałe pomysły.

— Nazywasz je „wspaniałymi”, a ja intymnymi — niech każdy je nazywa jak chce. Ale gdy Słońce wejdzie w znak Waży, mniej więcej za trzy miesiące, to dni będą o tyle krótsze, że się z nocami wyrównają, a potem skracać się będą dalej, aż do Bożego Narodzenia, to przecie wiesz. Ale, proszę cię, pomyśl sobie, że gdy Słońce przechodzi przez znaki zimowe, przez Koziorożca, Wodnika i Ryby, następuje znów przyrost dnia. Bo wtedy przychodzi znowu punkt wiosenny, po raz trzytysięczny od Chaldejczyków, i dni rosą dalej, aż się zaczyna lato.

— Oczywiście.

— Nie, to jest sowizdrzalstwo! W zimie dni rosą, a gdy 21 czerwca przychodzi dzień najdłuższy, początek lata, to wtedy właśnie zaczyna się schodzenie w dół, dni stają się znowu krótsze i idzie ku zimie. Mówisz, że to „oczywiste”, ale gdy się przestanie to traktować jako oczywiste, to człowieka opanowuje lęk i niepokój, kurczowo chciałby się czegokolwiek uchwycić. To jakby świat był urządzony przez sowizdrzała, że z początkiem zimy właściwie zaczyna się wiosna, a z początkiem lata właściwie jest jesień... Jakby ktoś za nos wodził, dokoła wabił ku czemuś, co jest punktem zwrotnym... zwrotnym w kole. Boć koło składa się z samych nierozciągłych punktów zwrotnych, krzywizny zmierzyć nie można, nie ma stałego kierunku, i wieczność nie jest „naprzód, naprzód”, lecz „karuzela, karuzela”.

— Przestań!

— Święto sobótki! — mówił Hans Castorp. — Letnie przesilenie dnia z nocą! Ognie na górach i tańce w wielkim kręgu dookoła buchającego płomienia. Nigdy tego nie widział, ale słyszę, że tak jest u ludzi pierwotnych, tak świętują oni pierwszą noc lata, od której zaczyna się jesień, południe i szczyt roku, od którego schodzi on w dół — tańczą, wirując wydają radosne okrzyki, głośno się radują. Czemu się tak radują ci pierwotni ludzie, czy możesz to zrozumieć? Czemu się tak swawolnie weselą? Dlatego, że odtąd schodzi się w ciemność, czy też raczej dlatego, że dotąd szło się w górę, aż doszło do punktu

zwrotnego, na którym utrzymać się niepodobna, aż przyszedł środek lata, najwyższy punkt, a z nim smutek wśród swawoli? Mówię o tym słowami, jakie mi akurat przychodzą do głowy. Jest to melancholijna swawola i swawolna melancholia, która każe ludziom pierwotnym wykrzykiwać radośnie, gdy tańcząc dokoła ogniska robią to z pozytywnej rozpacz, jeśli chcesz, na cześć sowizdrzalstwa, jakie rządzi kołem i wiecznością nie mającą stałego kierunku i w której wszystko powraca na nowo.

— Nie mów „jeśli chcesz” — mruczał Joachim — proszę cię, we mnie tego nie wmawiaj. Rzeczywiście, bardzo daleko sięgają te sprawy, o których myślisz wieczorami, leżąc.

— Tak, nie zaprzeczam, że ty pożyteczniejszy czas spędzasz zajmując się rosyjską gramatyką. Człowieku, na pewno niedługo będziesz płynnie mówić po rosyjsku i wielką będziesz mieć z tego korzyść, jak wojna wybuchnie, od czego niech Bóg zachowa.

— Zachowa? Mówisz jak cywil. Wojna jest konieczna. Bez wojny świat by prędko zgnął, jak to Moltke powiedział.

— Tak, świat ma taką skłonność. Co do tego mogę się z tobą zgodzić — dodał Hans Castorp i chciał znów wracać do Chaldejczyków, którzy również wojnę prowadzili i zdobyli Babilon, choć byli Semitami, a więc prawie Żydami — tymczasem jednak obaj jednocześnie zauważyli, że dwaj panowie, idący przed nimi, obrócili głowy: zasłyszana rozmowa pociągnęła ich uwagę i przerwała ich własną rozmowę.

Działo się to na głównej drodze, między Kurhauzem a hotelem Belweder, w czasie powrotu do Davos-Wsi. Dolina przywdziała szatę odświętną, delikatne, jasne i wesołe barwy. Powietrze było rozkoszne. Symfonia pogodnych zapachów płynących z kwiatów łąkowych wypełniała czystą, suchą, przesyconą jasnym słońcem atmosferę.

Dostrzegli Lodovica Settembriniego w towarzystwie kogoś nieznanego; jednakże wydawało się, że on ich nie poznaje czy też nie życzy sobie spotkania z nimi, gdyż odwrócił szybko głowę i gestykułując pograżył się z powrotem w dyskusję ze swym towarzyszem, a nawet usiłował przy tym przyśpieszyć

kroku. Gdy wszakże kuzyni, znalazłszy się na prawo od niego, powitali go wesołym ukłonem, udawał zdziwionego i przyjemnie zaskoczonego, wołając „Sapristi” i „do diaska”, ale teraz znów usiłował pozostać w tyle, a tamtych przepuścić przodem, czego ci jednak nie zrozumieli czy raczej nie zauważyli, bo nie widzieli w tym żadnego sensu. Przeciwnie, szczerze ucieszeni, że po dłuższym niewidzeniu znów go spotykają, zatrzymali się przy nim i ściskali jego dłoń, pytając o zdrowie, i w uprzejmym oczekiwaniu spoglądali ku jego towarzyszowi. W ten sposób zmusili go do tego, czego by najwyraźniej wołał był nie zrobić, ale co im wydawało się rzeczą najnaturalniejszą i najbardziej spodziewaną w świecie: mianowicie do zapoznania ich z nieznanym; nastąpiło to istotnie, podczas gdy szli naprzód i na wprost przystawali; nastąpiło w ten sposób, że Settembrini ruchami rąk, które miały tych panów zbliżyć, i przemawiając do nich wesoło, zapoznał ich z sobą i sprawił, że sobie podali ręce.

Okazało się, że nieznanomy, będący zapewne w wieku Settembriniego, mieszkał w tym samym co on domu: był drugim sublokotorem krawca damskiego Lukačka i, o ile młodzi ludzie zrozumieli, nazywał się Naphta. Był to człowiek mały i szczupły, wygolony i o tak ostrej, jakby gryzącej brzydocie, że prawie zdziwiła obu kuzynów. Wszystko było w nim ostre: zakrzywiony nos, który panował nad twarzą, wąskie i zaciśnięte usta, a także grubo szlifowane szkła w lekkiej oprawie, które nosił na swych jasnoszarych oczach, ostre było nawet milczenie, które zachowywał i z którego było widać, że mowa jego będzie ostra i logiczna. Jak należało, nie miał na sobie kapelusza ani płaszcza — był przy tym bardzo dobrze ubrany, jego flanelowe ubranie, granatowe w białe paski, miało dobry i w miarę modny krój, jak to skonstatowali obaj kuzyni, badający go wzrokiem światowców, a spojrzenie ich spotkało się ze strony małego Naphty z takim samym, tylko szybszym i ostrzejszym spojrzeniem, ześlizgującym się po ich osobach. Gdyby Lodovico Settembrini nie umiał swej wystrzępionej kurtki i spodni w kratę nosić z takim wdziękiem i z taką godnością, to jego aparycja musiałaby niekorzystnie odbijać od wytwornego towarzystwa.

Ale nie odbijała, także i dlatego, że owe w kratkę były świeżo wyprasowane, tak iż na pierwszy rzut oka mogły uchodzić prawie za nowe; było to niewątpliwie dzieło jego gospodarza, jak sobie mimochodem pomyśleli młodzi ludzie. Jeśli zaś szpetny Naphta dobrym gatunkiem i elegancją ubrania bliższy był kuzynom niż współlokatorowi, to jednak tworzył z nim jedną grupę nie tylko ze względu na wiek, który ich obu dzielił od młodzieńców, ale także na coś, co najprędzej by można sprowadzić do odmiennej cery obu par, bo u jednych była ona opalona i ciemna, u drugich blada: twarz Joachima w ciągu zimy bardziej jeszcze nabrała barwy brązu, a twarz Hansa Castorpa pałała jak czerwona róża pod jego jasnymi włosami, italskiej natomiast bladości pana Settembriniego, szlachetnie zresztą wyglądającej przy czarnym wąsie, nie przemogły nawet promienie słoneczne, a jego towarzysz, choć blondyn — włosy jego miały zresztą odcień popielaty, były metalicznie bezbarwne, a nosił je gładko szesane znad cofniętego czoła na tył głowy — miał również matowobiałą cerę, właściwą rasom o ciemnych włosach. Dwaj spośród czterech, mianowicie Hans Castorp i Settembrini, mieli laski; Joachim z wojskowych względów laski nie używał, a Naphta po przedstawieniu się niezwłocznie założył z powrotem ręce na plecy. Ręce te, podobnie jak i stopy, były małe i delikatne, odpowiednio zresztą do całej jego postaci. Był zaziębiony i pokaszliwał w jakiś nieskuteczny sposób, ale to nie zwracało uwagi.

Pewne zmieszanie i niezadowolenie, jakie objawił zobaczywszy młodych ludzi, Settembrini niezwłocznie elegancko przezwyciężył. Okazał jak najlepszy humor i zapoznał tych panów wśród żartów — Naphtę na przykład nazwał „Princeps scholasticorum” *. Wesołość, powiedział, „ma swój wspaniały dwór w pałacach mej piersi”, jak się wyraził Aretino, a jest to zasługa wiosny, którą pan Settembrini sobie chwali. Panowie wiedzą, że do tego świata tu w górze ma on niejeden żal w sercu, tyle razy się już z tego zwierzał. Jednakże cześć wysokogórskiej wiośnie! — zdolna jest przynajmniej częściowo pogodzić go ze wszystkimi okropnościami tych regionów. Nie wnosi zamiesza-

nia i nie podnieca jak wiosna na równinie. Nie ma tu na dnie wrzenia! Nie ma wilgotnych zapachów, dusznych wyziewów! Jest tylko jasność, suchość, wesołość, cierpki wdzięk. Odpowiada to jego sercu, jest wspaniałe.

Szli w nieregularnym szeregu, wszyscy czterej obok siebie, o ile to było możliwe; lecz już to Settembrini będący na prawym skrzydle musiał schodzić na jezdnię, gdy mijali idących w odwrotnym kierunku, już to rozluźniał się chwilowo ich front, gdy w tyle pozostawali Naphta, idący z lewej, lub Hans Castorp zajmujący miejsce między humanistą a swym kuzynem. Naphta śmiał się krótko, głosem zmienionym przez katar i przypominającym przy mówieniu dźwięk pękniętego talerza, gdy weń uderzyć. Wskazując głową w bok na Włocha, rzekł, powoli akcentując słowa:

— Słuchajcie, co mówi wolterianin, racjonalista. Chwali przyrodę, bo nawet gdy jest ku temu najlepsza okazja, nie odurza nas mistycznymi oparami, lecz zachowuje klasyczną suchość. Jakże to jest wilgoć po łacinie?

— Humor — zawołał Settembrini przez lewe ramię — humor naszego profesora w ujmowaniu przyrody polega na tym, iż podobnie jak Katarzyna Sieneńska, myśli on o ranach Chrystusa, gdy widzi czerwone pierwioski.

Naphta odrzekł:

— Byłby w tym raczej dowcip niż humor. Ale gdybym tak robił, to bądź co bądź wnosiłbym ducha do przyrody. A jej tego potrzeba.

— Przyroda — rzekł Settembrini ściszywszy głos i patrząc już niezupełnie przez ramię, lecz w dół — pańskiego ducha wcale nie potrzebuje. Sama jest duchem.

— Czy nie znudził się panu jego monizm?

— Ach, więc pan przyznaje, że to żądza przyjemności każe mu dzielić świat na dwie wrogie części, rozrywać Boga i przyrodę.

— Zaciekawia mnie, że pan żądzą przyjemności nazywa to, co mam na myśli, gdy mówię „pasja” i „duch”.

— I pomyśleć sobie, że pan, który tak wielkich słów używa dla frywolnych potrzeb, nazywa mnie czasem retorem.

— Pan obstaje przy tym, że duch znaczy tyle co frywolność. Ale cóż on temu winien, że ma dualistyczną naturę. Dualizm, antyteza jest czynnikiem pobudzającym, namiętym, dialektycznym, pomysłowym. Widzieć świat rozszczepiony na wrogie sobie moce, oto duch. Wszelki monizm jest nudny. Solet Aristoteles quaerere pugnam *.

— Arystoteles? On realność ogólnych idei przeniósł na jednostki. Był panteistą,

— To fałsz. Niech pan jednostkom przypisze substancjalność, niech istotę rzeczy przeniesie z ogółów na zjawiska jednostkowe, jak to czynili Tomasz i Bonawentura, jako arystotelicy, a zerwie pan jedność świata z najwyższą ideą, świat stanie się pozaboski, a Bóg transcendentny. To klasyczne średniowiecze, mój panie.

— Klasyczne średniowiecze — ależ to wyborne zestawienie słów.

— Przepraszam, ale używam pojęcia klasyczności wszędzie tam, gdzie jest ono na miejscu, to znaczy, ilekroć jakaś idea dosięga swego szczytu. Antyk nie zawsze był klasyczny. Stwierdzam u pana niechęć do zmienności kategorii, do absolutu. Pan nie uznaje też absolutnego ducha. Pan chciałby ducha rozumieć jako demokratyczny postęp.

— Wierzę, że co do tego jesteśmy zgodni, iż duch, nawet najbardziej absolutny, nigdy nie jest obrońcą reakcji.

— Jednakże jest zawsze obrońcą wolności.

— Jednakże? Wolność polega na zasadzie miłości bliźniego, a nie na nihilizmie i nienawiści.

— Których wyraźnie pan się boi.

Settembrini wznosił rękę nad głowę. Utarczka skończyła się. Joachim ze zdziwieniem spoglądał to na jednego, to na drugiego, podczas gdy Hans Castorp z podniesionymi brwiami patrzył na ziemię. Naphta przemawiał ostro i apodyktycznie, choć był tym, który bronił pełniejszej wolności. W szczególności nie miły był sposób, w jaki odcinał się mówiąc „to fałsz” — przy zgłosce

„sz" wysuwał wtedy wargi, a potem je zaciskał. Settembrini odpowiadał mu po części wesoło i wiele miłego ciepła wkładał w swe słowa, choćby wtedy, gdy nawoływał do jedności w pewnych zasadniczych przekonaniach. Teraz, po zamknięciu Naphy, domyślając się, że obaj kuzyni potrzebują komentarzy do tej rozmowy, zaczął im dawać objaśnienia, dotyczące nieznanego. Naphta nie przeszkadzał mu w tych objaśnieniach, nie troszcząc się o to, co tamten mówi. Settembrini opowiadał o swym towarzyszu, że jest profesorem języków starożytnych w najwyższych klasach Fridericianum, przy czym na włoską modłę wynosił jak najwyżej pozycję tego, kogo przedstawiał. Mówił, że losy profesora są podobne do jego własnych. Stan zdrowia sprowadził go w góry przed pięciu laty, a gdy okazało się, że musi pozostać tu dłużej, opuścił sanatorium i zamieszkał prywatnie u Lukacka, krawca damskiego. Tego tak wybitnego latyniście, wychowanka jednej ze szkół zakonnych, jak się w nieokreślony sposób wyraził, gimnazjum miejscowe słusznie postarało się pozyskać na docenta, który stał się jego ozdobą... Słowem, Settembrini niemało wychwalał brzydkiego Naphtę, choć przecież przed chwilą miał z nim coś w rodzaju abstrakcyjnego sporu i choć ich wymiana zdań, bardzo do sporu podobna, miała się za chwilę ciągnąć dalej.

Settembrini przeszedł teraz do czego innego: zaczął dawać panu Naphcie wyjaśnienia o kuzynach, przy czym wyszło na jaw, że mu już dawniej o nich opowiadał. Oto jest ów młody inżynier — mówił — co przyjechał na trzy tygodnie, a u którego radca Behrens znalazł wilgotne miejsce, a oto nadzieja pruskiej organizacji wojskowej, podporucznik Ziemssen. Mówił o Joachimie, że się zbuntował, i o jego planach wyjazdu, po czym dodał, iż obraziłoby się inżyniera, zaprzeczając, że i jego ta sama niecierpliwość ciągnie do pracy.

Naphta się skrzywił. Powiedział: — Panowie mają wymownego opiekuna. Nie ośmieliłbym się wątpić, że trafnie oddał ich myśli i pragnienia. Praca, praca — ach, pewien jestem, że on zaraz zrobi ze mnie wroga ludzkości, jakiegoś inimicus humanae naturae*, gdy się ośmielę wspomnieć czasy, w których jego

fanfara bynajmniej nie znalazłaby zwykłego aplauzu, w których właśnie przeciwieństwo jego ideału cenione było bez porównania wyżej. Taki Bernard z Clairvaux głosił hierarchię doskonałości, o jakiej się panu Lodovico nawet nie śniło. Chcą panowie wiedzieć, jaką? Najniższym jej szczeblem jest „młyn”, drugim „pole”, a trzecim i najwyższym — niech pan nie słucha, Settembrini! — jest „łóże spoczynku”. Młyn jest symbolem życia światowego — symbol nieźle wybrany. Pole oznacza duszę światowego człowieka, która ulega wpływowi kaznodziei i duszpastorza. Ten szczebel stoi już wyżej. Ale na łożu...

— Dość! Wiemy już! — zawołał Settembrini. — Moi panowie, teraz będzie wam przedstawiał cel i użytek gnuśnego łóża rozputy.

— Nie wiedziałem, że pan jest tak skromny, Lodovico. Ale gdy się widzi, jak pan mruga na dziewczynki... Gdzież pańska pogańska szczerłość? Otóż łóżo jest miejscem obcowania kochającego z ukochanym i służy jako symbol kontemplacyjnego oderwania się od świata i stworzenia, w celu obcowania z Bogiem.

— Puh, andate, andate * — bronił się Włoch prawie ze łzami. Powstał śmiech. Ale potem Settembrini ciągnął dalej z godnością:

— Ach nie, ja jestem Europejczykiem, człowiekiem Zachodu. A pańska hierarchia to czysty Wschód. Wschód brzydzi* się działaniem. Lao-Tse uczył, że bezczynność jest pożyteczniejsza od czegokolwiek, co istnieje między niebem a ziemią. Gdy wszyscy ludzie zaniechają działania, zapanuje doskonały spokój i szczęście na ziemi. Oto pańskie obcowanie.

— Co też pan mówi? A zachodnia mistyka? A kwietyzm, za którego wyznawcę można uważać Fenelona? Kwietyzm uczył, że wszelkie działanie jest błędem, bo chce być czynnym to chce obrazić Boga, który sam jeden chce działać. Cytuję tezy Molinosa. Wydaje się, że zdolność osiągnięcia zbawienia w spokoju jest właściwa całej ludzkości.

Tu wmieszał się Hans Castorp. Z odwagą właściwą prostaczkom zabrał głos i mówił zapatrzony w przestrzeń: — Kontem-

placyjność, odosobnienie: w tym coś jest, z tym można się zgodzić. Żyjemy tu w górze w niemałym odosobnieniu, temu nie można zaprzeczyć. Z wysokości pięciu tysięcy stóp, leżąc na naszych wygodnych fotelach, patrzymy na świat i stworzenie i snujemy nasze myśli. Gdy się nad tym zastanawiam i jeśli mam prawdę powiedzieć, to łóżko — mam na myśli leżak, rozumieją panowie — w dziesięć miesięcy dało mi więcej korzyści i nasunęło więcej myśli niż młyn, w jakim żyłem na równinie w ciągu wszystkich minionych lat, temu niepodobna zaprzeczyć.

Settembrini patrzył nań smętnie połyskującymi czarnymi oczami. — Inżynierze — powiedział z naciskiem — inżynierze! — Wziął Hansa Castorpa za ramię i zatrzymał go cośkolwiek w tyle, jakby chciał za plecami tamtych o czymś go przekonać.

— Ileż razy panu mówiłem, że człowiek powinien wiedzieć, kim jest, i myśleć tak, jak mu przystoi. Rzeczą człowieka zachodniego, mimo wszystkie inne nieraz wysuwane propozycje, jest rozum, analiza, czyn i postępek — a nie próżniacze legowisko mnicha.

Naphta słuchał tych słów. Zwracając się w tył, rzekł:

— Mnicha! Mnichom zawdzięcza się kulturę Europy! Zawdzięcza się im, że Niemcy, Francja i Włochy nie są pokryte dziewiczym lasem i bagnami, lecz rodzą zboże, owoce i wino! Mnisi, mój panie, dobrze pracowali...

— Ebbe, no więc!

— Przepraszam. Praca zakonników ani nie była celem sama dla siebie, to znaczy środkiem odurzającym, ani też sens jej nie leżał w tym, by służyć światu i uzyskać materialne korzyści. Była czysto ascetycznym ćwiczeniem, narzędziem pokuty, lekarstwem. Broniła przed ciałem, służyła zabiciu zmysłowości. Miała więc — niech pan pozwoli, że to stwierdzę — całkowicie społeczny charakter. Była niezmaconym religijnym egoizmem.

— Jestem panu bardzo zobowiązany za to pouczenie i cieszę się widząc, że błogosławieństwo pracy iść się nawet wbrew woli człowieka.

— Tak, wbrew jego zamierzeniom. Zauważamy tu coś tak doniosłego jak różnica między tym, co pozytywne, a tym, co ludzkie.

— Co do mnie, to przede wszystkim zauważam z niechęcią, że pan znów rozdwaja świat.

— Przykro mi, że zasłużyłem sobie na pańskie niezadowolenie, ale należy rzeczy oddzielać i porządkować i ideę Homo Dei * chronić przed nieczystymi składnikami. Wy Włosi wynaleźliście kantory wymiany i banki; niech Bóg wam to wybaczy. Ale Anglicy wynaleźli socjologię gospodarczą, a tego duch ludzki nigdy im nie przebaczy.

— Ach, duch ludzkości ożywia także wielkich myślicieli spośród ekonomistów tej wyspy! Pan chciał coś powiedzieć, inżynierze?

Hans Castorp zaprzeczył, jednakże zaczął mówić, a zarówno Naphta, jak Settembrini słuchali go z pewnym napięciem:

— Powinien więc pan, panie profesorze, mieć upodobanie do zawodu mego kuzyna i rozumieć niecierpliwość, z jaką on chce doń wracać... Co do mnie, to jestem w każdym calu cywilem, kuzyn mój nieraz mi to wyrzuca. Nawet nie odśługiwałem powinności wojskowej i zdecydowanie jestem dzieckiem pokoju; -niejednokrotnie myślałem sobie, że doskonale mogłem być zostać duchownym — niech pan zapyta mego kuzyna, nieraz mówiłem mu coś w tym rodzaju. Ale gdy pomnę swe osobiste skłonności — ściśle biorąc, może ich nawet nie potrzebuję całkowicie pomijać — to mam wiele zrozumienia i skłonności do stanu żołnierskiego. Jest w nim coś diabelnie poważnego, coś „ascetycznego”, jeśli pan woli — pan był poprzednio łaskaw użyć tego wyrazu. Żołnierz zawsze musi się z tym liczyć, że będzie mieć do czynienia ze śmiercią, z którą ostatecznie także i stan duchowny ma do czynienia — bo z czymże innym. Stąd jest w stanie żołnierskim pewna bienseance, hierarchia, posłuch i hiszpańskie pojmowanie honoru, jeśli mi wolno tak powiedzieć, i jest dość obojętne, czy ktoś nosi sztywny kołnierz munduru, czy też nakrochmaloną kryzę, wynik jest ten sam, mianowicie „ascetyzm”, jak się pan poprzednio tak znakomicie

wyraził... Nie wiem, czy mi się udaje, aby panom bieg mej myśli...

— Owszem, owszem — rzekł Naphta i spojrział na Settembriniego, który kręcił laską i patrzył w niebo.

— Dlatego sędzę po tym wszystkim, co pan powiedział — ciągnął dalej Hans Castorp — że upodobania mego kuzyna Ziemssena muszą mu być sympatyczne. Nie myślę o „tronie i ołtarzu” i innych takich połączeniach pojęć, za pomocą których niektórzy ludzie, wynoszący ponad wszystko ład czy nawet po prostu dobrze myślący, usprawiedliwiają niekiedy łączność tych dwóch rzeczy. Ale mam na myśli to, że praca stanu żołnierskiego, to znaczy służba — bo w tym wypadku mówi się o służbie — bezwzględnie nie jest spełniana dla zysku i z „socjologią gospodarczą”, jak się pan wyraził, nie ma nic wspólnego; stąd to pochodzi, że Anglicy mają tak niewielu żołnierzy, paru na Indie, a paru w domu od parady...

— Może już pan dalej nie mówić, inżynierze — przerwał mu Settembrini. — Egzystencja żołnierska — nie chcę przez to ubliżyć naszemu porucznikowi — jest duchowo bezproblematyczna, gdyż jest czysto formalna, sama przez się nie posiada żadnej treści; zasadniczym typem żołnierza jest żołnierz zaciężny, którego można było pozyskać dla takiej i dla innej sprawy — krótko mówiąc, istnieli żołnierze hiszpańskiej przeciwreformacji, żołnierze wojsk rewolucyjnych, napoleońscy, garybaldcy, istnieją też i pruscy żołnierze. Mogę o żołnierzu mówić wtedy dopiero, gdy wiem, za co się bije!

— Że się bije — odparł Naphta — to jest bądź co bądź niewątpliwą cechą tego stanu, musimy to przyznać. Cecha ta może nie wystarcza, by stan ten uczynić w pańskim rozumieniu „duchowo problematycznym”, ale wprowadza go do sfery, do której mieszczańska afirmacja życia nie ma dostępu.

— Mieszczańska afirmacja życia, jak ją pan raczy nazywać — odparł Settembrini przodem warg, podczas gdy kąciki jego ust pod podkreconymi węsami rozciągnęły się sztywno, a szyja w bardzo szczególny sposób skośnie i przerywanymi ruchami wysuwała się z kołnierzyka — będzie zawsze gotowa

wystąpić w obronie idei rozumu i moralności oraz właściwego ich wpływu na młode, wahające się dusze.

Nastało milczenie. Młodzi ludzie spoglądali zmieszani na siebie. Po paru krokach Settembrini, którego głowa i szyja wróciły tymczasem do naturalnej pozycji, rzekł:

— Niech panów to nie dziwi, ten pan i ja kłócimy się często, ale czynimy to po przyjacielsku i pozostajemy zgodni w niejednej rzeczy.

Słowa te przyniosły ulgę. Były oświadczeniem rycerskim i ludzkim ze strony pana Settembriniego. Ale Joachim, również pełen dobrej woli, mając chęć na dalszą spokojną rozmowę, rzekł jednak, jakby pod naciskiem i przymusem i jak gdyby działał wbrew swej woli:

— Tak się złożyło wypadkiem, że mój kuzyn i ja mówiliśmy właśnie o wojnie, gdyśmy szli za panami.

— Słyszałem — odrzekł Naphta. — Usłyszałem ten wyraz i obejrzałem się. Czy panowie politykowali? Czy rozważali sytuację ogólną?

— O, nie — zaśmiał się Hans Castorp. — Skądże by? Mojemu kuzynowi zawód jego po prostu nie pozwala zajmować się polityką, a ja dobrowolnie z tego rezygnuję, nic się na tym nie znam. Odkąd tu jestem, nie miałem gazety w rękę...

Settembrini oświadczył, jak już kiedyś poprzednio, że jest to godne potępienia. Od razu okazał się jak najlepiej poinformowany o sprawach polityki światowej, a ocenił ją dodatnio, bo bieg wydarzeń uważał za korzystny dla cywilizacji. Ogólna atmosfera europejska, mówił, jest wypełniona myślą o pokoju i planami rozbrojenia. Idea demokratyczna czyni postępy. Oświadczył, że posiada poufne informacje o tym, iż ruch młodoturecki właśnie kończy przygotowania do przewrotu. Turcja jako państwo narodowe i konstytucyjne — co za triumf ludzkości!

— Wprowadzenie liberalizmu do islamu — drwił Naphta. — Doskonale! Oświecony fanatyzm — bardzo dobrze. Zresztą, to dotyczy pana — zwrócił się do Joachima. — Gdy Abdul Hamid upadnie, będzie to koniec naszych wpływów w Turcji, Anglia

narzuci się jako protektor... Stosunki i informacje naszego Settembriniego powinni panowie brać na serio — rzekł zwracając się do obu kuzynów, a i to powiedzenie brzmiało impertynencko, bo zdawało się zakładać, że pana Settembriniego na serio nie biorą. — Na sprawach narodowo-rewolucyjnych zna się naprawdę. W jego domu utrzymuje się dobre stosunki z angielskim Komitetem dla Bałkanów. Ale co będzie z układem rewelskim, jeśli się pańskim postępowym Turkom poszczęści? Edward VII nie otworzy już Dardaneli dla Rosjan, a jeśli Austria mimo to porwie się do aktywnej polityki bałkańskiej, to...

— Ach, z tym pańskim katastrofizmem! — bronił się Settembrini. — Mikołaj kocha pokój. Zawdzięczamy mu konferencje haskie, które są pierwszorzędnymi faktami moralnymi.

— Et, to wszystko tylko dlatego, że po swym małym niepowodzeniu na wschodzie Rosja musiała pozwolić sobie na trochę odpoczynku!

— Pfe, mój panie. Nie powinien pan szydzić z tęsknoty do udoskonalenia społecznego, jaką odczuwa ludzkość. Naród, który by przeciwdziałał tym jej dążeniom, bez wątpienia naraziłby się na wyłączenie go ze wspólnoty narodów.

— Na cóż byłaby polityka, jeśli nie na to, by dawać sobie wzajemnie sposobność do kompromitacji moralnej!

— To pan hołduje pangermanizmowi?

Naphta wzruszył swymi niezupełnie równymi ramionami. Nie dość że był w ogóle brzydki, ale ponadto był jakiś krzywy. Nie raczył odpowiedzieć. Settembrini wyrokował dalej:

— W każdym razie to, co pan mówi, jest cyniczne. W wielkodusznych wysiłkach demokracji, aby stać się siłą międzynarodową, chce pan widzieć tylko polityczny podstęp...

— Czyżby pan chciał, bym w tym widział idealizm czy wręcz religijność? Są to ostatnie, słabe drgnienia reszty instynktu samozachowawczego, jaki pozostał skazanemu na zagładę systemowi świata. Katastrofa powinna i musi przyjść, przyjdzie zewsząd i na wszelki sposób. Niech pan weźmie brytyjską sztukę rządzenia. Anglia musi zabezpieczyć sobie szaniec indyjski, i to

jest usprawiedliwione. Ale jakie pociąga to za sobą skutki? Edward wie równie dobrze jak pan i ja, że władcy z Petersburga muszą wziąć odwet za Mandżurię i skierować rewolucję w inne łóżysko; jest im to równie potrzebne jak chleb powszedni. Niemniej stara się — zapewne nie może inaczej! — skierować ekspansję rosyjską na Europę, budzi uśpioną rywalizację Petersburga i Wiednia.

— Ach, Wiedeń! Pan troszczy się o tę zawadę świata zapewne dlatego, że w spróchniałym imperium, którego jest on stolicą, poznaje pan mumię Świętego Rzymskiego Państwa Niemieckiego Narodu!

— A pan, jak widzę, jest rusofilem, zapewne przez sympatię humanisty dla cezaro-papizmu.

— Mój panie, demokracja nawet po Kremlu może się więcej spodziewać niż po wiedeńskim Burgu — i jest to hańbą dla kraju Lutra i Goethego...

— Poza tym jest to prawdopodobnie objawem głupoty. Ale i ta głupota jest narzędziem fatum.

— Niech pan da pokój z fatum! Jeśli tylko rozum ludzki więcej chce siebie niż fatum, to sam staje się fatum!

— Chce się zawsze tylko własnego losu. Kapitalistyczna Europa chce swojego.

— Wierzy się w przyjście wojny, jeśli się nie ma do niej dostatecznego obrzydzenia!

— Pańskie obrzydzenie nie ma podstawy logicznej, jeśli go pan nie odczuwa już wobec samego państwa.

— Państwo narodowe stanowi zasadę doczesności, którą pan chciałby przypisać diabłu. Ale niech pan tylko narody uwolni i zrówna, niech pan małe i słabe chroni od ucisku, wprowadzi sprawiedliwość, da państwom narodowe granice...

— Granicę na Brennerze, znam to. Likwidacja Austrii. Nie wiem tylko, jak pan chce to zrobić bez wojny!

— A ja chciałbym naprawdę wiedzieć, kiedy to ja potępiłem wojnę narodową.

— Słyszę przecież.

— Nie, tu muszę panu Settembriniemu przyznać rację —

wmieszał się Hans Castorp w dysputę, którą śledził idąc z przechyloną głową i patrząc na tego, kto z kolei zabierał głos. — Mój kuzyn i ja nieraz mieliśmy zaszczyt rozmawiać z nim o tych i o podobnych rzeczach, ściślej mówiąc, myśmy naturalnie słuchali, a on rozwijał swe poglądy i wszystko objaśniał. Mogę tedy potwierdzić, a i mój kuzyn na pewno sobie to przypomina, że pan Settembrini niejedną raz z największym zapałem mówił o zasadzie ruchu i buntu, i naprawy świata, która sama w sobie nie jest znów tak bardzo pokojową zasadą, tak mi się wydaje, a potrzebne będą jeszcze wielkie wysiłki, zanim ona wszędzie zwycięży i zanim powstanie szczęśliwa powszechna rzeczpospolita. To były jego słowa, tylko naturalnie były znacznie plastyczniejsze i bardziej literackie niż moje, to rozumie się samo przez się. Ale wiem dokładnie i dosłownie zapamiętałem, bo jako zawzięty cywil po prostu się tym przestraszyłem, gdy powiedział, że dzień ten przyjsć musi, a jeśli nie przyniesie go gołąb, to przyniosą go skrzydła orle (to właśnie te orle skrzydła mnie przeraziły, o ile pamiętam). A Wiedeń będzie pobity na głowę, jeśli się zechce utorować drogę szczęściu. Nie można więc powiedzieć, że pan Settembrini wojnę potępił bez zastrzeżeń. Czyż nie mam racji, proszę pana?

— Mniej więcej — odrzekł krótko Włoch, z odwróconą głową, wywijając łaską.

— Niedobrze — zaśmiał się brzydtko Naphta. — Oto własny pański uczeń dał świadectwo pańskim wojowniczym skłonnościom. Assument pennas ut aquilae... *

— Sam Wolter uznawał wojnę w obronie cywilizacji i Fryderykowi II zalecał wojnę przeciw Turkom.

— A ten tymczasem zawarł z nimi sojusz, he, he. A potem ta powszechna republika! Nie zamierzam się dowiadywać, co się stanie z zasadą ruchu i buntu, gdy się ustali szczęście i zjednoczenie wszystkich. W tym momencie bunt byłby już przestępstwem...

— Pan wie bardzo dobrze, a również wiedzą to ci młodzi panowie, że chodzi o postęp ludzkości, pojęty jako nieskończony.

— Ale wszelki ruch jest okrężny — powiedział Hans Ca-

storp. — Zarówno w przestrzeni, jak i w czasie, jak o tym poucza prawo zachowania masy i prawo periodyczności zjawisk. Mój kuzyn i ja przed chwilą mówiliśmy o tym. A przy ruchu po zamkniętym torze, w którym nie ma stałego kierunku, czyż może być mowa o postępie? Gdy wieczorem leżę i spoglądam na zodiak, to znaczy na jego połowę, która jest widoczna, i potem myślę o starych mądrych ludach...

— Nie powinien pan filozofować i marzyć, inżynierze — przerwał mu Settembrini — lecz zdecydowanie zaufać instynktowi swoich lat i swojej rasy, a te muszą pana przynaglać do czynu. A także pańskie przyrodnicze wykształcenie powinno go przywiązywać do idei postępu. Pan widzi, jak w niezmiernych okresach czasu życie rozwija się i wznosi od wymoczków do człowieka, i nie może pan wątpić, że przed człowiekiem stoją jeszcze nieskończone możliwości doskonalenia się. Ale jeśli się pan będzie upierał przy matematyce, to pański ruch okrężny będzie go wieść od doskonałości do doskonałości i będzie pana pokrzepiać pogląd naszego osiemnastego wieku, że człowiek był pierwotnie dobry, szczęśliwy i doskonały, a zepsuły go i zniekształciły tylko błędy społeczne, i że na drodze krytycznej pracy nad strukturą społeczeństwa znów powinien się stać i stanie dobrym, szczęśliwym, doskonałym.

— Pan Settembrini zapomina dodać — przerwał mu Naphtha — że idylla Rousseau jest racjonalistycznym spartaczeniem kościelnej doktryny o pierwotnej bezpaństwowości i bezgrzeszności człowieka, o tym, że początkowo żył bezpośrednio z Bogiem i był dzieckiem bożym i że do tego stanu ma powrócić. A odnowienie Państwa Bożego, po rozpadnięciu się wszystkich form ziemskich, leży tam, gdzie ziemia styka się z niebem, świat zmysłowy z nadzmysłowym; zbawienie jest transcendentne, a co się tyczy pańskiej kapitalistycznej powszechnej republiki, drogi doktorze, to bardzo jest dziwne, że w związku z nią mówi pan o instynkcie. Instynkty są całkowicie po stronie narodowości i sam Bóg zaszczerpił człowiekowi instynkt przyrodzony, który sprawił, że narody pooddziaływały się od siebie, tworząc różne państwa. Wojna...

— Wojna — zawołał Settembrini — nawet wojna, mój panie, musiała już służyć postępowi, temu pan nie zaprzeczy, jeśli przypomni sobie niektóre wydarzenia z ukochanej przez się epoki, mam na myśli wyprawy krzyżowe! Te wojny o cywilizację w najszcześniejszy sposób sprzyjały zbliżeniu narodów w ich stosunkach gospodarczych i handlowo-politycznych i połączyły ludzkość zachodnią pod znakiem jednej idei.

— Jest pan bardzo wyrozumiały dla idei. Tym przeto uprzejmiej pozwolę sobie skorygować pańską opinię i powiem, że wojny krzyżowe i wzmożony przez nie ruch bynajmniej nie przyczyniły się do usunięcia różnic między narodami; przeciwnie, pobudziły narody do przeciwstawienia się sobie i przyczyniły się do wytworzenia idei państwa narodowego.

— Bardzo słusznie, jeśli chodzi o stosunek narodów do kleru. Tak! Wtedy zaczęło się umacniać poczucie honoru państwa i narodu, skierowane przeciw hierarchicznym uroszczeniom...

— Przy tym to, co pan nazywa hierarchicznymi uroszczeniami, nie jest niczym innym, tylko ideą zjednoczenia się ludzi pod znakiem ducha!

— Znamy tego ducha i dziękujemy zań.

— Jasne jest, że pan ze swą manią narodowościową niechętnie patrzy na kosmopolityzm Kościoła, służący przewyciężeniu świata. Chciałbym tylko wiedzieć, jak pan chce z tym pogodzić swą niechęć do wojny. Pański w duchu starożytnym utrzymany kult państwa z konieczności czyni z pana obrońcę prawa pozytywnego, a jako taki...

— Mówimy o prawie? W prawie międzynarodowym, mój panie, żywa jest koncepcja prawa natury i ogólnoludzkiego rozumu...

— Ba, pańskie prawo międzynarodowe nie jest znów niczym innym, tylko *ius divinum* * spartaczonym w stylu Rousseau, które nie ma nic wspólnego ani z naturą, ani z rozumem, lecz polega na objawieniu...

— Nie spierajmy się o wyrazy, profesorze! Nie mam nic przeciw temu, by pan nazywał *ius divinum* to, co czczone jako prawo natury i prawo narodów. Istotne jest to, że ponad pozy-

tywnym prawem państw narodowych wznosi się prawo wyższe i powszechne, które umożliwia wyrównanie spornych interesów przez sądy rozjemcze.

— Przez sądy rozjemcze! Nie mogę słuchać tych wyrazów. Cywilny sąd rozjemczy ma rozstrzygać o zagadnieniach życia, ujawnić wolę bożą i wyprzedzać drogi historii! No dobrze, tyle o gołębiu. A gdzież orle skrzydła?

— Burżauzyjna kultura...

— Ach, ta nie wie, czego chce! Wrzeszcza, że należy przeciwdziałać zmniejszeniu się liczby urodzeń, domagają się obniżenia kosztów wychowywania dzieci i przygotowywania się do zawodu. A jednocześnie ludzie duszą się w tłoku, we wszystkich zawodach przepełnienie i walka o kawałek chleba staje się tak straszliwa, że wszystkie wojny przeszłości błędną przy niej. Wolne posady i miasta-ogrody! Poprawa rasy! Ale po cóż ją poprawiać, jeśli cywilizacja i postęp chcą, by nigdy już nie było wojny? Wojna byłaby środkiem przeciw wszystkiemu i na wszystko. Na poprawienie rasy i nawet przeciw zmniejszeniu się liczby urodzeń.

— Pan żartuje. To już nie jest poważne. Nasza rozmowa urywa się, ale we właściwej chwili. Jesteśmy u celu — rzekł Settembrini i laską wskazał kuzynom na domek za parkanem, u którego furtki się zatrzymali. Leżał on na skraju Wsi, przy ulicy, od której oddzielał go tylko wąski ogródek; był to skromny domek. Dzikie wino, wyrastając z obnażonych korzeni, opłatało drzwi wejściowe i wyciągało zgięte, do muru przywarte ramię ku parterowemu oknu po prawej, które było wystawowym oknem sklepiku. Settembrini objaśnił, że parter należy do kupca, że mieszkanie Naphty znajduje się na piętrze przy pracowni krawieckiej, a on sam mieszka w mansardzie. Ma tam zaciszny pokój do pracy.

Z nieoczekiwaną uprzejmością Naphta dał wyraz nadziei, że spotkanie to da początek dalszym. — Niechże panowie nas odwiedzą — rzekł. — Powiedziałbym: niech panowie mnie odwiedzają, gdyby dr Settembrini nie miał dawniejszych praw do ich przyjaźni. Niech panowie przyjdą, kiedykolwiek zechcą, ilekroć

mieć będą chęć na małe colloquium. Cenię wymianę myśli z młodzieżą i może posiadam pewną tradycję pedagogiczną... Jeśli nasz Mistrz Łoży * (tu wskazał na Settembriniego) chce kompetencje i powołanie pedagogiczne uważać wyłącznie za rzecz mieszczańskiego humanizmu, to trzeba mu zaprzeczyć. Więc do widzenia, zobaczymy się niedługo.

Settembrini robił trudności. Twierdził, że zachodzą one rzeczywiście. Dni, które podporucznik ma tu jeszcze w górach spędzić, są policzone, a inżynier będzie chciał kurację swą prowadzić ze zdwojoną gorliwością, aby wkrótce po nim podążyć na równinę.

Młodzi ludzie potakiwali kolejno jednemu i drugiemu. Zaproszenie Naphty przyjęli z ukłonami, a zaraz w następnej chwili uznali, że wątpliwości Settembriniego są całkowicie uzasadnione. Więc cała sprawa pozostała otwarta.

— Jak to on go nazwał? — pytał Joachim, gdy serpentyną szli pod górę do „Berghofu”.

— Ja usłyszałem „Mistrz Łoży” — rzekł Hans Castorp — i właśnie o tym myślę. To jakiś dowcip, oni jakoś dziwacznie nazywają jeden drugiego. Settembrini nazwał Naphtę princeps scholasticorum — to też nieźle. Scholastycy to byli wszak średniowieczni uczeni w Piśmie, dogmatyczni filozofowie, jeśli wolisz. Hm. O średniowieczu mowa była wielokrotnie — to przypomniało mi, jak Settembrini zaraz pierwszego dnia powiedział, że tu u nas w górze niejedno robi wrażenie czegoś średniowiecznego; zgadło się wtedy o tym z okazji Adriatyki von Mylendonk, z powodu jej imienia. Jakże ci się podobał?

— Ten mały? Nie podobał mi się. Choć mówił czasem rzeczy, które mi odpowiadały. Oczywiście, sądy rozjemcze to czysta obłuda. Ale on sam nie bardzo mi się podobał, może ktoś mówi dużo dobrego, ale co mi z tego, jeśli on sam jest podejrzanym typem. A jest podejrzanym, temu nie zaprzeczysz. Już sama historia z „miejscem obcowania” stanowczo brzmiała niedobrze. A przy tym ma nos żydowski, przyjrzyj mu się! Takie mizerne figury mają zawsze tylko Semici. Czy zamierzasz na serio odwiedzać tego człowieka?

— Oczywiście, że go odwiedzimy! — oświadczył Hans Castorp. — Mizerna figura — to tylko wojskowy przez ciebie mówi. Chaldejczycy mieli takie same nosy, a diablo dobrze robili swoje, nie tylko w naukach tajemnych. Naphta ma w sobie coś z tej wiedzy tajemnej, on mnie bardzo interesuje. Nie chcę twierdzić, że go dziś od razu rozgryzłem, ale może się nam to uda, jeśli się częściej z nim będziemy spotykać, a wcale nie uważam za wykluczone, że w ogóle się czegoś przy tej okazji nauczymy.

— Ach, człowieku, stajesz się tu w górze coraz mądrzejszy, z twoją biologią i botaniką, i twymi niemożliwymi „punktami zwrotnymi”. A od pierwszego dnia zaprzątałeś sobie głowę „czasem”. A przecież jesteśmy tu po to, żebyśmy byli zdrowsi, a nie mądrzejsi — zdrowsi i zupełnie zdrowi, aby nareszcie mogli nas wypuścić na wolność i jako wyleczonych odprawić na niziny!

„W górach mieszka wolność” — zaśpiewał niefrasobliwie Hans Castorp. — Ale powiedz mi najpierw, co to jest wolność! — rzekł potem, przestawszy śpiewać. — Naphta i Settembrini przecież spierali się przedtem o to i nie doszli do porozumienia. „Wolność to jest zasada miłości do ludzi” — powiedział Settembrini, i to brzmi w duchu jego przodka karbonariusza. Ale choć ten karbonariusz był odważny i choć jest nim sam Settembrini...

— Tak, zrobił się niemiły, gdyśmy zaczęli mówić o osobistej odwadze.

— ...to jednak myślę, że boi się niektórych rzeczy, których mały Naphta się nie boi, rozumiesz, a także, że jego wolność i odwaga to raczej bujda. Czy myślisz, że miałby dość odwagi de se perdre ou meme de se laisser deperir? *

— Cóż znowu, zaczynasz mówić po francusku?

— Tylko tak sobie... Atmosfera jest tu przecież taka międzynarodowa. Nie wiem, komu by się to bardziej powinno podobać: Settembriniemu ze względu na powszechną rzeczpospolitą czy też Naphtcie z jego hierarchią i kosmopolis. Uważałem bardzo, jak widzisz, jednakże nie wszystko dokładnie zrozumiałem,

przeciwnie, wydawało mi się, że w tym, co mówili, dużo było bałamuctwa.

— To tak zawsze. Zawsze się przekonasz, że z mówienia i wypowiedzania opinii wychodzi tylko bałamuctwo. Mówię ci, w ogóle nie chodzi o to, jakie kto ma opinie, ale o to, czy ktoś jest porządnym chłopem. Najlepiej jest nie mieć żadnej opinii, a tylko wykonywać swą służbę.

— Tak, możesz to mówić jako zaciężny żołnierz i istota czysto formalna, którą jesteś. Ze mną to co innego, ja jestem cywil, jestem do pewnego stopnia odpowiedzialny. I mnie to wzburza, gdy widzę takie bałamuctwo; jeden głosi międzynarodową powszechną republikę i zasadniczo potępia wojnę, a zarazem jest tak przesiąknięty patriotyzmem, że partout * domaga się granicy na Brennerze i za nią chce prowadzić wojnę w imię cywilizacji — a drugi ma państwo za dzieło szatana i rozprawia o powszechnym zjednoczeniu, a w następnym momencie staje w obronie praw naturalnego instynktu i wyśmiewa się z kongresów pokojowych. Mówisz wprawdzie, że nie powinniśmy stawać się tu mądrzejsi, tylko zdrowsi. Ale przecież powinno to dać się połączyć, człowieku — jeśli temu nie wierzysz, rozdwasz świat, a to jest zawsze wielkim błędem, ja ci to mówię.

O PAŃSTWIE BOŻYM I ZŁYM ZBAWIENIU

Hans Caŝtorp w swej łodzi określał roślinę, która teraz, gdy rozpoczęło się astronomiczne lato i dni zmalały, krzewiła się w wielu miejscach: orlik, czyli aquilegia z rodziny Ranunculaceae, krzew o wysokiej łodydze, z niebieskimi, fiołkowymi, a także czerwono-brązowymi kwiatami, z dużymi liśćmi podobnymi do kapuścianych. Rosła w różnych miejscach, ale duże jej skupiska znajdowały się zwłaszcza w tym zacisznym miejscu, gdzie ją przed rokiem po raz pierwszy zobaczył: w odosobnionym lesistym wąwozie, pełnym szmerów dzikiego strumienia, z kładką i ławeczką, do którego go wówczas doprowadził jego przedwczesny i niefortunny spacer i dokąd później czasami zachodził.

Nie było nawet do tego miejsca daleko, byle nie być tak przedsiębiorczym jak on wówczas. Od końca toru saneczkowego we Wsi idąc w górę można było w dwadzieścia minut dojść do tego malowniczego zakątka drogą leśną, której drewniane mosty przecinały tor bobslejowy z Schatzalp, byle nie zbaczać z drogi, nie wyśpiewywać arii operowych, a potem nie być zmuszonym odpoczywać po wysiłku. I gdy Joachim zajęty był swymi służbowymi obowiązkami, badaniami, rentgenem, próbami krwi, zastrzykami i ważeniem się, Hans Castorp nieraz przy pogodzie, po drugim śniadaniu, niekiedy nawet po pierwszym, a również w godzinach między podwieczorkiem a kolacją odwiedzał swe ulubione miejsce, siadał tam, gdzie kiedyś dostał potężnego krwotoku z nosa, i pochyliwszy na ukos głowę słuchał szumu potoku, przyglądał się zamkniętemu dokoła krajobrazowi i tym masom orlików, które oto znów na swym miejscu kwitły.

Czy po to tylko przychodził? Nie. Siadał tam, bo chciał być sam i dokonywać przeglądu wrażeń i przygód tylu miesięcy, chciał je przemyśleć. Było ich wiele i różnorodnych, przy tym niełatwych do uporządkowania, bo splątanych i przechodzących jedne w drugie, tak iż rzeczy namacalne zaledwie można było oddzielić od tych, co były tylko pomyślane, wymarzone, wyobrażone. Ale wszystkie były przygodami, i to w takim stopniu, że serce jego, które tu od początku było i zostało niespokojne, zatrzymywało się i biło jak młotem, gdy o nich myślał. A może w miejscu, gdzie niegdyś w chwili osłabienia Przybysław Hippe ukazał mu się jak żywy, wystarczało pomyśleć, że orliki kwitną tu nie wciąż jeszcze, ale już na nowo, i że z „trzech tygodni” niedługo będzie cały rok, aby jego niespokojne serce napełniło się gwałtownym lękiem?

Krew mu już teraz z nosa nie szła, gdy siadywał na swej ławce nad dzikim potokiem; to już minęło. Przystosowanie się do klimatu, o którym Joachim mówił mu od razu, że jest trudne, i które się też trudnym okazało, robiło jednak u niego postępy; po jedenastu miesiącach należało je uważać za zakończone, niewiele więcej można było już oczekiwać. Pro-

cesy chemiczne jego żołądka uregulowały się i uporządkowały. „Maria Mancini” znowu mu smakowała, nerwy jego wyschniętych błon śluzowych odzyskały wrażliwość na woń tych cygar, wartych zaiste swej ceny, a które on, jak dawniej, ilekroć zapas był bliski wyczerpania, z rodzajem pietyzmu sprowadzał z Brazylii, choć okna wystawowe w międzynarodowym uzdrowisku pełne były nęcącego towaru. Bo czyż nie było to rodzajem węzła między niziną, dawną jego ojczyzną, a nim, który tę ojczyznę opuścił? Czy nie podtrzymywało i nie zachowywało skuteczniej jego dawnych związków niż te karty pocztowe, które od czasu do czasu wysyłał do wujów, a które stawały się tym rzadsze, im lepiej, przesiąkając tutejszymi pojęciami, uczył się korzystać ze swego czasu? Były to przeważnie karty z widokami, i to dla przyjemnienia korespondencji z ładnymi widokami; przedstawiały dolinę pod śniegiem albo też w letniej szacie, a do pisania zostawiały tyle tylko miejsca, ile było potrzeba, aby — jak się to należy rodzinie — podać ostatecznie orzeczenie lekarskie, wynik miesięcznego czy też generalnego badania, pisał w nich tedy, że zarówno akustycznie jak optycznie zaznacza się wyraźna poprawa, że jednakże nie jest jeszcze wolny od zakażenia i ma lekką temperaturę, pochodzącą z niewielkich zmian, które na razie jeszcze pozostały, ale które niewątpliwie znikną całkowicie, jeśli tylko będzie cierpliwy; potem w żadnym już razie nie będzie potrzebował tu wracać. Mógł być pewien, że nikt tam od niego nie wymagał i nie oczekiwał obszerniejszych epistolarnych wyczynów; zwracał się do sfery ludzi pozbawionych skłonności humanistyczno-[^]krasomówczych, i odpowiedzi, jakie otrzymywał, były równie mało wylewne. Przychodziły zwykle wraz z pieniędzmi, przysyłanymi z domu, procentami od odziedziczonych po ojcu majątku; wymiana tych pieniędzy na monetę tutejszą była tak korzystna, że nigdy nie bywały wyczerpane w chwili, gdy przychodziła nowa przesyłka; listy z domu składały się z niewielu linijek, pisanych na maszynie a podpisanych przez Jamesa Tienappla, do których pozdrowienia i życzenia powrotu do zdrowia dołączał dziadek, a niekiedy też — żeglujący po morzach Piotr.

Zastrzyki — tak donosił Hans Castorp do domu — radca kazał ostatnio przerwać. Nie służyły młodemu pacjentowi, wywoływały bóle głowy, brak apetytu, spadek wagi i zmęczenie, a „temperaturę” najpierw podbiły, później zaś jej nie obniżyły. Pałała ona nadal jako suchy żar na jego różowej twarzy i była przestrogą, że dla tego dziecka równiny z jej wilgotną meteorologią przystosowanie się do gór polega jednak głównie na przyzwyczajeniu się do tego, iż się do nich nie przyzwyczajają; zresztą nie przyzwyczał się nawet sam Radamantys ze swymi wiecznie sinymi policzkami. „Niektórzy nigdy się nie przyzwyczajają” — jak to Joachim od razu na początku powiedział, i zdawało się, że tak właśnie było z Hansem Castorpem. Drżenie karku, które mu wkrótce po przybyciu zaczęło dokuczać, również nie ustało lecz wracało nieuchronnie przy chodzeniu, mówieniu, a nawet pojawiało się tu w górze, w błękitnie kwitnącym ustroiniu, w którym rozmyślał nad splotem swych przygód; i ostatecznie pełen godności gest Hansa Lorenza Castorpa podtrzymującego podbródek stał się niemal jego stałym przyzwyczajeniem i jemu samemu przypominał „vatermórdery” starca, które były zastępczą formą jego kryzy, bladozłotą, okrągłą chrzcielnicę, a także pobożny dźwięk „pra-pra...” oraz wszystko, co się z tym łączyło i co skłaniało go do rozmyślań nad splotem wydarzeń, jakie przyniosło mu życie.

Przybysław Hippe nie ukazywał mu się już we własnej osobie, jak przed jedenastu miesiącami. Przystosowanie się Hansa Castorpa do klimatu było skończone, nie miał już przywidzeń, ciało jego nie pozostawało bez ruchu na ławce, podczas gdy duch przebywał w dalekiej terażniejszości — przypadłości te minęły bez śladu. Wyraziste i żywe ich wspomnienie utrzymywało się w normalnych, zdrowych granicach, a gdy powracało, Hans Castorp wyciągał z pugilaresu przechowywany w nim szklany upominek, zapakowany w kopertę: płytkę, która, jeśli się ją trzymało równoległe z ziemią, była czarna, lustrzana i nieprzejrzysta, ale podniesiona pod światło, rozjaśniała się i ukazywała rzeczy ludzkie: przezroczysty obraz ludzkiego ciała, żebra, kształt serca, łuk przepony brzusznej i miechy płuc, a ponadto

obojczyki i kości górnego ramienia, a wszystko to objęte niby bladymi oparami — owym mięsem, którego Hans Castorp podczas zapustów tak nierozsądnie zakosztował. Czyż można się dziwić, że jego niespokojne serce to zatrzymywało się, to uderzało gwałtownie, gdy oglądał upominek, a potem „wszystko” kolejno przemyślał, usiadłszy wygodnie na grubo ciosanej ławce, skrzyżowawszy ramiona i pochyliwszy głowę wśród szmeru potoku i błękitu kwitnących orlików?

Kształt ludzki, ten najdoskonalszy twór życia organicznego, stawał przed nim jak w ową mroźną gwiazdzistą noc uczonych dociekań, a z jego wewnętrznym obrazem kojarzyły się młodemu Hansowi Castorp owi różnorodne pytania i rozróżnienia, którymi pocziwy Joachim nie chciał się zajmować, nie uważając tego za swój obowiązek, ale za które Hans Castorp jako człowiek cywilny, zaczął się czuć odpowiedzialny; tam na nizinach on również spraw tych nie zauważał i nie byłby zapewne nigdy zauważył, co innego tutaj, gdzie żyło się w kontemplacyjnym odosobnieniu i z wysokości pięciu tysięcy stóp patrzyło na świat i stworzenie, snując swe myśli, a przy tym miało się we krwi rozpuszczalne jady, potęgujące w ciele napięcie i jako suchy żar płonące na twarzy. W związku z owym wewnętrznym obrazem myślał o Settembrinim, pedagogu-kataryniarzu, którego ojciec przyszedł na świat w Helladzie i który miłość dla najdoskonalszego tworu sprowadzał do polityki, buntu i krasomówstwa i złożył swą pikę obywatelską na ołtarzu ludzkości; myślał też o koledze Krokowskim i eksperymentach, które ten od pewnego czasu w zaciemnionym pokoju z nim robił, zastanawiał się nad podwójną naturą analizy, nad tym, jak służy ona działaniu i postępowi, a ile ma wspólnego z grobem i jego osławioną anatomią. Wywoływał w pamięci obu dziadków, buntownika i legitymistę, którzy obaj, choć z różnych względów, ubierali się czarno, porównywał ich, przeciwstawiał i ważył ich zasługi. Wreszcie zabierał się do rozważania tak rozległych tematów, jak kształt a wolność, duch a ciało, honor i hańba, czas i wieczność — a wtedy ulegał krótkiemu, ale gwałtownemu zawrotowi głowy na myśl, że orliki znów kwitną i że rok się zamknął.

Używał szczególnego wyrazu dla oznaczenia odpowiedzialnej pracy umysłowej, jaką wykonywał samotnie w swym malowniczym zakątku: nazywał ją „królowaniem”, stosując wyraz zapamiętany jeszcze z zabaw dzieciństwa, jakby chciał oznaczyć rozrywkę ulubioną, ale wywołującą lęk, zawrót głowy, niepokoje serca i nadmiernie potęgującą wypieki na policzkach. A gdy związany z tymi rozmyślaniami wysiłek zmuszał go do podtrzymywania dłonią podbródka, uważał, że to w porządku, bo taka postawa odpowiadała dostojeństwu, jakiego mu wewnątrz użyczyło „królowanie”, wobec stojącego przed jego myślą najdoskonalszego tworu.

Brzydki Naphta nazwał twór ten Homo Dei, gdy go bronił przed angielską socjologią. Cóż w tym dziwnego, że w swym poczuciu odpowiedzialności cywila i przy swej potrzebie „królowania” chciał wraz z Joachimem odwiedzić małego człowieka? Settembrini patrzył na to niechętnie, a Hans Castorp był dość przebiegły i subtelny, by niechęć tę zauważyć. Już pierwsze spotkanie było humaniście niemiłe, wyraźnie chciał mu przeszkodzić i młodych ludzi, a w szczególności jego — tak mówił sobie chytry utrapieniec — ochronić ze względów pedagogicznych przed Naphtą, aczkolwiek on sam osobiście z nim przestawał i dysputował. Tacy już są wychowawcy. Sami pozwalają sobie na rzeczy interesujące, twierdząc, iż do nich „dorośli”, młodzieży zaś rzeczy takich wzbraniają i domagają się, aby czuła, iż do nich jeszcze nie „dorosła”. Całe szczęście, że kataryniarz nie miał na serio prawa Hansowi Castorpowi czegokolwiek zabraniać i nawet nie próbował tego czynić. Przynajmniej tyle strapienia wychowanek, zaparłszy się swej subtelności i udając niewinność, mógł bez przeszkody skorzystać uprzejmie z zaproszenia małego Naphty — i w niewiele dni po pierwszym spotkaniu, w niedzielne popołudnie, po głównym werandowaniu wybrał się doń wraz z Joachimem, który chętnie czy niechętnie, ale się doń przyłączył.

Z „Berghofu” było tylko kilka minut drogi w dół do domku z drzwiami obrosłymi winem. Weszli, pozostawiając po prawej wejście do sklepu, i wąskimi, brązowo pomalowanymi schodami

wspięli się na piętro do drzwi, na których obok dzwonka widniał tylko szyldzik Lukačka, damskiego krawca. Otworzył im wyrostek ubrany w coś w rodzaju liberii, w kurtce w paski i kamaszach, krótko wystrzyżony, z czerwonymi policzkami. Zapytali go o profesora Naphtë, a że nie mieli z sobą biletów wizytowych, wyuczyli go swych nazwisk i poszedł, by je panu Naphcie — tytułu żadnego nie używał — powtórzyć. Drzwi naprzeciw były otwarte i ukazywały pracownię krawiecką, w której Lukaček, ruie bacząc na święto, szył siedząc na stole ze skrzyżowanymi nogami. Był blady i łysy, spod ogromnego opadającego nosa po obu stronach ust zwisały z kwaśnym wyrazem czarne wąsy.

— Dzień dobry! — rzekł mu Hans Castorp.

— Witam — odparł krawiec w narzeczu szwajcarskim, które nie harmonizowało ani z jego nazwiskiem, ani z wyglądem i brzmiało jakoś fałszywie i dziwnie.

— Pan taki pracowity? — ciągnął dalej Hans Castorp, kiwając mu głową... — Przecież dziś niedziela!

— Pilna robota — odrzekł Lukaček krótko i szył dalej.

— Pewnie coś ładnego — domyślał się Hans Castorp — w czym zaraz ktoś wystąpi na wieczorze tanecznym czy czymś w tym rodzaju...?

Krawiec nie odpowiadał przez chwilę na pytanie, odgryzł nitkę i nawłókł nową. Potem dopiero skinął głową.

— Śliczne pewno będzie! — Hans Castorp pytał jeszcze. — Zrobi pan do tego rękawy?

— Tak, rękawy, bo to dla jakiejś starszej osoby — odpowiedził Lukaček wyraźnie czeskim akcentem. Powrót małego służącego przerwał wszakże tę przez drzwi prowadzoną rozmowę. Oznajmił on, że pan Naphta prosi, i o parę kroków na prawo otworzył przed młodymi ludźmi drzwi, podnosząc jednocześnie zwisającą na nich portierę. Wchodzących powitał Naphta, w pantoflach z kokardami, stojąc na zielonym dywanie o barwie mchu.

Obaj kuzyni byli zaskoczeni zbytkiem dwuokiennego gabinetu, do którego weszli, a nawet byli olśnieni; albowiem ubóstwo domu, schodów, nędznego korytarza nie pozwalało oczekiwać nic

podobnego, a przez kontrast elegancja urządzenia Naphty wydawała się jak z bajki, choć samo przez się nic ono w sobie właściwie bajecznego nie miało, a w innych warunkach nie miałoby go też w oczach Hansa Castorpa i Joachima Ziemssena. Niemniej, było wykwintne i nawet świetne, a poza biurkiem i szafami bibliotecznymi nie miało właściwie cech męskiego gabinetu. Było w nim na to zbyt dużo jedwabiu, czerwonego jak wino, purpurowego jedwabiu, z którego były zrobione portiere, zasłaniające liche drzwi, oraz lambrekiny na oknach, a także obicie mebli; garnitur ich stał naprzeciw drugich drzwi, pod węższą ścianą, w całości prawie zakrytą gobelinem. Były to barokowe fotele z miękkimi poręczami, ustawione dookoła okrągłego, metalnym okutego stołu, za którym stała kanapa w tym samym stylu, zasłana poduszkami z jedwabnego pluszu. Szafy biblieczne zajmowały ściany między obu drzwiami; podobnie jak biurko czy raczej sekretarzyk z tamburem, umieszczony między oknami, były z mahoni; miały drzwi szklane, za którymi rozpięty był zielony jedwab. W rogu zaś pokoju, z lewej od grupy mebli, na czerwono udrapowanym postumencie stała polichromowana rzeźba w drzewie, wzruszająca i przerażająca, Pieta, prymitywna a wyrazista aż do groteskowości: Matka Boska, w czepcu, ze ściągniętymi brwiami, z otwartymi, od jęku wykrzywionymi ustami, a na jej kolanach martwe ciało Chrystusa, ciało o nieudolnych proporcjach, o wyjaskrawionej a nieumiejętnej anatomii, z opuszczoną głową w cierniowej koronie, z twarzą i kończynami krwią poplamionymi i zbrczonymi, z grubymi gronami skrzepłej krwi z rany u boku i na przebitych gwoździach dłoniach i stopach. Rzeźba ta dawała jedwabnemu pokojowi szczególny akcent. Także tapety, widoczne powyżej szaf i między oknami, wyraźnie zawdzięczał pokój swemu lokatorowi: ich podłużne paski miały ten sam odcień zieleni co miękki dywan, rozłożony na czerwonym suknie wyściełającym pokój. Jedynie dla upiększenia niskiego sufitu niewiele było można zrobić. Był nagi i popekany. Jednakże zwisał zeń mały wenecki żyrandol. Okna były zasłonięte kremowymi storami, sięgającymi aż do ziemi.

— Oto stawiliśmy się na colloquium — rzekł Hans Castorp

patrząc więcej na pobożną a przeraźliwą rzeźbę niż na mieszkańca zadziwiającego pokoju, który wyraził swe uznanie, że kuzyni dotrzyмали słowa. Wskazywał im swą małą ręką jedwabne siedzenia, ale Hans Castorp poszedł prosto, jak oczarowany, ku drewnianej grupie i stał przed nią z rękami na biodrach i z głową na bok pochyloną.

— Jaką piękną rzecz pan tu ma! — rzekł cicho. — To jest znakomite. Rzadko się widuje takie cierpienie. To stara robota naturalnie?

— Czternasty wiek — odrzekł Naphta. — Zapewne nadreńska robota. Robi na panu wrażenie?

— Olbrzymie! — rzekł Hans Castorp. — Nie może go nie robić. Nigdy nie myślał, że coś może być tak brzydkie — niech mi pan wybaczy — i zarazem tak piękne.

— Dzieła, które są tworem i wyrazem duszy — odparł Naphta — są zawsze brzydkie w swym pięknie i piękne w swej brzydocie, tak jest z reguły. Chodzi bowiem o piękno duchowe, nie o cielesne, które jest bezwzględnie głupie i które jest też abstrakcją — dodał. — Piękno ciała jest abstrakcyjne. Jedyne piękno wewnętrzne, piękno religijnego wyrazu jest czymś rzeczywistym.

— To słuszne rozróżnienie, za które trzeba panu być wdzięcznym — powiedział Hans Castorp. — Czternasty? — upewnił się. — Tysiąc trzysta kilkadziesiąt? Tak, to typowe średniowiecze; do pewnego stopnia odpowiada to temu o nim wyobrażeniu, które sobie ostatnio wyrobiłem. Właściwie nie miałem o nim pojęcia, jestem przecie człowiekiem technicznego postępu, jeśli w ogóle moja opinia ma być brana pod uwagę. Ale tu w górze na różne sposoby zbliżyłem się do idei średniowiecza. Gospodarczej socjologii jeszcze wówczas nie było. Jak mógł się nazywać artysta?

Naphta wzruszył ramionami.

— Czyż to ważne? — powiedział. — Nie należy o to pytać, bo i wówczas, gdy rzeźba powstała, o to nie pytano. Jej autorem nie był jakiś indywidualny monsieur. Jest ona bezimiennym i wspólnym dziełem. Jest to zresztą średniowiecze bardzo zaawansowane, gotyk. Signum mortificationis *. Nie ma w niej już

nic z tego oszczędzania widza i upiększania, jakie jeszcze epoka romańska uważała za konieczne przy przedstawianiu Ukrzyżowanego, nie ma tu ani korony królewskiej, ani majestatycznego triumfu nad światem i nad męczeńską śmiercią. Wszystko tu bez ogródek mówi o cierpieniu i słabości ciała. Dopiero smak gotycki jest właściwie pesymistyczny i ascetyczny. Pan pewnie nie zna rozprawy Innocentego III „De miseria humanae conditionis” * — bardzo to dowcipna pozycja literacka. Pochodzi z końca XII wieku, ale dopiero ta oto sztuka jest jej ilustracją.

— Panie profesorze — rzekł Hans Castorp westchnąwszy — z tego, co pan mówi, interesuje mnie każde słowo. Signum mortificationis powiada pan? To sobie zapamiętałem. A przedtem mówił pan coś o tym, co „bezimienne i wspólne” — zdaje się, że nad tym też warto się zastanowić. Niestety, słusznie pan przypuszcza, że nie znam pisma tego papieża — bo domyślam się, że Innocenty III był papieżem. Czy dobrze zrozumiałem, iż jest ascetyczne a dowcipne? Przyznaję, że nigdy nie myślałem, że to może iść w parze, ale gdy się nad tym zastanawiam, to widzę, naturalnie, że rozprawa o nędzy ludzkiej daje niejedną okazję, by robić dowcipy kosztem ciała. Czy można mieć tę rozprawę? Znam łacinę na tyle, że przy pewnym wysiłku może mógłbym ją czytać.

— Mam tę książkę — odpowiedział Naphta, wskazując głową ku szafom. — Może pan nią rozporządzać. Ale może siądziemy? Z kanapy Pieta będzie też widoczna. Właśnie podają nam podwieczorek...

Mały służący przyniósł herbatę, a do niej ładny, srebrem okuty koszyczek z pokrajanym sękaczem. Ale któż to szybkim krokiem, wołając „Tam do licha!” i „Accidenti!” * i śmiejąc się, wbiegł za nim przez otwarte drzwi? Był to pan Settembrini mieszkający o piętro wyżej, a który przyszedł, by przyłączyć się do towarzystwa. Przez swe okienko, rzekł, zobaczył, jak idą kuzyni, i spieszenie skończył rozpoczętą stronicę swej encyklopedycznej pracy, by również przyjść w odwiedzinę. Było to zupełnie naturalne, że przyszedł. Uprawniała go do tego dawna znajomość z mieszkańcami „Berghofu” jak też stosunki z Naphtą, które mimo głę-

boką różnicę zdań były najwyraźniej bardzo ożywione — gospodarz powitał go też swobodnie i bez zdziwienia, jak się wita kogoś należącego do grona zebranych osób. Mimo to przyjście jego wywołało w Hansie Castorpie wrażenie wyraźnie dwoiste. Po pierwsze, zdawało mu się, że pan Settembrini zjawił się po to, by jego i Joachima, a przede wszystkim jego, nie zostawiać sam na sam z małym, brzydkim Naphtą, lecz by swą obecnością wytworzyć pedagogiczną przeciwwagę; po wtóre zaś, było wyraźne, iż nie miał nic przeciw temu, a nawet chętnie korzystał ze sposobności, aby na jakiś czas swą mansardę zamienić na wytwornie jedwabny pokój Naphty i aby zjeść ładnie podany podwieczorek: pocierał swe żółtawe, koło małych palców czarno owłosione dłonie, zanim sięgnął do koszyczka, i z wyraźną, głośno też wyrażaną satysfakcją zaczął jeść sękacz, przez którego cienkie kawałki przebiegały żyłki czekolady.

Pieta była w dalszym ciągu tematem rozmowy, bo Hans Castorp wzrokiem ani słowami nie mógł się od niej oderwać, zwrócił się też do pana Settembriniego, jakby chcąc go wciągnąć w krytyczny kontakt z dziełem sztuki; ale niechęć humanisty do tej ozdoby pokoju czytało się w wyrazie twarzy, z jakim się od niej odwrócił; siadł był bowiem tyłem do niej. Zbyt uprzejmy, aby powiedzieć wszystko, co myślał, ograniczył się do wypomnienia błędów, jakie rzeźba miała w proporcjach i budowie ciała, a także jej niezgodności z naturą, zaznaczając przy tym, że usterki te wcale go nie rozczulają, bo wynikają nie z nieumiejętności, która jest naturalna w tak wczesnej epoce, lecz ze złej woli, z zasadniczo nieprzyjaznej postawy — a Naphtą złośliwie mu potakiwał. O technicznej nieudolności nie może tu istotnie bynajmniej być mowy. W rzeźbie tej jest świadome wyemancypowanie się ducha spod władzy przyrody, religijna pogarda dla niej, głoszona bez najmniejszej pokory. Gdy wszakże Settembrini oświadczył, że zaniedbanie przyrody i studiów nad nią prowadzi ludzkość na bezdroża i gdy w wielkich słowach zaczął gromić absurdalną bezkształtność średniowiecza i wszystkich epok, które je naśladowały, wynosząc natomiast dziedzictwo grecko-rzymskie, klasycyzm, formę, piękno, rozum,

rozkochaną w przyrodzie potęgę ducha — wtedy Hans Castorp wmiszał się w rozmowę, pytając, co w takim razie myśleć o Plotynie, który — jak wiadomo — wstydził się swego ciała, lub o Wolterze, który w imieniu rozumu buntował się przeciw oburzającemu trzęsieniu ziemi w Lizbonie? Że to absurd? Istotnie było to absurdem, on jednakże sądzi, że jeśli się dobrze zastanowić, to rzeczy absurdalne można uznać z punktu widzenia duchowego za godne czci; absurdalna wrogość sztuki gotyckiej dla przyrody była ostatecznie równie godna czci jak postawa Plotyna i Woltera, gdyż była wyrazem tego samego wyzwolenia się spod fatalności i faktyczności, tej samej dumnej niepodległości, nie chcącej abdykować przed tak bezmyślną siłą jak natura...

Naphta parsknął śmiechem, który tak bardzo przypominał wiadomy talerz, a skończył się kaszlem. Settembrini rzekł do stojnie:

— Krzywdzi pan naszego gospodarza, robiąc takie dowcipy, i okazuje pan brak wdzięczności za tak smaczne ciasto. Czy jest pan w ogóle zdolny do wdzięczności? Rozumiem przez wdzięczność robienie dobrego użytku z otrzymanych darów...

A widząc, że się Hans Castorp zawstydził, dodał pełen uprzejmości:

— Wiem, że filut z pana, inżynierze. Przekomarza się pan po przyjacielsku z tym, co dobre, ale nie należy stąd wnosić, że pan tego nie lubi. Pan oczywiście wie, że opór ducha przeciw naturze wtedy jedynie zasługuje na cześć, gdy ma na celu godność i piękno człowieka, nie zaś gdy chce mu godność odebrać i chce go poniżyć czy choćby tylko prowadzi do poniżenia go. Pan wie również, jakie nieludzkie okrucieństwo, jaka dra pieżna nietolerancja były wykwitem epoki, której to dzieło tu poza mną zawdzięcza swe istnienie. Wystarczy, jeśli panu przypomnę ohydny typ inkwizytora, choćby krwawą postać Konrada z Marburga i jego niecną kleszą zajadłość wobec wszystkiego, co opierało się panowaniu świata nadprzyrodzonego. Pan jest na pewno daleki od tego, by miecz i stos uznać za narzędzia miłości bliźniego...

*— Natomiast miłości tej służyła maszynieria — zauważył

Naphta — za pomocą której Konwent oczyszczał świat ze złych obywateli. Wszelkie kary kościelne, nawet stosy, nawet ekskomunika były ustanowione, aby duszę ratować od wiecznego potępienia, czego nie można powiedzieć o niszczycielskiej żądzy jakobinów. Pozwalam sobie zauważyć, że wszelka sprawiedliwość, operująca torturą i krwią, i jeśli nie wypływa z wiary w życie pozagrobowe, jest bydlęcą niedorzecznością. A jeśli chodzi o odbieranie człowiekowi godności, to dzieje jego są dokładnie te same co dzieje mieszczańskiego ducha. Odrodzenie, Oświecenie, nauki przyrodnicze, nauki ekonomiczne nie pominęły nic, ale to nic, co mogło przyczynić się do poniżenia człowieka, zaczynając od astronomii, która z ośrodka świata, z dostojnej sceny, gdzie Bóg i szatan walczyli o upragnioną władzę nad stworzeniem, uczyniła obojętną małą planetę i na razie zniweczyła wspaniałą pozycję kosmiczną człowieka, na której nawiasem mówiąc, opierała się też astrologia.

— Na razie? — Wyraz twarzy pana Settembriniego, gdy tak pytał i czyhał na odpowiedź, miał sam coś z sądzącego kacerzy inkwizytora, oczekującego, że badany na pewno zapłacze się w swych zeznaniach.

— W samej rzeczy. Na parę stuleci — potwierdził Naphta chłodno. — I pod tym również względem, jeśli wszystko nie myli, czeka nas rehabilitacja scholastyki; jest ona już w toku, Kopernik będzie pobity przez Ptolemeusza. Teza heliocentryzmu natrafia powoli w umysłach na opór, który zapewne doprowadzi do celu. Nauka okaże się filozoficznie zniewolona do tego, by Ziemi przywrócić wszystkie te dostojności, które dogmat kościelny chciał jej zapewnić.

— Co? co? opór w umysłach? filozoficznie zniewolona? Cóż to za woluntaryzm przemawia przez pana? A nieuprzedzone badanie? A czyste poznanie? A prawda, mój panie? Jest ona z wolnością najściślej związana, a jej męczennicy, z których chce pan zrobić wrogów Ziemi, są tej planety ozdobą po wszystkie wieki.

Pan Settembrini w imponujący sposób zadawał swe pytania. Siedział wyprostowany i wygłaszał dostojne słowa, które z ło-

skotem waliły się na małego pana Naphtę, a w końcu podnosił głos tak potężnie, że się wręcz słyszało jego pewność, iż odpowiedzią przeciwnika będzie mogło być jedynie zawstydzone milczenie. Mówiąc trzymał między palcami kawałek sękacza, ale teraz położył go z powrotem na talerz, bo rzuciwszy takie pytanie, nie chciał już jeść.

Naphta odpowiedział z niemiłym spokojem:

— Drogi przyjacielu, nie istnieje nic takiego jak czyste poznanie. Kościelna teoria poznania, która da się streścić w zdaniu Augustyna: „Wierzę, abym mógł poznać”, jest niezaprzeczenie słuszna. Wiara jest narzędziem poznania, intelekt ma charakter wtórny. Pańska nieuprzedzona nauka jest mitem. Zawsze jest w nauce jakaś wiara, jakiś pogląd na świat, jakaś idea, krótko mówiąc, jakaś wola — a rzeczą rozumu jest wolę tę zanalizować i wykazać. Wszystko i zawsze zmierza tu ku jednemu: ku „quod erat demonstrandum” *. Samo pojęcie dowodu, psychologicznie biorąc, zawiera zdecydowanie woluntarystyczny składnik. Wielcy scholastycy XII i XIII wieku byli co do tego zgodni, że dla filozofii nie może być prawdą to, co jest fałszem dla teologii. Nie mówmy o teologii, jeśli pan nie chce, ale ludzkość, która nie uznaje, że w przyrodoznawstwie nie może być prawdą, co dla filozofii jest fałszem, nie jest ludzkością. Argumentacja świętego officium przeciw Galileuszowi dowodziła, że tezy jego są filozoficznie niedorzeczne. Trafniejszej argumentacji nie ma.

— Ejże, ejże, argumenty naszego biednego wielkiego Galileusza okazały się mocniejsze! Nie, mówmy poważnie, professore! Niech mi pan wobec obu tych uważnie słuchających młodych ludzi odpowie na pytanie: czy wierzy pan w jedną prawdę, w obiektywną, naukową prawdę, do której dążyć jest najwyższym prawem wszelkiej moralności, której triumfy nad autorytetem stanowią pełne chwały dzieje ludzkiego ducha?

Hans Castorp i Joachim odwrócili głowy od Settembriniego ku Naphcie, pierwszy szybciej od drugiego. Naphta odpowiedział:

— Triumfy takie nie są możliwe, bo autorytet to nic innego jak tyłko człowiek, jak jego potrzeby, jego godność, jego zba-

wienie — więc między nim a prawdą nie może być rozbieżności. Są jednym i tym samym.

— Prawda byłaby w takim razie...

— Prawdą jest to, co służy człowiekowi. W nim skupia się przyroda, w całej przyrodzie on jeden jest stworzony, a cała przyroda jedynie dla niego. On jest miarą rzeczy, a zbawienie jego stanowi kryterium prawdy. Poznanie teoretyczne, bez praktycznego związku z ideą zbawienia człowieka, jest tak dalece mało interesujące, że nie można go uważać za prawdziwe, a nawet nie należy na nie pozwalać. Wieki chrześcijańskie były całkowicie co do tego zgodne, że przyrodoznawstwo jest z ludzkiego punktu widzenia mało ważne. Laktancjusz, którego Konstantyn Wielki wybrał na nauczyciela swego syna, pytał wręcz, jakiego młodzieniec dozna szczęścia, dowiedziawszy się, skąd wypływa Nil i co fizycy plotą o niebie. Niech pan spróbuje mu na to odpowiedzieć! Jeśli filozofii Platońskiej dawano pierwszeństwo przed wszelką inną, to dlatego, że zajmowała się nie poznaniem przyrody, lecz poznaniem Boga. Mogę pana zapewnić, że ludzkość jest na drodze powrotu do tego punktu widzenia i do przejrzenia, iż zadaniem prawdziwej nauki nie jest uganianie się za bezbożnymi wiadomościami, lecz zasadnicze odrzucenie tego, co szkodliwe czy choćby tylko ideowo błahie, a więc krótko mówiąc, trzymanie się instynktu, wiary, wyboru. To dziecinne sądzić, że Kościół bronił ciemności przeciw światłu. Po trzykroć słusznie za karygodne uznał dążenie do poznania rzekomo „nieuprzedzonego”, to znaczy takiego, które pomija potrzeby duchowe i sprawy zbawienia; tym, co w ciemności wtrąciło człowieka i coraz głębiej wtrącać go tam będzie, jest właśnie to „nieuprzedzone”, afilozoficzne przyrodoznawstwo.

— Głosi pan pragmatyzm — odparł Settembrini — a wystarczy go zastosować do polityki, by zobaczyć całą jego zgubność: więc dobre, prawdziwe i sprawiedliwe jest to, co służy państwu. Jego zbawienie, jego godność, jego potęga stanowią kryterium moralności. Pięknie! Przez to otwiera się na rozcież wrota każdej zbrodni, a ludzka prawda, indywidualna sprawiedliwość, demokracja — niech same pilnują swoich spraw,,

— Zaleciłbym nieco logiki — odparł Naphta. — Albo Ptolemeusz i scholastyka mają rację i świat jest skończony w czasie i przestrzeni. W takim razie Bóstwo jest transcendentne, przeciwieństwo Boga i świata pozostaje w mocy, a i człowiek również jest dwoisty w swym istnieniu: zagadnieniem jego duszy jest antagonizm pierwiastków zmysłowych i nadzmysłowych, a sprawy społeczne są na dalekim drugim planie. Jedyne taki indywidualizm mogę uważać za konsekwentny. Albo też jest przeciwnie — pańscy renesansowi astronomowie znaleźli prawdę, i kosmos jest nieskończony. W takim razie nie ma świata nadzmysłowego, nie ma dualizmu, zaświaty zostały wchłonięte przez doczesny świat, upadło przeciwieństwo Boga i przyrody; a że w takim razie osobowość ludzka przestaje być terenem zmagania się wrogich zasad, lecz jest harmonijna i jednolita, więc cały wewnętrzny konflikt człowieka toczy się wyłącznie między osobistymi a powszechnymi interesami, i cele państwa stają się w duchu całkowicie pogańskim prawem moralności. Albo jedno, albo drugie.

— Protestuję — zawołał Settembrini wyciągając rękę z filiżanką herbaty w stronę gospodarza. — Protestuję przeciw podsuwaniu mi poglądu, że nowoczesne państwo jest szatańską niewolą jednostki. Protestuję po raz trzeci, mianowicie przeciw złośliwej alternatywie prusactwa i gotyckiej reakcji, którą nam pan chce narzucić! Sens demokracji nie polega na niczym innym jak tylko na indywidualistycznej korekturze wszelkiego absolutyzmu państwowego. Prawda i sprawiedliwość są klejnotami koronnymi indywidualnej moralności; w wypadku konfliktu z interesami państwowymi mogą nawet mieć formy wrogości wobec państwa, naprawdę jednak mają zawsze na oku wyższe, powiedzmy nawet: nadziemskie dobro państwa. Odrodzenie początkiem ubóstwiania państwa? Cóż za przewrotna logika? Zdobyczą — mówię to kładąc nacisk na etymologię wyrazu, zdobyczą Odrodzenia i Oświecenia, mój panie, jest osobowość ludzka, prawo człowieka, wolność!

Słuchacze odetchnęli, bo z zapartym tchem słuchali wielkiej repliki pana Settembriniecjo. Hans Cąstorp nie mógł się po-

wstrzymać od uderzenia, co prawda powściągliwego, ręką w stół. — Wspaniale! — powiedział między zębami, a nawet Joachim okazywał wielkie zadowolenie, choć dostało się też prusactwu. Potem jednak zwrócili się obaj ku odpartemu interlokutorowi, a Hans Castorp uczynił to z takim zapałem, że aż łokieć oparł o stół, a brodę o dłoń, mniej więcej tak jak wówczas przy rysowaniu świnek; i z napięciem patrzył z bliska w twarz panu Naphcie.

Ten siedział milczący i srogi, z chudymi rękami na kolanach. I powiedział:

— Usiłowałem wprowadzić logikę do naszej rozmowy, a pan mi odpowiada wspaniałymi tyradami. Że Odrodzenie wydało na świat wszystko, co się nazywa liberalizmem, indywidualizmem, duchem humanistycznym i obywatelskim, o tym ja też cośkolwiek wiedziałem, ale pański „nacisk na etymologię” nie rozczula mnie, bo „wojujący”, heroiczny okres pańskich ideałów dawno minął, ideały te są martwe, a w każdym razie gonią resztkami, a ci, co z nimi skończą, stoją już u progu. Pan nazywa siebie, jeśli się nie mylę, rewolucjonistą. Ale jeśli pan myśli, że owocem przyszłych rewolucji będzie wolność, to jest pan w błędzie. Hasło wolności w ciągu pięciu wieków dopełniło się i przeżyło. Pedagogika, dziś jeszcze podająca siebie za córkę Oświecenia i w krytyce, wyzwoleniu i pielęgnowaniu jaźni, w rozbiciu bezwzględnie ustalonych form życia dopatrująca się środka wychowawczego — taka pedagogika może mieć chwilowe powodzenie, jakie przypada w udziale retoryce, ale dla znającego się na rzeczy reakcyjność jej nie ulega żadnej wątpliwości. Wszelkie organizacje naprawdę wychowawcze od niepamiętnych czasów wiedziały, o co w pedagogice może jedynie chodzić: mianowicie o bezwzględny rozkaz, żelazną konieczność, o dyscyplinę, ofiarę, samozaparcie, o zadanie gwałtu indywidualności. Poza tym jest to niezrozumienie młodzieży, pochodzące z braku miłości do niej, jeśli ktoś przypuszcza, że znajduje ona rozkosz w wolności. Jej najgłębszą rozkoszą jest posłuszeństwo.

Joachim wyprostował się. Hans Castorp zaczerwienił się. Pan Settembrini w podnieceniu kręcił swój piękny wąs.

— Nie! — ciągnął dalej Naphta. — To nie wyzwolenie i rozwój jednostki stanowią tajemnicę i nakaz naszych czasów. Tym, czego one potrzebują, czego pragną, tym, co stworzą, jest — terror.

Ostatnie słowo wymówił ciszej niż' poprzednie i bez żadnego gestu: tylko szkła jego okularów zaświeciły na krótko. Wszyscy trzej słuchacze drgnęli, nawet Settembrini, który jednak prędko opanował się i uśmiechnął.

— A czy można by się dowiedzieć — zapytał — kto i co — pan widzi, zamieniłem się cały w pytanie, a nawet nie wiem, jak mam pytać — kto czy co ma być narzędziem tego — niechętnie powtarzam to słowo — tego terroru?

Naphta siedział cichy, surowy, z błyskami w oczach. Rzekł:

— Jestem do usług. Nie mylę się chyba, przypuszczając, że zgodnie przyjmujemy jakiś idealny pierwotny stan ludzkości nie znającej państwa ni przymusu, stan bezpośredniego synostwa Bożego, bez panów i sług, bez prawa i kary, bez krzywd, bez związków cielesnych, bez różnic klasowych, pracy, własności, w którym natomiast panowała równość, braterstwo, doskonałość moralna.

— Bardzo dobrze. Jestem tego samego zdania — oświadczył Settembrini. — Z wyjątkiem związków cielesnych, które oczywiście zawsze musiały mieć miejsce, bo człowiek jest najbardziej rozwiniętym kręgowcem i nie może inaczej niż inne stworzenia...

— Jak pan chce. Stwierdzam naszą zasadniczą zgodę, jeśli chodzi o pierwotny rajski stan ludzkości, nie znającej wymiaru sprawiedliwości i pozostającej w bezpośrednim związku z Bogiem, stan utracony przez grzech pierworodny. Myślę, że jeszcze kawałek drogi możemy iść razem, bo pański obraz sprowadzamy do umowy społecznej, która liczyła się z istnieniem grzechu i została zawarta dla obrony przed krzywdą i w której widzimy źródło przemocy panujących.

— Benissimo *! — zawołał Settembrini. — Umowa społeczna... — toż to Oświecenie, toż to Rousseau. Nie myślałem...

— Przepraszam. Tu rozchodzą się nasze drogi. Z faktu, że

wszelka władza i rządy pierwotne należały do ludu, który swe uprawnienia prawodawcze i całą swą władzę przekazał państwu, księciu, z faktu tego pańska szkoła wywodzi rewolucyjne prawa ludu wobec królestwa. Natomiast my...

„My? — myślał Hans Castorp w napięciu... — Któż to jest »my«? Muszę koniecznie zapytać Settembriniego, kogo miał Naphta na myśli mówiąc »my«”.

— My zaś — mówił Naphta — choć może nie jesteśmy usposobieni mniej rewolucyjnie od pana, wyprowadzaliśmy stąd zawsze przede wszystkim prymat Kościoła przed świeckim państwem. Bo gdyby nawet państwo nie miało swej nieboskiej natury wypisanej na czole, to wystarczyłoby wskazać na ten fakt historyczny, że powstało z woli ludu, a nie, jak Kościół, z ustanowienia Bożego, by wykazać, że jest wytworem jeśli nie zła, to w każdym razie potrzeby i grzesznej niedoskonałości.

— Państwo, mój panie...

— Wiem, co pan myśli o państwie narodowym: „Nad wszystkim góruje miłość ojczyzny i bezgraniczna żądza sławy”. To Wergiliusz. Korygujecie go przez odrobinę liberalnego indywidualizmu, i oto jest demokracja; ale waszego zasadniczego stosunku do państwa nic to nie zmienia. Że duszą jego jest pieniądz, to panu najwyraźniej nie przeszkadza. A może chce pan temu zaprzeczyć? Starożytność była kapitalistyczna, bo pełna uwielbienia dla państwa. Średniowiecze chrześcijańskie przejrzało immanentny kapitalizm świeckiego państwa. „Pieniądz będzie cesarzem” — to proroctwo z XI wieku. Czyż zaprzeczy pan, że to się dosłownie spełniło i że na tej drodze opanowanie życia przez szatana zostało całkowicie osiągnięte?

— Drogi przyjacielu, pan ma głos. Z niecierpliwością czekam, aby poznać tego wielkiego Nieznajomego, który ma być narzędziem grozy.

— Ciekawość ryzykowna, jak na rzecznika klasy społecznej będącej narzędziem tej wolności, która zgubiła świat. Z pańskiej repliki mogę ostatecznie zrezygnować, bo polityczna ideologia mieszczaństwa jest mi znana. Celem jej jest demokratyczne imperium, upowszechnienie zasady narodowego państwa, ce-

iem jej jest państwo powszechne. A cesarz tego imperium? Znamy go. Pańska utopia jest szkaradna — jednakże w tym punkcie znów się poniekąd spotykamy. Bo pańska kapitalistyczna powszechna republika ma w sobie coś transcendentnego, tak jest rzeczywiście, państwo obejmujące cały świat jest transcendencją świeckiego państwa; i wspólna jest nam wiara, że doskonałość pierwotnego stanu ludzkości powinna mieć swój odpowiednik w leżącym gdzieś na horyzoncie doskonałym jej stanie końcowym. Od dni Grzegorza Wielkiego, założyciela Państwa Bożego, Kościół stawiał sobie za zadanie oddać człowieka z powrotem pod kierownictwo Boże. W roszczeniu papieża o władzę nie chodziło o nią samą, jego dyktatura miała charakter zastępczy, była środkiem i drogą do zbawienia, formą przejściową od państwa pogańskiego do królestwa niebieskiego. Tym tu adeptom mówił pan o krwawych czynach Kościoła, o jego karzącej nietolerancji — bardzo nieroztropnie, bo gorliwość religijna nie może oczywiście być pacyfistyczna, a Grzegorz powiedział te słowa: „Przeklęty niech będzie człowiek, którego miecz cofnie się przed krwią”. Że władza jest zła, to wiemy. Ale dualizm dobra i zła, tamtego i tego świata, ducha i władzy, musi — jeśli królestwo Boże ma przyjść — tymczasowo być przewyciężony przez zasadę łączącą ascezę z władzą. To mam na myśli, gdy mówię o konieczności terroru.

— Ale kto, kto będzie jego narzędziem?

— Nie wie pan? Czyżby pan mimo swój manczesteryzm nie zauważył istnienia takiej nauki społecznej, która jest dla ludzi przewyciężeniem ekonomizmu, a której zasady i cele są dokładnie te same co chrześcijańskiego Państwa Bożego? Ojcowie Kościoła mówili, że „moje” i „twoje” są zgubnymi wyrazami, a własność prywatna jest przywłaszczeniem i kradzieżą. Potępili posiadanie dóbr, bo wedle boskiego prawa natury ziemia jest dla wszystkich ludzi, a przeto owoce swe wydaje dla wspólnego użytku wszystkich. Nauczali, że tylko chciwość, ten skutek grzechu pierworodnego, domaga się posiadania i doprowadziła do własności prywatnej. Byli usposobieni dość na to życzliwie dla ludzi i dość niechętnie dla handlarstwa, by wszelką w ogóle

działalność gospodarczą uważać za szkodliwą dla zbawienia, to znaczy dla ludzkości. Nienawidzili pieniądza i interesów pieniężnych, a kapitalistyczne bogactwo nazywali paliwem ognia piekielnego. Podstawowe prawo ekonomii, że cena jest wynikiem stosunku podaży i popytu, traktowali z serdeczną pogardą, a korzystanie z koniunktury potępiali jako cyniczne wyzyskiwanie przymusowej sytuacji bliźniego. Ale w oczach ich coś innego było wyzyskiem jeszcze występniejszym: mianowicie wyzyskiwanie czasu, gdy ktoś za nic, tylko za samo przebieganie czasu każe sobie płacić premię, to jest procent, i powszechnego boskiego urzędnika, jakim jest czas, nadużywa w ten sposób dla korzyści jednego, a szkody drugiego.

— Benissimo! — zawołał Hans Castorp, posługując się w zapale formułą, jakiej pan Settembrini używał dla oświadczenia swej zgody. — Czas... powszechne boskie urządzenie... To bardzo ważne!...

— Istotnie — ciągnął Naphta dalej — te prawdziwie ludzkie duchy uważały myśl o samoczynnym mnożeniu się pieniądza za wstrętną, wszelkie operacje procentowe i spekulacje podciągały pod pojęcie lichwy. Ludzie ci twierdzili, że każdy bogacz jest złodziejem bądź spadkobiercą złodzieja. Poszli dalej. Uważali, jak Tomasz z Akwinu, handel w ogóle, operacje czysto kupieckie, kupowanie i sprzedawanie z doliczaniem zysku, choć bez obrobienia, ulepszenia dóbr gospodarczych — za haniebne zajęcie. Pracy samej przez się nie byli skłonni cenić bardzo wysoko, jest bowiem sprawą moralną, a nie religijną, dokonywaną w służbie życia, a nie Boga. Ale jeśli ma już chodzić o życie i sprawy ekonomiczne, to domagali się, aby produktywność tego, co się robi, była warunkiem zysków i miarą uznania. Godnym szacunku był dla nich rolnik, rzemieślnik, ale nie kupiec i nie przemysłowiec. Chcieli bowiem, by produkcja kierowała się potrzebą, brzydzili się masową produkcją. Otóż — wszystkie te ekonomiczne zasady i sprawdziany po wiekach zapomnienia zmartwychwstają w nowoczesnym ruchu komunistycznym. Zgodność jest tu całkowita; ten sam sens ma nawet domaganie się władzy **przez międzynarodową pracę wbrew międzynarodowemu**

handlarstwu i spekulacji, przez proletariat świata, który dziś idee ludzkości i Państwa Bożego przeciwstawia burżuazyjno-kapitalistycznej zgniliznie. W dyktaturze proletariatu, której politycznie i gospodarczo domagają się nasze czasy, bez której nie ma dla nich zbawienia, nie chodzi o panowanie dla niego samego i na wieki, lecz o czasowe usunięcie przeciwieństwa między duchem a władzą, przewyciężenie go pod znakiem krzyża, o przewyciężenie świata za pomocą panowania nad światem; ma ona znaczenie przejścia, transcendencji, znaczenie państwowości. Proletariat podjął dzieło Grzegorza, ma jego entuzjazm dla praw boskich i tak samo jak on nie będzie mógł ręki cofnąć przed krwią. Zadaniem jego jest wzbudzenie grozy dla zbawienia świata i dla osiągnięcia tego, co było celem Zbawiciela: bezpieczeństwa i bezklasowego synostwa bożego.

Taka była bojowa mowa Naphty. Małe grono zamilkło. Młodzi ludzie spoglądali na pana Settembriniego. To on musiał zdecydować, jaka ma być reakcja. Powiedział tak:

— Zdumiewające. Rzeczywiście, przyznaję, że jestem wstrząśnięty, tego nie byłbym oczekiwał. Roma locuta*. I to jak, i to jak się Rzym wypowiedział. Przed naszymi oczami wykonał hieratyczne salto mortale — jeśli to ma być sprzeczność, *contradictio in adjecto* *, to on ją „czasowo usunął”, och, tak! Powtarzam: to jest zdumiewające. Czy myśli pan, profesorze, że można tu wysuwać zarzuty, zarzuty dotyczące jedynie konsekwencji wywodów? Poprzednio usiłował nam pan wytłumaczyć chrześcijański indywidualizm oparty na dualizmie Boga i świata i dowieść jego wyższości nad wszelką politycznie uwarunkowaną moralnością. A w parę minut potem głosi pan socjalizm, doprowadzając go aż do dyktatury i grozy. Jakże to jedno z drugim się godzi?

— Przeciwieństwa — odrzekł Naphta — można z sensem łączyć z sobą. Bez sensu są tylko rzeczy połowiczne i mierne. Indywidualizm, jak to już sobie pozwoliłem zaznaczyć, jest połowicznością, ustępstwem. Koryguje on pańską państwową moralność przez odrobinę chrześcijaństwa, przez odrobinę „praw jednostki” i tak zwanej wolności, i to już wszystko. Natomiast indywidualizm wychodzący z kosmicznej, astrologicznej doniosłoś-

ci jednostkowej duszy, nie społeczny, lecz religijny, przeżywający rzeczy ludzkie nie jako zmaganie się jaźni i społeczeństwa, lecz jaźni i Boga, ciała i ducha — taki prawdziwy indywidualizm daje się doskonale pogodzić z najbardziej zwartą społecznością...

— Jest bezimienny i wspólny — powiedział Hans Castorp.

Settembrini spojrział nań wielkimi oczyma.

— Niech pan milczy, inżynierze! — rozkazał z surowością, którą należało położyć na karb zdenerwowania i napięcia. — Niech pan się uczy, ale sam niczego nie wymyśla! — Mamy odpowiedź — rzekł, zwróciwszy się znów do Naphty. — Niewielka z niej dla mnie pociecha, ale zawsze ją mamy. Spójrzmy w oczy konsekwencjom... Chrześcijański komunizm wraz z przemysłem neguje technikę, maszynę, postęp. A razem z tym, co pan nazywa handlarstwem, wraz z pieniądzem i interesami pieniężnymi, z tym wszystkim, co starożytność znacznie wyżej stawiała od rolnictwa i rzemiosła, neguje zarazem wolność. Bo jest jasne, bije w oczy, że przez to wszelkie prywatne i publiczne stosunki zostają, jak w średniowieczu, związane z ziemią; związana zostaje nawet — niełatwo mi powiedzieć — osobowość człowieka. Skoro ziemia tylko może go wyżywić, to tylko ona daje mu wolność. Rzemieślnicy i chłopci, choćby się ich szanowało — skoro ziemi nie posiadają, są poddanymi tego, kto ją posiada. I rzeczywiście, aż do późnego średniowiecza masa ludności nawet w miastach składała się z pańszczyźnianych poddanych. W ciągu rozmowy powiedział pan to i owo o godności ludzkiej. A jednocześnie broni pan takiej moralności gospodarczej, która pociąga za sobą brak wolności i brak godności jednostki ludzkiej.

— O godności i braku godności — odparł Naphta — byłoby wiele do powiedzenia. Na razie byłbym rad, gdyby pan w związku z tym zechciał wolność traktować nie jako piękny gest, lecz jako zagadnienie. Stwierdza pan, że chrześcijańska moralność gospodarcza przy całym swym pięknie i swej ludzkości wytwarza niewolę. Ja zaś stwierdzam, że sprawa wolności czy sprawa miast, jak można konkretniej powiedzieć, jakkolwiek

jest sprawą w najwyższym stopniu moralną, to historycznie jest związana z nieludzkim zwyrodnieniem moralności gospodarczej, ze wszystkimi okropnościami nowożytnego handlarstwa i spekulacji, z szatańskim panowaniem pieniądza i interesów.

— Muszę się domagać, aby pan nie ukrywał się poza wątpliwościami i antynomiami, lecz jasno i niedwuznacznie zrobił akces do najczarniejszej reakcji.

— Pierwszym krokiem do prawdziwej ludzkości i wolności byłoby pozbycie się drżenia i strachu przed pojęciem „reakcja”.

— Dość już tego — oświadczył pan Settembrini lekko drżącym głosem, odsunął od siebie filiżankę i talerz, które zresztą były puste, i powstał z jedwabistej kanapy. — Dość już na dziś, dość na jeden dzień, jak mi się zdaje. Profesorze, dziękujemy za smaczne przyjęcie i za bardzo interesującą rozmowę. Moich przyjaciół z „Berghofu” wzywa kuracja, a chciałbym, zanim pójdą, pokazać im swoją celę na górze. Proszę panów. Addio, Padre!*

Teraz wręcz nazwał Naphtę „Padre”! Hans Castorp zauważył to z podniesionymi ze zdziwienia brwiami. Nikt nie zaprotestował przeciw temu, że Settembrini dał hasło do odejścia, że się rozporządził kuzynami i nawet się nie spytał, czy Naphta chciałby im towarzyszyć. Młodzi ludzie pożegnali się, dziękując, i zostali zachęcani do ponownej wizyty. Wyszli z Włochem, ale przedtem Hans Castorp zabrał pożyczoną mu książkę „De miseria humanae conditionis”, w zbutwiałej tekturowej oprawie. Lukaćek z kwaśnym wyrazem na twarzy siedział w dalszym ciągu na stole i szył suknię z długimi rękawami dla starszej kobiety, podczas gdy oni przechodzili koło jego otwartych drzwi, aby dostać się do drabiniastych schodów, wiodących na poddasze. Nie było to, ściśle mówiąc, oddzielne piętro. Był to po prostu strych z odsłoniętym belkowaniem i gontami, z atmosferą spichrza w lecie i zapachem rozgrzanego drzewa. Ale na strychu tym mieściły się dwie izby, zajmowane przez republikańskiego kapitalistę, służyły subtelnemu współpracownikowi „Socjologii cierpienia” jako pracownia i sypialnia. Wesoło pokazywał je

młodym przyjaciołom, nazywając swe pomieszczenie odosobnionym i przytulnym, tak aby poddać im właściwe wyrazy, którymi by je mogli pochwalić — co też oni zgodnie uczynili. Obaj orzekli, że jest urocze, odosobnione i przytulne, tak jak on to powiedział. Rzucili okiem na pokój sypialny, mansardę, gdzie przed wąskim i krótkim łóżkiem leżał zszywany z kawałków dywanik, i zaraz skierowali się do pracowni, równie skąpo umeblowanej, w której jednak panował porządek tak wielki, że aż mrozący. Niezgrabne i staromodne krzesła, w liczbie czterech, z wyplatanyymi siedzeniami były ustawione symetrycznie po obu stronach drzwi, i nawet kanapa była przysunięta do ściany, tak iż okrągły, zielono nakryty stół stał samotnie pośrodku pokoju, na nim zaś ku ozdobie czy ku pokrzepieniu, ale w każdym razie w trzeźwych zamiarach, stała karafka wody z nasadzoną na jej szyjkę szklanką. Na małej półce wspierały się wzajem skośnie pochylone książki, oprawne i broszurowane, a przy otwartym okienku stał na wysokich nogach lekki składany pulpit, przed którym leżał kawałek filcu, nie większy, niż to było potrzebne, aby móc na nim stanąć. Hans Castorp stanął tam przez chwilę, jakby na próbę — na tym miejscu, gdzie pracował pan Settembrini, gdzie dla celów encyklopedycznych rozważał literaturę piękną ze stanowiska cierpienia ludzkiego: oparł łokcie o pochylą deskę i orzekł, że się tu stoi z poczuciem odosobnienia i przytulności. I myślał sobie, że tak mógł kiedyś stać w Padwie przed swym pulpitem ojciec Lodovica, z długim i cienkim nosem — i dowiedział się, że tego pulpitu, przed którym stoi, rzeczywiście zmarły uczony używał do pracy, a tak samo słomiane krzesło, stół, nawet karafka na wodę były jego własnością — co więcej nawet: słomiane krzesła należały już do dziadka-karbonariusza, w Mediolanie zdobyły jego kancelarię adwokacką. Sprawiało to wielkie wrażenie. Krzesła nabrały w oczach młodych ludzi fizjonomii jakby politycznie agitatorskiej, i Joachim, który nic nie przeczuwając siedział na jednym z nich z założonymi nogami, wstał teraz, podejrzliwie obejrzał krzesło i już na nim nie siadał. A Hans Castorp, stojąc przy pulpicie Settembriniego seniora, rozmyślał, jak to syn jego usiłuje politykę dzia-

da zespolić z humanizmem ojca w literaturę piękną. Po czym wyszli. Pisarz zaofiarował się, że odprowadzi kuzynów.

Część drogi milczeli, ale milczenie ich zajęte było Naphtą, a Hansowi Castorpowi nie było spieszno: był pewien, że pan Settembrini zacznie mówić o swym współlokatorze, że nawet po to z nimi wyszedł. Nie omylił się. Tamten odetchnął, jakby dla wzięcia rozpedu, po czym zaczął:

— Moi panowie — chciałbym was przestrzec.

Ponieważ zrobił pauzę, Hans Castorp zapytał naturalnie z fałszywym zdziwieniem: — Przed czym? — Mógłby być zapytać przynajmniej: „Przed kim?“, jednakże wyraził się nieosobowo, aby okazać swą niewinność, choć nawet Joachim wiedział dokładnie, o co chodziło.

— Przed osobistością, której gośćmi byliśmy przed chwilą — odrzekł Settembrini — a z którą zapoznałem panów wbrew chęci i zamiarom. Panowie wiecie, przypadek tak chciał, nie mogłem inaczej, jednakże ponoszę za to odpowiedzialność, ciężką odpowiedzialność. Jest mym obowiązkiem przynajmniej wskazać panom ze względu na ich młode lata na duchowe niebezpieczeństwo, na jakie naraża obcowanie z tym człowiekiem; a poza tym chciałem prosić, aby ich stosunki z nim nie przekraczały rozsądnych granic. Formą jego jest logika, lecz istotą zamęt.

No, rzeczywiście, mówił Hans Castorp, z Naphtą może niezupełnie jest wszystko w porządku; to, co mówił, brzmiało niekiedy cośkolwiek dziwnie: wyglądało wręcz, jakby sądził na prawdę, że Słońce krąży dokoła Ziemi. Ale ostatecznie, jakżeż im, kuzynom, miało wpaść na myśl, że nie jest wskazane nawiązywać stosunki towarzyskie z jego, Settembriniego, przyjacielem? Niech sam powie: przez niego Naphtę poznali, w jego towarzystwie go spotkali, chodzi z nim na spacer, zachodzi doń bezceremonialnie na podwieczorek, dowodzi to...

— Zapewne, inżynierze, zapewne. — Głos pana Settembriniego był cichy i zrezygowany, ale jednak lekko drżący. — Można mi tak odpowiedzieć, i dlatego mi pan tak odpowiada. Dobrze, jestem gotów się usprawiedliwić. Mieszkam z tym panem

pod jednym dachem, spotkania są nieuniknione, jedno słowo pociąga za sobą drugie, zawiera się znajomość. Pan Naphta jest człowiekiem z głową — to rzadka rzecz. Jest naturą dyskursywną — ja również. Niech kto chce mnie potępi, ale korzystam z możliwości, by z przeciwnikiem bądź co bądź równym skrzyżować ostrze idei. Nie mam tu zupełnie nikogo... Krótko mówiąc, prawdą jest, że chodzę do niego, a on do mnie, i że przechadzamy się razem. Toczmy spory. Toczmy spory na śmierć i życie, prawie codziennie, ale przyznaję, że obcość i wrogość jego myśli jest dla mnie jeszcze dodatkowym bodźcem, aby się z nim widywać. Potrzebuję tarcia. Przekonania stają się martwe, gdy nie mają sposobności do walki — moje zaś są dostatecznie umocnione. Czyżby panowie mogli to twierdzić o sobie — pan, poruczniku, albo także i pan, inżynierze? Panowie nie macie broni przeciw myślowym mirażom i grozi wam niebezpieczeństwo, że pod wpływem tego na wpół fanatycznego, na wpół złośliwego kręactwa poniesiecie szkodę na umyśle i duszy.

Tak, tak, mówił Hans Castorp, to zapewne prawda, że obaj z kuzynem są z natury swej w mniejszym czy większym stopniu zagrożeni. Do nich obu stosuje się ta historia z wiecznym strapieniem: on to rozumie. Ale przeciw temu można by przytoczyć Petrarę i jego hasło, pan Settembrini wie przecież, o co chodzi; a w każdym razie warto posłuchać wywodów Naphty: trzeba mu oddać sprawiedliwość, że było doskonale, co mówił o czasie komunistycznym, za którego wpływ nie powinien nikt otrzymywać premii. Poza tym bardzo interesujące były pewne rzeczy o pedagogice, o których on, Hans Castorp, bez Naphty nigdy by się pewnie nie był dowiedział...

Pan Settembrini zacisnął usta, więc Hans Castorp dodał pośpiesznie, że on naturalnie nie staje po żadnej stronie i nie zajmuje żadnego stanowiska, a tylko godne usłyszania wydaje mu się to, co Naphta mówił o rozkoszy, jaką młodość znajduje w posłuszeństwie.

— Niechże mi pan jedno wytłumaczy — ciągnął dalej. — Ten pan Naphta — mówię „ten pan”, aby zaznaczyć, że moja

sympatia dla niego nie jest bez zastrzeżeń, lecz przeciwnie, zachowuję wobec niego największą wewnętrzną rezerwę...

— I słusznie! — zawołał Settembrini z wdzięcznością.

— Otóż mówił on wiele przeciw pieniądzwowi, przeciw duszy państwa, jak się wyrażał, przeciw własności, dlatego że jest kradzieżą, krótko mówiąc, przeciw kapitalistycznemu bogactwu, o którym, jak mi się zdaje, powiedział, że jest paliwem piekielnego ognia — tak się raz, jeśli się nie mylę, mniej więcej wyraził — i na wszystkie tony zachwalał średniowieczny zakaz pobierania procentów... A tymczasem on sam... Niech mi pan wybaczy, ale on musi jednak... Bo to jest nadzwyczajna niespodzianka, gdy się do niego wchodzi. Wszystkie te jedwabie...

— Ach, tak — z uśmiechem mówił Settembrini — to charakterystyczny rodzaj smaku.

— ...te piękne stare meble — wspominał dalej Hans Castorp — Pieta z czternastego wieku, wenecki żyrandol... hajduczek w liberii... a także w bród czekoladowego sękacza... Widać, że osobiście on...

— Pan Naphta — rzekł Settembrini — osobiście tak samo nie jest kapitalistą jak ja.

— Ale co? — pytał Hans Castorp. — Jest jakieś „ale” w tym, co pan mówi.

— Oni tam nikomu nie pozwolą znosić niedostatku, kto do nich należy.

— „Oni tam”, któż to jest taki?

— Ci ojcowie.

— Ojcowie? ojcowie?

— Ależ, inżynierze, mówię o jezuitach.

Nastąpiła przerwa. Kuzyni byli w najwyższym stopniu zaskoczeni. Hans Castorp zawołał:

— Cóż, u diabła — czyżby ten człowiek był jezuitą?

— Zgadł pan — powiedział dyskretnie pan Settembrini.

— Nie, nigdy bym w życiu... Któż by się mógł domyślić? To dlatego tytułował go pan Padre?

— Z lekka tylko przesadzałem przez grzeczność — odparł Settembrini. — Pan Naphta nie jest Ojcem. Choroba temu win-

na, że na razie tak wysoko nie zaszedł. Jednakże odbył nowicjat i złożył pierwsze śluby. Choroba zmusiła go do przerywania studiów teologicznych. Potem jeszcze przez parę lat był czynny w jednym z zakładów zakonnych jako prefekt, to znaczy jako nadzorca, preceptor, guwerner młodych wychowanków. Odpowiadało to jego pedagogicznym skłonnościom. Może się i tutaj im dalej oddawać, ile że uczy łaciny we Fridericianum. Jest tu od pięciu lat. Nie jest pewne, czy i kiedy będzie mógł stąd wyruszyć. Ale do Zakonu należy, a choćby jeszcze luźniej był z nim związany, to i tak niczego by mu nie zabrakło. Mówiłem panom, że osobiście jest ubogi, to znaczy nic nie posiada. Naturalnie, taki jest przepis. Ale Zakon rozporządza niezmiernymi bogactwami i dba o swoich, jak panowie widzieli.

— Do pioruna! — mruczał Hans Castorp. — Nie wiedziałem i nie przychodziło mi na myśl, że coś podobnego naprawdę istnieje! Jezuita. Ach, tak!... Ale niech mi pan jedno powie: jeśli go stamtąd tak dobrze zabezpieczają i zaopatrują — to czemuż, na miłość boską, tak mieszka... Ja oczywiście nie mam nic przeciw pańskiemu mieszkaniu, u pana jest uroczo tam u Lukačka, w takim przyjemnym odosobnieniu i tak zacisznie. Ale chodzi mi o to: jeśli Naphta tak we wszystko opływa, że się już tak pospolicie wyrażę, dlaczegóż nie weźmie innego mieszkania, bardziej okazałego, z porządnym wejściem i obszernymi pokojami, w eleganckim domu? Jest w tym po prostu coś niejasnego i podejrzanego, jak on się tam w tej dziurze ze wszystkimi swymi jedwabiami...

Settembrini wzruszył ramionami.

— Muszą to być jakieś względy taktu i smaku — rzekł — które go do tego skłaniają. Przypuszczam, że to uspokaja jego antykapitalistyczne sumienie, iż zamieszkuje ubogie pokoje, a wynagradza sobie to sposobem, w jaki je zamieszkuje. Także dyskrekcja odgrywa tu zapewne rolę. Nie kłuje się tym ludzi w oczy, jak dobrze kogo diabeł tylnymi drzwiami zaopatruje. Pokazuje się bardzo niepozorną fasadę, a za nią roztacza się jedwabny księżowski smak...

— Bardzo szczególne! — powiedział Hans Castorp. — Dla mnie to jest zupełnie nowe i, muszę przyznać, po prostu ekscytujące. Nie, naprawdę, proszę pana, winni jesteśmy panu wdzięczność za tę znajomość. Niech pan będzie pewien, że jeszcze nieraz chętnie tam pójdziemy i odwiedzimy go. Takie stosunki rozszerzają horyzont w nieoczekiwanym stopniu i pokazują świat, o którego istnieniu nie miało się najmniejszego wyobrażenia. Prawdziwy jezuita, jak się należał! A gdy mówię „jak się należy”, tylko ogólnikowo formułuję, co mi chodzi po głowie i co jednak jeszcze muszę powiedzieć. Zapytuję: czy rzeczywiście jest on jak się należy? Wiem, co pan myśli, że w ogóle nie jest jak się należy ktoś, kogo diabeł tylnymi drzwiami zaopatruje. Ale to, o co mi chodzi, sprowadza się do takiego pytania: Czy jest on jak się należy jako jezuita — to mi chodzi po głowie. Mówił takie rzeczy, pan wie, co mam na myśli — o nowoczesnym komunizmie, o proletariacie, który szuka Boga i nie powinien cofać się przed krwią — krótko mówiąc, takie rzeczy, że już nic o nich nie powiem, ale pański dziadek ze swą kopią obywatela był wobec tego jak baranek, niech pan wybaczy, że tak mówię. Czy to tak można? Czy ma to aprobatę jego przełożonych? Czy się zgadza z nauką Rzymu, dla której zakon ten, o ile mi wiadomo, intryguje po całym świecie? Czy to nie jest stanowisko — jak to się mówi? — heretyckie, odstępcze, niepoprawne? Zastanawiam się nad tym w związku z Naphtą i chętnie bym usłyszał, co pan myśli.

Settembrini uśmiechnął się.

— To jest bardzo proste. Pan Naphta jest istotnie przede wszystkim jezuitą, jest nim naprawdę i całkowicie. Po drugie jednak jest człowiekiem inteligentnym — inaczej nie poszukiwałbym jego towarzystwa — i jako taki dąży do nowych kombinacji, zastosowań, nawiązań, aktualnych odmian. Widział pan, jak sam byłem zaskoczony jego teoriami. Jeszcze nigdy nie mówił tak otwarcie. Obecność panów była dlań wyraźnie bodźcem i wyzyskałem ją, by go podniecić i skłonić do wypowiedzenia jego w pewnym sensie ostatniego słowa. Brzmiało aż nazbyt zabawnie, aż nazbyt odrażająco...

— Tak, tak; ale dlaczego nie został Ojcem? Wiek miałby ku temu odpowiedni.

— Mówiłem panu, że to choroba mu na razie w tym przeszkodziła.

— Dobrze, ale czy pan tego tak nie rozumie: jeśli jest, po pierwsze, jezuitą, a po wtóre, człowiekiem pełnym inteligencji i pomysłów — to czy ten drugi, dodatkowy czynnik nie jest związany z chorobą?

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— Nie, nie, proszę pana. Chodzi mi tylko o to: ma wilgotne miejsce w płucach i dlatego nie został Ojcem. Ale jego pomysły i tak by mu w tym przeszkodziły i o tyle — pomysły i owo miejsce łączą się w pewnym stopniu z sobą. On też jest na swój sposób wiecznym strapieniem dla życia, joli jesuite * ze swoją petite tache humide *.

Doszli do sanatorium. Przed rozstaniem jeszcze się nieco zatrzymali na tarasie, tworząc małą grupę, a paru pacjentów waleśających się u wejścia przyglądało się rozmawiającym. Pan Settembrini powiedział:

— Aby to raz jeszcze powtórzyć, młodzi przyjaciele, przestrzegam was. Nie mogę panom zabronić podtrzymywania raz zawartej znajomości, jeśli ciekawość ich do tego skłania. Ale w takim razie uzbrójcie serce i rozum w nieufność, niech wam nie zbraknie krytycznego oporu. Scharakteryzuję panom tego człowieka jednym słowem. To jest rozpustnik.

Kuzyni skrzywili się. Potem Hans Castorp zapytał:

— To jest... kto taki? Niechże pan pozwoli, przecież to zakonnik. Musiał złożyć, o ile mi wiadomo, pewne śluby, a poza tym jest taki mizerny i wąły...

— Głupstwa pan mówi, inżynierze — odrzekł pan Settembrini. — Z mizernością nie ma to nic do czynienia, a jeśli chodzi o śluby, to są na to zastrzeżenia. Nazwałem go w ten sposób w szerszym i bardziej uduchowionym sensie, dla którego mogłem do pewnego stopnia oczekiwać u pana zrozumienia. Może pan sobie jeszcze przypomina, jak go kiedyś odwiedziłem w je*

go pokoju — dawno, strasznie dawno temu — pan wówczas, jako nowo przyjęty pacjent, leżał w łóżku...

— Ależ naturalnie! Wszedł pan po ciemku i zaświecił, pamiętam jak dziś...

— Dobrze więc, gawędząc wtedy doszliśmy, jak to się dzięki Bogu niejednokrotnie zdarza, do wyższych spraw. Zdaje mi się nawet, że mówiliśmy o śmierci i życiu, o tym, że śmierć jest dostojna, bo związana z życiem, ale staje się potworna, gdy w odrażający sposób zaczyna się ją traktować jako samoistną zasadę. Moi panowie! — ciągnął dalej Settembrini, przysunawszy się blisko do obu młodych ludzi, wyciągając ku nim, niby widelec, palce środkowe lewej ręki, jakby chcąc skupić ich uwagę, a ostrzegawczo podnosząc wskazujący palec prawej... — Wbijcie sobie, panowie, w pamięć, że duch jest suwerenny, że wola jego jest wolna i że on stanowi decydujący czynnik moralnego świata. Jeśli jednak dualistycznie usamodzielnia on śmierć, to powoduje, że śmierć rzeczywiście i faktycznie, actu, panowie mnie rozumieją, staje się odrębną a życiu przeciwstawną potęgą, antagonistyczną zasadą, wielką uwodzicielką, a królestwo jej staje się królestwem rozpusty. Panowie mnie pytają, dlaczego rozpusty? Odpowiadam im: bo rozpuszcza i wyzwala, bo jest wyzwoleniem, ale nie wyzwoleniem od zła, lecz złym wyzwoleniem. Rozpuszcza, rozluźnia obyczaje i moralność, wyzwala od dyscypliny i godności, uwalnia od nich — dla rozpusty. Jeśli panów ostrzegam przed człowiekiem, z którym ich niechętnie zapoznałem, jeśli ich wzywam, by w obcowaniu i rozmowach z nim swe serce po trzykroć opasali krytyką, to dlatego, że wszystkie jego myśli są rozpustne, pozostają bowiem pod ochroną śmierci — potęgi najbardziej rozwiązłej, jak to panu wtedy powiedziałem, inżynierze — pamiętam dobrze to moje wyrażenie, zachowuję zawsze w pamięci mocne i trafne powiedzenia, do których trafiła mi się okazja — potęgi skierowanej przeciw cywilizacji, postępowi, pracy i życiu: bronić młode dusze przed jej cuchnącym tchnieniem jest pierwszym obowiązkiem wychowawcy.

Nie można było jnówic lepiej niż pan Settembrini ani jaśniej

i potoczyściej. Hans Castorp i Joachim Ziemssen podziękowali mu serdecznie za wszystko, co usłyszeli, pożegnali się i skierowali ku portalowi „Berghofu”; pan Settembrini natomiast powrócił do swego pulpitu humanisty, minąwszy położoną o piętro niżej jedwabną celę Naphty.

Była to pierwsza wizyta kuzynów u Naphty, której przebieg tutaj utrwaliliśmy. Później były jeszcze dwie czy trzy, jedna nawet w nieobecności pana Settembriniego; one również dostarczały młodemu Hansowi Castorpowi materiału do rozmyślań, gdy najdoskonalszy twór, zwany Homo Dei, stał przed jego wzrokiem wewnętrznym, on zaś siedział w błękitnie kwitnącym zakątku swej samotności i „królował”.

WŚCIEKŁOŚĆ I JESZCZE COS BARDZO PRZYKREGO

Tak nadszedł sierpień i w pierwszych jego dniach szczęśliwie przemknęła pierwsza rocznica przyjazdu naszego bohatera. Dobrze, że minęła, bo młody Hans Castorp oczekiwał jej z pewną przykrością. Tak bywało zwykle. Dzień przyjazdu nie był lubiany; o pierwszej i dalszych jego rocznicach nie pamiętano, i podczas gdy zresztą nie pomijano żadnej okazji do obchodów i brzęku kielichów, podczas gdy ogólne i wielkie akcenty w rytmie i tętnie roku uzupełniano jeszcze możliwie największą ilością prywatnych i nadzwyczajnych, obchodząc w restauracji, wśród ucztowania i strzelania korków, urodziny, generalne badania lekarskie, zapowiadające się dzikie i legalne wyjazdy i tym podobne okazje — to tę rocznicę każdy obchodził tylko milczeniem, usiłował prześliznąć się przez nią, a nawet rzeczywiście o niej zapominał, mając prawo przypuszczać, że i inni nie bardzo o niej pamiętają. Owszem, dbano o rozczłonkowanie czasu, obserwowano kalendarz, kolejność wydarzeń, zewnętrzne ich nawroty. Jednakże tylko początkujący i ci, co przybyli tu na krótko, mierzyli i obliczali czas w ten sposób — czas zespolony tu w górze z przestrzenią, a więc indywidualny i osobisty; zasiedzieli natomiast cenili to, co niezmierzone i rjępo-

strzeżenie wieczne, cenili dni zawsze takie same, a każdy przypuszczał, że inni mają te same pragnienia, które on żywi. Powiedzieć komuś, że dziś właśnie jest trzecia rocznica jego przyjazdu, byłoby uważane za niezręczne i brutalne — i takie rzeczy się nie zdarzały. Nawet pani Stóhr, cokolwiek można jej było zarzucić, pod tym względem miała dość taktu i ogłady i nigdy by się nie stała winna takiego uchybienia. Do jej choroby i stanu gorączkowego dołączał się jeszcze wielki brak wykształcenia, zapewne. Niedawno mówiła przy stole o „afektacji” swych szczytów, a gdy rozmowa zesłała na sprawy historyczne, oświadczyła, że daty historyczne są niezaprzeczenie jej „pierścieniem Polikratesa” *, co spowodowało osłupienie wszystkich siedzących opodal. Ale żeby miała w lutym młodemu Ziemssenowi przypomnieć jego jubileusz, to było nie do pomyślenia, choć prawdopodobnie o tym jubileuszu myślała. Bo jej nieszczęsna głowa była pełna zbędnych dat i rzeczy, a lubiała zajmować się cudzymi sprawami; jednakże obyczajność trzymała ją na wodzy.

Tak też w dniu Hansa Castorpa usiłowała raz przy posiłku mrugać znacząco, gdy on jednak na znak ten odpowiedział obojętnym wyrazem twarzy, wycofała się spiesznie. Również Joachim milczał wobec kuzyna, choć pamiętał niewątpliwie o dniu, w którym przyszedł na stację Davos-Wieś po swego gościa. Ale Joachim — już z natury niezbyt skłonny do mówienia, w przeciwieństwie do Hansa Castorpa, przynajmniej takiego, jakim się stał tu w górze, a tym bardziej w przeciwieństwie do znajomych humanistów i krętaczy — stał się ostatnio milczący w szczególny i uderzający sposób, mówił tylko monosylabami, lecz na twarzy jego widać było, że go coś nurtuje. Jasne było, że ze stacją „Wieś” łączyły się dlań inne wyobrażenia niż tylko przyjazdu i witania... Prowadził żywą korespondencję z równiną. Dojrzewały w nim postanowienia. Przygotowania, jakie czynił, zbliżały się już do końca.

Lipiec był ciepły i pogodny. Ale wraz z początkiem nowego miesiąca przysłała niepogoda, dni ponure i wilgotne, śnieg z deszczem, potem • zdecydowana śnieżycą, i z wyjątkiem po-

szczególnych promiennych letnich dni tak już było poprzez koniec miesiąca aż do września. Z początku pokoje zachowywały jeszcze ciepło z minionego letniego okresu; bywało w nich po dziesięć stopni i uchodziło to za coś przyjemnego. Ale szybko robiło się coraz zimniej i cieszą się, że śnieg pokrył dolinę, bo samo zimno nie byłoby poskutkowało, dopiero widok śniegu skłonił zarząd do palenia, najpierw w jadalni, potem także w pokojach; i gdy po obowiązkowym werandowaniu i wydobyciu się z dwu koców wchodziło się z łodzi do pokoju, to wilgotnymi a zgrabiętymi rękoma można było dotykać rur kaloryferu, które znów ożywały; jednakże ich suchy podmuch tylko jeszcze powiększał palenie policzków.

Czy była to zima? Zmysły nie mogły się pozbyć tego wrażenia i chorzy głośno skarżyli się, że „lato ich oszukało”, choć to oni właśnie dzięki naturalnym i sztucznym okolicznościom sami siebie oszukali, wewnątrz i zewnątrz, rozrzutnym zużyciem czasu. Rozsądek wiedział, że jeszcze przyjdą piękne jesienne dni; może nawet przyjdą całymi seriami i w takim cieple i przepychu, że bez przesady będzie je można nazywać latem, byle tylko puścić w niepamięć niższy bieg słońca i jego wcześniejsze zachody. Jednakże widok zimowego krajobrazu działał na umysły silniej niż takie pocieszanie się. Pacjenci stali przed zamkniętymi drzwiami na balkon i z obrzydzeniem patrzyli na zawieruchę — właśnie Joachim tak stał i mówił przytłumionym głosem:

— I znów ma się to zacząć?

Hans Castorp odrzekł z głębi pokoju:

— Byłoby to troszkę za wcześnie, to nie może być jeszcze Dstateczne, ale rzeczywiście wygląda obrzydliwie, jak gdyby miało tak już być na dobre. Jeśli zima polega na ciemności, śniegu, zimnie i nagranych kaloryferach, to jest znów zima, nie da się temu zaprzeczyć. A jeśli się pomyśli, że jeszcze nieważno była zima i że ledwie minęło topnienie śniegów — przynajmniej tak się nam, prawda, wydaje, że wiosna dopiero co była — może to człowieka chwilami mierzić, przyznaję. Groźne p dla ludzkiej radości życia — pozwól, że wyjaśnię ci, jak to

rozumiem. Rozumiem to tak, że normalnie świat jest w ten sposób urządzony, iż odpowiada ludzkim potrzebom i przyczynia się do radości życia — musisz to przyznać. Nie idę tak daleko, bym twierdził, że porządek natury, a więc na przykład wielkość ziemi, czas, jaki zużywa na obroty dokoła swej osi i dokoła słońca, kolejność pór dnia i roku, kosmiczny rytm, jeśli chcesz — że wszystko to jest dostosowane do naszych potrzeb; byłoby to twierdzenie bezczelne i prostackie, byłaby to teleologia, jakby powiedział myśliciel. Ale rzecz ma się po prostu tak, że nasze potrzeby są Bogu dzięki, z powszechnymi, podstawowymi faktami natury w harmonii — mówię „Bogu dzięki”, bo jest rzeczywiście za co dziękować Bogu; na równinach, gdy przychodzi lato czy zima, to poprzednie lato czy zima już tak dawno minęły, że lato i zimę odczuwamy jako coś nowego i chętnie witamy, i na tym właśnie polega radość życia. A tu u nas w górze ten porządek i harmonia są zakłócone, najpierw dlatego, że nie ma tu właściwie prawdziwych pór roku, jak to sam kiedyś zauważyłeś, lecz tylko letnie i zimowe dni pele-mele z sobą pomieszane, a poza tym, że to w ogóle nie jest czas, to, co nam tu upływa, tak iż nowa zima, gdy przychodzi, nie jest wcale nowa, lecz dalej stara — i tym tłumaczy się to nieprzyjemne uczucie, z jakim patrzysz na szybę.

— Bardzo dziękuję — rzekł Joachim. — A teraz, kiedy te rzeczy wyjaśniłeś, jesteś, jak mi się zdaje, tak zadowolony, że ci nawet one same zaczynają odpowiadać, chociaż... Nie! — powiedział Joachim. — Dość! — powiedział. — To jest świństwo. To wszystko jest niesłychanym, wstrętnym świństwem, i jeśli ty ze swej strony... ale ja... — I szybkim krokiem wyszedł z pokoju, gniewnie zamknął za sobą drzwi, i o ile wszystkie poszlaki nie mylą, w jego pięknych łagodnych oczach stanęły łzy.

Tamten pozostał, zmieszany. Pewnych decyzji kuzyna nie brał na serio, dopóki wyładowywały się w głośnych oświadczeniach. Ale teraz, gdy ukazały się w jego wyrazie twarzy i gdy zachował się tak jak przed chwilą, Hans Castorp przeraził się, bo pojął, że ten wojskowy jest człowiekiem, który przejdzie do czynów, przeraził się tak bardzo, że aż pobladł, za obu, za siebie

i za tamtego. Fort possible qu'il aille mourir * — myślał, a że była to wiadomość z trzeciej ręki, więc poza wszystkim miała jeszcze w sobie udrękę dawnego a wciąż żywego podejrzenia. A jednocześnie myślał: „Czyż to możliwe, że mnie tu samego zostawi, mnie, który przecież po to tylko przyjechałem, aby go odwiedzić?! — i dodawał: — Byłoby to tak szalone i straszne, że czuję, jak mi się na samą tę myśl zimno robi i serce mi kołocze, bo jeśli sam tu w górze zostanę, a zostanę sam, gdy on wyjedzie, mój wyjazd jest w ogóle wykluczony, to wtedy — teraz serce mi zupełnie zamiera — to wtedy byłoby to już raz na zawsze, bo sam nigdy nie znajdę drogi na równinę...”

Takie były przerażające myśli Hansa Castorpa. Ale już tego samego popołudnia miał uzyskać pewność, jak sprawy stoją... Joachim zdecydował się, kości zostały rzucone, decyzja powzięta.

Po podwieczorku zeszli do jasnej sutereny na miesięczne badanie. Był to początek września. Wchodząc do suchego, nagrzanego gabinetu lekarskiego zastali dra Krokowskiego jak zwykle przy biurku, gdy tymczasem radca dworu, z siną twarzą, ze skrzyżowanymi rękoma stał oparty o ścianę, w rękę trzymając słuchawkę, którą uderzał się po ramieniu. Ziewał patrząc w sufit. — Dzień dobry, dzieci! — rzekł zmęczonym głosem i nie przestawał objawiać złego humoru, melancholii, ogólnego zniechęcenia. Prawdopodobnie były to skutki palenia. Ale irytacja jego miała też rzeczowe powody, o których kuzyni już słyszeli, wewnętrzne sprawy zakładu z dobrze znanej dziedziny: młoda dziewczyna, nazwiskiem Ammy Nólting, która tu przybyła po raz pierwszy jesienią przed dwoma laty, a w sierpniu została po dziewięciu miesiącach zwolniona jako zdrowa, powróciła już we wrześniu, bo się w domu „nie czuła dobrze”, potem w lutym była zwrócona równinom, jako że nie stwierdzono u niej najmniejszych szmerów, jednakże od połowy lipca znów zajęła swe miejsce przy stole pani Iltis — ta Ammy została o pierwszej w nocy przychwycona w swym pokoju z pacjentem nazwiskiem Polypraxios, tym samym Grekiem, który podczas zapustów wzbudził słuszny zachwyt pięknym kształtem swych nóg, młodym chemi-

kiem, którego ojciec miał fabrykę farb w Pireusie; przychwyciła ją opanowana zazdrością przyjaciółka, która do jej pokoju dostała się tą samą drogą co Polypraxios, mianowicie przez balkony, a porwana bólem i złością z powodu tego, co ujrzała, podniosła wrzask, wszystkich poruszyła, uderzyła w wielki dzwon. Behrens zmuszony był odprawić wszystkich troje, atenczyka, pannę Nólting i jej przyjaciółkę, w której namiętność okazała się silniejszą od honoru — i oto teraz omawiał tę wstrętą sprawę ze swym asystentem, u którego zresztą leczyły się prywatnie zarówno Ammy, jak i zdrajczyni. Jeszcze podczas badania kuzynów rozwodził się nad tą sprawą tonem pełnym smutku i rezygnacji; był bowiem tak wielkim mistrzem auskultacji, że mógł jednocześnie osłuchiwać wewnątrz człowieka, mówić o czymś innym, i to, co wybadał, dyktować asystentowi.

— Tak, tak, gentlemen, przekłeta ta libido *1 — mówił. — Panowie naturalnie znajdują jeszcze w tej rzeczy przyjemność, panom to może odpowiadać — pęcherzykowy — ale dla kierownika zakładu, który ma tego po uszy, to niech mi panowie — głuchy opuk — niech mi wierzą. Cóż, nie moja to wina, że gruźlica łączy się ze szczególną pożądlivością — ton nieco szorstki. — To nie ja to tak urządziłem, ale zanim się człowiek spostrzeże, wychodzi na stręczyciela. Skrócony, tu pod lewą łopatką. — Mamy analizę, mamy dyskusje i co to pomaga. Im bardziej pozwala się tej hałastrze, aby się wypowiedziała, tym staje się lubieżniejsza. Jestem zwolennikiem matematyki. — Tu jest lepiej, nie ma żadnych szmerów, —r- Zajmowanie się matematyką, powiadam, jest najlepszym lekarstwem na pożądlivość. Prokurator Paravant, któremu to bardzo dawało się we znaki, wziął się do niej, zajmuje się teraz kwadraturą koła i odczuwa znaczną ulgę. Ale większość jest na to za głupia i za leniwa, pożał się Boże. — Pęcherzykowy. — Widzą panowie, ja wiem dobrze, że młodzież łatwo się tu łajdaczy i marnieje i dawniej usiłowałem czasem występować przeciw deboszowaniu. Ale potem zdarzało mi się, że jakiś brat czy narzeczony prosto w oczy mnie pytał, co mnie to właściwie obchodzi. Od tego czasu jestem już tylko lekarzem — lekkie rżenie z prawej w górze.

Skończył z Joachimem. Włożył słuchawkę do kieszeni kitla i olbrzymią lewą ręką tarł sobie oczy, jak to zwykle czynił, gdy „okłapł” i stawał się melancholijny. Na pół mechanicznie i raz po raz ziewając z depresji, mówił po swojemu:

— No, Ziemssen, tylko dobrej być myśli. Jeszcze nie wszystko jest dokładnie tak jak w podręczniku fizjologii, jeszcze tu i ówdzie nie jest w porządku, z Gaffkym jeszcze pan swych spraw całkowicie nie uporządkował, nawet się pan od poprzedniego razu podniósł na skali o jeden numer — tym razem jest sześć, ale nie ma powodu do rozpacz. Jak pan tu przybył, to był bardziej chory, to mogę panu na piśmie poświadczyć, i jeśli pan jeszcze pięć, sześć miesięcy, pan wie, że dawniej mówiono „miesięców”, a nie miesięcy? To właściwie brzmiało pełniej. Postanowiłem sobie, że będę mówił tylko „miesięców”.

— Panie radco — zaczął Joachim... Z obnażoną górną połową ciała stał jak na baczność, z piersią podaną naprzód, ze zsuniętymi obcasami, a na twarzy jego wystąpiły plamy, jak wówczas, gdy Hans Castorp przy pewnej okazji po raz pierwszy zauważył, że tak błędną ludzie mocno opaleni.

— Jeżeli pan — mówił Behrens dalej, nie zważając na rozpęd, jaki tamten wziął — jeszcze tu przez pół roczku w przybliżeniu odbędzie tę pokojową służbę, to już ma pan wygraną sprawę, może pan choćby zdobywać Konstantynopol.

Trudno wiedzieć, co by w swym posępnym usposobieniu gadał był dalej za głupstwa, gdyby wobec zdecydowanej postawy Joachima i jego oczywistej chęci mówienia, i to odważnego mówienia, nie stracił wątku.

— Panie radco — rzekł młody człowiek — chciałem zameldować posłusznie, że postanowiłem wyjechać.

— Co? chce pan być komiwojazerem? Myślałem, że później, po wyzdrowieniu, chciał pan iść do wojska?

— Nie, panie radco, muszę wyjechać teraz, za tydzień.

— Niechże pan powie, czy ja dobrze słyszę? Pan składa broń i chce uciekać? Czy pan wie, że to dezercja?

— Nie, nie jestem tego zdania, panie radco. Muszę już wracać do pułku.

— Mimo iż mówię, że pana za pół roku na pewno będę mógł zwolnić, ale że przed pół rokiem zwolnić nie mogę?

Postawa Joachima stawiała się coraz bardziej służbowa. Wciągnął brzuch i powiedział krótko i dobitnie:

— Jestem tu przeszło półtora roku, panie radco. Nie mogę już dłużej czekać. Pan radca mówił początkowo: kwartał. Potem moja kuracja przedłużała się co kwartał czy co półrocze, a wciąż jeszcze nie jestem zdrow.

— Czy to moja wina?

— Nie, panie radco. Ale nie mogę już dłużej czekać. Jeśli nie mam się spóźnić do swych obowiązków, to nie mogę wyczekiwać tu w górze, aż zupełnie wyzdrowieję. Czas mi jechać w dół. Potrzeba mi jeszcze nieco czasu na ekwipunek i inne przygotowania.

— Czy pan działa w porozumieniu z rodziną?

— Moja matka zgadza się. Wszystko jest załatwione. Pierwszego października wstępuję jako podchorąży do siedemdziesiątego szóstego pułku.

— Bez względu na to, co może grozić? — pytał Behrens i patrzył nań nabiegłymi krwią oczami...

— Wedle rozkazu, panie radco — odpowiedział Joachim drżącymi wargami.

— No, niech tak będzie, Ziemssen. — Radca zmienił wyraz twarzy, zmiękł i zaniechał oporu. — Niech będzie, Ziemssen. Ruszaj pan, jedź pan z Bogiem. Widzę, że pan wie, czego chce, że bierze całą sprawę na siebie i rzeczywiście, jest to pańska sprawa, a nie moja z chwilą gdy pan ją bierze na siebie. Człowiek na sobie jedynie może polegać. Wyjeżdża pan bez gwarancji, za nic nie odpowiadam. Ale nie przeczę, że i tak może być całkiem dobrze. Pański zawód wykonuje się przecież na powietrzu. Bardzo być może, że to panu dobrze zrobi i że się pan wylize.

— Tak jest, panie radco.

— No, a pan, młodzieńcze z cywila? Pan chce pewnie z nim razem?

To Hans Castorp miał teraz odpowiedzieć. Stał równie blady

jak przed rokiem przy owym badaniu, które spowodowało jego przyjęcie do sanatorium, stał na tym samym miejscu co wówczas — i znów widać było wyraźnie, jak serce pulsuje między jego żebrami. Powiedział:

— Chciałbym to uzależnić od pańskiej opinii, panie radco.

— Mojej opinii. Pięknie! — ■ Pociągnął go za rękę ku sobie, osłuchał go i opukał. Nic nie dyktował. Poszło dość szybko. Skończywszy rzekł:

— Może pan jechać.

Hans Castorp wyjąkał:

— To znaczy... jakże? Czy jestem zdrow?

— Tak, jest pan zdrow. O tym miejscu po lewej w górze nie warto już mówić. Pańska temperatura nie ma z tym nic wspólnego. Skąd się bierze, nie umiem panu powiedzieć. Przypuszczam, że jest bez znaczenia. Co do mnie, to może pan jechać.

— Ale... panie radco... pan tego w tej chwili nie mówi całkiem na serio?

— Nie na serio? Dlaczego? A co pan myśli? Co pan sobie w ogóle myśli o mnie, chciałbym wiedzieć? Za kogo mnie pan ma? Za właściciela takiego domu?

Był to przystęp wściekłości. Sina twarz radcy stała się fiołkowa od przyływu gorącej krwi, jednostronne uniesienie wargi pod wąsikiem wzmogło się tak silnie, że odsłoniło górne zęby z jednego boku; Behrens wysunął głowę naprzód jak byk, a oczy nabrzmiały mu łzami.

— To sobie wypraszam! — krzyczał. — Przede wszystkim nie jestem w ogóle właścicielem. Jestem tu urzędnikiem. Jestem lekarzem. Jestem tylko lekarzem, rozumie pan? Nie jestem stręczycielem! Nie jestem żaden Signor Amoroso z Toledo w pięknym Neapolu, chyba pan rozumie?! Jestem w służbie cierpiącej ludzkości! A jeżeli panowie wyrobili sobie inny pogląd na moją osobę, to możecie obaj iść do diabła, na marne, na psy, zupełnie jak sobie chcecie. Szczęśliwej drogi!

Długimi i szerokimi krokami skierował się ku drzwiom wiodącym do przedsionka ciemni i, przeszedłszy przez nie, zatrzasnął je za sobą.

Szukając pomocy, patrzyli kuzyni na dra Krokowskiego, który wszakże był pogrążony i zagrzebany w swych papierach. Ubrali się pospiesznie. Na schodach Hans Castorp powiedział:

— To było straszne. Czyś go widział już w takim stanie?

— Nie, takim go jeszcze nie widziałem. Ale szefowie mają takie napady. Jedyne słuszne w takim wypadku jest zachować się jak najpoprawniej i czekać, kiedy napad przejdzie. Był naturalnie podrażniony historią z Polypraxiosem i Ammy Nólting. Ale czyś zauważył — ciągnął Joachim dalej i widać było, że radość z tego, iż przeforsował swą sprawę, wzrastała w nim i zapierała mu oddech — czyś widział, że się zrobił jak baranek i skapitulował, widząc, że mówię na serio? Trzeba tylko pokazać fason i nie dawać się. Więc mam poniekąd pozwolenie — sam powiedział, że się prawdopodobnie wyliżę — za tydzień wyjedziemy... za trzy tygodnie będę w pułku — poprawił się, tak aby Hans Castorp nie wchodził w grę i aby radosne oświadczenie ograniczyć do własnej osoby.

Hans Castorp milczał. Nic nie powiedział o „pozwoleniu”, jakie otrzymał Joachim, ani też o własnym, o którym niewątpliwie niejedno byłoby do powiedzenia. Ubrał się do werandowania, włożył termometr do ust, krótkimi a pewnymi chwytami, po mistrzowsku, wedle uświęconej praktyki, o której na równinach nikt nie ma pojęcia, owinał się obu kocami z wielbłądziej sierści i leżał bez ruchu, jak symetryczny wałek, na swym znakomitym leżaku, w zimnej wilgoci wczesnojesiennego popołudnia.

Chmury deszczowe zwisały nisko, fantazyjna flaga była opuszczona, resztki śniegu leżały na mokrych gałęziach jodły. Z dolnej leżalni, skąd niegdyś po raz pierwszy głos pana Albina dotarł do jego ucha, dochodziła doń „cicha rozmowa, podczas gdy werandował, a palce i twarz sztywniały mu szybko od zimna i wilgoci. Był do tego przyzwyczajony i tutejszemu trybowi życia, poza którym już od dawna innego nie mógł sobie wyobrazić, wdzięczny był za to, iż dawał dobroczynną możliwość leżenia w odosobnieniu i przemyślenia wszystkiego.

Było postanowione, że Joachim wyjedzie. Radamantys puścił

go — nie rite *, nie jako zdrowego, niemniej dał swą połowiczną zgodę wobec jego stanowczości. Jechać będzie ku nizinom, koleją wąskotorową do Landauart, do Romanshorn, potem przez wielkie niezgłębione jezioro, które w poemacie jeździec przebył konno *, i dalej przez całe Niemcy aż do domu. Będzie tam żyć w nizinym świecie wśród ludzi nie mających pojęcia, jak żyć należy, nic nie wiedzących o termometrze, o sztuce owijania się kocem, o worku na futrze, o trzykrotnym spacerze, o... Trudno było powiedzieć, trudno wyliczyć wszystkie rzeczy, o których oni tam w dole nic nie wiedzieli, jednakże myśl o tym, że Joachim, który tu spędził więcej niż półtora roku, mógłby przebywać wśród tych nieuświadomionych, myśl ta, dotycząca Joachima, a tylko pośrednio i jakby na próbę jego samego, tak go oszołomiła, że zamknął oczy i odpędzał ją ręką. „Niemożliwe, niemożliwe" — szeptał.

A skoro było niemożliwe, to czy zostanie on tu sam i będzie bez Joachima żyć dalej? Tak! jak długo? Póki go Behrens nie puści jako wyleczonego, i to na serio, a nie tak jak dziś. Ale, po pierwsze, był to termin, co do którego można było jedynie, jak to kiedyś uczynił Joachim, gestem skierowanym w powietrze zaznaczyć, iż jest nie do przewidzenia, a po wtóre: czy to, co niemożliwe, stanie się wówczas bardziej możliwe? Raczej przeciwnie. A trzeba lojalnie przyznać, że teraz, gdy niemożliwość nie była jeszcze tak zupełna, jak będzie później, podawano mu z okazji dzikiego wyjazdu Joachima dłoń, ofiarowywano pomoc i przewodnictwo w drodze w niziny, której sam z siebie już przenigdy nie odnajdzie. Gdyby to doszło do humanistycznego pedagoga, jakżeby on nalegał, by Hans Castorp dłoń tę pochwycił i poddał się temu przewodnictwu. Ale pan Settembrini reprezentował rzeczy i siły godne uwagi, jednakże nie jedyne, nie bezwzględne; a tak samo sprawa miała się z Joachimem. Był żołnierzem, tak. Odjeżdżał — w tym samym prawie momencie, w którym Marusia o wysokich piersiach miała wrócić (wiadomo, że wróci na pierwszego października), a tymczasem jemu, cywilowi Hansowi Castorppwi, odjazd wydawał się — właściwie a skrótowo mówiąc: dlatego — niemożli-

wy, że musiał czekać na Kławdię Chauchat, o której powrocie nie było jeszcze ani słyhu. „Nie jestem tego zdania” — powiedział Joachim, gdy Radamantys oskarżał go o dezercję, co w stosunku do Joachima było tylko niemądrym gadaniem rozżalonego radcy. Ale dla niego, dla cywila, rzeczy miały się jednak inaczej. Dla niego (tak, to bez wątpienia tak było! Właśnie, aby tę zasadniczą myśl wysnuć ze swych uczuć, położył się tu dziś w tym zimnie i wilgoci!) — dla niego byłaby to rzeczywiście dezercja, gdyby skorzystał ze sposobności i dokonał dzikiego czy półdzikiego odjazdu w niziny, dezercja wobec tych rozległych odpowiedzialności, które dlań tu wyrastają w obliczu najdoskonalszego tworu, zwanego Homo Dei, byłaby to zdrada wobec ciężkich a podniecających, przerastających jego naturalne siły obowiązków „królowania”, które ciążyły na nim tu w lodzii i w błękitnie kwitnącym zakątku, stanowiąc przy tym dziwnie uszczęśliwiającą przygodę.

Wyrwał z ust termometr, tak gwałtownie, jak mu się to tylko raz jeden zdarzyło: mianowicie po pierwszym użyciu go, gdy starsza siostra sprzedała mu ten subtelny przyrząd. I patrzył nań z tą samą pożądlivością co wówczas. Rtęć podniosła się mocno, wskazywała trzydzieści siedem i osiem, prawie dziewięć.

Hans Castorp zrzucił z siebie okrycia, zerwał się i szybkim krokiem wszedł do pokoju, doszedł do drzwi na korytarz, zawrócił. Potem, położywszy się znowu, zawołał cicho na Joachima i zapytał o jego krzywą.

— Przestałem mierzyć — odpowiedział tamten.

— A ja mam *tempus* — rzekł Hans Castorp, przekręcając na wzór pani Stóhr wyraz analogicznie do „szampus”, na co Joachim za szklaną ścianą zachował milczenie.

Także i później nic nie powiedział, ani tego dnia, ani następnych; nie próbował słowami wybadać planów i postanowień kuzyna, które wobec bliskiego terminu same przez się musiały wyjść na jaw: przez działanie lub zaniechanie działania. I uczyły to rzeczywiście, a mianowicie przez zaniechanie. Hans Castorp jak gdyby trzymał się zasad kwietyzmu, twierdzącego,

że działać znaczy obrażać Boga, który sam jeden chce to robić. W każdym razie aktywność jego w dniach tych ograniczyła się do wizyty u Behrensa i rozmowy z nim, o której Joachim wiedział i której przebieg i wyniki mógł z góry dokładnie przewidzieć. Kuzyn jego oświadczył, że do poprzednich wielokrotnych upomnień radcy — iż należy się gruntownie wyleczyć, aby nie potrzebować znów tu wracać — pozwala sobie więcej przykładać wagi niż do popędliwych słów, powiedzianych w chwili niechęci: ma 37,8 i nie może się uważać za prawidłowo zwolnionego; jeśli więc niedawne oświadczenie radcy nie miało być zrozumiane jako wydalenie, a on nie sądzi, aby dał powód do takiego kroku, to w takim razie po spokojnej rozwadze i w świadomym przeciwieństwie do Joachima Ziemseny, zdecydował się tu jeszcze pozostać i doczekać się całkowitego wyleczenia. Na co radca odpowiedział prawie dosłownie tak: „Bon, pięknie!” i „Nie trzeba mieć mi tego za złe”, a także: „Tak mówi rozsądny chłop”, i wreszcie: że od razu widział, iż Hans Castorp ma więcej talentu do tego, aby być pacjentem, niż tamten dezertor i rębajło. I tak dalej.

Taki musiał być, wedle mniej lub więcej dokładnego obliczenia Joachima, przebieg rozmowy, więc też nic nie rzekł a tylko stwierdził w milczeniu, że Hans Castorp nie przyłączył się do jego przygotowań do odjazdu. Ileż miał poczciwy Joachim z sobą samym do roboty! Naprawdę nie mógł się już troszczyć o losy kuzyna i o jego pozostanie w górach. Można sobie wyobrazić, że burza szalała w jego piersi. Dobrze, że już nie mierzył temperatury, że stłukł swój termometr, rzekomo upuściwszy go na ziemię: wyniki mierzenia mogłyby wprowadzić w błąd w takim stanie podniecenia, w jakim znajdował się Joachim, z twarzą ciemno pałającą, to znów bładą z radości i napięcia. Nie mógł już wyleżeć: cały dzień chodził łam i z powrotem po pokoju, jak to Hans Castorp słyszał w tych czterech porach dnia, kiedy wszyscy w „Berghofie” przybierali pozycję poziomą. Półtora roku! A teraz z powrotem w niziny, do domu, do pułku, choćby tylko z połowicznym pozwoleniem! Niemiała to była rzecz. Hans Castorp czuł to sły-

sząc chodzącego niespokojnie kuzyna. Osiemnaście miesięcy, pełny cykl roku, a potem jeszcze jego połowę przebył tu w górze, wżył się głęboko, wjechał w koleinę tutejszego porządku, w ten nienaruszalny tryb życia, wypróbował go we wszystkich porach w ciągu siedemkroć siedemdziesięciu dni — a teraz do domu, na obczyznę, do nieuświadomionych ludzi. Jakież trudności mogą tam grozić jego aklimatyzacji! I czyż można się dziwić, że wielkie podniecenie Joachima składało się nie z samej tylko radości, lecz że po pokoju gnał go także niepokój i ból pożegnania z tym, do czego głęboko przywykł. Nie mówiąc już o Marusi.

Jednakże przeważała radość. Wypełniła serce i usta poczciwego Joachima; mówił o sobie, nie troszcząc się o przyszłość kuzyna. Mówił o tym, jak wszystko będzie nowe i odświeżone, życie, on sam, czas — każdy dzień, każda godzina. Powróci do solidnego czasu, do powoli przepływających, pełną wagę mających lat młodości. Mówił o swej matce, przyrodniej ciotce Hansa Castorpa, mającej równie łagodne czarne oczy jak Joachim, a której ten nie widział przez cały czas, jaki spędził w górach, bo podobnie jak on wstrzymywana z miesiąca na miesiąc, z półrocza na półrocze nie zdecydowała się nigdy na odwiedzenie syna. Z uśmiechem pełnym upojenia mówił o przysiędze wojskowej, którą już niebawem będzie składał: składa się ją uroczyście wobec sztandaru, na sam sztandar się przysięga. — Jakże? — pytał Hans Castorp. — Czy na serio, na drzewce? na strzępek sukna? — Tak, istotnie; a w artylerii na działo, jako na symbol. — To romantyczne obyczaje, twierdził cywil, można powiedzieć, że sentymentalne i fanatyczne; a Joachim potakiwał mu, dumny i uszczęśliwiony.

Przygotowania pochłaniały go całkowicie, wyrównał w zarządzie swój ostatni rachunek, a już na wiele dni przed terminem, jaki sobie sam wyznaczył, rozpoczął pakowanie. Zapakował ubrania letnie i zimowe, a worek na futrze i koce z sierści wielbłądziej kazał służącemu zaszyć w płótno; może je kiedyś będzie mógł użytkować na manewrach. Zaczął się żegnać. Złożył pożegnalną wizytę u Naphty i Settembriniego — sam, bo

kuzyn z nim tam nie poszedł, a później nie zapytał, co Settembrini myślał i mówił o tym, że Joachim teraz wyjeżdża, i o tym, że Hans Castorp nie wyjeżdża: czy mówił „tak, tak”, czy „no, no”, czy jedno i drugie, czy też „poveretto” — to już było dlań obojętne.

Potem nadeszła wilia wyjazdu, kiedy Joachim po raz ostatni spełnił wszystkie czynności, posiłki, werandowanie, spacer, i żegnał się z lekarzami i starszą siostrą. Wreszcie nastał sam ten ranek: na śniadanie przyszedł Joachim z rozpalonymi oczyma i zimnymi rękami, bo całą noc nie spał, nic też prawie nie wziął do ust, a gdy karlica zameldowała, że kufry są już załadowane, zerwał się z krzesła, aby się pożegnać z towarzyszami od stołu. Pani Stóhr uroniła przy pożegnaniu łzy, łatwe i puste łzy osoby bez kultury, a zaraz potem za plecami Joachima robiła do nauczycielki niemądre miny, potrząsała głową i wykręcała rękę, niezmiernie ordynarnie wyrażając swe niedowierzanie, czy Joachim ma prawo do wyjazdu i czy jest zdrow. Hans Castorp widział to w chwili, gdy już stojąc dopijał swej filiżanki, aby niezwłocznie podążyć za kuzynem. Pozostało jeszcze rozdać napiwki i przyjąć w przedsionku urzędowe pożegnanie przedstawiciela zarządu. Jak zwykle, aby przyrzec się odjazdowi, zgromadzili się pacjenci; panie: Iltis ze „steryletem” i biała jak z kości słoniowej Levi, rozwiązały Popów z narzeczoną. Powiewali chustkami, gdy odjeżdżał powóz z hamulcem na tylnym kole. Joachim otrzymał różę. Miał na głowie kapelusz. Hans Castorp był z odkrytą głową.

Powietrze było wspaniałe, pierwszy poranek słoneczny po długiej niepogodzie. Schiahorn, Zielone Wieże, kopuła Dorfbergu trwały niezmiennie, niby godła na tle błękitu, ściągając na się oczy Joachima. Może szkoda, mówił Hans Castorp, że właśnie na jego odjazd zrobiło się tak pięknie. Jest w tym złośliwość, bo niegościnnie ostatnie wrażenie ułatwia wszelkie rozstanie. Na co odpowiedział Joachim, że nie potrzebuje ułatwienia i że to świetny czas na ćwiczenia, przyda mu się to tam na dole. Poza tym mówili mało. Tak się ułożyły ich osobiste stosunki i stosunki między nimi, że naprawdę nic nie mieli so-

bie do powiedzenia. A przy tym mieli **przed sobą** kulawca, który jechał na koźle przy woźnicy.

Siedząc wysoko na twardych poduszkach trzęsącego kabrioletu minęli strumień i wąski tor i jechali nieregularnie zabudowaną ulicą, biegnącą równolegle z szynami kolejowymi, aż zatrzymali się na wybrukowanym placu przed budynkiem stacyjnym Wsi, niewiele lepszym od szopy. Hans Castorp poznał wszystko z przerażeniem. Od chwili gdy przed trzynastu miesiącami przybył tu o zapadającym mroku, nie widział już stacji. — To tu przecie przyjechałem — powiedział bez potrzeby, a Joachim odrzekł tylko: — A tak — i zapłacił woźnicy.

Ruchliwy kulawiec wszystko załatwił: bilety, bagaż. Stali obok siebie na peronie, przy miniaturowym pociągu, obok małego, szaro wyściełanego przedziału, w którym Joachim założył miejsce płaszczem, zwiniętym w rulon, pledem i różami. — No, teraz czas, żebyś złożył swą romantyczną przysięgę — powiedział Hans Castorp, a Joachim odrzekł: — Zrobi się. — Cóż jeszcze? Przekazali sobie wzajem jeszcze ostatnie pozdrowienia, dla tych tam w dole i dla tych tu w górze. A potem Hans Castorp już tylko rysował laską na asfalcie. Gdy dano sygnał do odjazdu, wzdrygnął się i spojrzał na Joachima, a ten na niego. Podali sobie ręce. Hans Castorp uśmiechnął się niewyraźnie; smutne oczy tamtego były poważne i natarczywe. — Hans — rzekł; wszechmogący Boże, czy się zdarzyło kiedy w świecie coś równie bolesnego? Zwracał się do Hansa Castorpa po imieniu! Nie mówił mu ani „ty”, ani „człowieku”, jak to zawsze robili, ale na przekór ich powściągliwym obyczajom i w sposób tak nieprzyjemnie przesadny odezwał się doń po imieniu! — Hans — rzekł i z naciskiem i lękiem uściśnął dłoń kuzyna, który nie mógł nie zauważyć, że niewyspanemu, rozgorączkowanemu czekającą go podróżą, wstrząśniętemu Joachimowi kark drżał tak samo jak jemu podczas „królowania” — Hans — mówił z naciskiem — wracaj prędko! — Po czym wskoczył na stopień. Drzwi zatrzęsnięto, rozległ się gwizdek, wagony uderzyły o siebie, mały parowóz ruszył, pociąg potoczył się. Odjeżdżający powiewał przez okno kapeluszem, pozosta-

jacy ręką. Z rozdartym sercem stał jeszcze długo, sam. Po czym powoli poszedł tą samą drogą, którą go niegdyś prowadził Joachim.

ODPARTY ATAK

Koło poruszyło się. Wskazówka posunęła się naprzód, storczyki i orliki przekwitły, a tak samo dzikie gwoździki. Ciemnoniebieskie gwiazdy gencjany, zimokwity, blade i trujące, znów się ukazały w wilgotnej trawie, lasy poczerwieniały. Minęło jesienne zrównanie dnia z nocą, na horyzoncie pokazały się Zaduszki, a bardziej wyrobionym w zużywaniu czasu zapewne ukazał się już i adwent, najkrótszy dzień i święta Bożego Narodzenia. Tymczasem jednak szły piękne dni październikowe — w rodzaju tego, w którym kuzyni oglądali kiedyś obrazy radcy.

Od wyjazdu Joachima Hans Castorp nie siedział już przy stole pani Stóhr, tym, od którego odszedł zmarły dr Blumenkohl, a przy którym Marusia swą nieuzasadnioną wesołość tłumiała w chusteczce o pomarańczowym zapachu. Siedzieli tam teraz nowi goście, całkowicie obcy. Naszemu przyjacielowi zaś, który z drugiego roku pobytu przebył już oto dwa i pół miesiąca, zarząd wyznaczył inne miejsce, przy stole sąsiednim, stojącym ukośnie do tamtego, bliżej lewych drzwi na werandę, między jego dawniejszym a lepszym stołem rosyjskim, krótko mówiąc, przy stole Settembriniego. Tak, właśnie na miejscu osieroconym przez humanistę siedział teraz Hans Castorp, znów na końcu stołu naprzeciw doktorskiego miejsca, które przy każdym z siedmiu stołów było zarezerwowane dla radcy i jego famulusa.

W górze stołu, na lewo od doktorskiego przydzielonego miejsca siedział przykucnąwszy na wielu poduszkach garbaty fotograf-amator z Meksyku, odseparowany od innych przez swój język, co nadawało mu wyraz twarzy człowieka głuchego; obok niego miała swe miejsce starsza panna z Siedmiogrodu, która, jak się Settembrini uskarżał, domagała się, aby się wszyscy

interesowali jej szwagrem, choć nikt nic o nim nie wiedział ani wiedzieć nie chciał. W określonych godzinach widywało się ją, jak założywszy w poprzek pleców łaskę z rączką z tulskiego srebra, którą się też posługiwała przy obowiązkowych spacerach, stała przy balustradzie swego balkonu i swe płaskie jak deska piersi rozdymała w higienicznych głębokich oddechach. Naprzeciw niej siedział jakiś Czech, którego nazywano panem Waclawem, nikt bowiem nie umiał wymówić jego nazwiska. Pan Settembrini czasem dawniej usiłował wykrztusić zawily szereg spółgłosek, z których nazwisko to się składało — niewątpliwie nie z rzetelną intencją, lecz po to, by na tle tego dziękiego gąszczu dźwięków okazać z humorem swą wytworną niezaradność. Czech, choć spasiony jak borsuk i nawet w tutejszym zespole wyróżniający się swym zdumiewającym apetytem, od czterech lat zapewniał, że umrze. Podczas wieczornych zebrań towarzyskich wybrzdąkiwał niekiedy na ustrojonej wstążkami mandolinie pieśni swego kraju i opowiadał o swych plantacjach buraków cukrowych, w których zatrudnia same tylko ładne dziewczęta. Bliżej Hansa Castorpa siedzieli po obu stronach stołu państwo Magnusowie, para małżeńska piwowarów z Halli. Atmosfera melancholii otaczała tę parę, tracili bowiem oboje ważne składniki przemiany materii, pan Magnus cukier, a pani Magnusowa białko. Umysłowość ich, zwłaszcza bladej pani Magnusowej, była zupełnie beznadziejna; pustka psychiczna emanowała z niej jak wyziew piwniczny, i wyraźniej jeszcze niż u niekulturalnej pani Stohr występowało u niej połączenie choroby i głupoty, którym gorszył się Hans Castorp, ganiony za to przez pana Settembrmiego. Pan Magnus był wyższego umysłu i rozmowniejszy, jednakże w tym tylko zakresie, który niegdyś niecierpliwiał literata Settembrmiego. Poza tym był porywczy i nieraz ścierał się z panem Waclawem z politycznych i innych powodów. Rozgoryczały go bowiem narodowe aspiracje Czecha, który w dodatku był zwolennikiem antyalkoholizmu i z potępieniem moralnym odzywał się o sposobie zarobkowania piwowara; ten z rozpaloną twarzą bronił tezy, że trunek, z którym interesy jego były tak ściśle związane, jest

z punktu widzenia zdrowotnego bez zarzutu. Dawniej w podobnych okazjach pan Settembrini dzięki swemu humorowi działał pojednawczo; Hans Castorp zaś znalazłszy się na jego miejscu ani nie czuł się na to dość zręcznym, ni też nie mógł liczyć na dość autoretytu, by go w tym zastąpić.

Z dwoma jedynie towarzyszami od stołu łączyły go bardziej osobiste stosunki: jednym był A. K. Ferge z Petersburga, jego sąsiad po lewej; ten dobroduszny cierpiętnik spod krzaczastych rudawych wąsów opowiadał o fabrykacji kaloszy i dalekich stronach, o kole podbiegunowym i wiecznej zimie na Przyładku Północnym; Hans Castorp odbywał z nim nawet niekiedy spacer. Drugim, który, ilekroć się dało, przyłączał się do nich na trzeciego, a który miał swe miejsce przy górnym końcu stołu naprzeciw garbatego Meksykanina, był ów mieszkaniec Mannheimu, o rzadkich włosach i zepsutych zębach, nazwiskiem Wehsal, Ferdynand Wehsal, kupiec z zawodu, ten sam, którego oczy zmącone pożądaniem wpatrywały się zawsze we wdzięczną postać pani Chauchat i który od owej nocy karnawałowej zabiegał o przyjaźń Hansa Castorpa.

Czynił to z uporem i pokorą, z oddaniem człowieka niżej stojącego, które tamten odczuwał jako wstrętne, bo pojmował jego złożony sens, ale które usiłował mimo to traktować po ludzku. Patrzył nań spokojnie, bo wiedział, że lekkie ściągnięcie brwi wystarcza, by zgniebić i przerazić wrażliwego nieszczęśnika, znosił służalczą naturę Wehsala, korzystającego z każdej sposobności, by się przed nim płaszczyć i by się doń przymilać, pozwalał mu nawet niekiedy na spacerach nosić swój płaszcz — tamten niósł go wtedy na ramieniu z pewnym nabożeństwem — znosił także mętne jego rozmowy. Wehsal zawzięcie stawiał pytanie np. takie, czy jeśli ktoś kocha kobietę, a ona o niego nie dba, czy ma to sens, by jej swą miłość wyznawał, tę beznadziejną miłość — i pytał, co panowie o tym sądzą. On ze swej strony jest jak najbardziej za tym, sądzi, iż jest w takim wyznaniu niezmiernie szczęście. Choćby bowiem akt wyznania wywoływał odrazę i krył poniżenie samego siebie, to jednak na chwilę wytwarza pełne zbliżenie

z pożądaną istotą, robi z niej powiernicę wyznającego, wciąga ją w żywioł własnej jego namiętności, a jeśli nawet przychodzi potem koniec wszystkiego, to jednak ta wieczna utrata nie jest zbyt wysoką zapłatą za desperacką rozkosz jednej chwili; bo wyznanie jest aktem gwałtu, a im większy jest opór i odraza, na jakie natrafia, tym jest rozkoszniejsze. — W tym momencie Hans Castorp sposepniał, co spłoszyło Wehsala, ale mniej ze względu na surowość moralną naszego bohatera niż na obecność dobrodusznego Fergego, dla którego, jak to sam często podkreślał, niedostępne były wszelkie wyżyny i trudniejsze sprawy. A co do naszego bohatera, to nigdy nie usiłujemy przedstawić go lepszym, niż był w rzeczywistości, powiemy więc, że gdy pewnego wieczoru w cztery oczy biedny Wehsal, blady z namiętności, nalegał nań, aby mu się na miłość boską zwierzył z przeżyć i doświadczeń pobalowych owej zapustnej nocy, Hans Castorp z łagodną dobrocią spełnił jego życzenie — ale niech czytelnik wierzy, że w tej dyskretnej scenie nie było ani śladu niskiej frywolności. Mamy jednakże swe racje, by ani czytelnika, ani siebie nie wciągać do tej sceny, dodamy więc tylko, że odtąd Wehsal płaszcz uprzejmego Hansa Castorpa nosił z podwójnym oddaniem.

Tyle o nowym towarzystwie Hansa Castorpa przy stole. Miejsce po prawej było wolne, a tylko przejściowo, przez kilka dni było zajęte: przez takiego samego hospitanta, jakim on sam był niegdyś, mianowicie przez przybyłego w odwiedzinę krewnego, gościa z równin, i, jakby się chciało rzec, posła stamtąd — jednym słowem, przez wuja Hansa, Jamesa Tienappla.

Było w tym coś z dziwnej przygody, że nagle siedział obok niego przedstawiciel i wysłannik stron rodzinnych, noszący jeszcze w tkaninie swego angielskiego garnituru atmosferę rzeczy starych i minionych, dawniejszego życia, głęboko pogrzebanego „wyższego świata”. Ale musiało to przyjść. Już od dawna Hans Castorp liczył się w cichości z takim wtargnięciem tu równin i nawet trafnie przewidział osobę, której rzeczywiście wywiad został powierzony; zresztą nie było to trud-

ne; Piotr bowiem, żeglujący po morzach, za ledwie mógł tu w grę wchodzić, a co do dziadka Tienappla, to było wiadomo, że żadne siły ludzkie nie ściągnęłyby go w te strony, których ciśnienie atmosferyczne mogło dlań być niebezpieczne. Nie, to jedynie James mógł zostać wysłany przez rodzinę, aby zobaczyć, co się dzieje z zaginionym; więc też już przedtem go tu oczekiwano. Odkąd jednak Joachim powrócił sam jeden i do kół rodzinnych doszła wieść o tutejszym stanie rzeczy, przyszedł czas na atak, jeśli nie było nań już nawet za późno, i Hans Castorp nie był ani trochę zdziwiony, gdy w niespełna dwa tygodnie po wyjeździe Joachima portier wręczył mu telegram, który otworzył z trafnym przeczuciem: James Tienappel zapowiadał przyjazd w najbliższym czasie. Miał w Szwajcarii coś do załatwienia i zdecydował się na okolicznościową wycieczkę w góry do Hansa. Można go było oczekiwać pojutrze.

„Dobrze — myślał Hans Castorp. — Pięknie — myślał. A nawet dodał coś w rodzaju: — Proszę bardzo!” — „Gdybyś wiedział” — mówił w myślach do nadjeżdżającego. Jednym słowem, przyjął zawiadomienie z wielkim spokojem, przekazał je zresztą radcy Behrensowi i zarządowi, kazał przygotować pokój — pokój Joachima był jeszcze wolny — i w dwa dni potem, o tej samej porze, o której tu przybył, wieczorem koło ósmej, gdy już było ciemno, tym samym twardym wehikułem, w którym odprowadził Joachima, wybrał się na stację „Wieś” po wysłańca równin, chcącego tu zrobić porządek.

Opalony na czerwono, bez kapelusza i bez płaszcza stał na skraju peronu, gdy wtoczył się miniaturowy pociąg; stał przed oknem swego kuzyna wzywając go, żeby wysiadł, bo już zajechał. Konsul Tienappel — był właściwie wicekonsulem, z powodzeniem odciążając starego ojca także w pełnieniu tego honorowego obowiązku — był zmarznięty i otulał się w zimowy płaszcz, bo wieczór październikowy był rzeczywiście dotkliwie chłodny, do mrozu brakowało niewiele, a czuć było, że nad ranem będzie mróz; wysiadł z przedziału, zdziwiony i wesoły, co objawił w formie trochę nikłej, ale bardzo kulturalnej, właś-

ciwej wytwornym panom z północno-zachodnich Niemiec; przywitał się z siostrzeńcem, podkreślając swe zadowolenie z powodu jego znakomitego wyglądu: dzięki kulawcowi zwolniony od kłopotów z bagażem, wdrapał się wraz z Hansem Castorpem na wysokie i twarde siedzenie pojazdu. Jechali pod bogato ugwieżdżonym niebem, a Hans Castorp, z głową podaną w tył, z wzniesionym wskazującym palcem, wyjaśniał swemu kuzynowi-wujowi górne strefy, słowem i gestem ujmował iskrzące się gwiazdozbiory, nazywał planety po imieniu — podczas gdy tamten, zajęty bardziej osobą swego towarzysza niż kosmosem, mówił sobie, że wprawdzie ostatecznie można teraz tutaj zaraz mówić właśnie o gwiazdach, że nie jest to wręcz objawem pomieszania zmysłów, że jednak naturalniejsze byłyby niektóre inne tematy. Odkądże zna się on tak na niebie, pytał Hansa Castorpa, który mu odrzekł, że jest to zdobycz wieczornego werandowania wiosną, latem, jesienią i zimą. Jak to? Czy w nocy leży na balkonie? — Ależ tak. I konsul też to będzie robił. Nie będzie mieć wyboru.

— Zapewne, rozumie się — rzekł James Tienappel, uprzedzający i cośkolwiek zastraszonego. Wychowanek jego ojca mówił spokojnie i monotonicznie. Bez kapelusza i płaszcza siedział przy nim w bliskim mrozie chłodzie jesiennego wieczoru. — Czy ty nie marzniesz? — pytał go James, sam bowiem trząsał się pod grubym sukniem płaszcza, a mówił spiesząc się i zarazem utykając, bo zęby jego okazywały skłonność do szczękania. — My nie marzniemy — odrzekł Hans Castorp spokojnie i krótko.

Konsul patrzył nań z boku i nie mógł się napatrzeć. Hans Castorp nie zapytał o krewnych i znajomych w domu. Pozdrowienia stamtąd, które James mu przekazał, także i od Joachima, będącego już w pułku i promieniejącego szczęściem i dumą, przyjął spokojnie i z podziękowaniem, ale się już dalej w sprawy rodzinne nie zapuszczał. Zaniepokojony czymś nieokreślonym, co do czego nie mógł zdać sobie sprawy, czy ma źródło w siostrzeńcu, czy też w nim samym, w fizycznym samopoczuciu, jakie się ma w podróży, James rozglądał się, nie-

wiele jednak mógł dojrzeć w krajobrazie górskiej doliny; wciągnął głęboko powietrze, a wydechając je oświadczył, że jest wspaniałe. Niewątpliwie, odpowiedział tamten, nie darmo ma światową sławę. Działa ono silnie. Wprawdzie przyspiesza proces ogólnego spalania, jednakże organizm odkłada przy tym białko. Może leczyć choroby, które człowiek w sobie nosi w zarodku, ale na razie je nasila, przez to, że w ogóle pobudza organizm i doprowadza zarodki choroby, jeśli tak rzecz można, do uroczystego wybuchu. — Jakiś to powiedział: uroczystego? — Tak jest. Czyż nie zauważył, że wybuch choroby ma w sobie coś uroczystego, jest dla ciała rodzajem zabawy. — Zapewne, rozumie się — spieszenie powiedział wuj, nie panując nad dolną szczęką, po czym oznajmił, że może pozostać osiem dni, to znaczy, tydzień, więc siedem dni, może nawet tylko sześć. Dzięki kuracji, która się przedłużyła ponad wszelkie oczekiwanie, Hans Castorp wygląda zdrowo i mocno, więc przypuszcza, że z nim od razu pojedzie do domu.

— No, no, tylko nie zaraz tak gwałtownie — rzekł Hans Castorp. Wuj James mówi tak jak ludzie z dołu. Niech się tu najpierw trochę u nas rozejrzy i wżyje w nasze stosunki, a zmieni na pewno swe poglądy. Chodzi o całkowite wyleczenie się, ta całkowitość jest istotna. A Behrens ostatnio mruknął jeszcze coś o pół roku. W tym miejscu wuj zwrócił się doń mówiąc mu „chłopcze” i zapytał, czy nie zwariował. — Czyś ty zupełnie zwariował? — zapytał. Jego wakacje trwają już pięć kwartałów, a teraz ma być jeszcze pół roku! Na miłość boską, tyle czasu się przecież nie ma! — Tu Hans Castorp spokojnie i krótko zaśmiał się do gwiazd. Czasu! Jeśli o to chodzi, o ludzki czas, to James będzie musiał zrewidować swe z dołu przywiezione pojęcia, zanim tu w górze będzie mógł o tym mówić. — James Tienappel zapowiedział, że już jutro w interesie Hansa porozmawia na serio z panem radcą. — Zrób to — rzekł Hans Castorp — on ci się spodoba, ciekawy charakter, rubaszny i zarazem melancholijny. — Potem wskazał na światła z sanatorium Schatzalp i mimochodem opowiedział o zwłokach, które się sprowadza na dół torem bobslejowym.

Panowie zjedli razem kolację w restauracji „Berghofu”, przedtem zaś Hans Castorp zaprowadził gościa do pokoju Joachima, aby się tam nieco odświeżył. Pokój został wydezynfekowany za pomocą H₂CO równie gruntownie, jak gdyby to nie był dziki odjazd, lecz coś zupełnie innego, nie exodus *, lecz exitus *. A gdy wuj zapytał o sens tych wyrazów, siostrzeniec powiedział, że „to żargon”, że „to taki sposób wyrażania się”. — Joachim zdezerterował — zdezerterował pod sztandar, zdarza się i to. Ale spieszmy się, abyś jeszcze dostał coś ciepłego do jedzenia! — I oto siedzieli naprzeciw siebie, na podwyższeniu, w przyjemnie ogrzanej restauracji. Karlica obsługiwała ich żwawo, a James obstałował butelkę burgunda, którą podano leżącą w koszyku. Tręcili się i łagodne ciepło rozeszło się po ich organizmach. Młodszy mówił o życiu tu w górze wśród zmiany pór roku, o tym, co się widuje w tutejszej jadalni, o sztucznej odmie, której istotę wyjaśnił, powołując się na wypadek pocziwego Fergego, i rozwodził się nad okropnością wstrząsu opłucnowego, wspomniawszy też o trzech barwnych omdleniach, w które pan Ferge miał popaść, o halucynacjach powonieniowych, które przy wstrząsie odegrały pewną rolę, i o śmiechu, jakim wybuchnął przychodząc do siebie. Wziął na siebie cały trud rozmowy. James zaś dużo jadł i pił, jak to czynił zwykle; jazda i zmiana powietrza zaostrzyły mu jeszcze apetyt. Jednakże chwilami przerywał jedzenie — i siedział z ustami pełnymi potrawy, którą zapominał gryźć, z nożem i widelcem szeroko rozstawionymi i znieruchomiałymi nad talerzem, i patrzył na Hansa Castorpa, jakby nie wiedząc, że patrzy, a tamten niewiele na to zwracał uwagi. Na skroniach konsula Tienappla, zarośniętych rzadkimi blond włosami, wystąpiły nabrzmiałe żyły.

O sprawach domowych nie było mowy, ani o rodzinnych, ani o miejskich, ani o interesach, ani o firmie „Tunder & Wilms”, stoczni, fabryce maszyn i odlewni, która wciąż jeszcze oczekiwała młodego praktykanta, co jednak nie było bynajmniej jej jedynym zajęciem, i to tak dalece, że można by zapytać, czy w ogóle go jeszcze oczekiwała. James Tienap-

pel poruszył wprawdzie wszystkie te tematy podczas jazdy końmi i później, jednakże upadły i leżały martwe, odtrącone spokojną, zdecydowaną, niewymuszoną obojętnością Hansa Castorpa, zdawały się nie docierać doń i nie imać się go, co przypominało też jego niewrażliwość na zimno jesiennego wieczoru i jego powiedzenie „My nie marzniemy”; to było zapewne przyczyną, dlaczego wuj tak uparcie mu się chwilami przypatrywał. Rozmowa dotyczyła też siostry przełożonej, lekarzy, odczytów dra Krokowskiego — tak się składało, że James będzie na jednym z nich, jeśli zostanie przez tydzień. Któż to powiedział siostrzeńcowi, że jego wuj ma chęć iść na odczyt? Nikt. On sam to przyjął jako rzecz zdecydowaną z takim spokojem i stanowczością, że tamtemu myśl przeciwna wydała się nienaturalną i mówił: „Zapewne, rozumie się”, chcąc uprzędzić podejrzenie, jakoby przez chwilę projektował coś niemożliwego. Działo się to pod wpływem tej samej siły nieokreślonej, ale zniewalającej, która podświadomie zmuszała pana Tienappla do przyglądania się kuzynowi, teraz już zresztą z otwartymi ustami, bo przez nos nie mógł oddychać, choć nie sądził, by miał katar. Słuchał, jak jego krewny mówi o chorobie, budzącej tu powszechne zawodbwe zainteresowanie, i o skłonności do niej, o własnym wypadku Hansa Castorpa, niegroźnym, ale przewlekłym, o podrażnionych przez bakcyle tkankach rozgałęzień tchawicy i pęcherzyków płucnych, o rozwoju tuberkulów i wytwarzaniu się rozpuszczalnych jądów, rozpadaniu się komórek i procesie serowacenia, co do którego jest kwestią, czy zwapnienie i łącznotkankowe zbliznowacenie zahamowuje go i leczy, czy też właśnie wytwarza większe ogniska rozmiękania, wyżera jamy gruźlicze i niszczy cały narząd. Słuchał o gwałtownie przyspieszonej, galopującej postaci tego procesu, która w parę miesięcy, a nawet tygodni prowadzi do zgonu, słuchał o pneumotomii, którą radca wykonuje po mistrzowsku, o resekcji płuc, która jutro czy w najbliższych dniach ma być wykonana na niedawno przybyłej, ciężko chorej, czarującej niegdyś Szkotce, złożonej przez zgorzel płuc, gangraena pulmonum, na skutek której szerzy się

w jej organizmie czarniawo-zielona zaraza; słuchał o tym, że całymi dniami wdycha ona rozpylony roztwór kwasu karbолоwego, aby z odrazy do samej siebie nie postradać zmysłów — i nagle stało się, że konsul w sposób dla niego samego zupełnie nieoczekiwany i ku swemu największemu zawstydzeniu — wybuchnął. Zaczął się śmiać, parszkając, choć co prawda zaraz się opamiętał i opanował, zakaszał się i starał się wszelkimi sposobami zatuszować bezsensowne swe zachowanie; ku swemu uspokojeniu, kryjącemu w sobie zresztą nowy niepokój, stwierdził przy tym, że Hans Castorp, choć tego, co zaszło, nie mógł nie zauważyć, wcale się tym jednak nie przejął, przeciwnie, przeszedł nad tym do porządku tak dalece, że nie mogło to być taktem, względnością, uprzejmością, lecz tylko czystą obojętnością, niewrażliwością, niesamowitą wyrozumiałością człowieka, który dawno przestał się dziwić takim rzeczom. Konsul zaś — dlatego że chciał swój wybuch wesołości ująć w formę sensu i rozsądku czy też w jakimś innym związku — dość że wszczął nagle rozmowę w stylu męskim i klubowym i z nabrzmiałymi żyłami zaczął opowiadać o pewnej „szansonetce”, karczemnej śpiewaczce, zupełnie szalonej dziewczę, produkującej się teraz w St. Pauli * i pełnymi temperamentu ponętami, które odmalował kuzynowi, nie dającej spokoju panom w ojczystej Rzeczypospolitej. Język mu się cośkowiek płątał przy tych opowiadaniach, jednakże nie potrzebował się tym przejmować, bo wyrozumiałość jego vis-a-vis i jego niezdolność dziwienia się czemukolwiek rozciągała się wyraźnie i na to zjawisko. W końcu wzrastające zmęczenie podróżą opanowało konsula do tego stopnia, że już około wpół do jedenastej zaproponował zakończenie rozmowy i nie był zbyt uszczęśliwiony, gdy w hallu doszło jeszcze do spotkania z wielokrotnie już przez nich wspomnianym drem Krokowskim, który z gazetą w ręku siedział przy drzwiach salonu i z którym siostrzeniego zapoznał. Na rubaszenie jowialne słowa doktora nie umiał wiele więcej odpowiedzieć niż „Zapewne, rozumie się” i był zadowolony, gdy wreszcie siostrzeniec odszedł ze zdezynfekowanego pokoju Joachima przez balkon do siebie, zapowiadając

że przyjdzie jutro koło ósmej, by go zaprowadzić na śniadanie; wtedy dopiero z papierosem, jaki zwykł był palić na dobranoc, mógł się wreszcie położyć do łóżka kuzyna, który zdezerterował pod sztandar. Był o włos od spowodowania pożaru, bo dwukrotnie z żarzącym się papierosem w **ustach zapadał** w sen.

James Tienappel, którego Hans Castorp nazywał na przemian wujem Jamesem i po prostu Jamesem, był długonogim panem koło czterdziestki, ubranym w angielskie materiały i cienką bieliznę, z przerzedzonymi włosami kanarkowej barwy, z blisko siebie osadzonymi, niebieskimi oczami, ze słomianym, przyciętym i na wpół wygolonym wąsikiem i najstaranniej utrzymanymi rękami. Choć od kilku lat był już mężem i ojcem, pozostał jednak w obszernej willi starego konsula na Harvestehuder Weg? ożeniony z osobą ze swego towarzystwa, równie kulturalną i wydelikacaną, mówiącą równie cicho, szybko, ostro i uprzejmie jak on, w domu zachowywał się jak energiczny, rozważny i przy całej elegancji chłodny i rzeczowy człowiek interesu, natomiast w innym otoczeniu, w podróży, na przykład na południu kraju, przybierał jakiś nadmiernie uprzedzający sposób bycia, jakąś pospieszną gotowość usuwania się z uprzejmości w cień, co zresztą bynajmniej nie było oznaką niewiary we własną kulturę, lecz, przeciwnie, przekonania o jej wartości, połączonego z chęcią wyjścia poza swój arystokratyzm i nie-Dbjowania, że dziwią go formy życia, które w rzeczywistości aniały za niemożliwe. „Naturalnie, oczywiście, rozumie się!” — mówił spiesźnie, aby nikt nie pomyślał, że jest wprawdzie wytworny, ale ograniczony. Przyjechał tu z określoną misją, miałowicie z poleceniem i zamiarem, aby zrobić porządek i- młotiego, opieszalego krewnego „odmrozić” — jak sobie mówił AT myśli, i dostarczyć do domu; miał jednakże świadomość, że ziała na obcym gruncie — od pierwszej chwili bowiem odczuł, że jest gościem w świecie i środowisku, które pod względem zwartości i pewności siebie nie tylko mu nie ustępuje, lecz go mwet przewyższa; a przez to jego sprężystość w załatwianiu ;praw praktycznych weszła od razu w ostry konflikt z jego

dobrym wychowaniem; bo pewność siebie goszczącej go sfery okazała się prawdziwie przygniatającą.

To właśnie przewidział był Hans Castorp, gdy na telegram konsula odpowiedział w duszy niedbałym „Proszę bardzo!"; nie należy jednak przypuszczać, że siłą charakteru swego otoczenia świadomie wyzyskiwał przeciw swemu wujowi. Na to był sam od dawna już zanadto częścią tego otoczenia, i nie on posługiwał się tym otoczeniem przeciw napastnikowi, lecz odwrotnie, więc też wszystko odbyło się w najnaturalniejszy, najprostszy sposób, poczynszy od chwili, gdy pierwsze przecucie beznadziejności jego przedsięwzięcia owładnęło konsula w zetknięciu się z siostrzeńcem, aż do zakończenia, wobec którego Hans Castorp nie mógł się nie uśmiechać melancholijnie.

Pierwszego ranka po śniadaniu i zaznajomieniu się z elitą współbiedniaków dowiedział się Tienappel od radcy Behrensa, który, długi i barwny, w towarzystwie bladego asystenta wszedł wiosłując rękami do sali i ze swym retorycznym rannym pytaniem „Dobrze się spało?" przebiegł ją pospiesznie, dowiedział się nie tylko, że miał bajeczny pomysł, chcąc dotrzymać towarzystwa osamotnionemu neveu *, ale także, że to, co zrobił, jest jak najbardziej w jego własnym interesie, bo najwyraźniej jest bardzo anemiczny. — Anemiczny, on, Tienappel? — I jeszcze jak! — rzekł Behrens i wskazującym palcem odchylił mu dolną powiekę. — W wysokim stopniu! — rzekł. — Pan wuj postąpi bardzo sprytnie, jeśli się tu na parę tygodni wyciągnie wygodnie na balkonie i w ogóle we wszystkim będzie brał przykład z siostrzeńca. Przy jego stanie najmądrzej jest przez jakiś czas zachowywać się tak jak przy lekkiej tuberculosis pulmonum, od której zresztą nikt nie jest wolny. — Oczywiście, rozumie się! — powiedział konsul szybko i potem przez chwilę jeszcze z gorliwie i uprzejmie otwartymi ustami patrzył na grubo kark odchodzącego, podczas gdy siostrzeniec stał przy nim niedbale i z bezczelną miną. Potem przedsięwzięli spacer do ławki koło rynny, a następnie James Tienappel odbył swe pierwsze weradowanie wedle wskazówek Hansa Ca-

storpa, który do jego pledu dodał mu jeszcze koc z wielbłądziej sierści, gdyż jemu samemu przy pięknej jesiennej pogodzie jeden najzupełniej wystarczał; wyłożył mu też skrupulatnie, chwyt po chwycie, tradycyjną sztukę owijania się w koce; a nawet jeszcze po wygładzeniu ich i zrobieniu z konsula mumii, rozrzucił wszystko z powrotem, aby tamten na własną rękę powtórzył całą ustaloną procedurę, uciekając się tylko w razie potrzeby do jego pomocy; pouczył go też, jak płócienny parasol przymocować do krzesła i zwrócić do słońca.

Konsul dowcipkował. Jeszcze go nie opuścił duch równin i robił żarty z tego, czego się tu nauczył, jak już poprzednio żartował sobie ze ściśle odmierzonego spaceru odbywanego po śniadaniu. Jednakże zobaczywszy, że siostrzeniec reaguje na te żarty spokojnym uśmiechem, nie objawiającym żadnego zrozumienia, a za to odzwierciedlającym całą zwartość i pewność siebie tego kręgu obyczajów, poczuł strach, zląkł się, czy mu wystarczy energii, i spiesznie postanowił decydującą rozmowę z radcą w sprawie siostrzeńca odbyć jak najprędzej, tego samego popołudnia, póki jeszcze nie utracił własnej osobowości i sił przywiezionych z nizin; czuł bowiem, że znikają, że duch tego miejsca zawarł z jego dobrym wychowaniem niebezpieczne przeciw nim przymierze.

Poza tym czuł, że zupełnie zbędne było zalecenie radcy, by ze względu na anemię prowadził tryb życia chorych; tryb taki wynikał tu bowiem sam z siebie, żaden inny nie był do pomyslenia — a tylko dobrze wychowanemu Tienapplowi trudno było od początku rozstrzygnąć, czy polegało to na złudzeniu wywołanym przez spokój Hansa Castorpa i jego pewność siebie, czy też rzeczywiście i bezwarunkowo nic innego nie można było zrobić ani pomyśleć. Nic nie było naturalniejsze ponad to, że po pierwszym werandowaniu następowało obfite drugie śniadanie, z którego w oczywisty sposób wynikał spacer do Uzdrowiska — a potem Hans Castorp znów zawiązał swego wuja. Zawiązał go — wyraz jest odpowiedni. I w słońcu jesiennym, na fotelu, którego wygodna konstrukcja była bezsporna i godna uznania, kazał mu leżeć, podobnie jak sam le-

żał, do chwili kiedy przejmujący gong wezwał na obiad w gronie pacjentów, obiad pierwszorzędny, elegancki i tak obfity, że następujące po nim wielkie werandowanie stawało się nie zewnętrznym zwyczajem, lecz wewnętrzną koniecznością, wykonywaną z głębi przekonania. I tak działo się dalej do obfitej kolacji i zebrania towarzyskiego w salonie, w którym rozstawione były zabawki optyczne; taki układ dnia narzucał się z łagodną konsekwencją i nie można było przeciwstawić mu żadnych wspomnień ani mu nic zarzucić, nawet gdyby krytyczne zdolności konsula nie były umniejszone przez stan, którego nie nazwałby wprawdzie wprost złym samopoczuciem, ale który w niemiły sposób składał się ze zmęczenia i podniecenia przy jednoczesnych uczuciach rozgrzania i zziębnięcia.

Dla uzyskania rozmowy z radcą dworu Behrensem, której konsul z niepokojem pragnął, użyto drogi urzędowej. Hans Castorp zgłosił wniosek kąpielowemu, a ten przekazał go dalej starszej siostrze, z którą konsul Tienappel zawarł przy tej sposobności osobliwą znajomość: ukazała się na balkonie, zastała go tam leżącego i dziwacznym zachowaniem się wystawiła na próbę dobre wychowanie bezradnej, walcowato zawiniętej istoty. Oświadczyła, że szanowny pan musi, jeśli łaska, zdobyć się na parodniową cierpliwość, radca jest bowiem zajęty — operacje, ogólne badania, cierpiąca ludzkość ma wedle zasad chrześcijańskich pierwszeństwo, a skoro jest rzekomo zdrow, to musi się do tego przyzwyczaić, że nie ma tu numeru jeden, lecz musi stanąć w tyle i czekać. Inna rzecz, jeśliby chciał być zbadany, co by jej, Adriatyki, zresztą nie zdziwiło, niechże jej spojrzy w oczy, jego oczy są trochę mętne i niepewne, i gdy tak leżąc patrzy na nią, to wygląda to tak, jak gdyby i z nim nie wszystko było całkiem w porządku, nie wszystko było czyste, niech ją dobrze zrozumie. A czy we wniosku jego chodzi o badanie, czy też o prywatną rozmowę? — O tę ostatnią, rozumie się, że o rozmowę prywatną! — zapewnił leżący. — W takim razie niech czeka, aż zostanie zawiadomiony. Na prywatne rozmowy radca dworu rzadko ma czas.

Krótko mówiąc, wszystko poszło inaczej, niż James myślał,

a rozmowa ze starszą siostrą zadała poważny cios jego równowadze. Zbyt był kulturalny, by siostrzeńcowi, który niewzruszonym spokojem objawiał swą solidarność z tym, co się tu działo, mógł niegrzecznie powiedzieć, jak okropną wydała mu się ta baba; więc tylko ostrożnie do niego zapukał, by się upewnić, że starsza siostra jest chyba bardzo oryginalną niewiastą — co mu Hans Castorp, spojrzawszy przelotnie z namysłem w powietrze, częściowo potwierdził, odpowiadając pytaniem, czy ta Mylendonk sprzedała mu termometr. — Nie, mnie? Czy to jej dział? — odrzekł wuj... A najgorsze było to, że z wyrazu twarzy siostrzeńca wynikało wyraźnie, iż nie byłby się dziwił, gdyby to, o co pytał, było się rzeczywiście stało. „My nie marzniemy” — czytało się w tym wyrazie twarzy. Ale konsul marzył, było mu ciągle zimno, choć głowę miał gorącą, i myślał sobie, że gdyby starsza siostra była mu rzeczywiście zaproponowała termometr, to odpowiedziałby odmownie, ale że taka odpowiedź ostatecznie nie byłaby słuszną, bo cudzego termometru, na przykład siostrzeńca, jako człowiek cywilizowany nie mógł przecież używać.

Tak przeszło kilka dni, cztery czy pięć. Życie wysłańca biegło po szynach, po tych, które mu położono, i zdawało się nie do pomyślenia, żeby mogło biec poza nimi. Konsul miał za sobą pewne przeżycia, odniósł pewne wrażenia — nie będziemy ich już śledzić. Pewnego dnia w pokoju Hansa Castorpa znalazł czarną szklaną płytkę stojącą na miniaturowej rzeźbionej sztaludze na komodzie obok innych osobistych rzeczy, którymi właściciel przybrał swój czyściutki pokój: podniesiona pod światło, okazała się fotograficznym negatywem. — Cóż to takiego? — zapytał oglądając ją wuj. Było o co pytać! Portret był bowiem bez głowy, był szkieletem ludzkiego tułowia w mglistych otokach ciała, a można było tylko rozpoznać, że był to tors kobiecy. — To? pamiątka — odrzekł Hans Castorp. Na to wuj powiedział: — Pardon! — podobiznę postawił z powrotem na sztaludze i prędko się oddalił. Może to służyć za przykład przeżyć i wrażeń z tych czterech czy pięciu dni. Wziął też udział w pewnej conference dra Krokowskiego, gdyż było

nie do pomyślenia, aby można było nie pójść. A co się tyczy owej prywatnej rozmowy z radcą Behrensem, o którą zabiegał, to życzeniu jego na szósty wreszcie dzień stało się zadość. Został wezwany i zszedł do podziemia, postanowiwszy, że z tym człowiekiem rozmówi się poważnie o swym siostrzeńcu i o marnowanym przezeń czasie.

Wróciwszy zapytał cichszym już głosem:

— Słyszałeś coś podobnego?

Okazało się jednak, że Hans Castorp już na pewno coś podobnego słyszał i że z tego powodu nie zrobiło mu się zimno, więc urwał swą relację, i gdy go siostrzeniec bez większego zresztą zainteresowania zapytał, odpowiedział jedynie: — Och, nic, nic — a tylko od tej pory nabrał nowego nawyku: mianowicie ze zmarszczonymi brwiami i zaciśniętymi ustami spoglądał spod oka gdzieś w górę, a potem gwałtownym ruchem potrząsał głową i patrzył tak samo, ale w przeciwnym kierunku... Czy rozmowa z Behrensem miała inny przebieg, niż to konsul przypuszczał? Czy mowa była nie tylko o Hansie Castorpie, ale później i o nim samym, Jamesie Tienapplu, tak że przestała być rozmową prywatną? Z jego zachowania się można było to wnosić. Okazywał bardzo dobry humor, mówił dużo, śmiał się bez powodu i siostrzeńca uderzył pięścią w pachwinę, wykrzykując: — Halo, stary! — A raz po raz miewał owo szczególne spojrzenie, biegnące to w jednym, to znów nagle w przeciwnym kierunku. Ale oczy jego zwracały się także w kierunku bardziej określonym, zarówno przy stole, jak na obowiązkowych spacerach i wieczornych zebraniach towarzyskich.

Konsul początkowo nie zwracał szczególnej uwagi na niejaką panią Redisch, żonę polskiego przemysłowca, siedzącą przy stole chwilowo nieobecnej pani Salomon i żarłocznego ucznia w okrągłych okularach: bo też była to tylko jedna z wielu werandujących dam, krępa i pełna brunetka, nie pierwszej młodości, zaczynająca już siwieć, ale z wdzięcznym podwójnym podbródkiem i żywymi piwnymi oczami. Nie było mowy, aby pod względem kultury mogła się tam w równinie mierzyć z panią konsulową Tienappel. Jednakże w sobotni wie-

czór, po kolacji, w hallu konsul dzięki dekoltowanej sukni z pajetkami, jaką miała na sobie, zrobił odkrycie, że pani Redisch posiada matowobiałe, mocno ściśnięte, prawdziwie kobiece piersi, których przedział widać było dość głęboko, i odkrycie to wstrząsnęło do głębi duszy i zachwyciło dojrzałego i dystygowanego mężczyznę, jak gdyby to było coś nowego, nieoczekiwanego i niesłychanego. Starał się poznać i poznał panią Redisch, rozmawiał z nią długo, najpierw stojąc, potem siedząc, i poszedł spać podśpiewując. Następnego dnia pani Redisch nie miała już na sobie czarnej sukni z pajetkami i była zapięta pod szyję, ale konsul wiedział co wiedział i został swemu wrażeniu wierny. Usiłował ją spotkać na obowiązkowych spacerach i rozmawiał z nią, idąc obok niej, zwrócony ku niej i nachylony w jakiś szczególny sposób, nalegająco i uwodzicielsko; przepijał do niej przy stole, co ona przyjmowała, odsłaniając w uśmiechu złote korony, które błyszcząły na kilku jej zębach; a w rozmowie z siostrzeńcem nazwał ją wprost „boską kobietą”, po czym znów zaczął podśpiewywać. Wszystko to Hans Castorp znosił ze spokojną wyrozumiałością, z wyrazem twarzy mówiącym, że tak być musi. Ale nie mogło to wzmocnić autorytetu starszego kuzyna i nie harmonizowało z misją konsula.

Posiłek ten, podczas którego konsul, podnosząc kieliszek, pozdrowił panią Redisch, i to dwukrotnie: przy potrawce z ryby i przy sorbecie, radca Behrens spożywał przy stole Hansa Castorpa i jego gościa — przysiadł się przecież kolejno do każdego z siedmiu stołów i przy każdym było dlań zarezerwowane nakrycie po wąskiej stronie stołu, u góry. Złożywszy olbrzymie ręce przed talerzem, siedział ze swym uniesionym w górę wąsikiem między panem Wehsalem a meksykańskim garbussem, z którym rozmawiał po hiszpańsku — znał bowiem wszystkie języki, nawet turecki i węgierski ■— i przyglądał się niebieskimi, wilgotnymi, krwią nabiegłymi oczami, jak konsul Tienappel kieliszkiem bordeaux przesyłał pani Redisch pozdrowienie. Potem podczas posiłku radca wygłosił mały odczyt, pobudzony ku temu przez Jamesa, który znieca z drugiego

końca stołu postawił mu pytanie, jak to jest, kiedy człowiek gnije. Bo przecież radca studiował ciało, jest to niewątpliwie jego dziedzina, jest w swoim rodzaju władcą ciał, jeśli się tak można wyrazić, więc niechże opowie, jak to się dzieje, gdy się ciało rozkłada!

— Przede wszystkim pęka panu brzuch — odrzekł radca, rozłożywszy łokcie i pochyliwszy się nad splecionymi rękami. — Leży pan na swoich wiórach i trocinach, a gazy, rozumie pan, wydymają go, nadymają tak, jak to niegrzeczne chłopaki robią z żabami wdmuchując w nie powietrze — w końcu jest pan po prostu jak balon, a potem opona brzuszna nie wytrzyma takiego napięcia i pęka. Paf! lżej się panu robi, jest jak z Judaszem Iskariotą, kiedy spadł z gałęzi. Wnętrznosci wylewają się panu z brzucha. Taak, potem mógłby pan właściwie brać znów udział w życiu towarzyskim. Gdyby pan dostał urlop, to mógłby odwiedzić pozostałą po sobie rodzinę, nie budząc odrazy. To się nazywa przestać cuchnąć. I byle się potem wydostać na powietrze, to się znów pięknie wygląda, jak ci obywatele z Palermo wiszący w katakumbach kapucynów przed Porta Nuova. Wiszą tam wyschnięci i elegancy i cieszą się powszechnym poważaniem. Chodzi tylko o to, żeby przestać cuchnąć.

— Rozumie się — rzekł konsul. — Dziękuję uprzejmie. — I następnego dnia już go nie było.

Odjechał, pierwszym pociągiem zjechał w dół, w równiny — oczywiście, uporządkowawszy uprzednio swe sprawy, nikt przecież nie sądzi, że mogło być inaczej. Zapłacił rachunek, złożył honorarium za przeprowadzone badanie, w zupełnej tajemnicy, słówka nie szepnąwszy kuzynowi, zapakował obie swe walizy — stało się to zapewne wieczorem lub rankiem, kiedy wszyscy byli jeszcze pogrążeni we śnie — i gdy Hans Castorp w porze pierwszego śniadania wszedł do pokoju wuja, pokój był już opróżniony.

Podpierając się pod boki stał i powtarzał: „No, no”. W owej to chwili zrodził się na jego twarzy melancholijny uśmiech. — Ach, tak — rzekł, kiwając głową. Oto ktoś dał drapak. Na łeb, na szyję, w milczeniu i pośpiechu, jak gdyby chcąc uchwy-

cić chwilę stanowczości i chwili tej broń Boże nie przepuścić, powrzucał swe rzeczy do waliz i uciekł: sam, a nie we dwóch, nie spełniwszy zaszczytnej misji, ale szczęśliwy, że przynajmniej sam uszedł, zacny zbieg pod sztandar równiny, wuj James. No, szczęśliwej drogi!

Hans Castorp nie dał po sobie poznać, że nic nie wiedział o zamierzonym wyjeździe krewnego, a w szczególności nie dał tego poznać kulawemu, który konsula odwiózł na dworzec. Znad Jeziora Bodeńskiego otrzymał kartkę tej treści, że James dostał depeszę wzywającą go niezwłocznie w interesach na równiny. Nie chciał zaś niepokoić siostrzeńca. — Konwencjonalne kłamstwo. — „Przyjemnego dalszego pobytu!” Czy były to kpiny? Jeśli tak, to bardzo wymuszone, Hans Castorp wiedział dobrze, że wuj nie był skłonny do kpin ani do żartów, gdy zdecydował się na ucieczkę; błąd strach go obleciał, gdy mocą wyobraźni zdał sobie sprawę, że teraz, po tygodniowym pobycie tu w górze, powróciwszy w równiny, będzie przez jakiś czas uważał za rzecz niesłuszną, nienaturalną i niedozwoloną, iż po śniadaniu nie wybierze się na służbowy spacer, a potem — otulony rytualnie kocami — nie będzie leżeć na powietrzu, lecz zamiast tego pójdzie do swego kantoru. Ta przerażająca świadomość była bezpośrednią przyczyną jego ucieczki.

Tak zakończyła się próba równiny, aby odzyskać Hansa Castorpa. Młody człowiek zdawał sobie z tego sprawę, że — przewidziane przezeń — zupełne niepowodzenie tej próby mieć będzie decydujące znaczenie w jego stosunkach z ludźmi z równiny. Oni zareagują na nie tylko wzruszeniem ramion i definitywnym rzeczeniem się wszelkich pretensji, a on uzyska zupełną wolność; myśl o niej nie wprawiała już serca jego w drżenie.

OPERATIONES SPIRITUALES*

Leon Naphta pochodził z małej miejscowości w pobliżu granicy Galicji i Wołynia. Ojciec jego, o którym odzywał się z szacunkiem, niewątpliwie w poczuciu, że sam na tyle już od-

szedł od swego pierwotnego świata, iż może go sądzić z życzliwością, ojciec jego był tam szochetem, rzeźnikiem. Zawód ten różnił się niezmiernie od zawodu chrześcijańskiego rzeźnika, który był rzemieślnikiem i kupcem. Natomiast ojciec Leona był osobą urzędową, i to duchowną. Przeegzaminowany przez rabiną w swym zbożnym kunszcie i upelnomocniony przezeń do zabijania odpowiedniego była wedle praw Mojżesza, zgodnie z przepisami Talmudu, Eliasza Naphta, którego niebieskie oczy, wedle opisu syna, promieniały blaskiem gwiazd, pełen skupionego uduchowienia, nabrał sam pewnych cech kapłańskich, uroczystych, przypominających, że w zamierzchłych czasach ubój był istotnie rzeczą kapłana. Leon, czyli Lejb, jak go w dzieciństwie nazywano, mógł się przypatrywać, jak na podwórzu ojciec, z pomocą olbrzymiego parobka, młodego atletycznego Żyda, przy którym wzięty Eliasza ze swą okrągłą blond brodą wydawał się jeszcze delikatniejszy i drobniejszy, wykonywał swój rytualny urząd, jak wobec związanego i zakneblowanego, ale nie ogłuszonego zwierzęcia wymachiwał swym wielkim rzeźnickim nożem i zadawał mu głębokie cięcie w okolicy kręgu szyjnego, podczas gdy parobek chwycił tryskającą i parującą krew w szybko wypełniające się naczynia: widowisko to Leon ogarniał tym spojrzeniem dziecięcym, które poprzez powłokę zmysłową sięga do istoty rzeczy, a które w szczególnym stopniu mógł posiadać syn Eliasza o promiennych oczach. Wiedział, że rzeźnicy-chrześcijanie, zanim zabiją zwierzę, obowiązani są odebrać mu świadomość przez uderzenie pałką czy siekierą i że przepis ten ma zapobiegać męczeniu zwierząt i okrucieństwu, a tymczasem jego ojciec, choć o tyle delikatniejszy i mędrszy od tamtych prostaków, a przy tym posiadający jak żaden z nich oczy promieniejące blaskiem gwiazd, postępował zgodnie z prawem, zarzynając nie ogłuszone stworzenie i wypuszczając z niego krew, póki nie padło. Mały Lejb czuł, że metoda tych prostackich gojów ma swe źródło w gnuśnej, świeckiej dobroduszości i że świętość nie doznaje w niej w tym stopniu czci, jak w uroczystym braku litości, objawiającym się w sposobie postępowania ojca. Toteż

wyobrażenie pobożności sprzęgło mu się z wyobrażeniem okrucieństwa, tak jak widok i zapach tryskającej krwi zespolił się w jego wyobraźni z ideą świętości i uduchowienia. Wiedział bowiem, że swój krwawy zawód ojciec wybrał nie z brutalnego upodobania, jakie mogli w nim znajdować silni fizycznie parobcy chrześcijańscy, a nawet jego własny sługa, ale uczynił to dla względów natury duchowej, wbrew swemu wątlemu ustrojowi cielesnemu, zgodnie zaś ze swymi promiennymi oczami.

W rzeczywistości Eliasz Naphta był człowiekiem skłonnym do rozmyślań i subtelnych dociekań, był nie tylko badaczem Tory, ale też krytykiem Pisma, na temat którego dyskutował i nieraz spierał się z rabinem. W całej okolicy, i to nie tylko u współwyznawców, uchodził za coś wyjątkowego, za kogoś, kto wie więcej od innych — po części w rzeczach pobożnych, po części jednak także w rzeczach niezupełnie bezpiecznych, a w każdym razie nie idących zwykłym torem. Było w nim jakieś sekciarskie wyłamywanie się z ustalonych reguł, coś z pomazańca, baal-szema czy cadyka, czyli cudotwórcy, zwłaszcza że rzeczywiście krwią i zamawianiem wyleczył raz pewną kobietę ze złośliwych wyrzutów, a innym razem jakiegoś chłopca z kurczów. Ale właśnie ten nimb niesamowitej pobożności, w której zapach krwi związany z jego zawodem odgrywał pewną rolę, stał się jego zgubą. Bo przy rozruchach ludowych, wśród szału i paniki, wywołanej niewyjaśnioną śmiercią dwojga chrześcijańskich dzieci, Eliasz został zamordowany w straszny sposób: znaleziono go ukrzyżowanego na drzwiach jego płonącego domu. Wówczas żona jego, suchotnica, choć obłożnie chora, i wszystkie dzieci — Lejb i jego cztery siostry — uciekli z kraju, krzycząc i biadając, z podniesionymi rękami.

Po klęsce tej rodzina, dzięki zapobiegliwości Eliasza niezupełnie zresztą pozbawiona środków, znalazła przytułek w jednym z miasteczek Przedarulanii*: pani Naphta znalazła tam zajęcie w przędzalni bawełny i pracowała, o ile i póki siły jej na to pozwalały, starsze zaś dzieci uczęszczały do szkoły ludowej. Pokarm duchowy, udzielany w tym zakładzie, mógł wystarczać usposobieniu i potrzebom rodzeństwa Leona, ale by-

najmniej nie jemu, najstarszemu z dzieci. Po matce odziedziczył zarodki choroby płuc, po ojcu jednak nie tylko drobną budowę ciała, ale też niezwykłą inteligencję, zalety umysłu, do których wcześniej przyłączyły się dumne instynkty, wyższe ambicje, nurtująca tęsknota za wytworniejszymi formami egzystencji i namiętne dążenie do wyjścia poza sferę, z której pochodził. Jako chłopiec czternasto- i piętnastoletni, dzięki książkom, które umiał zdobywać, rozwijał i karmił poza szkołą swój umysł w sposób niesystematyczny i niecierpliwy. Myślał i mówił rzeczy, wobec których jego wiecznie cherlająca matka przekrzywiwszy głowę wciągała ją między ramiona i wznosiła w górę swe zniszczone ręce. Osobą swą i wypowiedziami zainteresował podczas lekcji religii miejscowego rabiną, człowieka pobożnego i uczonego, który zaczął go uczyć prywatnie i potrzeby formalne jego umysłu zaspokajał nauką hebrajskiego i języków klasycznych, a potrzeby logiczne — nauczaniem matematyki. Dobry ten człowiek nie doczekał się za to wdzięczności, a z czasem okazywało się coraz bardziej, że zmięł wyhodował na swym łonie. Stosunki ułożyły się tak, jak niegdyś między Eliaszem Naphtą a jego rabinem: nie znosili się wzajem. Między nauczycielem a uczniem dochodziło do tarć natury religijnej i filozoficznej, które się stale wzmagaly, a niechętnie usposobienie młodego Leona, jego skłonność do krytykowania i podawania wszystkiego w wątpliwość, jego duch sprzeciwu, cięta dialektyka, coraz bardziej dawały się we znaki uczniemu w Piśmie. Przy tym subtelny a skłonny do podważania wszystkiego umysł Leona nabrał piętna rewolucyjnego: znajomość z synem socjaldemokratycznego członka rady państwa i z samym tym przywódcą mas skierowała jego myśl na drogi polityczne, a jego namiętność logiczną na tory krytyki społecznej; miewał przemowy, od których pocziwemu i lojalnemu talmudyście włosy stawały dęba i które ostateczny cios zadały porozumieniu między nauczycielem a uczniem. Krótko mówiąc, doszło do tego, iż zerwał z Naphtą i raz na zawsze zamknął przed nim drzwi swego domu. Stało się to w tym samym czasie, kiedy umierała matka Leona, Rachel Naphtą.

Ale wówczas, bezpośrednio po śmierci matki, Leon zawarł znajomość z ojcem Unterpertingerem. Jako szesnastoletni chłopiec siedział samotnie na ławce w parku na wzgórzu zwanym Margaretenkopf, na zachód od miasteczka, nad brzegiem Ulu, skąd roztaczał się daleki i pogodny widok na dolinę Renu — siedział pogrążony w posępnych i gorzkich myślach o swym losie, o swej przyszłości, gdy oto przechadzający się tam jeden z nauczycieli, prowadzonego przez jezuitów pensjonatu „Gwiazda Zaranna”, zajął obok niego miejsce, położył przy sobie kapelusz, pod sutanną nogę założył na nogę, a poczytawszy trochę z brewiarza, nawiązał rozmowę, która rozwinęła się żywo, a miała zadecydować o losie Leona. Jezuita, człowiek o dużej znajomości świata i dużej ogładzie, pedagog z zamiłowania, znawca ludzi i łowca dusz, zainteresował się od razu pierwszymi zdaniem, szyderczymi a jasno artykułowanymi, którymi biedny Żydek odpowiedział na jego pytania. Z odpowiedzi tych promieniował umysł ostry a udęczonej, a wnikając głębiej jezuita odnalazł w nich także wiedzę i złośliwą wytworność myśli, które wobec obszarpanego wyglądu młodego człowieka były zupełnie nieoczekiwane. Mówili o Marksie, którego „Kapitał” Leon Naphta studiował w popularnym wydaniu, a od niego przeszli do Hegla, którego czy o którym czytał również tyle, ile trzeba było, by mógł powiedzieć o nim rzeczy godne uwagi. Z właściwej sobie skłonności do paradoksów czy też z uprzejmości — nazwał Hegla myślicielem „katolickim”, a na wypowiedziane z uśmiechem pytanie Ojca, jakby to można uzasadnić, bo przecież Hegel, jako pruski filozof państwa, właściwie i naprawdę musi uchodzić za protestanta, odrzekł, że właśnie wyrażenie „filozof państwa” potwierdza słuszność jego twierdzenia o katolickości Hegla w sensie religijnym, choć oczywiście nie w kościelno-dogmatycznym. Albowiem (ten spójnik Naphta specjalnie lubił; nabierał on w jego ustach czegoś triumfująco-nieubłaganego, a oczy jego błyskały za okularami, ilekroć mógł go użyć), albowiem pojęcie polityczności jest psychologicznie sprzęgnięte z pojęciem katolicyzmu, tworzą one jedną kategorię, obejmującą wszystko, co obiektywne,

czynne, co ma zdolność urzeczywistniania i oddziaływania na zewnętrzny świat. Tej kategorii przeciwstawia się pietystyczna, z mistyki wyrosła sfera protestantyzmu. Polityczno-pedagogiczna istota katolicyzmu ujawnia się w jezuityzmie; sztukę rządzenia i wychowywania zakon ten zawsze miał za swoją domenę. I wymienił jeszcze Goethego, który choć wyrosły w pietyzmie i niewątpliwie protestant, miał też wybitnie katolickie oblicze, a to dzięki swemu obiektywizmowi i swej teorii działania. Bronił on spowiedzi i jako wychowawca był prawie jezuitą.

Naphta mówił to wszystko bądź dlatego, że w to wierzył, bądź że uważał za dowcipne, bądź żeby przypodobać się słuchaczowi; jako biedak, zmuszony był pochlebiać i dobrze obliczać, czym może sobie zaszkodzić, a czym pomóc. Ksiądz mniej zwracał uwagi na to, czy było prawdą to, co słyszał, a więcej na bystrość umysłu, która się w tym objawiała; rozmowa potoczyła się dalej i niebawem jezuita dowiedział się o osobistym położeniu Leona, a na koniec zaprosił chłopca, by go odwiedził w Pedagogium.

Dzięki temu mógł Naphta wstąpić w progi uczelni Stella Matutina *, której atmosfera, na wysokim poziomie naukowym i towarzyskim, od dawna już podniecała jego wyobraźnię i budziła tęsknotę. Co więcej: ten obrót rzeczy dał mu nowego nauczyciela i opiekuna, mającego więcej od poprzedniego danych, by cenić i rozwijać jego naturę, mistrza chłodnego wprawdzie z usposobienia, ale dobrego dzięki znajomości świata, a należącego do sfery, do której Naphta najusilniej pragnął się dostać. Jak wielu inteligentnych Żydów, Naphta był z instynktu jednocześnie rewolucjonistą i arystokratą; był socjalistą, a jednocześnie marzył o tym, by mieć udział w wytwornych, ekskluzywnych i rygorystycznych formach życia. Pierwszym jego doświadczeniem wobec katolickiego teologa było — wypowiedziane co prawda analitycznie i porównawczo — wyznanie miłości do Kościoła katolickiego, odczuwane go przezeń jako potęgą dostojna i uduchowiona, to znaczy antymaterialna, zwrócona przeciw rzeczywistości, przeciw

światu, a więc jako potęga rewolucyjną. I hołd ten był szczery, pochodził z samego jądra jego istoty; albowiem, jak to sam wywodził, żydostwo dzięki temu, że jest nastawione na sprawy ziemskie i rzeczowe, że ma skłonność do socjalizmu i uduchowionej polityki, jest sferze katolickiej daleko bliższe, bardziej jej pokrewne, aniżeli protestantyzm ze swą kontemplacyjnością i mistyczną subiektywnością — dlatego też przejście żyda na łono Kościoła katolickiego wymaga daleko mniej duchowego przezwyciężenia się niż przejście protestanta.

Poróżniony z pasterzem swej pierwotnej gminy religijnej, osierocony i opuszczony, a jednocześnie żądny czystszej atmosfery życiowej i takich form istnienia, do jakich jego zdolności dawały mu prawo, Naphta, który już dawno osiągnął potrzebny do tego ustawowo wiek, był nie tylko gotów do zmiany wyznania, ale pragnął jej tak niecierpliwie, że jego „odkrywca” nie potrzebował robić żadnego wysiłku, aby tę duszę czy raczej tę niezwykłą głowę zdobyć dla swej religii. Dzięki Ojcu Leon jeszcze przed przyjęciem chrztu znalazł w „Stelli” tymczasowy przytułek, zaopatrzenie cielesne i duchowe. Przeniósł się tam, z największym spokojem, z obojętnością duchowego arystokraty, pozostawiawszy swe młodsze rodzeństwo opiece społecznej i takiemu losowi, jaki się należy istotom mniej uzdolnionym.

Obszar zajmowany przez zakład wychowawczy był równie rozległy jak jego zabudowania, mieszczące około czterystu wychowanków. Całość obejmowała lasy i pastwiska, pół tuzina placów sportowych, budynki gospodarcze, obory na setki krów. Instytut był jednocześnie pensjonatem, wzorowym gospodarstwem, akademią sportową, szkołą uczonych i świątynią muz. Wciąż bowiem urządzano w nim przedstawienia teatralne i koncerty. Życie było tu pańsko-klasztorne. Swą dyscypliną i elegancją, dyskretną wesołością, swym uduchowieniem, dbałością o wszystkie potrzeby, ścisłym przestrzeganiem urozmaiconego rozkładu dnia odpowiadało ono najgłębszym instynktom Leona. Był nad wszelką miarę szczęśliwy. Znakomite posiłki podawano mu w obszernym refektarzu, podczas nich —

tak samo jak na korytarzach zakładu — obowiązywało milczenie, a tylko młody prefekt, siedząc pośrodku refektarza na wysokiej katedrze, zabawiał jedzących czytaniem na głos. Leon uczył się z żarliwą gorliwością, a mimo słabych płuc robił co mógł, by po południu wyróżniać się też w grach i sportach. Pobożność, z jaką codziennie słuchał porannej mszy, a w niedzielę uroczystego nabożeństwa, nie mogła nie cieszyć Ojców-pedagogów. Nie mniej zadowalały ich jego manieri. W świąteczne popołudnie, po ciastkach i winie, w popielatozielonym mundurze, z wysokim kołnierzykiem, z lamпасami na spodniach i w czapce wojskowego fasonu szedł w szeregu na spacer.

Wdzięcznością i zachwytem napępiała go dyskrecja, z jaką traktowane było jego pochodzenie, jego chrystianizm świeżej daty i w ogóle jego sprawy osobiste. Zdawało się, że nikt nie wie, iż jest w zakładzie trzymany bezpłatnie. Obowiązujący regulamin odwracał uwagę jego kolegów od faktu, że nie miał opacia rodzinnego ani ojczyzny. Otrzymywanie paczek z żywnością i łakociami było zabronione; a jeśli jednak przychodziły, to były dzielone między wszystkich i Leon również otrzymywał swą część. Dzięki kosmopolitycznemu charakterowi zakładu nie raził jego typ rasowy. Egzotyczni młodzi ludzie, Portugalczycy z Południowej Ameryki wyglądali bardziej na Żydów niż on — więc też zatracano się to pojęcie. Etiopski książę o kędzierzawej głowie, przyjęty jednocześnie z Naphtą, miał wytworny wprawdzie, ale wręcz murzyński typ.

Będąc w retoryce Leon objawił chęć studiowania teologii, aby jeśli zostanie uznany za godnego — mógł kiedyś wstąpić do Zakonu. Skutkiem tego było, że z „drugiego pensjonatu”, w którym koszty były mniejsze, ale też poziom utrzymania niższy, przeniesiony został do „pierwszego”. Teraz przy stole usługiwali mu lokaje, a sypialnia jego sąsiadowała z pokojami śląskiego hrabiego Harbuval und Chamare z jednej strony, a margrabiego di Rangoni-Santacroce z Modeny z drugiej. Szkoły ukończył świetnie i zgodnie ze swym postanowieniem zamienił życie wychowanka Pedagogium na życie w domu nowiejackim, w sąsiedniej miejscowości Tisis; było to życie od-

dane usłużności, pokorze, milczeniu, uległości i ćwiczeniom religijnym, w których odnajdował duchowe rozkosze, odpowiadające wczesnym ideom fanatycznym.

Tymczasem jednak ucierpiało jego zdrowie — nie tyle bezpośrednio przez surowość nowicjatu, w którym nie brakło rekreacji, ile z przyczyn wewnętrznych. Bo praktyki wychowawcze, których był przedmiotem, swą mądrością i subtelnością odpowiadały jego osobistym dyspozycjom i jeszcze je potęgowały. Przy ćwiczeniach duchowych, na których spędzał swe dnie i część nocy, przy wszystkich tych roztrząsaniach sumienia, rozmyślaniach, medytacjach, zaplątywał się z zajądłą namiętnością w tysiące trudności, sprzeczności, spornych spraw. Doprowadzał do rozpaczony swego kierownika duchowego — choć budził też w nim największe nadzieje — bo mu swymi dialektycznymi zapytaniami i swym brakiem prostoty co dzień zatruwał życie. „Ad haec quid tu?” * — pytał błyskając szklami swych okularów. I przyciśniętemu do muru Ojcu nie pozostawało nic innego, jak nawoływać go do modlitwy, aby odzyskał spokój duszy — „ut in aliquem gradum quietis in anima perveniat” *. Ale znów „spokój” ten, jeśli przychodził, polegał na całkowitym otepieniu życia osobistego, na zredukowaniu go do roli narzędzia jedynie, na cmentarnej jakby ciszy duchowej, której niepokojące cechy zewnętrzne brat Naphta mógł studiować na niejednych zapadłych policzkach w swym otoczeniu, a którą sam mógłby osiągnąć chyba tylko kosztem całkowitej ruiny cielesnej.

Było to dowodem wysokiego duchowego poziomu jego przełożonych, że wszystkie te jego skrupuły i trudności nie zaszkodziły dobrej opinii, jaką o nim miano. Sam ojciec prowincjał wezwał go do siebie po dwuletnim nowicjacie, odbył z nim rozmowę i wyraził zgodę na przyjęcie go do Zakonu; i młody scholastyk uzyskał cztery niższe święcenia, mianowicie furtiana, ministranta, lektora i egzorcysty, a także złożył „zwykle” śluby i przez to już definitywnie wszedł do Towarzystwa; wyjechał wówczas do kolegium w holenderskim Falkenburgu, aby tam kontynuować studia teologiczne.

Miał wtedy lat dwadzieścia; po trzech latach, na skutek niebezpiecznego dlań klimatu i wysiłków psychicznych, odziedziczona choroba uczyniła takie postępy, że musiał zaniechać dalszego tam pobytu, bo zagrażał jego życiu. Krwotok, jakiemu uległ, zaalarmował zwierzchników; przez szereg tygodni był między życiem a śmiercią i, ledwie wyleczony, odesłany został tam, skąd przybył. W tym samym zakładzie wychowawczym, w którym przeszedł szkoły, otrzymał stanowisko prefekta, nadzorcy alumnów, i nauczyciela przedmiotów humanistycznych i filozofii. Zajęcie takie odpowiadało regulaminowi, ale było w zwyczaju, że po niewielu latach wracało się do kolegium, aby w nim uczyć się dalej i ukończyć siedmioletnie studium teologii. Natomiast bratu Naphcie było to wzbronione. Zapadał dalej na zdrowiu; lekarz i przełożeni byli zdania, że tylko służba tam na miejscu, w zdrowym powietrzu, zajęcia wychowawcze i gospodarcze są dlań na razie odpowiednie. Otrzymał wprawdzie pierwsze wyższe święcenia i uzyskał prawo śpiewania epistoły w niedzielę podczas sumy, prawo, z którego zresztą nie korzystał, bo po pierwsze był całkowicie niemuzykalny, a następnie dlatego, że chorobliwie załamujący się jego głos mało się nadawał do śpiewu. Doszedł wszakże tylko do subdiaconatu, na diakona nie został już wyświęcony, a tym bardziej na księdza; a że krwotoki się powtarzały i gorączka nie ustępowała, przyjechał więc na koszt Zakonu tu w górę, na dłuższą kurację; ciągnęła się ona już szósty rok, a właściwie przestała być kuracją, stała się kategorycznym wymaganiami życia, które kazało mu przebywać w rozrzedzonym górskim powietrzu; pobyt tu uprzyjemniał sobie tylko nauczając po trosze łaciny w gimnazjum dla chorych...

Tego wszystkiego i dalszych jeszcze szczegółów dowiedział się Hans Castorp od samego Naphty w rozmowach, które z nim prowadził, gdy go odwiedzał w jego jedwabnej celi, sam czy też w towarzystwie Fergego i Wehsala, których tam wprowadził, albo na spacerach, ilekroć go spotkał i z nim razem wracał

do Wsi. Dowiedział się tych rzeczy przy różnych okazjach, fragmentarycznie albo też w postaci zwartej opowiadania; sam uważał je za bardzo osobliwe, a nawet domagał się tego od Fergego i Wehsala, którzy je rzeczywiście również za osobliwe uważali: pierwszy z zastrzeżeniem, że wszelkie wyżyny są dla niego niedostępne (to, co przeżył, przy wstrząsie opłucnowym, było jedyną rzeczą, która go wyniosła ponad elementarne ludzkie sprawy), drugi zaś z wyraźnym zadowoleniem z powodu pomyślanej kariery istoty niegdyś uciśnionej, kariery, która zresztą, ponieważ nie ma cudów na świecie, już jak gdyby uległa zahamowaniu i załamała się przez wspólną im wszystkim chorobę.

Hans Castorp ze swej strony ubolewał nad tym zastojem i z dumą i troską myślał o szlachetnym Joachimie, który bohaterem wysiłkiem wyrwał się z oplątującej go jak sieć wymowy Radamantysa i uciekł pod swój sztandar; Hans Castorp wyobrażał go sobie, jak kurczowo się tego sztandaru uchwycił i przysięga mu wierność wzniesionymi trzema palcami prawicy. Tak samo ślubował i Naphta, on także przyjęty został pod sztandar, jak się sam wyraził, wyjaśniając Hansowi Castorpowi istotę swego Zakonu. A chociaż przez swe odchylenia i kombinacje był on wyraźnie mniej wierny swemu sztandarowi niż Joachim swojemu — jednakże Hans Castorp, sam przesiąknięty duchem cywilnym i pokojowym, słuchając tego byłego czy przyszłego jezuitę, utrwał się tylko w przekonaniu, że tym obu powinien się wzajem podobać ich stan i powołanie, powinni rozumieć ich pokrewieństwo. Były to bowiem stany wojskowe, jeden tak samo jak drugi, i to w niejednym znaczeniu, bo zarówno ze względu na cechującą oba stany „ascezę”, jak i na panującą w nich hierarchię, posłuszeństwo i hiszpańskie pojmowanie honoru. Zwłaszcza to ostatnie było niezmiernie silne w zakonie jezuitów, który wszak wywodził się z Hiszpanii, a którego regulamin ćwiczeń duchownych — poniekąd odpowiednik regulaminu, jaki później pruski Fryderyk wydał dla swej piechoty — był pierwotnie zredagowany w języku hiszpańskim, co sprawiało, że Naphta czy to opowiadając, czy udzie-

łając pouczeń częstokroć posługiwał się hiszpańskim. Mówił tedy o dos banderas, czyli o dwóch sztandarach, pod którymi skupiają się do wielkiej wojny dwie armie, armia piekła i armia duchowna: druga z nich pod Jerozolimą, gdzie wszystkimi dobrymi dowodzi Chrystus, ich capitán generał*, a pierwsza na równinach Babilonu, gdzie Lucyfer występuje jako caudillo, czyli herszt...

Czyż zakład „Gwiazdy Zarannej” nie był prawdziwą szkołą kadetów, której wychowankowie, podzieleni na „dywizje”, byli ćwiczeni w kapłańsko-wojskowej bienseance i stanowili, jeśli tak rzec można, połączenie „krochmalonego kołnierzyka” z „hiszpańską kryzą”? Idea honoru i żądza odznaczenia się, która tak wielką rolę odgrywała w zawodzie Joachima, jakże wyraźnie występuje — tak myślał sobie Hans Castorp — również i w tym, w którym Naphta, niestety, z powodu choroby nie zaszedł daleko! Słuchając go miało się wrażenie, że Zakon składa się z samych ambitnych oficerów, opanowanych tą jedną tylko myślą, aby się odznaczyć w służbie (Insignes esse, nazywało się to po łacinie). Opierając się na nauce i regulaminie twórcy Zakonu i jego pierwszego generała, Hiszpana Loyoli, czynili oni więcej, spełniali świetniej swą służbę niż ludzie kierujący się jedynie zdrowym rozsądkiem. Przeciwnie, pracę swą wykonywali ex supererogatione, ponad obowiązek, albowiem przeciwstawiali ją nie tylko buntowi ciała (rebellioni carnis), co robi każdy człowiek o przeciętnym zdrowym rozsądku, ale także tym skłonnościom zmysłowym, egoistycznym i światowym, które są normalnie dozwolone. Bo występować bojowo przeciw wrogowi, agere contra, więc działać zaczepnie, znaczy więcej i jest zaszczytniejsze aniżeli się tylko bronić (resistere). Wroga osłabić i złamać! Tak było powiedziane w instrukcji służby polowej, a jej autor, Hiszpan Loyola, był tu znów całkowicie jedno-myślny z capitán generał Joachima, z Prusakim Fryderykiem i z jego zasadą strategiczną: „Atakować! atakować!”, „Siedzieć wrogowi na karku!” „Attaquez donc toujours!” *.

Przed wszystkim jednak wspólny był obu światom, światu Naphty i Joachima, stosunek do krwi i pewnik, że nie należy

się przed nią cofać: w tym szczególnie zgodne były z sobą oba światy, zakony, stany, i dla kogoś, kto wyrósł w atmosferze pokoju, ze wszech miar pouczające były opowiadania Naphty o wojowniczych typach mnichów średniowiecznych, uprawiających ascezę aż do ostateczności, ale zarazem pełnych duchownej żądy władzy i gotowych nie żałować krwi dla ustanowienia Państwa Bożego i panowania sił nadprzyrodzonych; jego opowiadania o bitnych templariuszach, dla których śmierć w walce z niewiernymi była większą zasługą niż śmierć w łóżku i którzy sądzili, że w imię Chrystusa być zabitym czy zabijającym nie jest przestępstwem, lecz największą chwałą. Dobrze było, gdy Settembrini był nieobecny przy tych przemówieniach! Bo jeśli był obecny, to odgrywał rolę zakłócającego spokój katarzyniarza, powtarzając wciąż swą piosenkę o pokoju — choć przecież jednej wojny bynajmniej nie potępiał, mianowicie narodowej i cywilizacyjnej wojny z Wiedniem, a tę jego namietność i słabość Naphta znów traktował z szyderstwem i pogardą. Gdy Włoch rozpromieniał się takimi uczuciami, on przeciwstawił im chrześcijański kosmopolityzm, twierdził, że każdy kraj jest ojczyzną, a zarazem nie jest nią żaden, i twardo powtarzał powiedzenia generała Zakonu nazwiskiem Nickel, że miłość ojczyzny jest „zarazą i najpewniejszą śmiercią miłości chrześcijańskiej”.

Rozumie się, że to asceza kazała Naphcie miłość ojczyzny nazywać zarazą — bo czegoż nie obejmował on tą nazwą, czegoż nie przeciwstawił ascezie i Państwu Bożemu! Nie tylko przywiązanie do rcdziny i rodzinnego kraju, ale także do zdrowia i do życia: z nich to robił humaniście zarzuty, gdy ten wygrywał swą piosenkę o pokoju i szczęściu; wypominał mu kłótliwie miłość cielesną, amor carnalis, i zamiłowanie do wygod cielesnych, commodorum corporis, przykładanie zaś najmniejszej nawet wagi do życia i zdrowia nazywał mu prosto w oczy mieszcząską bezbożnością.

Pewnego dnia, blisko już Bożego Narodzenia, podczas spaceru wśród śniegu do Uzdrowiska i z powrotem, z takiej różnicy zdań wywiązało się wielkie colloquium o zdrowiu i choro-

bie, w którym wszyscy wzięli udział: Settembrini, Naphta, Hans Castorp, Ferge i Wehsal, wszyscy w stanie podgorączkowym i bliscy drżenia, wszyscy odurzeni i zarazem podnieceni chodzeniem i mówieniem w wysokogórskim mrozie: jedni brali w tej dyskusji udział bardziej czynny, jak Naphta i Settembrini, inni zaś raczej bierny i tylko krótkimi wątpliwościami uzupełniali rozmowę, jednakże wszyscy dyskutowali z takim przejęciem i zapałem, że raz po raz z roztargnienia przystawali i tworzyli grupę ludzi zaferowanych, gestykulujących, mówiących jeden przez drugiego, tamując przejście i nie troszcząc się o obcych przechodniów, którzy musieli ich okrażać i którzy również się zatrzymywali, nadstawiali uszu i ze zdziwieniem przysłuchiwali się ich namiętnym wywodom.

Właściwie dyskusja zaczęła się od Karen Karstedt, biednej Karen, z rankami na końcach palców, która niedawno zmarła. Hans Castorp nic nie wiedział o nagłych postępach jej choroby i zgonie; inaczej byłby chętnie wziął po koleżeńsku udział w pogrzebie — zwłaszcza że miał nietajone upodobanie do pogrzebów w ogóle. Jednakże lokalna dyskrecja sprawiła, że za późno dowiedział się o odejściu Karen, gdy ta zajęła już definitywnie poziomą pozycję w ogrodzie z amorkiem przykrytym krzywą czapą śnieżną. Requiem aeternam... wspomnieniu jej poświęcił parę życzliwych słów, które skłoniły pana Settembriniego do drwin z jego charytatywnej działalności, z odwiedzania przezeń Leili Gerngross, handlowo myślącego Rotbeina, przepelnionej pani Zimmermann, chełpliwego syna Tous-les-deux, udręczonej Natalii von Mallinckrodt, a potem jeszcze rozwodził się nad kosztownymi kwiatami, za pomocą których inżynier objawiał swe oddanie temu beznadziejnemu i śmiesz-nemu rodzajowi ludzi. Hans Castorp zwrócił na to uwagę, iż ci, którzy korzystali z jego uprzejmości, z tymczasowym wyjątkiem pani von Mallinckrodt i małego Teddy, całkiem na serio pomarli, na co Settembrini zapytał, czy się przez to stali bardziej godnymi szacunku. Ale przecież istnieje coś, odparł Hans Castorp, co by można nazwać chrześcijańskim poszanowaniem niedoli ludzkiej. Zanim jeszcze Settembrini zdążył go za to

skarcić, Naphta zaczął mówić o znanej ze średniowiecza pobożnej przesadzie w czynieniu miłosierdzia, o zdumiewających wypadkach fanatyzmu i ekstazy przy pielęgnowaniu chorych; córki królewskie całowały cuchnące rany trędowatych, umyślnie się od nich zarażały i wtedy wrzody swe nazywały różami, piły wodę, którą obmywały ropiejące rany, i potem twierdziły, iż nigdy im nic bardziej nie smakowało.

Settembrini udawał, że mu się zbiera na wymioty. Przewracając się w nim flaki, mówił, nie tyle z powodu tego, co jest fizycznie wstrętne w tych obrazach i wyobrażeniach, ile z powodu potwornego obłędu, jaki wychodzi na jaw w takim pojmowaniu czynnej miłości bliźniego. Wyprostował się i odzyskał swą pogodną powagę dopiero wtedy, gdy zaczął mówić o nowoczesnie postępowych formach humanitarnej opieki społecznej, o zwycięskim zwalczaniu epidemii i owym okropnościami przeciwstawił higienę, reformę społeczną i zdobycze nauki lekarskiej.

Rzeczy te, szanowane w burżuazyjnym środowisku, odparł Naphta, niewiele by jednak pomogły w tamtych stuleciach; nie byłyby wtedy pomogły ani jednemu, ani drugiemu: ani chorym i cierpiącym ani też zdrowym i szczęśliwym, którzy, jeśli byli dobroczynni, to nie tyle z miłosierdzia, ile dla zbawienia własnej duszy. Skuteczne reformy społeczne byłyby jednym odebrały najważniejszy sposób zadośćuczynienia za grzechy, a drugim — ich świętość. Toteż trwale utrzymywanie nędzy i choroby było w interesie obu stron, i pogląd ten pozostaje w mocy, póki jest w mocy czysto religijny punkt widzenia.

Jest to brudny punkt widzenia, oświadczył Settembrini, i pogląd tak niemądry, że zwalczanie go jest prawie poniżej jego godności. Bo idea „świętości”, a także to, co inżynier pod cudzym wpływem powiedział o „chrześcijańskim poszanowaniu niedoli”, jest szachrajstwem, polega na złudzeniu, na błędnym odczuciu, na grubej psychologicznej pomyłce. Zdrowy ma dla chorego współczucie, które egzaltuje do tego stopnia, że przekształca je w cześć dla chorego, dlatego że nie wie, jak by sam zniósł podobne cierpienie; współczucie takie jest w wysokim

stopniu przesadzone, choremu się wcale nie należy i jest wynikiem błędu w myśleniu i wyobrażaniu, pochodzącego stąd, że zdrowy podsuwa choremu swój własny sposób przeżywania i wyobraża sobie rzecz tak, jak gdyby chory był zdrowym, mającym znosić cierpienia chorego — co jest całkowicie błędne. Bo chory jest właśnie chorym i ma usposobienie i sposób przeżywania właściwy choremu; choroba tak już usposabia swego wybrańca, aby mogli nawzajem z sobą dojść do ładu — występują wówczas zjawiska zmniejszonej wrażliwości, zaniku funkcji, błogosławione narkozy, duchowe i moralne środki, jakimi natura rozporządza, aby chory mógł się przystosować i doznać ulgi — a tymczasem człowiek zdrowy naiwnie przestaje liczyć się z tym wszystkim. Najlepszym przykładem jest tu w górze cała ta banda chorych na płuca, jej lekkomyślność, głupota, rozwiązłość i brak szczerzej woli odzyskania zdrowia. Krótko mówiąc, niech tylko zdrowy, ze współczucia czczący chorych, sam przestanie być zdrowym i zachoruje, to przekona się, że chorowanie jest rzeczywiście stanem swoistym, jednakże wcale nie zaszczytnym, i że on brał je o wiele za poważnie.

Tu uniósł się Anton Karłowicz Ferge i zaczął bronić wstrząsu opłucnowego przed zniesławianiem i lekceważeniem. Co? Jak? Znadto na serio bierze się jego wstrząs? Bardzo za to dziękuje i wyprasza to sobie! Jego wielka grdyka i dobroduszne wąsy poruszały się w górę i w dół i wypraszał sobie wszelkie lekceważenie tego, co wówczas przeżył. Jest tylko zwykłym sobie człowiekiem, agentem od ubezpieczeń, wszelkie wyżyny są dlań niedostępne — i nawet już ta rozmowa przekracza znacznie jego widnokreśli. Ale jeśli pan Settembrini chce na przykład także wstrząs opłucnowy podciągać pod to, co mówił — to piekielne łaskotanie, zapach siarki i te trzy barwne omdlenia — to on to sobie wyprasza i dziękuje najuprzejmiej. Bo nie było wówczas ani śladu żadnego zmniejszenia wrażliwości, nie było błogosławionych narkoz ani złudzeń wyobraźni, to, co przeżył, było największym i najjaskrawszym łajdactwem pod słońcem, i kto tego nie doświadczył tak jak on, ten o tej podłej rzeczy w ogóle nie może,..

— Aj, aj, aj! — powiedział Settembrini. Kollaps pana Fergego staje się coraz wspanialszy, w miarę jak czas upływa, nosi on go prawie jak święci glorię dokoła głowy. On, Settembrini, mało ma szacunku dla chorych, domagających się, aby ich podziwiać. Sam jest chory, i to poważnie; ale jest skłonny, i wcale nie z afektacji, raczej się tego wstydzić. Zresztą jego wywody są bezosobiste, filozoficzne, a to, co zauważył o przeżyciach ludzi zdrowych i chorych, ma mocne podstawy, niechże panowie przypomną sobie choroby umysłowe, na przykład halucynacje. Gdyby którykolwiek z towarzyszących mu teraz panów, na przykład inżynier lub pan Wehsal, dziś wieczór o zmroku w kącie pokoju ujrzał swego zmarłego ojca, który by nań patrzył i doń przemawiał, to byłoby to dla każdego z nich czymś po prostu przeraźliwym, byłoby przeżyciem wstrząsającym i obłądnym, pod wpływem którego zwątpiłby w swe zmysły i rozum, opuściłby niezwłocznie pokój i poddał się kuracji u neurologa. Czyż nie? Ale cały dowcip polega na tym, że się to panom nie może zdarzyć, bo są umysłowo zdrowi. Gdyby się jednak zdarzyło, to byłoby nie zdrowi, lecz chorzy, i nie reagowaliby tak jak zdrowi, to znaczy przerażeniem i ucieczką, lecz przyjęliby zjawę, jak gdyby była czymś naturalnym, i wdaliby się z nią w konwersację, jak to właśnie robią ci, co miewają halucynacje; a przypuszczenie, że halucynacja wywołuje w nich zdrowe przerażenie, jest właśnie tym błędem wyobraźni, który się przytrafia niechorym.

Pan Settembrini bardzo zabawnie i plastycznie mówił o ojcu w kącie pokoju. Wszyscy musieli się śmiać, nawet Ferge, choć był dotknięty lekceważeniem jego piekielnej przygody. Humanista zaś skorzystał z wesołości, jaką wzbudził, by przedstawić i uzasadnić twierdzenie, że nie należy żywić szacunku dla tych, co podlegają halucynacjom, i dla żadnych w ogóle pazzi *: ludzie ci, mówił, w niedopuszczalny sposób pozwalają sobie na wiele rzeczy, a nieraz od nich tylko zależy, by opanowali swe szaleństwo, jak to obserwował odwiedzając przygodnie domy wariatów. Bo gdy na progu ukazuje się lekarz lub ktoś obcy, wtedy chory, podlegający halucynacji, przestaje wykrzywiać

twarz, mówić i wymachiwać rękami i zachowuje się przyzwoicie, póki wie, że mu się przyglądają, potem zaś znów sobie na to wszystko pozwala. Niewątpliwie bowiem w wielu wypadkach pomieszanie zmysłów jest pozwalaniem sobie, ucieczką przed wielkim zmartwieniem, środkiem ochronnym słabych natur przed nazbyt dla nich ciężkimi ciosami losu, których przy zdrowych zmysłach nie mogliby — jak sądzą — znieść. Tu jednak może każdy — by tak rzec — wkroczyć i on, Settembrini, przywiódł już, częściowo przynajmniej, niejednego pomyłonego do zdrowych zmysłów, a przywiódł go samym tylko spojrzeniem, przeciwstawiając bredniom chorego postawę nieubłaganego rozsądku.

Naphta śmiał się szyderczo, gdy tymczasem Hans Castorp zapewniał, że gotów panu Settembriniemu wierzyć na słowo. Gdy sobie wyobrazi, jak się to on pod wąsem uśmiechał i niezłomną logiką przygwałdził owego nienormalnego nieszczęśnika, to rozumie, że tamten musiał się opanować i oddać cześć jasnemu myśleniu, choć naturalnie odczuwał pojawienie się pana Settembriniego jako niepożądaną przeszkodę... Ale Naphta również bywał w zakładach dla obłąkanych i przypominał sobie, jak w „niespokojnym pawilonie” jednego z nich oglądał sceny, wobec których rozumne spojrzenie i wychowawcze działanie pana Settembriniego nic by nie pomogło; były to dantejskie sceny, groteskowe obrazy grozy i męki: rozebrani do naga szaleńcy, trzymani nieustannie w kąpeli, we wszystkich pozach lęku i osłupienia ze zgrozy, jedni głośno biadali, inni z podniesionymi ramionami i rozwartymi ustami wybuchiali śmiechem, w którym zmieszane były wszystkie składniki piekła...

— Aha ■— rzekł pan Ferge i pozwolił sobie przypomnieć własny śmiech, jakim wybuchnął wówczas przychodząc do siebie.

Krótko więc mówiąc, niezłomna pedagogika pana Settembriniego mogłaby się schować przed tym, co się widzi w „niespokojnym pawilonie”, dreszcz religijnej czci jest w stosunku do tego bardziej ludzką reakcją niż to zadzierające nosa moralizowanie w imię rozumu, które nasz najświetlejszy rycerz słońca i wikariusz Salomona raczył tu stosować wobec obłądu.

Hans Castorp nie zdążył zastanowić się nad tytułami, jakimi Naphta obdarzył znów pana Settembriniego. Pomyślał sobie, że wyjaśni to przy pierwszej okazji. Na razie jednak tocząca się rozmowa pochłaniała w całości jego uwagę; Naphta bowiem w cięty sposób przedstawił ogólne tendencje, jakie skłoniły humanistę do wywyższania zdrowia a zniesławiania i poniżania choroby — ale zaznaczył też, że w takim stanowisku objawia się godne uwagi i bez mała godne uznania samozaparcie, bo przecież pan Settembrini sam jest chory. Jego postawa pełna godności, niemniej jednak fałszywa, jest wynikiem jego kultu ciała, który byłby usprawiedliwiony jedynie w razie, gdyby ciało znajdowało się w swym pierwotnym, od Boga się wywodzącym stanie, nie zaś w stanie poniżenia, in statu degradationis. Bo choć zostało stworzone jako nieśmiertelne, to jednak natura jego uległa zepsuciu na skutek grzechu pierworodnego, doznało ono skażenia i stało się czymś obrzydliwym, stało się więzieniem i karą dla duszy, czymś mogącym wzbudzać jedynie uczucie wstydu i zmieszania, pudoris et confusionis sensum, jak to mówił św. Ignacy.

— Uczuciu temu — za wołał Hans Castorp — dał przecież wyraz także humanista Plot/n. — Ale pan Settembrini, wyrzuciwszy rękę ponad głowę, wezwał go, by nie mieszał z sobą różnych punktów widzenia i aby się zachowywał raczej biernie.

Tymczasem Naphta wyprowadzał cześć, oddawaną niedoli ciała w średniowieczu chrześcijańskim, stąd, że dla względów religijnych patrzyło ono z aprobatą na cierpienie fizyczne. Bo ropiejące wrzody ciała stawiają przed oczy nie tylko jego upadek, ale także odpowiadają jadowitemu zepsuciu duszy, i to w sposób budujący i budzący duchowe zadośćuczynienie — podczas gdy rozkwit ciała zwodzi tylko i obraża sumienie, więc też w najwyższym stopniu słusznie chciano się go wyprzeć, schylając czoło przed ułomnościami. Quis me liberaint de corpore mortis hujus? Któż mnie wybawi z ciała tej śmierci? Był to głos ducha, który na wieki był głosem prawdziwej ludzkości.

Nie, to był głos nocy, wedle pana Settembriniego, który z przejęciem wypowiedział swój pogląd — był to głos świata,

któremu nie weszło jeszcze słońce rozumu i humanitaryzmu. Tak, choć jego cielesna istota jest zatruta, to duch jego pozostał dostatecznie zdrow i dostatecznie wolny od zarazy, aby klerikalnemu Naphcie skutecznie stawiać czoło w rzeczach ciała, a dworować sobie z duszy. Zapędził się aż tak, że sławił ciało ludzkie jako prawdziwą świątynię Boga, wobec czego Naphta oświadczył, iż jest ono jedynie zasłoną między nami a wiecznością, co znów sprawiło, że Settembrini zabronił mu używania wyrazu „ludzkość” — i tak dalej.

Ze zdrętwiałymi od mrozu twarzami, z gołymi głowami, stąpali w śniegowcach po twardo skrzypiącym, popiołem posypanym śniegu, którego pokrywa narosła nad chodnikiem, to znów brnęli przez sypkie masy śniegu na jezdni, płużąc je nogami. Settembrini w kurtce zimowej, której kołnierz bobrowy i wyłogi rękawów były tak wytarte, że wyglądały jak parszywe, którą on jednak umiał nosić z elegancją, a Naphta w czarnym płaszczu po kostki, wysoko zapiętym, na futrze, ale nie zdradzającym tego na zewnątrz, spierali się o te zasady jak o sprawy najbardziej osobiste, przy czym zdarzało się często, że zwracali się nie do siebie, lecz do Hansa Castorpa, któremu jeden po drugim wykladał i przedstawiał swoje stanowisko, jedynie głową czy wielkim palcem wskazując przeciwnika. Mieli go między sobą, on zaś zwracając głowę to w jedną, to w drugą stronę, potakiwał bądź jednemu, bądź drugiemu, bądź znów zatrzymując się i pochylając skośnie górną część ciała i gestykulując ręką w podbitej futrem rękawiczce z kozłej skóry wypowiadał swoje, oczywiście bardzo nieudolne poglądy, podczas gdy Ferge i Wehsal to krążyli dokoła nich trzech, przed nimi lub za nimi, to znów posuwali się w jednym z nimi szeregu, póki go ruch uliczny znowu nie załamał.

Wtrącane w dyskusję uwagi sprawiły, że przeskoczyła na bardziej realne tematy i w szybkim tempie a przy wzrastającym udziale wszystkich objęła zagadnienia krematoriów, kary cielesnej, tortur i kary śmierci. Kwestię chłosty podniósł Ferdynand Wehsal, a z tematem tym, jak zauważył Hans Castorp, było mu do twarzy. Nie zdziwiło nikogo, że pan Settembrini

w przejrzystych słowach, powołując się na godność ludzką, wypowiedział się przeciw tej wstrętnej metodzie w pedagogice, a tym bardziej w wymiarze sprawiedliwości; nie zdziwił również, ale jednak zaskoczył swą ponurą bezczelnością Naphta, przemawiając za używaniem kija. Według niego nie miało tu sensu bajdurzyć o godności ludzkiej, bo prawdziwa nasza godność tkwi nie w ciele, lecz w duchu; a że dusza ludzka nazbyt jest skłonna rozkosze życiowe czerpać z ciała, przeto cierpię-MH'nie, jakie się ciału zadaje, jest godnym polecenia sposobem, aby^H obrzydzić rozkosz cielesną i wpędzić ją niejako z powrotem^d z ciała do ducha, bo przez to może duch znów obejmie nad człowiekiem władzę. Uważanie chłosty za karę szczególnie hańbiącą jest zarzutem bardzo niemądrym. Konrad z Marburga, spowiednik św. Elżbiety, wychłostał ją do krwi, i przez to, jak mówi legenda, „dusza jej została porwana aż do trzeciego chóru”, a i ona sama obila różgą pewną biedną starszą kobietę, zbyt ospałą, aby iść do spowiedzi. Czyżby ktokolwiek poważał się na serio za barbarzyńskie i nieludzkie uważać samobiczowanie, jakimu dla wzmocnienia w sobie ducha poddawali się członkowie niektórych zakonów i sekt oraz w ogóle osoby głęboko religijne? Przekonanie, iż ustawowe zniesienie ibicia w krajach o wysokiej rzekomo kulturze stanowi rzeczywisty postęp, jest przez to jeszcze bardziej komiczne, że jest tak niewzruszone.

No, twierdził Hans Castorp, można się bezwarunkowo na to zgodzić, że jeśli się przeciwstawia ciało i ducha, to zła, szatańska zasada jest ucieleśniona przez ciało... ha, ha, ucieleśniona... o ile ciało naturalnie jest naturą — naturalnie naturą to też się nieźle udało! — a natura w przeciwieństwie do ducha i rozumu jest zdecydowanie zła, zła mistycznie, jak można by powiedzieć, jeśli by się chciało — korzystając ze swego wykształcenia i wiedzy — pozwolić sobie na ryzykowne wyrażenie. Jeśli przyjmie się ten punkt widzenia, to jest już prostą konsekwencją odpowiednio traktować ciało, mianowicie dla utrzymania go w dyscyplinie dostarczać mu środków, które by — jeśli by się znów chciało wyrazić ryzykownie — można nazwać mistycznie złymi. Jeśli by pan Settembrini, wówczas gdy mu

słabość ciała nie pozwoliła jechać na kongres postępowców w Barcelonie, miał u boku jakąś świętą Elżbietę, to może...

Śmiano się, a że humanista bliski był wybuchnięcia gniewem, Hans Castorp jął szybko opowiadać o razach, jakie sam niegdyś był dostał: w jego gimnazjum, w niższych klasach kara taka była jeszcze stosowana, były tam szpicruty, a choć ze względu na jego pozycję towarzyską nie dotknął go żaden z nauczycieli, to jednak pewien silniejszy kolega, ordynarny drań, obił go raz giętkim kijem po udach i po łydkach, osłoniętych tylko pończochami; bolało haniebnie, nikczemie, nie do zapomnienia, po prostu mistycznie, sromotnie zanosił się od przerywanego łkania i łzy mu trysnęły ze złości i niecnego bólu (słowo „ból” brzmiało po niemiecku jak nazwisko Wehsala, więc go za swe powiedzenie przeprosił). Hans Castorp czytał później, że w więzieniach najzatarwadszalsi mordercy po otrzymaniu kary cielesnej płaczą jak dzieci.

Podczas gdy pan Settembrini zakrył twarz obu rękami w bardzo zniszczonych skórzanych rękawiczkach, Naphta ze spokojem męża stanu zapytał, jak się ma poskramiać niepoprawnych przestępców, jeśli nie za pomocą kajdan i kijów, które zresztą odpowiadają stylowi więzień i są w nich na miejscu; humanitarne więzienie jest estetycznym półśrodkiem, kompromisem, a pan Settembrini, choć posiada sztukę krasomówczą, wcale się w gruncie rzeczy na pięknie nie rozumie. Co się zaś jeszcze tyczy pedagogiki, to, wedle Naphty, pojęcie godności ludzkiej u tych, co by chcieli całkowicie wyeliminować cielesne środki wychowawcze, ma swe korzenie w liberalnym indywidualizmie z okresu mieszczańskiego humanitaryzmu, w oświeconym absolutyzmie jednostki, który jest już bliski wymarcia i ma ustąpić miejsca dojrzewającym już, mniej zniewieściałym ideom społecznym, ideom spójności i nacisku, przymusu i posłuszeństwa, które nie mogą się obejść bez świętego okrucieństwa i które też na karanie bezdusznego ciała każą patrzeć innymi oczami.

— Dlatego mówi się o bezdusznym posłuszeństwie — zadrwił Settembrini; a Naphta dorzucił, że skoro Bóg jako karę za grze-

chy skazał nasze ciało na straszną hańbę rozkładu, to ostatecznie nie jest obrazą majestatu, jeśli to samo ciało dostanie raz bity — i od razu zaczęto mówić o paleniu zwłok.

Settembrini oświadczył się za ich paleniem. W ten sposób zapobiega się owej hańbie rozkładu, rzekł wesoło. Względy na celowość a także motywy ideowe każą ludzkości szukać środków zaradczych. I oświadczył, że bierze udział w przygotowaniach do międzynarodowego kongresu w sprawie palenia zwłok, który prawdopodobnie zbierze się w Szwecji. Projektuje się wystawę wzorowego krematorium, urządzonego zgodnie ze wszystkimi dotychczasowymi doświadczeniami, a także hali z urnami, i można się spodziewać, że wystawa stanie się dla spraw tych potężnym bodźcem i zachętą. Jakże zacofanym i przestarzałym sposobem jest grzebanie zwłok — wobec nowoczesnych warunków życia. Rozrastanie się miast! A wypieranie na ich peryferie tak zwanych cmentarzy, które zajmują tyle przestrzeni! a ceny terenów! a uprozaicznienie pogrzebów wobec konieczności posługiwania się nowoczesnymi środkami lokomocji! Pan Settembrini umiał o wszystkich tych rzeczach mówić trzeźwo a trafnie. Kpił z postaci złamanego wdowca, codziennie odbywającego pielgrzymkę do grobu drogiej zmarłej, aby tam na miejscu wieść z nią rozmowy. Taki miłośnik sielanki musi mieć zadziwiający nadmiar najcenniejszego dobra życiowego, jakim jest czas — zresztą nieustanny ruch na nowoczesnych cmentarzach centralnych na pewno obrzydziłby mu błogość, jakiej tam atawistycznie doznaje. Zniszczenie ciała w żarze ognia — jakaż to czysta, higieniczna, pełna godności, a nawet wręcz heroiczna koncepcja w porównaniu z tą, która pozostawia ciało własnemu rozkładowi i asymilacji przez niższe organizmy! Nowy sposób postępowania liczy się też bardziej z uczuciem, z ludzką potrzebą przetrwania. W ogniu bowiem ulegają zniszczeniu te składniki ciała, które z natury swej są zmienne i już za życia ulegają przemianie materii; natomiast te, które proces ten najmniej dotyka, które prawie bez zmiany towarzyszą człowiekowi w ciągu jego dojrzałej egzystencji, te są zarazem najmniej palne, tworzą mianowicie popiół, i gdy

pozostali przy życiu zbierają popioły zmarłego, to zbierają to, co w nim było nieprzemijające.

— Ślicznie — rzekł Naphta — to jest bardzo a bardzo miłe. Nieprzemijające części człowieka, czyli — popiół.

Ach, naturalnie. Naphta chciałby utrzymać ludzkość na jej irracjonalnym stanowisku wobec faktów biologicznych; stoi on na pierwotnym religijnym szczeblu, na którym śmierć jest czymś przerażającym, osnutym tajemniczą grozą, która nie pozwala wzrokiem jasnego rozumu patrzeć na to zjawisko. Co za barbarzyństwo! Lęk przed śmiercią pochodzi z okresów najniższej kultury, gdy ludzie umierali z reguły śmiercią gwałtowną, i zgroza, jaka w tym istotnie tkwiła, na długo skojarzyła się w uczuciach ludzkich z myślą o śmierci. Natomiast później dzięki rozwojowi nauki lekarskiej i zwiększeniu bezpieczeństwa osobistego śmierć naturalna stopniowo stawała się normą, i dla współczesnego człowieka pracy myśl o wiecznym spoczynku po odpowiednim zużyciu sił nie jest już rzeczą straszną, lecz, przeciwnie — normalną i pożądaną. Nie, śmierć nie ma w sobie ani grozy, ani tajemniczości, jest jednoznacznym, rozumnym, fizjologicznie koniecznym i pożądanym zjawiskiem, i dłuższe niż należy zastanawianie się nad nią byłoby okradaniem życia. Dlatego też projektuje się, aby do owego wzorowego krematorium i do hali urn, a więc do „hali śmierci”, dobudować „halę życia”, w której architektura, malarstwo, rzeźba, muzyka i poezja wspólnie pracowałyby nad tym, aby umysł żyjących oderwać od myśli o śmierci, od tępej żałoby, od beczynnej skargi i aby go skierować ku dobrom życia...

— I to czym prędzej! — drwił Naphta. — Byle nie za długo oddawał posługę zmarłym, byle nie szedł za daleko w rozmyślaniu nad tak prostym faktem, bez którego, co prawda, nie byłoby w ogóle ani architektury, ani malarstwa, ani rzeźby, ani muzyki, ani poezji.

— Dezerteruje pod sztandar — rzekł Hans Castorp marzycielisko.

— Niezrozumiałość pańskiego powiedzenia, inżynierze — odpowiedział mu Settembrini — pozwala się domyślać, iż jest god-

ne potępienia. Przeżycie śmierci musi być ostatecznie przeżyciem życia, inaczej jest tylko widmem.

— Czy w „hali życia” będą umieszczone nieprzyzwoite symbole, jak na niektórych starożytnych sarkofagach? — pytał poważnie Hans Castorp.

— W każdym razie będzie tam tłusty pokarm dla zmysłów — stwierdził Naphta. — Klasycystyczny smak uczyni, że w marmurze i farbie olejnej błyszczeć będzie ciało, grzeszne ciało, wyrwane gniciu. I nie może to dziwić, bo wszak z tkliwości nie chciano ciała tego nawet chłostać...

Tu wmieszał się Wehsal poruszając temat tortur; było mu z nim do twarzy. Stosowanie tortur przy przesłuchiowaniu — co panowie sądzą o tym? On, Ferdynand, w swoich podróżach za interesami chętnie korzystał z okazji, by w ośrodkach starej kultury zwiedzać owe tajemnicą okryte miejsca, w których niegdyś uprawiano ten sposób badania sumień. Dzięki temu poznał on katownie Norymbergi, Ratyzbony i chcąc rozszerzyć swe wykształcenie rozejrzał się tam dokładniej. Istotnie, pragnąc dobra duszy, bardzo niedelikatnie obchodzono się tam z ciałem i czyniono to na różne pomysłowe sposoby. A nawet krzyków nie bywało. Gruszkę wciskano w otwarte usta, słynną gruszkę, która już sama przez się nie była przysmakiem... i od razu zapanowywała cisza, choć robiło się dalej swoje...

— Porcheria * — mruknął Settembrini.

Ferge oświadczył, że gruszka i robienie po cichu swojego to ohyda. Ale czegoś ohydniejszego niż obmacywanie opłucnej nawet wówczas nikt nie zdołał wymyślić.

Robiono to dla jego zdrowia!

Zatwardziałość duszy i obrażona sprawiedliwość są jednak usprawiedliwieniem dla przejściowego braku współczucia. Po wtóre, tortury były wynikiem jedynie racjonalnego postępu.

Naphta nie jest chyba przy zdrowych zmysłach.

Owszem, jest dostatecznie. Pan Settembrini jest pięknoduchem, i najwyraźniej w danej chwili nie uświadamia sobie historii postępowania sądowego w średniowieczu. W samej rze-

czy dokonała się w niej stopniowa racjonalizacja, mianowicie w ten sposób, że na podstawie racjonalnych rozważań Bóg usuwany był stopniowo z wymiaru sprawiedliwości. Wyrzeczono się sądów Bożych, bo nie można było nie zauważyć, że zwycięża silniejszy, nawet gdy nie ma słuszności. Właśnie ludzie w rodzaju pana Settembriniego, wątpiący i krytykujący, zauważyli to i dzięki temu miejsce starego naiwnego przewodu sądowego zajęła inkwizycja, która już nie liczyła na to, że Bóg sam wkroczy w obronie prawdy, lecz zmierzała ku temu, by od samego oskarżonego uzyskać wyznanie prawdy. Nikt nie powinien być skazany, kto się do winy nie przyzna — jak to można dziś jeszcze zauważyć wśród ludu; głęboko zakorzeniony instykt powiada, że choćby łańcuch dowodów był całkowicie zamknięty, to jednak wyrok jest odczuwany jako nieprawny, jeśli oskarżony nie przyznał się do winy. Jak to osiągnąć? Jak uzyskać prawdę opartą na czymś więcej niż na poszlakach i podejrzeniach? Jak człowiekowi, który ją ukrywa, który jej odmawia, zajrzeć do serca, do mózgu? Ponieważ duch ma złą wolę, to nie pozostawało nic innego jak tylko zwrócić się do ciała, do którego łatwiejszy jest dostęp. Tortura jako środek wydobycia niezbędnego przyznania się do winy była nakazem rozumu. Ale tym, który domagał się procesów z przyznaniem się do winy i który je wprowadził, był pan Settembrini, on więc jest inicjatorem tortur.

Humanista prosił pozostałych panów, aby temu nie wierzyli. To diabelskie żarty. Gdyby wszystko się odbyło tak, jak poucza pan Naphta, gdyby rzeczywiście rozum był wynalazcą okropności, dowodziłoby to tylko, jak bardzo potrzebuje on podpory i oświecenia i jak niesłusznie wyznawcy instyktu naturalnego obawiają się, że może być kiedyś nadmiar rozumu na ziemi. Przedmówca jest jednak niezawodnie w błędzie. Owe okropności spotykane w wymiarze sprawiedliwości chociażby dlatego nie mogą obciążyć rozumu, że wyrosły z wiary w piekło. Proszę się tylko rozejrzeć po muzeach i katowniach: te szczypce, obcegi, śruby i piły powstały najwyraźniej z dziecięco otumanionej wyobraźni, ze zbożnej chęci naśladowania tego, co

na tamtym świecie dzieje się w miejscach kary wiekuiestej. A przy tym ludzie ci działali w przekonaniu, że przychodzą złoczyńcy z pomocą. Przyjmowali, że jego biedna dusza mocuje się z sobą, chcąc przyznać się do winy, a tylko ciało jako zasada zła przeciwstawia się tym jej lepszym chęciom. Sądziło wręcz, że mu wyrządzają przysługę, łamiąc torturą jego ciało. Ascetyczne szaleństwo...

Czy podlegali mu także dawni Rzymianie?

Rzymianie? Ma che! *

Bo oni także znali tortury jako sposób prowadzenia procesu.

Jest w tym trudność logiczna... Chcąc się jej pozbyć Hans Castorp poruszył zagadnienie kary śmierci, jak gdyby to była jego rzecz kierować taką rozmową. Tortury zostały zniesione, mówił, chociaż sędziowie śledczy mają nadal swoje sposoby, aby skruszyć oskarżonego. Natomiast kara śmierci wydaje się nieśmiertelna, nie do uniknięcia. Stosują ją najbardziej cywilizowane narody. Z deportacją Francuzi porobili jak najgorsze doświadczenia. Po prostu nie wiadomo, co by w praktyce należało robić z niektórymi podobnymi do ludzi istotami, jeśliby się nie chciało ich skracać o głowę.

Nie są to „istoty podobne do ludzi” — pouczał go pan Settembrini — są ludźmi jak on, inżynier, i jak sam mówiący — tylko mają słabą wolę i są ofiarami wadliwego społeczeństwa. I opowiedział o zbrodniarzu, wielokrotnym mordercy, należącym do tego typu, który prokuratorzy zwykli w swych przemówieniach określać jako „zewwierzęcony”, jako „bestię w ludzkim ciele”. Człowiek ten pokrył ściany swej celi wierszami. I nie były to wcale złe wiersze — były znacznie lepsze od tych, które może kiedyś komponowali prokuratorzy.

— Rzuca to szczególne światło na sztukę — odparł Naphta. — Ale poza tym nie ma w tym nic godnego uwagi.

Hans Castorp oczekiwał, że pan Naphta będzie za utrzymaniem egzekucji. Naphta, rzekł, jest tak samo rewolucjonistą jak pan Settembrini, ale w sensie zachowawczym, jest rewolucjonistą w imię konserwatyzmu.

Świat, mówił uśmiechając się i pewny siebie pan Settembrini,

przejdzie do porządku nad rewolucją antyhumanistycznej reakcji. Pan Naphta woli już rzucać podejrzenia na sztukę aniżeli przyznać, że nawet najniegodziwszego uświęca ona tak, iż czyni zeń człowieka. Takim fanatyzmem nie pozyska się szukającej światła młodzieży. Właśnie powstała międzynarodowa Liga, stawiająca sobie za cel zniesienie kary śmierci we wszystkich kulturalnych krajach. Pan Settembrini ma zaszczyt do niej należeć. Miejsce jej pierwszego kongresu będzie dopiero wyznaczone, ale ludzkość może być spokojna, że mówcy, których się wówczas usłyszy, uzbroją się w nie lada argumenty! I sam przytoczył argumenty, między innymi ten, że zachodzi zawsze możliwość popełnienia omyłki sądowej, wydania błędnego wyroku śmierci, a także, że nigdy nie należy tracić nadziei na poprawę; zacytował nawet słowa „Mojąć jest pomsta” * i pouczał, że państwo, jeśli ma na oku uszlachetnianie, a nie przemoc, nie powinno złem odpłacać za zło; w końcu odrzucił pojęcie „kary”, potępwszy poprzednio ze stanowiska naukowego determinizmu także pojęcie „winy”.

Potem jednak „szukająca światła młodzież” musiała patrzeć na to, jak Naphta argumentom tym, jednemu za drugim, ukręcał łeb. Drwił z lęku przed krwią u tego przyjaciela ludzkości i z jego kultu życia, twierdził, że takie poszanowanie życia jednostek cechuje jedynie najpłytsze mieszczańskie, tchórzem podszyte okresy historii, ale niech się choć trochę wzmogą namiętności i niech się pojawi jakakolwiek idea, wyrastająca ponad ideę „bezpieczeństwa”, niech więc w grę wejdzie cokolwiek bądź ponadosobowego, ponadindywidualn-ego — a jest to jedyny stan godny człowieka, a więc w głębszym znaczeniu jedyny stan normalny — zawsze wtedy życie jednostki nie tylko bez wahania będzie poświęcone wyższej myśli, ale same jednostki będą je narażały dobrowolnie i bez zastrzeżeń. Filantropia pana oponenta, rzekł, pracuje nad tym, by życiu odebrać wszystkie cięższe i poważne akcenty; razem z determinizmem tak zwanej nauki zmierza do skastrowania życia. Ale naprawdę — determinizm nie tylko nie znosi pojęcia winy, lecz dodaje mu jeszcze wagi i grozy,

Dobre sobie. Może jeszcze zażąda, aby nieszczęsna ofiara społeczeństwa na serio poczuwała się do winy i z przekonaniem szła na ścięcie.

Nie inaczej. Przestępca jest swą winą przesiąknięty jakby sam z siebie. Jest bowiem taki, jaki jest, nie może i nie chce być innym, i na tym właśnie polega jego wina. Rozprawiając dalej, pan Naphta przesunął winę i zasługę ze sfery empirycznej w metafizyczną. W działaniu, w czynie, mówił, istotnie panuje zdeterminowanie, nie ma w nim wolności, natomiast jest ona w bycie. Człowiek jest taki, jakim chciał być i jakim aż do swej zagłady nie przestanie chcieć być: jeśli „nad życie” pragnął mordować, to płacąc życiem, nie płaci ceny zbyt wysokiej. Niech umiera, bo pokutuje za najgłębszą rozkosz.

— Za najgłębszą rozkosz?

— Za najgłębszą.

Zacisnęli usta. Hans Castorp zakaszał. Wehsal wykrzywił szczękę. Pan Ferge westchnął. Settembrini zauważył subtelnym tonem:

— Widać, że można rzecz tak uogólnić, iż daje się jej zabarwienie osobiste. Dla pana byłoby rozkoszą zabijać?

— To nie pańska sprawa. A gdyby tak było, to śmiałbym się w twarz humanitarnej głupocie, gotowej żywić mię potem aż do mej naturalnej śmierci. Nie ma sensu, aby morderca miał żyć dłużej od zamordowanego. Sami w cztery oczy sprzęgli się tajemnicą, podobnie jak w tylko jednej jeszcze innej, pokrewnej okoliczności zwykły to czynić dwie istoty, jedna bierna, a druga czynna. Tajemnica ta połączyła ich na zawsze. Należą już do siebie.

Settembrini oświadczył chłodno, że brak mu organu dla takiego mistycyzmu śmierci i mordu i że brak ten wcale mu nie dolega. Nic nie może zarzucić religijnym talentom pana Naphty, górują one niewątpliwie nad jego własnymi, ale stwierdza, że mu ich nie zazdrości. Nieprzewyciężona potrzeba czystości trzyma go z dala od tej sfery, w której panuje szacunek dla niedoli, o jakim eksperymentująca młodzież poprzednio mówiła, szacunek oczywście, nie tylko cielesny, ale także duchowy.

W sferze tej cnota, rozum i zdrowie są przedmiotem pogardy, a występkom i chorobie oddaje się niezwykłą cześć.

Naphta potwierdził, że cnota i zdrowie istotnie nie są stanem, w którym by znajdowała wyraz religijność. Wiele się zyska, rzekł, jeśli zostanie wyjaśnione, że religia nie ma w ogóle nic wspólnego z rozumem i moralnością. Albowiem, dodał, nie ma nic wspólnego z życiem. Życie opiera się na warunkach i zasadach, które należą po części do teorii poznania, a po części do dziedziny moralnej. Pierwsze — to czas, przestrzeń, przyczynowość, drugie — moralność i rozum. Wszystkie te rzeczy są obce i obojętne, a nawet wrogie religijności, stanowią bowiem istotę życia i tak zwanego zdrowia, a więc największego filisterstwa i mieszczaństwa; rzec można, że świat religijny jest ich absolutnym i absolutnie genialnym przeciwieństwem. Zresztą on, Naphta, nie chce całkowicie zaprzeczać, że i w sferze życia może się pojawić geniusz. Istnieje mieszczańskie pojmowanie życia, niewątpliwie monumentalne w swej poczciwości, filisterski majestat, dla którego można nawet mieć szacunek, pamiętając wszakże, że gdy tak z godnością stoi na rozkraczonych nogach, z rękami na plecach i wysuniętą naprzód piersią, jest wcieloną bezbożnością.

Hans Castorp podniósł wskazujący palec tak, jak się to robi w szkole. I oświadczył, że nie chciałby urazić żadnej ze stron, ale wszak mowa tu o postępie, o ludzkim postępie, a więc poniekąd o polityce, o wymownej republice i cywilizacji wykształconego Zachodu — otóż on sądzi, że różnica czy, jeśli pan Naphta koniecznie chce, przeciwieństwo życia i religijności daje się sprowadzić do przeciwieństwa czasu i wieczności. Postęp bowiem zachodzi jedynie w czasie; a nie ma go w wieczności, w której nie ma też ani polityki, ani krasomówstwa. W niej składa się, rzec by można, głowę na łonie bożym i zamyka się oczy. I to jest różnica między religią a moralnością, mętnie wyrażona.

Naiwność jego sposobu wyrażania się, rzekł Settembrini, budzi mniej zastrzeżeń, niż jego lęk, aby kogoś nie urazić, i jego skłonność do robienia ustępstw diabłu.

No, o diable dyskutowali już niegdyś, pan Settembrini \ pn,

Hans Castorp: O Satana, o ribellione! Któremuż to właściwie diabłu robił ustępstwa! Temu od buntu, pracy i krytyki, czy tamtemu drugiemu? Sytuacja jest niebezpieczna, jeden diabeł z prawej, drugi z lewej, jakże z tego, do diabła, wybrnąć!

Stan rzeczy, rzekł Naphta, jaki pan Settembrini chciałby widzieć, nie jest w taki sposób trafnie wyrażony. Dla jego obrazu świata jest istotne, że z Boga i diabła robi się różne osoby czy zasady, a „życie”, zresztą całkowicie na modłę średniowieczną, umieszcza się między nimi jako przedmiot ich walki. W rzeczywistości zaś są tym samym i łącznie przeciwstawiają się życiu, jego mieszczańskości, etyce, rozumowi i cnocie — jako zasada religijna, którą wspólnie reprezentują.

— Jakaż to wstrętna gmatwanina — che guazzabuglio proprio stomachevole! — zawołał Settembrini. Dobro, i zło, świętość i przestępstwo, wszystko pogmatwane! Nie ma w tym trafnego sądu! Ani woli! Ani zdolności potępienia tego, co nieczne. Czy aby pan Naphta wie, c z e m u zaprzecza, gdy w obliczu młodzieży miesza z sobą Boga i diabła i w imię tej wstrętnej dwujedni odrzuca zasadę moralną! Odrzuca wartość, odrzuca wszelkie wartościowanie! Tylko z obrzydzeniem można o tym mówić. A więc dobrze, nie ma dobra ani zła, jest tylko moralnie nieuporządkowany wszechbyć! Nie ma też jednostki z jej krytycyzmem i godnością, a jest tylko wspólnota, wszystko pochłaniająca i wyrównująca i mistyczne rozpląnięcie się w niej. Jednostka zaś...

Paradne, że pan Settembrini ma znów siebie za indywidualistę. Aby nim być, trzeba jednak znać różnicę między moralnością a szczęściem, a ta jest zupełnie obca panu iluminatowi i moniście. Tam, gdzie się idiotycznie traktuje życie, jako cel sam w sobie i nie pyta o jego dalej sięgający sens i cel, panuje etyka gatunku i społeczności, moralność kręgowca, ale nie indywidualizm; ten jest w swoim żywiole jedynie w dziedzinie religijnej i mistycznej, w tak zwanym „moralnie nieuporządkowanym wszechbyć”. Czymże ona jest i ku czemu zmierza, ta moralność pana Settembriniego! Jest sprzęgnięta z życiem, a więc służy jedynie pożytkowi, natomiast w pożałowania cjo-

nym stopniu brak jej heroizmu. Zmierza do tego, aby dzięki niej człowiek doszedł do podeszłego wieku, osiągnął szczęście, zdobył majątek i zachował zdrowie, kropka i koniec. Ta filisterska ideologia rozsądku i pracy jest dla niego etyką. Jeśli o niego, Naphtę, chodzi, to pozwala sobie powtórzyć, że uważa ją za nędzne życiowe mieszczaństwo.

Settembrini prosił o umiarkowanie, ale jego własny głos był namiętny i podniecony, gdy stwierdzał iż jest to nieznośne, że pan Naphta mówi wciąż o „życiowym mieszczaństwie” w tonie, Bóg raczy wiedzieć dlaczego, arystokratycznie pogardliwym, jak gdyby przeciwieństwo — a wiadomo, co jest przeciwieństwem życia — miało być czymś dostojniejszym.

Nowe hasła i slogany! Teraz znów dostojność i arystokracja! Hans Castorp, rozgorączkowany i wyczerpany mrozem i roztrzęsanymi zagadnieniami, nie zdając sobie sprawy, czy w podnieceniu swym nie wyraża się w sposób niezrozumiały lub zbyt śmiały, wyznał niepewnymi wargami, że zawsze wyobrażał sobie śmierć w hiszpańskiej nakrochmalonej kryzje, a w każdym razie w rodzaju munduru z „vatermórderami”, a natomiast życie w zwykłym, nowoczesnym małym kołnierzyku... Ale sam się przeraził swych słów, tchnących nierealnym marzycielstwem i towarzysko niewłaściwych, i zapewnił, że nie to chciał powiedzieć. Ale czyż nie jest tak, że pewnych ludzi niepodobna przedstawić sobie jako umarłych, a to dlatego, że są nazbyt pospoliczy? Innymi słowy: do tego stopnia robią wrażenie dzielnych życiowo, iż wydaje się, że nie mogliby umrzeć, że nie są godni majestatu śmierci.

Pan Settembrini wyraził nadzieję, że się nie myli przypuszczając, iż Hans Castorp po to tylko wszystko to mówi, aby wywołać sprzeciw. Młody człowiek może nań liczyć, iż zawsze gotów będzie służyć mu duchową pomocą dla odparcia takich zaczeppek. „Dzielni życiowo” powiada on? I używa tego wyrażenia w pogardliwym sensie? „Godni życia!” Niech tym wyrażeniem, zastąpi tamto, a pojęcia ułożą mu się w prawdziwy i piękny porządek. Pojęcie „godny życia” na drodze najłatwiejszego i najpoprawniejszego kojarzenia prowadzi do pojęcia „godny mi-

łości", które tak ściśle jest z nim związane, że, rzecz można, to tylko, co godne życia, jest też naprawdę godne miłości. A to, co godne życia i co godne miłości, razem wzięte, stanowi to, co się zwie dostojnym.

Hans Castorp uważał wywody te za pełne uroku i ze wszech miar godne wysłuchania. Oświadczył, że pan Settembrini całkowicie go pozyskał dla swej tak plastycznej teorii. Można by, co prawda, różne rzeczy przeciw niej powiedzieć, na przykład, że choroba jest wyższą formą życia i przez to ma w sobie coś uroczystego. Ale cokolwiek by się rzekło, jest pewne, że choroba potęguje w człowieku czynnik cielesny, że odwraca go niejako całkowicie i cofa w kierunku ciała, a przez to odbiera mu i niweczy jego godność, bo degraduje go niejako do samego tylko ciała. Choroba jest więc czymś nieludzkim.

Choroba jest rzeczą jak najbardziej ludzką, odparł natychmiast Naphta, bo być człowiekiem, to znaczy być chorym. W samej rzeczy człowiek z istoty swej jest chory. Właśnie choroba robi go człowiekiem — a wszyscy ci, co usiłują go uzdrowić, co chcą go skłonić do pogodzenia się z naturą, do „powrotu do natury” (choć on naprawdę nigdy do niej nie należał), wszyscy ci prorocy regeneracji organizmu, żywienia się surówkami, przebywania na powietrzu, używania kąpieli słonecznych, wszystkie te odmiany Rousseau prowadzą tylko do odczłowieczenia i zewzwierzęcenia... Ludzkość? Dostojność? Człowiek jest w najwyższym stopniu oderwany od natury i czuje, że jest jej przeciwieństwem; od pozostałego życia organicznego wyodrębnia go duch. Więc też w duchu, w chorobie leży jego godność i dostojność; jednym słowem, jest on tym bardziej człowiekiem, im bardziej jest chory; i geniusz choroby jest czymś bardziej ludzkim niż geniusz zdrowia. Jest zadziwiające, że ktoś, kto udaje przyjaciela ludzi, zamyka oczy na te podstawowe prawdy ludzkości. Pan Settembrini wciąż opowiada o postępie. Ale czyż postępu, o ile coś podobnego istnieje, nie zawdzięczamy jedynie chorobie, to znaczy: geniuszowi ludzkiemu, nie będącemu niczym innym, jak tylko chorobą? Czyż to zdrowi po wsze czasy nie żyli zdobyczami chorych! Bywali ludzie, co świadomie i dobrowolnie

poddawali się chorobie i obłądowi, aby dać ludzkości wiedzę, która by służyła jej zdrowiu; ale wiedzę tę zdobył obłąd, a tylko jej posiadanie i eksploatacja po owej heroicznej ofercie już nie wymagały choroby i obłądki. To jest prawdziwa śmierć na krzyżu...

Aha, myślał Hans Castorp, nie jesteś poprawnym jezuitą z tymi swoimi kombinacjami i tłumaczeniem śmierci na krzyżu! Teraz jest jasne, dlaczego nie zostałeś Ojcem, joli jesuite a la petite tache humide! Teraz zarycz ty, lwie! zwrócił się w duchu do pana Settembriniego. A ten rzeczywiście „zaryczał” oświadczając, że wszystko, co Naphta powiedział, jest sypaniem piasku w oczy, kręctwem, wprowadzaniem zamętu do świata. — Niech pan powtórzy — wołał do swego oponenta. — Z całą odpowiedzialnością, jaka na panu ciąży jako na wychowawcy, niech pan powtórzy wobec tej łaknącej wiedzy młodzieży, że duch jest chorobą! Akurat pan w ten sposób zdobędzie młodzież dla ducha i doda jej wiary w niego! Przedstawiać chorobę i śmierć jako rzeczy dostojne, a zdrowie i życie jako nieczne — to najpewniejszy sposób, aby zniechęcić wychowanka do życia w służbie ludzkości! Dawero, e criminoso!* — i po rycersku wystąpił w obronie szlachetności zdrowia i życia; są one szlachetne z natury i nie potrzebują się obawiać ducha. ■ — Kształt — rzekł, a na to Naphta odparł patetycznie: — Logos! — Tamten nie chciał słyszeć o Logosie i rzekł: — Rozum! — a zwolennik Logosu wystąpił w obronie „namiętności”. Nie bardzo to było jasne. Jeden mówił „Rzeczywistość”, a drugi „Jaźń!” W końcu była nawet mowa o „sztuce” z jednej strony, a „krytyce” z drugiej, a poza tym wciąż o „naturze” i „duchu”, i o tym, co z nich dostojniejsze, o „problemie arystokracji”. Ale nie było w tej dyskusji ładu i nie rozjaśniła niczego, choćby z wynikiem dwoistym i wojującym. Bo nie tylko nie było zgody, ale nie było też konsekwencji, dyskutujący byli w niezgodzie nie tylko z oponentami, ale też sami z sobą. Settembrini wielokrotnie wiatował słowami na cześć „krytyki”, choć wynosił też dostojność jej przeciwieństwa, którym miała być „sztuka”; i podczas gdy Naphta występował jako obrońca „naturalnego instynktu” przeciw Settembriniemu i jego poprzedniej tezie, że natura jest

„bezmyślą siłą”, jest prostym factum i matum, wobec którego rozum i duma ludzka nie powinny rezygnować — to Włoch stanął z kolei po stronie dusza i „choroby”, twierdząc, że jedynie tam jest szlachetność i ludzkość; a wtedy znów Naphta wystąpił jako obrońca natury i szlachetności tkwiącej w zdrowiu, nie pamiętając już o potrzebie emancypacji człowieka.

Tak samo zaplątała się sprawa „rzeczywistości” i „jaźni” i tu nawet zamieszanie, zresztą w osnowie swej wciąż to samo, było jeszcze bardziej beznadziejne i doprowadziło literalnie do tego, że już nikt nie wiedział, kto właściwie jest za lojalnością, a kto za wolnością. Naphta w ostrych słowach zabronił Settembriniemu uważać siebie samego za „indywidualistę”, skoro zaprzecza przeciwieństwu Boga i natury, a zagadnienie człowieka, jego konflikt wewnętrzny, rozumie jedynie jako konflikt między interesami osobistymi a powszechnymi; w konsekwencji tego stanowiska musi się on ślepo trzymać związanej z życiem mieszczańskiej etyki, która traktuje życie jako cel sam w sobie, pozbawiona jest heroizmu i dąży tylko do korzyści, a prawo moralne utożsamia z celem państwa; natomiast on, Naphta, który wie, że wewnętrzny problem człowieka polega na zmaganiu się czynników zmysłowych i nadzmysłowych, reprezentuje prawdziwy, mistyczny indywidualizm i naprawdę głosi wolność i prymat podmiotu.

Jeśli tak jest rzeczywiście — tak rozmyślał Hans Castorp — to jakże jest z „bezmiennością i wspólnością”, aby dla przykładu podnieść choć jedną sprzeczność? A także jak z tymi tak ważnymi rzeczami, o których mówił w rozmowie z ojcem Unterpertingerem ó „katolickości” w Hegłowskiej filozofii państwa, o wewnętrznym związku łączącym pojęcia „polityczności” i „katolickości” i o tym, że razem stanowią one kategorię obiektywności? Czyż polityka i wychowanie nie były zawsze szczególnym polem działania zakonu Naphty? I jeszcze jakie wychowanie! Pan Settembrini był niewątpliwie gorliwym pedagogiem, gorliwym aż do natręctwa; ale jeśli chodzi o rzeczowość, o ascetyczne ignorowanie jaźni, to zasady jego nie mogły się równać z zasadami Naphty. Bezwzględny rozkaz! Żelazny rygor! Zadawanie

gwałtu! Posłuszeństwo I Terror! Mogło to też zasługiwać na szacunek, ale nie liczyło się z godnością krytycznej jednostki. Był to regulamin ćwiczebny pruskiego Fryderyka i hiszpańskiego Loyoli, pobożny i tak surowy, że nie cofał się przed rozlewem krwi; ale pozostawało jedno pytanie; jak mógł Naphta głosić krwawą bezwzględność, jeśli, jak sam przyznawał, nie wierzył w czyste poznanie, w nieuprzedzone badanie, krótko mówiąc, w prawdę, w obiektywną, naukową prawdę, do której dążenie było dla Lodovica Settembriniego najwyższym prawem ludzkiej moralności. Był to dowód zbożności i surowości Settembriniego, dowodem natomiast nadmiernej swobody i rozwiązłości Naphty było, że prawdę sprowadzał do człowieka i upatrywał ją w tym, co człowiekowi przynosi korzyść. Czyż nie było mieszczańskim stosunkiem do życia i filisterskim kultem użyteczności uzależnienie do tego stopnia prawdy od ludzkiej korzyści? Nie było w tym żelaznej rzeczowości, natomiast więcej wolności i subiektywności, niż to Leon Naphta przyznawał — choć co prawda było to „polityką” — tak samo jak dydaktyczna teza pana Settembriniego, że wolność jest prawem miłości do człowieka, także była na swój sposób „polityką”. Oczywiście, wiązał on przez to wolność, podobnie jak Naphta prawdę: wiązał ją z człowiekiem. Było w tym niewątpliwie więcej lojalności niż wolności, a określenia takie mogły doprowadzić do zatarcia różnicy, jaka między nimi zachodzi.

Ach, ten pan Settembrini! Nie darmo był literatem, to znaczy: wnukiem polityka i synem humanisty. Wielkodusznie zajmował się krytyką i piękną emancypacją i podśpiewując zaczepiał dziewczęta na ulicy, podczas gdy bystry mały Naphta związany był surowymi ślubami. A jednak wolnomyślicielstwo czyniło go bez mała rozpustnikiem, a tamten, przeciwnie: mógł uchodzić za maniaka cnoty. Pan Settembrini odczuwał lęk przed „absolutnym duchem” i chciałby ducha za wszelką cenę związać z demokratycznym postępem; oburzał go religijny liberynizm wojowniczego Naphty, mieszającego Boga i diabła, świętość i zbrodnię, genialność i chorobę, i nie uznającego ani wartościowania, ani rozumnego sądu, ani woli. Któż więc był

właściwie obrońcą wolności, a kto pobożności? co jest właściwym stanem i pozycją człowieka: zagubienie się we wszystko pochłaniającej i wyrównującej wspólności, mające w sobie zarówno coś z rozpusty, jak z ascezy, czy też postawa „krytycznego podmiotu”, w której znów zderza się fanfaronada z mieszczkańskim rygoryzmem moralnym? Różne zasady i aspekty wchodzą sobie nieustannie w drogę, pełno tu wewnętrznych sprzeczności, i człowiekowi odczuwającemu cywilną odpowiedzialność niezwykle ciężko jest nie tylko wybrać między przeciwieństwami, ale je nawet, niby preparaty, wyodrębnić i odróżnić, tak że bierze go pokusa, aby na łeb, na szyję rzucić się w „moralnie nieuporządkowany wszechbył” Naphty. Wszystkie pojęcia pokrzyżowały się i poplątały, nastąpiło wielkie zamieszanie i, jak się Hansowi Castorpowi zdawało, zaciążyło ono na duszach sprzeczących się i zwiększyło ich rozjątrzenie w sporze.

Doszli razem aż do „Berghofu”, po czym ci trzej, którzy tam mieszkali, pozostałych odprowadzili z powrotem aż do ich domku i tam długo jeszcze stali na śniegu, podczas gdy Naphta i Settembrini spierali się z sobą; spierali się, jak to Hans Castorp dobrze rozumiał, w celach pedagogicznych, aby oddziaływać na szukającą światła młodzież. Dla pana Fergego były to rzeczy o wiele za wzniosłe, jak to wielokrotnie zaznaczał, a Wehsal okazywał już mniej zainteresowania, odkąd nie było mowy o biciu i torturach. Hans Castorp ze spuszczoną głową grzebał łaską w śniegu i zastanawiał się nad wielkim pomieszaniem pojęć.

Wreszcie się rozstali. Niepodobna było stać tak wiecznie, a tego rodzaju dyskusja nie wyczerpałaby się nigdy. Trzej mieszkańcy „Berghofu” powrócili do siebie, a obaj rywalizujący z sobą wychowawcy musieli wejść razem do domku, jeden, aby powrócić do swej jedwabnej celi, drugi — do izdebki humanisty z pulpitem i karafką wody. A Hans Castorp wszedł do swej łodzi, mając uszy pełne zamętu i szczęku obu armii, które pod dos banderas idąc spod Jeruzalem i Babilonu zderzyły się w zamieszaniu i zgiełku bitwy.

przepis w marynarce — mój Boże! — mówiła, patrząc pożądliwie na enseigne'a — jakże cudownie opaliło go górskie słońce! Ten szatan wygląda, jak gdyby polował na orły! — Poczekaj, rusałko — szeptał jej w windzie do ucha tak, że dostawała gęsiej skórki. — Zapłacisz ty mi za twe zabójcze spojrzenia! — I poprzez balkony, wymijając szklane przegrody, szatan i łowca orłów znalazł drogę do rusałki...

Jednakże daleko było do tego, aby sztuczne słońce górskie odczuwano rzeczywiście jako ekwiwalent prawdziwego światła słonecznego, które w tym roku zawiodło. Dwa lub trzy dni niezmaczenie słoneczne w ciągu miesiąca, świecące głębokim aksamitnym błękitem spoza białych szczytów, lśniące diamentami i rozkosznie grzejące karki i twarze ludzkie, wyłaniały się w szczególnie cudowny sposób z szarej mgły i opony chmur. Ale dwu czy trzech takich dni w ciągu tygodni było za mało dla serca ludzi, których los usprawiedliwiało to, że na pocieszenie domagali się szczególnych praw i w głębi duszy dumni byli ze swego paktu z losem, dającego im, w zamian za radości i troski ludzi z nizin, życie mało aktywne, ale za to całkowicie pomyślne, łatwe, przyjemne i tak beztrudne, że zatrzymujące czas w jego biegu. Niewiele to pomagało, gdy radca zwracał uwagę, że nawet w tych warunkach klimatycznych pobyt w „Berghofie” mało przypomina życie na zesłaniu lub w kopalniach syberyjskich, i wskazywał na korzyści, jakie daje tutejsze powietrze, cienkie i lekkie niemal jak eter wypełniający wszechświat, bez ziemskich przymieszek, dobrych i złych, i nawet przy bezsłonecznej pogodzie wolne od nizinnych oparów i wyziewów. Twarze posepniały, słyhać było protesty i groźby dzikiego wyjazdu, które nawet niekiedy spełniano, mimo tak odstraszających przykładów jak niedawny smętny powrót pani Salomon: wypadek jej, choć uporczywy, nie był ciężki, ale przez jej samowolne przebywanie w wilgotnym i wietrznym Amsterdamie nabrał charakteru dożywotniego...

Zamiast słońca był śnieg, masy śniegu, tak kolosalne ilości śniegu, jakich Hans Castorp nigdy w życiu nie widział. Nie **brak go było zaiste i poprzedniej zimy**, ale to **było** jeszcze nic w po-

równaniu z obecną. Było to coś potwornego, przekraczało wszelką miarę i dawało świadomość niezwykłości i ekscentryczności tych okolic. Śnieg padał dzień po dniu, w dzień i w nocy, raz bywał drobny, kiedy indziej przechodził w zawieję, ale padał wciąż. Nieliczne drogi, którymi można było jeszcze chodzić, robiły wrażenie wawozów z wyższymi od człowieka ścianami śnieżnymi po obu stronach. Ich alabastrowe płaszczyzny lśniły krystalicznie, przyjemnie było na nie patrzeć i goście używali ich do pisania i rysowania, do komunikowania sobie wszelkich wiadomości, żartów i przytyków. A między tymi ścianami grunt się — mimo szufłowania — podnosił, jak to się okazywało w miejscach sypkich i w dziurach, w które noga nagle się zapadała, głęboko, nieraz aż po kolana: trzeba było bardzo uważać, żeby niebacznie nie złamać nogi. Ławki znikły zasypane przez śnieg, czasem tylko kawałek poręczy sterczał z ich białego grobu. Niżej, w Davos, poziom ulic tak się zmienił, że parterowe sklepy stały się piwnicami, do których z chodnika schodziło się po wykutych w śniegu stopniach.

A na leżące masy śnieg padał dalej, dzień po dniu; opadał cicho przy umiarkowanym mrozie, przy dziesięciu, piętnastu stopniach, których się jednak nie odczuwało, mogło się wydawać, że jest ich pięć czy dwa, bo bezwietrzna sucha pogoda odbierała im ostrość. Rankami było bardzo ciemno, jadano śniadanie przy sztucznym świetle świeczników w sali o wesołych szablonowych deseniach na żebrach sklepienia. Na dworze była posepna nicość, świat w szarobiałej wacie cisnącej się do szyb, gęsto zasnutych dymiącym śniegiem i wilgotną mgłą. Góry były niewidoczne, z najbliższego iglastego lasu dopiero po pewnym czasie można było cośkolwiek rozpoznać, obładowane drzewa ginęły szybko w kurzawie, od czasu do czasu jakiś świerk pozbywał się nadmiernego ciężaru, otrząsał rozpyloną biel w otaczającą szarość. O dziesiątej nad górą pojawiała się słońce, jak lekko oświetlony dym, aby mdłe, upiorne życie, nikły blask zmysłowości, wprowadzić w pusty, nierozpoznawalny krajobraz. Ale wszystko rozplątywało się w widmowo miękkich zarysach i bladych barwach, brakło w tym jakiegokolwiek linii,

za którą by oko mogło podążyć. Kontury szczytów tajały, roztopiały się w mgłę, w dym. Płaszczyzny śnieżne w słabym blasku, wyrastające jedna ponad drugą, wiodły wzrok w próżnię. Przed ścianą skalną unosiła się tylko, nie zmieniając kształtu, jakby oświetlona chmura, długa, podobna do dymu.

Koło południa słońce, na wpół przebijając się przez mgłę, starało się ją rozpuścić w błękicie. Jego usiłowanie dalekie było od powodzenia; jednakże przeblysłk błękitu można było na chwilę uchwycić, i ta odrobina światła starczyła, by dziwacznie przez śnieżną swą przygodę zniekształcona okolica rozblęsnęła diamentami. Zwykle śnieg przestawał o tej porze padać, jak gdyby po to, by można się było rozejrzeć w tym, co zrobił; temu samemu celowi zdawały się również służyć nieliczne dni słoneczne, kiedy ustawała zawieja i bezpośredni żar nieba usiłował roztopić cudownie czystą powierzchnię zasp świeżego śniegu. Świat przedstawiał widok bajkowy, dziecięcy i śmieszny. Grube, miękkie jak świeżo wstrząśnięte poduszki okryły gałęzie drzew, a na ziemi ukazały się garby, pod którymi kryła się kosodrzewina i występy skalne; wszystko w krajobrazie przykucnęło, zapadło się, zamaskowało i wytworzyło jakby świat gnomów, na który zabawnie było patrzeć i który wyglądał jak ilustracje do bajek. Ale jeśli pierwszy plan sceny, po którym z trudem tylko można się było poruszać, robił wrażenie jakby fantazji i żartu, to wyglądające spoza niego tło — spiętrzone posągi zaśnieżonych Alp budziły uczucia wzniosłe i święte.

Po południu między drugą a czwartą Hans Castorp zwykł był leżeć w swej łodzi, dobrze owinięty, z głową opartą o wezłowie, ani zbyt stromo, ani zbyt płasko ustawione, swego znakomitego leżaka i spoglądał ponad wyścieloną śniegiem balustradę na las i góry. Zielonoczarny, przywalony śniegiem las jodłowy wznosił się na stokach, a ziemia między drzewami była od śniegu miękka jak poduszka. Powyżej wyrastały góry skaliste, szarobiałe, ze swymi niezmiernymi płaszczyznami śniegu, przerywanymi tylko przez poszczególne ciemniejsze występy skalne i delikatnie parujące grzbiety gór. Śnieg cicho sypał. Wszystko

rozpływało się coraz bardziej. Oczy utkwione w watą wypełnioną nicość kleiły się łatwo. Lekki dreszcz towarzyszył chwili zasypiania, ale potem przychodził w tym lodowatym zimnie sen, ponad który nie było czystszeo, bo do tego snu bez snów nie miało dostępu podświadome poczucie brzemienia życia, bo w tym czystym, wolnym od wyciewów powietrzu oddychanie nie było trudniejsze niż nieoddychanie zmarłych. Gdy Hans Castorp się budził, góry znikły już zupełnie w śnieżnej kurzawie, a tylko ich fragmenty, jakiś szczyt, jakiś występ skalny, pojawiały się na przemian na niewiele chwil, aby znów zginąć za zasłoną mgły. Ta bezgłośna gra duchów była ze wszech miar interesująca. Trzeba było bacznie uważać, aby tę fantasmagorię zasłon podpatrzyć w jej tajnych przemianach. Wśród oparów ukazywała się dzika i olbrzymia grupa skał, której ani szczytu, ani podnóża nie było widać. Ale jeśli się ją na minutę spuściło z oczu, znikala...

Potem przyszły nawałnice śniegu uniemożliwiające przebywanie w lodzii, bo masy bieli, miecione zawieruchą, pokrywały podłogę i sprzęty grubą warstwą. Tak, burze też były możliwe w zacisznej górskiej dolinie. Całą atmosferę obejmowało wzburzenie, a ruch płatków śnieżnych tak ją wypełniał, że już o krok nic nie można było dojrzeć. Porywy wiatru tak silne, że tamujące oddech, wprawiały śnieżycę w dziki ruch skośny lub wirujący od dołu w górę, od dna doliny w przestworza, mąciły ją w szalonym tańcu — nie była to już śnieżycą, lecz chaos białego mroku, bezład daleko odbiegający od zwykłych w tej okolicy zjawisk. Mogła się rozeznać w nich jedynie zięba alpejska, która nagle pojawiła się całymi stadami.

A jednak Hans Castorp lubił życie w śniegu. Wydawało mu się pod wieloma względami podobne do życia na morskim wybrzeżu: podstawowa monotonia krajobrazu była wspólna obu regionom: śnieg, ten głęboki, pulchny, nieskazitelny, syпки śnieg odgrywał tu tę samą rolę co tam w dole żółtobiałe piasek; równie czyste było zetknięcie z nimi; suchą od mrozu biel strząsało się z trzewików i odzieży tak samo jak tam bezpylnie sproszkowane kamienie i muszle z dna morskiego, również nie

zostawiające po sobie śladu; a maszerowanie po śniegu było równie mozolne jak po nadmorskich wydmach; chyba że powierzchnia śniegu stopniała już od słońca i nocą zamarzła, wtedy szło się po nim lżej i przyjemniej niż po posadzkach, równie lekko i przyjemnie jak po gładkim, twardym, wypłukanym, uginającym się piasku nad samym brzegiem morza.

W tym roku z powodu opadów śnieżnych i zalegających zasp wszyscy z wyjątkiem narciarzy mieli ograniczoną swobodę ruchów na powietrzu. Pług śnieżny pracowały; ale z trudem mogły jako tako uwolnić od zasp najbardziej używane szlaki i główną ulicę Uzdrowiska. Na tych nielicznych dostępnych drogach, szybko uchodzących w niedostępne tereny, roiło się od zdrowych i chorych, od ludzi miejscowych i międzynarodowych gości hotelowych, pieszych potracali panowie i panie jadący na saneczkach, w tył pochyleni, z wyciągniętymi nogami, wznosząc ostrzegawcze okrzyki, których ton wskazywał, jak bardzo są przeświadczeni o doniosłości tego, co robią; pochylając się w tył i naprzód i wywracając koziółki pędzili na swych dziecinnych saneczkach po zboczach, aby zjechawszy na dół, wciągać swą modną zabawkę z powrotem na górę.

Tych spacerów miał Hans Castorp już teraz więcej niż dosyć. Żywił dwa pragnienia: silniejszy z nich było pozostać sam na sam ze swymi myślami i sprawami swego królowania, i temu łódzia czyniła zadość; przynajmniej powierzchownie. Drugim pragnieniem, związanym z tamtym, było wejść w ściślejszy, a swobodniejszy kontakt ze śnieżną pustynią gór, która budziła w nim szczególne zainteresowanie. Ale pragnienie to było nie do spełnienia dla nie wyekwipowanego odpowiednio piechura. Zaraz bowiem utknąłby po szyję w tym żywiole, gdyby spróbował wyjść poza bliski wszędy koniec przekopanych ścieżek.

Postanowił tedy pewnego dnia w czasie tej drugiej zimy, spędzanej tu w górze, kupić narty i nauczyć się posługiwać nimi w takim stopniu, w jakim mu to dla jego celów było potrzebne. Nie był sportowcem; dla braku zainteresowania sprawami fizycznymi nigdy nim nie był i nie udawał, że nim jest, jak to czynili niektórzy goście „Berghofu”, którzy stosując się do miej-

scowych nastrojów i mody ubierali się fircykowato, zwłaszcza kobiety; na przykład Hermina Kleefeld, która choć z powodu trudności w oddychaniu miała sine wargi i koniuszek nosa, chętnie przychodziła na obiad w wełnianych spodniach i w tym stroju po jedzeniu rozpierała się w hallu w koszykowym fotelu, rozstawiwszy kolana i zachowując się prostacko i prowokująco. Gdyby Hans Castorp zwrócił się do radcy o zgodę na swój szalony zamiar, byłby niewątpliwie otrzymał odpowiedź odmowną. Ludziom tu w górze przebywającym, w „Berghofie” tak samo jak we wszystkich innych podobnych zakładach, sporty były bezwzględnie zabronione; bo i tak powietrze, choć na pozór łatwo wdychane, stawiało mięśniowi sercowemu niemałe wymagania, a co się tyczy osobiście Hansa Castorpa, to jego inteligentne powiedzenie: „przyzwyczajam się do tego, że się nie przyzwyczajam”, zachowało swą moc, i w dalszym ciągu miał skłonność do gorączkowania, którą Radamantys przypisywał jakiemś wilgotnemu miejscu w płucach. Inaczej nie byłby tu w górze. Jego pragnienie było zatem sprzeczne z jego stanem i niewłaściwe. Ale należało go dobrze zrozumieć. Nie miał ambicji dorównywania fircykom uprawiającym sporty dla szyku, którzy, gdyby takie padło hasło, z nie mniejszym zapalem oddawaliby się grze w karty w dusznym pokoju. Czuł się związany z inną społecznością, bardziej zwartą niż ten lupek turystów, spojona szerszym i nowszym punktem widzenia. Poczucie godności, każące mu odgraniczać się od innych, oraz poczucie pewnej odpowiedzialności, jakie posiadał, mówiły mu, że nie jest jego rzeczą harcować jak tamci po górach i tarzać się po śniegu jak głupiec. Nie chodziło mu o żadne eskapady. Zamierzenia jego były umiarkowane, i na to, co sobie planował, mógł mu Radamantys śmiało pozwolić. Ponieważ jednak ze względu na regulamin zakładu musiałby mu zabronić, Hans Castorp postanowił działać poza jego plecami.

Przy okazji powiedział panu Settembriniemu o swych zamierzeniach. Pan Settembrini byłby go uściskał z radości. Ależ tak, naturalnie tak, inżynierze, na miłość boską, niech pan to zrobi! Niech pan nikogo nie pyta i robi to! Pański anioł stróż mu to

podszepną! Niech pan to zrobi zaraz, zanim go ta zdrowa chęć opuści! Idę z panem, pójdziemy razem do sklepu i tam od razu kupimy wspólnie ten błogosławiony sprzęt I Nawet w góry bym panu towarzyszył i tam bym z panem pojechał, w skrzydlatym obuwiu, jak Mercurio, ale mi nie wolno... Ach, nie wolno! A nawet, gdyby o to tylko chodziło, tobym jednak pojechał — ale nie mogę, jestem straconym człowiekiem... Natomiast pan... Panu to wcale nie zaszkodzi, jeśli tylko pan będzie rozsądny i nie będzie przesadzać. Co tam, choćby nawet trochę zaszkodziło, to zawsze jeszcze trzeba by powiedzieć, że to pański anioł stróż... Już nic więcej nie chcę mówić. Co za znakomity projekt! Że też pan po dwóch latach tu spędzonych jest jeszcze zdolny do takiego pomysłu! ach, nie, pan ma dobry grunt, nie ma powodu zwątpić w pana. Brawo, brawo! Zrobi pan kawał swemu księciu ciemności tam w górze, kupi pan sobie narty, każe je przysłać do mnie albo do Lukaćka, albo do sklepikarza na dole w naszym domku. Stamtąd będzie je pan zabierał, żeby się na nich ćwiczyć i pomknąć na nich...

Tak się też stało. Pod okiem pana Settembriniego, który odgrywał krytyka i znawcę, choć o sporcie nie miał pojęcia, Hans Castorp w specjalnym magazynie przy głównej ulicy nabył parę eleganckich nart, wylakierowanych na jasnobrązowy kolor, z dobrego jesionowego drzewa, z doskonałymi rzemieniami, na przedzie zaostrzonych i wygiętych, kupił do tego jeszcze kijki narciarskie z żelaznymi grotami i kolistymi talerzykami i nie odmówił sobie tej przyjemności, by to wszystko samemu zabrać i na ramieniu zanieść aż do mieszkania Settembriniego; lam prędko się ułożył ze sklepikarzem, że będzie u niego codziennie zostawiał ten sprzęt. Dzięki częstemu przyglądaniu się jeździe na nartach znał sposób ich używania, więc też mógł z dala od zgiełku placów ćwiczebnych, na prawie niezadrzewionym zboczu, niedaleko za „Berghofem” codziennie partaczyć na własną rękę. Od czasu do czasu pan Settembrini przyglądał mu się z pewnej odległości, podpierając się laską, z wdzięcznie skrzyżowanymi nogami, i wołał „brawo” na widok czynionych postępów. I dopiero po pewnym czasie zdarzyło

się, że zjeżdżając jakiegoś dnia wyszuflowanym zakosem ku Wsi dla złożenia tam nart u sklepikarza, Hans Castorp natknął się na radcę. Behrens go nie poznał, choć było to w biały dzień i początkujący narciarz o mało że na niego nie wpadł. Otoczony obłokiem dymu ze swego cygara, radca podążył ciężkimi krokami dalej.

Hans Castorp przekonał się, że się szybko nabywa sprawności, której się wewnątrz potrzebuje. Nie rościł sobie pretensji do wirtuozyj. A tego, czego potrzebował, nauczył się w parę dni, nie zgrzawszy się ani nie zadyszawszy. Usiłował trzymać nogi ładnie obok siebie i zostawiać za sobą równoległe ślady, wypróbował, jak przy zjeżdżaniu nadawać kierunek za pomocą kijka; przeszkody, małe wzniesienia terenu nauczył się brać z rozpędu, z podniesionymi rękami, wznosząc się i opadając, jak okręt na wzburzonym morzu; po dwudziestu razach już się nie przewracał, gdy w pełnym biegu hamował telemarkiem, wysunawszy jedną nogę naprzód, a drugą zgiąwszy w kolanie. Stopniowo rozszerzał zakres swych ćwiczeń. Pewnego dnia pan Settembrini ujrzał go, jak znikał w białawej mgłę; krzyknął mu przez złożone dłonie ostrzeżenie i, zadowolony jako pedagog, poszedł do domu.

Pięknie było zimą w górach — nie było to piękno miękkie i łagodne, lecz podobne dzikiemu pięknu Morza Północnego przy silnym wietrze zachodnim; wprawdzie bez huku grzmotów, w śmiertelnej ciszy, ale budziło pokrewne uczucie głębokiej czci. Długie, giętkie podeszwy niosły Hansa Castorpa w różnych kierunkach: wzdłuż lewego stoku ku Clavadel albo na prawo obok Frauenkirch i Glaris, spoza których we mgłę groźnie majaczył mroczny masyw Amselflüh; także i do doliny Dischmy albo w górę za „Berghof”, w kierunku na lesisty Seehorn, z którego tylko śnieżny szczyt wynurzał się ponad granicę lasów, i do lasu Drusatscha, za którym widniała biała sylweta zaśnieżonego łańcucha Rhatikonu. Kolejką linową dawał się wraz ze swymi nartami wieźć stromo na Schatzalp i tam sunął spokojnie po lśniących pochyłościach sypkiego śniegu, na wysokości dwu tysięcy metrów, skąd przy jasnej pogo-

dzie roztaczał się daleki, wzniosły widok na krajobraz jego przygód.

!•■,>.!

Cieszył się swym osiągnięciem, które mu otwierało dziedziny niedostępne, nie natrafiając prawie na przeszkody. Pozwalało mu otoczyć się upragnioną samotnością, i to możliwie najgłębszą, dającą sercu przeżycia człowiekowi zupełnie obce i krytyczne. Po jednej stronie opadało w śnieżny тумan zarosłe jodłami urwisko, a po drugiej wyrastała ściana skalna z olbrzymimi, cyklopicznymi, sklepionymi i spiętrzonymi masami śnieżnymi, tworzącymi pieczary i kopulaste wzniesienia. Gdy zatrzymywał się i stał bez ruchu, aby samego siebie nie słyszeć, panowała cisza bezwzględna i doskonała; bezdźwięczność jakby z przytłumienia wata się rodząca, nieznana, nigdy nie słyszana, nigdzie nie spotykana. Żadnego tchnienia wiatru, choćby najlżej dotykającego drzew, żadnego szumu ani głosu. Hans Castorp stał i wsłuchiwał się w tę praciszę podpierając się swym kijkiem, z głową sklonioną na ramię, z otwartymi ustami; a śnieg cicho i nieustannie sypał dalej, opadając spokojnie i bezgłośnie.

Nie, ten świat ze swym bezbrzeżnym milczeniem nie był gościnnie; przyjmował tego, kto weń wchodził, na jego własny rachunek i ryzyko; właściwie nie przyjmował, lecz tylko znosił jego wtargnięcie, jego obecność, i to w sposób, który za nic nie ręczył i nic nie obiecywał, wzbudzał uczucie czegoś groźnego i żywiołowego, nawet nie wrogiego, lecz raczej śmiertelnie obojętnego. Dziecko cywilizacji, zawsze dalekie i obce dzikiej przyrodzie, jest na jej wielkość daleko wrażliwsze niż własne, nie skażone cywilizacją dziecko przyrody, które, od urodzenia mając z nią do czynienia, żyje z nią w trzeźwej poufałości. Ono nie zna tego religijnego lęku, z którym tamto, z podniesionymi brwiami, staje przed nią i który określa jego stosunek uczuciowy do niej jako nieustające pobożne wzruszenie i trwożne podniecenie. Hans Castorp, w kurtce z wielbłądziej sierści, z długimi rękawami, w owijaczach, stojąc na swych zbytkownych nartach, wydał się sobie samemu bardzo zuchwały, gdy tak podsłuchiwał praciszę, śmiertelnie bezgłośnie pustkę zimo-

wą; a gdy w powrotnej drodze ukazały się znów spoza zasłon pierwsze ludzkie siedziby, doznawał uczucia ulgi, które uświadamiało mu jego poprzedni stan i pouczało, że w ciągu owych godzin umysł jego był opanowany tajnym, a świętym lękiem. Niegdyś stał na Sylcie, w białych spodniach, pewny siebie, elegancki i wzbudzający szacunek, stał na brzegu potężnego wzburzonego morza jak przed klatką lwa, za której kratą bestia otwiera głębię paszczyki z przerażającymi kłami; później kapał się, podczas gdy strażnik na wybrzeżu trąbił ostrzegając tych, co zuchwale usiłowali wyjść poza pierwszą linię fal, podejść pod zbliżającą się burzę; jeszcze ostatni odprysk opadającego bałwanu uderzył go po karku, jak łapa zwierza. Od tej chwili znał to szczęście i upojenie, jakie daje lekkie miłosne zetknięcie z potęgami, których pełny uścisk byłby unicestwieniem. Ale nie odczuwał jeszcze chęci spotęgowania tego entuzjastycznego kontaktu ze śmiertcionośną przyrodą tak, by stanąć wobec groźnego pełnego uścisku; nie pragnął, jako słaba, choć przez cywilizację nie najgorzej uzbrojona ludzka istota, zdobyć się na odwagę i zapuścić tak daleko w grozę lub przynajmniej dopóty przed nią nie uciekać, aż kontakt dojdzie do punktu krytycznego, kiedy nie będzie go już można utrzymać w dowolnych granicach, kiedy będzie chodzić już nie o bryzgi piany i lekkie uderzenia łapy, lecz o falę, paszczykę, morze.

Jednym słowem: Hans Castorp okazywał tu w górze odwagę, jeśli odwagą wobec żywiołów jest nie tępa trzeźwość w stosunku do nich, lecz świadome oddanie się i lęk śmiertelny, choć przewyciężany pod wpływem sympatii. Sympatii? Tak Hans Castorp odczuwał w swej wąskiej piersi cywilizowanego człowieka sympatię dla żywiołów; a zachodził związek między tą sympatią a nowym poczuciem godności, jakie się w nim odezwało na widok saneczkującego się ludku i powiedziało mu, że bardziej dlań odpowiednia i pożądana jest samotność głębsza, większa, mniej po hotelowemu wygodna niż ta, której doznawał w łodzi swego pokoju. Patrząc stamtąd na wysoko kłębiące się mgły, na taniec śnieżnej zawieruchy, w głębi duszy wstydził się, że na rzeczy te gapi się, odgradzony od nich puklerzem

komfortu. To z tego powodu, a nie ze sportowego snobizmu i nie z wrodzonego upodobania do czynności fizycznych, nauczył się jazdy na nartach. Choć nie czuł się bezpieczny wśród ogromu i śmiertelnej, śnieżnej ciszy gór — skądże on, dziecko cywilizacji, miałby się tam czuć bezpiecznie? — to jednak tu w górze od dawna już duch jego i umysł zakosztował rzeczy niebezpiecznych. Kolokwium z Naphtą i Settembrinim również nie należało do rzeczy najbezpieczniejszych, ono również wiodło na bezdroża i w niebezpieczeństwa; i jeśli można było mówić o sympatii Hansa Castorpa do wielkiej puszczy zimowej, to dlatego, że mimo swój zbożny lęk widział w niej odpowiednie szranki dla swych zapasów myślowych, właściwe miejsce dla kogoś, kto nosił w sobie, choć nie wie, jak to się stało, brzemię „królowania”, spraw, dotyczących stanu i pozycji człowieka bożego. Homo Dei.

Nie było tu nikogo, kto by trąbił ostrzegając śmiazków przed niebezpieczeństwem, co najwyżej uczynił to pan Settembrini, gdy na znikającego wśród śniegów Hansa Castorpa wołał przyłożywszy dłonie do ust. Ale Hans Castorp, przepelniony uczuciem odwagi i sympatii, posuwał się naprzód, nie zważając na dochodzące go z tyłu wołanie — nie inaczej niż owej karnawalowej nocy, gdy wołano za nim: „Eh, Ingegnere, un po di ragione, sa!” Ach, ty szatański pedagogu z twoją ragione i ribellione, myślał. Zresztą, lubię cię. Jesteś, co prawda, fanfaronem i kataryniarzem, ale masz dobre zamiary, lepsze od ostrego małego jezuitę i terrorystę, i wolę ciebie niż tego hiszpańskiego pacholka od torturowania i bicia, z jego błyskającymi okularami, choć ma on prawie zawsze rację, gdy się spieracie z sobą... gdy dla celów wychowawczych wydzieracie sobie wzajem swoją biedną duszę, jak to Bóg i diabeł robili w średniowieczu z człowiekiem...

Z zaśnieżonymi nogami wspinał się na chybił trafił na blade wyżyny, które niby rozpostarte płachty wznosiły się tarasami jedne ponad drugimi, coraz wyżej, nie wiadomo dokąd; zdawało się, że nigdzie nie prowadzą; ich górne regiony rozplywały się w niebie równie mglistobiałym jak one i zaczynającym się

nie wiadomo gdzie; nie widać było żadnego szczytu, żadnej grani; Hans Castorp posuwał się ku mglistej nicości; świat, który zostawił za sobą, zamieszkała przez ludzi dolina też się niebawem zamknęła i zniknęła z oczu, żaden już dźwięk z niej nie przenikał. Jego samotność, jego zagubienie, zanim sobie zdał z tego sprawę, stały się tak głębokie, jak tylko mógł tego pragnąć, tak głębokie, że wywoływały lęk, który jest pierwszym warunkiem odwagi. Praeterit figura hu jus mundi * — rzekł do samego siebie w łacinie, mało mającej w sobie humanistycznego ducha — powiedzenie to pochodziło od Naphty. Zatrzymał się i rozejrzał. Nic i nigdzie nie było widać, poza poszczególnymi bardzo małymi płatkami śniegu, które z bieli wyży i spływały na biel terenu; cisza dokoła była przeraźliwie nic nie mówiąca. Podczas gdy wzrok jego załamywał się o oslepiającą go białą próżnię, czuł, jak porusza się w nim serce, jak bije przy wspinaniu się w górę — serce, ów mięsień, którego zwierzęcy kształt i ruch podpatrzył niegdyś, w sposób może występny, wśród trzaskających błyskawic w celi do prześwietlania. I opłynał go rodzaj rozczulenia, prosta a nabożna sympatia do własnego serca, do bijącego ludzkiego serca, tak samotnego ze swym pytaniem i swą zagadką wśród tej mroźnej pustki.

Posunął się dalej, wyżej, ku niebu. Niekiedy wtykał górny koniec swego kijka narciarskiego w śnieg i potem wyciągając go przyglądał się, jak się z głębi ukazywało niebieskie światło. Bawiło go i mógł stać długo, wywołując wciąż na nowo to drobne optyczne zjawisko. Było to szczególnie delikatne światło, górskie i głębinowe, zielonkawoniebieskie, jak lód przejrzyste, a zarazem cieniste, tajemniczo pociągające. Przypominało mu światło i barwę pewnych oczu, fatalnych skośnych oczu, które pan Settembrini ze swego humanistycznego stanowiska pogardliwie nazywał „tatarskimi oczami” lub „świecącymi ślepiami stepowego wilka” — dawno ujrzanych i nieuchronnie znowu odnalezionych oczu Hippego i Kławdii Chauchat. — Dobrze — powiedział półgłosem w bezdźwięcznej ciszy — ale go nie złam. — Il est a visser, tu sais. — Iw duchu

słyszał dobiegające go z tyłu, przyjemnie brzmiące nawoływania do rozsądku.

Po prawej z boku w pewnej odległości majaczył las. Kierował się tam, aby mieć jakiś ziemski cel przed sobą, miast białawej transcendencji, i zsunął się nagle po pochyłości, której przedtem nie zauważył. Zbyt był oślepiiony, aby widzieć, jakie jest ukształtowanie terenu. Nie widział nic. Wszystko rozplywało się przed jego oczami. Zupełnie nieoczekiwanie natknął się na przeszkody. Poddał się spadkowi, nie rozróżniając oczami stopnia jego nachylenia.

Las, który go pociągnął, leżał po drugiej stronie wąwozu, w który niespodziewanie wjechał. Jego dno, sytkim śniegiem pokryte, opadało w stronę gór, jak to zauważył posunawszy się nieznacznie w tym kierunku. Schodziło w dół, a boczne upłazy podnosiły się; sfałdowany teren zdawał się parowem prowadzić do wnętrza góry. Potem znów dzioby jego nart ustawiły się ku górze, teren podniósł się, wkrótce nie było już ścian bocznych, wznoszących się w górę. Sunął po bezdrożach, mając znów przed sobą otwartą halę górską, a za nią niebo.

Teraz ujrzał iglasty las za sobą i pod sobą, skierował się ku niemu i, szybko zjeżdżając, dotarł do śniegiem obładowanych jodeł, w klin uszeregowanych, ostatnich drzew lasu, wrzynających się w bezdrzewną przestrzeń. Wypoczywając pod ich gałęziami wypalił papierosa, wciąż jeszcze z uczuciem ucisku, napięcia i niepokoju, płynącym z tej nazbyt głębokiej ciszy i awanturniczej samotności; ale zarazem był pełen dumy, że tę samotność zdobył, i pełen odwagi w poczuciu, że ma prawo przebywać w takim otoczeniu.

Było to po południu, koło trzeciej. Wyszedł wkrótce po obiedzie, aby uciec z części głównego werandowania i z podwieczorku, a powrócić przed zmrokiem. Napelniało go rozkoszne uczucie na myśl, że ma przed sobą parę godzin wędrówki wśród takiej swobody i wspaniałości. Miał trochę czekolady w kieszeni bryczesów i buteleczkę porta w kieszeni kurtki.

Słońce było tak zasnuwane mgłą, że trudno było rozeznaczyć, gdzie się znajduje. Z tyłu u wylotu doliny, gdzie się załamywał niewi-

doczny teraz łańcuch gór, chmury i mgły były ciemniejsze i robiły wrażenie, że się przybliżają. Wydawało się, że spadnie śnieg, więcej śniegu, jak gdyby po niedawnej porządnej zawierusze więcej go jeszcze było potrzeba. I rzeczywiście, małe bezgłośne płatki zaczęły obficie padać na halę.

Hans Castorp wychylił się, aby parę płatków spadło na rękaw; chciał je obejrzeć oczami znawcy, jakim jest badacz-amator. Wydawały się bezkształtnymi kłaczkami, ale niejednym raz podobne im miewał pod dobrą lupą i wiedział, że składają się z małych kosztowności, klejnotów, gwiazd orderowych, agraf brylantowych, tak misternych i precyzyjnych, iż najwytrawniejszy jubiler nie umiałby sporządzić bogatszych i bardziej wymyślnych. Ta lekka biel, sypka jak puder, która masami leżała na lesie, pokrywała roztaczające się przed nim przestrzenie i po której niosły go narty, przypominała piasek morski z jego stron rodzinnych, a jednak była odeń bardzo różna: wszak składała się nie z ziarenek kamienia, lecz z milionów cząstek wody, które ścięły się w umiarową różnorodność kryształów, cząstek nieorganicznej substancji, która nawet żywą plazmę, ciało roślin i człowieka czyniła płynną. A wśród tych milionów czarodziejskich gwiazdek, w ich niewidocznej, dla oka ludzkiego niepoznawalnej, tajnej, miniaturowej wspaniałości, nie było jednej podobnej do drugiej; panowała tu nieskończona pomysłowość w modyfikowaniu i najsubtelniejszym kształtowaniu wciąż jednego i tego samego schematu, równobocznego i równokątnego sześcioboku, a każdy z tych zimnych tworów był bezwzględnie proporcjonalny i lodowato regularny, i to właśnie było w nich niesamowite, nieorganiczne, wrogie wobec życia; były nazbyt regularne, substancja ukształtowana do życia nigdy takiej regularności nie osiąga, życie wzdraga się przed ścisłą prawidłowością, odczuwa ją jako zabójczą, jako tajemnicę śmierci. I Hansowi Castorpowi zdawało się, że rozumie, dlaczego budowniczowie świątyń w prawiekach umyślnie, a po kryjomu wprowadzali w swych porządkach architektonicznych drobne odchylenia od symetrii.

Odbił się i poczłapał na swych płozach dalej; zjechał brze-

giem lasu po grubo śniegiem pokrytym upłazie w mgławicę i potem sunął dalej, na przemian to wznosząc się pod górę, to zsuwając w dół, bez celu i bez wysiłku krążąc po martwych terenach, pustych i falistych. Suchą swą roślinnością, ciemno sterczącymi kępami kosodrzewiny i łagodnymi wzniesieniami na skraju horyzontu uderzająco przypominały one krajobraz wydm nadmorskich. Hans Castorp zatrzymał się i pokiwał z zadowoleniem głową, sycąc oczy tym podobieństwem. Odczuwał palenie twarzy, skłonność do drżenia ciała, do szczególnej kombinacji podniecenia i zmęczenia, jak w podchmieleniu; jednakże chętnie znosił to wszystko, bo przypomniało mu to pokrewne, również pobudzające, a zarazem usypiające działanie powietrza morskiego. Z zadowoleniem odczuwał swą uskrzydloną niezależność, swobodę swej wędrówki. Nie miał przed sobą drogi, z którą byłby związany, ani też nie miał drogi za sobą, która by go zaprowadziła z powrotem tam, skąd przybył. Z początku mijał tyki i wkopane kije, ślady na śniegu, ale umyślnie się szybko spod ich opieki wyzwolił, bo przypominały mu owego strażnika z trąbką i nie odpowiadały jego wewnętrznemu stosunkowi do wielkiej puszczy zimowej.

Zaśnieżone skałki, między którymi przesuwiał się to w prawo, to w lewo, przechodziły w skośno opadające zbocze, dalej ciągnęła się równina, a jeszcze dalej wysokie góry, których miękko wyścielone wąwozy i przełęcze, wabiły złudną dostępnością. Tak, dale i wyżyny, i wciąż nowe otwierające się samotnie wabiły Hansa Castorpa tak silnie, że narażając się na spóźnienie, spieszył coraz głębiej w dzikie milczenie, w świat grozy, nic dobrego nie wróżący; nie baczył też na to, że jego napięcie i rozedrganie wewnętrzne przeradzało się w rzeczywisty strach wobec przedwcześnie ciemniejącego nieba, które szarą zasłoną zapadało nad okolicą. Strach ten uświadomił mu, że dotąd w głębi duszy raczej pragnął utracić orientację i zapomnieć, w której stronie leży dolina i osiedle — i w pełni mu się to udało. Zresztą mógł sobie powiedzieć, że jeśli niezwłocznie zawróci i będzie stale zjeżdżać w dół, to do doliny, choć może daleko od „Berghofu”, dotrze szybko — zbyt szybko; bo

w takim razie wróci za wcześnie, nie wyzyska swego czasu; choć co prawda, jeśli nie zawróci a zaskoczy go śnieżna zawierucha, to drogi do domu na razie w ogóle nie odnajdzie. Jednakże ociągał się, nie chcąc z tego powodu uciekać przedwcześnie, mimo że strach, prawdziwy strach przed żywiołami, ścisnął go za gardło. Właściwie nie postępował jak sportowiec: bo ten w walce z żywiołami wdaje się tylko, o ile wie, że nad nimi panuje, jest bowiem przezorny, jest stroną mędrszą, gotową w razie potrzeby ustąpić. To, co się działo w duszy Hansa Castorpa, można było określić tylko jednym słowem: wyzwanie. I choć słowo to zawiera w sobie tyle nagany, nawet jeśli — lub zwłaszcza jeśli — odpowiadające mu występne uczucie związane jest z rzeczywistym strachem, to jednak trochę ludzkiego zastanowienia pozwala zrozumieć, że na dnie duszy młodzieńca czy mężczyzny, który latami żył tak jak ten, zbiera się coś lub — jak by to Hans Castorp po inżyniersku powiedział — następuje „akumulacja” czegoś, co wreszcie pewnego dnia musi się wyładować jako żywiołowe „niech tam” czy „niech się dzieje co chce”, pełne gorzkiej niecierpliwości — krótko mówiąc, jako wyzwanie i wyzbycie się mądrej przezorności. Posuwał się więc dalej na swych długich pantoflach, ześliznął się ze zbocza i sunął przez następną halę; na niej w pewnej odległości stał domek drewniany, szopa na siano czy schronisko z umocnionym kamieniami dachem, pod górą, której grzbiet nastroszony był jodłami, a za którą piętrzyły się mglisto szczyty wielkiej wysokości. Przed nim była stroma ściana, porośła rozproszonymi grupami drzew; ale kierując się w bok ku prawej, niewiele się tylko wznosząc, można ją było obejść i przekonać się, co jest dalej. Hans Castorp podążył tą drogą odkrywcy, zjechawszy przedtem z pola, na którym stał pastercki szałas, w dość głęboki, na lewo opadający żleb.

Zaczął właśnie wspinać się na nowo, gdy, jak należało oczekiwać, rozpetęła się w najlepsze śnieżnica i zawierucha — krótko mówiąc, burza śnieżna, od dawna grożąca, jeśli można mówić, że „grożą”, o ślepych i nieświadomych żywiołach, które nie tylko nie mają zamiaru nas zniszczyć, co jeszcze by-

łoby mniej straszne, lecz którym jest przeraźliwie obojętne, jeśli to przy okazji uczynią. „Halo! — pomyślał Hans Castorp, gdy poprzez zawieję uderzył weń pierwszy gwałtowny pęd wichru. — Przejmuje aż do szpiku kości.” Wiatr był rzeczywiście wściekły: strasznie zimna, około 20° poniżej zera, nie odczuwało się czy nawet odczuwało się je jako łagodne, póki suche powietrze było spokojne i nieruchome, ale gdy je podewiał wiatr, zdawało się, że noże wrzynają się w ciało; gdy zaś za pierwszym porywem wiatru poszły inne, siedem futer by nie starczyło, aby ustrzec kości od mrozącego śmiertelnego lęku; a Hans Castorp miał na sobie nie siedem futer, lecz tylko wełnianą kurtkę, która mu kiedy indziej całkowicie wystarczała, a nawet przy odrobinie słońca wydawała się zbyt ciepła. Wiatr dął z boku i z tyłu, więc nie należało odwracać się i wystawiać nań od przodu; a że do tej refleksji przyłączała się jeszcze przekora i że w głębi duszy słyszał zdecydowane „Niech tam”, więc szalony chłopak spieszył wciąż dalej; mijał stojące tu samotne jodły, aby wydostać się poza wznoszącą się przed nim górę.

Nie była to zresztą przyjemność, bo nic nie było widać wobec wirowania płatków śnieżnych; zdawało się, że nie opadają, lecz wirując wypełniają całą przestrzeń. Od lodowatych porywów wiatru uszy dotkliwie bolały i piekły, kończyny traciły władzę, ręce zgrabiały tak, iż już nie miał poczucia, czy w nich trzyma jeszcze kijek. Śnieg sypał mu się z tyłu za kołnierz i spływając topniał na plecach, kładł mu się na ramiona, pokrywał prawy bok; Hans Castorp miał uczucie, że zamarza i staje się bałwanem śnieżnym, trzymającym 'sztywno swój kij; a wszystko to działo się w stosunkowo korzystnych warunkach: niech się odwróci, a będzie gorzej; powrót do domu stał się ciężkim zadaniem — jednakże nie powinien się już z nim ociągać.

Zatrzymał się więc. Gniewnie wzruszył ramionami i odwrócił narty. Wicher od razu zapał mu oddech, i niewygodnej procedurze odwracania nart musiał poddać się ponownie, by zaczerpnąć powietrza i w lepszej kondycji stawić czoło obo-

jętnemu wrogowi. Spuściwszy głowę i ostrożnie regulując oddech zdołał ruszyć w odwrotnym kierunku; mimo że przewidywał najgorsze, przeraził się widząc, jak wielkie trudności sprawia mu posuwanie się naprzód, zwłaszcza dlatego, że był oślepiiony i bez tchu. Co chwila musiał stawać, najpierw po to, by zasłaniając się od burzy chwytać powietrze, a następnie dlatego, że posuwając się ze spuszczoną głową i spoglądając tylko ukradkiem w górę nie widział nic w Białym mroku, a musiał się strzec, by nie najechać na drzewo lub nie wyrwać się na przeszkodzie. Płatki śnieżne masami padały mu na twarz i topniały na niej, tak że zupełnie zeszywniała. Dostawały mu się do ust i rozplływały się w nich ze słabym wodnistym smakiem; nalaływały na zamykające się kurczowo powieki, zasypywały mu oczy i uniemożliwiałały patrzenie, które zresztą byłoby bezużyteczne, bo wobec gęstego zasnucia pola widzenia i oślepiającej bieli zmysł wzroku prawie zupełnie przestawał działać. Zmuszając się do patrzenia widział tylko nicość, białą wirującą nicość. I tylko niekiedy widniały w niej upiorne cienie zjawiskowego świata: krzak kosodrzewiny, grupa świerków, niewyraźne kontury szopy, obok której niedawno przechodził.

Minął ją i przez halę, na której stała, szukał powrotnej drogi. Ale drogi nie było; utrzymanie choć w przybliżeniu kierunku w stronę domu i doliny mogło być raczej rzeczą szczęścia niż rozsądku, bo widział wprawdzie swą rękę przed oczami, ale już nawet końców nart nie widział; a gdyby nawet widział, to jeszcze wiele innych rzeczy przeszkadzałoby mu w posuwaniu się naprzód: twarz zasypywał mu śnieg, przeciwny wiatr uniemożliwiał wdychanie i wydychanie powietrza i zmuszał do odwracania się co chwila dla nabrania tchu; w tych warunkach nawet ktoś silniejszy od Hansa Castorpa niełatwo dałby sobie radę; musiał się więc zatrzymywać, chwytać powietrze mrużąc oczy, ocierać wodę z rzęs, strzepywać pancierz śniegu z piersi — i czuł, że nierozsądnie jest myśleć o tym, by w takich warunkach poruszać się jeszcze naprzód.

Jednakże poruszał się naprzód czy raczej posuwał się dalej. Ale czy było to posuwanie się celowe, we właściwym kierun-

ku i czy nie byłoby mniejszym błędem pozostać tam, gdzie był (co jednak także nie wydawało się możliwe), to budziło wątpliwości; w teorii prawdopodobieństwo przemawiało nawet przeciw temu, a w praktyce Hansowi Castorpowi wydało się niebawem, że coś z terenem jest nie w porządku: jakby miał pod nogami nie ten co należy, nie płaską halę, do której dotarł wznosząc się z mozołem ze żlebu, a przez którą przede wszystkim powinien był przejść.* Płaszczyzna była jakby zbyt krótka i już znowu wznosiła się w górę. Najwidoczniej burza, nadciągająca od południowego zachodu, od wylotu doliny, prąc zaciekle, zepchnęła go w bok. Mylił się tedy, sądząc, że się posuwa naprzód, i to od dłuższego czasu. Na oślep, wśród wirującej białej nocy wdzierał się tylko głębiej w obojętną a groźną przestrzeń.

— Nie, coś podobnego — powiedział przez zęby i zatrzymał się. Nie wyraził się z większym patosem, choć przez chwilę zdawało mu się, jak gdyby lodowata ręka sięgała mu do serca, aż zadrgało i biło szybkimi uderzeniami o żebra, tak samo jak wówczas, gdy Radamantys odkrył w jego płucach wilgotne miejsce. Rozumiał bowiem, że nie ma prawa do wielkich słów i gestów, bo to on wyzywał żywioły i trudności swej sytuacji musi teraz brać na własny rachunek. — Nieźle — powiedział i czuł, że rysy i wyraz jego twarzy nie słuchały już jego duszy i nic już oddać nie były w stanie, ani strachu i gniewu, ani pogardy, albowiem zupełnie zeszywniały. — Co teraz? Tędy skośnie w dół, i dalej kierując się węchem, wciąż dokładnie pod wiatr. Co prawda, łatwiej to powiedzieć niż zrobić — mówił sobie dysząc i zacinając się — jednakże — mówił rzeczywiście półgłosem, ruszając dalej — coś trzeba robić, nie mogę sięść i czekać, bo wtedy śnieg pokryje mnie swymi prawidłowymi sześciokątami i gdy Settembrini przyjdzie z trąbką mnie szukać, to znajdzie mnie już przykucniętego, ze szklanymi oczami i z krzywą czapą śnieżną na głowie... — Zauważył, że mówi do siebie, i to w jakiś osobliwy sposób. Postanowił, że już nie będzie tego robić, jednakże niebawem znów mówił półgłosem, ale wyraźnie, choć wargi jego tak zdrętwiały, że już się nimi

nie posługiwał i mówił bez tych spółgłosek, do których wymawiania potrzeba było warg; przypomniało mu to pewną sytuację z dawniejszego jego życia, w której działo się podobnie. — Milcz i staraj się ujść cało — powiedział sobie i dodał: — Zdaje mi się, że gadasz bez sensu i niezupełnie dobrze masz w głowie. To w pewnym sensie jest źle.

Że jest źle, jeśli chodzi o wydostanie się stąd, to stwierdzał obiektywnie jego kontrolujący rozum jakby ktoś obcy, nie biorący w tym wszystkim udziału, ale troszczący się o niego. Sam był najbardziej skłonny poddać się tej niejasności, która go opanowywała w miarę, jak rosło zmęczenie; zauważył tę skłonność i zaczął zastanawiać się nad nią. — Oto doznaję przeżyć właściwych komuś, kogo w górach zaskoczyła burza i kto już nie może odnaleźć drogi do domu — myślał pracowicie i dysząc wypowiadał fragmenty swych myśli, wyrażając się przy tym dyskretnie i unikając jaskrawości. — Kto później kiedyś o tym usłyszy, będzie sobie przeżycia te wyobrażał jako okropne, nie pomnąc, że choroba — a moja sytuacja jest poniekąd chorobą — tak już oddziaływała na chorego, iż chory i ona mogą nawzajem z sobą dojść do ładu. Występują wówczas zjawiska zmniejszonej wrażliwości, błogosławione narkozy, środki, którymi rozporządza natura, aby chory mógł doznać ulgi, tak jest... Należy jednak z nimi walczyć, mają bowiem podwójne oblicze; można je różnie oceniać, zależnie od punktu widzenia. Są one dobrotliwe i są dobrodziejstwem, o ile się nie ma wrócić do domu, ale są złośliwe i należy je z całej siły zwalczać, jeśli jest jeszcze w ogóle mowa o powrocie. A ja ani myślę, w tym moim gwałtownie bijącym sercu ani myślę dać się tu pokryć idiotycznie regularną krystalometrią...

Naprawdę był już bardzo wyczerpany i poczynające się zamroczenie zmysłów zwalczał w sposób niejasny i gorączkowy. I nie przeląkł się tak, jakby normalnie powinien się być przeląkł, zauważywszy, że znów zboczył z równej drogi: tym razem w innym kierunku, mianowicie tam, gdzie hala opadała w dół. Zjeżdżał bowiem skośnie pod wiatr i choć nie powinien był tego robić, było to na razie najdogodniejsze. „Już dobrze — myślę

łał. — Niżej poprawię znów kierunek". Tak też zrobił czy też myślał, że tak robi, a może nawet tego nie myślał lub, co najgorsze, zaczynało mu już być obojętne, czy robi tak, czy nie robi. Tak działały dwuznaczne luki w świadomości, które tylko od niechcenia zwalczał. W połączeniu zmęczenia i podniecenia, dobrze znanym i często doznawanym przez gościa tych stron, który aklimatyzując się przyzwyczajał się do tego, że się nie przyzwyczaja, tak bardzo się wzmogły obydwa składniki, że już nie mogło być mowy o jakiejś rozsądnej reakcji na owe luki świadomości. Odurzony i zataczając się, drżał z upojenia i podniecenia bardzo podobnie, jak po rozmowach z Naphtą i Settembrinim, tylko jeszcze nieporównanie silniej. Dzięki temu mógł swą bierność w zwalczaniu narkotycznych luk świadomości upiększać pijanymi reminiscencjami z tych rozmów; z pogardą i oburzeniem myślał o tym, że może zostać zasypywany regularnymi sześciokątami, a jednocześnie coś mamrotał pod nosem, z sensem czy bez sensu, że jeśli opiera się utracie przytomności, to jedynie z poczucia obowiązku, a to jest tylko etyka, a więc nędzne mieszczaństwo życiowe i bezbożne filisterstwo. Pragnienie i pokusa, aby się położyć i wypocząć, wślizgiwały się do jego umysłu w takiej postaci: że jest tu podobnie jak podczas burzy piaszczystej na pustyni, wtedy zaś Arabowie rzucają się twarzą na ziemię, zarzuciwszy burnus na głowę. Jedynie okoliczność, że nie miał burnusa, a wełnianej kurtki niepodobna zarzucić na głowę, przemawiała przeciw takiemu zachowaniu się, choć przecież nie był dzieckiem i z niejednego opowiadania dość dokładnie wiedział, jak się zamarza na śmierć.

Po dość szybkim zjeździe i przebyciu kawałka płaskiego terenu Hans Castorp znalazł się znów na drodze idącej stromo w górę. Nie dowodziło to jeszcze, że zbłądził, bo droga do doliny powinna była też częściowo prowadzić pod górę, co się zaś dotyczy wiatru, to widocznie jakiś kaprys odwrócił jego kierunek, bo Hans Castorp miał go teraz od tyłu i mówił sobie, że jest to okoliczność — sama przez się — pomyślna. Poza tym — czy to zginała go zawierucha, czy też na ciało jego działała siła

przyciągająca mrocznej, zawieją przysłoniętej, miękkiej białej pochyłości, że się ku niej pochylał? Żebyż się temu przyciąganiu poddać — chodziło jedynie o przytulenie się — pokusa była wielka, taka, jaką opisują w książkach, traktując ją jako typowo niebezpieczną, co jej wcale nie odbierało siły ni żywotności. Rościła sobie swe indywidualne prawa, nie dawała się podporządkować ani utożsamić z tym, co powszechnie znane, była potrzebą jedyną w swoim rodzaju i nie dającą się z niczym w swej natarczywości porównać, a zarazem nio było można zaprzeczyć, iż jest czymś podszeptem, że inicjatywa pochodzi tu od kogoś w hiszpańskiej czerni ze śnieżnobiałą, karbowaną kryzą w kształcie talerza; z jego wyobrażeniem łączyły się myśli posępne, jezuickie, wrogie człowiekowi, kult tortur i kar cielesnych, budzących odrazę pana Settembriniego, ale wobec których on sam wydawał się śmieszny ze swą katarynką i swą ją ragione...

Jednakże Hans Castorp trzymał się dobrze i nie poddawał się pokusie, aby się położyć. Choć nie widział nic, jednakże walczył i ruszył z miejsca — celowo czy nie, ale zrobił swoje i ruszył się, na przekór więzom, którymi zawierucha śnieżna coraz dotkliwiej pętała jego członki. Ponieważ musiał się wspinać zbyt stromo, więc nie bardzo zdając sobie nawet z tego sprawę, skierował się w bok i przez chwilę posuwał się wzdłuż skośnej pochyłości. Trzeba było wysiłku, by rozewrzeć skurczone powieki i rozejrzeć się, a wypróbowana bezskuteczność tego wysiłku mało doń zachęcała. Niemniej niekiedy mógł zobaczyć coś niecoś: skupienia świerków, strumień lub rów, którego czerń między nawisami śniegu odcinała się od reszty terenu; gdy dla odmiany znów zjeżdżał z góry, a wiatr siekł go w oczy, zauważył w pewnej odległości cień ludzkiej budowli, unoszący się w powietrzu, podobny do miotanych wiatrem zasłon.

Upragniony, pocieszający widok! Więc jednak wbrew wszystkim przeciwnościom osiągnął to, że ukazały się już nawet ludzkie budowle, na znak, że zamieszkała dolina jest blisko. Może są tam ludzie, może będzie można do nich wstąpić, pod dachem przeczekać bezpiecznie aż do końca niepogody, a w razie po-

trzeby, gdyby tymczasem zapadł wieczorny zmrok, znaleźć towarzysza i przewodnika. Kierował się ku temu chimerycznemu, często w ciemnościach zawiei niknącemu czemuś, ale aby doń dojść, miał jeszcze przed sobą męczące wspinanie się pod wiatr. A gdy doszedł, przekonał się z oburzeniem, zdumieniem, przerażeniem i zawrotem głowy, że jest to znajomy mu już szałas, szopa z dachem obciążonym kamieniami, do której po tylu najrzetelniejszych wysiłkach, okrężnymi drogami dotarł z powrotem.

Niech to diabli biorą! Ze zdrętwiałych warg Hansa Castorpa sypnęły się ciężkie przekleństwa, nie zawierające tylko dźwięków wargowych. Dla zorientowania się pobrnał dookoła szałas i stwierdził, że dotarł doń od tyłu; a więc przez dobrą, jak obliczał, godzinę robił najniepotrzebniejsze i najniedorzeczniejsze wysiłki. Ale tak się zawsze dzieje, tak jest to opisywane w książkach; człowiek krąży dookoła, wysila się pragnąc ratunku, którego obraz ma w sercu, a robi tylko jakiś wielki niemądry łuk, który wraca do punktu wyjściowego, niczym zwodniczy bieg roku kalendarzowego. W ten sposób dzieje się, że człowiek chodzi w kółko i nie znajduje drogi do domu. Hans Castorp rozpoznał to opisywane często zjawisko z pewnym zadowoleniem, ale i z przerażeniem; uderzył się po biodrze, zły i zdumiony, że w jego szczególnym, indywidualnym, terażniejszym wypadku powszechna zasada sprawdza się tak dokładnie.

Samotna szopa była niedostępna, drzwi były zamknięte, nie można się było dostać do środka. Jednakże Hans Castorp zdecydował, że pozostanie tu na razie, bo wystający dach dawał złudzenie pewnej gościnności, a sam szałas swą zwróconą ku górom ścianą, pod którą Hans Castorp się schronił, rzeczywiście osłaniał cośkolwiek przed zawieruchą, jeśli się było oprzeć ramieniem o jego ścianę z bali drewnianych, bo na to, by się oprzeć plecami, nie pozwalały długie narty. Stał pochylony w bok, kijek narciarski zatknął w śnieg, ręce włożył w kieszenie, podniósł kołnierz wełnianej kurtki, a wystającej nogi użył jako drugiej podpory. Zamknął oczy, a głowę, w której czuł zamęt, oparł o bale ściany, i tylko raz po raz rzucał okiem

poprzez ciasną dolinę na daleką górską ścianę, wylaniającą się niekiedy ze mgły.

Pozycja jego była względnie wygodna. „W ostateczności mogę tak stać przez całą noc — myślał — zmieniając tylko od czasu do czasu nogę, przestawiając się na drugą stronę i naturalnie poruszając się trochę, bo to jest niezbędne. Choć na zewnątrz jestem skostniały, ale mam wewnątrz dość ciepła zebranego podczas ruchu, wycieczka nie była więc całkowicie bezużyteczna, choć się zgubiłem i błądziłem od szalasu do szalasu... »Zgubiłem się« — cóż to znów za wyrażenie? Nie jest używane ani przyjęte w takim wypadku jak mój, określam go całkiem niewłaściwie tym wyrażeniem, bo mi się mąci w głowie; a jednak wydaje mi się, że jest to wyraz poniekąd odpowiedni... Dobrze, że to wszystko wytrzymuję, bo ta bezsensowna historia ze śniegiem może trwać do jutra rana, a choćby trwała tylko do zmroku, to i tak byłoby niedobrze, bo wśród nocy niebezpieczeństwo zgubienia się i krążenia w kółko jest równie wielkie jak przy zawierusze... A pewnie już wieczór, koło szóstej — tyle czasu zmarnowałem gubiąc się. Któraż to godzina?» — Spojrzał na zegarek, który zgrabiałymi, nic nie czującymi palcami niełatwo było wydostać z ubrania: złoty zegarek z kopertą i monogramem żywo tykał, spełniając swój obowiązek w tym odludziu tak samo, jak serce Hansa Castorpa, wzruszające ludzkie serce, które biło dalej w organicznym cieple jego piersi...

Było wpół do piątej. Do diabła, to prawie ta sama godzina, o której zaczęła się burza. Czyż możliwe, że jego błędzenie trwało zaledwie kwadrans? „Czas mi się dłuży — myślał. — Widzę, że nudną rzeczą jest gubić się. Ale to pewne, że ściemni się o piątą czy o wpół do szóstej. Czy zawierucha ustanie przedtem dość wcześnie, abym dalej się nie gubił? Teraz dobrze by było łyknąć trochę porta, by się wzmocnić.”

Wziął z sobą ten trunek dyletantów jedynie dlatego, że w „Berghofie” miano go na składzie w płaskich flaszkiach dla jadących na wycieczki, oczywiście nie dla tych, co w niedozwolony sposób przy śniegu i mrozie zbłądzili w górach i w takich

jak on okolicznościach oczekują nocy. Gdyby umysł jego działał sprawniej, musiałby sobie powiedzieć, że jeśli chodzi o powrót do domu, to nie mogło być napoju mniej odpowiedniego; i powiedział to sobie po paru łykach, które od razu miały taki skutek jak kulmbacher wypity pierwszego wieczoru spędzonego tu w górze: nieopanowanym mówieniem o sosach do ryb i innych takich rzeczach uraził wówczas pana Settembriniego, pana Lodovica, pedagoga, który nawet folgujących sobie szaleńców przywołuje wzrokiem swym do rozumu; jego dźwięczną trąbkę słyszał teraz w przestworzach jako znak, że wymowny wychowawca zbliża się szybkim marszem, aby przysparzającego mu tyle zgryzoty wychowanka, owo wieczne dla życia strapienie, uwolnić z szalonego położenia i zaprowadzić do domu... Wszystko to oczywiście nie miało sensu, a pochodziło tylko z kulmbachera, którego napił się przez omyłkę. Bo najpierw, pan Settembrini nie miał trąbki, miał jedynie katarynkę opartą szczudłem o bruk i grającą płynnie, podczas gdy on ogarniał domy dookoła swym spojrzeniem humanisty, a po wtóre, nie wiedział nic o tym, co się tu działo, bo już nie mieszkał w sanatorium „Berghof”, lecz u krawca damskiego, Lukačka, w mansardzie z karafką wody, nad jedwabną celą Naphty; poza tym, nie miał ani prawa, ani możliwości wkraczania w tym wypadku, tak samo jak niegdyś podczas nocy karnawałowej, gdy Hans Castorp znajdował się w równie szalonym i niepożądanym położeniu oddawszy chorej Kławdii Chauchat son crayon, jej ołówek, ołówek Przybysława Hippego... Jak to zresztą jest z „położeniem”? Aby się znajdować w jakimś położeniu, musiałby leżeć, a nie stać, jeśli wyraz ma mieć swój właściwy i porządnym, a nie tylko przenośnym sens. Poziome położenie należało się jemu, który od lat przebywał tu w górze. Czyż nie był przyzwyczajony do leżenia na powietrzu, przy śniegu i na mrozie, nocą tak samo jak dniem? Już się więc zabierał do tego, aby się położyć, gdy przeszła go, chwyciła jakby za kołnierz i utrzymała na nogach myśl: że niemądre jego rozważania o „położeniu” trzeba także położyć wyłącznie na karb kulmbachera, że mają swe źródło w bezosobowej chęci leżenia i spania, w książkach

opisywanej jako typowo niebezpieczna, a mamiącej go sofizmami i grą słów.

„Był to fałszywy krok — przyznał. — Nie trzeba było pić portu, po tych kilku łykach mam niemożliwie ciężką głowę, ciężar spada mi także na piersi. Myśli mi się płaczą i robię niemądre dowcipy; nie mogę im ufać, nie tylko tym, co mi pierwsze przychodzi do głowy, ale także tym drugim, w których pierwsze poddaję krytyce: to moje nieszczęście. Son crayon! To znaczy w tym wypadku jej crayon, a nie jego, a mówi się son, bo crayon jest rodzaju męskiego, reszta to dowcipki. Że też ja w ogóle o takich rzeczach myślę! Tymczasem daleko pilniejszą sprawą jest to, że moja lewa noga, na której się opieram, uderzając przypomina szrudło u katarynki Settembriniego, które on popycha przed sobą na bruku kolanem, zbliżając się do okna i podstawiając aksamitny kapelusz, aby dziewczę z góry weń coś wrzuciło. A przy tym jakaś bezosobista siła ciągnie mnie formalnie rękami, żebym się położył na śniegu. Na to tylko ruch może pomóc. Muszę się ruszać, za karę za kulmbachera i aby rozprostować nogę, która jest jak drewno.”

Odepchnął się ramieniem. Ale ledwie odsunął się od szopy i zrobił krok naprzód, wicher podciął go jak kosą i rzucił pod osłonę ściany. Najwyraźniej miejsce to było mu sądzone i musiał się z tym na razie pogodzić, natomiast mógł się dla odmiany oprzeć na lewym ramieniu, a podeprzeć prawą nogą, wykonawszy przedtem kilka niezdarnych ruchów lewą, aby odcierpła. „Przy takiej pogodzie nie wychodzi się z domu — myślał sobie. — Dobra jest umiarkowana odmiana, ale nie żądza nowości i nie puszczanie się w zawody z wiatrem. Stój spokojnie i ostatecznie spuść głowę, skoro taka ciężka. Ściana jest dobra; te bale wypromieniowują trochę ciepła, jeśli tu może być mowa o ciepłe, trochę dyskretne ciepła drzewa, choć może jest to tylko sprawa nastroju, subiektywne odczucie... Ach, ileż drzew! Jakaż żywa atmosfera życia! Jakże pachnie!...”

Pod nim leżał park; stał na balkonie, pod którym roztaczał się rozległy, bujny, zieleniejący park, pełen liściastych drzew: wiązów, platanów, buków, klonów, brzoź, o subtelnym odcie-

niach pełnego, świeżego, lśniącego listowia i lekko szumiących wierzchołkami. Powietrze było rozkoszne, wilgotne, balsamiczne od oddechu drzew. Przeszła ciepła, świetlista ulewa. Aż po samo niebo przestrzeń wypełniona była błyszczącymi strugami deszczu. Jakże pięknie! O, tchnienie stron rodzinnych, zapach i bujność dawno niewidzianych równin! Zewsząd rozbrzmiewały głosy ptaków, delikatne, serdeczne, słodkie kwilenie, świergotanie, gruchanie, śpiew, łkanie, choć nie było widać ani jednego stworzenia. Hans Castorp uśmiechnął się i z wdzięcznością zaczerpnął tchu. A tymczasem wszystko wydawało się jeszcze piękniejsze. Z boku nad krajobrazem rozpiął się łuk tęczy, pełny i wyraźny, najczystszy cud, wilgotnie błyszczący wszystkimi swymi barwami, nasyconymi jak olejne i spływającymi w gęstą, lśniącą zieleń. Było to jak muzyka, jak czyste dźwięki lutni zmieszane z fletem i skrzypcami. Zwłaszcza błękit i fiolet spływały cudownie. Wszystko w nich w czarodziejski sposób roztopiało się, przekształcało, rozwijało wciąż na nowo i coraz piękniej. Było to tak jak przed laty, kiedy Hans Castorp miał możliwość usłyszenia śpiewaka światowej sławy, włoskiego tenora, z którego krtani władcza sztuka spływała jak łaska na serca ludzkie. Wziął on wysoki ton, który od początku był piękny. Ale stopniowo namiętny i dźwięczny głos otwierał się, nabrzmiewał, rozjaśniał się, rozpromieniał. Zdawało się, że zasłony, których poprzednio nikt nie zauważył, opadają jedna za drugą, wreszcie opadła i ostatnia, odsłaniając, jak się wydawało, najpotężniejsze i najczystsze światło, potem jeszcze jedna, najostatniejsza, i jeszcze jakaś nieprawdopodobna, ze wszystkich ostatnia, wyzwalająca tyle blasku i tyle wspaniałości, że aż łzy wycisnęła i z tłumu wyrwały się stłumione głosy zachwyту, brzmiące niemal jak protest i sprzeciw, a jego samego, Hansa Castorpa, chwyciło łkanie. Tak samo było teraz, w tym jego krajobrazie, który przemieniał się, otwierał, coraz bardziej promieniał. Błękity płynęły... Opadła błyszcząca zasłona deszczu — i ukazało się morze; morze, morze południowe, o głębokiej ciemnoniebieskiej barwie, lśniące srebrnymi światłami, cudowna zatoka, po jednej stronie otwarta i zamglona, w połowie otoczona łańcuchami

błękitnych gór, bledniejących w oddali, usiana wypami, na których rosły palmy lub błyszcząły małe białe domki wśród cyprysowych gajów. Ale dość, cóż za niczym nie zasłużona, promieniąca światłem błogość przejrzystego nieba i słonecznej świeżości wód! Hans Castorp nigdy tego nie widział, nie widział nic podobnego. W wakacyjnych podróżach ledwie zawadził o południe — morze znał tylko surowe i blade i był doń przywiązany ociężałym, dziecięcym uczuciem, natomiast do Morza Śródziemnego, do Neapolu, Sycylii czy Grecji nigdy nie dotarł. A jednak p r z y p o m i n a ł sobie to, co teraz widział. Tak, rzecz szczególna, cieszyło go właśnie rozpoznawanie czegoś znanego. „Ach, tak, to jest tak naprawdę!” — wołało w nim coś, jak gdyby to szczęście błękitne i słoneczne, które roztaczało się przed nim, nosił od dawna w sercu, tając je przed samym sobą: a to „od dawna” było rozległe, nieskończenie rozległe, jak owo otwierające się tam na lewo morze, ku któremu niebo pochylało się w delikatnych fiołkowych barwach.

Horyzont był wysoko i dal zdawała się rosnąć, bo Hans pa-
" trzył na zatokę z góry, z pewnej wysokości. Otaczały ją góry — podgórze, poszyte gęstym lasem, schodzącym w morze — ciągnęły się od środka krajobrazu półkolem aż do miejsca, gdzie siedział, i dalej jeszcze. Siedział na skalistym wybrzeżu, na ogrzanych słońcem kamiennych stopniach, a u jego stóp kamieniste, mchami i krzewami porośłe wybrzeże opadało skalnymi schodami aż do brzegu morza, gdzie piargi tworzyły wśród sitowia niebieszczące się zatoki, małe przystanie, zalewy. A cała ta słoneczna przestrzeń, te nadbrzeżne wzniesienia, te uśmiechnięte zagłębienia skalne, a także samo morze aż do wysp, po którym pływały łodzie — wszystko to było wzdłuż i wszerek zaludnione: poruszali się tu wszędzie lub spoczywali ludzie, dzieci, słońca i morza, rozumna, pogodna, piękna i młodzięcza ludzkość, na którą miło było patrzeć — serce Hansa Castorpa otwierało się na jej widok szeroko, tak szeroko, że aż boleśnie, i z miłością.

Młodzięcy harcowali na koniach lub biegli z ręką na uździe obok rżących, kłusujących, potrząsających grzywą rumaków, ścigali je długimi cugłami, gdy stawały dęba, lub na oklep,

pobudzając nagimi piętami, zaganiali je do morza; mięśnie ich pleców grały w słońcu pod złotobrazową skórą, a okrzyki, jakie zamieniali między sobą i jakimi poganiali zwierzęta, brzmiały z niewiadomego powodu czarownie. Nad jedną z zatok, odzwierciedlającą brzeg jak górskie jezioro i głęboko wrzynającą się w ląd, tańczyły dziewczęta. Jedna, o szczególnie uroczych, wysoko na głowie upiętych włosach, siedziała i grała na fujarce; gest rąk delikatnie zaokrąglął jej białe smukłe plecy; wzrok jej wybiegał ponad przebierające palce ku towarzyszkom, które w długich i szerokich szatach posuwały się tanecznym krokiem, bądź same, "uśmiechając się i rozpościerając ramiona, bądź też parami, oparłszy skroń o skroń; a za grającą na fujarce inne znów siostry siedziały lub stały objawszy się ramionami i przypatrując się rozmawiały cicho. Opodal chłopcy ćwiczyli się w strzelaniu z łuku. Był to przemiły i uszczęśliwiający widok — patrzeć, jak starsi chłopcy uczyli niewprawnych jeszcze, długowłosych malców napinania cięciwy, jak celowali razem z nimi, a potem — śmiejąc się — podtrzymywali ich, gdy ci zataczali się po wypuszczeniu strzały, która wybiegała ze świstem. Inni łowili ryby na wędkę. Leżąc na brzuchu na nadbrzeżnych płytach skalnych, kołysząc jedną nogą, trzymali sznurek zarzucony w morze, a jednocześnie spokojnie gawędzili z sąsiadem, zwróciwszy ku niemu głowę; ten zaś, pochylając się w bok i wyciągając się, zarzucał daleko swą przynętę. Inni znów, popychając, posuwając i podpierając łódź o wysokiej burcie z masztem i reją, spychali ją w morze. Dzieci bawiły się między falochronami, krzycząc radośnie. Młoda leżąca kobieta jedną ręką przytrzymywała na piersi swą kwiecistą szatę, podczas gdy drugą wyciągała po owoc z liśćmi, a młodzieniec o wąskich biodrach, stojący obok niej, podawał go jej i jednocześnie żartobliwie go jej wzbraniał. Inni odpoczywali w zagłębieniach skalnych, stali nad brzegiem, ze skrzyżowanymi na karku rękami, nie mogąc się zdecydować na wejście do kąpieli, palcami u nóg próbując jeszcze ciepłoty wody. Pary spacerowały po wybrzeżu, chłopiec poufale prowadzący dziewczynę pochylał usta do jej ucha. Kudłate kozy skakały po skałach, z płyty na płytę,

strzeżone przez pasterza, który stał na wzniesieniu, w małym kapeluszu, o podwiniętym z tyłu rondzie, na ciemnych kędziorach, z jedną ręką na biodrze, a drugą opartą o długi kij.

„Ależ to wszystko jest urocze! — zachwycił się Hans Castorp z całego serca. — Jakież radosne i zniewalające! Jakżeż oni wszyscy są ładni, zdrowi, mądrzy i szczęśliwi! Tak, nie tylko piękni kształtem, lecz zarazem mądrzy i pełni wewnętrznego powabu. Najwięcej mnie w nich wzrusza i pociąga ich duch i usposobienie, które, że tak powiem, stanowi ich istotę i nadaje charakter ich współżyciu!” Miał na myśli ogromną wzajemną życzliwość i równą dla wszystkich uprzejmość tych słonecznych ludzi, a zarazem pod uśmiechem skrywany szacunek, jaki dla siebie żywili na skutek łączącej ich więzi duchowej i ideowej i jaki okazywali sobie na każdym kroku. A miał także na myśli ich godność, a nawet surowość, jednakże zespoloną z wesołością; objawiała się w ich postępowaniu jako nieuchwytny wpływ pogodnej powagi i rozsądnej zbożności, a zarazem pewnej ceremonialności. Tam oto, na okrągłym, mchem porośłym kamieniu, w brązowej szacie, opuszczonej z jednego ramienia, siedziała młoda matka i karmiła dziecko. A każdy, kto przechodził, pozdrowiał ją w sposób szczególny, w którym zespolone było wszystko, co w zachowaniu się tych ludzi było tak wymownie przemilczane: chłopcy, patrząc na obraz macierzyństwa, lekko, szybko, formalnie krzyżowali ręce na piersi i z uśmiechem skłaniali głowę, a dziewczęta przyklękały tylko z lekka, jak się w kościele lekko skłaniają pobożni przechodząc przed wielkim ołtarzem. Ale przy tym żywo, wesoło i serdecznie pozdrowiały ją ruchem głowy — i to połączenie dbałego o formy szacunku z pogodną przyjaźnią wywoływało zachwyt Hansa' Castorpa — zwłaszcza że przyłączał się jeszcze do tego widok łagodności, z jaką matka, odrywając oczy od swego robaczka, któremu ułatwiała ssanie naciskając pierś wskazującym palcem, spoglądała w górę i tym, co okazywali jej cześć, dziękowała uśmiechem. Nie mógł się na to wszystko napatrzeć, a zarazem pytał sam siebie z lękiem, czy mu patrzeć wolno, czy podpatrywanie tego słonecznego i kulturalnego szczęścia przez niego, który

w nim nie bierze udziału i który samemu sobie wydawał się tak nieszlachetny, brzydki, trywialnie ubrany, czy nie jest czymś wysoce karygodnym.

Wydawało mu się to niewątpliwe. Tuż pod miejscem, gdzie siedział, stał piękny chłopiec, o bujnych włosach, szesanych na bok, wznoszących się nad czołem i opadających na skroń, z rękami skrzyżowanymi na piersi; trzymał się z dala od towarzyszy, nie smutny ani hardy, ale obojętny. Ten spostrzegł obcego widza, podniósł ku niemu wzrok, powiódł oczami od niego do scen na wybrzeżu, podpatrując tego, który podpatrywał. Aż nagle zaczął patrzeć poza niego, w dal, i z jego pięknej, surowo wyrzeźbionej, a na w pół dziecinnej twarzy znikł ów wszystkim im wspólny uśmiech uprzejmości, braterstwa i zrozumienia — i choć brwi jego się nie zasępiły, na obliczu jego odmalowała się powaga jakby kamienna, bez wyrazu, niezgłębiona, śmiertelnie zamknięta, tak że ledwie uspokojonego Hansa Castorpa napęlił lęk, bo niejasno zdał sobie sprawę z sensu tej powagi.

Spojrzał i on wstecz... Piętrzyły się za nim potężne kolumny, bez cokołów, wzniesione z cylindrycznych bloków, między którymi porastał mech: były to kolumny portyku świątyni, a on siedział na jej w środku otwartych schodach. Wstał z ciężkim sercem, szedł bokiem ze schodów i wszedł przez głęboką bramę na wybrukowaną kamiennymi płytami ulicę, która go niebawem doprowadziła do nowych Propylei. Przeszedłszy przez nie znalazł się teraz przed świątynią, potężną, szarozieloną ze zwietrzenia, ze stromymi schodami tworzącymi jej cokół; szeroki fronton wsparty był na kapitelach kolumn potężnych, prawie krępych, zwężających się ku górze, z których wystawały w bok poszczególne żłobkowane okrągłe bloki. Z trudem, pomagając sobie rękami i wzdychając, bo coraz ciężiej było mu na sercu, Hans Castorp wdrapał się po wysokich stopniach i znalazł się w lesie kolumn. Był to las głęboki, i jak wśród pni bukowego lasu nad bladym morzem błdził po nim unikając z rozmysłem wejścia w środek. Ale wszedł tam wreszcie i wtedy w miejscu, gdzie rozstępowały się kolumny, stanął przed grupą

posagową, przed dwiema kamiennymi figurami kobiet, matki i córki, jak się zdawało; jedna, siedząca, starsza, dostojniejsza, mająca w sobie coś łagodnego i boskiego, ale z bolesnym wyrazem brwi nad bezgwiezdnymi, pustymi oczodołami, była w fałdzystej tunice i wierzchniej szacie, z welonem na fryzowanych włosach, uczesanych tak, jak przystało na matronę, macierzyńskim uściskiem obejmowała drugą, o okrągłym dziewiczym obliczu, która stała ze splecionymi ramionami i rękoma kryjąc je pod wierzchnią szatą.

Gdy się przyglądał posagowi, serce Castorpa z niejasnych powodów stało się jeszcze cięższe, pełne trwogi i przeczuc. Ledwie się odważył, a jednak musiał obejść posąg i przejść przez podwójną za nim kolumnadę: przed sobą miał teraz otwarte metalowe drzwi do wnętrza świątyni. Nieszczęsny zdrętwiał i ugięły się pod nim kolana na widok tego, co w blasku pochodni z przerażeniem tam ujrzał. Dwie siwe kobiety, półnagie, z rozczochranymi włosami, ze zwisającymi piersiami czarownic i długimi jak palce cyckami wśród przejmującej ciszy rozrywały rękami nad misą małe dziecko — Hans Castorp ujrzał jego delikatne blond włosy umazane krwią — połykały je kawałkami, tak że aż kruche kostki trzeszczały w ich ustach, a krew spływała z ich wstrętnych warg. Lodowate przerażenie obezwładniło Hansa Castorpa. Chciał zakryć oczy rękoma i nie mógł. Chciał uciekać i nie mógł. Już go spostrzegły wśród swego ohydneho procederu, wygrażały mu krwawymi pięściami i wymyślały bezgłośnie, ale grubiańsko i plugawo, i to w ludowym narzeczu stron rodzinnych Hansa Castorpa. Zrobiło mu się niedobrze, jak nigdy jeszcze. W rozpaczę chciał się porwać z miejsca — i padł na plecy opodal kolumny — i tak jak padł, wciąż jeszcze ze wstrętnym ujadającym szeptem w uszach i owładnięty zimnym przerażeniem, ocknął się przy swym szalasiu w śniegu, leżąc na jednym ramieniu, z głową na ziemi, z nartami na wyprostowanych nogach.

Nie było to jednak właściwe i prawdziwe przebudzenie; mrugał tylko oczami, z ulgą, że się pozbył rozjuszonych kobiet, ale nie był pewien i nie dbał o to, czy leży oparty o kolumnę

świątyni czy też o szope; do pewnego stopnia dalej śnił, snując już nie obrazy, lecz myśli, jednak nie mniej śmiałe i splątane.

„Jednakże zdawałem sobie sprawę, że to był sen — chodziło mu po głowie. — Czarowny i straszny sen. W gruncie rzeczy miałem świadomość przez cały czas, wszystko sam uroiłem, ten park liściasty, to czarowne wilgotne powietrze, i wszystko potem, zarówno to, co piękne, jak to, co okropne, wiedziałem z góry. Jakże to możliwe, żeby z taką świadomością coś takiego sobie uroić i doznawać szczęścia i przerażenia? Skąd przyszła mi do głowy piękna zatoka na wyspie, a potem okrąg świątynny, ku któremu wskazały mi drogę oczy owej sympatycznej postaci stojącej na uboczu? Wydaje mi się, że sny czerpie się nie tylko z zasobów własnej duszy, że śni się bezimiennie i wspólnie, choć każdy na własny sposób. Wielka dusza, której jesteś tylko częścią, śni przez ciebie i na twój sposób o rzeczach, o których tajemnie śni zawsze: o swej młodości i nadziei, o swym szczęściu i pokoju i o swej — krwawej uczcie. Oto leżę przy swej kolumnie i czuję jeszcze w sobie resztę mego snu, mrozący strach przed krwawą uczcą, a także serdeczną radość z tego, com widział poprzednio, ze szczęścia i zbożnej kultury białej ludzkości. Twierdzę, że mi się to należy, że mam poręczone prawo leżeć tu i o tych rzeczach śnić. Wiele się od ludzi przebywających tu w górze dowiedziałem o dezercji i rozumie. Z Naphtą i Settembrinim zgubiłem się w tych niebezpiecznych górach. Wiem wszystko o człowieku. Poznałem jego ciało i krew, chorej Kławdii oddałem ołówek Przybysława Hippego. Ale kto poznaje ciało i życie, ten poznaje też śmierć. Tylko że to nie wszystko — raczej tylko początek, jeśli to brać pedagogicznie. Trzeba to uzupełnić drugą połową, przeciwieństwem tamtej. Bo wszelkie zainteresowanie śmiercią i chorobą jest wyrazem zainteresowania życiem. Dowodem tego jest humanistyczny fakultet medyczny, który tak uprzejmie przemawia po łacinie do życia i jego choroby, ale jest tylko odcieniem jednej wielkiej i pilnej sprawy, którą sobie oto z całą zyczliwością nazywam po imieniu: sprawy wiecznego dla życia strapienia, to jest człowieka, jego stanu i pozycji... Niemało się na nim

znam, dużom się nauczył od ludzi tu w górze, wysoko się wzniosłem ponad równinę, tak że mi nieszczęsnemu bez mała tchu zabrakło; jednakże teraz, od stóp mej kolumny ogarniam to wszystko spojrzeniem... Śnił mi się stan człowieka i jego uprzejma, rozsądna i szanowna społeczność, poza którą w świątyni odbywa się ohydna krwawa uczta. Czy ci słoneczni ludzie nie dlatego byli uprzejmi i czarujący, że pamiętali o tej ohydzie? Wyciągnęliby z niej w ten sposób konsekwencję subtelną i pełną galanterii! Staję po ich stronie, a nie po stronie Naphty — zresztą także nie Settembriniego, dbaj są gadulami. Jeden jest lubieżny i złośliwy, a drugi gra wciąż na tej swojej trąbce rozumu i wyobraża sobie, że otrzeźwi nawet szaleńców; to jest niesmaczne. Jest to filisterstwo i czysta etyka bez religii, co do tego nie może być wątpliwości. Ale nie myślę się też wypowiadać za małym Naphtą i jego religią, tym guazzabuglio * Boga i diabła, dobra i zła, które zmierza do tego, aby jednostka na łeb, na szyję rzuciła się w odmęty i mistycznie zagubiła w powszechnym byciu. Ach, ci dwaj pedagogzy! Ich spór i ich antagonizmy są same też tylko guazzabuglio, są bezładnym zgiełkiem bitwy, który nie ogłuszy nikogo, kto ma choć trochę swobody w myśleniu i trochę pobożności w sercu.

„A to ich zagadnienie arystokratyzmu! Ta ich dostojność! Śmierć czy życie, choroba i zdrowie, duch i przyroda: czyż to są przeciwieństwa? Zapytuję: czyż to są zagadnienia? Nie, to nie są żadne zagadnienia, a tak samo nie jest nim pytanie, gdzie jest więcej dostojności. Ucieczka w śmierć dokonywa się w ramach życia, bez niej nie byłoby życia; a między nimi jest miejsce, które zajmuje Homo Dei, pośrodku między ucieczką a rozumem; także państwo jego jest pośrodku między mistyczną wspólnotą a wietrzną samoistością. Widzę to spod swojej kolumny. Zajmując to miejsce powinien on z galanterią, uprzejmością i szacunkiem obcować z samym sobą — bo tylko on sam jest dostojny, nie zaś przeciwieństwa. Człowiek jest panem przeciwieństw, dzięki niemu istnieją, a więc jest od nich dostojniejszy. Dostojniejszy od śmierci, zbyt dostojny dla niej, **bo głowa jego jest wolna. Dostojniejszy od życia, zbyt dostojny**

dla niego, bo serce jego jest pobożne. Otom ułożył poemat. Wyjaśniony poemat o człowieku. Będę o tym myślał, będę dobry. Nie dam śmierci panować nad moimi myślami! Bo na tym polega dobroć i miłość ludzka, na niczym innym. Śmierć jest wielką potęgą. Odkrywamy przed nią głowę i zbliżamy się do niej na palcach. Ma na sobie dostojną kryzę przeszłości, a my sami ubieramy się na jej cześć poważnie i czarno. Rozum niemądrze wygląda wobec śmierci, bo jest jedynie cnotą, śmierć natomiast jest wolnością, ucieczką, bezkształtem i rozkoszą. Mój sen mówi mi, że rozkoszą, a nie miłością. Śmierć i miłość: nie rymują się z sobą, byłby to niesmaczny i fałszywy rym! Miłość przeciwstawia się śmierci, ona jedna, nie rozum; i jest mocniejsza od śmierci. Ona jedna, nie rozum, budzi dobre myśli. Wszelka forma pochodzi również jedynie z miłości i dobroci: forma i kultura rozumnego i przyjaznego społeczeństwa, harmonijnego królestwa ludzkiego, pamiętającego w cichości o krwawej uczcie. O, to jest wyraźny sen i tak należy królować! Będę o tym myślał. Zachowam w sercu wierność dla śmierci, jednakże będę pamiętał, że wierność dla śmierci i przeszłości jest jedynie złośliwością, ponurą lubieżnością i wrogością wobec człowieka, jeśli zyskuje decydujący wpływ na nasze myślenie i królowanie.

i
c\

„Człowiek w imię dobroci i miłości nie powinien dać śmierci panować nad swymi myślami. I z tym się budzę... Bo doprowadziłem sen do końca i do celu. Dawno już byłem w poszukiwaniu tego hasła: w miejscu, gdzie mi się ukazywał Hippe, w mojej łodzi i wszędzie. To poszukiwanie zapędziło mnie w śnieżne góry. I teraz mam to hasło. Sen mój poddał mi je tak wyraźnie, że znam je już raz na zawsze. Zachwyciło mnie w najwyższym stopniu i rozgrzało. Serce moje bije mocno i wie, dlaczego. Bije nie tylko z przyczyn cielesnych, nie tylko tak, jak trupowi rosną jeszcze paznokcie; bije po ludzku i szluznie, w poczuciu szczęścia. Moje wyśnione hasło jest napojem, lepszym niż porto czy ale *, płynie przez moje żyły, jak miłość i życie, tak że aż zrywam się ze snu i marzeń sennych, o których naturalnie dobrze wiem,

że są niebezpieczne dla mego młodego życia... Wstawaj, wstawaj! Otwórz oczy! To twoje członki, twoje nogi tu w śniegu! Zbierz się w sobie i wstawaj! Patrz — już pogoda!"

Niezmiernie ciężko było wyzwolić się z więzów, które go skrępowały i chciały zatrzymać; ale rozpęd, na który umiał się zdobyć, był silniejszy. Hans Castorp rzucił się na łokieć, mężnie podciągnął kolana, poderwał się, podparł, podźwignął. Ubił nartami śnieg, bił się ramionami po bokach, potrząsał barkami, spoglądając przy tym z podnieceniem i wysiłkiem na wszystkie strony i w górę na niebo, gdzie między wolno ciągnącymi, cienkimi jak woale, szaroniebieskimi chmurami ukazał się błądy błękit, a potem zjawił się wąski sierp księżycy. Lekki zmierzch. Nie ma burzy, nie ma śnieżycy. Ściana góry, której grzbiet zjeżony był jodłami, ukazała się po tamtej stronie w całości, jasna i spokojna. Cienie sięgały do jej połowy, a górna część była skąpana w najdelikatniejszym różowym świetle. Cóż się tu działo i co się stało ze światem? Czy to ranek? I czy całą noc przeleżał w śniegu, nie zamarznawszy tak, jak to opisują książki? Żadna z kończyn mu nie zmartwiała i żadna nie złażała się z trzaskiem, gdy tupał, otrząsał się i bił po bokach, a robił to wszystko energicznie, myśląc jednocześnie o swej sytuacji. Uszy, końce palców i palce u nóg skostniały mu; jednakże nie więcej, niż mu się to nieraz zdarzało podczas nocnego werandowania w zimie. Udało mu się dogrzebać do zegarka. Szedł. Nie stanął, jak w te wieczory, kiedy zapominał go nakręcić. Jeszcze nie było na nim piątej, jeszcze nawet do piątej było daleko. Brakowało dwunastu, trzynastu minut. Zdumiewające! Czyż to możliwe, że tylko dziesięć minut lub niewiele więcej przeleżał tu w śniegu i przez ten czas przeżył tyle obrazów uszczęśliwiających i przerażających i tyle ryzykownych myśli, a okropne sześciokąty rozplywały się równie szybko jak napadały? Z punktu widzenia powrotu do domu miał niezwykle szczęście. Bo dwukrotnie jego senne marzenia wzięły taki obrót, że zerwał się z ożywieniem: raz z przerażenia, a raz z radości. Widać, że życie życzliwie się odniosło do swego zabłąkanego utrapieńca...

Ale jakkolwiek jest, czy to już rano, czy jeszcze popołudnie (na pewno jest jeszcze popołudnie, wczesny wieczór): w każdym razie ani warunki zewnętrzne, ani jego stan własny nie stały na przeszkodzie, by jak najspieszniej wracał do domu, i Hans Castorp to uczynił — w wielkim stylu, jakby linią powietrzną zjechał w dolinę, a gdy tam dotarł, świeciły się już lampy, choć reszta jasności dnia, odbitej na śniegu, dostatecznie mu oświetliła drogę. Zjechał z Brehmenbiihl, skrajem regli, i wpół do szóstej był w Davos-Wsi, gdzie swój sprzęt zostawił u sklepikarza, odpoczął w mansardowej celi pana Settembriego i zdał mu sprawę z tego, jak się dał zaskoczyć burzy śnieżnej. Humanista był bardzo przerażony. Wznosił rękę nad głowę, tego kłął na tak niebezpieczną lekkomyślność i z miejsca zapalił syczącą maszynkę spirytusową, aby porządnie wyčerpanemu gościowi zrobić kawy; choć była mocna, nie zapobiegła temu, by Hans Castorp, siedząc jeszcze u niego na krześle, nie zapadł w sen.

W godzinę później powitała go wysoce cywilizowana atmosfera „Berghofu”. Kolację jadł z potężnym apetytem. Zaczynało mu się już zacierać w świadomości to, co przemarzył. I już tego samego wieczoru nie bardzo rozumiał to, co przemyślał.

PO ŻOŁNIERSKU I MĘŻNIE*

Hans Castorp miał stale krótkie wiadomości od swego kuzyna. Najpierw dobre i butne, potem mniej pomyślne, a wreszcie takie, które starały się z lekka upiększyć coś prawdziwie smutnego. Szereg kart pocztowych zaczął się od wesołej wiadomości o wstąpieniu Joachima do służby i o romantycznej ceremonii, podczas której — jak się Hans Castorp wyraził w odpowiedzi — ślubował ubóstwo, czystość i posłuszeństwo. Dalszy ciąg również był wesoły: donosił o radośnie przez się witanych etapach łatwej, uprzywilejowanej kariery, którą torowało jego namiętne umiłowanie sprawy i sympatie przełożonych. Ponieważ Joachim studiował przedtem przez parę sę-

mestrów, więc został zwolniony od uczęszczania do szkoły wojskowej i służenia jako chorąży. Na Nowy Rok został podoficerem i przysłał swą fotografię, na której miał już naszywki. Każdy z jego lakonicznych raportów był pełen zachwytu dla hierarchii, do której się dostał, tak surowej na punkcie honoru, tak spoistej jak żelazo, a jednak z humorem traktującej ludzkie sprawy. Cytował anegdoty o romantycznie skomplikowanym stosunku, jaki miał doń jego sierżant, opryskliwy i fanatyczny żołnierz; traktował go mianowicie jako swego omylnego młodego podwładnego, który jednak niebawem będzie jego przełożonym, a już i teraz bywa w kasynie oficerskim. Było to zabawne i dziwaczne. W późniejszych listach Joachim pisał o dopuszczeniu do egzaminu oficerskiego. A w początku kwietnia został podporucznikiem.

Widać było, że nie ma szczęśliwszego odeń człowieka, że nie ma takiego, którego natura i pragnienie znalazłyby bardziej odpowiadającą im postać życia. Z pewnym zawstydzeniem, ale i rozkoszą opowiadał, jak to po raz pierwszy w przepychu swej nowej godności przechodził koło ratusza i odsalutował wartownikowi, który dla oddania mu czci stanął na baczność. Pisał o drobnych przykrościach i satysfakcjach, jakie przynosi służba, o wspaniałym a przyjemnym koleżeństwie, o przebiegłości i wierności swego ordynansa, o komicznych incydentach przy musztrze i odprawach instruktorskich, o rewiach i bankietach koleżeńskich. Przy okazji była też mowa o sprawach towarzyskich, wizytach, obiadach, balach. A o zdrowiu nie było wcale mowy.

Nie było aż do lata. Potem natomiast pisał, że leży w łóżku, że niestety musiał zameldować o swej chorobie: gorączka kataralna, sprawa paru dni. W początku czerwca znów pełnił służbę, ale w połowie miesiąca „oklapł”, gorzko skarżył się na swój „pech”, a przebijał przez jego słowa lęk, że może nie być na swym stanowisku z początkiem sierpnia, podczas wielkich manewrów, na które się z całego serca cieszył. Głupstwo, w lipcu był zdrow jak ryba. Był nim przez szereg tygodni, aż okazała się potrzeba badania lekarskiego z powodu przekł-

tych wahań temperatury; od badania tego miało wiele zależeć. O jego wyniku Hans Castorp długo nic nie wiedział, aż wreszcie dowiedział się, ale nie z listu Joachima — czy to nie był w stanie pisać, czy też się wstydził — lecz z depeszy jego matki, pani Ziemssen. Zawiadamiiała, że lekarze nakazali Joachimowi parotygodniowy urlop. Wskazane góry, pożądanym natychmiastowym wyjazdem; prośba o zamówienie dwóch pokoi. Odpowiedź zapłacona. Podpis: Ciotka Luiza.

Był koniec lipca, gdy Hans Castorp w swej łodzi przebiegł oczyma tę depeszę, a potem ją przeczytał uważnie i czytał wciąż na nowo. Pokiwał powoli nie tylko głową, ale całą górną połową ciała i rzekł przez zęby: — Tak, tak, tak! No, no! no! Joachim wraca! — Doznał nagłej radości, ale zaraz zamilkł i myślał: „Hm, hm, doniosłe nowiny. Można by uważać za miłą niespodziankę. Do diabła, prędko to poszło — już dojrzał do powrotu do «ojczyzny!» Matka przyjeżdża razem z nim (powiedział „matka”, a nie „ciotka Luiza”; utracił zmysł dla pokrewieństwa i stosunków rodzinnych; stały mu się obce) — to moment obciążający. I to właśnie przed manewrami, do których tak się pocziwiec palił! Hm, hm, jest w tym dobra porcja nikczemności i szyderstwa, fakt przemawiający przeciw idealizmowi. Ciało triumfuje, dąży do czego innego niż dusza, a i bierze nad nią górę — ku kompromitacji egzaltowanych ludzi, którzy nauczają, że podlega ono duszy. Widocznie nie wiedzą, co mówią, bo gdyby pogląd ich w wypadku takim jak ten był słuszny, rzuciłyby wątpliwe światło na duszę. Sapiienti sat *, wiem, co mówię. Mnie właśnie chodzi o to, czy należy przeciwstawiać duszę i ciało, czy raczej są z sobą związane i grają wspólnie ukartowaną grę — egzaltowanym ludziom, na szczęście dla nich, nie przychodzi to wcale do głowy. Kochany Joachimie, któż by chciał obrażać ciebie i twoją nadmierną gorliwość! Zamiary twoje są uczciwe, ale zapytuję, czym jest uczciwość, jeśli ciało i dusza są z sobą związane. Czyż to możliwe, żeś nie mógł zapomnieć pewnych świeżych zapachów, wysokich piersi i śmiechu bez powodu, które czekają na ciebie przy stole pani Stóhr?... Joachim wraca! — myślał znów prze-

jęty radością. — Wraca w złym stanie, to oczywista, ale będziemy znów razem, nie będę tu tak dłużej żyć na własną rękę. To dobrze. Nie wszystko będzie tak jak poprzednio; jego pokój jest przecież zajęty: Mistress Macdonald kaszle tam bezdźwięcznie, jak to ona, i ma naturalnie fotografię swego synka koło siebie na stoliku, a może nawet w rękę. Ale jest to końcowe stadium, i jeśli pokój nie jest jeszcze zamówiony, to... Tymczasowo będzie można mieć inny. O ile wiem, numer 28 jest wolny. Zaraz pójde do Zarządu, a zwłaszcza do Behrensa. Co za nowina — smutna z jednej, a świetna z drugiej strony, w każdym razie nie byle jaka nowina! Chciałbym tylko poczekać na «pozddawiającego» kolegę, który powinien zaraz nadejść, bo jest, jak widzę, wpół do czwartej. Chcę go zapytać, czy i w tym wypadku jest zdania, że czynnik cielesny należy uważać za wtórny."

Jeszcze przed podwieczorkiem udał się do biura Zarządu. Pokój, który miał na myśli, na tym samym korytarzu co jego, był do wzięcia. Także i dla pani Ziemssen znajdzie się pomieszczenie. Pospieszył do Behrensa. Zastał go w „laborze", trzymającego w jednym ręku cygaro, a w drugim, probówkę, której treść miała dziwną barwę.

— Czy pan wie, panie radco... — zaczął Hans Castorp.

— Tak, wiem, że nie ma końca irytacji — odrzekł specjalista od pneumotomii...

— To Rosenheim z Utrechtu — rzekł, wskazując cygarem na probówkę. — Gaffky dziesięć. I oto przychodzi dyrektor Schmitz, krzyczy gwałtu i skarży się, że Rosenheim pluł na promenadzie, mając Gaffky'ego dziesięć. I że mam go skarcić. Ale jak go skarcę, to dostanie nerwowego ataku, bo jest niemożliwie drażliwy, a wraz z rodziną zajmuje trzy pokoje. Nie mogę go za drzwi wyrzucić, bo miałbym z generalną dyrekcją do czynienia. Widzi pan, w jakie konflikty się człowiek co chwila dostaje, choćby najchętniej szedł swą drogą cicho i niepokałanie.

— Głupia historia — rzekł Hans Castorp ze znajomością rzeczy człowieka zaufanego i zasiedziałego. — Znam tych panów.

Schmitz jest kolosalnie poprawny i gorliwy, a Rosenheim bardzo niechlujny. Ale może niesnaski powstają między nimi na innej jeszcze płaszczyźnie niż higieniczna, tak mi się wydaje. Obaj, Schmitz i Rosenheim, są zaprzyjaźnieni z donią Perez z Barcelony, która siedzi przy stole panny Kleefeld, w gruncie rzeczy pewnie o to chodzi. Ja bym radził, żeby zakaz taki w ogólnej formie przypomnieć, a poza tym zamknąć na to oczy.

— Naturalnie, że zamykam. Dostaję już blefarospazmu od ciągłego zamykania oczu. Co pana tu sprowadza?

I Hans Castorp wystąpił ze swą smutną, a skądinąd świetną nowiną.

Nie żeby radca był zdziwiony. Nie byłby nim w żadnym razie, ale w szczególności dlatego, że Hans Castorp, pytany czy nie pytany, informował go stale o zdrowiu Joachima, a w maju sygnalizował już jego stan obłożny.

— Aha — rzekł Behrens. — No więc. A com panu mówił? Co jemu i panu mówiłem dosłownie nie dziesięć, ale sto razy? Teraz ma pan. Przez trzy kwartały robił co chciał i miał swój raj. Ale raj bez zupełnego wyleczenia nie jest błogosławieństwem — ten zbieg nie chciał wierzyć staremu Behrensowi. < \ trzeba zawsze wierzyć staremu Behrensowi, inaczej źle się na tym wychodzi i za późno dochodzi się do rozumu. Został Dodporucznikiem, to jest w porządku. Ale co ma z tego? Bóg patrzy w serca, a nie na rangi i stanowiska, stoimy przed nim w całej naszej nagości, generał tak samo jak prosty żołnierz... — Wpadł w swe zwykłe niemądre gadanie, tarł oczy olbrzymią dłonią, trzymając cygaro między palcami, i wreszcie powiedział, żeby mu się Hans Castorp już teraz nie naprzykrzał. Jakaś dziura dla Ziemssena pewnie się znajdzie, a jak >rzyjedzie, kuzyn powinien go niezwłocznie zapakować do łóż- < L&. Co się jego, Behrensa, tyczy, to nie ma do nikogo pretensji, 30 ojcowsku otwiera swe ramiona i gotów jest zabić cielca dla narnotrawnego syna.

Hans Castorp zadesperzował. Opowiadał na prawo i lewo, że aizyn jego wraca, i wszyscy, którzy znali Joachima, byli zmarnieni i ucieszeni, a jedno i drugie szczerze, bo swą czystą,

rycerską naturą Joachim zyskał powszechną sympatię, a choć tego nie mówiono, niejeden myślał sobie i odczuwał, że był on najlepszy ze wszystkich tu w górze. Nie mamy nikogo specjalnego na myśli, ale wydaje się nam, iż ten i ów doznawał satysfakcji, że Joachim ze stanu żołnierskiego musiał powrócić do poziomego trybu życia, że ten człowiek pełen zalet znów będzie należeć do tutejszego grona. Pani Stóhr, rzecz jasna, zareagowała zaraz po swojemu; to, czego się dowiedziała, utwierdziło ją w pospolitych wątpliwościach, jakie wyrażała przy odjeździe Joachima w niziny, i nie omieszkała się tym szczycić. „Kiepsko, kiepsko” — mówiła. Poznała się na tym od razu, że sprawa jest kiepska, i tylko ma nadzieję, że Ziemssen przez swój upór nie zrobił jej superkiepską („superkiepską” powiedziała w swej niezmiernie pospolitości). Czyż znacznie lepiej — aby zostać przy temacie — nie postępuje ona, która choć ma również swe żywotne sprawy na równinie, mianowicie męża i dwoje dzieci w Cannstatt, umie jednak panować nad sobą... Późniejszych wiadomości od Joachima i pani Ziemssen już nie było. Hans Castorp do końca nie znał dnia ani godziny ich przyjazdu; z tego powodu nikt ich nie witał na dworcu, ale w trzy dni po wysłaniu przez Hansa depeszy po prostu się zjawili i podporucznik Joachim, podniecony i roześmiany, ukazał się przy służbowym legowisku swego kuzyna.

Było to po rozpoczęciu wieczornego werandowania. Przyjechali tym samym pociągiem, co Hans Castorp przed laty, lata te nie okazały się ani krótkie, ani długie, lecz bezczasowe, niezmiernie wypełnione przeżyciami, a zarazem jakieś żadne i nijakie. Nawet pora roku była dokładnie ta sama: pierwsze dni sierpnia. Joachim, jak się rzekło, radośnie, tak, na razie niewątpliwie radośnie podniecony, wszedł do Hansa Castorpa, czy raczej wyszedł z jego pokoju, prędko go przeszedłszy, na balkon i szybko oddychając witał się ze śmiechem, przytłumionymi i urywanymi słowami. Odbył z powrotem daleką podróż, przez różne kraje, przez jezioro podobne do morza, a potem po wąskich ścieżkach wysoko, wysoko w górę, i oto stał tu znów, jak gdyby nie był nigdy wyjeżdżał, witany okrzykami

kuzyna, który na wpół zerwał się z poziomej pozycji. Wyglądał na twarzy dobrze, czy to z powodu życia na powietrzu, jakie prowadził, czy też dlatego, że był zgrzany z podróży. Wprost z drogi, nie wszedłszy nawet do swego pokoju, podczas gdy matka jego zajęta była swą toaletą, pobiegł pod nr 34, aby powitać towarzysza dni minionych, które znów oto stały się teraźniejszością. Za dziesięć minut chcieli iść na kolację, naturalnie do restauracji. Hans Castorp będzie mógł zjeść jeszcze coś z nimi albo napić się wina. I Joachim zaciągnął go naprzeciwko pod nr 28, gdzie się wszystko odbyło tak jak kiedyś, po przybyciu Hansa, tylko odwrotnie: teraz Joachim, gorączkowo rozprawiając, mył sobie ręce w lśniącej miednicy, a Hans Castorp mu się przyglądał, zdziwiony i po trosze zawiedziony, że widzi kuzyna po cywilnemu. Przecież wcale na nim nie znać jego wojskowej kariery. Wyobrażał go sobie zawsze jako oficera, w mundurze, a tu stoi przed nim w popielatym ubraniu, jak każdy inny. Ach nie, mundur zostawił jak należy, w domu. Hans Castorp musi wiedzieć, że z mundurem sprawa nie jest tak prosta. Nie do każdego lokalu chodzi się w mundurze. — Ach, tak. Dziękuję posłusznie — powiedział Hans Castorp. Ale Joachim jakby nie uświadamiał sobie, że jego powiedzenie może mieć obraźliwy sens, i wypytywał się o wszystkich i wszystko w „Berghofie”, nie tylko bez cienia wyniosłości, ale z przejęciem człowieka, który powrócił do swoich. Po czym w drzwiach łączących pokoje ukazała się pani Ziemssen i powitała siostrzeńca w sposób, jaki niektórzy ludzie stosują w takich okolicznościach, mianowicie zachowując się, jak gdyby była radośnie zaskoczona tym, że go tu widzi — zresztą ten radosny wyraz był melancholijnie przytłumiony znużeniem i milczącą troską, dotyczącą oczywiście Joachima. Po czym udali się na dół.

Luiza Ziemssen miała te same piękne czarne i łagodne oczy co Joachim. Włosy również czarne, ale już mocno siwiejące, utrzymywała w niezmiennym układzie prawie niewidzialną siatką, co harmonizowało z jej sposobem bycia: rozważnym, uprzejmym, opanowanym i skupionym; mimo wyraźną prost-

tę jej ducha nadawał on jej jakąś sympatyczną godność. Było jasne, i Hans Castorp się temu nie dziwił, że nie rozumiała i poniekąd gorszyła się wesołości Joachima, jego szybkim oddechem, jego spiesznią mową, bo wszystko to musiało odbiegać od jego zachowania się w domu i w podróży i rzeczywiście nie odpowiadało sytuacji, w jakiej się znajdował. Obecny przyjazd uważała za smutny i sądziła, że odpowiednio do tego powinna się zachowywać. Nie mogła zrozumieć uczuć Joachima, wzburzonych uczuć, jakich doznawał przy powrocie, a które na razie w chwili upojenia wzięły górę nad wszystkim, co się im przeciwstawiało, spotęgowane jeszcze przez ponowne oddychanie „naszym” tutejszym górskim powietrzem, nieporównanie lekkim, nieważkim a podniecającym. „Mój biedny chłopak” — myślała, a jednocześnie widziała, jak biedny chłopak oddawał się wraz ze swym kuzynem swawolnej wesołości, jak odświeżał setki wspomnień, stawiał setki pytań i zanosił się od śmiechu, słuchając odpowiedzi. Parokrotnie mówiła „Ależ, dzieci!” — A to, co powiedziała w końcu, miało brzmieć radośnie, ale dało wyraz zdziwieniu i do pewnego stopnia brzmiało jak nagana. — Joachimie, dawno cię już naprawdę nie widziałam w takim usposobieniu. Widać, musieliśmy aż tu przyjechać, abyś był znów taki jak w dniu twego awansu. — Położyło to oczywiście kres wesołości Joachima i wywołało zmianę jego nastroju; opamiętał się, zamilkł, nie jadł już wcale deseru, mimo że podano świetny suflet czekoladowy z kremem (natomiast Hans Castorp jadł za niego, choć od przeobfitej kolacji minęła zaledwie godzina), a w końcu nie podnosił nawet oczu, niewątpliwie dlatego, że miał w nich łzy.

Na pewno nie o to chodziło pani Ziemssen. Właściwie chciała tylko dla przyzwoitości wprowadzić do rozmowy nieco umiarkowanej powagi, nie zdając sobie sprawy, że właśnie to, co średnie i umiarkowane, nie było tu czymś naturalnym i że wybierać można było tylko między krańcami. Widząc syna tak przybitym, zdawała się sama bliska płaczu i wdzięczna była siostrzeńcowi, że głęboko zasmuconego towarzysza starał się ożywić. Co się tyczy składu osobowego, mówił, to Joachim

znajdzie różne zmiany i nowości, jednakże niektóre rzeczy wróciły podczas jego nieobecności do swego dawnego stanu. Na przykład stara ciotka z całym swym otoczeniem jest już od dawna z powrotem. Panie te siedzą, jak zawsze, przy stole pani Stóhr, Marusia śmieje się często i serdecznie.

Joachim zamilkł, natomiast pani Ziemssen słowa te przypomniały pewne spotkanie i pozdrowienia, które chciała przekazać, zanim o nich zapomni — mianowicie spotkanie z pewną panią, raczej sympatyczną, chociaż bardzo samodzielną i z nazbyt regularnymi brwiami. W Monachium, gdzie spędzili jeden dzień — między dwiema nocami w wagonie, podeszła do ich stolika, aby przywitać się z Joachimem. Dawniejsza pacjentka, która się tu leczyła razem z wami — niechże jej Joachim przypomni...

— Pani Chauchat — rzekł Joachim cicho. — Przebywa obecnie w jednym z uzdrowisk ałgawskich, a jesienią wybiera się do Hiszpanii. Na zimę zapewne przyjedzie tu znowu. Przesyła najlepsze pozdrowienia.

Hans Castorp nie był już dzieckiem i panował nad nerwami naczyniowymi, które mogłyby spowodować, że zaczerwieni się lub zblednie. Powiedział:

— Ach, to była ona? Patrzcie no, więc znów się pokazała zza Kaukazu. I chce jechać do Hiszpanii?

Pani wymieniła miejscowość w Pirenejach. — Ładna a przynajmniej powabna kobieta. Miły głos, miłe ruchy. Ale maniery bardzo swobodne i niedbałe — mówiła pani Ziemssen. — Zagadnęła nas po prostu, jak przyjaciół, wypytywała się, opowiadała, choć Joachim, jak słyszę, właściwie nigdy nie był jej przedstawiony. Dziwne.

— To Wschód i choroba — odparł Hans Castorp. Nie można tego mierzyć miarą humanistycznych obyczajów, to nie miałyby sensu. Zastanawia go, że pani Chauchat wybiera się do Hiszpanii. Hm. Hiszpania — ona jest też daleka od humanistycznego umiaru, ale odbiega odeń w odwrotnym kierunku, nie jest zbyt miękka, lecz właśnie zbyt surowa; cierpi nie na Diak kształtu, lecz właśnie na jego nadmiar, śmierć występuje

tam jako forma, jako hiperforma, jeśli tak rzecz można, nie jako rozkład pośmiertny, lecz właśnie śmierć w całej swej surowości, czarna, dostojna i krwawa, inkwizycja, nakrochmalone kryzy, Loyola, Eskurial... Ciekawe, jak się też pani Chauchat podobać będzie Hiszpania. Pewnie oduczy się tam trzaskania drzwiami, a może stanie się, że oba niehumanistyczne obozy uzupełnią się wzajem i dadzą coś na ludzką miarę. Ale gdy Wschód dostanie się do Hiszpanii, to wynik może też być zły i terrorystyczny...

Nie, ani się nie zaczerwienił, ani nie zbladł, wrażenie, wywołane na nim przez nieoczekiwaną wiadomość o pani Chauchat, objawiło się tylko w jego słowach; a słowa te wywołały zmieszanie, odpowiedzią na nie mogło być tylko milczenie. Joachim mniej był przerażony, wiedział, jak przemądrzały stał się jego kuzyn tu w górze. Ale w oczach pani Ziemssen malowało się przerażenie. Zachowała się tak, jak gdyby Hans Castorp mówił grube nieprzyzwoitości, a po nieprzyjemnej chwili milczenia wstała od stołu, usiłując kilku słowami taktownie wszystko zatuszować. Przed rozstaniem się Hans Castorp zakomunikował polecenie radcy, aby Joachim leżał jutro w łóżku, zanim on go zbada. Reszta się okaże. Wkrótce potem wszyscy troje leżeli w swoich pokojach, przy otwartych oknach, w świeżości górskiej nocy letniej — każdy ze swymi myślami. Hans Castorp głównie z myślą o oczekiwanym w ciągu półrocza powrocie pani Chauchat.

Tak więc biedny Joachim powrócił do tej swojej ojczyzny na małą dodatkową kurację. Nazwano to w nizinach małą kuracją dodatkową i tu utrzymano tę formułę. Przyjął ją nawet radca Behrens, choć samego leżenia miało być cztery tygodnie, jak to wymruczał Joachimowi: były niezbędne, aby podreperować co najgorsze, tymczasowo nieco uporządkować jego temperaturę, i aby się zaaklimatyzować na nowo. Co do trwania kuracji, to umiał uniknąć tego pytania. Pani Ziemssen, rozsądna, pełna zrozumienia, nie mająca wcale sangwinicznego usposobienia, w nieobecności Joachima zaproponowała jako termin odjazdu jesień, na przykład październik, a Behrens zgo-

dził się z nią o tyle, że oświadczył, iż wówczas będzie w każdym razie lepiej niż obecnie. Zresztą nadzwyczaj się jej podobał. Pełen galanterii, mówił do niej „wielce łaskawa pani”, po męsku na nią patrząc wilgotnymi, krwią nabiegłymi oczami, a gdy używał gwary korporantów, mimo swój smutek musiała się śmiać. „Wiem, że jest w najlepszych rękach” — powiedziała i po tygodniu odjechała z powrotem do Hamburga, bo o potrzebie pielęgnowania Joachima nie mogło być mowy, a ponadto miał przy sobie kogoś z rodziny.

— Więc ciesz się: w jesieni — rzekł Hans Castorp siedząc w nrze 28 przy łóżku kuzyna. — Stary jest poniekąd związany słowem; możesz się tego trzymać i liczyć się z tym. Październik to taka szczególna pora. Niektórzy ludzie będą wtedy jechać do Hiszpanii, a ty wrócisz do twojej bandera, gdzie będziesz mógł szczególnie się odznaczyć.

Codziennym jego zadaniem było pocieszanie Joachima, zwłaszcza co do tego, że — przebywając tu w górze — musiał opuścić wielką grę wojenną, która zaczynała się właśnie teraz w sierpniu — bo tego Joachim nie mógł przeboleć i miał wręcz pogardę dla samego siebie za to swoje przekłete niedołęstwo, któremu w ostatniej chwili uległ.

— *Rebellio carnis** — powiedział Hans Castorp — co na to poradzisz? Najmężniejszy oficer nic nie poradzi, nawet święty Antoni znał tę historię. Na miłość boską, manewry są przecież co roku, a następnie znasz przecież tutejszy czas! Nie ma go wcale, a na tak krótko stąd wyjechałeś, że łatwo wdrowiesz się znów w tutejszy tryb życia i nim się obejrzyysz, już będzie po twojej małej kuracji dodatkowej.

Jednakże Joachim, który dzięki pobytowi na równinach odświeżył swój zmysł czasu, nie mógł się nie lękać tych czterech tygodni. Starano się ułatwić mu ich przebycie; sympatia, jaką mieli wszyscy dla jego nieskazitelnego charakteru, znajdowała wyraz w odwiedzinach ludzi bliższych i dalszych. Przyszedł Settembrini, był pełen współczucia i szarmancki, a nazywał Joachima *Capitano*, ponieważ „porucznikiem” nazywał go już uprzednio; zjawił się też Naphta, a z samego sanatorium za-

częli się pokazywać jeden za drugim dawni znajomi, którzy korzystali z wolnego od kuracji kwadransa, aby się przy jego łóżku, powtórzyć formułkę o małej kuracji dodatkowej i wypytać się o jego losy; tak czyniły panie Stóhr, Levi, Iltis i Kleefeld, panowie Ferge, Wehsal i inni. Niektórzy przynosili nawet kwiaty. Gdy cztery tygodnie minęły, Joachim wstał z łóżka, ponieważ temperatura jego na tyle spadła, że mógł chodzić, i zajął miejsce w jadalni obok swego kuzyna, między nim a panią Magnus, żoną właściciela browaru, naprzeciw pana Magnusa, na narożnym miejscu, które w swoim czasie zajmował wuj James, a przez parę dni także pani Ziemssen.

I znów młodzi ludzie przebywali razem, jak niegdyś; a ponieważ Mistress Macdonald z fotografią swego chłopca w rękę wydała ostatnie tchnienie, Joachim mógł nawet — aby dawne czasy odżyły jeszcze zupełnie — objąć swój poprzedni pokój, obok Hansa Castorpa, oczywiście po gruntownej dezynfekcji za pomocą H₂CO. Właściwie mówiąc i biorąc rzecz uczuciowo, Joachim żył teraz u boku Hansa Castorpa, a nie odwrotnie, jak to było poprzednio: ten bowiem był teraz człowiekiem zasiedziałym, a tamten, będąc przybyszem na krótki przeciąg czasu i gościem, dzielił jego sposób życia. Bo od terminu październikowego Joachim bezwarunkowo nie myślał odstępować, mimo że niektóre punkty jego centralnego systemu nerwowego nie chciały się dostosować do humanistycznej normy postępowania i nie dopuszczały do wyrównywania się ciepłoty jego skóry.

Wznowione też zostały ich wizyty u Settembriniego i Naphty, a także spacerzy z tymi dwoma ludźmi związanymi z sobą swą wrogością; a gdy przyłączali się do nich A. K. Ferge i Ferdinand Wehsal, co się nieraz zdarzało, to stanowili szóstkę, i nieustanne pojedynki dwóch przeciwników duchowych odbywały się przed sporą publicznością, jakkolwiek Hans Castorp sądził, że jego dusza była głównym przedmiotem tego dialektycznego współzawodnictwa. Aby przedstawić te pojedynki z pewną choćby dokładnością, musielibyśmy się zagubić w rozpaczliwej nieskończoności, tak jak to oni za każdym razem

czynili. Od Naphty Hans Castorp dowiedział się, że Settembrini jest masonem, co zrobiło na nim nie mniejsze wrażenie niż ujawnienie przez Włocha związków Naphty z jezuitami. I tym razem był fantastycznie zdziwiony, dowiedziawszy się, że naprawdę coś podobnego istnieje, i pilnie wypytywał terrorystę o pochodzenie i istotę tej szczególnej instytucji, która za parę lat mogłaby obchodzić swój dwóchsetletni jubileusz. Podczas gdy Settembrini za plecami Naphty mówił o jego umysłowości w patetycznie ostrzegawczym tonie jako o czymś szatańskim, to znów Naphta za plecami Settembriniego podrwiwał z lekka ze środowiska, do którego tamten należał, dając do zrozumienia, że jest bardzo staroświeckie i zacofane: panuje w nim burżuazyjne oświecenie i przedwczorajsze wolnomyślicielstwo, będące już tylko pożałowania godnym upiorem, ale ulegające śmiesznemu złudzeniu, że jest czymś jeszcze żywym i rewolucyjnym. Mówił tak: — Cóż pan chce, już jego dziadek był karbonariuszem, wolnym węglarzem. Od niego wziął swą zabobonną wiarę — po niemiecku taka wiara nazywa się właśnie „węglarską” — wiarę w rozum, wolność, postęp ludzki i całe to pełne moli pudło klasycystyczno-mieszcząskiej ideologii moralnej... Widzi pan, całe zamieszanie w świecie pochodzi z braku równowagi między lotnością ducha a nieporadnością, powolnością, bezwładnością materii. Tym brakiem równowagi dostatecznie usprawiedliwiony jest fakt, że duch nie interesuje się rzeczywistością: jej fermenty wywołujące rewolucje przejmują go obrzydzeniem. Duch, który jest martwy, jest dla żywego wstrętniejszy niż np. bazalty, które przynajmniej nie pretendują do tego, aby być duchem i życiem. Bazalty te są pozostałościami dawnej rzeczywistości, którą duch tak daleko pozostawił za sobą w tyle, że już jej w ogóle nie uważa za rzeczywistość; utrzymują się one tylko bezwładem, a swym ciężkim i martwym trawieniem chronią swą niedorzeczność przed tym, by sobie swą niedorzeczność uświadomiła. Mówię w sposób ogólny, ale pan potrafi zastosować to do humanistycznego wolnomyślicielstwa, któremu wydaje się, że wciąż jeszcze walczy bohatersko z przemocą i autorytetami. A cóż dopiero te przewroty, którymi

chciałoby wykazać swą rację bytu, te spóźnione, a hałaśliwe triumfy, które przygotowuje i chciałoby pewnego dnia święcić! Sama myśl o tym mogłaby na śmierć zanudzić żywego ducha, gdyby nie wiedział, że z tych przewrotów on jeden wyjdzie zwycięzcą, on jeden będzie z nich korzystał — on, który łącząc składniki przeszłości i przyszłości dokona prawdziwej rewolucji... Jak się miewa pański kuzyn? pan wie, że mam dlań wiele sympatii.

— Dziękuję, panie profesorze. Cieszy się on powszechną sympatią, to rzeczywiście taki dzielny chłopak. Pan Settembrini ma do niego wyraźną słabość, choć musi potępiać pewnego rodzaju romantyczny terrorizm, związany z jego zawodem. A teraz dowiaduję się, że należy do łoży. Patrzcie go. Muszę przyznać, że daje mi to do myślenia. Rzuci nowe światło na jego osobę i tłumaczy mi różne rzeczy. Może i on stawia przy okazji nogi pod kątem prostym i podaje rękę w szczególnie sposób. Nigdy tego jednak nie zauważył...

— Nasz brat — rzekł Naphta — jest wyższy ponad takie dzieciństwa. A przypuszczam, że ceremoniał masonów musiał się tak czy inaczej dostosować do trzeźwego, mieszczańskiego ducha naszej epoki. Wstydziłiby się dawnego rytuału jako kuglarstwa odbiegającego od przyjętych zwyczajów, i to nie bez słuszności, bo nie ma sensu, naprawdę, z ateistycznego republikanizmu robić misterium. Nie wiem, jakich strachów użyto, aby wystawić na próbę niezłomność przekonania pana Settembriniego, czy z zawiązanymi oczami prowadzono go przez korytarze i w ciemnych piwnicach kazano mu czekać, zanim otworła się przed nim oświetlona reflektorami sala Związku, czy wtajemniczano go uroczyście wobec trupiej czaszki i przy trzech świecach, przykładając mu miecze do obnażonej piersi. Niech go pan sam o to zapyta, obawiam się jednak, że nie będzie zbyt wielomówny, choćby się to wszystko odbyło znacznie bardziej po mieszczańsku, bo jednak musiał ślubować milczenie.

— Ślubować? Milczenie? A więc jednak?

— Niezawodnie. Milczenie i posłuszeństwo.

— Jeszcze do tego i posłuszeństwo. Ależ, profesorze, w takim razie wydaje mi się, że nie miał żadnego powodu do krytykowania romantyzmu i terroryzmu w zawodzie mego kuzyna. Milczenie i posłuszeństwo! Nigdy nie myślał, że człowiek tak wolnomyślny jak Settembrini potrafi się podporządkować takim zdecydowanie hiszpańskim warunkom i przysięgom. Wyczuwam coś wprost militarnego i jezuickiego w wolnomularstwie...

— Wyczuwa pan zupełnie trafnie — odparł Naphta. — Pańska różdżka drga i daje znak. Idea jakiegokolwiek związku ludzkiego jest nieodłączna od idei absolutu i już w swych korzeniach jest z nią zespolona. Dlatego jest terrorystyczna, to znaczy: antyliberalna. Zwalnia indywidualne sumienie od odpowiedzialności i w imię absolutnego celu uświęca każdy środek, nawet krwawy, nawet przestępstwo. Są dane, że niegdyś także w lożach masonskich związek bratni przypieczęto wywano krwią. Nie ma związku, który by służył kontemplacji, wszystkie zawsze z samej swej natury służą, bezwzględnie rzecz biorąc, organizacji. Pan pewnie nie wie, że założyciel zakonu iluminatów, który przez jakiś czas prawie stąpił się z masonerią, był pierwotnie członkiem Towarzystwa Jezusowego.

— Nie, to dla mnie naturalnie nowość.

— Adam Weishaupt zorganizował swój tajny humanitarny związek całkowicie na wzór jezuickiego. Sam był masonem, a najwybitniejsi członkowie loż byli w owym czasie iluminatami. Mówię o drugiej połowie XVIII wieku, którą Settembrini na pewno będzie przedstawiał jako epokę upadku swego bractwa. W rzeczywistości był to czas największego jego rozkwitu, jak i w ogóle wszelkich tajemnych związków; w okresie tym mularstwo żyło naprawdę wyższym życiem, z którego je potem znów oczyścili ludzie tego pokroju co nasz przyjaciel ludzkości; wówczas należałby on bez wątpienia do tych, którzy Związkowi zarzucali jezuityzm i obskurantyzm.

— A czy mieli do tego podstawy?

— Tak, jeśli pan chce. Trywialne wolnomyślicielstwo miało

do tego podstawy. W czasach tych nasi ojcowie chcieli tchnąć w Związek życie katolicko-hierarchiczne i w Clermont we Francji kwitła jezuicka loża wolnomularska. Wówczas również do łóż wtargnął ruch różokrzyżowców, tego szczególnego bractwa, które miało czysto racjonalne polityczno-społeczne cele, zmierzające ku ulepszeniu i uszczęśliwieniu ludzi, ale — niech pan to sobie zapamięta — zarazem miało osobliwe stosunki z tajnymi związkami Wschodu, z hinduską i arabską mądrością i z magicznym poznaniem przyrody. Wówczas to dokonana się reforma i sanacja wielu łóż wolnomularskich, idąca w kierunku surowszego przestrzegania reguły, w kierunku zdecydowanie irracjonalnym i tajemniczym, magiczno-alechemistycznym; jemu to zawdzięczają swe istnienie szkockie wyższe stopnie mularstwa, mianowicie stopnie rycerzy zakonnych, którymi uzupełniono dawniejszą wojskową hierarchię ucznia, czeladnika i mistrza, hieratyczne stopnie wielkich mistrzów, wypełnione tajną nauką różokrzyżowców. W ten sposób sięgnięto wstecz do niektórych religijnych zakonów rycerskich średniowiecza, w szczególności do templariuszów, którzy, jak pan wie, przed patriarchą jerozolimskim składali śluby ubóstwa, czystości i posłuszeństwa. Dziś jeszcze jeden z wyższych stopni w hierarchii wolnomularskiej posiada tytuł „Wielkiego Księcia Jerozolimy”.

— To dla mnie nowe, wszystko zupełnie nowe, panie profesorze. Odślaniają mi się sekrety naszego Settembriniego... „Wielki Książę Jerozolimy” — to brzmi wcale nieźle. Tak pan go powinien kiedyś na żarty nazwać. On pana ze swej strony przezwiał niedawno „doctor angelicus”*. Należy mu się za to odwet.

— O, jest znacznie więcej równie ważnych tytułów przysługujących wyższym i templariuszowskim stopniom surowej reguły. Mamy tam Doskonałego Mistrza, Rycerza Wschodu i Wielkiego Arcykapłana, a trzydziesty pierwszy stopień nosi nawet nazwę „Wzniosłego Księcia Królewskiej Tajemnicy”. Pan zauważył, iż wszystkie te nazwy wskazują, że Związek pozostawał w stosunkach z mistyką Wschodu. Ponowne poja-

wienie się templariuszy nie było niczym innym jak tylko odnowieniem tych stosunków, było faktycznie wdarcie się irracjonalnych fermentów do ideologii rozsądnej i utylitarnej reformy społecznej. Dzięki temu wolnomularstwo zyskało nowy urok i świetność, które tłumaczą ówczesny wzrost liczby jego zwolenników. Pociągnęło wszystkie żywioły mające już dość mędrkowania właściwego temu stuleciu, dość humanizmu, oświecenia, trzeźwości i pragnące mocniejszych napojów. Zakon miał takie powodzenie, że filistrzy uskarżali się, iż odciąga mężczyzn od domowego ogniska i cnotliwych kobiet.

— Jeśli tak, profesorze, to nie można się dziwić, że pan Settembrini niechętnie wspomina ten okres rozkwitu swego Zakonu.

— Istotnie niechętnie wspomina, że kiedyś jego Związek skupiał na sobie całą tę antypatię, którą wolnomysłicielstwo, ateizm, racjonalizm encyklopedystów zazwyczaj obdarza zespół złożony z Kościoła, katolicyzmu, zakonów i średniowiecza. Słyszał pan zapewne, że wolnomularzom zarzucano obskurantyzm...

— Dlaczego? Chętnie dowiedziałbym się dokładniej, dlaczego...

— Powiem to panu. Ściślejsza reguła stanowiła pogłębienie i rozszerzenie tradycji Zakonu, przesunięcie jego historycznych początków w świat tajemnic, w tak zwane mroki średniowiecza. Wielcy mistrzowie byli wtajemniczani w *physica mystica**, byli znawcami magicznej wiedzy przyrodniczej i na ogół bywali wybitnymi alchemikami...

■— Teraz muszę się usilnie starać, aby sobie uświadomić, jak mniej więcej rzecz się miała z alchemią. Alchemia to wyrabianie złota, kamień mądrości, *aurum potabile* *...

— Tak, mówiąc popularnie. A mówiąc nieco bardziej uczelnie, jest to oczyszczanie, przekształcanie i uszlachetnianie materii, jej transsubstancjacja, zamienianie na wyższe postacie, i więc potęgowanie; *lapis philosophorum**, męsko-kobiecey produkt siarki i rtęci, *res bina**, ta dwupłciowa *prima materia**, nie była niczym więcej, ale też niczym mniej niż zasadą potęgowania rzeczy, podpędzania ich w górę za pomocą wewnętrz-

nego oddziaływania — była magiczną pedagogiką, jeśli pan chce.

Hans Castorp zamilkł. Mrugając oczami patrzył skośnie w górę.

— Symbolem alchemicznej transmutacji — ciągnął dalej Naphta — był przede wszystkim grobowiec.

— Grób?

— Tak, miejsce rozkładu. Jest to pojęcie obejmujące całą hermetykę, jest naczyniem, starannie strzeżoną kryształową retortą, w której materia jest poddawana ostatecznej przemianie i oczyszczeniu.

— „Hermetyka” to dobra nazwa, panie profesorze. „Hermetyczny”: ten wyraz zawsze mi się podobał. To prawdziwie magiczne słowo z nieokreślonymi, rozległymi skojarzeniami. Niech pan wybaczy, ale zawsze mi ono przypomina nasze słoiki Wecka, które nasza hamburska gospodyni — nazywa się ona Schalleen, bez pani czy panny, po prostu Schalleen — ma poustawiane szeregami w swej spiżarni na półkach, hermetycznie zamknięte słoiki z owocami, mięsem i różnymi różnościami. Stoją tam latami, a kiedy się któryś z nich w razie potrzeby otwiera, to zawartość jego jest zupełnie świeża i nie tknięta zębem czasu, można ją spożywać tak jak jest. Oczywiście, nie chodzi tu o alchemię i o proces oczyszczania, lecz tylko o zachowywanie, stąd nazwa konserwy. Ale czarodziejstwo polega tu na tym, że to, co było zamknięte w słoiku Wecka, nie podlegało działaniu czasu; było hermetycznie przed nim zamknięte, czas przechodził obok tego, nie było czasu, wszystko to poza czasem stało na swych półkach. No, dość o weckach. Niewiele z tego wynikło. Przepraszam. Pan chciałby, jak mi się zdaje, jeszcze dalej mnie pouczać.

— Tylko jeśli pan tego sobie życzy. Uczeń musi być żądny wiedzy i wolny od lęku, mówiąc w stylu tych rzeczy, które nas zajmują. Grobowiec, grób bywał zawsze używany jako podstawowy symbol przy wtajemniczeniu, jakie się uzyskiwało w Związku. Uczeń, początkujący dopiero, a żądny dostępu do wiedzy, powinien wśród dreszczy, jakie wzbudza grób, pozostawać

stać nieustraszonym; wedle zwyczaju Związku musi on na próbę być sprowadzony do grobu i pozostać tam, aż go nieznana braterska dłoń wyprowadzi. Stąd te kryte przejścia i mroczne piwnice, przez które nowicjusz musiał przechodzić, czarne sukno, jakim wedle ścisłej reguły obita była nawet sala związkowa, kult trumny, odgrywający tak ważną rolę w ceremoniale święceń i zebrań. Droga misteriów i oczyszczenia była najeżona niebezpieczeństwami, wiodła przez grozę śmierci, przez krainę rozkładu, a ucznia, neofitę, jako wcielenie młodości żadnej czarów życia i demonicznych przeżyć, prowadziły przez nią zamaskowane postacie, będące jedynie cieniami tajemnicy.

— Bardzo panu dziękuję, profesorze. Świetnie. To więc taka byłaby hermetyczna pedagogika. Nie może mi to zaszkodzić, żem i o niej cośkolwiek usłyszał.

— Tym bardziej że chodzi w niej o doprowadzenie człowieka do rzeczy ostatecznych, do absolutnego uznania świata nadzmysłowego, a więc — do celu. Alchemia, uprawiana w lożach, doprowadziła doń w późniejszych dziesięcioleciach wiele szlachetnych, szukających prawdy umysłów. Nie potrzebuję celu tego wymieniać, bo nie mógł pan nie zauważyć, że wyższe stopnie szkockie są jedynie surogatem hierarchii kościelnej, że alchemiczna wiedza masońskiego mistrza dopełnia się w misterium przemiany i że tajne kierownictwo, jakim loża darzy swych wychowanków, jest wyraźnym odpowiednikiem sakramentów, podobnie jak symboliczne igraszki masońskiego ceremoniału są odpowiednikiem liturgicznej i budującej symboliki naszego świętego Kościoła Katolickiego.

— Ach, tak!

— Przepraszam, i to jeszcze nie wszystko. Pozwoliłem sobie już przedtem zaznaczyć, że wyprowadzanie łóż z cechów mularskich, godnych skądinąd szacunku w dziedzinie rzemiosła, jest spłyceniem dokonany przez historyków. W każdym razie dzięki ściślejszej regule uzyskały one daleko głębsze ludzkie fundamenty. Tajemnica łóż, podobnie jak pewne misteria naszego Kościoła, ma związek z uroczystymi przemilczeniami i świętymi wybrykami wczesnej ludzkości... Jeśli chodzi o Koś-

ciół, to mam na myśli Wieczerzę Pańską i uczyty na jej pamiątkę urządzone przez pierwszych chrześcijan, spożywane w sakramencie Ciała i Krwi, a jeśli chodzi o łoże...

— Chwileczkę. Chodzi mi o marginesową uwagę. Także w tym życiu zbiorowym, w którym bierze udział mój kuzyn, odbywają się przyjacielskie „wieczery”. Często mi o nich pisywał. Odbywają się zupełnie przyzwoicie, co najwyżej bywają na nich nieco podchmieleni, i to nawet nie w tym stopniu jak na zebraniach burszowskich...

— Jeśli chodzi o łoże, to mam na myśli kult grobu i trumny, już poprzednio zwracałem nań pańską uwagę. W obu wypadkach chodzi o symbol tego, co ostateczne i najwyższe, o elementy pierwotnej, orgiastycznej religijności, rozwiązałe nocne nabożeństwa ku czci umierania i stawania się, śmierci, przemienienia i zmartwychwstania... Pan przypomina sobie, że misteria Izydy, podobnie jak i eleuzyjskie, odbywały się nocą i w mrocznych jaskiniach. Otóż w wolnomularstwie było i jest moc reminiscencji egipskich, a wśród tajnych stowarzyszeń były takie, które nazywały siebie związkami eleuzyjskimi. Urządzały one w swych łożach uroczystości na cześć misteriów eleuzyjskich i afrodyzyjskich tajemnic, w których nareszcie i kobieta uzyskała swą rolę, obchodziły też święta róż, do których aluzję stanowią owe trzy błękitne róże na fartuszku wolnomularskim; święta te, jak się zdaje, zamieniły się w bachanalie...

— No, no, co słyszę, profesorze. I to wszystko ma być wolnomularstwem? I mam z tym wszystkim łączyć w mych myślach naszego pana Settembriniego z jego jasnym umysłem...?

— Skrzywdziłyby go pan jak najbardziej! O wszystkim tym Settembrini nic już nie wie. Mówiłem już panu, że przez ludzi jego pokroju łoże zostały znowu oczyszczone ze wszelkich składników wyższego życia. Zhumanizowały się, zmodernizowały, miły Boże. Z takich bezdroży wróciły do spraw pożytecznych, do rozsądku i postępu, do walki przeciw księżętom i księżom, krótko mówiąc, do społecznego uszczęśliwiania; znów się w nich rozmawia o naturze, cnocie, umiarkowaniu i ojczyź-

nie. Przypuszczam, że również i o interesach. Jednym słowem: mizerne mieszczaństwo w formie klubu...

— Jakaż szkoda święta róż! Zapytam Settembriniego, czy rzeczywiście nic o nich nie wie.

— Nieposzlakowany rycerz węgielnicy! — szydził Naphta. — Vhisi pan też wziąć pod uwagę, że niełatwo został dopuszczony do budowania świątyni ludzkości, bo jest biedny jak mysz kościelna, a tam wymaga się nie tylko wyższego wykształcenia, humanistycznego wykształcenia, o, proszę bardzo, ale trzeba także należeć do zamożnej klasy, aby podolać niemałym kosztom przy wejściu do organizacji, a potem składkom rocznym. Wykształcenie i zamożność — oto ma pan burżuazję! Ma Dań fundamenty liberalnej republiki powszechnej!

■ — Istotnie — śmiał się Hans Castorp — mamy ją teraz jasno wyraźnie przed oczami.

— Niemniej — dodał Naphta po pauzie — radziłbym panu tego człowieka i jego spraw nie brać zbyt lekko, a raczej, skoro już o tych stosunkach mówimy, wręcz prosiłbym, żeby pan miał więcej na ostrożności. Rzeczy niesmaczne niekoniecznie są niewinłe. Ograniczoność nie zawsze jest nieszkodliwa. Ci ludzie dużo dołali wody do swego wina, które niegdyś było jak ogień, jednakże idea Związku pozostała dość mocna, aby znieść to rozwodnienie; zachowała resztę płodnej tajemnicy i nie ma wątpliwości, że łoża maczają ręce w polityce światowej, i miły pan Settembrini reprezentuje coś więcej niż samego siebie, stoją za nim potęgi, którym jest bliski i których jest emisariuszem...

— Emisariuszem?

— No tak, producentem nawróceńców, łowcą dusz.

„A ty jakim jesteś emisariuszem?” — myślał Hans Castorp. powiedział głośno:

— Dziękuję, profesorze. Jestem szczerze zobowiązany za rady ostrzeżenie. Wie pan co? Pójdę od razu o piętro wyżej, jeśli o, co tu jest na górze, można w ogóle jeszcze nazywać piętrem, zamaskowanego braciszka pociągnę trochę za język. Uczeń musi być żądny wiedzy i wolny od lęku. Musi też być ostroż-

ny... W stosunkach z emisariuszami ostrożność jest oczywiście wskazana...

Mógł śmiało o dalsze pouczenie prosić pana Settembriniego; ten nie miał prawa wymawiać panu Naphcie niedyskrecji, a zresztą sam nie robił szczególnych wysiłków, aby ukryć swą przynależność do owego harmonijnego stowarzyszenia. „Rivista della Massoneria Italiana” * leżała otwarta na jego stoliku; a tylko Hans Castorp nie zwracał na nią przedtem uwagi. Gdy zaś, uświadomiony przez Naphtę, skierował rozmowę na królewską sztukę, jak gdyby związki Settembriniego z tą sztuką nigdy dlań nie ulegały wątpliwości, spotkał się z niewielką jedynie powściągliwością. Były co prawda punkty, o których literat nie mówił, a gdy były poruszane, zbywał je ostentacyjnym poniekąd milczeniem, widocznie związany owymi terrorystycznymi ślubami, o których mówił Naphta: okrywał mianowicie tajemnicą tak mało ważne sprawy, jak zewnętrzne obrządki i własną swoją pozycję w tej szczególnej organizacji. Ale poza tym był nawet bardzo wymowny i przed ciekawym młodzieńcem roztoczył imponujący obraz rozpowszechnienia Ligi, która w liczbie około dwudziestu tysięcy łóż i stu pięćdziesięciu wielkich łóż objęła cały prawie świat aż po Haiti i po murzyńską republikę Liberia. Umiał też wymienić niemało nazwisk wielkich ludzi, którzy byli lub obecnie są masonami, wymieniał Woltera, Lafayette'a i Napoleona, Franklina i Waszyngtona, Mazziniego i Garibaldięgo, spośród żyjących nawet króla angielskiego, a ponadto mnóstwo ludzi, w których rękach spoczywają sprawy państw europejskich, członków rządów i parlamentów.

Hans Castorp okazał szacunek, ale nie okazał zdziwienia. Sądził, że rzeczy mają się tu tak samo jak ze studenckimi korporacjami. Wytwarzają one związki na całe życie i umieją popierać swoich ludzi, tak że w hierarchii urzędowej rzadko ten wysoko zajdzie, kto nie był korporantem. Przeto może niezupełnie słusznie pan Settembrini przedstawia przynależność tych znakomitości jako tak pochlebna dla loży; należy przyjąć raczej odwrotnie, że zajęcie tyłu ważnych stanowisk przez masonów

dowodzi jedynie potęgi Związku, który na pewno więcej ma wpływu na politykę światową, niż to pan Settembrini chce otwarcie przyznać.

Settembrini uśmiechnął się. Nawet wachlował się zeszytem „Massonerii”, który trzymał w ręku. Czyżby ktoś chciał go wciągnąć w pułapkę? zapytał. A może nawet ktoś chciał go sprowokować do nieostrożnych wypowiedzi na temat politycznej istoty i politycznego ducha łoży? — Zbędna przebiegłość, inżynierze! Przyznajemy się do udziału w polityce, bez zastrzeżeń, otwarcie. W oczach niektórych głupców — są oni w pańskim kraju, inżynierze, a poza tym prawie nigdzie — jakieś odium spada na ten wyraz i tytuł. My z tego odium nic sobie nie robimy. Przyjaciel ludzkości nie uznaje w ogóle różnicy między polityką a nie-polityką. Nie ma nie-polityki. Wszystko jest polityką.

— Bez wyjątku?

— Wiem dobrze, że są tacy, którzy twierdzą, że idea wolnomularstwa miała pierwotnie apolityczny charakter. Ale igrają oni ze słowami i stwarzają granice, których nie ma, które najwyższy czas uznać za urojone i bezsensowne. Po pierwsze, przy najmniej łoża hiszpańskie od samego początku miały zabarwienie polityczne.

— Wyobrażam to sobie.

—■ Pan niewiele może sobie wyobrazić, inżynierze. Niech pan sobie nie roi, że sam przez się może daleko zajść wyobraźnią, niech się pan raczej stara przejąć i przetrwać to, co jeszcze chcę mu wbić w pamięć: a proszę pana o to zarówno w jego własnym interesie, jak w interesie jego kraju i całej Europy. Mianowicie, po drugie: idea wolnomularstwa nie była apolityczna nigdy, w żadnej epoce, i nie mogła nią być, a jeśli sądziła, że jest, to nie rozumiała własnej istoty. Czymże jesteśmy? Budowniczymi i ich pomocnikami przy budowie. Cel wszystkich jest jeden, doskonałość całości jest podstawową zasadą zbratania. Jaka jest ta doskonałość i jaka budowa? Legę artis * wzniesiona budowa społeczna, udoskonalenie ludzkości, nowa Jeruzalem. Cóż, na miłość boską, ma z tym polityka czy niepo-

lityka do czynienia? Problem społeczny, problem współistnienia ludzi jest sam przez się polityką, na wskroś polityką i niczym innym. Kto mu się poświęca — a nie zasługuje na miano człowieka, kto tego nie czyni — ten bierze udział w polityce, wewnętrznej zarówno jak zewnętrznej; i ten rozumie, że sztuka wolnego mularza jest sztuką rządzenia.

— Rządzenia...

— Że masoni, iluminaci, posiadali w swej hierarchii stopień regenta...

— Bardzo dobrze, proszę pana. Sztuka rządzenia, stopień regenta, to wszystko mi się podoba. Ale chciałbym się jednego dowiedzieć, czy wy jesteście chrześcijanami, wy wszyscy w pańskiej łoży?

— Perche! *

— Przepraszam, zapytam inaczej, ogólniej i prościej. Czy wierzycie w Boga?

— Odpowiem panu. Ale dlaczego pan o to pyta?

— Nie' chciałem pana wystawiać na próbę, ale jest taka opowieść biblijna, że ktoś chciał Pana Jezusa na próbę wystawić za pomocą rzymskiej monety; dostał odpowiedź, że należy oddać cesarzowi, co jest cesarskiego, a Bogu, co jest boskiego. Mnie się wydaje, że jeśli się robi to rozróżnienie, to ma się podstawę do oddzielania polityki od nie-polityki. Jeśli istnieje Bóg, to zachodzi także i ta różnica. Czy wolnomularze wierzą w Boga?

— Zobowiązałem się dać panu odpowiedź. Mówi pan o jedności, nad której wytworzeniem pracujemy, ale która ku ubolewaniu wszystkich dobrych ludzi jeszcze nie istnieje. Światowy związek wolnomularzy nie istnieje. Gdy jednak powstanie — a powtarzam, że nad tym wielkim dziełem pracuje się cicho, ale wytrwale — to bez wątpienia jego religijne wyznanie wiary będzie jednolite i będzie brzmiało: *Ecrasez rinfame* *.

— Wszyscy będą do tego zobowiązani? Byłoby to brakiem tolerancji.

— Do zagadnienia tolerancji jeszcze pan nie dorósł, inżynierie-

rze. Ale niech pan to sobie zapamięta, że tolerancja staje się przestępstwem, jeśli dotyczy zła.

— Czyżby Bóg był złem?

— Metafizyka jest złem. Bo do niczego innego nie prowadzi jak tylko do uśpienia pilności, z jaką powinniśmy budować świątynię społeczną. Już w poprzednim pokoleniu Wielki Wschód Francji dał dobry przykład, usuwając imię Boga ze wszystkich swych dokumentów. My, Włosi, poszliśmy jego śladem...

— Jakże to po katolicku!

— Pan myśli...

— Uważam to za niesłychanie katolickie usuwać Boga.

— Pan chce powiedzieć...

— Nic ważnego, proszę pana. Niech pan nie zwraca uwagi na moje paplanie! Tylko wydało mi się na chwilę, że ateizm jest czymś kolosalnie katolickim i że po to usuwa się Boga, aby tym bardziej być katolickim.

Na to pan Settembrini zrobił pauzę, a było jasne, iż wyłącznie ze względów pedagogicznych. Po chwili milczenia odrzekł:

— Inżynierze, jestem bardzo od tego daleki, bym chciał go od jego protestantyzmu odwieść albo chcieć go dotknąć. Mówiliśmy o tolerancji... Zbędną jest rzeczą podkreślać, że dla protestantyzmu mam coś więcej niż wyrozumiałość, mam dlań najwyższy podziw, boć był on historycznym przeciwnikiem gwałcenia sumień ludzkich. Wynalezienie druku i reformacja są i pozostaną dwiema najwznioślejszymi zasługami, jakie środkowa Europa położyła dla ludzkości. Nie ulega to wątpliwości. Ale po tym, co pan przed chwilą powiedział, sędzę, że pan mnie całkowicie zrozumie, gdy powiem, że jest to tylko pewna strona sprawy, a ma ona jeszcze drugą. Protestantyzm kryje w sobie różne składniki... Już sama osoba waszego reformatora kryła różne składniki... Mam na myśli składniki takie jak błogość, którą daje spokój, i jak hipnotyczne zagłębianie się w siebie; nie są to składniki europejskie, są obce i wrogie prawu rządzącemu życiem tej aktywnej części świata. Niech się pan przyjrzy Lutrowi! Niech się pan przyjrzy jego portretom, mło-

dzieńczym i późniejszym! Co to za czaszka, co za kości policzkowe, jak szczególnie osadzone oczy! Przyjacielu, to Azja! Dziwiłbym się, bardzo bym się dziwił, gdyby tam nie wchodziło w grę coś wendyjsko-słowiańsko-sarmackiego i gdyby przeto w potężnej — temu nikt nie zaprzeczy — postaci tego człowieka nie przeważała fatalnie jedna z dwóch szal, które w pańskim kraju w tak niebezpieczny sposób utrzymują się w równowadze — nie przeważał straszliwy ciężar na szali wschodniej, od którego ta druga, zachodnia, po dziś dzień unosi się ku niebu...

Od składanego pulpitu humanisty przy okienku, przed którym stał, pan Settembrini podszedł do okrągłego stołu z karkafką wody i zbliżył się do swego ucznia, który siedział na tapczanie pod ścianą i, nie mając oparcia, wspierał łokcie na kolanach, a brodę na dłoni.

— Caro! — rzekł pan Settembrini. — Caro amico *! Decyzje będą musiały być powzięte, decyzje, których znaczenia dla szczęścia i przyszłości Europy nie można ocenić dość wysoko; a przypadną one pańskiemu krajowi, w jego duszy się dokonają. Postawiony między Wschodem a Zachodem będzie musiał wybierać, definitywnie i świadomie, między obu sferami, które chcą go dla siebie pozyskać. Pan jest młody i będzie pan mieć udział w tej decyzji, pan jest powołany, by na nią wywrzeć wpływ. Dlatego błogosławmy los, który zagnawszy pana w te okropne strony, dał mi możność moimi niezupełnie niewprawnymi, niezupełnie bezbarwnymi słowy oddziaływać na jego kształtującą się dopiero młodość, wyrabiać w nim poczucie odpowiedzialności, jaką pan — jaką pański kraj ma wobec cywilizacji...

Hans Castorp siedział z podbródkiem w pięści. Patrzył w górę ku mansardowemu oknu i w jego pocziwych niebieskich oczach malował się jakby upór. Milczał.

— Pan milczy — mówił Settembrini w podnieceniu. — Pan i jego kraj zachowujecie milczenie pełne zastrzeżeń co do przyszłości; milczenia tego nie można przejrzeć, więc też i osądzić jego głębi. Nie lubicie słowa; albo nim nie władacie, albo posługujecie się nim w jakiś nieprzyjazny sposób — świat słowa

artykułowanego nie wie, co myślicie. Przyjacielu, to jest niebezpieczne. Mowa jest cywilizacją... Słowo, nawet najbardziej sprzeczne, jakże zobowiązuje... A milczenie czyni człowieka samotnym. Można przypuszczać, że swą samotność będzie pan usiłował przełamać czynami. Pan pozwie swego kuzyna Giacomo (pan Settembrini zwykł był dla wygody Joachima nazywać „Giacomo”), pan pozwie swego kuzyna, by stanął przed jego milczeniem — „i dwóch położył potężnym ciosem, inni uciekli” *.

Ponieważ Hans Castorp zaczął się śmiać, uśmiechnął się również pan Settembrini, na razie zadowolony z efektu swych plastycznych słów.

— Dobrze, śmiejmy się! — powiedział. — Do wesołości zawsze jestem skory. „Śmiech jest przebłyskiem duszy” — powiedział któryś ze starożytnych. Odbiegliśmy ku sprawom, związanym, przyznaję to, z trudnościami naszych prac około utworzenia światowego związku wolnomularskiego, trudnościami, których przysparza zwłaszcza Europa protestancka... — i pan Settembrini w gorących słowach mówił dalej o idei tego światowego Związku, która wyszła z Węgier, a której oczekiwana realizacja da masonerii decydujący głos w świecie. Mimochodem pokazał listy, jakie w tej sprawie otrzymał od zagranicznych wielkości związkowych, od szwajcarskiego Wielkiego Mistrza, brata trzydziestego trzeciego stopnia Quartier la rentę; roztrząsał też projekt, aby sztuczny język esperanto iczynić światowym językiem Związku. W uniesieniu wznosił się w sferę wyższej polityki, zwracał to tu, to tam swój wzrok oceniał widoki, jakie idea rewolucyjno-republikańska ma AT jego ojczyźnie, w Hiszpanii, w Portugalii. Twierdził, że utrzymuje korespondencję z osobami stojącymi u szczytu Wielkiej ^oży w ostatnio wspomnianej monarchii. W kraju tym bez wątpienia rzeczy dojrzewają już do rozstrzygnięcia. Prosił, aby Hfians Castorp pomyślał o nim, gdy tam w dole w najbliższym :zasie zaczną się przewalać wypadki. Hans Castorp przyrzekł, :e to uczyni.

Należy zauważyć, że te masońskie pogawędki między wy-

chowankiem a jego dwoma mentorami, każdym oddzielnie, przypadły na czas poprzedzający jeszcze powrót Joachima. Debata zaś, do której teraz przechodzimy, miała miejsce już podczas jego ponownego pobytu i w jego obecności, dziewięć tygodni po jego powrocie, u schyłku października. To spotkanie w jesiennym słońcu, pod Kurhauzem w uzdrowisku Davos, przy odświeżających napojach, Hans Castorp dlatego tak trwale i dokładnie zachował w pamięci, że w tym czasie właśnie Joachim zaczął dawać mu powody do tajemnej troski; budziły ją objawy i symptomy, które nawet zwykle troski nie budzą, mianowicie bóle gardła i chrypka, a więc dolegliwości niewinne; jednakże młodemu Castorpowi ukazały się one w jakimś szczególnym świetle, w tym, które, rzecz można, spostrzegał w głębi oczu Joachima. Oczy te zawsze były łagodne i duże, ale teraz, dopiero teraz w jakiś nieokreślony sposób powiększyły się i pogłębiły, i z myślących stały się (trzeba użyć tego dziwnego wyrazu) — groźnymi, a zarazem nabrały owego wspomnianego już blasku wewnętrznego; nie można powiedzieć, że Hansowi Castorpowi blask ten się nie podobał, przeciwnie, podobał mu się nawet bardzo, ale jednocześnie budził w nim troskę. Słowem, wrażenia jego były tego rodzaju, że nie można mówić o nich inaczej niż niejasno.

Co się tyczy rozmowy, sporu — naturalnie sporu między Naphtą a Settembrinim — to dotyczył on sprawy szczególnej i w luźnym tylko pozostającej związku z tamtymi dwiema dyskusjami o łożach. Poza kuzynami obecni byli przy nim również Ferge i Wehsal, i zainteresowanie było duże, choć nie wszyscy dorośli do jego przedmiotu — na przykład pan Ferge najwyraźniej nie dorósł. Ale spór był toczony, jak gdyby chodziło o życie, a zarazem z takim dowcipem i polorem, jak gdyby nie chodziło o życie, lecz o wytworne zawody słowne — a tak były toczone wszystkie dysputy Settembriniego i Naphty; jest oczywiście rzeczą interesującą przysłuchiwać się takiemu sporowi dla niego samego, nawet gdy się mało zeń rozumie i tylko niejasno dostrzega jego doniosłość. Nawet ludzie zupełnie doń nie należący, a tylko siedzący opodal, przysłuchiwali się wymianie

zdań z podniesionymi brwiami, bo uwagę ich przykuwała namiętność i subtelność dyskusji.

Działo się to, jakeśmy rzekli, przed Kurhauzem, po południu, po podwieczorku. Czterej goście „Berghofu” spotkali się tam z Settembrinim, a niebawem przyłączył się do nich Naphta. Siedzieli dokoła metalowego małego stolika przy różnych wodą sodową rozcieńczonych napojach, przy anyżówce i wermucie. Naphta, który tu jadł podwieczorek, kazał sobie dać wina i ciastek, co widocznie przypominało mu czasy, gdy był alumnem; Joachim swą bolącą krtań zwilżał często naturalną lemoniadą, mocną i kwaśną, która miała działanie ściągające i sprawiała mu ulgę, a Settembrini pił po prostu wodę z cukrem, jednakże przez słomkę i w sposób tak wdzięczny i apetyczny, jak gdyby pociągał najkosztowniejszy, pokrzepiający trunek. Żartując mówił:

— Co słyszę, inżynierze? Co za pogłoski dochodzą do mnie? Pańska Beatrice wraca? Pańska przewodniczka przez wszystkie dziewięć wirujących sfer rajy? Mam jednak nadzieję, że nawet gdy ona wróci, nie odtrąci pan gotowej go prowadzić przyjacielskiej dłoni pańskiego Wergiliusza! * Nasz eklezjasta potwierdzi panu, że świat średniowieczny nie jest zupełny, jeśli mistyce franciszkańskiej brak przeciwnego bieguna w postaci tomistycznego poznania.

Śmiano się słysząc tyle żartobliwej uczoności i patrzano na Hansa Castorpa, który — również się śmiejąc — przepijał wermutem do „swego Wergiliusza”. Ale trudno uwierzyć, ile niewyczerpanych antagonizmów duchowych wypłynęło niebawem z zawilego wprawdzie, jednakże niewinnego powiedzenia pana Settembriniego. Bo Naphta, co prawda poniekąd sprowokowany, przeszedł niezwłocznie do ataku i rzucił się na łacińskiego poetę, którego Settembrini, jak wiadomo, ubóstwiał i stawiał nawet ponad Homera; Naphta zaś nieraz już w stosunku do niego i w ogóle do poezji łacińskiej objawiał najwyższe lekceważenie, a i teraz szybko i złośliwie podchwycił ku temu okazję. Jedynie, mówił, dobroduszną zależność od warunków epoki spowodowała, że wielki Dante tego średniego wierszoro-

ba potraktował tak uroczyście i tak wzniosłą przeznaczył mu rolę w swym poemacie; choć zaznaczyć trzeba, że rolę tę pan Lodovico interpretuje nazbyt po wolnomularsku. Jakże to zresztą miała się rzecz z tym nadwornym poeta laureatus * i pochlebcą Julijskiego domu, z tym stołecznym literatem i błyskotliwym retorem bez iskry twórczej, którego dusza, jeśli ją posiadał, była zapożyczona, a który w ogóle nie był poetą, lecz Francuzem ustrojonym w wielką perukę z czasów Augusta.

Pan Settembrini wyraził przekonanie, że przedmówca zapewne umie swą pogardę dla wielkiej cywilizacji rzymskiej jakoś pogodzić ze swymi funkcjami nauczyciela łaciny. Należy mu jednak, zdaje się, zwrócić uwagę, że tego rodzaju sądy wikłają go w poważną sprzeczność z ukochanymi przezeń stuleciami, które Wergiliuszem nie tylko nie gardziły, ale na swój prostoduszny sposób głosiły jego wielkość, czyniąc zeń mędrca i czarodzieja.

Pan Settembrini, odparł Naphta, na próżno szuka pomocy w prostocie ducha tych wczesnych czasów. Były one zwycięzcami, którzy podkreślają jeszcze swą potęgę, przypisując demoniczne własności temu, kogo zwyciężyli. Zresztą doktorzy wczesnego Kościoła nie przestawali ostrzegać przed kłamstwami dawnych filozofów i poetów, a już szczególnie przed przesadnym krasomówstwem Wergiliusza; dziś, gdy znów jedna epoka schodzi do grobu, gdy świta poranek proletariatu, moment jest naprawdę odpowiedni, by czuć tak jak oni. Należy jeszcze odpowiedzieć na aluzje, jakie pan Lodovico robił do mieszczańskich zajęć: może być przekonany, że on, Naphta, swe nieliczne tego rodzaju zajęcia spełnia ze wskazaną w tym wypadku *reservatio mentalis* * i nie bez ironii podporządkowuje się klasyczno-retorycznemu systemowi wychowawczemu, którego trwanie sangwinik może, co prawda, obliczać jeszcze na dziesiątki lat.

— A studiowaliście ich — zawołał Settembrini — studiowaliście w pocie czoła tych dawnych poetów i filozofów, staraliście się sobie przyswoić ich cenną spuściznę, tak samo jak używaliście materiału ze starożytnych budowli na wasze domy

modlił Bo dobrze czuliście, że własnymi siłami waszej proletariackiej duszy nie jesteście zdolni wytworzyć nowych form sztuki; mieliście nadzieję, że starożytność pobijecie jej własną bronią. I tak będzie nadal, tak będzie zawsze! Nieokrzesany wasz wschodzący dzień będzie musiał iść na naukę do tego, dla którego pogardę chcielibyście wmówić w siebie i innych; bo bez wykształcenia bylibyście niczym w obliczu ludzkości, a wykształcenie jest tylko jedno: to, które nazywacie mieszczańskim, a które jest wykształceniem ludzkim. Koniec wykształcenia takiego, jak je rozumie humanizm, ma być kwestią dziesięcioleci? Jedyne uprzejmość nie pozwala panu Settembriniemu wybuchnąć równie beztroskim jak drwiącym śmiechem. Europa umiejąca strzec swych wiecznych dóbr przejdzie spokojnie ponad proletariackimi apokalipsami, które sobie ten czy ów roi, do porządku dziennego wyznaczonego przez klasyczny rozsądek.

O porządku dziennym, odparł Naphta zgryźliwie, pan Settembrini, jak widać, jest niezupełnie dobrze poinformowany. Na porządku dziennym stoi właśnie to zagadnienie, które on chciałby traktować jako załatwione: czy mianowicie śródziemnomorska, klasyczna, humanistyczna tradycja jest sprawą całej ludzkości i przeto w ludzkiej skali jest wieczna — czy też raczej była tylko formą duchową i właściwością jednej epoki, mieszczańsko-liberalnej i razem z nią się skończy. Zagadnienie to rozstrzygnie historia, a w każdym razie należy poradzić panu Settembriniemu, by nie był nazbyt pewien, że rozstrzygnięcie nastąpi po myśli jego łaćńskiego konserwatyzmu.

Było to szczególną bezczelnością małego Naphty, że pana Settembriniego, zdecydowanego sługę postępu, nazwał konserwatystą. Wszyscy to w ten sposób odczuli, a ze szczególną goryczą odczuł to naturalnie ten, kto został dotknięty: w podnieceniu podkreślał wąsy, a szukając riposty pozostawił wrogowi czas na dalsze wypadki przeciw klasycznemu ideałowi wykształcenia, przeciw retorycznemu i literackiemu duchowi europejskiego szkolnictwa i wychowania, a także przeciw panującemu w nich gramatyczno-formalistycznemu splinowi, który

jest przynależnością klasowego panowania burżuazji, ale dla ludu od dawna pośmiewiskiem. Trudno sobie wyobrazić, jak bardzo lud wyśmiewa nasze tytuły doktorskie i całe nasze mandaryństwo w edukacji, państwowe szkoły powszechne, to narzędzie klasowej dyktatury burżuazji, stosowane w urojeniu, że lud należy kształcić tak, jak się kształci uczonych, tylko w rozwodniony sposób. Wykształcenie i wychowanie, jakiego potrzebuje do walki ze zmurszałym mieszczańskim państwem, lud umie od dawna znajdować gdzie indziej niż w przymusowych zakładach urzędowych; już ptaki o tym na dachu świergocą, że typ naszej szkoły, który rozwinął się ze średniowiecznej szkoły klasztornej, jest w całości śmiesznie przestarzały i anachroniczny, że już nikt na świecie właściwego swego wykształcenia nie zawdzięcza szkole i że wolne, swobodne nauczanie, za pomocą publicznych wykładów, wystaw, kin i tam dalej, stoi nieporównanie wyżej od każdego nauczania szkolnego.

W tej mieszaninie rewolucji i obskurantyzmu, którą Naphta częstował swych słuchaczy — tak odpowiedział pan Settembrini — przeważa obskurantyzm i psuje cały smak. A uznanie, jakie wzbudza jego troska o oświatę dla ludu, zmniejsza obawę, że troska ta wypływa z instynktownego dążenia do tego, by lud i świat pogrążyć w mroku analfabetyzmu.

Naphta uśmiechnął się. Analfabetyzm! Oto komuś się zdaje, że wyrzekł prawdziwie przerażające słowo, że pokazał głowę Gorgony, w przekonaniu, iż na jej widok każdy będzie musiał zblednąć. On, Naphta, żałuje, że swemu rozmówcy musi zgotować rozczarowanie, wyznając, iż lęk humanisty przed pojęciem analfabetyzmu po prostu go rozśmiesza. Trzeba na to być renesansowym literatem, człowiekiem zmanierowanym, siedemnastowiecznym, marinistą *, komiczną figurą w estilo culto *, aby umiejętności czytania i pisania przypisywać tak przesadne wychowawcze znaczenie, jak gdyby ciemnota duchowa musiała zapanować tam, gdzie ich braknie. Czy pan Settembrini sobie przypomina, że największy poeta średniowiecza, Wolfram von Eschenbach, był analfabeta? Wówczas było w Niemczech rzeczą obraźliwą, aby chłopca, który nie miał iść

na księdza, posyłać do szkoły, i ta szlachecko-ludowa pogarda dla sztuk literackich nie przestała i dziś być cechą istotnej dostojności. Natomiast literat, ten nieodrodny syn humanizmu i burżuazji, umie wprawdzie czytać i pisać, czego szlachta, wojownicy i lud nie umieją albo umieją słabo — ale poza tym nic nie umie i nie rozumie, jest tylko latynistą i fanfaronem, władającym jedynie mową, a życie pozostawia rzetelniejszym od siebie ludziom. Z polityki robi on worek z wiatrem, bo wypełnia go retoryką i literaturą piękną, co w języku partyjnym nazywa się radykalizmem i demokracją — i tak dalej, i tak dalej.

Ale pan Settembrini nie został dłużny odpowiedzi. Nazbyt śmiało, zawołał, jego przeciwnik ujawnia upodobanie do żarliwego barbarzyństwa pewnych epok, szydząc z miłości do formy literackiej, bez której zaiste niemożliwa i nie do pomyślenia jest ludzkość, bez której ludzkości nie ma i nigdy nie będzie! Dostojność? Tylko wróg ludzkości może chrzcic jej imieniem surową i niemą, nie posługującą się słowem rzeczowość. Dostojna jest jedynie generosita, szlachetny zbytek, objawiający się tym, że formie przypisuje swoiście luczką, od treści niezależną wartość — kult mowy jako sztuki dla sztuki, dziedzictwo grecko-rzymskiej cywilizacji, które humaniści, uomini letterati, odzyskali dla świata romańskiego, przynajmniej dla niego, i które jest źródłem całego późniejszego treściowego idealizmu, nie wyłączając także politycznego. — Tak, mój panie! To, co pan chciałby zozydzić oddzielając mowę od życia, jest właśnie wyższą jednością w koronie piękna, i nie obawiam się, po której stronie szlachetna młodzież zawsze walczyć będzie w sprawie między literaturą a barbarzyństwem.

Hans Castorp tylko połową uwagi śledził rozmowę, bo zajmowała go osoba obecnego przy niej wojownika i przedstawiciela istotnej dostojności, a raczej zajmował go nowy wyraz jego oczu; jednakże teraz wzdrygnął się, bo odczuł, że mówiąc o szlachetnej młodzieży pan Settembrini do niego się zwracał i jego prowokował; i przybrał taki sam wyraz twarzy jak wówczas, gdy Settembrini chciał go uroczyście zmusić do dokona-

nia wyboru między „Wschodem a Zachodem”, wyraz powściągliwy i oporny — i milczał. Tamci obaj doprowadzali wszystko do ostateczności, co zapewne w sporze było potrzebne, i zaciekle kłócili się o krańcowe wypadki, podczas gdy jemu się zdawało, że między bronionymi przez nich niemożliwymi poglądami, między krasomówczym humanizmem a analfabetycznym barbarzyństwem, gdzieś pośrodku leżeć musi to, co zgodnie można nazwać rzeczą ludzką. Jednak nie powiedział tego, nie chcąc obu rozdrażniać i, osłonięty swymi zastrzeżeniami, obserwował, jak w swej wrogości pomagali jeden drugiemu, gubiąc się w szczegółach, odkąd Settembrini dał do tego pobudkę swym żarcikiem o łacińskim Wergiliuszu.

Settembrini jeszcze nie skończył, mówił dalej z emfazą, łaknął triumfu. Narzucał się na obrońcę literackiego geniuszu, sławił dzieje piśmiennictwa od chwili, gdy po raz pierwszy człowiek, aby utrwalić i upamiętnić swą wiedzę i swe uczucia, wyrzył słowa na kamieniu. Mówił o egipskim bogu Thot, z którym identyczny był po trzykroć wielki Hermes hellenizmu, a który był czczony jako wynalazca pisma, opiekun bibliotek i patron wszelkich poczynąń umysłowych. Mówiąc to ugiął kolano przed tym Trismegistem, humanistycznym Hermesem, mistrzem palestry, któremu ludzkość zawdzięcza wielki dar literackiej mowy i retoryki sądowej — i tym skłonił Hansa Castorpa do zrobienia uwagi: że w takim razie ten Egipcjanin był oczywiście również politykiem i w większym jeszcze stylu odegrał tę samą rolę co pan Brunetto Latini, któremu specjalnie Florentyńczycy zawdzięczali swą ogładę i który nauczył ich wymowy i sztuki kierowania republiką zgodnie z prawami polityki. Na to Naphta odparł, że pan Settembrini cośkolwiek zmyśla i daje nazbyt wymuskany obraz Thota-Trismegista. Był on bowiem raczej bogiem małą, księżycą i dusz, przedstawiano go jako pawiana z sierpem księżycą na głowie, a pod nazwą Hermesa czczono w nim przede wszystkim boga śmierci i umarłych, zniewalającego dusze i ich przewodnika; już późna starożytność zrobiła zeń arcyzarnoksiężnika, a kabalistyczne średniowiecze — ojca hermetycznej alchemii,

Co, co? Wszystko się wywracało w myślach Hansa i w warsztacie jego wyobraźni. Oto śmierć w niebieskim płaszczu, jako humanistyczny retor; ale jeśli się przyjrzeć bliżej pedagogicznemu bogu literatury i przyjacielowi ludzkości, to zamiast niego ukazywał się wykrzywiony małpi pysk ze znakiem nocy i czarnoksiężstwa na czole... Zrobił ręką gest obronny i zaprzeczający, potem rękę położył na oczach. Ale w ciemności, w którą się schronił, brzmiał głos Settembriniego sławiącego dalej literaturę. Nie tylko wielcy badacze, ale także wybitni ludzie czynu żywo się nią zawsze interesowali: wymienił Aleksandra, Cezara, Napoleona, Fryderyka Pruskiego i innych bohaterów, nawet Lassalle'a i Moltkego. Nie zmieszało go, że Naphta przypomniał mu chińszczyznę, gdzie panuje najśmieszniejsze ubóstwienie abecadła, jakie kiedykolwiek istniało, gdzie feldmarszałkiem zostaje każdy, kto wszystkie czterdzieści tysięcy znaków pisarskich umie wymalować tuszem — fakt, który powinien za serce chwycić humanistę. Ech, Naphta wie dobrze, że chodzi nie o pisanie tuszem, lecz o literaturę, jako o istotny ipopęd ludzki, że chodzi o jej ducha, który — o biedny szyderco! — jest prawdziwym duchem, cudownym połączeniem analizy i formy. On to zawsze budził zrozumienie dla wszystkiego co ludzkie, osłabiał i tępił niemądre oceny i poglądy, przyczyniał się do umoralnienia, uszlachetnienia, ulepszenia rodzaju ludzkiego. Prowadził do najwyższego moralnego wysubtelnienia i wrażliwości, a jednocześnie wskazywał drogę do krytyki, do sprawiedliwości, tolerancji, nie popadając przy tym w fanatyzm. Oczyszczające, uświęcające działanie literatury, pokonanie namiętności przez poznanie i słowo, literatura pojmowana jako droga do zrozumienia, przebaczenia i miłości, z jej wyzwalającą potęgą, duch literacki jako najszlachetniejsza postać ludzkiego ducha, literat jako człowiek doskonały, jako święty: w tej promiennej tonacji przebiegała pieśń pochwalna pana Settembriniego. Ale jego przeciwnik także nie zapomniał języka w gębie, anielskie alleluja umiał pokrzyżować złośliwymi, a świetnymi zarzutami, stając po stronie tych, co bronią zachowania i życia wbrew duchowi rozkładu, kryją-

cemu się za tą seraficką obłudą. To cudowne połączenie, o którym wyśpiewywał pan Settembrini — tak mówił teraz — jest ostatecznie oszukaństwem i kuglarstwem, bo forma, której zespoleniem z zasadą badania analizy duch literacki się chelpi, jest formą pozorną i kłamliwą, nie jest formą prawdziwą przyrodzoną, naturalną, nie jest formą życia. Tak zwany naprawiacz ludzkości ma usta pełne czystości i świętości, ale naprawdę prowadzi do kastracji i upuszczenia krwi życiu; tak, duch, czy sta teoria zadaje gwałt życiu, i kto wypowiada walkę namiętnościom, ten chce nicości, czystej nicości, rzeczywiście czystej, bo „czystość” jest istotnie jedynym atrybutem, jaki można przypisać nicości. I to właśnie ukazuje pana Settembriniego, literata, w prawdziwym świetle, mianowicie jako człowieka postępu, liberalizmu i mieszczańskiej rewolucji. Bo postęp jest czystym nihilizmem, a liberalny mieszczanin jest zaiste sługą nicości i szatana, tak, jest nim rzeczywiście, bo zaprzecza Bogu, zachowawczemu i pozytywnemu absolutowi, przysięgając na szatańskie przeciwieństwo absolutu, a przy tym ze względu na swój zabójczy pacyfizm wyobraża sobie, że jest Bóg wie jak pobożny. Ale właśnie niczego mu bardziej nie brak niż pobożności, jest natomiast wielkim przestępcą wobec życia i 'zasługuje na to, aby zostać pociągniętym przed jego inkwizycję i surowy tajny trybunał — et caetera.

Takimi pointe'ami umiał Naphta operować, umiał zmieniać pieśń pochwalną nadając jej diaboliczne piętno, a samego siebie przedstawiać jako wcielenie zachowawczości, miłości i surowości — tak że znów niepodobna było rozstrzygnąć, gdzie jest Bóg a gdzie szatan, gdzie śmierć a gdzie życie. Proszę nam jednak wierzyć na słowo, że jego antagoniście również nie zbrakło odwagi i że nie został mu dłużny odpowiedzi: odpowiedź to była znakomita, ale na nią też otrzymał nie najgorszą, i trwało to tak jeszcze przez pewien czas, aż rozmowa dotarła do poprzednio już zaznaczonych tematów. Ale Hans Castorp już dłużej nie słuchał, gdyż Joachim przyznał się, że na pewno ma gorączkę z przeziębienia i nie wie, jak ma się teraz zachowywać, ponieważ zaziębienia nie są tu przecież „przyjęte”.

Szermierze przeszli nad tym do porządku, ale Hans Castorp zatroskanym okiem spoglądał na kuzyna i wreszcie podczas jednej z replik pożegnał się i odszedł z nim, pozostawiając już dalszemu biegowi wypadków, czy publiczność złożona z Fergego i Wehsala będzie jeszcze dostatecznym bodźcem pedagogicznym do kontynuowania sporu.

Po drodze uzgodnił z Joachimem, że w sprawie jego przeziębienia i dolegliwości gardlanych najlepiej iść drogą służbową, to znaczy polecić kąpielowemu, aby zawiadomił starszą siostrę, na skutek czego coś może dla chorego zrobić. Tak też postąpili. Jeszcze tego samego wieczoru po kolacji Adriatica zastukała do pokoju Joachima, gdy właśnie Hans Castorp był u niego, i skrzeczącym głosem zapytała, czego młody oficer chce i na co się skarży. — Ból gardła? chrypka? — powtarzała. — Młody człowieku, co pan wyrabia? — I podjęła próbę przenikliwego spojrzenia mu w oczy, która nie z winy Joachima się nie udała; jej to bowiem oczy umykały w bok. Że też tego zawsze próbowała, choć doświadczenie uczyło, iż nigdy tego zrobić nie umie. Za pomocą pewnego rodzaju metalowej łyżki do obuwia, którą wyciągnęła z kieszeni, zajrzała pacjentowi do gardła, podczas gdy Hans Castorp świecił lampką nocną. Stojąc na czubkach palców i oglądając jęczyczek w gardle Joachima, powiedziała:

— Niech mi pan powie, moje dziecko, czy pan się już kiedy zachłysnął?

Cóż można było na to odpowiedzieć! Na razie, dopóki mu oglądała gardło, nie miał w ogóle możności mówienia, ale i potem, gdy skończyła, trudno było coś rozsądnego odrzec. No, naturalnie, że się raz czy drugi w życiu zachłysnął przy jedzeniu i picciu; ale to się każdemu zdarza i nie o to zapewne chodziło w jej pytaniu. Odrzekł: — O co chodzi? Nie mogę sobie przypomnieć, kiedy się ostatni raz zachłysnąłem.

No, dobrze; tylko tak się pyta. A -zatem się zaziębił, powiedziała ku zdumieniu kuzynów, bo słowo zaziębienie było w zakładzie zakazane. W razie czego, do dokładniejszego zbadania gardła potrzebne jest laryngologiczne lustro rady. Odcho-

dząc zostawiła formamint oraz bandaż i ceratkę, do wilgotnych okładów na noc, i Joachim, skorzystawszy z jednego i drugiego, uważał, że doznaje po tych zabiegach wyraźnej ulgi; stosował je też dalej, zwłaszcza że chrypka nie chciała ustąpić, a nawet wzmogła się w najbliższych dniach, choć ból gardła chwilami znikał prawie zupełnie.

Zresztą jego gorączka z przeziębienia była czystym przywizieniem. Obiektywny stan rzeczy był ten sam co poprzednio, ten właśnie, który wraz z wynikami badań radcy zatrzymywał tu zacnego Joachima na małej kuracji dodatkowej, zanim powróci pod sztandar. Termin październikowy minął, przez nikogo nie wspomniany: nikt o nim nie powiedział słowa; ani radca, ani kuzyni w rozmowach z sobą; milcząc i ze spuszczonej oczami przeszli nad nim do porządku. Z tego, co Behrens przy badaniu miesięcznym podyktował swemu tak kompetentnemu w dziedzinie psychologii pomocnikowi i co pokazała klisza fotograficzna, było jasne, że jeśli mogła być mowa o odjeździe, to jedynie o dzikim, a tymczasem chodziło o to, by wytrwać karnie w tej służbie sanatoryjnej i uzyskać dzięki niej całkowitą odporność na warunki klimatyczne, niezbędną przy służbie w nizinach i spełnianiu przysięgi żołnierskiej.

Hasło to obowiązywało, i obaj się na nie milcząco godzili. Jednakże prawda wyglądała tak, że żaden z nich nie był pewien, czy drugi w to hasło wierzy, i wskutek tej wątpliwości jeden przed drugim spuszczał oczy, ilekroć oczy ich się spotykały. Zdarzało się to niejednokrotnie od owej rozmowy o literaturze, w czasie której Hans Castorp w głębi oczu Joachima zauważył jakiś nowy blask i szczególnie, „groźny” wyraz. W szczególności zdarzyło się to raz przy stole, gdy zachrypnięty Joachim niechcący zachłysnął się wyjątkowo mocno i nie mógł złapać oddechu. Wówczas to, podczas gdy Joachim krztusił się za swą serwetą, a pani Magnus, jego sąsiadka, starym zwyczajem uderzała go po karku, oczy ich spotkały się w sposób, który Hansa Castorpa przeraził bardziej niż sam wypadek, mogący oczywiście przytrafić się każdemu; Joachim

zamknął wtedy oczy i zasłonięty serwetą wstał od stołu i wyszedł z jadalni, aby się wykaszleć.

Uśmiechnięty, choć jeszcze nieco blady, wrócił po dziesięciu minutach, przepaszając za spowodowane zamieszanie, i spożywał dalej swój obfity posiłek; potem zaś nie pamiętano o trywialnym wydarzeniu i nikt nie zrobił o nim najmniejszej nawet uwagi. Ale gdy się ono parę dni później powtórzyło, tym razem nie przy obiedzie, lecz przy obfitym drugim śniadaniu, oczy kuzynów się nie spotkały, bo Hans Castorp schylny nad swym talerzem, na pozór nic nie zauważywszy, jadł dalej; musiano natomiast po wstaniu od stołu poświęcić jednak wydarzeniu temu parę słów i Joachim przeklinał tę przekłątą babę, tę Mylendonk, która swymi niepotrzebnymi pytaniami zaniepokoiła go, coś weń wmówiła, zauroczyła go, niech ją diabli wezmą. Tak, to najwyraźniej sugestia, powiedział Hans Castorp — zabawna rzecz, choć nieprzyjemna. A Joachim, odkąd sprawa została nazwana po imieniu, skutecznie bronił się przed czarodziejskimi sztuczkami, uważał przy jedzeniu i krztusił się ostatecznie nie częściej niż ludzie nie zaczarowani; ponownie zdarzyło się to dopiero po dziewięciu czy dziesięciu dniach, i tak, że nie było o czym mówić.

Jednakże został poza kolejką wezwany do Radamantysa. Zameldowała go starsza siostra i postąpiła raczej słusznie: bo skoro było w zakładzie lusterko laryngologiczne, to uporczywe zachrypnięcie Joachima, przechodzące na długie godziny w utratę głosu i ból gardła, którego doznawał, ilekroć nie stosował środków ślinopędnych, utrzymujących krtani w należytej elastyczności — wszystko to zdawało się dostatecznym powodem, aby wreszcie wyjąć z szafy to mądrze pomyślane narzędzie; a przy tym, jeśli Joachim krztusił się teraz tak rzadko jak normalni ludzie, to zawdzięczał to jedynie wielkiej ostrożności przy jedzeniu, na skutek której prawie zawsze był opóźniony przy posiłkach.

Radca tedy zbadał Joachima za pomocą lusterka, głęboko i długo zaglądał do jego krtani. Na specjalne życzenie Hansa Castorpa pacjent zaraz potem przyszedł do jego łodzie, by zdać

z badania sprawę. Na wpół szeptem — była to bowiem pora głównego werandowania i obowiązywało milczenie — opowiedział, że było to dokuczliwe i łechcące, że później Behrens głądził o jakimś stanie podrażnienia i powiedział, że potrzebne jest codzienne pędzlowanie; i zaraz jutro ma zacząć wypalać mu gardło, tylko musi przedtem przygotować lekarstwo. Więc stan podrażnienia i wypalanie gardła. Hans Castorp miał głowę pełną odległych skojarzeń z dalekimi ludźmi, jak z kulawym portierem, i z ową damą, której ostatecznie nic się nie stało, choć przez tydzień trzymała się za ucho; na usta cisnęły mu się różne pytania, ale nie wystąpił z nimi, zdecydował, że postawi je radcy w cztery oczy, a wobec Joachima wyraził jedynie zadowolenie, że jego dolegliwości są już obecnie pod kontrolą i że radca wziął sprawę w swe ręce. To jest byczy chłop i znajdzie już na to sposób. Joachim przytaknął mu nie patrząc nań, odwrócił się i przeszedł do swej łodzi.

Co się działo z zacnym Joachimem? W ostatnich dniach oczy jego stały się tak niepewne i zalęknione. Jeszcze niedawno próba siostry Mylendonk przewiercenia go wzrokiem rozbiła się o jego łagodne ciemne spojrzenie, ale gdyby raz jeszcze usiłowała ponowić próbę, to już naprawdę nie wiadomo, jaki tego byłby wynik. Unikał podobnych spotkań, ale gdy do nich dochodziło (bo Hans Castorp pilnie go obserwował), nie było to przyjemne. Hans Castorp, przygnębiony, został w swej łodzi; miał wielką ochotę niezwłocznie pójść zażądać wyjaśnień od szefa. Jednakże gdyby Ło zrobił, Joachim usłyszałby, że kuzyn wstaje i wychodzi, trzeba więc było przeczekać i przychwycić Behrensa w ciągu popołudnia.

To się jednak nie udało. Dziwna rzecz! Zupełnie się nie udało przychwycić radcy ani tego wieczoru, ani też przez dwa następne dni. Co prawda, do pewnego stopnia przeszkodę stanowił sam Joachim, bo trzeba było tak się zachowywać, by nic nie zauważył, jednakże nie tłumaczyło to jeszcze, dlaczego w żaden sposób niepodobna było doprowadzić do rozmowy i schwytać Radamantysa. Hans Castorp szukał go i pytał o niego po całym domu, skierowywano go to tu, to tam, twierdząc, że

go na pewno znajdzie, ale właśnie już go tam nie było. Przy jednym z posiłków Behrens był obecny, ale siedział daleko, przy gorszym stole rosyjskim, i znikł przed deserem. Parokrotnie zdawało się Hansowi Castorpowi, że go już trzyma za guzik, bo go widział na schodach czy na korytarzach, stojącego i rozmawiającego z Krokowskim, ze starszą siostrą, z jednym z pacjentów; Castorp czatował tedy na niego, ale gdy tylko odwrócił oczy, Behrensa już nie było.

Dopiero na czwarty dzień osiągnął swój cel. Z balkonu zobaczył, jak radca, cel jego pościgu, daje polecenie ogrodnikowi, wysłiznął się szybko spod swego koca i pospieszył na dół. Widać było okrągły kark Behrensa, który wiosłując rękami odchodził właśnie w kierunku swego mieszkania. Hans Castorp pobiegł klusem, odważył się nawet zawołać, ale bezskutecznie. Wreszcie, dobiegając bez tchu, zatrzymał swą ofiarę.

— Czego pan tu chce! — ofuknął go radca, patrząc nań swymi wilgotnymi oczyma. — Czy mam panu dać jeszcze jeden egzemplarz regulaminu? O ile mi wiadomo, jest teraz pora wewradowania. Pański wykres i pańskie zdjęcie nie dają panu żadnego szczególnego prawa do fanaberyj. Trzeba by tu gdzieś wystawić porządnego stracha na złodziei, co by tym, którzy między drugą a czwartą do ogrodu przychodzą na rozpustę, zagrażał wbiciem na pal. Czego pan właściwie chce?

— Panie radco, koniecznie muszę z panem chwilę pomówić!

— Widzę, że pan to sobie roi już od dość dawna. Lata pan za mną, jak gdybym był babą i przedmiotem nie wiem jakich pożądań. Czego pan chce ode mnie?

— To chodzi tylko o mego kuzyna, panie radco, niech pan wybaczy! Teraz chodzi na pędzlowanie... Jestem przekonany, że w ten sposób wszystko jest na dobrej drodze. Przecież to niewinna rzecz, ośmielię się zapytać?

— Dla pana, Castorp, wszystko jest niewinne, taki pan już jest. Pan nawet chętnie wdaje się w rzeczy nie niewinne, ale wtedy pan je traktuje, jak gdyby fbyły niewinne, i zdaje się panu, że staje się przez to miły Bogu i ludziom. Człowieku, pan

jest w swoim rodzaju tchórzem i obłudnikiem i jeśli pański kuzyn nazywa pana cywilem, to wyraża się bardzo eufemistycznie.

— Być może, panie radco. Naturalnie, wady mego charakteru nie ulegają wątpliwości. Ale chwilowo nie o nie chodzi, tylko o to, że od trzech dni chcę pana prosić, by...

— Bym pana poczęstował przyjemnie osłodzonym zafałszowanym winem. Naprzykrza się pan i nudzi mnie, bym go utwierdził w jego przeklętej obłudzie i żeby pan mógł sobie spać spokojnie, podczas gdy inni ludzie czuwają i nie przysmykają oczu na rzeczywistość.

— Ależ, panie radco, pan jest bardzo dla mnie surowy. Ja, przeciwnie, chciałem...

— Tak, surowość to nie dla pana. Pański kuzyn to chłop innego rodzaju, nie z tej samej gliny co pan. On rozumie, o co chodzi. Milcząc rozumie, pojmuje mnie pan? Nie wiesz się ludziom u poły surduta, żeby go otulali w błękitne mgły i utwierdzali w przekonaniu, że wszystko jest niewinne. On wiedział, co robi i co ryzykuje, jest męskim typem, umiejącym się zachować i milczeć: to jest sztuka dla mężczyzn, ale, niestety, nie dla takich dwunogich przyjemniaczków jak pan. Ale, Castorp, to panu powiadam, że jak pan będzie tu sceny robił, wrzaski podnosił i oddawał się swoim cywilnym uczuciom, to pana stąd wyrzucę. Bo chcemy tu być między mężczyznami, czy pan mnie rozumie?

Hans Castorp milczał. Teraz i jemu, gdy przybladł, plamy występowały na twarzy. Płeć miał nazbyt miedzianoczerwoną, aby mógł całkowicie zblednąć. Wreszcie rzekł drgającymi ustami:

— Bardzo dziękuję, panie radco. Teraz i ja rozumiem, bo przypuszczam, że nie mówiłby pan do mnie tak, jakby to powiedzieć, tak uroczyście, gdyby stan Joachima nie był ciężki. Wcale mi nie do scen i nie do krzyku — pod tym względem jest pan niesprawiedliwy. A jeśli chodzi o dyskrecję, to i ja umiem trzymać język za zębami, sądzę, iż mogę to przyrzec.

— Pan jest przywiązany do kuzyna? — zapytał radca, schwywszy nagle rękę młodego człowieka, i patrzył nań spod bia-

ławych rżęs swymi niebieskimi, ikrwią nabiegłymi, wilgotnymi oczami...

— Cóż można powiedzieć, panie radco. Taki bliski krewny i bliski przyjaciel, i towarzysz tu w górze — Hans Castorp zaszczołał krótko; oparł jedną nogę na palcach, odwracając przy tym piętę na zewnątrz.

Radca pospiesznie puścił jego rękę.

— No, to niech pan będzie dobry dla niego przez te sześć czy osiem tygodni — powiedział. — Niech się pan podda swemu wrodzonemu poczuciu, że wszystko jest niewinne, to dla pana będzie najprzyjemniejsze. Także i ja tu jestem i właśnie po to, by wszystko się odbyło możliwie najbardziej po rycersku i z komfortem.

— Larynx*, nieprawdaż? — powiedział Hans Castorp potakując radcy.

— Laryngea * — potwierdził Behrens. — Szybko postępujący rozkład. I z błoną śluzową tchawicy też już jest niedobrze. Być może, że przez komenderowanie na służbie wytworzył się locus minoris resistentiae *. Ale na takie dywersje musimy być zawsze przygotowani. Mało widoków, chłopcze; właściwie nie ma żadnych. Oczywiście trzeba próbować wszystkiego, użyć wszelkich środków.

— Matka... — powiedział Hans Castorp.

— Później, później. Jeszcze nie ma pośpiechu. Niech pan stara się ją taktownie i delikatnie stopniowo przygotować. A teraz szoruj pan na swoje stanowisko. Bo gotów zauważyć. A byłoby mu przecież nieprzyjemnie, gdyby wiedział, że się o nim mówi poza jego plecami.

Joachim codziennie chodził na pędzlowanie. Jesień była piękna i nieraz miewał na sobie białe spodnie do granatowej marynarki, gdy po zabiegu, spóźniony, przychodził do jadalni; wygląd miał zawsze schludny i wojskowy, witał się krótko, uprzejmie a zarazem po męsku, przeprasząc za spóźnienie, i zasiadał do posiłków, które mu teraz specjalnie przyrządzano, bo zwykłych potraw nie jadał z obawy przed zakrztuszeniem się; dostawał zupy, siekaniny, kaszki. Współbiednicy szybko się

zorientowali w sytuacji. Na powitanie odpowiadano mu ze szczególnie zaznaczoną uprzejmością i ciepłem, nazywając go „panem porucznikiem”. W jego nieobecności wypytywano oń Hansa Castorpa; również od innych stołów przychodzono i pytano. Pani Stóhr przychodziła z załamanyimi rękoma i na swój sposób niekulturalnie lamentowała. Hans Castorp odpowiadał tylko monosylabami — przyznawał, że położenie jest poważne, ale zarazem do pewnego stopnia temu zaprzeczał, robił to wiedziony honorem, w poczuciu, że nie należy przedwcześnie dawać za wygraną.

Chodzili razem na przechadzki, trzy razy dziennie odbywali służbowe spacerki, do których radca kazał się teraz Joachimowi ściśle ograniczać, aby unikać zbytecznego wyładowywania energii. Hans Castorp szedł po lewej swego kuzyna — dawniej chodzili tak samo albo inaczej, jak wypadło, ale teraz Hans Castorp szedł przeważnie po lewej. Mówili niewiele, to jedynie, co przeciętny dzień w „Berghofie” kładł im w usta, poza tym nic. Na temat tego, co leżało między nimi, nie ma nic do powiedzenia, nie mają zwłaszcza nic do powiedzenia ludzkie powściągliwych obyczajów, tacy, co tylko w ostateczności zwracają się do siebie po imieniu. W cywilnej piersi Hansa Castorpa coś się czasem wprawdzie podnosiło i falowało, jakby miało wybuchnąć. Ale to nie było możliwe. I to, co boleśnie i burzliwie nabrzmiało, niebawem opadało i milkło.

Joachim szedł obok niego ze spuszczoną głową. Patrzył w dół, jakby przyglądał się ziemi. Było to takie szczególne: oto szedł, schludny i przyzwoity, kłaniał się przechodzącym po rycersku, jak to zawsze robił, dbał nadal o swój wygląd i o bienseance — ale należał już do ziemi. Co prawda, prędzej czy później należeć będziemy do niej wszyscy. Ale tak rychło już do niej należeć, będąc tak młodym i tak rwąc się do służby żołnierskiej, to jest gorzkie; a dla kogoś, kto wie o wszystkim i idzie obok, jak Hans Castorp, jest bardziej jeszcze gorzkie i niepojęte niż dla samego skazańca, należącego już do ziemi; bo to, co ten wie, zwłaszcza jeśli zachowuje się o tym przyzwoite milczenie, to jest właściwie natury akademickiej, jest dlań pozbawione

realności i w gruncie rzeczy mniej jest jego sprawą niż sprawą innych. W rzeczywistości śmierć nasza więcej dotyczy pozostałych przy życiu niż nas samych; bez względu bowiem na to, czy przytaczamy je tu poprawnie, czy też nie, nie traci nic ze swego waloru powiedzenie dowcipnego mędrca, że póki my jesteśmy, to nie ma śmierci, a gdy jest śmierć, to nie ma nas, że przeto nie ma realnego związku między nami a śmiercią i że jest ona rzeczą, która nie obchodzi nas wcale, a tylko coś niecoś obchodzi świat i przyrodę: to sprawia, że wszystkie żywe istoty oczekują śmierci z wielkim spokojem, obojętnością, bez poczucia odpowiedzialności, z egoistyczną niewinnością. Dużo tej niewinności i nieodpowiedzialności Hans Castorp przez te tygodnie odnajdował w Joachimie i rozumiał, że wprawdzie wie on wszystko, ale że nietrudno mu jest zachowywać przyzwoite milczenie o tym, co wie, bo jego wewnętrzny do tego stosunek jest luźny i teoretyczny; a jeśli stosunek ten wchodził praktycznie w grę, to normowało go i określało zdrowe poczucie przyzwoitości, nie dopuszczające do roztrząsania całej sprawy; było tu podobnie jak z wielu innymi nieprzystojnymi czynnościami, które życie sobie uświadamia i które, choć do życia niezbędne, nie przeszkadzają jednak w zachowywaniu bienseance.

Tak szli nie mówiąc o nieprzystojnych życiu sprawach natury. Ucihły też początkowo tak pełne wzburzenia i gniewu skargi Joachima, że musiał opuścić manewry i że w ogóle zapóźnił się w służbie wojskowej na równinach. Ale czemu za to powracał wciąż w jego niewinnych i łagodnych oczach wyraz posępnego lęku i ta niepewność siebie, która starszej siostrze przyniosłaby już teraz zwycięstwo, gdyby ta raz jeszcze ponowiła swą próbę? Czy dlatego, że wiedział, iż ma nadmiernie powiększone oczy i zapadłe policzki? Bo po tych kilku tygodniach był jeszcze znacznie bardziej zmieniony niż wówczas, gdy przybył z nizin; jego ciemna pleć z dnia na dzień stawała się żółtawa i jakby skórzana. Spoglądał tak, jak gdyby otoczenie kazało mu wstydzić się i gardzić sobą samym, jak gdyby z panem Albinem myślał jedynie o tym, by korzystać z niczym nie ograniczonych stron dodatnich hańby. Przed kim i przed czym

cofało się i chowało jego dawniej tak otwarte spojrzenie? Jakże szczególną rzeczą jest to zawstydzenie stworzeń, które szukają kryjówek, aby w niej życie zakończyć, w przeświadczeniu, że od przyrody nie mogą oczekiwać szacunku i pietyzmu dla swego cierpienia i śmierci, przeświadczeniu słusznym, bo radośnie fruujące stado ptactwa nie tylko nie szanuje chorego towarzysza, ale gniewnie i pogardliwie tłucze go dziobami. Taka jest pospolita natura, natomiast w piersi Hansa Castorpa nabrzmiewała jak najbardziej ludzka, z miłości zrodzona litość, ilekroć w oczach Joachima widział ów mroczny instynktowny wstyd. Szedł po lewej Joachima, robił to umyślnie; a że teraz i nogi Joachima stały się nieco niepewne, więc go podpierał, gdy trzeba było wspinać się na lekko wznoszącą się łąkę; przeciężając powściągliwość swych obyczajów, obejmował go wtedy ramieniem i nawet zapominał przez chwilę zdjąć rękę z ramion Joachima, dopóki ten jej sam na wpół gniewnie nie usunął i nie powiedział:

— Słuchaj ty, cóż to ma być. Wyglądamy jak pijani, idąc w ten sposób.

Potem przyszedł moment, gdy zasepienie wzroku u Joachima młody Hans Castorp ujrzał w innym jeszcze świetle; stało się to wówczas, gdy nakazano Joachimowi położyć się do łóżka; było to w początku listopada — śnieg leżał wtedy wysoki. W tym czasie stało się już dla Joachima rzeczą nazbyt trudną spożywać choćby tylko siekaniny i kaszki, bo co drugi łyk przedostawał mu się do tchawicy. Wskazane było przejście na wyłącznie płynne pożywienie i jednocześnie Behrens nakazał stałe leżenie dla oszczędzania sił. Właśnie w przeddzień jego położenia się do łóżka, ostatniego wieczoru, gdy jeszcze był na nogach, Hans Castorp go zastał — zastał przy rozmowie z Marusią, tą ciągle bez powodu śmiejącą się Marusią z pomarańczową chusteczką i na zewnątrz tak dobrze ukształtowaną pierśią. Było to po kolacji, podczas wieczornego zebrania, w hallu. Hans Castorp był przedtem w salonie muzycznym i wyszedł zeń, aby zobaczyć, co się dzieje z Joachimem: wtedy to zastał go przed kaflowym kominkiem obok krzesła Marusi; było to

krzesło bujające i Joachim lewą ręką przytrzymał jego oparcie przechylone wstecz, tak że Marusia z pozycji leżącej swymi ciemnymi okrągłymi oczami patrzyła do góry w jego twarz, którą on, mówiąc głosem cichym i przerywanym, nachylał nad jej twarzą; ona od czasu do czasu uśmiechała się i z podnieceniem a lekceważąco wzruszała ramionami.

Hans Castorp cofnął się pospiesznie, jednakże zdążył zauważyć, że inni goście, jak to zwykle bywało, rozbawieni, przyglądali się tej scenie. Joachim tego nie widział czy też nie zwracał na to uwagi. Widok ten — widok Joachima rozmawiającego i całkowicie zapatrzonego w Marusię o wysokich piersiach, z którą tak długo siedział przy jednym stole, nigdy słowa z nią nie zamieniwszy, przed której osobą i istnieniem on, rozsądny i prawy, spuszczał oczy z surowym wyrazem, choć dostawał plam na twarzy, gdy o niej była mowa — widok ten wstrząsnął Hansem Castorpem więcej niż wszystkie oznaki upadku sił, jakie w ostatnich miesiącach zauważył u swego biednego kuzyna. „Tak, jest zgubiony!” — pomyślał i cicho usiadł w salonie muzycznym, aby Joachimowi pozostawić czas na to, na co jeszcze tam w hallu pozwalał sobie ostatniego wieczoru.

Od tej chwili Joachim znalazł się już na stałe w pozycji poziomej; a Hans Castorp leżąc na swym znakomitym leżaku napisał o tym do Luizy Ziemssen; napisał, iż do poprzednich, okolicznościowych wiadomości dodaje, że Joachim musiał położyć się do łóżka i że wprawdzie nic o tym nie mówił, jednak można mu wyczytać z oczu, iż pragnąłby mieć matkę przy sobie, a radca Behrens stanowczo popiera to nie wypowiedziane życzenie. I to także zaznaczył dyskretnie i wyraźnie. Nie było więc nic dziwnego, że pani Ziemssen skorzystała z najszybszych połączeń, aby przyjechać do syna; zjawiła się już w trzy dni po wysłaniu tego humanitarnie, ale alarmująco napisanego listu, a Hans Castorp przywiózł ją ze stacji „Davos-Wieś” saniami w śnieżną zadymkę; przedtem, na dworcu, zanim kolejka podjechała, przybrał odpowiedni wyraz twarzy, aby matki nazbyt od razu nie przerażać, ale też aby od pierwszego wejrzenia nie powzięła bezpodstawnej otuchy.

Ileż razy musiały się tu już odbywać podobne powitania, ileż razy spieszono tu ku sobie, a wysiadający z pociągu patrzył badawczo i trwożnie w oczy tego, kto go witał! Pani Ziemssen robiła takie wrażenie, jak gdyby tu z Hamburga przybiegła na piechotę. Z rozpaloną twarzą, przyciągnęła rękę Hansa Castorpa do piersi, i, lekliwie się rozglądając, w pośpiechu i jakby w tajemnicy zadawała mu pytania, których on usiłował uniknąć, dziękując jej, że tak szybko przybyła. To doskonale — mówił — jakże się Joachim z tego ucieszy. Niestety, na razie leży, a to ze względu na płynne pokarmy, które oczywiście nie są bez wpływu na stan jego sił. Ale w razie potrzeby — są na to jeszcze różne sposoby, na przykład sztuczne odżywianie. Zresztą, sama zobaczy.

Zobaczyła; i u jej boku zobaczył Hans Castorp. Do tej chwili zmian, jakie się dokonywały w ostatnich tygodniach w Joachimie, nie zauważył tak wyraźnie — młodzi ludzie nie mają oka dla takich rzeczy. Ale teraz, obok przybywającej z zewnątrz matki, patrzył na niego jakby jej oczami, jak gdyby go dawno nie widział; jasno też i wyraźnie rozumiał, co niewątpliwie rozumiała także i ona, a co na pewno z trojga najlepiej wiedział sam Joachim, mianowicie, że jest on o krok od śmierci. Trzymał rękę pani Ziemssen w swojej ręce, równie wyżółkłej i wynędzniałej jak twarz; w twarzy zaś, na skutek wychudnięcia, uszy, ta drobna troska jego dobrych lat, odstawały silniej niż dawniej i w sposób nieprzyjemnie szpecący; ale pomijając ten defekt — piętno cierpienia i wyraz powagi i surowości, a nawet dumy uczyniły tę twarz bardziej męską i upiększyły ją, choć wargi pod czarnym wąsikiem wydawały się teraz zbyt pełne w przeciwstawieniu do cienistych i zapadłych policzków. W żółtawej skórze czoła wyżłobiły się dwie zmarszczki między oczami, które choć głęboko zapadły w oczodoły, były większe i piękniejsze niż kiedykolwiek i na które Hans Castorp mógł patrzeć z przyjemnością. Bo odkąd Joachim leżał, znikła z nich posępność i niepokój i w ich spokojnej, ciemnej głębi widać było tylko owo wcześniej zauważone światło, a wraz z nim co prawda także i ową „grozę”. Bez uśmiechu trzymał rękę matki

i witał ją szeptem. Nawet kiedy weszła, nie uśmiechnął się ani na chwilę, i ta nieruchomość, niezmiennosc jego wyrazu twarzy mówiła wszystko.

Luiza Ziemssen była mężną kobietą. Nie załamała się i nie wybuchła żalem na widok swego dzielnego syna. Opanowana i skupiona — tak samo jak jej włosy ujęte ledwie widzialną siatką — flegmatyczna i energiczna, jak większość ludzi z jej stron, wzięła w swe ręce opiekę nad Joachimem, którego widok jeszcze spotęgował jej macierzyńską gotowość do walki; wzięła ją z wiarą, że jeśli jest tu coś jeszcze do uratowania, to tylko ona swą siłą i czujnością to uratuje. Na pewno nie dla swej wygody, lecz przez zrozumienie tego, co wypada, zgodziła się po paru dniach, aby do ciężko chorego wezwana została jeszcze pielęgniarka. U łóża Joachima zjawiła się siostra Berta, w rzeczywistości Alfreda Schildknecht, ze swą czarną walizką; ale zazdrosna energia pani Ziemssen czy w dzień, czy w nocy mało jej pozostawiała do roboty i siostra Berta, ze sznurkiem od binokli za uchem, miała wiele czasu do wystawiania na korytarzu i ciekawego podsłuchiwania.

Ta protestancka siostra miłosierdzia była osobą trzeźwą. Zdolna była powiedzieć, znajdując się w pokoju sama z Hansem Castorpem i z chorym, który bynajmniej nie spał, lecz z otwartymi oczami leżał na wznak:

— Czym mogła myśleć, że kiedyś jeszcze będę przy śmierci jednego z panów?

Hans Castorp, przerażony, pokazał jej z wściekłą miną pięść, ale ledwo pojęła, o co mu chodzi, daleka od myśli, aby należało Joachima oszczędzać, i zbyt rzeczowo myśląca, aby brać pod uwagę, że ktokolwiek, a już szczególnie sam najbliższy zainteresowany, może mieć złudzenia co do charakteru i nieuniknionego zakończenia tej choroby. Albo nalewając trochę wody kolońskiej na chusteczkę i trzymając ją pod nosem Joachima, mówiła: — Niech pan sobie jeszcze trochę dogodzi, panie poruczniku! — I rzeczywiście w tym okresie niewiele miałyby sensu zamydlać pocziwemu Joachimowi oczy, chyba po to, aby oddziałać nań wzmacniająco, jak to usiłowała pani Ziemssen,

gdy silnym, podnieconym głosem mówiła mu o jego wyzdrowieniu. Gdyż dwie rzeczy były jasne i nie można im było zaprzeczyć: najpierw, że Joachim jest przygotowany na śmierć, a po wtóre, że znajduje się w stanie harmonii i zadowolenia. Dopiero w ostatnim tygodniu, w końcu listopada, gdy wystąpiło osłabienie serca, pełen nadziei i nieświadomy swego stanu, zapominał się całymi godzinami i mówił wtedy o rychłym powrocie do pułku i udziale w wielkich manewrach, sądząc, że jeszcze trwają. W tym samym właśnie czasie radca Behrens przestał już krewnym robić nadzieję i oświadczył, że koniec jest jedynie kwestią godzin.

To okłamywanie samego siebie, pochodzące z zapomnienia i łatwowierności, a występujące nawet w męskich umysłach, właśnie wtedy, gdy proces zniszczenia zbliża się do śmierci, jest zjawiskiem melancholijnym, ale zgodnym z prawami natury i równie bezosobistym i ponadindywidualnym jak nieprzeparta potrzeba snu u zamarzających, a krążenie wkoło u zabląkanych. Hans Castorp, któremu troska i żal serdeczny nie przeszkadzały z rzeczowością obserwować tego fenomenu, nawiązał doń w rozmowie z Naphtą i Settembrinim, w której zdawał im sprawę ze stanu kuzyna; ściągnął przy tym na siebie naganę Włocha za swe niezręczne, choć bystre wywody. Twierdził mianowicie, że zwykły pogląd, jakoby filozofia ufności i wiara w dobro były wyrazem zdrowia, a pesymizm i potępienie świata były objawem choroby, że pogląd ten jest wierutnym błędem; inaczej bowiem właśnie końcowy beznadziejny stan nie mógłby wytwarzać tego chorobliwie różowego optymizmu, w porównaniu z którym przygnębienie wcześniejszego okresu choroby wydaje się objawem zdrowia i krzepkości. Na szczęście może im, jako współczującym z Joachimem, jednocześnie powiedzieć, że przy całej tej beznadziejności Radamantys wyraził nadzieję, iż koniec będzie łagodny i mimo młodości chorego przejdzie bez cierpień.

— Sielankowa afera sercowa, moja łaskawa pani! — oświadczył Behrens trzymając rękę Luizy Ziemssen w swych obu wielkich jalj łopaty dłoniach i patrząc na nią swymi wilgotny-

mi, zażawionymi, krwią nabiegłymi, niebieskimi oczami. — Cieszę się, bardzo się cieszę, że to nabiera sercowego przebiegu i że nie trzeba będzie czekać na obrzęk krtani i inne takie nieszczemności; w ten sposób uniknie się różnych szykan. Serce szybko słabnie, dobrze to dla niego i dobrze dla nas; co obowiązek każe i co do nas należy, to możemy jeszcze zrobić szpryczką kamfory, bez szczególnych zresztą widoków, aby wiele przez to osiągnąć. Będzie w końcu dużo spać i przyjemnie śnić, sądzę, że mogę to obiecać, a gdyby na sam koniec spać nie mógł, to w każdym razie przeniesie się niepostrzeżenie do wieczności i wszystko będzie mu wtedy dość obojętne, może mi pani zaufać. W gruncie rzeczy tak jest zresztą zawsze. Znam się na śmierci, jestem od dawna jej urzędnikiem, przecenia się ją, niech mi pani wierzy! Mogę pani powiedzieć, że to nie jest nic takiego. A tej męki, która czasami poprzedza śmierć, nie można kłaść na jej rachunek, jest ona jeszcze objawem żywotności i może prowadzić do życia i wyzdrowienia. Ale o śmierci, gdyby ktoś wrócił z tamtego świata, to niewiele mógłby o niej powiedzieć, bo niczego się w niej nie doznaje. Wychodzimy z ciemności i idziemy w ciemność, pomiędzy tym są przeżycia, ale początku i końca, narodzin i śmierci nie przeżywamy, nie mają charakteru subiektywnego, jako wydarzenia należą całkowicie do obiektywnego świata, tak to już jest.

W taki to sposób radca udzielał pociechy. Wierzmy, że rozsądnej pani Ziemssen poniekąd przyniósł ulgę, a jego zapewnienia sprawdziły się w znacznym stopniu. W ostatnich dniach Dsłabiony Joachim spał godzinami, a przypuszczamy, że śnił D tym, co mu było miłe, a więc o nizinach i o wojsku. A gdy się judził, gdy go pytano, jak się czuje, odpowiadał, co prawda niewyraźnie, że czuje się dobrze, że jest szczęśliwy — choć już jrawie nie miał tętna, a w końcu nie czuł w ogóle ukłucia przy :astrzyku; ciało jego utraciło wrażliwość, można byłoby je >alić czy szarpać, już to pocziwemu Joachimowi było obojętne.

Jednakże od przyjazdu matki dokonały się w nim jeszcze duże irzemiany. Ponieważ golenie stało się dlań uciążliwe i zaniehał go od tygodnia czy dziesięciu dni, a zarost miał bardzo

silny, więc czarna broda otoczyła jego woskową twarz o łagodnych oczach; była to broda jakby wojenna, taka, jaką zapuszczają żołnierze na froncie; było mu z nią zresztą, jak wszyscy twierdzili, do twarzy, dodawała mu męskości. Przez tę brodę, ale zapewne nie tylko przez nią, Joachim z młodzieńca stał się nagle dojrzałym mężczyzną. Żył szybko, jak rozkręcająca się sprężyna zegara, w galopie przebywał okresy ludzkiego życia, których czas nie dał mu doczekać, a w ostatnich dwudziestu czterech godzinach stał się starcem. Osłabienie serca pociągnęło za sobą obrzmienie twarzy, na której pojawił się wyraz wysiłku; więc też Hans Castorp odniósł wrażenie, że umieranie jest jednak wielkim mozołem, aczkolwiek wydawało się, że dzięki częściowej utracie władz i o tępieniu Joachim już zeń nie zdawał sobie sprawy. Nabrzmienie wystąpiło najsilniej koło ust, a współdziałało z nim też wyschnięcie czy osłabienie jamy ustnej, tak że Joachim mówiąc mamrotał jak człowiek bardzo stary, i ta trudność budziła w nim prawdziwy gniew: bełkocząc mówił, że byle się jej pozbył, to wszystko będzie dobrze, ale ta dolegliwość jest przeklęta.

Co miał na myśli mówiąc, że „wszystko będzie dobrze”, zupełnie było jasne; — w stanie, w jakim się znajdował, występowała jaskrawo skłonność do dwuznaczności, niejednokrotnie mówił rzeczy o podwójnym znaczeniu, robiło wrażenie, że coś wie i zarazem, że nie wie, a raz — wstrząśnięty widocznie poczuciem zagłady — potrząsając głową i tracąc panowanie nad sobą, oświadczył, że tak źle jeszcze nigdy z nim nie było.

Potem usposobienie jego stało się kłótlive, ostre i nieuprzejme, nawet niegrzeczne; nie pozwalał już na żadne fikcje i upiększenia, nie reagował na nie, obco patrzył przed siebie. Zwłaszcza odkąd młody pastor, wezwany przez Luizę Ziemssen, który ku żalowi Hansa Castorpa nie miał nakrochmalonej kryzy, lecz tylko befkę, odbył z nim modlitwy, postawa Joachima stała się urzędowa i służbowa i życzenia wypowiadał już tylko w formie krótkich rozkazów.

O szóstej po południu rozpoczął szczególną czynność: prawą ręką, na której przegubie nosił złoty łańcuszek, parokrotnie

sięgnął nad kołdrą w okolicę bioder, cośkolwiek rękę uniósł, a potem cofnął ją znów ku sobie takim ruchem, jak gdyby coś na kołdrze skrobał czy grabił, jakby coś ściągał czy zbierał.

O siódmej umarł. Alfreda Schildknecht znajdowała się na korytarzu, a tylko matka i kuzyn byli obecni. Zsunąwszy się z poduszek, rozkazał krótko, aby go podniesiono wyżej. Podczas gdy pani Ziemssen, wykonując zlecenie, objęła go ramieniem, oświadczył z pewnym pośpiechem, że musi niezwłocznie ułożyć i wnieść podanie o przedłużenie urlopu, i podczas gdy to mówił, nastąpił szybki zgon, który w świetle lampki z czerwonym abażurem Hans Castorp śledził z nabożeństwem. Wzrok mu się załamał, ustąpiło nieświadome napięcie rysów, znikło od razu nabrzmienie ust i towarzyszący mu wyraz wysiłku, zamarłe oblicze naszego Joachima nabrało piękna wczesnej męskiej młodości — i tak się to dokonało.

Ponieważ Luiza Ziemssen szlochając odwróciła się, Hans Castorp końcem czwartego palca zamknął powieki leżącemu już bez ruchu i oddechu i ostrożnie dłonie jego ułożył na kołdrze. Potem on także stał i płakał, po policzkach jego płynęły łzy, które tak piekły owego oficera angielskiej marynarki, ta przejrzysta ciecz, tak obficie i gorzko płynąca wszędzie i o każdej godzinie w świecie, że wedle niej nazwano padół ziemski, ta alkaliczno-słona wydzielina gruczołów, którą wstrząs nerwowy przy dojmującym bólu fizycznym czy duchowym wyciska z naszego ciała. Wiedział, że jest w niej nieco mucyny i białka.

Przyszedł radca, powiadomiony przez siostrę Bertę. Jeszcze pół godziny temu był tu i robił zastrzyk kamfory; nie trafił tylko na chwilę szybkiego zgonu. — No, on ma to już za sobą — rzekł po prostu, podnosząc się i odejmując słuchawkę od zastygłej piersi Joachima. I z pochyloną głową uściśnął ręce obojga krewnych. Potem stał jeszcze chwilę z nimi przy łóżku, patrząc na nieruchome, wojenną brodą zarośnięte, oblicze Joachima. — Szalony, szalony chłopak — rzekł przez ramię, wskazując głową na spoczywającego. — Chciał to przezwyciężyć, pani wie — aby być na służbie, zadawał sobie przymus i gwałt; robił to gorączkowo — **uda** się **lub** nie uda. Pole chwa-

ły, pani rozumie — uciekł nam na pole chwały, ten dezterter. Dla chwały... Ale chwała była dlań śmiercią, a śmierć — możecie państwo to odwrócić, jeśli chcecie — w każdym razie teraz powołał go Bóg do swojej chwały. Szalony smarkacz, szalony chłopak. — I odszedł, długi, zgarbiony, z wydatnym karkiem.

Przewiezienie Joachima do ojczyzny było rzeczą postanowioną, a „Berghof” zajął się wszystkim, co do tego było potrzebne i co wydawało się odpowiednie i przyzwoite. Matka i kuzyn nie potrzebowali ruszyć palcem. Następnego dnia, leżąc w jedwabnej koszuli, z kwiatami na kołdrze, w mdłej jasności śniegu, Joachim był jeszcze piękniejszy niż bezpośrednio po zgonie. Z twarzy jego znikł wszelki ślad wysiłku: zastygła w najczystszy, milczący kształt. Krótki kosmyk ciemnych włosów opadł na nieruchome żółtawe czoło, które zdawało się zrobione ze szlachetnego, ale nietrwałego materiału, jakby pośredniego między woskiem a marmurem; a wśród falującej brody rysowały się usta pełne i dumne. Starożytny hełm byłby godną osłoną tej głowy, jak sądzili niektórzy z tych, co przyszli pożegnać się ze zmarłym.

Pani Stóhr płakała w uniesieniu, patrząc na dawnego Joachima. — Bohater, bohater — wykrzykiwała wielokrotnie i domagała się, aby nad jego grobem wykonana została „Erotica” Beethovena*.

— Niechże pani milczy — syknął na nią z boku Settembrini. Był przy umarłym jednocześnie z nią; był do głębi wzruszony. Obu rękami wskazywał obecnym Joachima, pobudzając ich, aby wyrażali swój żal. Un giovanotto tanto simpatico, tanto stimabile! * — powtarzał raz po raz.

Naphta, stojąc w skupionej postawie i nie patrząc nań, nie powstrzymał się od powiedzenia mu cicho a zgryźliwie:

— Cieszę się widząc, że ma pan zrozumienie nie tylko dla wolności i postępu, ale także i dla poważnych rzeczy.

Settembrini nie zareagował na obelgę. Może odczuł pewną, przejściowymi okolicznościami uwarunkowaną przewagę Naphty nad sobą; może tę właśnie chwilową przewagę przeciwnika chciał zrównoważyć żywością swego żalu, a teraz ta sama prze-

waga skłoniła go do milczenia — tak samo jak i później, gdy Leon Naphta, wyzyskując nietrwałe korzyści swej pozycji, ostro i sentencjonalnie oświadczył:

— Błąd literatów polega na przekonaniu, że jedynie dzięki duchowi rzeczy są jak należy. Prawdą jest raczej przeciwieństwo. Jedynie gdzie nie ma ducha, tam jest jak należy.

„No — rozmyślał Hans Castorp — oto pityjska sentencja! Jeśli przy jej wypowiedzaniu zacisnąć zęby, to można na chwilę ludzi sterroryzować...”

Po południu przyniesiono metalową trumnę. Ułożenie Joachima w tym okazałym pomieszczeniu z ozdobnymi uchwytyami i lwimi głowami — chciał całkowicie wziąć na siebie człowiek, który z trumną przyszedł, spokrewniony z zakładem pogrzebowym, czarno ubrany w rodzaj krótkiego tużurka, z obrączką na plebejskiej dłoni, jakby wrośniętą w ciało palca; wydawało się, że z jego tużurka wydziela się zapach trupi, ale było to uprzedzenie. W typowy dla fachowców sposób wyobrażał sobie, że cała jego robota powinna się odbyć niejako za kulisami, a tylko jej wyniki służące pietyzmowi i pompie powinny być ukazane oczom pozostałych; budziło to nieufność Hansa Castorpa i zupełnie nie było po jego myśli. Przemawiał wprawdzie za tym, by pani Ziemssen się oddaliła, sam natomiast nie uległ komplementom i nie dał się wyprosić, pozostał i przyłożył rękę do przenoszenia ciała: ujął je pod ramiona i pomógł przenieść z łóżka do trumny, w której na płótnie i poduszkach z frędzlami Joachim został ułożony między świecznikami dostarczonymi przez „Berghof”.

Jednakże następnego dnia wystąpiło zjawisko, na skutek którego Hans Castorp oderwał się wewnętrznie od formy, rozstał z nią i istotnie ustąpił pola profesjonście, okropnemu strażnikowi pietyzmu. Mianowicie na porosłej wojenną brodą twarzy Joachima, która miała dotąd wyraz tak dostojny i poważny, teraz oto pojawił się uśmiech; Hans Castorp nie ukrywał przed sobą, że uśmiech ten miał w sobie coś zwyrodniałego, i odczuł w sercu pragnienie, aby pospiesznie z tym skończyć. Dzięki Jogu, że ma nastąpić wyniesienie zmarłego, że trumna zostanie

zamknięta i zaśrubowana. Porzuciwszy wrodzoną powściągliwość obyczajów, delikatnie dotknął ustami na pożegnanie zimnego jak kamień czoła swego dawnego Joachima i mimo całą nieufność do człowieka, reprezentującego odwrotną stronę sprawy, wyszedł posłusznie razem z Luizą Ziemssen.

Opuszczamy zasłonę po raz przedostatni. Ale podczas gdy głośnie zapada, my wraz z Hansem Castorpem, pozostałym w górach, wyteżmy wzrok i nasłuchujmy, jak daleko na nizinach, w wilgotnym ogrodzie pełnym krzyżów, zabłysła i opuściła się szpada, jak zadrgały słowa komendy, rozległy się trzy salwy karabinów, trzykrotnie oddane romantyczne honory żołnierskie, nad przerośniętym korzeniami żołnierskim grobem Joachima Ziemssena.

PRZECHADZKA PO WYBRZEŻU

Czy można opowiedzieć czas, czysty czas jako taki, czas sam przez się i w sobie? Zaiste nie, byłoby to usiłowanie niedorzeczne. Opowiadanie brzmiące: „Czas upływał, przebiegał, toczył się” i tak dalej — nie, tego przecie nikt przy zdrowych zmysłach nie mógłby nazwać opowiadaniem. Byłoby to to samo, co chcieć szaleńczo przez godzinę utrzymać na klawiszach jeden ton lub akord i — nazywać tę czynność muzyką. Opowiadanie bowiem podobne jest w tym do muzyki, że czas wypełnia, że go „całkowicie zapełnia”, że go „dzieli” i sprawia, iż dzięki niemu czas „ma jakąś treść” i „coś się w nim dzieje” — aby z pełną smutku czcią, jaką mamy dla powiedzeń zmarłych, zacytować słowa powiedziane niegdyś przez śp. Joachima. Słowa dawno przebrzmiały — może czytelnik nie zdaje sobie nawet sprawy z tego, jak dawno przebrzmiały. Czas jest tak samo składnikiem opowieści, jak składnikiem życia — jest równie nierozzerwalnie z nią związany, jak z ciałami w przestrzeni. Czas jest również składnikiem muzyki, który mierzy i rozczłonkuje, który czyni z niej rozrywkę a zarazem nadaje jej wartość. Tym różni się muzyka od dzieł sztuk plastycznych, które od razu ujawniają się w całości, a tylko materialnie związane są z czasem; natomiast, jak się rzekło, w tym podobna jest do opowieści, bo ta również jest tylko następstwem i nie może istnieć inaczej niż w ciągłym przebiegu, a gdyby nawet chciała w każdej chwili istnieć w całości, to i tak do tego potrzebowałyby czasu.

To jest jasne, ale niemniej jest jasne, że zachodzą tu także

różnice. Muzyka ma tylko jeden składnik czasowy: wycinek ludzkiego, ziemskiego czasu, w który się wlewa muzyka, aby go w niewypowiedziany sposób uszlachetnić i podnieść na wyżyny. Opowieść ma natomiast czas dwojaki: po pierwsze, czas własny, tak realny jak czas muzyki, który warunkuje jej przebieg i formę; po wtóre zaś, czas tego, co stanowi treść opowieści; ten drugi czas, czas wyobrażony, podlega zmianom perspektywicznym, i to tak różnorodnym, że może się zarówno pokrywać z muzycznym czasem opowieści, jak też odbiegać odeń o całe niebo. Utwór muzyczny pod tytułem „Walc pięciminutowy” trwa pięć minut — na tym, i tylko na tym polega jego stosunek do czasu. Opowieść, której treść trwa pięć minut, trwać może faktycznie tysiąc razy dłużej, jeśli z niezwykłą skrupulatnością zapełni te pięć minut — a przy tym czas może przy jej czytaniu mknąć szybko, choć w porównaniu z czasem wyobrażonym włókłby się w nieskończoność. A z drugiej strony jest również możliwe, że czas treściowy opowieści drogą skrótów nieskończenie przekroczy jej czas formalny. Mówimy „drogą skrótów”, aby wskazać na złudzeniowy czy, dobitniej się wyrażając, chorobliwy składnik przeżycia, który w tym wypadku oczywiście występuje. Występuje mianowicie wtedy, gdy opowieść operuje tajemnym czarem i czasową nadperspektywą, przypominającą pewne anormalne stany i zjawiska z dziedziny rzeczywistego doświadczenia, które wskazują wyraźnie na czynniki ponadmysłowe. Istnieją notatki palaczy opium, świadczące o tym, że człowiek w narkotycznym oszołomieniu przeżywał w ciągu krótkiej chwili oderwania od świata sny, których zasięg czasowy wynosił lat dziesięć, trzydzieści, sześćdziesiąt, a nawet przekraczał granicę dostępną ludzkiemu doświadczeniu. Były to więc sny, których treść wyobrażona trwała nieporównanie dłużej niż one same; sny, w których zachodzi nieprawdopodobny skrót czasowych przeżyć, a wyobrażenia napływają z taką szybkością, jak gdyby (użyjmy słów palacza haszyszu) z mózgu człowieka oszołomionego narkotykiem „wyjęto coś jakby sprężynę zepsutego zegarka”.

Opowieść może podobnie postępować z czasem, podobnie go

traktować jak owe sny ludzi oddanych nałogom. Skoro zaś może go „traktować” to jasne, że czas, stanowiący składnik opowiadania, stać się może również jego przedmiotem; jeśli więc nie można „opowiedzieć czasu”, to przecież „opowiadanie o czasie” nie jest zamierzeniem tak absurdalnym, jak się to nam z początku mogło zdawać. Wynika stąd swoista, rozmarzająca dwuznaczność, zawarta w pojęciu „powieść o czasie”. Pytanie: czy można opowiedzieć czas, postawiliśmy naprawdę po to tylko, by wyznać, że w niniejszym opowiadaniu takie rzeczywiście mamy zamierzenie. A co do dalszego zagadnienia, mianowicie, czy wszyscy słuchający naszej opowieści zdają sobie jeszcze całkiem jasno sprawę z tego, ile to czasu minęło od chwili, jak nieżyjący obecnie, zacny Joachim wplótł w rozmowę owe uwagi o muzyce i czasie (świadczące zresztą o jakimś alchemistycznym spotęgowaniu jego istoty, gdyż właściwie nie odpowiadały jego prostolinijnej naturze), to nie rozgniewałaby nas zbyt odpowiedź, że czytelnik w chwili obecnej nie zdaje sobie już dokładnie z tego sprawy, nie rozgniewałaby, a nawet może napęłniła zadowoleniem z tej prostej przyczyny, że chodzi nam naturalnie o to, aby wzbudzić powszechne zainteresowanie przeczyciami naszego bohatera, a bohater ten, Hans Castorp, nie miał co do tego zupełnej pewności, i to już od dawna. Należy to do powieści o nim, „powieści o czasie” — w tym, to znów w innym znaczeniu tego wyrazu.

Ile czasu właściwie Joachim przebywał z nim tu w górze do swego dzikiego odjazdu, a ile razem wzięwszy; kiedy według kalendarza nastąpił pierwszy ten jego buntowniczy odjazd? Ile czasu był nieobecny, kiedy wrócił i jak dawno on sam, Hans Castorp, już tu przebywał do chwili, kiedy Joachim wrócił, a potem znalazł się poza czasem? A pomijając Joachima, jak długo pani Chauchat była nieobecna, od kiedy, od którego roku była z powrotem (bo była już z powrotem), ile ziemskiego czasu Hans Castorp spędził był w „Berghofie”, zanim wróciła? Nikt, na szczęście, nie stawiał mu tych pytań i on sam wzdrygał się przed ich stawianiem; gdyby wszakże ktoś się na to zdobył, Hans Castorp stuknąłby się palcami w czoło i nie wie-

działby na pewno, co na to odpowiedzieć: byłoby to zjawiskiem równie niepokojącym, jak to, że w pierwszym dniu pobytu tutaj nie mógł chwilowo podać Settembriniemu swego wieku; byłoby nawet pogorszeniem owego stanu, teraz bowiem już stale i zupełnie na serio nie wiedział, ile ma lat. Wszystko to brzmi nieco dziwacznie, jednakże nie ma w tym nic niezwykłego i nieprawdopodobnego i w pewnych okolicznościach może się to przydarzyć każdemu z nas; gdy okoliczności te zajdą, nic nas nie uchroni przed zapadnięciem w najgłębszą niewiedzę co do upływu czasu, a więc i co do własnego naszego wieku. Zjawisko to jest możliwe, bo organizm nasz nie posiada zmysłu czasu, a przeto jesteśmy niezdolni sami z siebie, nie mając zewnętrznego oparcia, określić, choćby w przybliżeniu, przebiegu czasu. Górnicy, zasypani w kopalni, nie mogący obserwować zmian dnia i nocy, po szczęśliwym odratowaniu oceniali czas spędzony w ciemnościach, pomiędzy nadzieją a rozpaczą, na trzy dni. W rzeczywistości byli zasypani przez dni dziesięć. Można by przypuszczać, że w ich strasznym położeniu czas powinien im być się niesłychanie dłużyć; tymczasem właśnie się skurczył do mniej niż jednej trzeciej swego przedmiotowego trwania. Wynikałoby stąd, że w warunkach nie pozwalających na wyraźne określenie czasu bezradność ludzka skłonna jest go przeżywać raczej w wielkim skrócie niżli trwanie jego przeceniać.

Nikt oczywiście nie przeczy, że Castorp przy dobrych chęciach mógł być bez szczególnego trudu wyzbyć się niepewności i obliczyć czas — podobnie jak mogłoby to z łatwością uczynić czytelnik, gdyby to, co czyta, przez swą nieokreśloność i zawikłanie nie godziło się z jego zdrowym rozumem. Hans Castorp również może nie czuł się z tym zbyt dobrze, nie zdobywał się jednak na wysiłek potrzebny do rozproszenia nieokreśloności i zawikłań i do wyjaśnienia sobie, ile właściwie przeżył tu lat; lęk, który go od tego powstrzymywał, miał swe źródło w jego sumieniu, choć niezwracanie uwagi na czas jest przecież najgorszą niesumiennością.

Nie wiemy, czy uznać za okoliczność łagodzącą, że warunki jego życia szły jak najbardziej na rękę jego brakowi dobrej

woli, żeby już nie mówić wręcz o złej woli. Pani Chauchat wróciła w adwencie (Hans Castorp inaczej wyobrażał sobie jej powrót — ale o tym będzie mowa we właściwym miejscu), gdy bliski już był najkrótszy dzień, czyli, mówiąc astronomicznie, początek zimy. W rzeczywistości natomiast, niezależnie od teoretycznej kolejności, o ile chodzi o śnieg i mróz, zima panowała już znowu Bóg wie jak długo, właściwie trwała ciągle z małą przerwą upalnych dni letnich, kiedy to błękit nieba przybierał barwy tak przesadnie głębokie, że aż zbliżone do czerni. Podobne dni letnie zdarzały się zresztą także w ciągu zimy, jeśli pominiemy śnieg, który, co prawda, nieraz padał i podczas lata. Jakże często rozmawiał Hans Castorp z nieboszczykiem Joachimem o wielkim pomieszaniu pór roku, które obala ich kolejność, uniemożliwia rozczłonkowanie roku i prowadzi do zatarcia różnicy między tym, co mknie szybko, a tym, co się wlecze w nieskończoność, tak że właściwie o czasie nie może w ogóle być mowy, jak się dawno kiedyś z obrzydzeniem wyraził Joachim. Splątaniu ulegały tu przede wszystkim sytuacje uczuciowe i świadomość tego, co jest „jeszcze”, a co „znów z powrotem”, tworzyły się stany duchowe diabelnie zawile, wywołujące największy zamęt, i to takie właśnie, do których Hans Castorp poczuł niemoralną skłonność zaraz w pierwszym dniu swego pobytu tu w górze; stało się to mianowicie podczas owych pięciu nadmiernie obfitych posiłków w jadalni malowanej w wesołe szablony, gdzie go opadło pierwsze tego rodzaju zamroczenie, stosunkowo jeszcze niezbyt szkodliwe.

Od tego czasu złudzenia zmysłowe i umysłowe, jakim podlegał, przybrały znacznie na sile. Choćby nawet podmiotowe przeżycie czasu było osłabione lub zatracone, to jednak czas zachowuje swą rzeczową realność, jeśli jest związany z jakąś czynnością. Czy hermetycznie zamknięta konserwa stoi na półce poza czasem, jest zagadnieniem jedynie dla zawodowych myślicieli, toteż jeśli Hans Castorp się nim raz zajął, to tylko w przystępie młodzieńczej zarozumiałości. Wiemy przecież, że czas czyni swoje, choćbyśmy spali jak zabici. Pewien lekarz podaje fakt, że dwunastoletnia dziewczyna zapadła pewnego

dnia w sen i obudziła się po upływie trzynastu lat — jednakże już nie jako dwunastoletnia dziewczyna, tylko jako dojrzała kobieta. Jakże mogłoby być inaczej! Trup jest trupem i pożegnał doczesność; ma wiele czasu, to znaczy sam, osobiście nie ma go zupełnie. Bo mimo wszystko rosną mu jeszcze paznokcie i włosy, a także — ale nie powtarzajmy swawolnych uwag wypowiedzianych niegdyś na ten temat przez Joachima, które zgorszyły Hansa Castorpa myślącego jeszcze wówczas jak ludzie na nizinach. I jemu przecież rosły włosy i paznokcie, rosły dość szybko, siadywał tak często na krześle u fryzjera przy głównej ulicy Wsi, okryty białym płaszczem, i strzyżono mu włosy, bo za uszami były już przydługie — siadywał-tam właściwie bez ustanku, a raczej: kiedy siedział i rozprawił z ugrzecznionym i zręcznym fryzjerem, który dokonywał swego dzieła, podobnie jak swojego poprzednio dokonywał czas; lub kiedy s'tojąc przy drzwiach swego balkonu, z nożyczkami i pilniczkiem, wyjętymi z pięknego aksamitnego neseseru, przycinał sobie paznokcie — w takich momentach nawiedzało go owo zamroczenie. Był w nim jakby lęk, a zarazem pełna zaciekawienia rozkosz, był zamęt*, a raczej (o, dwuznaczności wyrazów!) zawrót głowy i złuda, wirująca niemożność dalszego rozróżniania, co jest „jeszcze”, a co „znowu”, z których pomieszania i zatarcia się powstaje bezczasowe „zawsze” i „na wieki”.

Zapewnialiśmy nieraz, że nie chcemy go uczynić ani lepszym, ani gorszym, niż był w rzeczywistości. Nie możemy więc pominąć milczeniem, że swe godne potępienia upodobanie do ulegania mistycznym pokusom, którym poddawał się świadomie i umyślnie, kompensował przez usiłowania idące we wręcz odwrotnym kierunku. Siadywał nieraz z zegarkiem w ręku — ze swoim płaskim, gładkim, złotym zegarkiem kieszonkowym, otwierał kopertę z wrytym na niej monogramem i patrzył na okrągłą, porcelanową płaszczyznę, otoczoną dwoma rzędami czarnych i czerwonych cyfr arabskich, oraz na złote, misternie rzeźbione wskazówki i cienki sekundnik, skrzętnie krążący po swym odrębnym kółku. Hans Castorp zatrzymywał na nim wzrok, usiłował wstrzymać lub przeciągnąć bieg kilku minut,

złapać uciekający czas. Wskazówka dreptała dalej, nie zważając na cyfry, do których się zbliżała, których osiągała, które mijała, zostawiała daleko za sobą, których, zbliżywszy się, ponownie osiągała. Nie uznawała żadnych celów, odcinków, znaków. Powinna by się zatrzymać przez chwilę na sześćdziesiątce albo oznajmić przynajmniej w inny jakiś sposób, że tu się coś skończyło. Lecz nie — mijała ją szybko, tak samo jak każdą inną cyframi nie oznaczoną kreseczkę. Toteż jasne było, że zastała całe to znakowanie i podział — a sama tylko idzie i idzie... Wobec tego Hans Castorp schował dzieło sztuki zegarmistrzowskiej do kieszeni od kamizelki i pozostawił czas jego własnemu losowi.

Jakże można prawości ludzi z nizin wytłumaczyć zmiany, jakie zaszły w młodym poszukiwaczu przygód? Rozrastało się w nim to przyprawiające o zawrót głowy utożsamianie różnych rzeczy. Teraźniejszość dnia dzisiejszego mieszała się z bliźniaczo podobną teraźniejszością dnia wczorajszego i przedwczorajszego, co więcej, traciła własne oblicze w porównaniu z teraźniejszością sprzed miesiąca i sprzed roku, zlewając się wraz z nimi w jedno „zawsze”. Ponieważ jednak w zakresie świadomych moralnych odczuwań „jeszcze” i „znów”, i „przyszłość” zachowały swą odrębność, przeto wkradała się pokusa nadawania szerszego i rozleglejszego znaczenia określeniom takim, jak „wczoraj” lub „jutro”, za pomocą których broni się „dziś” przed zalewem przeszłości **lub** przyszłości. Nietrudno wyobrazić sobie istoty (może musiałyby one mieszkać na mniejszych planetach) mające czas miniaturowy, tak że żwawy bieg naszego sekundnika miałyby w ich „krótkim” życiu znaczenie poważnego chodu wskazówki odmierzającej nam godziny. Ale można sobie również wyobrazić istoty, których czas stąpa krokami olbrzyma, tak że pojęcia oznaczające odstęp między tym, co zdarzyło się „niedawno” lub zdarzy „za chwilę”, „wczoraj” albo „jutro”, w ich przeżyciach stają się ogromne. Jest to, zdaniem naszym, nie tylko możliwe, ale ze stanowiska tolerancyjnego relatywizmu i w myśl powiedzenia „Co kraj to obyczaj” winno być uważane za uprawnione, zdrowe i godne uznania. Cóż jednak my-

śleć o człowieku, który by pewnego pięknego dnia wpadł w błuznierczy nawyk czy choćby chęć mówienia „wczoraj” zamiast „przed rokiem” lub „jutro” zamiast „za rok” — szczególnie jeśli będzie w takim wieku, że każdy dzień, tydzień, miesiąc, półrocze może w życiu jego odegrać niezmiernie ważną rolę, przynieść z sobą postęp i wiele zmian? Można by w tym widzieć jedynie obłąkanie i pomieszanie pojęć oraz przyczynę poważnej o niego troski.

Życie stwarza czasem takie sytuacje, takie krajobrazy (jeśli wolno nazywać „krajobrazem” to, co mamy w tej chwili na myśli), w których takie pomieszanie i zatarcie czasowo-przestrzennych odległości, doprowadzające do zawrotnej jednolitości wszystkiego, jest faktem naturalnym, usprawiedliwionym; i wtedy nie należy potępiać kogoś, kto w godzinach wolnych od zajęć zanurza się w ich czarze. Mamy na myśli przechadzkę nad brzegiem morza, przeżycie, które Hans Castorp wspominał zawsze z największą sympatią. Wiemy już zresztą, że żyjąc wśród śniegu, wspominał chętnie i wdzięcznie ojczyste wydmy nadbrzeżne. Wierzmy, że nie zawiedzie nas też doświadczenie i pamięć czytelnika, gdy mówić będziemy o tym przedziwnym nastroju zagubienia. Idziesz i idziesz... z przechadzki takiej nigdy nie wrócisz na czas do domu, boś zgubił czas, a czas zgubił ciebie. O morze, jestem z dala od ciebie, gdy to opowiadam, ale zwracam ku tobie swe myśli, swą miłość — bądź obecne w mej opowieści, bądź nim głośno, na me wezwanie, jak nim w gruncie rzeczy od początku byłeś, jesteś i będziesz... Szumiąca pustko, omotana błądą, jasną szarością, nasycona ostrą wilgocią, pozostawiającą smak soli na wargach! Idę, idę po gruncie lekko sprężystym, pokrytym trawą morską i małymi muszlami, a wiatr gra mi w uszach, wielki, szeroki a łagodny wiatr; wolny, bez przeszkód i podstępów przewiewa przestrzeń i wywołuje w mej głowie lekkie oszołomienie. Idę, idę i widzę, jak od zbliżającego się i znów oddalającego morza nadciągają języki pian, by lizać me stopy. Wraca kipiel morska, fala za falą uderza i jedwabiście toczy się po płaskim wybrzeżu — to w tym, to w innym znów miejscu, to hen w dali, na ławicach, a szum

mętny, powszechny i łagodny czyni uszy nieczułymi na wszelki głos świata. Pełnia dosytu, świadome zapomnienie... Zamknijmyż oczy, pogrążeni w wieczności! Nie — spojrzysz! Tam w spienionej szarozielonej oddali, niknącej na horyzoncie w olbrzymich skrótach, zjawił się żagiel. Tam? Gdzież jest to tam? Jak daleko? Jak blisko? Nie wiesz tego. Ocena odległości wymyka się twej świadomości, przyprawiając cię o zawrót głowy. Aby ocenić, jak daleko ten statek znajduje się od brzegu, musiałbyś wiedzieć, jaką ma wielkość jako ciało fizyczne. Czy jest mały, a bliski, czy też wielki, a daleki. Wzrok twój załamuje się w niewiedzy, bo nie masz żadnego zmysłu, żadnego organu, który by cię poinformował o przestrzeni... Idę, idę — jak długo już? Jak daleko? Nie wiadomo. Nic nie zmienia się, choć idę naprzód, dal jest podobna do pobliza, to co przeszło — do tego co obecne i do tego, co nastąpi; w niezmierzonej monotonii przestrzeni tonie czas, w jednostajności ruch przestaje być ruchem, a gdzie ruch przestał być ruchem, tam przestał też istnieć czas.

Uczeni średniowieczni twierdzili, że czas jest złudzeniem, że jego przebieg w formach przyczyny i skutku jest tylko wynikiem budowy naszych zmysłów, prawdziwy zaś byt rzeczy jest nieruchomą terażniejszością. Może ów uczonec, w którego mózgu zakiełkowała po raz pierwszy ta myśl, przechadzał się nad brzegiem morza — z gorzkim posmakiem wieczności na wargach? Powtarzamy jednakże, że mówimy tu o myślach opadających człowieka w godzinach wolnych, o rojeniach beczynnego życia, którymi istota moralna syci się szybko, jak człowiek zdrowy — wypoczynkiem na ciepłym piasku. Krytyka ludzkich środków i form poznawczych, stawianie pod znakiem zapytania ich czystego waloru byłoby absurdalną i nieuczciwą pretensją, gdyby ich dokonywano w jakiegokolwiek innej myśli aniżeli w tej, aby rozumowi wskazać granice, których nie można przekroczyć bez zaniedbania swych właściwych zadań. Możemy człowiekowi tej miary co pan Settembrini być tylko wdzięczni, że ze względów wychowawczych stanowczo napiętnował metafizykę jak „samo zło” wobec młodego człowieka,

którego los nas zajmuje i którego tenże Settembrini przy sposobności nazwał bardzo trafnie „wiecznym dla życia strapieniem”. A pamięć miłego nam zmarłego uczcimy najlepiej, stwierdzając, że myślą, sensem i celem krytycyzmu może i powinno być tylko jedno: obowiązkowość, imperatyw życiowy. Tak jest; gdy normująca życie mądrość krytycznie wytycza granice rozumu, to jednocześnie wznosi na tych granicach sztandar życia i obwieszcza, że żołnierskim obowiązkiem człowieka jest służyć pod tym znakiem. Mamyż więc dla młodego Hansa Castorpa, dla jego występnej gospodarki czasem, dla jego niewłaściwego przekomarzania się z wiecznością, uznać za okoliczność łagodzącą fakt, że to, co pewien melancholijny gaduła nazwał „nadmierną gorliwością” jego kuzyna-wojaka, miało śmiertelny wynik?

MYNHEER* PEEPERKORN

Gościem sanatorium „Berghof”, tak słusznie używającego przymiotnika „międzynarodowe”, był przez pewien czas Mynheer Peeperkorn, Holender w starszym wieku. Samo z lekka kolorowe pochodzenie Peeperkoma — był mianowicie Holendrem z kolonii, pochodził z Jawy, był tam plantatorem kawy ■ — nie skłoniłoby nas jeszcze do wprowadzenia do powieści tuż przed jej końcem pana Pietera (takie było jego imię i używał go mówiąc o sobie, na przykład: „Teraz Pieter Peeperkorn pokrępią się wódeczką”). Mój Boże, do iluż barw i odcieni należało towarzystwo znanego sanatorium, znajdującego się pod opieką lekarską wielojęzycznego radcy dworu, doktora Behrensa, swoiście wyrażającego się poliglotty! Przybyła tam niedawno nawet jakaś egipska księżniczka, ta sama, która niegdyś podarowała doktorowi ów uwagi godny serwis do kawy i papierosy „Sfinks”. Osoba ta, o żółtych od nikotyny i pokrytych pierścieniami palcach, o włosach krótko przyciętych, budziła ogólną sensację. Z wyjątkiem obiadów i kolacyj, na które schodziła w paryskich toaletach, ukazywała się zazwyczaj w męskiej

marynarce, z nienagannie zaprasowanymi spodniami; zresztą mężczyźni nie interesowali jej wcale, darzyła natomiast leniwym i gwałtownym zarazem uczuciem pewną Żydówkę z Rumunii, która nazywała się po prostu pani Landauer. A tymczasem pan prokurator Paravant zaniedbywał dla Jej Wysokości ulubioną matematykę i zakochany był w niej aż do śmieszności. Nie dość tego, w jej małej świecie znajdował się rzezaniec-Murzyn; ten chory, słabowity człowiek, mimo swą wadę organiczną (o której Karolina Stóhr chętnie rozprawiała) niezmiernie przywiązany do życia, był niepoczyszony ujrawszy obraz swego wnętrza na płycie, gdy rentgen prześwietlił jego czarną powłokę...

W porównaniu z takimi postaciami Mynheer Peeperkorn wydawał się nieledwie bezbarwny. A choć ten rozdział powieści, jak jeden z poprzednich, mógłby otrzymać nagłówek „Jeszcze ktoś”, to w tym wypadku nie byłoby powodu do obawy, że wchodzi na scenę przyszły twórca duchowego i pedagogicznego zamieszania. Nie, Mynheer Peeperkorn nie był bynajmniej człowiekiem zdolnym do wywoływania logicznych zaburzeń. Jak zobaczymy, był jednostką zupełnie innego typu. Że mimo to osoba jego stała się przyczyną gwałtownych zaburzeń w duszy naszego bohatera, to tłumaczy się następującymi okolicznościami:

Mynheer Peeperkorn przybył na stację Davos-Wieś tym samym wieczornym pociągiem co Madame Chauchat, zajechał tymi samymi saniami przed sanatorium „Berghof” i zasiadł z nią razem do wieczerzy w restauracji. Nie był to więc przyjazd równoczesny, ale wspólny; wspólność ta znalazła w dalszym ciągu wyraz także i w tym, że Mynheer otrzymał stałe miejsce przy lepszym stole rosyjskim, obok niej a naprzeciw doktora — tam, gdzie niegdyś nauczyciel Popów urządził swój dziki i dwuznaczny występ. Ta wspólność, przez to, że była zupełnie nieprzewidziana, wyprowadziła Hansa Castorpa z równowagi. O dniu i godzinie przybycia Kławdii radca zawiadomił go we właściwy sobie sposób.

— No, Castorp, stary przyjacielu! — rzekł. — Wytrwałość

będzie nagrodzona. Pojutrze wieczorem kotka wśliźnie się znowu z powrotem. Otrzymałem telegram. — Nie wspomniał przy tym ani słowem, że pani Chauchał wraca w towarzystwie; może nie wiedział o niczym — w każdym razie, kiedy go Castorp nazajutrz o to pytał, twierdził, że sam był tym faktem zaskoczony.

— Nie mogę panu nawet powiedzieć, gdzie go wyłowila — oświadczył. — Widocznie znajomość zawarta w podróży, w Pirenejach zapewne. Ano, musi się pan teraz z tym pogodzić, rozczarowany Celadonie, na to nie ma rady. Wielka przyjaźń, rozumie pan? Zdaje się, że mają nawet wspólną kasę. To jakiś kolosalny bogacz, według tego, co mówią. Król kawy w stanie spoczynku, mój panie, malajski kamerdyner, luksus w każdym calu. Nie przyjechał tu zresztą dla rozrywki, bo poza zaflegmieniem, wywołanym przez alkohol, cierpi na złośliwą malarię, zimnicę, rozumie pan, skądsis̄ zawleczoną i bardzo uporczywą. Będzie mu pan musiał wiele wybaczyć.

— Proszę bardzo, proszę bardzo — odparł wyniośle Hans Castorp, a przy tym pomyślał: „A ty? co ty na to? Jeśli mnie pozory nie mylą, to ty też od dawna nie jesteś tu obojętnym widzem, ty stary wdowcze o sinych policzkach, i nic ci nie pomoże całe twoje realistyczne malarstwo. Cieszysz się nie-mało moim zmartwieniem, a przecież jesteśmy do pewnego stopnia towarzyszami niedoli w stosunku do Peeperkorna”. — Ciekawy człowiek, zjawisko stanowczo nieprzeciętne — rzekł 'robiąc gest, jakby go chciał narysować. <— I krzepki, i wąły zarazem, to jest wrażenie, jakie robi na pierwszy rzut oka, jakie zrobił na mnie przynajmniej dziś podczas śniadania. Krzepki i wąły — za pomocą tych przymiotników trzeba go zdaniem moim scharakteryzować, choć uchodzą zazwyczaj za trudne do pogodzenia. Jest wysoki, barczysty, staje często z rozkraczonymi nogami, z rękami w kieszeniach (zauważyłem, że ma kieszenie u spodni umieszczone prostopadłe, a nie po bokach, jak pan i ja, i większość ludzi z dobrego towarzystwa). Kiedy tak stoi i mówi z holenderską, z podniebienną wymową, wtedy znać w nim jakąś krzepkość. Ale brodę ma rzadką —

długą, a rzadką, tak że można by przeliczyć wszystkie włoski, i oczy małe, blade, nie mogą inaczej powiedzieć jak bezbarwne, na próżno je usiłuje wciąż szeroko otwierać, wszystko nadaremnie. Potworzyły mu się wskutek tego na czole głębokie bruzdy, najpierw pionowo przecinające skronie, a potem poziomo czoło, wysokie, czerwone czoło, obramowane siwymi włosami, długimi, ale rzadkimi. A oczy nie przestają być małe i blade, mimo że je ciągle rozwiera. Wysoko zapięta kamizelka nadaje mu wygląd duchownego, choć przeczy temu surdut w kratkę. Oto moje wrażenia z dzisiejszego ranka.

— Widzę, że go pan wziął na cel obserwacji — odparł Behrens — i dobrze się przyjrzał jego właściwościom. Rozsądnie; to z pana strony, bo będzie się pan musiał pogodzić z jego obecnością!

— Owszem, na pewno to zrobię — rzekł Hans Castorp.

Powierzyliśmy mu skreślenie sylwetki nowego, nieoczekiwanego gościa i wywiązał się nieźle ze swego zadania — sami nie moglibyśmy uczynić tego dużo lepiej. Bo też jego punkt obserwacyjny był nadzwyczaj dogodny: wiemy już przecie, że w nieobecności Kławdii dostał się w sąsiedztwo lepszego stołu rosyjskiego; stół, przy którym siedział, stał równolegle do tamtego, a tylko nieco dalej od drzwi na werandę. Ponieważ Hans Castorp i Peeperkorn zajmowali miejsca u góry stołów, siedzieli tedy niejako obok siebie, tylko że Hans Castorp znajdował się nieco za Holendrem, dzięki czemu mógł go niepostrzeżenie obserwować. Twarz pani Chauchat widział w trzech czwartych, skośnie przed sobą. Do nakreślonego przezeń z talentem szkicu można by dodać, że górna warga Peeperkorna była golona, nos miał duży i mięsisty, usta szerokie, o wargach nieregularnie wykrojonych, jakby rozdartych. Dłonie jego były dość szerokie, palce zakończone długimi, ostro przyciętymi paznokciami. Rękoma posługiwał się przy mówieniu, przy swym nieustannym niemal mówieniu, którego treść Hans Castorp niezupełnie zresztą rozumiał. Wykonywał nimi wyszukane ruchy, skupiające uwagę słuchaczy, delikatnie cieniujące, staranne, precyzyjne i wytworne ruchy dyrygenta. Palec wielki i wskazujący

układał w formę pierścienia albo rozwierał szeroko płaską, ale ostrymi paznokciami zakończoną rękę, jakby osłaniał, tłumił lub nakazywał uwagę; a potem to uprzejme skupienie, które wywołał, zamieniał w rozczarowanie przez niezrozumiałość tego, co mówił — a raczej nie w rozczarowanie, ale w wesołe zdziwienie; siła bowiem, delikatność i ekspresja ruchów przygotowawczych zastępowały w wysokim stopniu to, czego brakło słowom, i zadowalały, bawiły, wzbogacały same przez się. Czasami po gestach słowa w ogóle nie następowały. Kładł rękę lekko na przedramię swego sąsiada od lewej, którym był jakiś młody bułgarski uczonek, albo na rękę Madame Chauchat — od prawej, potem unosił ramię skośnie w górę, nakazując milczenie i skupienie; wznosił brwi tak, że zmarszczki czoła, załamujące się pod kątem prostym ku oczom, pogłębiały się nadając twarzy wyraz maski, i wzrok wbijał w obrus; a tymczasem jego szerokie, rozdarte wargi rozchylały się, jakby wyrzec miały coś niezmiernie ważnego. Po chwili jednak wydychał powietrze, rezygnował z wszystkiego, czynił, ruch, który oznaczał: „Mówcie dalej!” i nic ostatecznie nie powiedziawszy wracał do swej kawy, szczególnie mocnej, którą kazał sobie podawać w specjalnej maszynie.

Po wypiciu kawy czynił co następuje: Jednym ruchem ręki przerywał rozmowę, stwarzał ciszę, jak dyrygent, który nakazuje milczenie mieszanemu hałasowi strojonych instrumentów i uprzejmym, ale rozkazującym gestem skupia je, aby rozpocząć wykonanie utworu. Wszyscy ulegali tym gestom, tak silne wrażenie robiła jego potężna głowa o bladych oczach i pobrudzonym czole, opłomieniona siwymi włosami, z długą brodą i odsłoniętymi bolesnymi ustami. Wszyscy milkli i patrzyli nań z uśmiechem, w oczekiwaniu, a raz po raz ktoś uśmiechając się dawał mu znaki zachęty. Zaczynał mówić głosem dość cichym:

— Moi państwo. — W porządku. Wszystko w porządku. Skończone. Proszę jednakowoż wziąć pod uwagę — i nie zapominać — ani na chwilę nie zapominać, że — Ale nie mówmy już o tym. Tamto leży mi tak dalece na sercu, jak przede wszystkim to, że jesteśmy zobowiązani — że kategorycznym wy-

maganiem — powtarzam i podkreślam to wyrażenie — kategorycznym wymaganiem nam stawianym — — Nie! Nie, moi państwo, nie tak! Nie, jakobym chciał — W błędzie byłby ten, kto by myślał, że ja———Sk o ń - c z o n e, moi państwo! Zupełnie skończone. Wiem, że jesteśmy przecież tego samego zdania, a więc: do rzeczy!

Ostatecznie nic nie powiedział, ale głowę miał tak niepospolitą, mimikę i gestykulację tak stanowczą, przejmującą i pełną wyrazu, że wszystkim a nawet nasłuchującemu Hansowi Castorpowi wydawało się, iż słyszą coś niezmiernie ważnego, lub też, jeśli nawet uświadamiali sobie brak rzeczowego, skończonego oświadczenia, nie czuli się jednak zawiedzeni. Ciekawe jest, jakie wrażenie odniósłby w tym wypadku człowiek głuchy. Martwiłby się może, bo wnioskując z wyrazu, fałszywie oceniłby to, co zostało wyrażone, i sądziłby, że został poszkodowany i że z powodu swego kalectwa jest duchowo pokrzywdzony. Tacy ludzie łatwo stają się podejrzliwi i zgorzkniali. Natomiast młody Chińczyk siedzący na przeciwnym końcu stołu i słabo jeszcze znający język niemiecki, chociaż nic nie rozumiał, lecz tylko słyszał i widział, dał wyraz swemu zadowoleniu okrzykiem: „Very well!" — a nawet klasnął w dłonie.

Tymczasem Mynheer Peeperkorn przeszedł „do rzeczy". Wyprostował się, wyprężył szeroką pierś, zapiął na guziki swój surdut w kratę, pod który wkładał wysoko zapiętą kamizelkę. Jego siwa głowa miała królewski majestat. Skinął ręką na kelnerkę — była to karlica — a ona przybiegła natychmiast na ów gest, mimo że była w tej chwili bardzo zajęta, i stanęła obok jego krzesła z dzbanuszkami mleka i kawy w rękach. Zwracała nań swą dużą, starą twarz z uśmiechem i wyrazem zachęty: jej także nakazał skupienie jego błądliwy wzrok, potężne bruzdy jowiszowego czoła i wyciągnięta ręka, której wielki palec tworzył koło ze wskazującym, a pozostałe trzy sterczały jak włócznie, zakończony grotami paznokci.

— Moje dziecko — rzekł — dobrze. Na razie wszystko w porządku. Jesteś mała — a cóż mi to szkodzi? Wręcz przeciwnie! To ma swą pozytywną wartość. Dziękuję Bogu, że jesteś taka,

jaka jesteś, i na skutek swego charakterystycznego małego wzrostu — Ano, dobrze! Bo i prośba, którą mam do ciebie, jest mała, mała i charakterystyczna. Przede wszystkim, jak się nazywasz?

Wyjąkała z uśmiechem, że na imię jej: Emerencja.

— Wspaniale! — zawołał Peeperkorn pochylając się w tył, ku oparciu krzesła, i wyciągając rękę w kierunku karlice. Zawołał to tonem, jakby chciał powiedzieć: „Ależ czego chcecie? Wszystko jest jak najlepiej!” Potem ciągnął dalej najpoważniej w świecie i nieomal z pewną surowością: — Moje dziecko, to przechodzi wszelkie me oczekiwania. Emerencja — wypowiadasz to skromnie — ale to imię — i w dodatku w połączeniu z osobą — słowem, to ukazuje najpiękniejsze możliwości. Warto by tak jakoś sercem pełnym uczucia — w formie zdrobniałej — rozumiesz mnie, moje dziecko? w formie zdrobniałej — na przykład Rencja albo Emcia — to będzie cieplejsze — decyduję się na razie bez wahania na Emcię. A więc, Emciu, moje dziecko, uważaj! Podaj mi chleba, moja kochana! Stój! Unikajmy nieporozumienia! Widzę po twojej względnie dużej twarzy, że to grozi — Chleba, Rencjo, ale nie pieczonego chleba — tego mamy tu dosyć we wszelkich postaciach. Ale palonego, aniołku. Boskiego, przezroczystego chleba, który pokrzepia. Nie wiem, czy znaczenie wyrazu jest ci dość — można by to także nazwać „wzmocnieniem”, ale boję się, że użycie tego pojęcia w zwykły lekkomyślny sposób — Skończone, Rencja! Absolutnie skończone i wykluczone! A raczej w myśl naszych obowiązków i świętych powinności. — Na przykład mój dług honorowy, zaciągnięty wobec twojego charakterystycznego małego wzrostu, aby jak najserdeczniej — Jałowcówki, moja droga! — Na rozruszanie, powiedzmy. Holenderskiej, Emerencjol Biegnij i przynieś mi ją szybko!

— Jałowcówki, prawdziwej — powtórzyła karlica i odwróciła się na pięcie, aby się pozbyć jak najszybciej dzbanuszków. Postawiła je wreszcie Castorpowi przed nosem, nie chcąc widocznie przeszkadzać nimi panu Peeperkornowi. Podbiegła i rozkazodawca natychmiast otrzymał to, czego żądał. Kieliszek był

tak pełny, że „chleb” ze wszystkich stron przelewał się na podstawkę. Podniósł go wielkim i średnim palcem w górę pod światło. — A więc — oświadczył — Pieter Peeperkorn pokrzepia się wódeczką. — Wychylił kieliszek, trzymał w ustach przez chwilę destylat żyta i przełknął. — Teraz — rzekł — widzę państwa wszystkich orzeźwionymi oczyma. — Podniósł do ust dłoń pani Chauchat, złożył ją z powrotem na obrusie i potem jeszcze przez chwilę zatrzymał na niej swą rękę.

Niezwykła, potężna indywidualność, choć niewyraźny człowiek. Towarzystwo „Berghofu” zajmowało się nim niepomiernie. Mówiono, że wycofał się niedawno z interesów i żyje z kapitału. Opowiadano, że ma wspaniały dom w Hadze i willę w Scheveningen. Pani Stóhr nazywała go „magnesem pieniężnym” (magnatem chyba? co za okropna osoba!) i czyniła przy tym aluzje do sznura pereł, który Madame Chauchat od czasu powrotu wkładała do stroju wieczorowego, a który, zdaniem Karoliny, nie świadczył o rycerskości zakaukaskiego małżonka, lecz pochodził ze „wspólnej kasy podróźnej”. Mrugała przy tym znacząco w kierunku Hansa Castorpa i, udając zasmucenie, opuszczała kąciki ust; cierpienie i choroba nie zdołały jej wysubtelnić i kpiła w sposób bezwzględny z jego przykrego położenia. Ale Castorp panował nad sobą. Poprawił, i to dowcipnie, popełniony przez nią lapsus. Pani Stóhr się przemówiła — oświadczył. Chciała powiedzieć: Magnat pieniężny. Chociaż i o magnesie można by mówić, bo Peeperkorn ma w sobie coś pociągającego. Także nauczycielce, pannie Engelhart, która, czerwieniąc się, krzywo się uśmiechając i nie patrząc mu w oczy, zapytywała, jak mu się podoba nowy gość, odpowiedział z dobrze udaną obojętnością, że Mynheer Peeperkorn jest „zamazaną indywidualnością”, indywidualnością, aczkolwiek zamazaną. Ścisłość tego określenia świadczyła o jego obiektywizmie i równowadze duchowej i wytrąciła nauczycielce broń z ręki. Co się zaś tyczy Ferdynanda Wehsala i jego krętych aluzji do nieoczekiwanych okoliczności, w jakich powróciła pani Chauchat, to Hans Castorp dowiódł naocznie, że bywają spojrzenia, których jednoznaczność w niczym nie ustę-

puje najbardziej artykułowanym wyrazom mowy. „Podły!” mówił wzrokiem, którym mierzył mannheimczyka, mówił w sposób wykluczający wszelką fałszywą interpretację. Wehsal zrozumiał i schował obrazę do kieszeni; uśmiechnął się nawet, szczerząc zepsute zęby: ale odtąd nie nosił już Hansowi Castorpowi płaszczka podczas przechadzek z Naphtą, Settembrinim i Fergem.

A niech tam! Przecież sam mógł i nawet wołał sam nosić swój płaszcz. Tylko z grzeczności od czasu do czasu oddawał go temu nędznemu indywiduum. Mimo to nikt chyba z nas nie wątpi, że zupełnie nieprzewidziane okoliczności, które wniwecz obróciły przygotowania, jakie poczynił w myśli na przyjęcie bohaterki swej karnawałowej przygody, musiały go mocno dotknąć. Wyrażając się ściśle, przygotowania te stały się niepotrzebne, a to właśnie było zawstydzające.

Zamiary jego były dalekie od niezręcznej zapalczywości, były rozsądne i pełne delikatności. Ani myślał iść po Kławdię na dworzec — i co za szczęście, że tego nie zrobił! Było przecież w ogóle wątpliwe, czy ta kobieta, dzięki chorobie korzystająca z pełnej swobody, raczy sobie przypomnieć fantastyczne zdarzenia owej dalekiej maskaradowej i obcojęzycznej nocy marzeń sennych i czy zechce, aby jej tę noc przypominano. Nie, tylko bez natręctwa, bez gruboskórnych pretensji! Jeśli nawet w stosunku do skosnookiej pacjentki w samej rzeczy przekroczył granice zachodnich obyczajów i rozsądku — to jednak powinien przestrzegać form cywilizowanego świata, a tymczasem zachować nawet pozory obojętności. Grzeczny ukłon od stołu do stołu — oto na razie wszystko. Kiedyś później, przy nadarzającej się sposobności, będzie można od niechcenia zapytać, co się z panią działo od owego czasu. A właściwe powitanie nastąpi, w przyszłości, w swoim czasie, jako nagroda za opanowanie i rycerskość.

Cała owa subtelność postępowania traciła swój sens wskutek tego, że nie była dobrowolna, nie było więc w niej żadnej zasługi. Obecność Mynheera Peeperkorna wykluczała możliwość wszelkiej, chociażby trochę tylko niepowściągliwej tak-

tyki. Owego wieczora, kiedy pani Chauchat wróciła, Hans Castorp ujrzał ze swej łodzi zajeżdżające sanie; na koźle obok woźnicy siedział lokaj Malajczyk, żółty człowieczek w sztywnym kapeluszu, z futrzanym kołnierzem u płaszcza; obok Kławdii, w głębi, z kapeluszem nasuniętym na czoło, siedział obcy mężczyzna. Hans Castorp spał niewiele tej nocy. Rano dowiedział się bez trudności, jakie jest nazwisko niepokojącego przybysza. Na dodatek otrzymał informacje, że oboje zajęli sąsiadujące z sobą luksusowe apartamenty na pierwszym piętrze. Gdy nadeszła pora śniadania, znalazł się wcześniej na swym miejscu i blady czekał na zatrzaśnięcie się oszklonych drzwi. Nie zatrzasnęły się. Kławdia weszła cicho, bo drzwi zamknął za nią Mynheer Peeperkorn — wszedł za swą towarzyszką podróżny, rosły, barczysty, o wysokim czole, z głową potężną, opłomienioną siwizną — a ona podeszła do stołu znanym, kocim krokiem, z głową wysuniętą naprzód. Tak, to ona, nie zmieniona ani trochę. Wbrew postanowieniu, zapominając o wszystkim, objął ją Hans Castorp zmęczonym z niewyspania wzrokiem. Te same włosy, blond o czerwonym odcieniu, nie uczesane kunsztownie, ale otaczające głowę zwykłym warkoczem, te same „ślepie wilka stepowego”, ta sama okrągłość karku i wargi wydające się pełniejszymi, niż były w rzeczywistości, dzięki owemu wypukleniu kości policzkowych, które pociągało za sobą powabną wklęsłość policzków... Kławdia! Myślał o tym z drzeniem i bacznie się przyglądał nieoczekiwane mu jej towarzyszeni, dumnie stawił czoło jego wspaniałej aparycji, a nawet w głębi serca usiłował drwić z jego obecnych nieograniczonych praw, tak bardzo zdyskredytowanych przez pewne wypadki z przeszłości. O tak, te wypadki były pewne, a nie jakieś tam nieokreślone, związane z dyletanckim malarstwem olejnym, które jego samego niegdyś tak niepokoiły... Zachowała również swój zwyczaj zwracania się do sali, zanim zajęła swe miejsce, tak jakby się chciała zaprezentować całemu towarzystwu. A Peeperkorn czekał nieco na uboczu na ukończenie tej ceremonii, by usiąść potem u boku Kławdii.

Uprzejmy ukłon od stołu do stołu zupełnie się nie powiódł.

Oczy Kławdii powędrowały przy owym „prezentowaniu się” ponad osobą Hansa Castorpa i nad całą tą stroną, gdzie siedział, ku dalszym częściom sali. Nie inaczej było podczas następnego spotkania w sali jadalnej. Im więcej mijało posiłków, w czasie których oczy pani Chauchat przy spotkaniu z jego wzrokiem przesuwają się dalej, jakby nie widzące i obojętne, tym mniej wypadało już wprowadzać w czyn obmyślony ukłon. Podczas krótkich zebrań wieczornych Peeperkorn i pani Chauchat przesiadywali w mniejszym salonie, na kanapie, w towarzystwie sąsiadów od stołu. Wspaniała twarz Holendra, pokryta teraz ciemnym rumieńcem, odbijała od płomiennej białości włosów i brody; kończył butelkę czerwonego wina, którą kazał sobie podać do kolacji. Pił przy każdym z głównych posiłków jedną, a czasem półtorej lub dwie butelki, nie mówiąc już o „chlebie”, którym się raczył począwszy już od pierwszego śniadania. Widocznie jego królewski majestat wymagał niezwykle silnego pokrzepienia. Służyła mu do tego celu kilka razy dziennie także specjalnie mocna kawa; pił ją nie tylko rano, ale i w południe, z dużej filiżanki, nie po posiłkach, ale podczas nich, obok wina. Hans Castorp słyszał, jak mówił, że kawa i wino są dobre przeciwko malarii (pominąwszy to, że działają krzepiąco), szczególnie przeciw jego malarii przerywanej, która go już nazajutrz przykuła do łóżka na parę godzin. Radca nazywał ją kwartaną, czwartaczką, bo atak jej nawiedzał Holendra co czwarty dzień; objawiała się naprzód dreszczami, potem gorączką, a wreszcie potami. Cierpiał też w związku z nią na obrzęk śledziony.

VINGT-ET-UN*

Tak mijał czas — trzy, może cztery tygodnie, według naszej oceny, bo nie możemy się absolutnie zdać na sąd i zdolność oceny, jakie w tym względzie mógł mieć Hans Castorp. Tygodnie mijały, nie przynosząc żadnych nowych zmian prócz tej, że bunt przeciw nieprzewidzianym okolicznościom, które bez jego zasługi narzuciły mu powściągliwość, przeszedł w duszy naszego bohatera w przyzwyczajenie; przeciw okoliczności,

która wychylając wódeczkę sama siebie nazywała Pieter Peepkorn; przeciw niepożądaney obecności tego majestatycznego, potężnego i niewyraźnego człowieka — który „przeszkadzał” tu o wiele bardziej aniżeli niegdyś Settembrini. Między brwiami Hansa Castorpa złościły się prostopadłe zmarszczki, wyrażające upór i niezadowolenie. Spod tych zmarszczek patrzył pięć razy dziennie na panią Chauchat, rad mimo wszystko, że może na nią spoglądać, i z lekceważeniem myślał o władczej obecności tego, który nie przeczuwał nawet, jaki cień przeszłość rzuca na jego władzę.

Pewnego wieczoru towarzystwo w hallu i pokojach recepcyjnych hotelu, bez szczególnego zresztą ku temu powodu, zachowywało się weselej niż zazwyczaj. Muzykowano, jakiś student Węgier odegrał z temperamentem na skrzypcach cygańskie melodie, potem zjawił się na chwilę radca Behrens z drem Krokowskim, skłonił kogoś do odegrania na fortepianie w niższych oktawach melodii „Chóru pielgrzymów” *, a sam parodiował akompaniament skrzypcowy, uderzając lekko szczotką po górnych klawiszach wiolinowych. Wywołał tym śmiech — po czym wśród rześzystych oklasków opuścił salony ogólne, potrząsając głową nad własnym wybrykiem. Zabawa przeciągała się, muzykowano w dalszym ciągu, nie wymagając, by ktoś uważnie słuchał, grano w domino i bridża, pociągając napoje, bawiono się zabawkami optycznymi, tu i tam rozmawiano. Część towarzystwa, z lepszego stołu rosyjskiego, przyłączyła się do grupy siedzących w hallu i salonie muzycznym. Mynheer Peepkorn przystępował to tu, to tam. Nie można go było nie zauważyć; jego majestatyczna głowa królowała nad otoczeniem, przewyższał wszystkich swą wielkością i powagą i nawet ci, których z początku pociągała doń tylko fama jego majątku, ulegali w końcu wyłącznie czarowi jego osobowości. Otaczali go uśmiechnięci i przytakiwali zachęcająco; pod urokiem jego bladych oczu, spozierających spod potężnych bruzd czoła, śledzili w naprężeniu wytworne ruchy rąk o długich paznokciach, nie doznając przy tym żadnego zawodu, że następujące po nich słowa były niepowiązane, niejasne i pozbawione znaczenia.

Jeżeli rozejrzemy się teraz za Hansem Castorpem, to znajdziemy go w czytelni, tam, gdzie niegdyś (to „niegdyś” jest dość nieokreślone; autor, bohater i czytelnik nie zdają sobie już sprawy, w jakim stopniu należy ono do przeszłości) przypadły mu w udziale ważne rewelacje o organizacji postępu ludzkości. Tu było ciszej, znajdowało się tu zaledwie parę osób. Ktoś pisał przy pulpicie, w świetle wiszącej lampy elektrycznej. Jakaś pani, z dwiema parami binokli na nosie, siedząc przy szafie bibliotecznej przeglądała tom ilustrowanego pisma. Hans Castorp siadł w pobliżu przejścia do pokoju muzycznego, tyłem do otwartych drzwi, z gazetą w rękę, na pluszowym renesansowym krześle z wysokim, prostym oparciem i bez poręczy. Trzymał gazetę tak, jak gdyby zagłębiał się w lekturze, ale naprawdę nie czytał, lecz słuchał z pochyloną w bok głową dochodzącej z sąsiedniego pokoju, zmieszanej z fragmentami rozmów muzyki. Po ściągniętych brwiach można było jednak poznać, że i muzyka nie pochłania całkowicie jego uwagi, a myśli krążą po drogach nie mających nic z nią wspólnego, po ciernistych drogach rozczarowania, zgotowanego przez okoliczności i czyhającego na młodego a wielce cierpliwego człowieka u końca długiego oczekiwania — po goryczy pełnych drogach buntu; był już bliski tego, by położyć gazetę na niewygodnym, przypadkowo zajęтым krześle, wyjść przez drzwi wiodące do hallu i przenieść mroźną samotność lodzii, urozmaiconą przez „Marię Mancini”, nad to nieudane zebranie towarzyskie. — A pański kuzyn, Monsieur? — zapytał głos tuż za nim i ponad jego głową. Głos ten brzmiał czarowną muzyką w uchu, tak już zbudowanym, że cierpkosłodki, przytłumiony timbre tego głosu odczuwało jako największą przyjemność, i to jeśli z pojęciem przyjemności łączyć sens najwyższy. Był to ten sam głos, który mu niegdyś rzekł: „Owszem, ale go nie złam” — zwycięski, fatalny głos, pytał teraz, jeśli dobrze zrozumiał, o Joachima.

Opuścił powoli gazetę i uniósł nieco twarz, tak że tyłem głowy dotykał tylko lekko oparcia krzesła. Przymknął nawet na chwilę oczy, ale otworzył je natychmiast i patrzył w pustkę.

Pocziwiec, można było powiedzieć, że w wyrazie jego twarzy było coś, co przypominało wizjonera lub somnambulika. Pragnął, aby powtórzyła pytanie, lecz nie uczyniła tego. Nie był więc nawet pewny, czy stoi jeszcze za nim, kiedy po dłuższej chwili, z dziwnym opóźnieniem, półgłosem odpowiedział:

— Umarł. Pełnił służbę na równinie i umarł.

Zauważył, że pierwszym słowem, jakie między nimi znowu padło, było „umarł”. Zauważył jednocześnie, że z powodu niedostatecznej znajomości jego języka wyrazy współczucia, jakich użyła, były jakieś nazbyt lekkie. Zza niego i z góry dopłynęły go słowa:

— Mój Boże! Jaka szkoda! Więc umarł i pogrzebany? Kiedyż to się stało?

— Jakiś czas temu. Matka zabrała jego ciało na dół. Wyrosła mu broda, jak na wojnie. Nad grobem oddano trzy honorowe salwy.

— Zasłużył na nie. Był bardzo dzielny. Dzielniejszy od innych, od niektórych innych.

— Tak, był dzielnym człowiekiem. Radamantys mówił zawsze o jego nadmiernej gorliwości. Ale ciało zbuntowało się. *Rebellio carnis*, jak mówią jezuici. Zawsze był przejęty sprawami ciała, lecz w szlachetny sposób. Ale w jego ciało wtargnęły pierwiastki nieszlachetne i spletało ono figła jego nadmiernej gorliwości. Zgubić się, a nawet dopuścić do zupełnej swej zagłady, jest rzeczą moralniejszą niżli zbytnio troszczyć się o siebie.

— Widzę, że ktoś jest wciąż jeszcze tym samym filozofującym niedobrego. Radamantys? Któż to taki?

— Behrens. Settembrini go tak przewał.

— Ach, Settembrini, przypominam sobie. To ten Włoch... Nie lubiłam go. Nie miał ludzkiego nastawienia. (Wyraz ten wymówiła „ludzkiego”, przedłużając pierwszą samogłoskę leniwo i z rozmarzeniem). Był zarozumiały. Nie ma go już tu? A ja jestem głupia. Nie wiem, co to znaczy: Radamantys.

— To coś humanistycznego. Settembrini przeniósł się gdzie indziej. Filozofowaliśmy bardzo dużo w ostatnich czasach, on, Naphta i ja.

— Kto to jest Naphta?

— To jego przeciwnik.

— Chciałabym go w takim razie poznać. Ale czyż nie przepowiedziałam, że pański kuzyn umrze, jeśli spróbuje służyć w wojsku na równinie?

— Tak, wiedziałaś o tym.

— Co pan sobie myśli?

Dłuższe milczenie. Nie odwoływał niczego. Czekał wtuliwszy głowę w oparcie, czekał z oczyma wizjonera, kiedy się ponownie głos odezwie, znów w niepewności, czy Kławdia stoi jeszcze za nim, w ciągłej obawie, że odgłos bliskiej muzyki zagłuszył może oddalające się kroki. Wreszcie głos odezwał się:

— A Monsieur nie pojechał nawet na pogrzeb kuzyna?

Odparł:

— Nie, pożegnałem się z nim tu, zanim zamknięto trumnę, bo zaczął się uśmiechać. Nie uwierzysz, jak zimne było jego czoło.

— Już znowu? Co za dziwny sposób zwracania! Się do damy, której się nieomal nie zna.

— Czy mam mówić humanistycznie zamiast mówić po ludzku? (Mimo woli i on wydłużał ten wyraz, jak ktoś, kto budzi się ze snu, przeciąga się i ziewa.)

— Quelle blague! * Pan tu był bez przerwy?

— Tak jest. Czekałem.

— Na co?

— Na ciebie.

Nad głową usłyszał wybuch śmiechu i jednocześnie wyraz „Głupiec!” — Na mnie? Nie puszczono cię pewnie.

— Owszem, Behrens już mnie raz zwolnił w ataku wściekłości. Ale to byłby dziki odjazd. Bo oprócz dawnych blizn z czasów szkolnych, wiesz przecież, znalazł Behrens świeże miejsce, które jest przyczyną gorączki.

— Wciąż jeszcze gorączka?

— Tak jest, wciąż trochę. Prawie ciągle, przychodzi i znów mija. Ale to nie jest gorączka' przerywana.

— Des allusions? *

Milczał. Ściągnął ponuro brwi nad swymi oczyma wizjonera. Po chwili zapytał:

— A gdzie ty byłeś?

Jej dłoń uderzyła o oparcie krzesła.

— Mais c'est un sauvage! * Gdzie byłam? Wszędzie. W Moskwie — (mówiła „w Muoskwie” z tym samym leniwym wydłużaniem samogłosek) — w Baku, w niemieckich miejscowościach kąpielowych, w Hiszpanii.

— O, w Hiszpanii. Jakże tam było?

— Tak sobie. Podróżuje się tam okropnie. Ludzie podobni do Murzynów. Kastylia bardzo sucha i sztywna. Kreml jest piękniejszy od tego zamku czy klasztoru tam, u stóp góry...

— Eskurial.

— Tak. Zamek Filipa. Nieludzki zamek. Taniec ludowy kataloński, sardana, przy dźwiękach kobzy, podobał mi się o wiele bardziej. Wszyscy chwytają się wpół i tańczą w koło. Sama także tańczyłam. Cały plac jest pełny. C'est charmant.* To jest ludzkie. Kupiłam sobie małą, niebieską czapeczkę, taką, jaką tam noszą wszyscy mężczyźni i chłopcy z ludu; podobna jest do fezu i nazywa się boina. Noszę ją podczas werandowania, a i kiedy indziej też. Monsieur oceni, czy mi w niej do twarzy.

— Jaki monsieur?

— A ten, co tu siedzi na krześle.

— Myślałem, że Mynheer Peeperkorn.

— Ten już osądził. Mówi, że wyglądam w niej zachwycająco.

— Rzeczywiście? Tak powiedział? Do końca? Skończył zdanie tak, że można go było zrozumieć?

— Ach, zdaje mi się, że ktoś jest w złym humorze. Że chciałby być złośliwy, zgryźliwy? I pokpiwać sobie z ludzi, którzy są o wiele więksi i lepsi, i bardziej ludzcy, aniżeli się jest samemu, razem ze swym... avec son ami bavard de la Mediteranee, son maitre grand parler...* Ale nie pozwolę, aby moich przyjaciół...

— Czy masz jeszcze fotografię mojego wnętrza? — przerwał wpadając w melancholijny ton.

Zaśmiała się.

— Musiałabym poszukać.

— Twoją noszę zawsze przy sobie. Poza tym mam małe sztalugi na komodzie, gdzie ją w nocy i —

Nie skończył. Przed nim stał Peeperkorn. Szukał swej towarzyszki podróży; wszedł do pokoju i stanął przed krzesłem, zajęтым przez tego, z którym rozmawiała stojąc z tyłu — stał jak wieża, tak blisko, że gdy Hans Castorp, mimo stanu somnambulicznego, w jakim się znajdował, zdał sobie sprawę, iż należy uczynić zadość grzeczności i powstać, mógł tylko przecisnąć się między tamtymi z trudem, usuwając się równocześnie na bok. W ten sposób osoby działające utworzyły trójkąt, z krzesłem pośrodku.

Pani Chauchat przedstawiła obu „panów” zgodnie z wymogami cywilizowanego Zachodu. Jest to znajomy z czasów jej pierwszego pobytu w tej miejscowości, powiedziała o Hansie Castorpie. Obecność zaś pana Peeperkorna nie wymagała żadnych wyjaśnień. Wymieniła tylko jego nazwisko, a Holender podał młodzieńcowi szeroką dłoń, której grzbiet pokryty był piegami, i zwrócił nań blade oczy, spod arabesek głębokich bruzd na czole, przypominających figury bożków. „Gdyby nie włócznie paznokci, rzekłbyś, że to dłoń kapitana okrętu” — pomyślał Hans Castorp. Znalazł się po raz pierwszy pod bezpośrednim wpływem potężnej osobistości Peeperkorna. „Osobistość” — wyraz ten nasuwał się wciąż na jego widok; nagle stawało się jasne, czym jest osobistość, a nawet nabierało się przekonania, że osobistość nie może w ogóle inaczej wyglądać. Hans Castorp czuł, że ten barczysty, rumiany, siwy, sześćdziesięcioletni mężczyzna, z boleśnie wykrojonymi wargami, długą i wąską brodą, spływającą na wysoko zapiętą kamizelkę duchownego, przytłacza swą mocą jego chwiejną młodzieńczość. Peeperkorn był zresztą uosobieniem grzeczności.

— Proszę pana — mówił — całkowicie. Niechże pan pozwoli — całkowicie! Zawieram z panem znajomość — znajomość z zaufaniem budzącym młodzieńcem — uświadomiam to sobie w pełni, proszę pana, i jestem tym do głębi przejęty. Pan mi się

podoba, mój panie; ależ proszę — bardzo pana proszę. Skończone. Przypadł mi pan do smaku.

Wszelki sprzeciw był niemożliwy. Jego wytworne gesty przesądzały wszystko z góry. Hans Castorp podobał mu się. Peeperkorn wysnuwał stąd wnioszek, którym dawał wyraz napomknieniami, a z ust jego usłużnej towarzyszki podróży otrzymywały one odpowiednie uzupełnienia.

— Moje dziecko — mówił — wszystko w porządku. Ale jakby to było — proszę mnie dobrze zrozumieć. Życie jest krótkie, a nasza możliwość zadośćuczynienia jego wymogom jest niestety — To fakty, moje dziecko. Prawa. Nie-u-błagane prawa. Słowem, moje dziecko, po prostu — Zamarł w wymownym geście, który wyrażał, że zrzuca z siebie odpowiedzialność na wypadek, gdyby mimo jego wskazówek popełniono jakiś błąd nie do naprawienia.

Było wyraźne, że pani Chauchat umie odgadywać z półsłówek jego życzenia. Rzekła:

— Ależ owszem. Możemy tu jeszcze zostać razem, rozegrać może jakąś partyjkę i wypić butelkę wina. Czemu pan stoi? — zwróciła się do Hansa Castorpa. — Proszę się ruszyć. Nie zostaniemy przecież we troje, trzeba zebrać większe towarzystwo. Kto jest jeszcze w salonie? Niech pan ściągnie kogo pan może. Proszę sprowadzić kilku przyjaciół z balkonów. A my zaprosimy doktora Ting-Fu, który siedzi przy naszym stole.

Peeperkorn zacierał ręce.

— Absolutnie — rzekł. — Doskonale! Wspaniale! Spiesz pan, młody przyjacielu! Proszę posłuchać! Stworzymy kółko! Będziemy grali, jedli i pili. Będziemy czuli, że — Absolutnie, młody człowieku!

Hans Castorp pojechał windą na drugie piętro. Zapukał do A. K. Fergego, a ten z kolei sprowadził z dolnej leżalni Ferdynanda Wehsala i pana Albina. Prokurator Paravant i państwo Magnusowie byli jeszcze w hallu, panie Stóhr i Kleefeld w salonie. Tu ustawiono pod środkowym żyrandolem duży stół do gry i otoczono go krzesłami i stolikami. Mynheer witał każdego nowego przybysza bladym i uprzejmym spojrzeniem, podnosząc

uważnie arabeski czoła. Zasiadło przy stole dwanaście osób, Hans Castorp w środku między majestatycznym gospodarzem a Kławdią Chauchat; rozłożono karty i żetony, gdyż zgodzono się na kilka rozgrywek vingt-et-un, a Peeperkorn w zwykły swój, pełen aluzyj sposób kazał karlicy podać wina, białego Chablis z roku 06, trzy butelki, na razie, oraz słodczy, suszonych owoców i cukierków, ile się tylko znajdzie. Zacie-
rał ręce z zadowolenia na widok przynoszonych smacznych rze-
czy, a nawet usiłował dać wyraz swym uczuciom za pomocą
zdań, które w znaczący sposób się urywały; udawało mu się to
w pełni, jeśli chodziło o działanie jego fascynującej osobistości.
Kładł obie dłonie na ręce sąsiadów, podnosił w górę palec wska-
zujący, podobny do grotu, skierowując uwagę obecnych na
wspaniały, złocisty odcień wina napelniającego wysokie kielichy,
na cukier wypacany przez grona z Malagi, a także na słone
i makowe precelki, które nazywał boskimi; równocześnie tłumił
w zarodku za pomocą stanowczego gestu wszelki możliwy
protest zwrócony przeciwko tej przesadzie. Sam pierwszy objął
bank, odstąpił go jednak wkrótce panu Albinowi, bo — jeśli go
dobrze rozumiano — zajęcie to przeszkadza mu w pełnym
rozkoszowaniu się chwilą.

Widać było, że hazard był dlań rzeczą uboczną. Grano bardzo
nisko — jego zdaniem; jako najmniejszą stawkę ustanowiono
pół franka, co jednak dla większości zebranych było dość
wiele; prokurator Paravant i pani Stóhr bledli i czerwienieli
na przemian, a szczególnie ta ostatnia wiała się wprost z niepew-
ności, czy ma dokupić jeszcze jedną kartę, mając już w rękę
osiemnastkę. Wykrzykiwała głośno, gdy pan Albin z zimną ru-
tyną rzucał jej wręcz kartę, której wysokość dowodziła, że de-
cyzja kupna była aktem zbyt ryzykownym. Peeperkorn śmiał się
z tego serdecznie.

— Proszę krzyczeć, proszę krzyczeć, Madame! — mówił. —
Brzmi to przenikliwie, ale jest w tym życie i pochodzi z naj-
głębszych — Proszę napić się i pokrzepić serce do nowych —

Dolewał jej wina, dolewał też swoim sąsiadom i sobie, za-
mówił jeszcze trzy butelki, trącał się kieliszkiem z Wehsalem

i opustoszoną wewnątrznie panią Magnus, ponieważ zdawało mu się, że im obojgu najbardziej trzeba ożywczego działania napoju. Twarze zabarwiały się szybko i coraz bardziej pod wpływem rzeczywiście wspaniałego wina; tylko doktor Ting-Fu pozostał nieodmiennie żółty, z czarnymi jak z dżetu, szczurzymi oczami; z tłumionym chichotem stawiał bardzo wysokie sumy i wygrywał z bezwstydnym szczęściem. Inni nie chcieli pozostawać w tyle. Prokurator Paravant wyzwał z zamglonymi oczami los i postawił dziesięć franków na początkową kartę, nie rokującą wielkich nadziei, dokupił za wiele i zbladł, ale wygrał sumę podwójną dzięki temu, że Albin w zbytnim zaufaniu do asa, którego miał w ręce, zdublował stawki. Wydarzenia te wstrząsały nie tylko bezpośrednio zainteresowanymi osobami. Całe towarzystwo brało w nich żywy udział, a nawet pan Albin, którego zimna rozważa rywalizować mogła z opanowaniem krupierów z Monte Carlo (oświadczył zresztą, że bywa tam stałym gościem), okazywał duże podniecenie. Hans Castorp grał również o wysokie stawki, podobnie jak panna Kleefeld i pani Chauchat. Z kolei grano w „chemin de fer”, w niebezpieczną „difference” i inne gry hazardowe. Rozległy się okrzyki radości, wybuchy rozpacz, wyładowania gniewu i ataki histerycznego śmiechu, wywołane zmiennym szczęściem; były szczere i poważne — nie mogłyby brzmieć inaczej pośród zmiennych losów samego życia.

Jednakże nie tylko gra i wino, a nawet nie one najbardziej budziły napięcie, rozpalały twarze, rozszerzały błyszczące źrenice, trzymały całe grono w napięciu i w prawie bolesnym skupieniu. Wszystko to tłumaczyć należało raczej obecnością w tym gronie władczej natury Peeperkorna, „osobistości”, dzierżącej władzę w swej wyrazistej dłoni i czarującej wspaniałą mimiką, bladym wzrokiem, porożonymi monumentalnymi bruzdami czołem, słowem i przekonującą pantomimą. Co takiego mówił właściwie? Coś niewyraźnego, tym bardziej niewyraźnego, im więcej pił. A jednak wszyscy słuchali z napięciem, patrzyli z podniesionymi brwiami i ustami rozchylonymi w uśmiechu na kółko utworzone przez palec wskazujący i wielki, obok któ-

rego sterczała ostro, na kształt włóczni, reszta palców; królewska twarz Holendra wciągała tymczasem słuchaczy w sferę uczuć znacznie przekraczających stopień zainteresowania i oddania, który skądinąd zwykli byli sobie przypisywać. Uczucia te były ponad siły niejednego. Pani Magnus załamała się pierwsza. Była bliska omdlenia, uparła się jednak, że nie odejdzie do swojego pokoju, i ułożyła się tylko na szezlongu, z mokrą serwetą na czole, po czym uspokoiła się i wróciła do towarzystwa.

Peeperkorn upatrywał przyczynę tego załamania się w złym odżywianiu. Wypowiedział się w tym duchu, w urywanych zdaniach, z podniesionym do góry palcem. Dał do zrozumienia, że trzeba jeść, porządnie jeść, aby czynić zadość wymaganiom — i zamówił posiłek dla całego grona, mięso, wędliny, ozór, gęsinę, pieczyście, kielbasę i szynkę — półmiski pełne przysmaków, garnirowane kulkami masła, rzodkiewkami i pietruszką, co upodabniało je do wspaniałych klombów kwiatnych. Wszyscy jedli z apetytem, mimo kolacji, której solidność była ponad wszelką wątpliwość; natomiast Peeperkorn uznał po kilku kęskach, że to wszystko nic niewarte; uczynił to gwałtownie i z gniewem, który był przerażającym wyrazem nieobliczalności jego władczej natury. Wpadł nawet we wściekłość, gdy ktoś odważył się wziąć w obronę podane przekąski; potężna głowa nabrzmiała mu i uderzał pięścią w stół, nazywając to wszystko przeklętą bryndzą — na co wszyscy umilkli, zmieszani, bo jako gospodarz miał ostatecznie prawo dowolnej oceny swych darów.

Zresztą było mu bardzo do twarzy z tym niezrozumiałym gniewem, jak to musiał przyznać nawet Hans Castorp. Nikt nie śmiał łączyć gwałtowności niezrozumiałego wybuchu z obfitą libacją, która go poprzedziła. Gniew nie szpecił mu twarzy, nie pomniejszał go, lecz nadał mu tyle wielkości i królewskości, że nikt nie śmiał głowy podnieść ani tknąć rozstawionych mięsów. Tylko pani Chauchat uspokajała swego towarzysza podróży. Gładząc jego szeroką dłoń kapitana, po uderzeniu spoczywającą teraz na stole, zauważyła przymilnie, że przecież można

zamówić *coś* innego, jakąś ciepłą potrawę, jeśli tylko on zechce, a kucharz da się jeszcze do tego namówić. — Moje dziecko — odparł — dobrze. — Całując rękę Kławdii, znalazł bez trudu, z godnością, przejście od ataku wściekłości do umiarkowania. Zażądał omletów dla siebie i swoich — dobrych omletów z drobno siekaną jarzyną, aby można zadośćuczynić wymaganiom. Wraz z zamówieniem przesłał do kuchni banknot stufrankowy, by skłonić służbę do przerwania spoczynku po pracy.

Kiedy zjawiła się na kilku półmiskach dymiąca potrawa, karnarkowożółta w zielone plamki i rozniósł się po pokoju miękki, ciepły zapach jaj i masła, wrócił mu dawny humor. Zabrano się do jedzenia wraz z Peeperkornem, który urywanymi słowami i wytwornymi gestami przymuszał wszystkich do skupionej, żarliwej czci, należnej darom bożym. Kazał do tego podać holenderskiej jałowcówki i zmusił wszystkich, aby z nabożeństwem wychylili kieliszki, pełne przejrystego trunku, woniącego zdrowym zapachem zboża z delikatną przymieszką jałowca.

Hans Castorp palił. Pani Chauchat również nie gardziła papierosami z ustnikiem, które dla jej wygody leżały przed nią na stole w rosyjskiej, łukowej papierošnicy, zdobnej w obrazek pędzącej „trojki”; Peeperkorn nie miał sąsiadom za złe, że używają tej przyjemności, ale sam nie palił, nie czynił tego nigdy. Twierdził, jeśli go dobrze rozumiano, że palenie tytoniu należy zaliczyć do tych nadmiernie wyrafinowanych rozkoszy, które umniejszają majestat zwykłych darów życia, a przecie uczuciom naszym ledwie mocy starczy, aby tym przynajmniej uczynić zadość. — Młodzieńcze! — rzekł do Hansa Castorpa, czarując go bladym wzrokiem i wytwornym gestem — młodzieńcze — prostosta! To świętość! Dobrze, pan mnie rozumie. Flaszka wina, dymiąca potrawa z jaj, czysta wódeczka — użyjmy tego w pełni, wyczerpmy do dna, uczynimy zadość, zanim — Absolutnie, mój panie. Skończone. Znałem ludzi — kobiety i mężczyzn, kokainistów, palaczy haszyszu, morfinistów — Zgoda, przyjacielu! Wspaniale! Niechże im będzie! Nie powinniśmy prawować się ani sądzić. Ale wobec tego, co powinno być na

pierwszym miejscu, wobec tego, co proste, wielkie, co od Boga początek bierze, ci ludzie okazali się zupełnie — Skończone, przyjacielu. Potępione. Zarzucone. Wobec wszystkiego tamtego okazali się bezsilni. Jakże się też pan nazywa, młody człowieku — Zgoda, wiedziałem to, ale zapomniałem znowu — nie w kokainie, nie w opium, nie w samym nałogu leży zdrożność. Grzech niewybaczalny tkwi —

Przerwał. Przedłużał chwilę potężnego, pełnego wyrazu milczenia, wysoki i barczysty, pochylony ku sąsiadowi, z podniesionym palcem, nieregularnie rozdartymi ustami, pod wargą bezwąsą, czerwoną, z lekkim zadrażnieniem od golenia, z podniesionymi w wysiłku fałdami nagiego, biało opłomienionego czoła i z rozszerzonymi małymi, wyblakłymi oczami. Hans Castorp widział w nich coś jakby przerażenie przed zbrodnią, przed wielkim grzechem, przed niewybaczalnym niespełnieniem swych zadań, o których napomknął. Milcząco, oczarowując mocą swej niewyraźnej a władczej natury, nakazywał zgłębić całą okropność tego grzechu. Przerażenie to, myślał Hans Castorp, ma podstawy rzeczowe, ale jest w nim także jakiś pierwiastek osobisty, odnoszący się tylko do jego królewskiej osoby... A więc strach, i to nie byle jaki, słaby strach, ale, jak się wydawało, strach wręcz paniczny, zabłysnął przez chwilę w jego oczach. Hans Castorp zbyt był skłonny do doznawania czci, aby na ten widok nie odczuć wstrząsu, mimo że miał powody do zajęcia wrogiego stanowiska wobec majestatycznego towarzysza podróży pani Chauchat.

Spuścił wzrok i skinął, aby swemu wspaniałemu sąsiadowi wyrazić pełne zrozumienie.

— To prawda — rzekł. — Jest to zapewne grzechem — i świadectwem niewystarczalności człowieka — jeśli ulega wy rafinowanym rozkoszom, a sprostać nie potrafi zwykłym naturalnym darom życia, tak wielkim przecie i świętym. To miał pan na myśli, Mynheer Peeperkorn, jeśli go zrozumiałem dobrze. Zgadzam się z panem, jest to i moje przekonanie, choć mi to jeszcze samemu nie przychodziło do głowy. Zresztą te zdrowe i proste dary życia rzadko bodaj spotykają się ze sprawiedli-

wą oceną. Większość ludzi jest niewątpliwie zbyt leniwa, nieuważna, niesumienna i duchowo wyjałowiona, aby je sprawiedliwie ocenić. Tak to chyba jest.

Mocarz był w wysokim stopniu zadowolony. — Młody człowieku — mówił — wspaniale. Pozwoli mi pan — już ani słowa. Proszę napić się ze mną, wychylić kieliszek do dna, splećmy ramiona. Nie chcę proponować panu braterskiego „ty” — miałem zamiar uczynić to przed chwilą, ale zastanowiłem się, że to byłoby nieco przedwcześnie. Najprawdopodobniej będę mógł w najbliższym czasie — Może pan być tego pewien! Gdyby pan jednak chciał i upierał się, abyśmy natychmiast —

Hans Castorp delikatnie poparł projekt zwłoki, podany przez Peeperkorna.

— Dobrze, chłopcze. Dobrze, kolego. Niewystarczalność — dobrze. Dobrze i straszliwie zarazem. Niesumienność — bardzo dobrze. Dary — niedobrze. Żądania! Święte, kobiece żądania, które życie stawia honorowi i sile męskiej —

W tej chwili Hans Castorp zdał sobie sprawę, że Peeperkorn jest zupełnie pijany. Nie było jednak w tym pijaństwie nic zawstydzającego ani poniżającego, nie umniejszało w niczym jego godności, lecz, przeciwnie, łączyło się z wrodzonym mu majestatem we wspaniałą, czcigodną całość. „Pijany Bachus — rozmyślał Hans Castorp — opierał się również na ramionach swych ogarniętych entuzjazmem towarzyszy, a jednak nie tracił nic ze swej boskości; wszystko więc zależało od tego, kto był pijany, wybitna osobistość czy zwykły szewc.” Usiłował nie uronić nic z respektu przed przygniatającym sąsiadem, choć wytworne gesty Holendra stały się niepewne a mowa niewyraźna.

— Bracie — mówił Peeperkorn, przechylając w tył potężne ciało w swobodnym, dumnym zamroczeniu alkoholem, wyciągnąwszy rękę i uderzając lekko a niepewnie pięścią w stół — w przyszłości — w niedalekiej przyszłości, choć na razie jeszcze rozważność — dobrze. Skończone. Życie — młody człowieku — to jest kobieta, rozłożysta kobieta, z bujnymi piersiami, szerokim miękkim brzuchem między potężnymi biodrami,

ze szczupłymi ramionami i krągłymi udami, i na wpół przy-
mkniętymi oczami, wspaniale, szyderczo prowokuje nas, domaga
się największego wysiłku, pełnego napięcia męskiej żądz, któ-
ra wyjdzie zwycięsko z tej próby albo haniebnie zawiedzie —
haniebnie, młody człowieku, czy pan rozumie, co by to zna-
czyło? Klęska uczucia w walce z życiem to niewystarczalność,
dla której nie ma łaski, nie ma współczucia ani godności; musi
być zepchnięta bezlitośnie i szyderczo ■— skoń-czona, młodzień-
cze, i oplwana... Hańba i zbezczeszczenie — to słowa zbyt słabe
na oddanie istoty tej ruiny i tego bankructwa, tej straszliwej
kompromitacji. To kres wszystkiego, piekielna rozpacz, konfec
świata...

Mówiąc to przechylał coraz bardziej ku tyłowi ciało i opusz-
czał królewską głowę coraz niżej ku piersi, jakby usypiał. Przy
ostatnich jednak słowach osłabłą pięścią uderzył z całej siły
w stół, tak że wątył Hans Castorp, zdenerwowany grą i winem,
i niezwykłymi okolicznościami, aż podskoczył i spojrzął na
mocarza z czcią i przerażeniem. „Koniec świata” — jakże z ty-
mi słowami było mu do twarzy! Hans Castorp nie przypominał
sobie, by z czyichkolwiek ust był je kiedyś słyszał, chyba je-
dyńie na lekcji religii w szkole. I nic w tym dziwnego, myślał,
bo któż z jego znajomych mógłby wygłosić te grzmiące słowa,
kto, żeby sformułować pytanie w sposób właściwy, posiadał do
tego o d p o w i e d n i format? Mógłby ich kiedyś być użyć mały
Naphta, byłoby to jednak uzurpacją i pretensjonalną gadaniną,
podczas gdy w ustach Peeperkorna piorunujące wyrazy brzmia-
ły jak grzmiący dźwięk potężnej trąby, pełne biblijnej wiel-
kości. „Mój Boże — ależ to osobistość! — mówił sobie po raz
setny. — Spotkałem wielkiego człowieka, który jest towarzy-
szem Kławdii!” — On również nie był już zupełnie trzeźwy.
Obracał swój kieliszek dokoła jego osi, drugą rękę włożył do
kieszeni spodni i mrużył jedno oko przed dymem papierosa,
trzymanego w kąciku ust. Czy powinien milczeć, gdy powołane
do tego usta wyrzekły piorunujące słowa? Na cóż mógł się
jeszcze przydać jego kruchy głos? Ale jego demokratyczni wy-
chowawcy — obaj z natury swej demokratyczni, choć jeden

z nich temu zaprzeczał — przyzwyczaili go do dyskusowania, pozwolił więc sobie na jeden ze swych dobroduszych komentarzy. Rzekł:

— Uwagi pańskie, Mynheer Peeperkorn (cóż to za wyrażenie: Uwagi! Czyż robi się „uwagi” o końcu świata?) — skierowują myśli moje z powrotem ku temu, cośmy poprzednio mówili o nałogu, a mianowicie, że jest on obrazą najprostszych, świętych, jak je pan nazywa, czy też klasycznych, jak ja bym je nazwał, darów życia, tych darów wielkiego formatu, które marnujemy, dając pierwszeństwo wtórnym i wymyślnym, wyrafinowanym, którym się „ulega”, jak się jeden z nas wyraził, podczas gdy tamtym, wielkim, człowiek „poświęca się”, „hołduje”. Lecz w tym dopatruję się zarazem okoliczności usprawiedliwiającej „nałóg” — wybaczy pan, ja już z natury jestem skłonny do tego, by wszystko usprawiedliwiać — choć czuję wyraźnie, że to nie jest wcale dowodem formatu duchowego. Otóż można go usprawiedliwić, skoro polega na tym, co nazwaliśmy „niewystarczalnością”. To, co pan mówił o okropnej niewystarczalności, posiada taki format, że jestem tym szczerze przejęty. Ale nie zdaje mi się, aby człowiek ulegający nałogowi był nieczuły na te okropności, przeciwnie, zdaje sobie z nich sprawę, gdy załamanie się jego uczucia wobec klasycznych darów życia zapędza go w ramiona nałogu. Nałóg więc może być pojęty nie tylko jako obraza życia, ale także jako hołd życiu składany; boć przecie wyrafinowane rozkosze, są środkami odurzającymi i podniecającymi, stimulantia, jak to się mówi; służą one do wsparcia i wzmoczenia siły uczuć. Więc jednak ich celem i sensem jest życie, pragnienie doznawania uczuć, pragnienie uczucia, pragnienie, którego doznaje niewystarczalność... Zdaje mi się...

Co też on właściwie mówił? Czy nie dość demokratycznego bezwstydu było już w tym, że ośmielił się mówić „jeden z nas” i zestawić swoje zdanie z twierdzeniami Holendra, które są twierdzeniami prawdziwej osobistości? Czy odwagi do tego zuchwalstwa nie czerpał z owej przeszłości, która niejasne światło rzucała na obecne prawa Peeperkorna? Co go ugryzło, że się

zaplątał w również bezwstydną analizę pojęcia „nałogu”? Trzeba było mu już tylko o tym myśleć, jak się z tego wyplątać; zdawało się bowiem pewne, że sprowokował coś strasznego.

Mynheer Peeperkorn siedział podczas całej jego mowy bez ruchu, przechylony w tył, z głową zwieszoną na piersi, tak że można było wątpić, czy słowa Hansa Castorpa docierały do jego świadomości. Teraz dopiero, kiedy młodzieniec zmieszał się, począł się wolno prostować, podnosił się coraz wyżej, aż wreszcie stanął w całej swej wysokości. Majestatyczna głowa nabrzmiewała i zalewała się czerwienią, arabeski zmarszczek podnosiły się i napinały, a małe oczy rozszerzały się z wyrazem bladej groźby. Co się tu gotowało? Niewątpliwie nadciągał atak furii, wobec której tamten, poprzedni, był raczej przystępem złego humoru. Zacisnęły się w potężnym gniewie wargi Mynheera, tak że kąty ust opadły, a broda wysunęła się naprzód; zaciśnięta pięść prawej ręki podnosiła się z groźnym rozмахem. Lada chwila unicestwiający cios spadnie na demokratycznego gadułę, który, przerażony i zarazem rozradowany przygodą i widokiem wyrazistego królewskiego gniewu, z trudem krył strach i chęć ucieczki. Chcąc zażegnać burzę, mówił z pośpiechem:

— Naturalnie, wyraziłem się nieściśle. Wszystko to jest kwestią formatu, niczym więcej. Nic z tego, co ma format, nie może być nałogiem. Nałóg nie ma nigdy wielkiego formatu. Nie ma go też wyrafinowanie. Ale ludzka potrzeba doznawania uczuć odkryła już w zamierzchłych czasach pewien środek pomocniczy, odurzający i pobudzający, który należy sam do klasycznych darów życiowych, posiada więc cechy prostoty i świętości, przeciwnej nałogowi. Środkiem tym, posiadającym, że się tak wyrażę, pewien format, jest wino, boski dar, ofiarowany ludziom, jak to twierdziły już starożytne, przejęte humanizmem ludy, filantropijny wynalazek boga, wynalazek, z którym związana jest nawet — że pozwolę sobie to zaznaczyć — nasza cywilizacja. Słyszymy przecie, że ludzie wyszli ze swego pierwotnego barbarzyństwa i nabrali kultury dzięki sztuce uprawiania i tłoczenia wina, i dziś jeszcze — co jest rzeczą

godną uwagi — narody, u których rośnie wino, uchodzą za bardziej kulturalne od innych, od nie znających wina Kimmeriów *. Znaczy to, że cywilizacja nie jest rzeczą rozsądku i obdarzonej piękną dykcją trzeźwości, lecz raczej zapału, upojenia, poczucia krzepkości. Czy pan się z tym zgadza, jeśli wolno teraz zapytać o pańskie zdanie w tej sprawie?

Szczwany lis z tego Hansa Castorpa. Lub raczej, jak się wyraził po literacku i wytwornie pan Settembrini — „filut”. Nieostrożny, a nawet zuchwały w stosunkach z wybitnymi osobistościami — a potem znów chytry, gdy trzeba wypić piwo, którego nawarzył. Oto w możliwie najprzykrzejszej sytuacji zaimprowizował zgrabnie apologię pijaństwa, zarazem skierował mimochodem rozmowę na kwestię cywilizacji, której trudno się było dopatrzeć w pierwotnym, wybuchowym zachowaniu się Peeperkorna, a wreszcie odebrał podstawy takiemu zachowaniu się postawiwszy pytanie, na które żadną miarą odpowiedzieć nie było można z podniesioną pięścią. Toteż Holender złagodził przedpotopowy gest gniewu; ręka jego opadła powoli na stół, wyraz twarzy uspokoił się; stał się już mniej groźny, mówił: „twoje szczęście!” Burza minęła. Poza tym wmieszała się w tej chwili pani Chauchat, zwracając uwagę swemu towarzyszowi na zmianę nastroju gości.

— Drogi przyjacielu, zaniedbuje pan swych gości — mówiła po francusku. — Poświęca się pan zbyt wyłącznie temu panu; niewątpliwie omawiacie jakieś ważne sprawy, ale tymczasem gra się prawie urwała, obawiam się, że towarzystwo się nudzi. Chyba zakończymy już wieczór?

Peeperkorn popatrzył na grono zebrane dokoła stołu. Racja: wszystko, zdemoralizowane, popadło w letarg, ośpienie; goście dokazywali jak klasa bez nadzoru. Niektórym oczy kleiły się do snu. Peeperkorn niezwłocznie chwycił w ręce puszczone cugle. — Moi państwo — zawołał podnosząc wskazujący palec, i ten zaostrzony palec nabrał znaczenia wznoszonej szpady lub sztandaru z wypisanym nań hasłem w rodzaju: „Za mną, kto w Boga wierzył!”, hasłem, za pomocą którego dowódca powstrzymuje wojska idące w rozsypkę. Od razu dało się odczuć

popudzające i skupiające działanie jego osobowości. Ludzie jakby przysli do siebie, na zmęczonych twarzach ukazało się znów napięcie i uśmiechy skierowały się ku bladym oczom potężnego gospodarza, patrzącym spod sieci zmarszczek jak na posągach bożków. Wszyscy znaleźli się pod jego urokiem i poczuli świeży przyływ sił, patrząc, jak pochyła palec wskazujący ku wielkiemu i wyciąga resztę palców o zaokrąglonych paznokciach. Potem rozpostarł swą kapitańską dłoń, a z boleśnie rozdartych warg popłynęły słowa, które, choć niejasne, nosiły jednak na sobie piętno osobowości i dzięki temu uzyskiwały władzę nad umysłami.

— Dobrze — moi państwo. Ciało, moi państwo, tak już jest — Skończone. Nie — proszę mi pozwolić, proszę — „mdłe”, tak stoi w Piśmie. „Mdłe” to znaczy skłonne, aby wymaganiom — lecz ja apeluję do waszej — Jednym słowem, moi państwo, a-pe-lu-ję. Odpowiedz na to: sen. Dobrze, moi państwo, doskonale, świetnie. Kocham i szanuję sen. Czczę głęboką, słodką, krzepiącą rozkosz, jaką daje. Sen należy do — jak pan to powiedział, młody człowieku? — do klasycznych darów życia, pierwszego, najpierwszego — przepraszam — najwyższego rzędu, moi państwo. Proszę jednak zwrócić uwagę i przypomnieć sobie dobrze: Getsemani! „A wzięwszy Piotra i dwu synów Zebedeuszowych — Tedy im rzekł: Czekajcie tu a czuwajcie ze mną”. Przypominacie sobie? „I przyszedł do uczniów swoich i znalazł ich śpiących. I rzekł Piotrowi: Tak, nie mogliście jednej godziny czuwać ze mną?” Potężne, moi państwo. Przejmujące. Wzruszająca. „I przyszedł znowu, i znalazł ich śpiących, albowiem były oczy ich obciążone — I rzekł im: Już śpijcie i odpoczywajcie. Oto przybliżyła się godzina —” * Moi państwo: Przejmujące, rozdzierające.

Wszyscy byli rzeczywiście do głębi przejęci i zawstydzeni. Złożył ręce na piersi i pochylił głowę na bok. Gdy z bolesnych warg popłynęły słowa o samotnym cierpieniu przedśmiertnym, jego blade spojrzenie załamało się. Pani Stóhr załkała. Pani Magnus westchnęła głęboko. Prokurator Paravant poczuł się w obowiązku wystąpić w imieniu wszystkich zebranych

i w krótkich, cichych słowach zapewnił czcigodnego gospodarza, że wszyscy solidaryzują się z nim całkowicie. Zaszła chyba jakaś pomyłka, bo całe grono czuje się świeże, rażne, wesołe i jest oddane duszą sprawie. Jest to wieczór tak piękny, tak uroczysty, wręcz niezwykły — wszyscy to pojmują i czują i nikt nie myśli na razie skorzystać z tego daru życia, jakim jest sen. Mynheer Peeperkorn może liczyć na swych gości, na wszystkich razem i na każdego z osobna.

— Doskonale! Wyśmienicie! — zawołał Peeperkorn i wyprostował się. Rozłożył ręce, wyprostował je ku górze, dłońmi na zewnątrz, jakby do jakiejś pogańskiej modlitwy. Jego wspaniała fizjonomia, uduchowiona jeszcze przed chwilą gotyckim bólem, rozkwitła nagle bujną radością; na policzku ukazał się nawet dołek sybaryty. „Oto przybliżyła się godzina —” Kazał podać sobie kartę, włożył na nos binokle w rogowej oprawie, których siodełko sterczało mu wysoko na czole, i zamówił szampana, trzy butelki, marki Mumm et Co, Cordon rouge, tres sec; do tego petits fours, wspaniałe, stożkowatego kształtu ciasteczka, oblane barwnym lukrem, z najdelikatniejszego ciasta biszkoptowego, nadziewane kremem czekoladowym i pistacjowym; podano je na okrągłych serwetkach papierowych o koronkowych brzegach. Pani Stóhr, zjadając je, oblizywała palce. Pan Albin z rutyną i niedbale wy dobył pierwszy korek z więzów drutu, a potem otworzył butelkę, przy czym z ozdobnej szyjki butelki korek w kształcie grzybka wyleciał aż pod sufit, z trzaskiem dzieciennego pistoletu; potem owinał butelkę do połowy serwetką, jak się to zwykło czynić w eleganckim świecie przed nalewaniem wina do kieliszków. Szlachetna piana zwilżyła serwetki leżące na stolikach. Tracono się płytkimi kieliszkami i wychylono je duszkiem, elektryzując swe wnętrza lodowato zimnym, pachnącym, musującym napojem. Oczy zabłysły. Grę przerwano, a nikt nie pomyślał o tym, aby zebrać ze stołu karty i pieniądze. Towarzystwo całe popadło w błogi stan rozleniwienia; rozprawiano o tym i o owym bez związku; składniki rozmowy, podjęte w podnieceniu, same przez się były jak najbardziej obiecujące w swym stadium początkowym, ale

w miarę jak się krystalizowały, zmieniały się w fragmentaryczny, jakby odrętwiały, częścią niedyskretny, częścią zaś niezrozumiały galimatias, mogący wzbudzić gniew i wstyd w każdym trzeźwym człowieku, który by przyłączył się do towarzystwa. Natomiast obecni znosili go bez przykrości, wszyscy bowiem znajdowali się w tym samym wykluczającym wszelką odpowiedzialność stanie. Nawet pani Magnus poczerwieniały uszy i wyznała, że czuje, jak życie płynie jej w żyłach, co jednak nie bardzo uradowało pana Magnusa. Hermina Kleefeld oparła się plecami o pana Albina, podając mu kieliszek do napełnienia. Peeperkorn ostrymi i wytwornymi ruchami dyrygował bachanalią, a nie zapominał, że puste butelki należy zastępować pełnymi. Po szampanie kazał podać kawę, mocca double, ze zwykłym płynnym „chlebem” i czymś słodkim a ostrym, Apricots-brandy, Chartreuse. Creme de Yanyille oraz Maraschino dla dam. Później podano ostre filety z ryb i piwo, a wreszcie herbatę chińską i rumianek, dla tych, co nie woleli pozostać przy szampanie i likierach lub też wrócić do jakiegoś poważnego wina, do tych ostatnich należał też Mynheer, który dla siebie, pani Chauchat i Hansa Castorpa kazał po północy dać butelkę czerwonego szwajcarskiego, lekko, jakby naiwnie musującego wina i, prawdziwie spragniony, wychylał kieliszek za kieliszkiem.

O godzinie pierwszej po północy zabawa trwała w najlepsze. Przerwać jej nie pozwalało ciężkie jak ołów obezwładnienie alkoholem czy też szczególnie przyjemność, jaką sprawia nocna hulanka, a także osobliwy wpływ Peeperkorna i odstraszący przykład św. Piotra i jego uczniów, nikt nie chciał naśladować ich mdłego ciała. Na ogół kobiety okazały się pod tym względem wytrzymalsze niż mężczyźni. Ci, czerwoni albo bladzi, nadymali policzki i wyciągali się na krzesłach, od czasu do czasu mechanicznie, ale już bez należytego animuszu sięgając po kieliszki. Kobiety natomiast pełne były zapału. Hermina Kleefeld oparła nagie łokcie na stole i, z policzkami na dłoniach, szczyrzyła w śmiechu zęby do chichocącego Ting-Fu. Tymczasem pani Stohr kokietowała przez ramię prokuratora,

usiłując w ten sposób przykuć go na nowo do życia. Pani Magnus zapomniała się tak dalece, że usiadła panu Albinowi na kolanach i ciągnęła go za uszy, co jednak jej mężowi sprawiało już raczej ulgę. Anton Karłowicz Ferge zaczął na ogólne żądanie opowiadać o swym wstrząsie opłucnowym, ale język odmówił mu posłuszeństwa: przyznał się uczciwie do tego bankructwa, co uznano jednogłośnie za hasło do wychylenia kieliszków. Wehsal zapłakał gorzko nad jakąś głęboką niedolą, ale nie był już zdolny słowami jej wyrazić bliźnim, jednakże kawa i koniak postawiły go wkrótce duchowo na nogi; rzęzenia wydobywające się z jego piersi, drżący, pomarszczony podbródek, ociekający łzami, zainteresował wielce Peeperkorna. Podniesionym palcem wskazującym i podciągniętymi arabeskami czoła skierował ogólną uwagę na stan, w jakim znajdował się Wehsal.

— Oto jest -r- rzekł. Oto jest przecie — Proszę pozwolić: święty! Osusz mu brodę, dziecko, weź moją serwetkę! Albo lepiej nie, nie czyni tego! On sam nie życzy sobie. Moi państwo — święty!! Święty wedle wszelkich pojęć chrześcijańskich i pogańskich! Fenomen pierwotny! Fenomen pierwszej — najwyższej — Nie, nie, to jest——

Cały ton wyjaśnień nastrojał się do słów „Oto jest” i „Oto jest przecie”. Towarzyszyły im precyzyjne, choć już nieco w burleskę wpadające wytworne gesty. Gdy ponad ucho podnosił zgięty palec wskazujący, tworzący koło z wielkim palcem, a głowę żartobliwie odwracał, to działał na zebranych tak, jakby sędziwy kapłan jakiegoś nieznanego kultu, który by, uniósłszy suknie, z dziwacznym wdziękiem tańczył dokoła ofiarnego ołtarza. Potem, wspaniale rozsiadłszy się w fotelu, z ręką opartą o sąsiednie krzesło, skierował ogólną uwagę na inny tor: ze zdumieniem słuchali, jak żywo i wnikliwie zaczął malować mroźny, ciemny poranek zimowy, kiedy złotawy odbłask lampki nocnej przedziera się poprzez okno w głąb nagich gałęzi, chwiejących się na dworze w lodowatej, rozbrzmiewającej krakaniem wron, porannej mgle... Niewyraźnymi aluzjami zdołał nadać tyle mocy temu codziennemu widokowi, że wszyscy zadrżeli,

tym bardziej iż wspomniał także o lodowatej wodzie, którą można by w taki poranek polewać sobie kark, wyciskając wielką gąbkę. Wodę taką nazywał świętą. Była to tylko dygresja, rzucona jako przykład zwracania uwagi na sprawy życia, fantastyczne impromptu, które rozsunął przed słuchaczami, aby po chwili całą swą wnikliwość i siłę uczucia zwrócić do swobodnego nastroju nocy. Wyznał, że jest zakochany we wszystkich bez wyjątku kobietach, bez wyboru i bez względu na ich osobę. Czynił karlicy tego rodzaju propozycje, że kaleka szczyrzyła zęby w uśmiechu złościącym bruzdy na jej wielkiej starej twarzy; pani Stóhr prawili komplementy takiego kalibru, że ta ordynarna kobieta bardziej jeszcze pochylała ku przodowi ramiona, dochodząc w swym wdzięczeniu się do granic szaleństwa; skłonił pannę Kleefeld do złożenia pocałunku na jego dużych, jakby rozdartych ustach, czarował nawet beznadziejną panią Magnus. A jednocześnie swej towarzyszcze podróży okazywał czułe przywiązanie i często z rycerskim nabożeństwem podnosił do ust jej dłoń. — Wino — mówił — kobiety———To jest — To jest przecie — Proszę mi pozwolić — Koniec świata — Getsemani———

Około godziny drugiej gruchnęła wieść, że „stary” — a więc radca Behrens — zbliża się pospiesznym marszem do sal rozrywkowych. Znużone towarzystwo ogarnęła momentalnie panika. Przewracając krzesła i kubły z lodem uciekano przez pokój biblioteczny. Peeperkorn wpadł w królewski gniew na widok nagłego zakończenia zabawy, tej uczty na cześć życia, uderzał pięścią w stół i wołał za uciekającymi coś o tchórzliwych niewolnikach. Jednakże pod wpływem Hansa Castorpa i pani Chauchat pogodził się do pewnego stopnia z myślą, że uczta, która trwała około sześciu godzin, musiała się i tak kiedyś skończyć; posłuchał więc upomnień o świętych własnościach krzepiącego snu i zgodził się na to, aby go zaprowadzono do łóżka.

— Wesprzyj mnie, moje dziecko! I ty mnie wesprzyj z drugiej strony, młody człowieku! — rzekł do pani Chauchat i Hansa Castorpa. Przy ich pomocy uniósł z krzesła swoje ciężkie

ciało; podali mu ramiona, a on wsparty na nich, stąpając szeroko, z potężną głową przechyloną w jedną stronę, chwiejnymi krokami, spychając na bok to jedno, to drugie z nich, wyruszył na spoczynek. Pozwalał się tak prowadzić i wspierać w gruncie, rzeczy po to, aby ukazać swój królewski przepych. Gdyby był do tego zmuszony, prawdopodobnie mógłby iść o własnych siłach — ale gardził wysiłkiem, który w danym wypadku mógłby mieć tylko ten małostkowy cel, aby wstydliwie ukryć stan zamroczenia alkoholem. Nie wstydził się widocznie tego stanu, lecz przeciwnie — wyżywał się w nim szeroko i bujnie i było to jego królewskim żartem, że zataczając się popychał chwiejnie swych usłużnych przewodników na prawo i na lewo. Tak idąc powiedział:

— Dzieci — nonsens — nie jest się naturalnie wcale — Gdyby w tej chwili — Zobaczylibyście — Śmieszne —

— Śmieszne! — potwierdził Hans Castorp. — Ależ bez wątpienia! Można uczcić godnie klasyczny dar życia, chwiejąc się swobodnie na jego cześć to w prawo, to w lewo. Natomiast na serio... Ja przecież również nie jestem zupełnie trzeźwy, a jednak — mimo tak zwanego zamroczenia alkoholem zdaję sobie sprawę z tego, że mam szczególnie zaszczyt odprowadzania do łóża wybitnej osobistości. Tak mało władzy ma to zamroczenie nade mną, który przecież pod względem formatu w ogóle nie mogę się nawet równać —

— Baj baj, ty mały gaduło — rzekł Peeperkorn i zatoczywszy się pchnął go na poręcz schodów, a równocześnie pociągnął za sobą panią Chauchat.

Najwidoczniej wieść o zbliżaniu się radcy była strzałem na postrach. Być może, że rozgłosiła ją zmęczona karlica, aby położyć kres zabawie. Wobec tego Peeperkorn zatrzymał się i chciał zawrócić, aby pić dalej; ale pod wpływem perswazyj obojga przewodników ustąpił i pozwolił prowadzić się na spoczynek.

Małajski kamerdyner, ów człowieczek w białym krawacie i czarnych jedwabnych pantoflach, czekał na swego pana w korytarzu, przed drzwiami jego apartamentu; skłonił się, składając rękę na piersi, i przejął Peeperkorna od obojga.

— Pocałujcie się! — rozkazał Peeperkorn. — Młody człowieku, na zakończenie ucałuj tę czarującą kobietę w czoło! — zwrócił się do Hansa Castorpa. — Nie będzie miała nic przeciwko temu i odda ci pocałunek. Uczynź to na moje zdrowie i za moim pozwoleniem! — rzekł; Hans Castorp jednak wzbraniał się.

— Nie, Wasza Królewska Mość! — odparł. — Proszę o wybaczenie, ale to niemożliwe.

Peeperkorn, oparty o kamerdynera, podniósł arabski zmarszczek i zażądał wyjaśnienia — dlaczego to jest niemożliwe.

— Ponieważ nie mogę z pańską towarzyszką podróży wymieniać pocałunków w czoło — odparł Hans Castorp. — Życzę spokojnej nocy! Nie, jakkolwiek by na to spojrzeć, byłoby to czystym nonsensem!

Ponieważ także i pani Chauchat zbliżała się już do swoich drzwi, przeto Peeperkorn pozwolił odejść krnąbrnemu młodzieńcowi; jednakże patrzył jeszcze chwilę za nim przez swoje i przez Mała języka ramię, z podniesionymi brwiami, zdumiony oporem, do którego nie przywykła jego władcza natura.

MYNHEER PEEPERKORN (DALSZY CIĄG)

Mynheer Peeperkorn pozostał w sanatorium „Berghof” przez całą zimę — raczej przez resztę zimy — i początek wiosny, tak że urządzono jeszcze na zakończenie pamiętną wspólną (z udziałem także Settembriniego i Naphty) wycieczkę do Flielatal i do tamtejszego wodospadu... Na zakończenie? A więc nie został już dłużej? Nie, nie został. — A więc potem odjechał? — Tak i nie. — Tak i nie? Proszę, co za tajemniczość! Potrafimy przecież zapanować nad sobą. Zmarł przecież także porucznik Ziemssen, nie mówiąc już o tylu innych, mniej znaczących, z którymi śmierć poszła w tany. Czyż więc niewyraźnego Peeperkorna dobiła złośliwa malaria? — Nie, to nie to, ale cierpliwości! Nie wszystko może się dziać równocześnie, trzeba uznawać ten podstawowy warunek życia i opowiadania, bo

przecież nikt nie zechce buntować się przeciw formom ludzkiego poznania, danym przez Boga! Uszanujmy czas przynajmniej o tyle, o ile pozwala na to jeszcze istota naszej opowieści! Niewiele to już zresztą znaczy, bo już wszystko w niej pędzi na łeb, na szyję ku końcowi albo, aby wyrazić się mniej hałaśliwie, sunie chyłkiem ku zakończeniu. Jakaś malutka wskazówka odmierza nam czas, drecze, jakby odmierzała sekundy, a tymczasem, Bóg wie dlaczego, z zimną krwią i nie zatrzymując się mija punkt kulminacyjny. Jesteśmy tu w górze od lat, to pewne, w głowie nam się od tego kręci, jest to jakby sen nałogowca, tylko że bez opium i haszyszu, moralista nas potępi — a jednak zwalczamy to niebezpieczne zamroczenie odwołując się jak najbardziej do światła zdrowego rozsądku i logicznej ścisłości. Nie był to też przypadek, prosimy to uznać, że staraliśmy się obcować z takimi głowami, jak panowie Naphta i Settembrini, zamiast otoczyć się na przykład samymi niewyraźnymi Peeperkornami. Porównanie to jednakże pod wieloma względami, a szczególnie jeśli chodzi o format ludzi, okazuje się pochlebne dla późnego przybysza. Stwierdzał to w myśli Hans Castorp leżąc w swej łodzi; musiał wyznać sam przed sobą, że obaj wygadani wychowawcy, którzy pod wpływ swój zagarnęli jego biedną duszę, wydawali się przy Peeperkornie nieledwie karłami; skłonny był nawet nazwać ich „gadulami” — mianem, które jemu, Castorpowi, nadał królewski żart pijanego Peeperkorna, — stwierdził też, że zbieg okoliczności, dzięki któremu hermetyczna pedagogika pozwoliła mu zetknąć się jeszcze z tak wybitną osobistością, był niezwykle szczęśliwy.

Że osobistość ta była towarzyszem podróży pani Chauchat, że więc wystąpiła na widownię jako poważna przeszkoda — to było sprawą odrębną, co do której Hans Castorp nie chciał, aby wpływała na jego oceny. Nie pozwolił jej wpłynąć na swój szacunek i szczerę, choć czasem może nieco zbyt śmiało zainteresowanie się człowiekiem wielkiego formatu — wpłynąć tylko dlatego, że miał wspólną kasę podróżną z kobietą, od której on, Hans Castorp, pożyczył pewnej nocy karnawałowej ołówki. Rozumiemy dobrze, że niejedyn lub niejedna zgani ten

„brak temperamentu”, że woleliby, aby bohater nasz nienawidził i unikał Peeperkorna i myślał o nim, że jest starym osłem i bełkocącym pijakiem, a nie odwiedzał go, nie siadywał przy jego łóżku i nie gawędził z nim podczas ataków przerywanej gorączki (gawędził — to odnosi się naturalnie tylko do tego, co mówił Hans Castorp, nie zaś do słów wspaniałego Peeperkorna) — i wreszcie nie poddawał się wpływowi jego osobowości z ciekawością intelektualnego komiwojażera. Ale Hans Castorp wszystko to robił, my zaś przedstawiamy tylko prawdę, choćby miała komuś przywieść na pamięć Ferdynanda Wehsala, który nosił Castorpowi płaszcz. Skojarzenie to jednak jest bez znaczenia. Nasz bohater nie był Wehsalem. Nie obchodziły go głębie niedoli ludzkiej. Po prostu tylko nie był „bohaterem”, to znaczy nie chciał uzależniać od kobiety stosunku między mężczyznami. Zgodnie z zasadą, aby go nie przedstawiać ani lepszym, ani gorszym, niż był istotnie, konstatujemy, że opierał się — nie świadomie i umyślnie, lecz całkiem naiwnie opierał się temu, by pod wpływem spraw miłosnych tracić sprawiedliwy stosunek do własnej płci, a także, by utracić chęć uczenia się od innych mężczyzn. Może się to nie podobać kobietom — zdaje się nawet, że irytowało to mimo woli panią Chauchat; wskazuje na to ta czy owa cierpka jej uwaga, której nie omieszkamy przytoczyć. Ale może właśnie ta cecha jego charakteru sprawiała, że o Hansa Castorpa warto było toczyć pedagogiczne boje.

Pieter Peeperkorn chorował często — toteż nic dziwnego, że zasnął nazajutrz po owym pierwszym wieczorze spędzonym przy kartach i szampanie. Wszyscy nieledwie uczestnicy długiej i podniecającej zabawy czuli się źle. Hans Castorp miał silny ból głowy, nie powstrzymało go to jednak od odwiedzenia wczorajszego gospodarza: spotkawszy w korytarzu pierwszego piętra Malajczyka, kazał się zameldować — i został przyjęty.

Holender zajmował sypialnię o dwu łóżkach przedzieloną salonom od sypialni pani Chauchat; Hans Castorp wszedłszy zauważył, że pod względem rozmiarów i elegancji apartament ten przewyższał znacznie przeciętne pokoje „Berghofu”. W sy-

pialni Peeperkorna stały fotele kryte jedwabiem i stoły na wygiętych nogach; podłogę okrywał miękki dywan, a łóżka odbiegały od charakteru zwyczajnych higienicznych łóż śmierci, były wręcz wspaniałe: sporządzone z politurowanego drzewa wiśniowego, miały mosiężne okucia i mały baldachim bez zasłon bocznych.

Peeperkorn leżał w jednym z dwóch łóżek; czerwona jedwabna kołdra pokryta była książkami, listami i gazetami; na nosie miał swe wysoko sięgające, rogowe binokle i czytał „Telegraaf”. Na krześle przy łóżku stała filiżanka czarnej kawy, a na stoliku nocnym, obok flaszeczek z lekarstwami, opróżniona do połowy butelka czerwonego wina — było to owo wczorajsze, naiwnie musujące wino. Hans Castorp zauważył ze skromnym zdziwieniem, że Holender nie nosił płóciennej koszuli, ale trykotową z długimi rękawami, zapiętymi u przegubów, bez kołnierza, z okrągłym wycięciem, przylegającym szczelnie do szerokich barków i potężnej piersi starego człowieka. Na tle poduszek jeszcze wspanialsza wydawała się jego głowa, a cała aparycja, daleka od przeciętnego mieszczańskiego typu, nabierała dzięki temu strojowi cech po części ludowo-robotniczych, a po części posągowych, jakby wyszły spod dłuta rzeźbiarza.

— Ależ owszem, młody człowieku — rzekł zdejmując binokle. — Proszę bardzo — bynajmniej. Wręcz przeciwnie.

Hans Castorp usiadł przy nim; uprzejmym ożywieniem usiłował pokryć swe pełne sympatii zdziwienie, o ile uczuciem, do którego zmuszało go poczucie sprawiedliwości, nie był wręcz prawdziwy podziw. Peeperkorn sekundował mu wspaniałymi urywanymi zdaniami i wyrazistą gestykulacją. Wyglądał bardzo źle, był żółty, wyczerpany i cierpiący. Nad ranem obudził go atak gwałtownej gorączki, który wywołał ogólne osłabienie; łączyło się ono teraz z następstwami pijaństwa.

— Żleśmy wczoraj — mówił. — Nie, pozwól pan — bardzo źle! Pan jeszcze — jako tako, nie będzie żadnych — Ale w moim wieku i przy zagrożonym — Moje dziecko — zwrócił się nagle w sposób delikatny, ale niewątpliwie surowy do pani

Chauchat, która w tej chwili weszła z salonu — wszystko w porządku, ale powtarzam, że należało lepiej uważać i nie pozwolić mi. — Mina jego i głos były takie, jakby zapowiadały wybuch królewskiego gniewu. Ale jakie dopiero gromy spadłyby na głowę tego, kto by się był wówczas odważył przeszkodzić mu w picciu. Trudno więc o pretensję bardziej nierozsądną i bezpodstawną. Widocznie tego rodzaju pretensje należą do wielkości. Toteż towarzyszka podróży Holendra przeszła do porządku nad tym powiedzeniem i przywitała się z Hansem Castorpem, który wstał na jej widok. Nie podając mu ręki, uśmiechnęła się doń tylko i poprosiła, by „przecież” usiadł i „przecież nie” przeszkadzał sobie w tete-a-tete z Mynheerem Peeperkornem... Krzątała się przez chwilę po pokoju, kazała kamerdynerowi sprzątnąć serwis do kawy, po czym wyszła, ale po chwili wróciła cicho i stanęła opodal, aby brać po trochu udział w ich rozmowie, czy nawet — jeśli mamy polegać na nieokreślonym wrażeniu Hansa Castorpa — czuwać nad jej przebiegiem. Naturalnie! Mogła sobie w towarzystwie osobistości wielkiego formatu powrócić do „Berghofu”, ale gdy ten, kto tu na nią tak długo czekał, oddawał owej osobistości — jak mężczyzna mężczyźnie — należną jej rewerencję, okazywała niepokój i nawet pewną cierpkosć, która przebijała z tych jej „przecież” i „przecież nie”. Hans Castorp uśmiechnął się z tego powodu, pochylił głowę, aby ukryć ten uśmiech, ale zapłonął w duszy radością.

Peeperkorn nalał mu kieliszek wina z butelki, stojącej na nocnym stoliku. W podobnych okolicznościach, rzekł Holender, najlepiej jest nawiązać do stanu rzeczy z poprzedniej nocy; zresztą to musujące wino oddaje te same usługi co woda sodowa. Trącił się z Hansem Castorpem, który wychylając kieliszek przyglądał się, jak piegowata, ostrymi paznokciami zakończona kapitańska ręka, trykotową koszulą ciasno w przegubie opięta, ujmuje kieliszek, jak szerokie rozdarte wargi lgną do jego brzegu i jak wino splywa do podnoszącej się i opadającej krtani, zarazem robotniczej i posągowej. Rozmowa zesza potem na kwestię lekarstwa stojącego na stoliku. Peeperkorn

przełknął na żądanie pani Chauchat i z jej ręki łyżkę brunatnego płynu — było to antipyreticum, jakiś przetwór chininy, i nakłonił gościa, by skosztował nieco lekarstwa i przekonał się o charakterystycznym gorzkawo-korzennym smaku preparatu. Holender jął chwalić własności chininy, która nie tylko niszczy zarazki i wpływa zbawiennie na ośrodek ciepła, ale działa także jako tonicum, usuwa nadmiar białka, odżywia organizm, słowem, jest prawdziwie krzepiącym trunkiem, cudownym środkiem wzmacniającym, pobudzającym i ożywiającym — a w dodatku także i odurzającym. Można się nim łatwo ululać, mówił czyniąc wspaniałe żartobliwe gesty rękami i głową, co upodabniało go znowu do pogańskiego kapłana.

Rzeczywiście, jakąż wspaniałą substancją jest kora chinowa! Nie minęło jeszcze lat trzysta od chwili, gdy dowiedziała się o niej farmakologia europejska, a niespełna sto lat temu chemia odkryła posiadający wspomniane własności alkaloid, właśnie chininę. Farmakologia dokonała potem jej analizy, co prawda tylko częściowej, bo do tej pory nie zdołała dokładnie zbadać jej składu ani też nie mogła wytworzyć jej sztucznie. Nasza farmakologia dobrze robi, że nie chwali się zbyt swymi osiągnięciami, bo także z innymi środkami przydarzały się jej wypadki podobne jak z chininą: wie to i owo o dynamice, o działaniu pewnych ciał, ale nie zdaje sobie zasadniczo sprawy z tego, na czym właściwie to działanie polega. Gdyby Castorp zainteresował się nauką o jadach, to na próżno by szukał wytłumaczenia najelementarniejszych własności, warunkujących działanie tzw. ciał trujących. Przykładem mogą być jady węzowe: wie się o nich tylko tyle, że należą do rzędu związków białkowych, składają się z różnych ciał białkowych, które tylko w tym określonym — a raczej całkiem nieokreślonym — składzie wywołują swoje piorunujące skutki: wprowadzone do obiegu krwi, powodują zmiany, które nas zadziwiają, bo nie zwykliśmy białku przypisywać własności trujących. Peeperkorn mówił podnosząc z poduszek głowę o bladych oczach i czole pokreślonym arabeskami; złożył przy tym dwa palce w kółko, jak zwykle kiedy chciał być ścisły, a resztę palców wyciągnął

na kształt włóczni. W świecie materii rzeczy mają się tak, że każde ciało kryje w sobie zarazem i życie, i śmierć; wszystko jest równocześnie lekarstwem i trucizną, toksykologia i farmakologia są jednym i tym samym, bo trucizna ma własności lecznicze, a to, co uchodzi za życiodajne, zabija w pewnych warunkach w przeciągu jednej sekundy.

Mówił bardzo dobitnie i, jak na siebie, niezwykle logicznie, a Hans Castorp przysłuchiwał się, potakując przechyloną na bok głową, i mniej zajęty tematem, który zdawał się żywo interesować mówcę, aniżeli studiowaniem, jak działa osobowość mówcy. Działała w gruncie rzeczy w sposób równie niewytłumaczalny jak jady węzowe. W świecie materii, mówił Peeperkorn, dynamika jest wszystkim. Cała reszta jest od niej zupełnie zależna. Także i chinina jest trucizną leczniczą, i to niezwykle silną. Cztery jej gramy przyprawiają o głuchotę, zawroty głowy, astmę, wywołują zaburzenia wzrokowe, jak atropina, upajają jak alkohol. Robotnicy w fabrykach chininy cierpią na zapalenie oczu, mają spuchnięte wargi i wyrzuty skórne.

Z kolei zaczął opowiadać o drzewie chinowym, o tzw. cinchonie, o dziewiczych lasach w Kordylierach, gdzie drzewo to rośnie na wysokości trzech tysięcy metrów i skąd dopiero tak późno jego kora dostała się do Hiszpanii pod nazwą „proszku jezuitów”, choć Indianie południowo-amerykańscy od niepamiętnych czasów znali jej działanie; opisywał olbrzymie plantacje cinchony założone przez rząd holenderski na Jawie, gdzie załadowuje się corocznie na okręty miliony funtów czerwonych, podobnych do cynamonu rurek kory, skierowując je do Londynu i Amsterdamu... W ogóle kora, tkanka korowa drzew, twierdził Peeperkorn, od epidermis* do kambium*, posiada zazwyczaj niezwykle własności dynamiczne, zarówno dodatnie, jak ujemne. Znajomość środków leczniczych u ras kolorowych przewyższa pod tym względem naszą. Na niektórych wyspach, położonych na wschód od Nowej Gwinei, sporządza sobie młodzież napój miłosny z kory pewnego drzewa, które jest prawdopodobnie równie trujące jak *Antiaris toxicaria*, rosnąca na Jawie. Drzewo to, podobnie jak manzanilla, zatrzuwa pono swy-

mi wyziewami powietrze dokoła siebie i odurza śmiertelnie ludzi i zwierzęta. Otóż korę tego drzewa rozciera tubylcza młodzież na proszek, miesza ją z pokrajanym drobno mięszem orzecha kokosowego, po czym mieszanekę zawija w liście i przypieka na wolnym ogniu. Otrzymanym stąd sokiem wystarczy pono bryznąć w twarz śpiącej osobie, której miłości się pragnie, a która się opiera — aby zdobyć jej wzajemność. Czasem także kora korzenia posiada szczególne własności. Tak ma się rzecz z rośliną pnącą z Archipelagu Malajskiego, zwaną *Strychnos Tieute*, którą tubylcy mieszkają z jadem węzowym i otrzymują w ten sposób tzw. *Upas-Radża*, silny jad, sprowadzający śmierć natychmiast, skoro tylko dostanie się do obiegu krwi, np. przez zranienie zatrutą strzałą. A nikt by nie umiał powiedzieć Hansowi Castorpowi, na czym polega działanie tej trucizny, wiadomo tylko, że pod względem swej dynamiki *Upas* zbliżone jest do strychniny... I *Peeperkom*, usiadłszy już zupełnie w łóżku i drżącą nieco ręką podnosząc od czasu do czasu do swych rozdartych warg kieliszek wina, z którego pociągał parę głębokich łyków, opowiadał o kulczybie, drzewie wroniego oka, rosnącym na wybrzeżu Koromandel, z którego owoców, o barwie pomarańczowej, a zwanych „wronimi oczami”, otrzymuje się alkaloid o największej sile, zwany strychniną. Głosem niższym do szeptu, z podniesionymi arabeskami czoła opowiadał o popielatych gałęziach tego drzewa, o jego niezwykle błyszczącym listowiu i żółtawozielonych kwiatach, tak że wreszcie przed oczami Hansa Castorpa stanął obraz drzewa smutny a zarazem histerycznie jaskrawy i wprowadził go ostatecznie w nastrój trochę niesamowity.

W tym miejscu wmieszała się pani Chauchat. Stwierdziła, że rozmowa źle działa na *Peeperkorna*, męczy go i może pociągnąć za sobą nawrót gorączki; czuje się więc zmuszona, mimo wielkiej przykrości, jaką jej to sprawia, prosić Hansa Castorpa, aby nie przedłużał swej wizyty. Zastosował się oczywiście do tego wezwania, ale w ciągu najbliższych miesięcy nieraz jeszcze siadywał przy łożu majestatycznego pacjenta, po każdym napadzie kwartany, podczas gdy pani Chauchat krzątała się, przy-

śluchując się ich rozmowie i czasem parę słów wtrącając. Także i wtedy, gdy Peeperkorn czuł się dobrze, spędzał z nim i z jego zdobną perłami towarzyszką podróży wiele godzin na rozmowie. Holender bowiem, jeśli choroba nie przykuwała go do łóżka, lubił zbierać dokoła siebie po kolacji, przy grze i winie, wybrane grono gości sanatoryjnych, o zmiennym składzie czy to w salonie, jak za pierwszym razem, czy też w restauracji, przy czym utarło się, że Hans Castorp siadał między nim a nonszalancką panią Chauchat. Urządzano nawet wspólne spacerory, w których brali udział również i inni, jak panowie Ferge i Wehsal, a niebawem także i dwaj duchowi przeciwnicy, Settembrini i Naphta. Spotkania z nimi nie sposób było uniknąć i Hans Castorp czuł się szczęśliwy, że mógł ich zapoznać z Peeperkornem i wreszcie także z Kławdią Chauchat, nie wchodząc w to, czy obaj dyskutanci byli z tej znajomości i z tych nowych stosunków zadowoleni. Ufał bowiem w cichości ducha, iż tak silnie odczuwają potrzebę jakiegoś przedmiotu swych pedagogicznych wysiłków, że będą woleli zgodzić się na niemiłe towarzystwo niż stracić możliwość wyłuszczenia przed nim swych sprzecznych poglądów.

Nie mylił się też pod jednym względem: Członkowie niejednolitego grona jego przyjaciół poczęli się przyzwyczajać do tego przynajmniej, że nie mogą się do siebie przyzwyczaić. Napięcia, obcość, a nawet ukryta wrogość z natury rzeczy nie ustawały między nimi — i aż dziwić się można, w jaki sposób nasz skromny bohater osiągał to, że przestawali z sobą. Wytłumaczymy to sobie wrodzonym mu przebiegłym a życzliwym ustosunkowaniem się do życia, które sprawiało, że wszystko było dlań „godne usłyszenia”. Było ono łącznikiem nie tylko między nim samym a najróżnorodniejszymi osobami i osobistościami, ale także do pewnego stopnia między owymi różnorodnymi osobami, mimo dzielące je przeciwieństwa.

Cóż za dziwnie splecione stosunki! Chciałoby się ukazać wszystkim ich powikłane nici, tak jak je na owych spacerach obserwował przebiegły a życzliwie wobec życia nastawiony Hans Castorp. Oto nędzny Wehsal, pożądamy skrycie pani

Chauchat, a czcący uniżenie Peeperkorna i Hansa Castorpa, pierwszego ze względu na terażniejszość, a drugiego — na przeszłość. A oto Kławdia Chauchat, wdzięcznie stąpająca miękkimi krokami, chora podróżniczka, z własnej woli ulegająca Peeperkornowi, jednakże zawsze nieco zaniepokojona i cierpka skutkiem tego, że rycerz pewnej odległej nocy karnawałowej żyje z jej władcą na tak przyjaznej stopie. Czy ta jej irytacja nie przypominała innej, która rozstrzygała o jej sposobie odnośnienia się do Settembriniego? Do owego krasomówcy i humanisty, którego nie znosiła i nazywała wyniosłym i nieludzkim? Chętnie zapytałaby, co miały znaczyć lekceważące słowa, wypowiedziane do Hansa Castorpa przez jego przyjaciela i wychowawcę, w śródziemnomorskim narzeczu, którego zupełnie nie rozumiała, podobnie jak on nie rozumiał jej mowy, tylko bez tak wyraźnego lekceważenia — słowa wypowiedziane wówczas, gdy ten dobrze wychowany Niemiec, ten ładny chłopak z dobrej burżuazyjnej rodziny, z wilgotnym miejscem w płucach, miał zamiar zbliżyć się do niej. — A dalej Hans Castorp, zakochany, jak to się mówi, „po uszy”, ale bynajmniej nie w radosnym znaczeniu tego powiedzenia, zakochany, jak się kocha, gdy miłość jest zakazana i nierozsądna i nie można o niej śpiewać pogodnych piosenek zrodzonych na nizinach. Więc choć srodze zakochany i w okowach zależności, cierpienia i służby, zachował jednak dość przebiegłości, by dobrze wiedzieć, iż jego uczuciom, tak samo dawniej jak i teraz, ta chora o skradającym się chodzie i czarujących tatarskich ślepiach przypisuje niemałą wartość; w swym ujarzmieniu i cierpieniu zdawał sobie także sprawę, że wartość tę mogła ona sobie uświadomić pod wpływem sposobu, w jaki zachowywał się wobec niej pan Settembrini; sposób ten aż nazbyt otwarcie potwierdzał jej podejrzenia, a był możliwie najbardziej odpychający, naturalnie w granicach zakreślonych przez humanistyczną uprzejmość. Pogarszała sprawę, choć w oczach Hansa Castorpa ją polepszała, okoliczność, że u Leona Naphty Kławdia nie znalazła poparcia, jakiego się po nim spodziewała. Nie spotkała się wprawdzie z jego strony z oporem tak zasadniczym, jaki oka-

zywał jej Lodovico, i rozmowa łatwiej nawiązywała się między nimi; rozprawiali też często na osobności — Kławdia i bystry mały jezuita — o książkach, o problemach filozoficzno-politycznych, które traktowali oboje z równym radykalizmem. Hans Castrop sekundował im dobrodusznie. Mimo to zauważyć musiała u Naphty pewną arystokratyczną niechęć do całkowitego zbliżenia się, którą ów parweniusz, ostrożny jak wszyscy parweniusz, objawiał w stosunku do niej. Jego hiszpański terroryzm miał w gruncie rzeczy mało wspólnego z jej mętną i trzaskającą drzwiami „ludzkością”. Łączyła się z tym jeszcze rzecz ostatnia i najdelikatniejsza — czuła instynktem kobiety, że obydwaj przeciwnicy, Settembrini i Naphta, darzą ją pewną nieuchwytną niechęcią (czuła to równie dobrze jak jej karnawałowy rycerz), a powodem tego jest ich stosunek do Hansa Castorpa. Była to niechęć wychowawców do kobiety jako czynnika przeszkadzającego i rozprasającego, cicha a podstawowa wrogość, która ich łączyła z sobą, bo tu kończył się ich antagonizm, pogłębiony przez momenty pedagogiczne.

Czy ta wrogość nie wpływała też na stosunek obu dialektyków do Peeperkorna? Zdawało się Hansowi Castorpowi, że tak jest w istocie — może zdawało mu się tylko dlatego, że ze złośliwą ciekawością spodziewał się tego; od dawna też zamierzał zbliżyć królewskiego jąkałę do obu swych „radców królewskich” (jak ich czasem w cichości ducha dowcipkując nazywał), aby zaobserwować wyniki tego zbliżenia. Mynheer pod gołym niebem nie wywoływał tak potężnego wrażenia jak w czterech ścianach. Miękki filcowy kapelusz, nasunięty głęboko na czoło, przysłaniał siwe, płomienne włosy i potężne bruzdy zmarszczek, zmniejszał rysy, jakby je kurczył, i odbierał nawet majestat zaczerwionemu nosowi. Wyglądał mniej efektownie, gdy szedł, niż kiedy stał. Zwykł był po każdym małym swym kroku przenosić cały ciężar potężnego ciała na nogę, którą wysuwał naprzód, i nawet głowę przechylać na tę stronę, co dawało mu wygląd raczej dobrotliwy i starczy niż królewski. Poza tym, idąc nie prostował się na całą swą wysokość, jak to czynił stojąc, ale się nieco pochylał. Lecz i tak przerastał o gło-

wę pana Lodovica, a cóż dopiero małego Naphtë. Stanowiło to jeden, acz nie jedyny powód, dla którego obecność jego tak silnie — nie mniej silnie, niż to sobie Hans Castorp układał w swej wyobraźni — ciążyła nad egzystencją obu polityków.

Porównanie z Holendrem degradowało ich i przynosiło im ujmę — musiał sobie z tego zdawać sprawę baczny obserwator, a niewątpliwie także i zainteresowani, zarówno obaj niepokazni i wygadani intelektualiści, jak i majestatyczny jękała. Peeperkorn odnosił się do Settembriniego i Naphty z uprzedzającą grzecznością i respektem, które Hans Castorp gotów byłby uważać za ironię, gdyby nie zdawał sobie sprawy, że pojęcie ironii jest zupełnie nie do pogodzenia z pojęciem wielkiego formatu. Królowie nie znają ironii — nie używają jej nawet w formie zwyczajnego i klasycznego retorycznego środka, a cóż dopiero w bardziej skomplikowanym znaczeniu tego wyrazu. Toteż postępowanie Holendra wobec przyjaciół Hansa było, pod maską nieco przesadnej powagi lub otwarcie, raczej subtelną a wspaniałą kpina. — Tak — tak — tak! — mówił grożąc im palcem i przechylając twarz z żartobliwie uśmiechniętymi ustami. — To jest — to są —. Moi państwo, zwracam waszą uwagę——Cerebrum, cerebralny, rozumiecie? Nie — nie, doskonale, nadzwyczajnie, właśnie to, tutaj się przecie okazuje —. Mścili się wymieniając porozumiewawcze spojrzenia i spoglądając potem z rozpaczą w niebo; starali się w to porozumienie wciągnąć także Hansa Castorpa, jednakże bezskutecznie.

Pan Settembrini zainteresował kiedyś wprost swego ucznia ujawniając w ten sposób swoje zaniepokojenie wychowawcy.

— Ależ na Boga, inżynierze, ten starzec jest zwyczajnym głupcem! Co pan w nim znajduje? Czyż może się panu na coś przydać? Naprawdę, rozum odmawia mi posłuszeństwa! Pogodziłbym się jeszcze ze wszystkim, choć i tak bym tego nie pochwalał, gdyby go pan tylko tolerował, gdyby pan to robił tylko po to, aby móc przestawać z jego obecną kochanką. Ale trudno nie zauważyć, że on nieomal więcej interesuje pana od niej. Błagam pana, niech mi pan wytłumaczy...

Hans Castorp zaśmiał się. — Owszem! — rzekł. — Doskona-

le! Tak właśnie — Proszę pozwolić — Dobrze! — Usiłował przy tym naśladować także wytworne gesty Peeperkorna. — Tak, tak — śmiał się dalej — pan uważa, że to jest głupie, a w każdym razie niewyraźne, co w pańskich oczach jest czymś jeszcze gorszym od głupoty. Ach, głupota! Tyle jest jej rodzajów, a mądrość nie jest bynajmniej najlepszym z nich... Halo! Oto i ukułem, zdaje mi się, dobre powiedzenie, un mot. Podoba się panu?

— Owszem, bardzo. Oczekuję z niecierpliwością ukazania się pierwszego zbioru pańskich aforyzmów. Może nie będzie za późno, jeśli poproszę pana, żeby doń włączył pewne uwagi, które poczyniliśmy kiedyś przy sposobności o tym, że w każdym paradoksie tkwi mizantropia.

— Stanie się to, proszę pana, stanie się z pewnością. Ależ moje mot nie jest wcale polowaniem na paradoksy. Chodziło mi tylko o wskazanie dużych trudności, jakie... sprawia określenie „głupoty” i „mądrości”. A więc: sprawia, nieprawdaż? Tak trudno oddzielić tu jedno od drugiego, a tak łatwo się z sobą zlewają... Ja wiem, pan nienawidzi mistycznego guazza-buglio, pan jest zwolennikiem wartości, sądu, sądu wartościującego i przyznaję mu w tym rację. Ale jeśli chodzi o „głupotę” i „mądrość”, to jest to czasem kompletne misterium. A przecież musi być rzeczą dozwoloną zajmowanie się także misteriami, o ile się ma uczciwy zamiar ich zgłębienia. Pytam się więc pana w następujący sposób. Pytam: Czy może pan zaprzeczyć temu, że on zapędza nas wszystkich w kozí róg? Wraziłem się nieco rubasznie, a jednak nie może pan temu, jak sądzę, zaprzeczyć. Zapędza nas w kozí róg i posiada Bóg wie skąd prawo naśmiewania się z nas. Skąd? W jaki sposób? Dlaczego? Z pewnością nie dlatego, że jest mądry. Przyznaję, że o mądrości trudno tu mówić. Przemawia przez niego coś niewyraźnego i uczucie, na punkcie uczucia ma bzika. Powiadam więc: Nie zapędza nas w kozí róg przez swoją mądrość, to znaczy nie przez swą przewagę duchową — pan miałby tu zastrzeżenia i rzeczywiście to nie wchodzi w grę. Ale przecie nie dzieje się to także ze względu na jego przewagę fizyczną! To

prawda, ma barki kapitana okrętu i niemałą siłę pięści; mógłby każdego z nas rozciągnąć jednym uderzeniem — ale nie myśli wcale czynić tego, a jeśli nawet wpadnie na podobną myśl, to wystarczy paru kulturalnych słów, aby go uspokoić... A więc nie o przewagę fizyczną tu chodzi. A jednak coś cielesnego odgrywa w tym wszystkim rolę — ale nie w znaczeniu siły pięści, w innym, mistycznym znaczeniu — cała sprawa staje się mistyczną, z chwilą gdy pierwiastek cielesny odgrywa pewną rolę. Pierwiastek cielesny przechodzi w duchowy i na odwrót, nie można ich od siebie odróżnić, nie można także odróżnić głupoty od mądrości, natomiast działanie jest, dynamika jest — i zostajemy zapędzeni w kozi róg. Jedno tylko słowo rozwiązuje tę trudność, a tym słowem jest „osobowość”. Używamy tego pojęcia też inaczej, każdy z nas jest przecież osobowością, etyczną, prawną i Bóg wie jeszcze jaką. Tu jednak osobowość ma inne znaczenie, mistyczne, leżące poza obrębem mądrości i głupoty — i trzeba się nią interesować, po części dlatego, aby ile możliwości ją sobie wyjaśnić, a po części dlatego, aby jeśli nie da się wyjaśnić, przynajmniej działała na nas budująco. A skoro pan jest zwolennikiem wartościowania, to przecież osobowość jest w końcu także pozytywną wartością — pozytywniejszą niż głupota i mądrość, w najwyższym stopniu, a b s o l u t n i e p o z y t y w n ą, jak samo życie. Krótko mówiąc — jest to wartość życiowa i posiada wszelkie po temu warunki, by się nią żywo zainteresować. Oto odpowiedź na to, co pan zauważył w sprawie głupoty.

W ostatnich czasach Hans Castorp nie okazywał już zmieszania podczas tego rodzaju wynurzeń i nie przerywał ich w środku. Wypowiadał gładko swą rolę, obniżał głos ku końcowi i stawiał kropkę, jak przystoi mężczyźnie. Czerwienił się jeszcze tylko jak dawniej i odczuwał trochę strachu przed krytycznym milczeniem, które nastąpi po jego przemowie, aby miał czas wstydzić się swych słów. Settembrini istotnie przedłużał milczenie, a potem rzekł:

— Pan przeczy, jakoby polował na paradoksy. Ale pan dobrze wie, że ja w równym stopniu nie lubię, kiedy pan poluje

na misteria. Czyni pan tajemnicę z osobowości, nie zważając na to, że to grozi bałwochwalstwem. To, co pan czci, jest maską. Widzi pan misterium tam, gdzie jest tylko mistyfikacja, jedna z tych złudnych, pustych form, którymi nas mami demon cielesności i fizjonomiki. Nie bywał pan nigdy w towarzystwie aktorów? Nie zna pan tych wyrazistych twarzy, w których jednoczą się rysy Juliusza Cezara, Goethego i Beethovena, ale których szczęśliwi posiadacze okazują się najżałośniejszymi głupcami, skoro tylko otworzą usta?

— Dobrze, to jest igraszka przyrody — rzekł Hans Castorp. — Ale jednak jest to nie tylko taką igraszką, nie tylko oszustwem. Bo ci ludzie będąc aktorami muszą mieć talent, a talent jest sam czymś, co wykracza poza głupotę i mądrość, jest sam wartością życiową. Mynheer Peeperkorn ma także talent, to nie ulega wątpliwości, i dlatego zapędza nas w kozi róg. Każe pan usiąść w jednym kącie sali Naphcie i skłoni go pan, żeby wygłosił nadzwyczaj pouczający wykład o Grzegorzku Wielkim i o Państwie Bożym — a w drugim stoi pan Peeperkorn ze swymi dziwnymi ustami i wysoko podniesionymi bruzdami czoła i nie mówi nic innego jak tylko swoje: „Owszem! Proszę pozwolić — Skończzone!” Zobaczy pan, że ludzie skupią się dokoła Peeperkorna, wszyscy dokoła niego, a Naphta z całą swą mądrością i swym Państwem Bożym zostanie sam, choć wypowiada się tak jasno i wyraziście, że przejmuje do szpiku kości...

— Wstydz się pan tej apologii powodzenia! — stwierdził Settembrini. — *Mundus vult decipi* *. Nie pragnę wcale, aby tłum zbierał się dokoła Naphty. To straszny złośliwiec. Ale podczas tej sceny wyimaginowanej, którą pan tu, i to z potępienia godnym uznaniem, odmalował, stanąłbym po stronie Naphty. Niech pan tylko tak dalej pogardza wszystkim, co ściśle, wyraźne i logiczne, niech pan żywi pogardę dla wyrazów po ludzku powiązanych — a to na rzecz jakichś niewyraźnych sztuczek, aluzji i uczuciowej szarlatanerii — a znajdzie się pan na pewno w rękach diabła...

— Ależ zapewniam pana, że on nieraz mówi wcale logicznie,

kiedy się zapali!— odparł Hans Castorp. — Opowiadał mi przy jakiejś okazji o mocy pewnych silnie działających leków i o azjatyckich drzewach trujących, tak zajmująco, że aż niesamowicie — rzeczy zajmujące są zawsze trochę niesamowite. A zajmujące były te rzeczy nie tyle same przez się, ile w związku z jego osobą: ona czyniła, że były niesamowite i interesujące zarazem...

— Naturalnie, znamy pańską słabość do wszystkiego, co azjatyckie. Ja rzeczywiście nie mogę służyć podobnymi cudami — odparł Settembrini z taką goryczą w głosie, że Hans Castorp oświadczył pośpiesznie, iż jego przemowy i pouczenia mają zalety zupełnie innego rodzaju, i kto by chciał porównywać, krzywdziłby obie strony. Ale Włoch puścił z pogardą mimo uszu ten zwrot grzecznościowy. Ciągnął dalej:

— W każdym razie pozwól pan, inżynierze, że wyrażę podziw dla jego rzeczowości i równowagi duchowej. Przyzna pan, że trąci ona groteską. Realnie rzecz biorąc sprawy stoją tak: Ten bałwan sprzątnął panu sprzed nosa pańską Beatrice — nazywam rzeczy po imieniu. A cóż pan na to? To bezprzykładne.

— Różnica temperamentów, proszę pana. Wszystko zależy od tego, do jakiego stopnia ktoś ma gorącą krew i ile w niej rycerskości. Pan naturalnie, jako dziecko Południa, posłużyłby się trucizną i sztyletem, a w każdym razie postawiłby pan sprawę tak, jak każe namiętność i względy towarzyskie, inaczej powiedziawszy — po koguciemu. Zapewne postąpiłby pan prawdziwie po męsku, zgodnie z towarzyskim pojęciem męskości i galanterii. Ale ze mną sprawa przedstawia się inaczej. Nie jestem męski w tym znaczeniu, abym w drugim mężczyźnie widział tylko współzawodniczącego samca — może w ogóle nim nie jestem, ale w każdym razie nie w ten sposób, który sam nie wiem dlaczego nazywam „towarzyskim”. Rozważam w duchu, czy mam mu coś w ogóle do zarzucenia. Czy wyrządził mi świadomie krzywdę? A przecież obraza musi być zamierzona, w przeciwnym razie nie jest obrazą. Jeśli chodzi o krzywdę, to musiałbym do niej mieć pretensję, a do tego znowuż

nie mam żadnego prawa, w ogóle nie, a już wcale nie w odniesieniu do Peeperkorna. Przede wszystkim Peeperkorn jest osobistością, co samo znaczy już wiele u kobiet, a poza tym nie jest cywilem, jak ja, ale w pewnym sensie żołnierzem, tak jak mój kuzyn: to znaczy, że ma jakiś point d'honneur *, mianowicie uczucie, życie... Mówię w tej chwili głupstwa, ale wolę to, jeśli przy tej sposobności w części przynajmniej wyrażę coś trudnego, niż powtarzać w kółko nienaganne truizmy. To może jest poniekąd, że tak powiem, żołnierska cecha mego charakteru...

— Tak może pan mówić — skinął Settembrini. — To jest stanowczo cechą zasługującą na pochwałę. Mieć odwagę w poznawaniu i wyrażaniu się — to literatura, to humanizm...

W ten sposób rozstawali się przy takich okazjach w znośnym nastroju; Settembrini kończył rozmowę tonem pojednawczym, a miał powody ku temu. Czuł, że pozycja jego nie jest tak bezwzględnie pewna, aby swoją surowość mógł doprowadzać do ostateczności; zazdrość była dlań śliskim tematem rozmowy. Powinien był właściwie zareplikować w jednej szczególnie sprawie: że wobec jego żyłki pedagogicznej jego pojęcie męskości również nie miało charakteru towarzysko-koguciego. Władczy Peeperkorn miesza mu tedy w tym samym stopniu szyki, co Naphta lub pani Chauchat. Wreszcie nie mógł mieć nadziei, że zdoła swego ucznia uwolnić spod wpływu i naturalnej przewagi osobowości Holendra, skoro w sprawach cerebralnych sam jej ulegał nie mniej niż Hans Castorp.

Najlepiej czuli się obaj mistrzowie podczas dyskusyj — wtedy bowiem mogli przykuwać uwagę uczestników przechadzki debatami eleganckimi a zarazem namiętnymi, akademickimi, ale prowadzonymi w takim tonie, jakby chodziło o najżywotniejsze i najaktualniejsze kwestie. Głos zabierali właściwie tylko oni, a jeśli człowiek „wielkiego formatu” był obecny, to na czas trwania debaty wpływ jego był jakby zneutralizowany. Mógł ją jedynie śledzić, marszcząc ze zdziwieniem czoło i niewyraźnie wypowiadając ironiczne i urywane zdania. Jednakże nawet i w tej sytuacji nie przestawał wywierać nacisku, ciążył

nad rozmową, która przez to traciła wiele ze swego blasku, ze swej właściwej istoty. Czuli to wszyscy, choć on sam, przeciwstawiając się dyskutującemu, działał zapewne nieświadomie, a jeśli świadomie, to Bóg raczy wiedzieć w jakim stopniu, w każdym razie nie wychodziło to na korzyść żadnej z obu stron, ponieważ spór tracił swą wagę nabierając cech — jeśli tak można powiedzieć — przelewania z pustego w próżne. Albo inaczej mówiąc: Duchowe zmaganie się na śmierć i życie liczyło się w jakiś głuchy i niejasny sposób z kroczącym obok dyskutujących człowiekiem „wielkiego formatu”, i ten magnetyczny wpływ działał ujemnie. Nie można inaczej określić tego tajemniczego działania, które irytowało obu dyskutujących. Można tylko rzec, że gdyby nie było Peeperkorna, wszyscy czuliby się obowiązani zająć bardziej zdecydowane stanowisko w wypadku, gdy na przykład Leon Naphta bronił twierdzenia o arcyrewolucyjnej postawie Kościoła przeciwstawiając się poglądom Settembriniego, który w wyszukanych słowach i wśród przekonujących gestów dowodził, że Kościół jest tylko opiekunem ciemnego konserwatyizmu i квиetyзму, a wszystkie siły służące życiu i przyszłości, gotowe do zmian i przewrotów, związane są z epoką biegunowo przeciwną, wielką epoką, która w oparciu o kulturę starożytną wznowiła zasady oświecenia, nauki i postępu. Na to Naphta, chłodny i bystry jak zwykle, oświadczył gotowość wykazania — i rzeczywiście wykazał w sposób olśniewający i nie dopuszczający niemal sprzeciwu — że Kościół, będąc ucieleśnieniem idei religijno-ascetycznej, żadną miarą nie może popierać istniejących instytucji, nauk świeckich i państwowych norm prawnych, że, przeciwnie, na jego sztandarze wypisane były zawsze hasła najradykalniejsze, hasła całkowitego przewrotu. Wszystko, co było uważane za godne przetrwania i czego bronić usiłowali słabi, tchórze, konserwatyści i mieszczenie, a więc rodzina i państwo, sztuka i nauki — wszystko to pozostaje w zasadniczej, uświadomionej lub nieświadomionej sprzeczności z ideą religijną i z Kościołem, którego wrodzoną tendencją i nieodmiennym celem jest rozsadzanie istniejącego świeckiego porządku rzeczy

i kształtowanie na nowo społeczeństwa według wzorów idealnego, komunistycznego Państwa Bożego.

Następnie zabrał głos Settembrini i zaprawdę nie był dłużny odpowiedzi. Pożałowania godne — mówił — jest to pomieszanie lucyferycznej rewolucyjnej myśli z powszechnym buntem wszystkich złych instynktowi Nowatorstwo Kościoła polegało przez wieki całe na tym, że każdą życiodajną myśl stawiał pod sąd inkwizycji, tłumił i dusił w dymie stosów, a dziś, jeśli przez usta swych emisariuszy wypowiada się za przewrotem, to dlatego, że celem jego jest stworzenie dyktatury motłochu i barbarzyństwa na gruzach wolności, kultury i demokracji. Och, jakież straszny dokument nielogicznej konsekwencji, konsekwentnej nielogiczności...

Naphta stwierdził, że nielogiczności i niekonsekwencji nie brak również w rozumowaniu jego przeciwnika. We własnym swym mniemaniu jest demokratą, ale wynurzenia jego bynajmniej nie świadczą o tym, by był przyjacielem ludu i zwolennikiem równości społecznej. Przejawia się w nich raczej karygodne arystokratyczne zadzieranie nosa, gdy proletariat całego świata, powołany do objęcia tymczasowej dyktatury, nazywa motłochem. Demokracizm swój natomiast objawia w stosunku do Kościoła, który, jak to z dumą przyznać trzeba, stanowi najdostojniejszą potęgę w historii ludzkości, najdostojniejszą w ostatecznym i najwyższym, bo duchowym tego słowa znaczeniu. Albowiem duch ascezy — jeśli wolno użyć pleonazmu — duch wszechzaprzeczenia i wszechzniszczenia, jest samą dostojnością, jest czystą kulturą arystokratycznego pierwiastka, nie może nigdy dotrzeć do szerokich mas, toteż Kościół był w gruncie rzeczy zawsze niepopularny. Gdyby pan Settembrini zadał sobie trud przeprowadzenia odpowiednich literackich badań z dziedziny kultury średniowiecza, przekonałby się, że lud, i to lud w najszerszym znaczeniu tego wyrazu, odnosił się z niechęcią do ducha Kościoła. Dowodem tego są chociażby pewne postaci mnichów, wytworzone przez fantazję ludowych poetów, które zupełnie już po luterańsku przeciwstawiają się idei ascetyzmu w imię chęci użycia, kobiety, śpiewu i wina.

Wszystkie instynkty świeckiego bohaterstwa, duch rycerski, poezja dworska — były skrytymi lub też jawnymi wrogami idei religijnej, a tym samym hierarchii. W porównaniu bowiem z reprezentowanym przez Kościół szlachectwem ducha wszystko to było tylko „świeckie”, wszystko było dziełem motłochu.

Settembrini wyraził podziękowanie za przypomnienie mu faktów. Postać mnicha Ilsana z „Ogrodu różanego” * w porównaniu z grobowym arystokratyzmem, głoszonym przez przeciwnika, ma w sobie coś orzeźwiającego. On sam, Settembrini, nie jest wprawdzie wielbicielem niemieckiego reformatora, o którym przeciwnik w dyskusji napomknął, gotów jest jednak z zapałem bronić demokratycznego indywidualizmu, jakim tchnie jego nauka, przed zakusami duchownych i feudałów, chcących zawładnąć osobowością ludzką.

— Ech! — zawołał nagle Naphta. — Oto próby insynuowania Kościołowi, że nie jest demokratyczny i że nie rozumie znaczenia ludzkiej osobowości! A o czymże świadczy humanitarna tolerancja prawa kanonicznego? Prawo rzymskie uzależnia zdolność prawną jednostki od posiadania obywatelstwa, prawo niemieckie od przynależności plemiennej i wolności osobistej. Natomiast prawo kanoniczne wymaga jedynie wspólnoty wyznaniowej i prawowierności, a nie liczy się ze względami państwowymi i społecznymi i walczy o prawo sporządzania testamentu i dziedziczenia dla niewolników, dla jeńców wojennych, dla ludzi nie posiadających wolności osobistej.

Settembrini zauważył zjadliwie, że na taką postawę Kościoła nie bez wpływu musiał być apetyt na „porcje kanoniczne”, Drzypadające mu w udziale przy każdym testamencie. Poza tym mówił o „kleszej demagogii”, a w poruszaniu piekła, gdy Ila zrozumiałych względów bogowie kogoś odtrąca, widział łakawość wyphywającą z bezwzględnej żądzy władzy. Twierdził eż, że Kościołowi zależy bardziej na ilości niż na jakości dusz, o dowodzi braku szlachectwa duchowego.

Brak szlachectwa duchowego — w Kościele? Naphta przyomniął Settembriniemu, że przecież u podłoża idei dziedziczości grzechu leży nieubłagany arystokratyzm. Przenoszenie

ciężkiej przewiny na potomstwo, które jest przecie z punktu widzenia demokratycznego niewinne! Albo fakt na przykład, że dzieci nieprawego łoża są na całe życie napiętnowane i wyjęte spod prawa.

Settembrini prosił o pominięcie milczeniem tej sprawy, gdyż, po pierwsze, buntują się przeciw temu jego ludzkie uczucia, a po drugie, ma już dość ciągłych wykrętów. Poza tym w podstępnych chwytach apologetyki przeciwnika dostrzega ślady niecnego, szatańskiego kultu nicości, który bezpodstawnie chce być uważany za objaw ducha, a który świadczy o tym, jak bardzo słuszna i święta jest powszechnie znana niepopularność ascezy.

W tym miejscu Naphta poprosił, aby wolno mu było się uśmieć. Jak można mówić o nihilizmie Kościoła? O nihilizmie najbardziej realistycznego systemu rządzenia, jaki znają dzieje świata? Czyż pan Settembrini nie poczuł nigdy tchnienia wyrozumiałej ironii, z jaką Kościół nieustannie czynił ustępstwa dla doczesności, dla ciała, czyż nigdy nie dostrzegł mądrej pobłażliwości, która nie ujawnia ostatecznych wniosków płynących z zasad i każe duchowi być tylko czynnikiem regulującym, aby uniknąć zbyt ostrych starć z naturą? Jego przeciwnik zapewne również nie rozumie kapłańskiego pojęcia wyrozumiałości, pod które podpada nawet jeden z sakramentów, mianowicie sakrament małżeństwa; nie jest on, jak inne sakramenty, dobrem pozytywnym, lecz raczej ochroną przed grzechem, jest dany ludziom dla ograniczenia zmysłowej żądzy i nieumiarkowania. W ten sposób i w tym sakramencie znalazła wyraz zasada ascezy, ideał czystości, ale znalazła go w formie unikającej zbyt ostrego i niepolitycznego konfliktu z wymaganiami ciała.

Jakżeby pan Settembrini mógł się tu był powstrzymać od wyrażenia wszystkich zastrzeżeń, które w nim budziło tak wstrętne rozumienie pojęcia „polityki”, ten gest zarozumiałej pobłażliwości i mądrości, na jaki pozwala sobie duch (a raczej to, co jest tu nazywane duchem) wobec swego rzekomo grzesznego przeciwieństwa, wobec ciała, z którym trzeba obchodzić

się „politycznie”, a które w rzeczywistości nie potrzebuje wcale tej jadowitej wyrozumiałości. Zaprotestował też przeciw przekłętemu dualizmowi światopoglądu, który oddaje diabłu całe uniwersum, zarówno życie, jak i ducha, jego rzekome przeciwieństwo. Jeśli bowiem życie jest złem, to i duch jako czyste jego zaprzeczenie musi być złem również! Począł wreszcie krzyszyć kopie o to, że rozkosz nie jest grzechem. Hansowi Castorpowi stanęła wówczas mimo woli przed oczyma izdebka Settembriniego na poddaszu, z pulpitem, z wyplatany mi krzesłami i karafką na wodę. Natomiast Naphta dowodząc, że rozkosz jest nieodłącznie związana z winą i że natura powinna wobec ducha mieć zawsze wyrzuty sumienia, nazywał politykę Kościoła i wyrozumiałość ducha „miłością”, aby zbić w ten sposób zarzut nihilizmu, postawiony ascezie. Hans Castorp zauważył, że wyraz „miłość” brzmiał nieco dziwnie w ustach bystrego, chudego, małego Naphty...

W ten sposób dyskusja ciągnęła się dalej. Nie jest to dla nas nowością, nie było nią dla Hansa Castorpa. Przysłuchiwali się wraz z nim przez chwilę, aby zaobserwować, jak np. wyglądała taka perypatetyczna * potyczka w cieniu kroczącej obok osobistości i w jakim stopniu obecność jej pozbawiała niepostrzeżenie rozmowę jej istotnego nerwu. Działo się to tak, że tajemny przymus ciągłego pamiętania o Holendrze gasił zapalające się raz po raz iskry i stwarzał nastrój martwoty, podobny do tego, jaki występuje po wyłączeniu przewodu elektrycznego. Zachodziło tu rzeczywiste podobieństwo: sprzeczności nie wyładowywały się już wśród trzasków, ani śladu iskry ni prądu; czyjaś obecność, którą duch pragnął zneutralizować, neutralizowała raczej ducha. Hans Castorp stwierdził to z niemalym zdumieniem i zaciekawieniem.

Rewolucja i zachowanie istniejącego porządku rzeczy — wszyscy spoglądali na Peeperkorna, który, stąpając obok innych, nie sprawiał zbyt wspaniałego wrażenia, chwiał się na obie strony, z kapeluszem nasuniętym na czoło; patrzano na jego szerokie, nieregularnie rozdarte wargi i na głowę, która pochylała się żartobliwie na bok, gdy mówił do dyskutują-

cych: — Tak — tak — tak! Cerebrum, cerebralny, państwo pojmują! To jest — tu się przecie objawia — I oto gniazdo wtyczkowe było nieczynne! Próbowali innych dróg, uciekali się do zaklęć mocniejszych, poruszali „problem arystokracji”, popularności i elitarności. Żadnej iskry! Rozmowa, jakby wiedziona magnetyzmem, schodziła na tory osobiste: Hans Castorp wyobrażał sobie towarzysza podróży Kławdii leżącego w łóżku, pod czerwoną jedwabną kołdrą, w trykotowej koszuli bez kołnierza — ni to stary robotnik, ni to królewskie popiersie — i spór zamierał w słabych drganiach. Potrzeba mocniejszego napięcia! Z jednej strony negacja i kult nicości, z drugiej wieczna afirmacja i pełne miłości ciężenie ducha do życia! Gdy się patrzyło na Mynheera, nieuchronnie i mocą tajemniczego przyciągania znikał nerw, błysk i prąd. Nie było ich i w tym właśnie tkwiło — by użyć wyrażenia Hansa — misterium. Do swego zbioru mógłby włączyć i ten aforyzm, że misterium wypowiada się najprostszymi słowami — albo pozostaje nie wypowiedziane. Chcąc je wyrazić trzeba było stwierdzić, że do Pietera Peeperkorna, o pomarszczonej królewskiej masce i gorzko rozdartych ustach, stosuje się i to, i tamto, że jedno i drugie zespala się w nim i neutralizuje. Tak, ten głupi starzec, to władcze zero! Osłabia istotę sprzeczności nie przez mieszanie pojęć i szafowanie sofizmatami, jak Naphta; nie mówił dwuznacznie jak tamten, a jeśli tak mówił, to była to dwuznaczność zupełnie odmienna, pozytywna. Stanowił zawrotne misterium, stojące widocznie nie tylko ponad głupotą i mądrością, ale też ponad wielu innymi przeciwieństwami, za pomocą których panowie Settembrini i Naphta starali się uzyskać potrzebne im dla celów pedagogicznych wysokie napięcie. Osobistość, jak się wydawało, nie miała żadnych zamierzeń wychowawczych, a jednak obcowanie z nią było dla intelektualnego komiwojażera niezwykłą szansą. Jakże ciekawe było obserwować jego królewską dwulicowość, gdy dyskutujący poruszali temat małżeństwa i grzechu, sakramentu wyrozumiałości, gdy spierali się o to, czy jest, czy też nie ma winy w rozkoszyl Schylał głowę na ramię lub na pierś i na ramiona, bolesne wargi rozchyła-

ły się, usta otwierały się jakby w bezsilnej skardze, nozdrza rozdymały się, jak z bólu, unosiły się bruzdy czoła, w rozszerzonych oczach malował się wyraz bladego cierpienia — stanowił obraz goryczy. A zaraz potem, w jednej chwili na męczeńskiej twarzy zakwitało bujne życie! Pochylona na bok głowa zmieniała wyraz na filuterny, wargi, wciąż jeszcze otwarte, zaczynały się uśmiechać obleśnie, na jednym policzku pojawiał się znany nam już dołek sybaryty — przed oczyma zjawiał się tańczący kapłan pogański; wskazując żartobliwie głową na cerebralnych towarzyszy mówił: — Ech, tak, tak, tak — wspaniale. To jest — To są — Tu się okazuje — Sakrament rozkoszy, rozumienie——

Mimo wszystko, jako się rzekło, sytuacje obu zdegradowanych przyjaciół i nauczycieli Hansa Castorpa były jeszcze stosunkowo najkorzystniejsze wówczas, gdy mogli się kłócić. Byli wtedy w przeciwieństwie do wielkiego formatu, bądź co bądź w swoim żywiole, a rolę, jaką Peeperkorn przy tym odgrywał, można rozmaicie oceniać. Sytuacja zmieniała się natomiast bezwzględnie na ich niekorzyść z chwilą, gdy nie szło już o dowcip, o słowa i spryt, ale o rzeczy praktyczne, ziemskie — słowem, o pytania, w których rozwiązywaniu celują natury władcze. W takich chwilach było już po nich, ustępowali w cień, nikteli, a Peeperkorn chwycił berło, postanawiał, rozstrzygał, zarządzał, zamawiał i rozkazywał... Cóż dziwnego, że tęskno mu było za tym stanem i że wciąż doń dążył podczas walki o słowa? Póki trwała, cierpiał — a w każdym razie, jeśli trwała zbyt długo: Hans Castorp był jednak pewny, że to nie jego próżność cierpiała. Próżności brak formatu, prawdziwa wielkość nie jest próżna. Nie — u Peeperkorna potrzeba rzeczowości wynikała z innych powodów: z „lęku”, mówiąc z grubsza, z tej obowiązkowości i poczucia honoru, o których Hans Castorp wspominał Settembriniemu i które uważał za cechy charakteru do pewnego stopnia wojskowe.

— Moi panowie — mówił Holender podnosząc kapitańską dłoń z ostrymi paznokciami, jakby zaklinając i coś nakazując — Dobrze, moi panowie, doskonale, wspaniale! — Asceza — wy-

rozumiałość — rozkosz zmysłowa — Chciałbym to — Za wszelką cenę! Niezmiernie ważne! Niezmiernie sporne! Ale proszę mi pozwolić — Obawiam się, że popełniamy okropną — Cofamy się, moi państwo, cofamy się w sposób zupełnie nieodpowiedzialny przed najświętszymi — Odetchnął głęboko. — Czujecie to powietrze, moi państwo? Charakterystyczna atmosfera halnego wiatru, z przymieszką denerwującego, pełnego przeczuć i wspomnień aromatu wiosny — nie powinniśmy go wdychać, aby potem w formie — Usilnie proszę: nie powinniśmy tego czynić. To obraza. Jemu tylko winniśmy naszą pełną, nieograniczoną — och, najwyższą i najbardziej świadomą — Załatwione, moi państwo! A potem możemy je z płuc — to będzie najwyższa pochwała jego zalet — — Przerywam, moi państwo! Przerywam na cześć tego — Przystanął, przegięty w tył, ocieniając oczy kapeluszem; wszyscy poszli za jego przykładem i również przystanęli. — Patrzcie — rzekł — w górę, wysoko w górę, na ów czarny, krążący punkt na tle przedziwnie błękitnego, czarniawoniebieskiego — To ptak drapieżny, wielki drapieżnik. To jest, jeśli się nie — Moi panowie i ty, moje dziecko, to orzeł. Zwracam nań z całą stanowczością — Patrzcie! To nie myszołów, nie sęp — gdyby państwo byli tak dalekowzroczni, jak ja się stałem z biegiem — Tak, moje dziecko, naturalnie, z biegiem. Włosy mam siwe, naturalnie. Na pewno byście państwo tak samo jak ja — po tępych zaokrągleniu skrzydeł — Orzeł, moi państwo. Orzeł zyz. Krąży właśnie nad nami po niebiosach, leci na olbrzymiej wysokości, nie poruszając skrzydłami — i śledzi zapewne potężnymi, dalekowzrocznymi oczami, spod wystających kości — Orzeł, moi państwo, Jowiszowy ptak, król swego rodu, lew przestworzy! Ma ciało opierzone i dziób z żelaza, zagięty z przodu, nogi niezmiernie silne, szpony zakrzywione u palców, z których jeden, jak żelazo, tylny, opasuje przednie. Patrzcie, tak! — I kapitańską dłonią o długich paznokciach usiłował uzmysłować szpony orła. — Dlaczego krążysz i co śledzisz, kumie? — zwrócił się znów ku górze. — Ruń na dół Uderz dziobem żelaznym po łbie i oczach, rozerwij brzuch

stworzenia, które ci Bóg———Doskonale! Skończone! Szpony twe powinny wpić się we wnętrzości, a dziób ociekać krwią —

Wpadł w zachwyt. Nikt już nie myślał o antynomiach Settembriniego i Naphty. Wizja orła, choć już o nim nie mówiono, działała jeszcze długo i wpływała na postanowienia i przedsięwzięcia, ku którym się zwrócono pod przewodnictwem Mynheera. Towarzystwo udało się do gospody i zasiadło do stołu. Nie był to czas posiłku, a jednak nikt nie uskarżał się na brak apetytu; podniecony wspomnieniem orła, dopisał wyśmienicie. Zaczęła się uczta, jedna z tych, które Mynheer urządzał często poza sanatorium, w Davos-Uzdrowisku czy Wsi, w gospodach Glaris lub Klosters, dokąd udawano się koleją. Pod jego władczyim przewodem spożywano klasyczne dary — kawę ze śmietanką i z wiejskim pieczywem lub soczysty ser na pachnącym, alpejskim maśle, które smakowało zwłaszcza do pieczonych kasztanów; zapijano to wszystko czerwonym Veltlinem, którego było ile serce zapragnie. Zaimprovizowanej ucztie towarzyszyły strzępy mowy Peeperkorna. Za jego namową zabierał czasem głos Anton Karłowicz Ferge, poczcwiiec, dla którego niedostępne były wszelkie wyżyny, ale który umiał opowiadać do rzeczy o fabrykacji rosyjskich kaloszy, jak się to miesza masę gumową z siarką i innymi substancjami, a gotowe już lakierowane kalosze „wulkanizuje” się w temperaturze ponad sto stopni. Mówił także o kole podbiegunowym, aż tam bowiem zawiodły go niejednokrotnie podróże służbowe, o słońcu nie zachodzącym nawet o północy i o wiecznej zimie u Przyładka Północnego. Okręt — mówił wydobywając słowa z żyłastego gardła, spod zwisających wąsów — wydawał się tam malutki w porównaniu z olbrzymimi skałami i stalowoszarą powierzchnią wód. Niebo pokryte było żółtymi smugami świetlnymi — była to zorza północna. A wszystko miało wygląd widmowy, cała sceneria i on sam, Anton Karłowicz.

Ferge — jedyny w tym niewielkim gronie — stał poza obrębem skomplikowanych stosunków łączących jednych z drugimi. Co do pozostałych, to należy zanotować dwie rozmowy, dwie

dziwne konwersacje w cztery oczy, jakie przeprowadził w owym czasie nasz niebohaterski bohater: z Kławdią Chauchat i z jej towarzyszem podróży, z każdym z nich z osobna. Jedna z tych rozmów odbyła się w hallu, w godzinie wieczornej, gdy „przeszkoda” leżała w wysokiej gorączce na górze; druga — pewnego popołudnia przy łożu Mynheera...

Owego wieczora panował w hallu półmrok. Zebranie towarzyskie było krótkie i bezbarwne, goście rozeszli się wcześniej na swe balkony, aby odbyć przepisowe werandowanie wieczorne — o ile nie podążyli drogami niezgodnymi z przepisami kuracji i nie zeszli na dół, by grać lub tańczyć. Pod sufitem opustoszałej sali świeciła jedna tylko lampa, a sąsiednie pokoje były także słabo oświetlone. Hans Castorp wiedział jednak, że pani Chauchat, zjadłszy kolację bez swojego władcy, nie wróciła jeszcze na pierwsze piętro, ale siedziała dotąd sama w czytelnicy; toteż zwlekał z odejściem. Siedział w tylnej części hallu, wyższej o jeden niski stopień i oddzielonej od właściwej sali kilkoma białymi łukami, wspartymi na obłożonych boazerią słupach. Siedział przy kaflowym kominku w fotelu bujającym, podobnym do tego, w którym kołysała się niegdyś Marusia, podczas swej jedynej rozmowy z Joachimem; palił papierosa, co o tej porze było tu dozwolone.

Nadchodziła, słyszał jej kroki i szelest sukni za sobą, już stała obok niego, poruszyła trzymaną w dwu palcach kopertą, jakby wachlarzem, i odezwała się swym Przybysławowym głosem:

— Concierge * odszedł. Proszę mi dać un timbre-poste!*

Miała tego wieczora na sobie lekką, ciemną, jedwabną suknię, z okrągłym wycięciem i obszernymi rękawami, spiętymi u przegubu ręki. Patrzył na to z przyjemnością. Szyję jej zdobił sznur pereł, połyskujących blado w mroku. Spojrzał ku górze na jej kirgiską twarz. Powtórzył:

— Timbre? Nie mam przy sobie.

— Jak to — nie mam? Tant pis pour vous *. Nie jest pan gotów do usług, kiedy ich żąda kobieta? — Wydeła wargi i wzruszyła ramionami. — Jestem rozczarowana. Powinniście przecież

być dokładni i staranni. Wyobrażałam sobie, że pan ma w portfelu małe, złożone arkusze znaczków różnego rodzaju, ułożone według wartości.

— Nie, bo i po cóż? — rzekł. — Nie pisuję nigdy listów. Do kogóż mam pisać? Chyba czasami kartkę pocztową, a ta już jest ofrankowana. Do kogóż bym mógł pisać listy? Nie mam nikogo. Nie pozostają już w żadnym kontakcie z niziną, stracony jestem dla niej. Krąży u nas pewna ludowa pieśń, która zaczyna się od słów: „Stracony jestem dla świata!” Tak właśnie jest ze mną.

— Ano w takim razie niech mi pan da przynajmniej papierosa, stracony człowieku! — rzekła siadając naprzeciw, obok kominka, na ławce obłożonej płóciennymi poduszkami; założyła nogę na nogę i wyciągnęła rękę. — Papierosy pan chyba ma. — Niedbale i nie dziękując wzięła papierosa ze srebrnej papierośnicy, którą wyciągnął, i skorzystała z zapalniczki, którą zaświecił przed jej twarzą. W tym leniwym „Niech mi pan da przynajmniej”, w tym braniu bez podziękowania widoczna była pewność siebie kobiety zepsutej powodzeniem, ale także przekonanie o ludzkiej — powiedzmy dokładniej: „ludzkiej” — wspólnocie posiadania; dawanie i przyjmowanie zdawało się zrozumiałe samo przez się, w jakiś dziki i miękki zarazem sposób. Krytykował to w duszy, ale tak, jak krytykuje zakochany. Potem rzekł:

— Owszem, mam je zawsze. Papierosy noszę zawsze przy sobie. Trzeba je mieć. Jakżeby można bez tego wytrzymać? To się, prawda, nazywa namiętością, kiedy ktoś tak pyta. Szczerze mówiąc, nie jestem człowiekiem namiętnym, ale mam swoje namiętności, flegmatyczne namiętności.

— To mnie bardzo uspokaja — odparła wydechając przy każdym słowie wciągany w płuca dym — kiedy słyszę, że pan nie jest namiętny. A zresztą, jakżeby mogło być inaczej? Musiałby pan zmienić skórę. Namiętność: to znaczy żyć dla życia. A wiadomo, że wy żyjecie na to, żeby mieć przeżycia. Namiętność to zapomnienie o sobie, a wam chodzi o wzbogacenie własnej osobowości. Cest ca*. Nie ma pan nawet pojęcia, że

to jest wstrętny egoizm i że pewnego dnia nazwie się was wrogami ludzkości.

— Halo, halo! zaraz wrogami ludzkości? — Co też ty mówisz, Kławdio — tak ogólnie? Cóż osobistego i określonego masz na myśli mówiąc, że nie chodzi nam o życie, ale wzbogacenie własnej treści? Wy, kobiety, nigdy przecież nie moralizujecie czysto teoretycznie. Ach, moralność? To temat do dyskusji dla Settembriniego i Naphty. To wkracza w zakres wielkiego pomieszania ich pojęć. Przecież nikt nie wie sam, czy żyje dla życia, czy dla siebie, nikt nie może tego wiedzieć dokładnie i na pewno. Granica jest płynna. Istnieje egoistyczne oddanie i pełen oddania egoizm... Myślę, że na ogół rzecz przedstawia się podobnie jak w miłości. Jest to naturalnie niemoralne, że nie mogę dostatecznie zwracać uwagi na to, co mi mówisz o moralności, lecz nade wszystko cieszę się tym, że siedzimy razem, tak jak dotychczas siedzieliśmy tylko raz jeden w życiu, a ani razu od czasu twego powrotu. I że ci mogę powiedzieć, jak ładnie ci jest z tymi mankietami, opinającymi ciasno twe przeguby, i z tym cienkim jedwabiem wokół ramion — ramion, które znam...

— Odchodzę.

— Proszę, nie odchodzi Potrafię się liczyć z okolicznościami i osobistościami.

— Przynajmniej tego można oczekiwać od człowieka bez namiętności.

— Widzisz? Drwisz sobie i wymyślasz mi, gdy ja... A chcesz odejść, gdy ja...

— Uprasza się nie pozostawiać luk w tym, co się mówi, jeśli się chce być zrozumianym.

— A więc nie mam wcale, ani trochę korzystać z twej wprawy w odgadywaniu znaczenia urwanych zdań? To niesprawiedliwe, powiedziałbym, gdybym nie rozumiał, że nie chodzi tu o sprawiedliwość...

— Ach, nie. Sprawiedliwość jest flegmatyczną namiętnością. W przeciwieństwie do zazdrości, która ludzi flegmatycznych czyniłaby bezwarunkowo śmiesznymi.

— A widzisz? Śmiesznymi. Pozwól mi więc na flegmę! Powtarzam: Jakżebym mógł wytrzymać bez tego? Jakżebym bez tego na przykład miał być wytrzymać to czekanie?

— Co?

— Czekanie na ciebie.

— Voyons, mon ami! * Nie chcę już mówić o formie, w jakiej pan do mnie z niemądrym uporem się zwraca. Znudzi się panu kiedyś, a ja w końcu nie myślę udawać oburzonej mieszczki...

— Nie, bo jesteś chora. Choroba daje ci wolność. Czyni cię — stój! 'Znalazłem słowo, którego jeszcze nigdy nie użyłem! — Czyni cię genialną!

— O geniuszu pomówimy innym razem. Nie o to mi chodziło. Żądam jednego. Nie będzie pan utrzymywał, że przyczyniłam się czymkolwiek do tego, by pan czekał — jeśli pan w ogóle czekał — że zachęcałam pana do tego czy że choćby pozwoliłam mu na to. Stwierdzi pan natychmiast i wyraźnie, że rzecz miała się wręcz przeciwnie...

— Z chęcią, Kławdio, naturalnie. Nie żądałaś ode mnie, bym czekał, czekałem z własnej woli. Rozumiem zupełnie, że przywiązujesz do tego wagę...

— Pan jest impertynencki, nawet gdy coś przyznaje. W ogóle impertynent z pana, Bóg wie z jakiej racji. Nie tylko w stosunku do mnie, ale i poza tym. Nawet gdy pan jest pełen podziwu i gdy podporządkowuje się innym, jest w tym coś impertynenckiego. Niech pan nie przypuszcza, że tego nie widzę! Nie powinna bym właściwie z tego powodu w ogóle z panem rozmawiać, a także i dlatego, że pan ośmiela się mówić o czekaniu. Jest to nieodpowiedzialne postępowanie, że pan tu jeszcze siedzi. Powinien pan już od dawna być przy swej pracy, sur le chantier * czy gdzie to było...

— W tym, co teraz mówisz, Kławdio, nie ma nic genialnego. Jesteś całkiem konwencjonalna. Nie możesz tego rozumieć tak jak Settembrini — a cóż to może innego znaczyć? Powiedziałaś to na wiatr, nie mogę tego brać poważnie. Nie odjadę w sposób dziki, jak mój biedny kuzyn, który — co sama prze-

powiedziałaś — umarł dlatego, że usiłował pełnić służbę na równinie. Wiedział, że umrze, ale wołał umrzeć niżli tu pełnić dalej służbę jako kuracjusz. Dobrze, po to był żołnierzem. Ale ja nim nie jestem, jestem cywilem, i gdybym chciał za wszelką cenę wbrew zakazowi Radamanta wrócić na równinę i pracować tam dla pożytku i postępu społecznego, byłoby to właśnie ucieczką spod sztandaru. Byłoby też największą niewdzięcznością i niewiernością wobec choroby, geniuszu i wobec mej ku tobie miłości, po której zostały mi dawne blizny i świeże rany, i przeciw tym ramionom, które znam, choć przyznaję, że poznałem je tylko we śnie, w genialnym śnie, a więc nie mogą stąd oczywiście wynikać żadne dla ciebie konsekwencje ani zobowiązania, ani jakiegokolwiek ograniczenie twojej wolności...

Śmiała się z papierosem w ustach, tak że jej tatarskie oczy prawie się mrużyły; oparta o boazerię, z rękoma na ławce i z założonymi nogami, zaczęła kołysać nogą, obutą w czarny, lakierowany pantofelek.

— Quelle generosite! Oh, la, la, vraiment *, właśnie tak wyobrażałam sobie un homme de genie *, mój biedny chłopcze!

— Przestań, Kławdio! To prawda, nie jestem z natury un homme de genie ani nawet człowiekiem wielkiego formatu, mój Boże, nie. Ale dzięki przypadkowi — nazwij to przypadkiem — wzniosłem się tu tak wysoko, w dziedzinę genialności... Krótko mówiąc, nie wiesz zapewne, że istnieje coś takiego, co nosi nazwę alchemiczno-hermetycznej pedagogiki, transsubstancjacji ku formom wyższym, a więc wznoszenie się, jeśli chcesz mnie dobrze zrozumieć. Ale kto ma się nadawać do tego, aby go wpływy zewnętrzne podniosły i pchnęły na wyżyny, musi mieć w sobie już przedtem jakieś na to zadatki. Ja miałem je dzięki temu, że — wiem to na pewno — od dawna żyłem na przyjacielskiej stopie z chorobą i śmiercią i już jako dziecko pożyczyłem sobie nierozsądnie od ciebie ołówkę, podobnie jak tu, w zapusty. A nierozsądna miłość ma w sobie coś z geniuszu, bo śmierć, jak wiesz, jest pierwiastkiem genialnym, res bina * albo lapis philosophorum *, i jest także pierwiastkiem wychowawczym, bo miłość śmierci wiezie do miłości życia

i ludzi. Tak to jest, przyszło mi to na myśl, kiedy leżałem w swej łodzi, i cieszę się niezmiernie, że mogę ci to wszystko powiedzieć. Dwie są drogi, które wiodą do życia: jedna to zwykła droga, prosta i prawa. Druga jest zła, wiedzie przez śmierć, i to jest genialna droga!

— Jesteś niemądrym filozofem — odparła. — Nie powiem, bym rozumiała wszystko w twoich mętnych, niemieckich myślach, ale to, co mówisz, brzmi po ludzku i jesteś bez wątpienia dobrym chłopcem. Poza tym przyznać trzeba, że zachowałeś się istotnie en philosophe... *

— Zanadto en philosophe, jak na twój gust, Kławdio. Czy nie?

— Daj pokój impertynencjom! Stają się nudne. To, żeś czekał, było głupie i niedozwolone. Ale nie gniewasz się na mnie, żeś czekał na próżno?

— Ano, to było trochę przykre, Kławdio, nawet dla człowieka o flegmatycznych namiętnościach — przykre dla mnie i okrutne z twojej strony, żeś przyjechała razem z nim, bo naturalnie wiedziałas od Behrensa, że tu jestem i czekam na ciebie. Ale powiedziałem ci już przecież, że tę naszą noc uważam za sen tylko i zostawiam ci pełną wolność. W końcu — nie czekałem przecież na próżno, bo jesteś tu z powrotem, siedzimy obok siebie, jak niegdyś, słyszę cudowną ostrość twego głosu, od dawna znaną memu uchu, a pod tą zasłoną z jedwabiu są twoje ramiona, które znam — choć tam w górze leży w gorącej twój towarzysz podróży, wielki Peeperkorn, który ci podarował te perły...

— Iz którym, celem wzbogacenia swej osobowości, utrzymuje pan tak przyjazne stosunki.

— Nie bierz mi tego za złe, Kławdio! Settembrini wymyślał mi również z tego powodu, ale to jest przecież tylko towarzyski przesąd. On jest wartościowym człowiekiem — mój Boże, jest przecież osobistością! Że jest starcem — to prawda. Mimo to rozumiałbym dobrze, gdybyś go, jako kobieta, niezmiernie kochała. Więc kochasz go bardzo?

— Mimo całą twą wielką filozofię, ty poczciwy Niemiasz-

ku — odparła głaszcząc dłonią jego włosy — uważałabym za nie l i u d z k i e opowiadać ci o swej miłości do niego!

— Ach, Kławdio, dlaczegoż nie! Zdaje mi się, że ludzkość zaczyna się tam, gdzie ludzie niegenialni sądzą, że się kończy. Mówmy o nim spokojnie! Kochasz go namiętnie?

Pochyliła się ku przodowi, aby rzucić do kominka wypalony papieros, a potem siedziała z założonymi na piersiach rękami.

— On mnie kocha — mówiła — jestem dumna z jego miłości, jestem mu wdzięczna i oddana. Ty to zrozumiesz albo nie jesteś godny przyjaźni, jaką dla ciebie żywi... Uczucie jego zmusiło mnie, abym za nim poszła i służyła mu. Bo jakżeby inaczej? Powiedz sam! Czy jest rzeczą możliwą przejść do porządku nad jego uczuciem?

— Nie, to niemożliwe! — potwierdził Hans Castorp. — Nie, oczywiście, to było wykluczone. Jakżeby kobieta mogła przejść do porządku nad jego uczuciem, nad jego lękiem o uczucie, porzucić go, że tak powiem, w Getsemani...

— Nie jesteś głupi — mówiła, a jej skośne oczy patrzyły z zamyśleniem. — Nie brak ci rozumu. Nad lękiem o uczucie...

— Nie trzeba mieć wiele rozumu, aby uznać, że musiałas pójść za nim, chociaż — albo raczej: ponieważ — w jego miłości jest coś przerażającego.

— Cest exact *... Przerażającego. Ma się z nim, wiesz, wiele trosk, wiele trudności... — Ujęła jego dłoń i bawiła się nią nieświadomie, ale nagle spojrzała nań ze ściągniętymi brwiami i spytała:

— Czy to nie podłe, że mówimy o nim w ten sposób?

— Z pewnością nie, Kławdio. Nie, bynajmniej nie. To jest tylko po ludzku! Lubisz to słowo, przeciągasz je tak marzycielsko, zawsze lubiłem słyszeć je z twych ust. Mój kuzyn Joachim nie lubił go, ze względów „wojskowych”. Zdawało mu się, że ono oznacza ogólne niedołęstwo i brak hartu; jeśli się je tak pojmuje, jako bezbrzeżne guazzabuglio cierpliwości, to i ja mam pewne zastrzeżenia przeciw temu. Ale jeśli słowo to oznacza wolność, genialność i dobroć, to jest wielką rzeczą i może-

my go spokojnie używać mówiąc o Peeperkornie i troskach oraz trudnościach, jakich ci przysparza. Są one naturalnie wynikiem jego point d'honneur, jego strachu przed tym, by uczucia nie odmówiły mu posłuszeństwa; dlatego tak chętnie posługuje się klasycznymi środkami wzmacniającymi i pokrzepiającymi. Możemy nie uwłaczając mu mówić o tym, bo wszystko u niego ma format, wspaniały królewski format. Nie umniejszamy ani nie poniżamy ani jego, ani siebie, gdy mówimy o tym po ludzku.

— Nie o nas tu chodzi — odparła krzyżując znów ramiona. — Nie byłabym kobietą, gdybym nie zgodziła się nawet na poniżenia, jeśli chodzi o mężczyznę wielkiego formatu, jak ty to nazywasz, dla którego jestem przedmiotem uczucia i lęku o uczucie.

— Bezwzględnie, Kławdio. Dobrześ to powiedziała. Poniżenie ma wtedy również format, a kobieta może z wyżyny swego poniżenia spoglądać na tych, którzy nie mają tak wielkiego formatu, i mówić tak lekceważąco, jak ty uczyniłaś to przed chwilą w związku ze znaczkami pocztowymi, mówić tym tonem, jakim rzekłaś: „Powinniście przecież być przynajmniej dokładni i staranni”.

— Widzę, że jesteś przeczulony. Dajże spokój! Precz z przeczeniem — dobrze? I ja byłam czasami zbyt wrażliwa, muszę to wyznać, skoro dziś tak razem tu siedzimy. Irytowała mnie twoja flegma i to, że byłeś z nim w tak zażyłej przyjaźni, byłeś miał swoje egoistyczne przeżycia. A mimo wszystko cieszyłam się i byłam ci wdzięczna, że masz dla niego szacunek... Było dużo lojalności w twoim postępowaniu, a jeśli było w nim też nieco impertynencji, to w końcu i tego nie mogłam potępić.

— To było bardzo łaskawie z twojej strony.

Spojrzała nań. — Zdaje się, że jesteś niepoprawny. Powiem ci: Jesteś chytrym chłopcem. Nie wiem, czy jesteś bardzo inteligentny, ale chytry jesteś bezwzględnie. Zresztą to dobrze, można z tym żyć. I można też być dobrym przyjacielem. Zawrzyjmy przyjaźń, przymierze dla niego, tak jak się zawiera przymierze przeciw komuś! Zgoda? Dasz mi rękę na to? Boję

się często... Obawiam się czasem samotności z nim, wewnętrznego osamotnienia, tu sais? *... On mnie przeraża... Obawiam się nieraz, że może źle skończyć... Chciałabym bardzo mieć kogoś dobrego koło siebie... Enfin*, jeśli i to chcesz wiedzieć, może dlatego właśnie przyjechałam z nim tu...

Siedzieli dotykając się kolanami, on na przechylnym ku przodowi bujającym fotelu, ona na ławce. Przy ostatnich, tuż przy jego twarzy wypowiedzianych słowach uściśnęła mu rękę. Odparł:

— Do mnie? O, to pięknie, Kławdio, to nadzwyczajne! Przyjechałaś z nim do mnie? A mimo to mówisz, że oczekiwanie me było głupie i niedozwolone, i zupełnie daremne? Byłbym bardzo niezręczny, gdybym nie umiał ocenić twej propozycji przyjaźni: przyjaźni z tobą dla niego...

W tej chwili pocałowała go w usta. Był to taki rosyjski pocałunek, który w owym rozległym, uduchowionym kraju wymienia się podczas największych chrześcijańskich świąt, a którym przypieczętowuje się miłość. Wymieniał go jednak w tym wypadku notorycznie „chytry” młody człowiek z również jeszcze młodą kobietą o wdzięcznym chodzie. Kiedy o tym mówimy, mimo woli przypomina nam się z lekka to, co dr Krokowski zwykł był w swój kunsztowny, choć budzący pewne zastrzeżenia sposób mówić o miłości; mówił o niej w znaczeniu nieco chwiejnym, tak że nikt nie wiedział na pewno, czy chodzi o coś wzniosłego, czy też o namiętność cielesną. Czy postępujemy podobnie w tej chwili i my, czy podobnie też postępowali Hans Castorp i Kławdia Chauchat podczas owego rosyjskiego pocałunku? Ale cóż by powiedziano, gdybyśmy się po prostu wzbraniли wyjaśnić tę rzecz do głębi? Zdaniem naszym „ścisle” oddzielanie wzniosłości i namiętności jest, gdy chodzi o miłość, wprawdzie potrzebne ze względu na analizę, ale — aby użyć wyrażenia Hansa Castorpa — jest bardzo „niezręczne”, a nawet wrogie w stosunku do życia. Cóż tu znaczy „ściskość”? Co znaczy „chwiejne znaczenie” i „dwuznaczność”? Śmiejemy się z tego otwarcie! Czyż nie jest to przedziwne, że język ma tylko jedną nazwę na wszystko, co można przez to rozumieć,

od uczucia najwznioślejszego do najbardziej cielesnego pożądania? Tworzy to zupełną jednoznaczność wśród dwuznaczności, miłość bowiem nie może być bezcielesna, nawet gdy jest jak najbardziej wzniosła, ale też nie może nie być wzniosła, gdy jest jak najbardziej cielesna. Jest zawsze sobą, czy w swym skrytym życiowym pędzie, czy w najwyższym uniesieniu, jest sympatią do pierwiastka organicznego, wzruszająco lubieżnym uściskiem obejmuje to, co skazane na rozkład. Charitas * tkwi w każdej namiętności, zarówno w tej, która jest pełna uwielbienia, jak w najwścieklejszej. Chwiejne pojęcie? Ale niechże sobie w imię Boże pojęcie miłości będzie chwiejne! Że jest nim, to dowodzi ludzkiej żywotności, a kto by martwił się z tego powodu, wykazałby beznadziejny brak sprytu.

W chwili więc gdy wargi* Hansa Castorpa i pani Chauchat połączyły się w rosyjskim pocałunku, zaciemnijmy nasz mały teatr, aby zmienić dekorację. Teraz bowiem chodzi o drugą z przyrzeczonych przez nas rozmów. Gdy rozbłyśnie znów światło, ponure światło chylącego się ku wieczorowi wiosennego dnia w okresie tajania śniegu, ujrzymy naszego bohatera w powtarzającej się często sytuacji, u łoża wielkiego Peeperkorna, w pełnej czci i przyjacielskiej z nim rozmowie. Po podwieczorku w sali jadalnej, przy którym pani Chauchat zjawiała się, podobnie jak przy trzech poprzednich posiłkach, sama, aby zaraz potem pójść na shopping* do Uzdrowiska, kazał Hans Castorp zameldować Holendrowi, że pragnie go odwiedzić. Uczynił to, aby mu złożyć uszanowanie i rozerwać go trochę, a także aby samemu poddać się budującemu działaniu jego osobowości — słowem ze względów życiowo chwiejnych. Peeperkorn odłożył na bok swój „Telegraaf”, rzucił nań rogowe binokle, które zdjął z nosa chwytając za siodełko, i podał gościowi swą dłoń kapitana okrętu, a jednocześnie jego szerokie rozdarte wargi poruszały się niewyraźnie a boleśnie. Miał jak zwykle pod ręką czerwone wino i kawę; serwis do kawy stał na krześle obok łóżka, a brunatne smugi na filizance świadczyły, że był użyty. Mynheer wypił już swój zwykły podwieczorek, gorący i mocny, z cukrem i śmietanką — co przyprawiło

go o poty. Opłomieniona siwizną królewską twarz była zaczerwieniona, a czoło i górna warga pokryte drobnymi kropelkami.

— Pocę się nieco — rzekł. — Witaj, młody człowieku. Wręcz przeciwnie. Proszę spocząć! To znak osłabienia, jeśli się ktoś po wypiciu czegoś gorącego zaraz — Proszę mi — Słusznie. Chustka. Dziękuję bardzo.

Rumieńce znikły wkrótce, ustępując, jak zwykle po złośliwym ataku, miejsca żółtawej bladości, którą powlokła się twarz wspaniałego starca. Kwartana miała tego dnia rano przebieg szczególnie silny, przeszła wszystkie trzy stadia, stadium zimna, żaru i wilgoci. Małe, blade oczy Peeperkorna patrzyły znużone spod sieci zmarszczek. Powiedział:

— To jest — owszem, młody człowieku. Muszę absolutnie nazwać — godne pochwały — Absolutnie. Bardzo ładnie z pańskiej strony, że chorego starca —

— Że odwiedziłem? — zapytał Hans Castorp. — Ależ nie, Mynheer. To ja powinienem być wdzięczny, że wolno mi tu siedzieć przez chwilę; mam przecież z tego o wiele większą korzyść aniżeli pan; przychodzę ze względów czysto egoistycznych. A jakież to błędne określenie pańskiej osoby — „chory starzec”. Nikt by nie wpadł na to, że o p a n u mowa. To stwarza zupełnie fałszywy obraz rzeczy.

— Dobrze, dobrze — odparł Mynheer i zamknął na parę sekund oczy, odrzucając majestatyczną głowę w tył i palce o długich paznokciach spletając na szerokiej, królewskiej pierś, odznaczającej się pod trykotową koszulą. — To dobrze, młodzieńcze, a raczej, pan ma dobre chęci, jestem o tym przekonany. Wczoraj po południu było bardzo przyjemnie — tak, jeszcze wczoraj po południu — w owej miłej gospodzie — zapomniałem, jak się nazywa — gdzieśmy — wspaniałe salami, jajecznicę i to zdrowe tutejsze winko —

— To było wspaniałe! — potwierdził Hans Castorp. — Jedliśmy też wszyscy, aż się uszy trzęsły — kucharz sanatoryjny słusznie by się obraził, gdyby to widział — słowem zabraliśmy się wszyscy bez wyjątku intensywnie do rzeczy! To było prawdziwe salami; Settembrini był wzruszony, jadł, że tak po-

wiem, że łzami w oczach. Wie pan przecież, że jest patriotą — demokratą i patriotą. Poświęcił swą kopię obywatelską na ołtarzu ludzkości, aby salami w przyszłości clono na Brennerze.

— To nieistotne — oświadczył Peeperkorn. — To jest człowiek rycerski, wesoły i rozmowny, a przy tym wytworny, choć widocznie nie stać go na to, by zmieniał często ubrania.

— W ogóle ich nigdy nie zmienia! — rzekł Hans Castorp. — W ogóle nie stać go na to! Znam go już od dłuższego czasu i jestem z nim bardzo zaprzyjaźniony, to znaczy on zajął się mną, za co mu jestem niezmiernie wdzięczny. Uważał mianowicie, że jestem „wiecznym dla życia strapieniem” — to takie wyrażenie, którego używamy między sobą — trochę niezrozumiałe bez bliższego wyjaśnienia — i stara się korygować moje poglądy. Nie widziałem nigdy, aby nosił zimą czy latem co innego niż spodnie w kratę i wytarty dwurzędowy surdut. Umie zresztą nosić stare ubrania z godnością, jak dżentelmen, co do tego zgadzam się z panem zupełnie. Sposób, w jaki je nosi, stanowi triumf nad ubóstwem, i wolę nawet to ubóstwo od elegancji małego Naphty, która czyni niesamowite wrażenie i pachnie czymś diabelskim. Środki, które mu ją umożliwiają, pochodzą z tajnych źródeł — wiem o tym coś niecoś.

— Rycerski i wesoły człowiek — powtórzył Peeperkorn nie reagując na wzmiankę o Naphcie — chociaż — pozwoli pan na pewne zastrzeżenie — chociaż nie bez przesadów. Madame, moja towarzyszka podróży, nie ceni go zbyt wysoko, jak pan to pewnie zauważył, wyraża się o nim bez sympatii, dlatego zapewne, że w zachowaniu wobec niej te przesady — Ani słowa, młody człowieku. Nie chcę bynajmniej pana Settembriniego ani pańskich przyjaznych uczuć dla niego — Skończone! Nie mam zamiaru twierdzić, żeby kiedykolwiek, gdy chodziło o grzeczność, którą wobec kobiety — Doskonale, drogi przyjacielu, zupełnie bez zarzutu! Ale jest tam przecież pewna granica, pewna powściągliwość, jakaś postawa nie-przy-chyl-na, która w wysokim stopniu — niechęć Madame —

— Czyni zrozumiałą. Czyni jasną. W wysokim stopniu usprawiedliwia. Pan mi wybaczy, że nie proszony, kończę pańskie

zdanie. Mogę to zaryzykować w przekonaniu, że się zupełnie zgadzamy. Szczególnie jeśli się zważy, jak bardzo kobiety — wolno się panu uśmiechnąć, że ja w tak młodym wieku wydaję takie ogólne sądy o kobietach — jak bardzo kobiety w swym stosunku do mężczyzn są zależne od zachowania się mężczyzny wobec nich; nie *ma więc w tym nic dziwnego. Kobiety, tak bym się wyraził, są istotami reaktywnymi, bez własnej inicjatywy, są leniwe, w tym sensie, że są bierne... Proszę mi pozwolić spróbować, choć z trudem, rozważania moje nieco rozwinąć. Kobieta, o ile mogłem skonstatować, uważa się w sprawach miłości pierwotnie za obiekt tylko, pozwala działać wypadkom, nie wybiera sama swobodnie; staje się podmiotem miłości i zaczyna wybierać dopiero na podstawie wyboru dokonanego przez mężczyznę. A nawet wtedy, niech mi będzie wolno to dodać, jej wybór jest ograniczony i jakby przekupiony tą okolicznością, że została wybrana. (Zakładam naturalnie, że chodzi o mężczyznę o niezbyt udręczonej duszy — choć i to nie stanowi warunku koniecznego.) Mój Boże, mówię pewno rzeczy oklepane, ale kiedy się jest młodym, wszystko się naturalnie wydaje nowe, nowe i zdumiewające. Pyta się pan kobiety: „Czyż ty go kochasz?” — a ona odpowiada, podnosząc lub spuszcżając oczy: „On mnie tak bardzo kocha!” — Proszę sobie teraz wyobrazić odpowiedź taką wychodzącą z ust któregoś z nas — pan mi wybaczysz zestawienie! Może istnieją mężczyźni, którzy by musieli tak odpowiedzieć, ale to ludzie niewątpliwie śmieszni, to pantoflarze miłości, mówiąc epigramatycznie. Chciałbym wiedzieć, jak kobieta, która daje taką odpowiedź, ocenia swą własną wartość. Czy jest przekonana, że powinna odplacić mężczyźnie bezgranicznym oddaniem za to, że raczył wybrać istotę tak marną jak ona, czy też w miłości mężczyzny widzi nieomylny znak jego doskonałości? Zadawałem już sobie w cichości ducha czasami takie mniej więcej pytanie.

— To sprawy najpierwotniejsze, fakty klasyczne! Młody człowieku, zręcznymi słówkami porusza pan rzeczy święte — odparł Peeperkorn. — Mężczyznę oszołamia żądza, kobieta pragnie oszołomienia się jego żądzą i tego oczekuje. Stąd nasz

obowiązek uczucia! Stąd straszliwa hańba braku uczuć i niezdolności obudzenia żądz w kobiecie. Napije się pan ze mną wina? Ja chciałbym się napić. Czuję pragnienie. Straciłem dziś dużo wilgoci.

— Bardzo panu dziękuję. Nie jest to wprawdzie moja właściwa pora, ale zawsze jestem gotów wychylić łyk wina za pańskie zdrowie.

— No to proszę wziąć kieliszek. Mam tu tylko jeden, więc ja posłużę się szklanką. Mam wrażenie, że nie obrażę tego musującego winka, jeśli — z prostej szklanki — Nalał przy pomocy gościa, bo jego kapitańska ręka trzęsła się lekko, i wlał chciwie w swoje posagowe gardło szklankę czerwonego wina, jakby to była czysta woda.

— To krzepi — rzekł. — Nie pije pan więcej? W takim razie pan pozwoli, że sobie jeszcze — Nalewając powtórnie, rozlał nieco wina. Na powleczeniu kołdry ukazały się ciemnoczerwone plamy. — Powtarzam — rzekł podniósłszy ostro zakończony palec, podczas gdy w drugiej ręce drżała mu szklanka — powtarzam: Stąd pochodzi nasze zobowiązanie, nasz religijny obowiązek doznawania uczuć. Uczucie nasze, rozumie pan, to męska siła, budząca życie. Życie drzemie. Chce być obudzone, aby się upajać swymi zaślubinami z boskim uczuciem. Bo uczucie, młody człowieku, jest boskie. Człowiek jest podobny bogom, jeśli doznaje uczuć. Jest uczuciem Boga. Bóg stworzył go, aby za jego pośrednictwem doznawać uczuć. Człowiek nie jest niczym innym jak tylko organem, za pomocą którego Bóg poślubia obudzone i pijane namiętnością życie. Jeśli uczucie odmówi mu posłuszeństwa, popełnia świętokradztwo. Jest to klęska boskiej siły męskiej, kosmiczna katastrofa, niepojęta i straszliwa. — Wypił.

— Pozwoli pan, że wezmę pana szklankę, Mynheer Peeperkorn — rzekł Hans Castorp. — Siedzę bieg myśli pańskiej i dowiaduję się niezmiernie wiele. Rozwijają pan teologiczną teorię, w której przypisuje pan ludziom wysoce zaszczytną, choć może nieco jednostronną religijną funkcję. Pański sposób myślenia jest, jeśli wolno mi tak powiedzieć, nieco rygorystyczny, jest

w nim nawet, niech mi pan wybaczy, coś przytłaczającego. Ludzi skromnego formatu przytłacza, rozumie się, wszelka religijna surowość. Nie ośmieliłbym się poprawiać pana, ale chciałbym nawiązać do tego, co pan powiedział, chciałbym powrócić do owych „przesądów”, którymi według pańskich obserwacji kieruje się pan Settembrini w stosunku do Madame, do pańskiej towarzyszkii podróży. Znam pana Settembriniego od dawna, od bardzo dawna, od lat. I mogę pana zapewnić, że jego przesady, o ile je w ogóle ma, w każdym razie nie mają w sobie nic małostkowego, małomieszczańskiego — to śmieszne, nie może być o tym mowy. Mogą tu w grę wchodzić jedynie i wyłącznie przesady w większym stylu, a więc nieosobiste — ogólne zasady wychowawcze, przy których realizowaniu, prawdę powiedziawszy, pan Settembrini, mnie jako „wieczne strapienie” — Ale to zawiodłoby za daleko. Jest to bardzo obszerna sprawa, nie mogę jej w kilku słowach —

— A pan kocha Madame? — zapytał nagle Mynheer i zwrócił ku gościowi królewską twarz z boleśnie rozdartymi ustami i małymi, bladymi oczami pod arabeskami czoła... Hans Castorp przeraził się. Wyjąkał:

— Czy ja... to znaczy... Mam naturalnie dla pani Chauchat cześć, chociażby dlatego, że jest —

— Bardzo proszę — rzekł Peeperkorn wyciągając dłoń hamującym, wytwornym gestem. Zapewniwszy sobie w ten sposób dość miejsca dla własnych słów, ciągnął dalej: — Muszę powtórzyć, że nie mam bynajmniej zamiaru zarzucania temu Włochowi, jakoby kiedykolwiek uchybił w czymkolwiek przepisom rycerskości — Podobnego zarzutu przeciw nikomu nie podnoszę, przeciw nikomu. Ale to rzuca mi się w oczy — W tej chwili na przykład cieszę się bardzo — Dobrze, młody człowieku. Zupełnie dobrze, doskonale. Cieszy mnie to bez wątpienia: sprawia mi prawdziwą radość. Mimo to mówię sobie — Mówię po prostu tak: Pan zna panią Chauchat dłużej niż mnie. Dzielił pan z nią już poprzedni jej pobyt tutaj. A poza tym ona jest kobietą pełną najbardziej czarujących zalet, a ja tylko chorym starcem. Dlaczego to — Ponieważ jestem niedyspono-

wany, poszła dziś po południu sama i bez żadnego towarzystwa do Uzdrowiska po zakupy — Nie ma nieszczęścia! Najmniejszego! Ale byłoby niewątpliwie — Czyż mam to przypisywać wpływom — jak pan to nazwał? — zasad wychowawczych Signora Settembriniego, że pan rycerskiej chęci — Proszę mnie dobrze rozumieć...

— Rozumiem, Mynheer Peeperkorn! Więc nie. Ale to zupełnie nie. Postępuję wyłącznie z własnej inicjatywy. Przeciwnie, pan Settembrini nawet przy pewnej sposobności — — Widzę z przykrością plamy z wina na pańskiej pościeli, Mynheer Peeperkorn. Czy nie trzeba by — Posypywaliśmy je zwykle solą, zanim wyschły —

— To nieistotne — rzekł Peeperkorn nie spuszcżając gościa z oka.

Hans Castorp zbladł.

— Sprawa — rzekł z nieszczerym uśmiechem — przedstawia się jednak nieco inaczej niż zazwyczaj. Duch, jaki tu w górze panuje, nie jest, że tak powiem, konwencjonalny. Pierwszeństwo ma chory, bez względu na to, czy jest mężczyzną, czy kobietą. Przepisy rycerskości ustępują wobec tego na drugi plan. Pan jest chwilowo niezdrów, Mynheer Peeperkorn — jest to stan ostry, chwilowe niedomaganie. Pańska towarzyszka podróży jest w porównaniu z panem osobą zdrową. Sądzę więc, że działam całkiem po myśli Madame, jeśli na czas jej nieobecności zastępuję ją cokolwiek przy panu — o ile tu można mówić o zastępstwie, ha, ha: — wybrałem tę ewentualność zamiast drugiej, zamiast zastąpić pana przy niej i ofiarować jej swoje towarzystwo. Poza tym cóż by mnie upoważniało do tego, bym pańskiej towarzyszce podróży narzucał się z rycerskimi usługami? Mogę powiedzieć, że mam dużo zrozumienia dla pozytywnych stosunków prawnych. Słowem — zdaje mi się, że zachowanie się moje jest poprawne, że odpowiada istniejącemu stanowi rzeczy, a przede wszystkim zgodne jest z moimi szczerymi uczuciami względem pana, Mynheer Peeperkorn. Sądzę, że tym samym dałem zadowolającą odpowiedź na pańskie pytanie, bo pan przecie zadał mi pewne pytanie.

— I to bardzo przyjemną odpowiedź — odparł Peeperkorn. — Słucham z mimowolną przyjemnością pańskich szybkich słówek, młodzieńcze. Biorą lekko wszystkie przeszkody i zaokrąglają sprawy odbierając im ostre kontury. Ale zadowolającą — nie. Pańska odpowiedź niezupełnie mnie zadowala — proszę wybaczyć, jeśli to dla pana jest rozczarowaniem. „Rygorystyczny” — użył pan przed chwilą, drogi przyjacielu, tego wyrazu w stosunku do pewnych moich zapatrywań. Ale także i pańskie wypowiedzi są nieco rygorystyczne, są wymuszone i surowe, co, jak mi się zdaje, niezgodne jest z pańską naturą, chociaż stwierdziłem to też w sposobie, w jaki się pan w pewnych okolicznościach zachowuje. Teraz zauważyłem to znowu. Jest to ten sam wymuszony sposób, który zaobserwowałem u pana podczas wspólnych przechadzek w stosunku do Madame — wyłącznie w stosunku do niej — a który mi pan — wytłumaczyć — to jest dług, młody człowieku, to zobowiązanie. Nie myślę się. Zbyt często stwierdzałem słuszność tego spostrzeżenia i jest nieprawdopodobne, aby tego także i inni nie zauważyli, z tą różnicą, że inni zapewne, a nawet prawdopodobnie, umieją sobie wytłumaczyć to zjawisko.

Mynheer mówił dziś wyjątkowo ściśle i zaokrąglonymi, nie urywanymi zdaniami, mimo że był wyczerpany złośliwym napadem malarii. Na wpół siedząc w łóżku, potężne barki i wspinała głowę zwracał wprost ku gościowi; jedno jego ramię spoczywało na kołdrze, a piegowata ręka kapitana okrętu wystająca z trykotowego rękawa układała się w formie owego towarzyszącego ścisłym wywodom koła, nad którym sterczały włócznie trzech palców; usta formowały słowa tak ostro i dokładnie, plastycznie wprost, z gardłowym R w wyrazach „prawdopodobnie” i „zaobserwowałem”, że pan Settembrini wie miałby mu nic do zarzucenia.

— Uśmiecha się pan — ciągnął dalej — kręci pan głową mrugając oczyma. Mam wrażenie, że na próżno się pan głowi. A jednak niewątpliwie pan wie, co mam na myśli, o co mi chodzi. Owszem, rozmawia pan czasem z panią Chauchat i odpowiada na jej pytania, gdy tego rozmowa wymaga — nie prze-

czę. Ale powtarzam, jest w tym coś wymuszonego, dokładnie mówiąc: coś wymijającego, unikanie czegoś, a mianowicie, jeśli się bliżej przyjrzeć, unikanie pewnej formy. Słuchając pana ma się wrażenie, że chodzi tu o jakiś zakład, mocą którego nie wolno panu zwracać się do niej w pewien określony sposób. Unika pan tego konsekwentnie i bez wyjątku. Nie mówi pan do niej „pani”.

— Ależ Mynheer Peeperkorn... Jakiż by zakład...

— Pozwolę sobie zwrócić pańską uwagę na okoliczność, z której pan sam sobie zapewne zdaje sprawę, a mianowicie, że zbladł pan w tej chwili jak ściana.

Hans Castorp nie podnosił oczu. Pochylony, badał pilnie czerwone plamy na pokryciu kołdry. „Musiało przyjść do tego! — myślał. — Zanosilo się na to. Sam zresztą robiłem co mogłem, aby się tak stało. Zdaję sobie w tej chwili sprawę, że po prostu starałem się o to, aby chwila taka nadeszła. Czy naprawdę tak zbladłem? Możliwe, bo stawiam teraz wszystko na jedną kartę. Nie wiadomo, co się stanie. Czy mogę jeszcze kłamać dalej? Zapewne, ale wcale tego nie chcę. Pozostańmy na razie przy krwawych plamach, plamach z czerwonego wina na pokryciu kołdry.”

Nad nim milczano również. Cisza trwała dwie, trzy minuty — pozwałała zrozumieć, jak bardzo mogą się w tego rodzaju warunkach wydłużać drobne jednostki czasu.

Pieter Peeperkorn pierwszy na nowo zaczął rozmowę.

— Było to owego wieczoru, kiedy miałem przyjemność poznać pana — rozpoczął śpiewnie i zniżył głos ku końcowi na znak, że jest to pierwsze zdanie dłuższej opowieści. — Obchodziliśmy małą uroczystość, jedliśmy i pili, byliśmy w świetnych humorach, w swobodnym i przedsiębiorczym nastroju, a potem, ująwszy się pod ramię, udaliśmy się późną już porą na spoczynek. Tu, obok mych drzwi, wpadło mi coś na myśl: wezwałem pana, aby pan wargami dotknął czoła kobiety, która mi go przedstawiła jako swojego dobrego znajomego z czasów poprzedniego pobytu, i pozostawiłem jej uznaniu, czy chce również dokonać tego wesołego a uroczystego czynu w moich

oczach na znak, że godzina jest podniosła. Pan odrzucił wręcz moją propozycję, odrzucił ją z tym uzasadnieniem, że nie miało by sensu, by pan z moją towarzyszką podróży wymieniał pocałunki w czoło. Nie zaprzeczy pan chyba, że wyjaśnienie to wymagałoby nowych wyjaśnień, a tych nie usłyszałem do tej pory. Czy chciałby pan udzielić mi ich teraz?

„Tak, a więc i to zauważył — pomyślał Hans Castorp i pochylił się jeszcze bardziej nad plamami z wina, drapiąc jedną z nich końcem środkowego palca. — Widocznie zależało mi wtedy na tym, aby to zauważył i zapamiętał sobie, bo w przeciwnym razie nie byłbym tego powiedział. Ale co teraz? Serce mi bije jak młotem. Czy nadejdzie straszliwy wybuch królewskiego gniewu? Może byłoby wskazane przekonać się, czy przypadkiem jego pięść nie zawisła już nade mną? Sytuacja moja jest bardzo oryginalna i wysoce niemiła!”

Nagle poczuł, że ręka Peeperkorna obejmuje jego prawą rękę w przegubie.

„Teraz chwyta mnie za rękę! — myślał. — Śmieszne, czemuż ja siedzę, jakby mi kto głowę zmył. Czy zawiniłem coś przeciw niemu? Bynajmniej. Skarżyć może się przede wszystkim jej mąż w Dagestanie, a potem jeszcze niejeden. A potem ja. On zaś, o ile wiem, w ogóle nie ma jeszcze żadnych powodów do skarg. Dlaczegoż więc bije mi serce? Najwyższy czas, abym się wyprostował i spojrział szczerze, choć z należnym mu szacunkiem w jego potężne oblicze.”

Uczynił to. Potężne oblicze było żółte, oczy patrzyły blado spod zmarszczek czoła, rozdarte wargi miały wyraz goryczy. Spojrzeli sobie w oczy, wielki starzec i skromny młodzieniec; pierwszy trzymał wciąż drugiego za rękę. Wreszcie Peeperkorn rzekł cicho:

— Pan był kochankiem Kławdii, gdy była tu po raz pierwszy.

A Hans Castorp pochylił głowę raz jeszcze, ale podniósł ją natychmiast i rzekł odetchnawszy głęboko:

— Mynheer Peeperkorn! Okłamywanie pana byłoby mi w najwyższym stopniu wstrętne, szukam więc sposobu uniknięcia tego. Nie jest to rzeczą łatwą. Samochwalstwem byłoby,

gdybym zdanie pańskie potwierdził, ale skłamałbym, gdybym mu zaprzeczył. Należy to rozumieć następująco. Mieszkałem w tym domu długo, bardzo długo obok Kławdii — przepraszam — obok pańskiej obecnej towarzyszkii podróży, nie zawierając z nią znajomości. Stosunki towarzyskie były między nami wykluczone, zwłaszcza jeśli chodzi o mój stosunek do niej, którego geneza tonie w mroku. W myślach nie zwracałem się do Kławdii nigdy inaczej jak tylko „ty”, a także w rzeczywistości nie nazywałem jej nigdy inaczej. Pewnego wieczoru zrzuciłem owe krępujące mnie więzy pedagogiczne, o których wspomnieliśmy już w ciągu rozmowy, i zbliżyłem się do niej pod pozorem, od dawna zajmującym moje myśli. Była to maskarada, wieczór karnawałowy, wieczór nieodpowiedzialnego „ty”, które uzyskało wówczas jakby we śnie i w sposób nieodpowiedzialny swój pełny sens. Lecz działało się to w przedzień wyjazdu Kławdii.

— Pełny sens — powtórzył Peeperkorn. — Bardzo to pan zgrabnie... — Puścił dłoń Hansa Castorpa i zaczął masować sobie policzki, oczodoły i brodę obu dłońmi swoich kapitańskich rąk, o długich paznokciach. Potem splótł ręce na splamionej winem kołdrze, przechylił głowę w bok, na lewo, tak że odwrócił twarz od gościa.

— Dałem panu odpowiedź możliwie najbliższą prawdy, Mynheer Peeperkorn — rzekł Hans Castorp — i dołożyłem wszelkich starań, by nie powiedzieć ani za dużo, ani za mało. Zależało mi przede wszystkim na tym, aby panu zwrócić uwagę, że ów wieczór, gdyśmy mówili sobie uzasadnione w pełni „ty” i zegnali się z sobą, można, jeśli się chce, uważać za rzeczywisty lub nierzeczywisty — był to bowiem wieczór nadliczbowy, bez mała nie mieszczący się w kalendarzu, hors-d'oeuvre * że tak powiem, wieczór przestępny, dwudziesty dziewiąty lutego. Gdybym więc pańskiemu twierdzeniu zaprzeczył, skłamałbym tylko w połowie.

Peeperkorn nie odpowiadał.

— Woląłem — zaczął Hans Castorp po przerwie — powiedzieć całą prawdę, choćbym miał na skutek tego utracić pań-

ską życzliwość, co, szczerze mówiąc, byłoby dla mnie dotkliwą stratą, rzec mogę, ciosem, prawdziwym ciosem; mógłbym go porównać chyba z innym, którego doznałem, gdy pani Chau-chat powróciła nie sama, lecz jako pańska towarzyszka podróży. Zaryzykowałem jednak ten krok, bo pragnąłem od dawna, aby zapanowała między nami zupełna szczerłość — między panem, którego darzę tak niezwykłym uczuciem czci, a mną. Wydawało mi się to piękniejsze i bardziej ludzkie — pan wie, jak Kławdia wymawia ten wyraz swym cudownie przytłumionym głosem, z czarującym przeciąganiem — niżli milczeć i udawać; toteż spadł mi kamień z serca, kiedy pan zaczął o tym mówić.

Żadnej odpowiedzi.

— Jeszcze jedno, Mynheer Peeperkorn — ciągnął dalej Hans Castorp. — Jeszcze jedno skłoniło mnie do szczerości, a mianowicie, że sam doświadczyłem, jak denerwująco działa w podobnych wypadkach niepewność, konieczność zadowalania się połowicznymi domysłami. Pan teraz wie, z kim Kławdia przeżyła, przepędziła, obchodziła — niechże będzie, obchodziła — dwudziestego dziewiątego lutego, zanim wytworzył się obecny stan prawny, którego lekceważenie byłoby naturalnie szaleństwem. Ja ze swojej strony nigdy tego tak dobrze nie wiedziałem, choć zdawałem sobie sprawę, że każdy w podobnej sytuacji musi się liczyć z takimi faktami, chciałem powiedzieć — z poprzednikami. Co prawda, wiedziałem, że radca Behrens, który, jak pan wie zapewne, jest malarzem-dyletantem, namalował po wielu posiedzeniach jej olejny portret, oddając jej skórę z realizmem, który między nami mówiąc, może dać wiele do myślenia. Martwiłem się niemało z tego powodu i łamałem sobie głowę, a i teraz w dalszym ciągu to czynię.

— Pan ją jeszcze kocha? — zapytał Peeperkorn nie zmieniając pozycji, więc z odwróconą twarzą... Wielki pokój tonął coraz bardziej w zmroku. »

— Pan mi wybacz, Mynheer Peeperkorn — odparł Hans Castorp — ale uczucia, jakie żywię dla pana, uczucia najwyż-

szej czci i podziwu, nie pozwalają mi mówić z panem o moich uczuciach względem pańskiej towarzyszki podróży.

— A czy ona — spytał cicho Peeperkorn — odwzajemnia dziś jeszcze te uczucia?

— Nie twierdę — odparł Hans Castorp — nie twierdę, iżby odwzajemniała je była kiedykolwiek. Jest to mało prawdopodobne. Poruszyliśmy przedtem tę kwestię teoretycznie, mówiąc o reaktywnej naturze kobiet. We mnie oczywiście niewiele jest rzeczy, które by można kochać. Jakiż ja mam format — niech pan to sam osądzi! Jeśli mimo to mógł się zdarzyć — dwudziesty dziewiąty lutego, to należy to przypisać jedynie i wyłącznie kobiecej przekupności, kobiecej skłonności do ulegania wyborowi mężczyzny. Jeszcze jedna uwaga: Mam wrażenie, że chwalebę się w sposób niesmaczny, nadając sobie miano mężczyzny; ale Kławdia jest w każdym razie kobietą.

— Poszła za głosem uczucia — spłynął szept z rozdartych warg Peeperkorna.

— Uczyniła to z dużo większą uległością w stosunku do pana — odparł Hans Castorp — a wedle wszelkiego prawdopodobieństwa uczyniła już przedtem niejedną raz — to musi sobie uświadomić każdy, kto znajdzie się w położeniu —

— Dość! — rzekł Peeperkorn z twarzą wciąż jeszcze odwróconą, ale czyniąc w kierunku rozmówcy wyrazisty gest dłonią. — Czy to nie podłe, że mówimy o niej w ten sposób?

— Ależ nie. Nie, mogę pana pod tym względem zupełnie uspokoić. Mówimy przecież o rzeczach ludzkich — wyrazu „ludzki” używam w znaczeniu wolności i genialności. Pan wybaczy mi to moje nieco pretensjonalne wyrażenie, ale zacząłem go używać niedawno, bo było mi potrzebne.

— Dobrze, proszę mówić dalej! — rozkazał cicho Peeperkorn.

I Hans Castorp mówił cicho, siedząc obok łóżka na brzegu krzesła, pochylony ku majestatycznemu starcowi, z rękami wciśniętymi w kolana.

— Jest to wszak genialna egzystencja — mówił — i jej kaukaski mąż — wie pan przecież, że ma męża za Kaukazem — zgadza się na tę jej wolność i genialność, nie wiem, z głupoty,

czy z rozsądku, nie znam tego człowieka. W każdym razie postępuje słusznie, bo ona jest wolna dzięki chorobie, dzięki genialnej zasadzie choroby, której podlega, i ktokolwiek znajdzie się w tym położeniu, powinien pójść za jego przykładem i nie uskarżać się ani na przeszłość, ani na przyszłość...

— Pan się nie uskarża? — zapytał Peeperkorn i zwrócił doń twarz... Wydała się szarą w zmerchu; oczy wyzierały blade i bezsilne spod bruzd czoła nadających mu wygląd bożka, a szerokie, rozdarte wargi były na wpół rozchylone jak u tragicznej maski.

— Nie sądziłem — odpowiedział skromnie Hans Castorp — że chodzi tu o mnie. Słowa moje zmierzały do tego, aby pan nie uskarżał się na mnie, Mynheer Peeperkorn, i nie cofnął mi swej przyjaźni z powodu tego, co było. O to mi chodzi w tej chwili.

— Mimo to — rzekł Peeperkorn — ból, który panu bezwiednie sprawiłem, musiał być dotkliwy.

— Jeśli to jest pytaniem i jeśli na nie odpowiem twierdząco — odparł Hans Castorp — w żadnym razie nie znaczy to, że nie umiałem ocenić niezmiernego zaszczytu, jakim jest dla mnie znajomość z panem, a zaszczyt ten jest nierozdzielnie złączony z rozczarowaniem, o którym pan mówi.

— Dziękuję, młody człowieku, dziękuję. Umiem cenić uprzejmość pańskich miłych słów. Ale abstrahując od naszej znajomości —

— Trudno od niej abstrahować — rzekł Hans Castorp — a ja nawet nie powinienem tego czynić, jeśli chcę po prostu twierdząco odpowiedzieć na pańskie pytanie. Okoliczność bowiem, że Kławdia wróciła w towarzystwie osobistości pańskiego formatu, mogła przyczynić się tylko do pogłębienia i powikłania przykrości, wynikającej z faktu, że w ogóle wróciła w towarzystwie innego mężczyzny. Sprawa ta zaprzętała mnie i zaprzęta dotąd, nie przeczę; toteż w miarę możliwości uwagę raczej rozmyślnie zwracałem na jej stronę pozytywną, to jest na uczucie niekłamanej czci, jaką mam dla pana, Mynheer Peeperkorn. Była w tym zresztą zarazem mała złośliwość, z ostrzem zwróco-

nym przeciw pańskiej towarzysze podróży; kobiety bowiem wcale nie lubią, kiedy ich kochankowie żyją z sobą w zgodzie.

— Rzeczywiście — rzekł Peeperkorn i starał się ukryć uśmiech, przesuwając rękę po ustach i po brodzie, jakby zachodziła obawa, że pani Chauchat może dojrzeć ten uśmiech. Także Hans Castorp uśmiechnął się dyskretnie, a potem obaj skinęli głową na znak porozumienia.

— Należała mi się ostatecznie ta mała zemsta — ciągnął dalej Hans Castorp — co do mnie bowiem, to mam naprawdę powód, aby uskarżać się wprawdzie nie na Kławdię i nie na pana, Mynheer Peeperkorn — ale aby w ogóle się uskarżać na własne życie i los. A ponieważ zaszczyca mnie pan swym zaufaniem, więc spróbuję w tej tak osobliwej szarej godzinie wyjaśnić to panu, chociażby ogólnikowo.

— Proszę o to — rzekł Peeperkorn grzecznie, po czym Hans Castorp ciągnął dalej:

— Przebywam tu w górze od dawna, Mynheer Peeperkorn, od wielu lat, nie wiem już nawet dokładnie, od jak dawna, ale te lata to lata życia, dlatego mówiłem przed chwilą o „życiu”, a także do „losu” wrócić jeszcze we właściwej chwili. Umarł tu mój kuzyn, do którego przyjechałem z krótką wizytą, żołnierz, pełen uczciwych, szlachetnych zamierzeń, z których mu nic nie przyszło, a ja wciąż tu jeszcze siedzę. Nie byłem żołnierzem, miałem zawód cywilny, jak pan może słyszał, dobry i rozsądny zawód, i to taki, który pono łączy narody. Ale przyznaję, że nie miałem doń specjalnego zamiłowania, a to z powodów, o których tyle powiem tylko, że toną w mroku; łączą się tam z początkami mych uczuć dla pańskiej towarzyszki podróży — nazywam ją tak wyraźnie, aby zaznaczyć, że ani mi w głowie zmieniać coś w istniejącym stanie prawnym — a więc moich uczuć do Kławdii Chauchat i zażyłości wyrażającej się słówkiem „ty”, której nie wyrzekłem się ani przez chwilę, odkąd jej oczy spotkały się z moimi i wzbudziły we mnie uczucie — nierozsądne, rozumie pan, uczucie. Dla niej to, a na przekór panu Settembriniemu, poddałem się pierwiastkowi nierozsądku, genialnemu pierwiastkowi choroby, któremu zresztą

podlegałem zapewne już od dawna. Dlatego pozostałem tu w górze — nie wiem już dokładnie, jak długo, zapomniałem o wszystkim i zerwałem ze wszystkimi, ze swymi krewnymi, ze swym zawodem na nizinie, ze wszystkimi widokami na przyszłość. A gdy Kławdia odjechała, czekałem na nią, wciąż czekałem tu w górze, tak że stracony jestem dla nizin, dla nich jak gdybym nie żył. To właśnie miałem na myśli, gdy mówiłem o „losie” i pozwoliłem sobie zaznaczyć, że mam prawo uskarżać się na terażniejszy stan prawny. Czytałem kiedyś opowieść — nie, widziałem ją na scenie*; pewien Bogu ducha winien chłopiec — żołnierz zresztą, jak mój kuzyn — poznał piękną Cyganekę. Była to śliczna, dzika i fatalna kobieta, z kwiatem za uchem, która zdołała go tak usidlić, że wykoleił się zupełnie, poświęcił jej wszystko, popełnił dezercję, wstąpił wraz z nią do bandy przemytników i spodlił się do ostateczności. Kiedy już do tego doszło, miała go dość i zadała się z jakimś matadorem, władcą osobistością o wspaniałym barytonie. Skończyło się na tym, że mały żołnierz, blady jak płótno i z rozpiętą na piersi koszulą, przebił ją nożem u wejścia do cyrku, do czego zresztą sama go doprowadziła. Cała ta historia niewiele ma z tym wszystkim związku. Ale dlaczego właściwie przypomniałem ją sobie?

Usłyszawszy wyraz „nóż” Mynheer Peeperkorn zmienił nieco swą siedzącą pozycję w łóżku; przysunął się na jego skraj, zwracając nagle twarz ku gościowi i patrząc mu badawczo w oczy. Potem wyprostował się i wsparty na łokciach rzekł:

— Młody człowieku, słyszałem i wiem już wszystko. Proszę pozwolić, bym na podstawie pańskich wynurzeń złożył lojalne oświadczenie! Gdyby włosy me nie były siwe i gdyby złośliwa gorączka nie trawiła mego ciała, gotów byłbym dać panu, jak mężczyzna mężczyźnie, z bronią w rękę, zadośćuczynienie za krzywdę, którą mu wyrządziłem bezwiednie, i za tę, którą wyrządziła mu moja towarzyszka podróży, bo i za tę krzywdę powinienem ponosić odpowiedzialność. Doskonale, mój panie — byłbym gotów. W obecnym jednak stanie rzeczy proszę mi pozwolić wysunąć inną propozycję, Jest następująca: Pamiętam

śpiewane na równinach — chłodny tu w górze i niezbyt pociągający; jednakże okres tajania śniegu można już było uważać za skończony. Wprawdzie w ostatnich dniach śnieg wielokrotnie jeszcze padał wielkimi płatkami, rozplywał się jednak szybko, zostawiając po sobie tylko nieco wilgoci; zimowe zwały śnieżne wsiąkły, wyparowały, tu i ówdzie widniały jeszcze drobne ich resztki; świat, zielony znowu i dostępny, zapraszał do wycieczek.

Życie towarzyskie ucierpiało znacznie w ostatnich tygodniach na skutek niedyspozycji przywódcy, wspaniałego Peeperkorna; jego malaria, złośliwy dar okolic podzwrotnikowych, nie ustępowała ani pod wpływem nadzwyczajnego klimatu, ani środków leczniczych, stosowanych przez tak wybitnego lekarza jak radca Behrens. Leżał często w łóżku nie tylko w dniach, w których kwartana upominała się o swe groźne prawa. Radca oświadczył dyskretnie wobec przyjaciół pacjenta, że jest niedobrze z wątrobą i śledzioną. Również żołądek jego miał być daleki od stanu normalnego. Behrens nie omieszkał zwrócić uwagi na niebezpieczeństwo chronicznej utraty sił, która mogła się wywiązać nawet w tak potężnym organizmie.

Mynheer przewodniczył w ciągu tych tygodni podczas jednej tylko wieczornej biesiady, a także wspólne spacerowanie ograniczono do jednej, niezbyt dalekiej przechadzki. To rozluźnienie stosunków towarzyskich odczuł zresztą — między nami mówiąc — Hans Castorp poniekąd jako ulgę, bo kielich braterstwa, wypity z towarzyszem podróży pani Chauchat, stał się dlań źródłem pewnych trudności; w rozmowach prowadzonych z Peeperkornem w obecności osób trzecich występowało to samo „wymuszenie” i „wymijanie”, to samo „unikanie”, wynikłe jakby z jakiegoś zakładu, które Peeperkorna uderzyło w stosunku Hansa Castorpa do Kławdii. Omijał formę „ty” na różne, przedziwne często sposoby, o ile nie mógł jej po prostu połknąć. Przyczyną tego był ten sam, a raczej odwrócony dylemat, który odgrywał tak ważną rolę w jego rozmowach z Kławdią w obecności osób trzecich, a nawet w obecności samego

tylko jej władcy. Teraz, na skutek udzielonej mu satysfakcji, dylemat ten wytworzył podwójnie kłopotliwą sytuację.

A więc na porządku dziennym był projekt wycieczki do wodospadu. Peeperkorn sam określił cel i czuł się na siłach do tej wyprawy. Był to trzeci dzień po ataku kwartany; Mynheer oświadczył, że chce skorzystać z tego dnia. Wprawdzie na ranne posiłki nie zjawił się w sali jadalnej, lecz zjadł śniadanie, jak często w ostatnich czasach, u siebie w salonie, w towarzystwie pani Chauchat; ale już przy pierwszym śniadaniu Hans Castorp otrzymał przez kulawego odźwiernego polecenie, aby w godzinę po obiedzie był gotów do przejażdżki. Miał też przekazać ten rozkaz panom Fergemu i Wehsalowi, zawiadomić Settembriniego i Naphtë, że zajedzie się po nich, a także zamówić dwa landa na godzinę trzecią.

Spotkano się o wymienionej porze przed portalem „Bergho*fu”; Hans Castorp, Ferge i Wehsal oczekiwali tam państwa z luksusowych apartamentów, skracając sobie czas głaskaniem koni i karmieniem ich z ręki kawałkami cukru. Towarzysze podróży zjawili się na schodach przed hotelem z małym tylko opóźnieniem. Peeperkorn, którego królewska twarz zeszczupliała, stojąc u góry, przy boku Kławdii, w długim, znoszonym nieco płaszczu uchylił miękkiego, okrągłego kapelusza, a wargi jego wyszeptaly niedosłyszalne pozdrowienie dla wszystkich obecnych. Następnie uściśnił dłoń trzem panom, którzy podeszli do schodów naprzeciw zbliżającej się pary.

— Młodzieńcze — rzekł do Hansa Castorpa kładąc lewą rękę na jego ramieniu — jak się masz, synu?

— Dziękuję bardzo! A nawzajem? — odparł zapytany...

Słońce świeciło, dzień był piękny i jasny, a jednak dobrze zrobili ci, którzy włożyli cieplejsze okrycia; podczas jazdy niewątpliwie będzie chłodno. Pani Chauchat również miała na sobie ciepły płaszcz z włochatej materii w wielkie kraty, z paskiem i futrzanym kołnierzem. Za pomocą woalki oliwkowego koloru, uwiązanej pod brodą, przygięła z jednej strony brzeg swego pilśniowego kapelusza na dół; było jej z tym tak do twarzy, że obecni odczuwali to wręcz boleśnie — z wyjątkiem

Fergego, który, jedyny w całym towarzystwie, nie był w niej zakochany. Ta obojętność sprawiła, że przydzielono mu na razie, aż do przyłączenia się gości spoza zakładu, miejsce w pierwszym landzie, naprzeciw Mynheera i Madame. Wsiadając do drugiego powozu, z Ferdynandem Wehsalem, Hans Castorp spostrzegł drwiący uśmiech Kławdii. Szczupły kamerdyner malajski uczestniczył w wycieczce. Ukazał się za swym państwem niosąc duży koszyk, z którego wycierały szyjki dwu butelek wina; umieściwszy go pod tylnym siedzeniem pierwszego powozu, zasiadł obok woźnicy i skrzyżował ramiona, w tej chwili konie ruszyły i pojazdy z zaciśniętymi hamulcami potoczyły się po drodze schodzącej zakosami w dół.

Wehsal zauważył również uśmiech pani Chauchat i szczerząc zepsute zęby odezwał się do towarzysza drogi:

— Widział pan, jak się śmieje z pana, że musi pan sam jechać ze mną? Tak, tak, szyderstwo idzie krok w krok za niepowodzeniem. Czy bardzo to pana złości i brzydzi, że siedzi pan koło mnie?

— Niechże się pan opamięta i nie wygaduje takich nikczemnych rzeczy! — upomniał go Hans Castorp. — Kobiety uśmiechają się dla samego uśmiechu, czy trzeba, czy nie trzeba; nie ma sensu za każdym razem się nad tym zastanawiać. Dlaczego pan się tak wciąż płaszczy? Ma pan swoje zalety i wady, jak my wszyscy. Na przykład gra pan bardzo pięknie marsz weselny ze „Snu nocy letniej”, nie każdy to potrafi. Powinien pan zagrać znowu przy najbliższej sposobności.

— Tak, teraz namawia mnie pan, tak z góry — odparł nie szczęśnik — i nie wie pan nawet, jak bezwstydne są pańskie słowa pociechy i że mnie pan przez nie jeszcze bardziej poniża. Dobrze panu tak mówić i pocieszać mnie wyniośle, bo choć pan teraz robi wrażenie dość śmieszne, to kiedyś była pańska kolej, był pan w siódmym niebie, mój Boże, i czuł pan jej ramiona wokoło swej szyi; wszystko to, Boże miłosierny, pali mnie w gardle i sercu, kiedy o tym myślę — a teraz spogląda pan na moje męki żebraka, dobrze pamiętając o tym wszystkim, co mu przypadło w udziale...

— Nieładnie się pan wyraża, a nawet wprost odrażająco. Nie potrzebuję tego ukrywać, skoro mi pan zarzuca, że jestem bezwstydnym. Pan nawet chce, żeby to było odrażające. Pan stara się wręcz o to, by się uczynić wstrętnym i płaszczy się pan bezustannie. Czy pan jest rzeczywiście tak bardzo w niej zakochany?

— Strasznie! — odparł Wehsal potrząsając głową. — Wyrazić się nie da, jak cierpię z pragnienia i żądz. Chciałbym móc powiedzieć, że ta miłość to moja śmierć, ale z tym nie można ani żyć, ani umrzeć. Kiedy jej nie było, mój stan zaczynał się poprawiać, powoli zapomniałem o niej. Ale odkąd wróciła, odkąd widuję ją co dnia, ogarnia mnie czasem taka rozpacz, że gryzę palce, chwytam się cienia i rady sobie dać nie mogę. To zgroza, że coś podobnego istnieje na świecie, ale nie można nawet pragnąć, żeby nie istniało — bo to znaczyłoby pragnąć, żeby się życie skończyło — tak się to zespoliło z życiem — a tego właśnie niepodobna pragnąć, bo cóż by się miało z tego, gdyby się umarło? Potem — z przyjemnością. W jej ramionach — jak najchętniej. Ale przedtem byłoby szaleństwem, bo życie jest pożądaniem, a pożądanie życiem, nie może więc występować przeciw samemu sobie. Oto przeklęty diabelski młyn. A kiedy mówię „przeklęty”, jest to tylko frazes, jest tak, jakby mówił przeze mnie ktoś inny; ja sam przecież nie mogę tak myśleć. Tyle jest tortur, proszę pana, a kogo torturują, ten pragnie jednej tylko rzeczy; uwolnić się od nich, po prostu i bezwzględnie uwolnić, to jego jedyny cel. Ale od tortury, jaką jest pożądanie cielesne, człowiek pragnie się uwolnić tylko w jeden sposób, przez jego zaspokojenie — w żaden inny sposób, za żadną cenę! Tak to jest urządzone, kto tego nie zaznał, ten o tym nie myśli, ale na kogo to przyszło, temu oddech zapiera i łzy wyciska z oczu. Boże drogi, czemuż to tak jest, że ciało pożąda tak ciała tylko dlatego, że nie jest jego własne, a należy do innej duszy — jakież to dziwne, a w gruncie rzeczy jakież skromne wymaganie! Można by rzec: skoro nie chce niczego więcej ponad to, to niech to sobie ma, w imię boże. Czegóż bo ja chcę? Czy chcę ją zamordować? Przełać jej krew?

Przecie chciałbym tylko ją pieścić! Panie, kochany panie, proszę wybaczyć, że ja tak jęczę, ale na miłość boską, ona mogłaby spełnić moje życzenia! Przecież w tym jest także i coś wyższego, drogi panie, nie jestem przecież bydlęciem, ale na swój sposób jestem także człowiekiem! Pożądanie cielesne kieruje się to tu, to tam, nie jest określone i stałe, i dlatego nazywamy je zwierzęcym. Ale gdy się ustali i zwróci ku określonej osobie, wtedy usta nasze mówią o miłości. Pożądaję przecież w niej nie jej powłoki cielesnej, nie samego ciała, nie mięsa. Gdyby w jej obliczu jakiś chociażby drobny szczegół był ukształtowany inaczej, możliwe, że nie pożądałbym wcale całego jej ciała; stąd wynika, że kocham jej duszę i że ją kocham duszą. Bo miłość oblicza jest miłością duchową...

— Co się z panem dzieje? Pan nie panuje nad sobą i wygaduje tu niestworzone rzeczy...

— Ale to właśnie, to właśnie jest nieszczęściem — ciągnął biedak dalej — że ona ma duszę, że jest człowiekiem złożonym z ciała i duszy! Bo'dusza jej nie chce znać mojej, a przeto ciało jej nie chce znać mego ciała; to najstraszniejsze z nieszczęść, i dlatego żądza ma skazana jest na hańbę, a ciało musi się wic w wiecznej męce! Dlaczego ona ciałem i duszą nie chce mnie znać? Dlaczego moje pożądanie jest dla niej ohydą? Czyż nie jestem mężczyzną? Czy wstrętny mężczyzna nie jest mężczyzną? Jestem nim w najwyższym stopniu, przysięgam panu, przeszedłbym wszystkich, gdyby mi rozwarła rozkoszną krainę* swych ramion, które są tak piękne dlatego, że należą do jej duchowego oblicza. Dałbym jej rozkosz całego świata, gdyby chodziło tylko o ciała, a nie o oblicza, gdyby nie miała przekłętej duszy, która nie chce mnie znać, bez której ja jednak znowu nie pożądałbym jej ciała — to jest diabelski młyn — wpleciony jestem na zawsze w jego koło!

— Panie Wehsal! Pst! Ciszej! Woźnica wszystko rozumie! Nie odwraca wprawdzie głowy, ale widzę po jego plecach, że nasłuchuje.

— Rozumie i nasłuchuje; oto ma pan, drogi panie! Ma pan znów to swoiste urządzenie, tę jedyną w swoim rodzaju spr-

wę! Gdybym mówił o palingenezie albo... o... hydrostatyce, nie rozumiałby, nie miałby o tym pojęcia, nie słuchałby i nie zajmowałoby go to wcale. Bo to nie jest popularne. Ale najwyższa, ostateczna, straszliwa, tajemnicza sprawa ciała i duszy, patrz pan, toć ona jest zarazem najpopularniejsza; każdy zna się na niej i może się wyśmiewać z tego, na kogo to przyszło i dla którego dzień jest rozkoszną torturą, a noc piekłem hańby! Panie, drogi panie, pozwól mi pan pojęczeć, bo jakież ja mam noce! Co noc śnię o niej, ach, czegóż ja o niej nie śnię. Pali mnie w gardle i w okolicy żołądka, kiedy myślę o tym. A sen kończy się zawsze tym, że ona mnie policzkuje, bije mnie po twarzy, a czasem pluje nawet — pluje z twarzą uduchowioną, wykrzywioną wstrętem, a wtedy budzę się okryty potem i hańbą i rozkoszą...

■— Tak, proszę pana, a teraz już dość i nie mówmy nic, aż zajedziemy przed sklep korzenny i ktoś się do nas przysiadzie. Proponuję tak i zarządzam. Nie chcę pana urazić i przyznaję chętnie, że jest pan w wielkich opałach. Ale mieliśmy w domu opowieść o kimś, komu za karę, podczas gdy mówił, wyskakiwały z ust węże i ropuchy, za każdym słowem ropucha albo wąż. Jak się w tej sytuacji zachowywał ów ktoś, o tym nie było mowy w książce, ale przypuszczałem zawsze, że zapewne przestał otwierać usta.

— Ależ to potrzeba ludzka — skarżył się Wehsal — to potrzeba ludzka, drogi panie, mówić w ten sposób, ulżyć sercu, jeśli się ktoś znajduje w takiej sytuacji jak ja.

— To nawet ludzkie prawo, mój panie, jeśli o to chodzi. Ale istnieją prawa, z których moim zdaniem nikt rozsądny w pewnych okolicznościach nie korzysta.

Milczeli więc na zarządzenie Castorpa; pojazdy dojechały zresztą szybko do obrośniętego winem domku kupca korzennego. Nie czekano ani chwili: Naphta i Settembrini stali już na ulicy, jeden w swojej podniszczonej kurtce futrzanej, drugi natomiast w firykowatym białawożółtym wiosennym okryciu, ze stębnowanymi brzegami. Powitano się skinieniami i ukłonami, pojazdy zawróciły, panowie zajęli miejsca; Naphta siadł obok

Fergego, jako czwarty w pierwszym powozie, a Settembrini we wspaniałym humorze, tryskający dowcipem, przyłączył się do Hansa Castorpa i do Wehsala. Wehsal ustąpił mu miejsca w głębi powozu i pan Settembrini rozsiadł się z wyszukaną niedbałością, jakby jechał na korso.

Chwalił rozkosz jazdy, ów ruch ciała w stanie spoczynku i wśród ciągłej zmiany otoczenia; traktował Hansa Castorpa z ojcowską dobrocią, a biednego Wehsala pogłaskał nawet po twarzy i poradził mu, żeby zapomniał o własnej niesympatycznej jaźni, podziwiając jasny świat, na który wskazał ręką w wytartej skórzanej rękawicze.

Jazda była doskonała. Cztery młode konie, z białymi strzałkami na czole, krępe, lśniące i dobrze odkarmione, uderzały w takt kopytami po równej i nie zakurzonej jeszcze drodze. Wzdłuż szosy, miejscami leżały skalne obrywy, przerosłe trawą i kwiatami, słupy telegraficzne uciekały wstecz, wyrastały lesiste wzgórza, pełne wdzięku zakręty drogi odsłaniały nowe widoki, w słonecznej dali majaczyły góry, pokryte jeszcze częściowo śniegiem. Pozostawiono za sobą stale oglądaną dolinę, zmieniony widok orzeźwiał umysły. Zatrzymano się wkrótce na skraju lasu: resztę drogi miano odbyć piechotą, aż do celu, z którym od dawna nawiązano już zmysłowy kontakt, słaby z początku, ale wciąż wzrastający. Ledwie pojazdy się zatrzymały, usłyszano lekki, i cichy, raz po raz milknący szmer, szum, drganie powietrza. Zwracano sobie na to wzajemnie uwagę, wsłuchiwano się w to, wstrzymując kroki.

— Teraz — rzekł Settembrini, który już tu nieraz bywał — zapowiada się to skromnie. Ale na miejscu wrażenie o tej porze roku jest brutalne, proszę przygotować się na to, że nie będziemy rozumieli własnych słów.

Szli więc w głąb lasu ścieżką pokrytą wilgotnym igliwem; przodem Pieter Peepkorn, oparty o ramię swej towarzyszkii, nasunawszy na czoło czarny, miękki kapelusz, szedł swym chwiejącym się na boki krokiem. Pośrodku za nimi kroczył Hans Castorp, z odkrytą głową, podobnie jak reszta panów, z rękami w kieszeniach, z pochyloną głową; pogwizdywał ci-

cho, rozglądając się dokoła. Dalej szedł Naphta i Settembrini, potem Ferge z Wehsalem, a na końcu Malajczyk, sam, z koszykiem w ręku. Rozmawiano o lesie.

Las nie przypominał innych lasów; przedstawiał swoisty, ma-lowniczy widok, egzotyczny i niesamowity. Porósł go od stóp do głów i oplatał mech; z owiniętych porostami gałęzi zwisały długie, zbite brody i grube narośle pasożytniczych roślin o nie-naturalnych barwach. Igliwie było prawie niewidoczne, wi-działo się tylko festony mchu — oblicze lasu było dziwne zmienione, miało wygląd jakby zaczarowany i chorobliwy. Las czuł się niedobrze, chorował na skutek rozrostu tych lubieżnych pnączy, których uścisk groził mu uduszeniem; tak sądzili wszy-scy uczestnicy małego pochodu, który posuwał się po ścieżkach pokrytych szpilkami; do uszu docierał już coraz wyraźniej szum, do którego się zbliżano, warkot i syczenie, przechodzące stop-niowo w huk i zapowiadające, że sprawdzi się przepowiednia Settembriniego.

Za zakrętem otworzył się widok na lesistą i skalną rozpadlinę z przerzuconym mostem i z wodospadem. W chwili gdy się dojrzało wodospad, wrażenia słuchowe doszły do zenitu — łoskot był piekielny. Masy wód spadały pionowo jedną jedyną sied-mio- czy ośmiometrową kaskadą, wysoką a zarazem dość szeroką, po czym srebrzystą pianą pędziły po skałach. Spadały z bez-sensownym hałasem, w którym zdawały się mieszać wszyst-kie możliwe rodzaje szmerów i dźwięków: grzmot i syk, ryk, wycie, trzask, chrzęst, huk, brzęk i dźwięk dzwonów — wra-żenie to przyprawiało niemal o utratę zmysłów. Turyści po-deszli blisko po śliskim, skalnym terenie i patrzyli. Wilgoć wdzierała im się z oddechem do ust i opryskiwała twarze; spo-wici mgłą wodną, mieli uszy pełne hałasu. Wymieniali spojrze-nia i, onieśmieleni, z uśmiechem potrząsali głowami, patrząc na to widowisko, na ten nieustający kataklizm piany i szumu, ogłuszeni potężnym, straszliwym, oszałamiającym hałasem. Zdawało się wszystkim, że słyszą za sobą, nad sobą, ze wszyst-kich stron grożące i ostrzegające okrzyki, dźwięki trąb i bru-talne męskie głosy.

Panowie i pani Chauchat skupili się za Mynheerem Peeperkornem i patrzyli na napór wód. Nikt nie widział twarzy Peeperkorna, zauważyli tylko, że obnażył głowę, opłomienioną białym włosem, i wdychał pełną piersią świeże powietrze. Porozumiewali się wymieniając spojrzenia i gesty, bo grzmot wodospadu zagłuszyłby zapewne nawet słowa krzyżane wprost do ucha. Wargi tworzyły bezdźwięczne wyrazy podziwu i zdumienia. Hans Castorp, Settembrini i Ferge, umówiwszy się na migi, zaczęli się pięć ku szczytowi rozpadliny, na której dnie huczał wodogrzmot, aby wydostać się na górną ścieżkę i stamtąd obserwować spadek wód. Nie była to rzecz trudna: Stromy rząd wąskich, w skale wykutych stopni wiódł jakby na wyższe piętro lasu. Wspięli się w górę jeden za drugim, weszli na most i stanawszy pośrodku, oparli o poręcz, wisząc niejako nad łukiem spadającej wody, dawali znaki towarzyszom pozostałym na dole. Potem przeszli przez most, zeszli nie bez trudności drugą stroną na dół i ukazali się znowu reszcie towarzystwa na przeciwnym brzegu spienionego potoku, przez który niżej przezucony był również most.

Zacząto teraz porozumiewać się znakami w sprawie podwieczorku. Dawano wyraz temu, że należałoby usunąć się z kręgu hałasu, aby nie spożywać darów bożych jak głuchoniemi. Ale nie ulegało wątpliwości, że Peeperkorn jest temu przeciwny. Potrząsał głową, wskazując parokrotnie w dół, a jego rozdarte A^argi, rozchylając się z trudem, formowały wyraz: „tu”. Cóż było począć? W takich sprawach był on panem i wodzem. kVpływ jego potężnej osobowości byłby rozstrzygający, nawet jdyby nie był organizatorem wycieczki. Ludzie tego formatu ;ą zawsze autokratycznymi tyranami i pozostaną nimi zawsze. vlynheer chciał spożyć podwieczorek w obliczu wodospadu,)OŚród grzmotów, taki był jego wszechwładny upór, i kto nie :hciał być głodny, musiał tu pozostać. Większość była niezadowolona. Panu Settembriniemu odebrano możliwość ludzkiej wymiany demokratycznej myśli i w jasne słowa ujętej pogawędki czy dysputy; toteż wznosił rękę nad głowę właściwym *obie* gestem rozpaczy i rezygnacji. Małajczyk pośpiesznie wy-

konał zarządzenie swego pana. Dla Mynheera i Madame ustawił pod ścianą skalną dwa składane krzeselka. U stóp ich rozłożył na serwecie zawartość koszyka, serwis do kawy i kieliszki, termosy, pieczywo i wino. Wszyscy podeszli po swe porcje, po czym wyszukali sobie miejsca na kamieniach, na barierze ścieżki, i wśród huku spożywali w milczeniu podwieczorek, trzymając w ręku filiżanki z gorącą kawą, a na kolanach talerze z pieczywem.

Peeperkorn z podniesionym kołnierzem płaszcza, położywszy kapelusz na ziemi, pił porto wychylając raz po raz srebrny kubek z monogramem. I nagle zaczął mówić. Jakież dziwny człowiek! Nie mógł przecież sam słyszeć swego głosu, a tym bardziej inni nie mogli zrozumieć ani słowa z tego, co chciał powiedzieć. Lecz on podniósł palec wskazujący, wyciągnął lewe ramię, bo w prawej ręce trzymał kubek, wzniosł dłoń ukośnie ku górze i widać było, jak jego królewska twarz porusza się przy mówieniu, jak usta formują wyrazy, które pozostają bezdźwięczne, jakby rzucane w bezpowietrzną przestrzeń. Wszyscy byli pewni, że niebawem zaprzestanie tego bezcelowego mówienia, i patrzyli nań uśmiechając się z zakłopotaniem, ale on przemawiał dalej w huku pochłaniającym każde słowo, czyniąc lewą ręką sugestywne, wytworne gesty, które zmuszały do uwagi; małe, znużone, blade, przemocą szeroko rozwierane oczy patrzyły spod fałdów czoła kolejno to na jednego, to na drugiego słuchacza; ten, do kogo się zwracał, zmuszony był mu potakiwać, podnosił brwi, otwierał usta i przykładał rękę do ucha, jakby ruchem tym mógł umniejszyć beznadziejność sytuacji. W końcu Peeperkorn powstał nawet z miejsca! Stał pod skałą z kubkiem w ręku, w pomiętym, długim, prawie do kostek sięgającym podróżnym płaszczu z podniesionym kołnierzem, z gołą głową o pobrużdżonym czole bożka, opłomienionym siwizną — poruszał ustami, a wygłaszając swą przemowę, trzymał przed sobą złożone w kółko dwa palce, nad którymi pozostałe sterczały niby włócznie, jak gdyby swój niezrozumiały, niemy toast chciał zilustrować sugestywnym symbolem ścisłości. Po gestach i ruchach warg poznać było, kiedy wymawia zwykle swe sło-

wa: „Wspaniale” i „Skończone” — nic więcej. Głowa jego pochylała się skośnie, na rozdartych wargach osiadła gorycz, twarz zmieniła się w maskę cierpienia. Jednakże po chwili na jego policzku zarysował się głęboki dołek, a wraz z nim ukazał się przebiegły wyraz sybaryty, jak gdyby podkasawszy szatę zabierał się do tańca, jak gdyby nim ośwładnęła święta rozwiąłość pogańskiego kapłana. Podniósł kubek, zatoczył nim łuk przed oczami gości i przechyliwszy go wypił w dwu czy trzech haustach do dna. Wreszcie wyciągnął ramię, podał kubek Malajczykowi, który odebrał go kładąc rękę na piersi — dał znak do powrotu.

Wszyscy dziękując skłonili się przed nim i pośpiesznie zaczęli przygotowywać się do wykonania rozkazu. Kto siedział na ziemi, skoczył na równe nogi, kto siedział na poręczy, zsunął się i wyprostował. Smukły Jawajczyk w sztywnym kapeluszu i futrzanym kołnierzu zebrał resztki posiłku i naczynia. W tym samym porządku, w którym przyszli, wracali wilgotną ścieżką wyslaną igliwiami, przez zniekształcony porostami las, ku szosie, na której czekały pojazdy.

Hans Castorp wsiadł teraz do powozu mistrza i jego towarzyszek. Siadł naprzeciw nich, obok pocziwego Fergego, dla którego niedostępne były wszelkie wyżyny. Podczas drogi powrotnej nic prawie nie mówiono. Mynheer siedział złożywszy dłonie na pledzie, okrywającym jego kolana i kolana Kławdii; milczał opuściwszy dolną szczękę. Settembrini i Naphta wysiedli i pożegnali się, zanim powóz minął tor kolejowy i strumień; Wehsal podjechał sam w drugim powozie krętą serpentyną przed portal sanatorium, gdzie się też pożegnano.

Nocy tej Hans Castorp spał z jakąś wewnętrzną gotowością, z której sam nie zdawał sobie sprawy, a której następstwem był przerywany i lekki sen; najłżejsze zakłócenie zwykłego spokoju panującego w gmachu, najbardziej przytłumiony szmer, ledwo dosłyszalny odgłos dalekich kroków wystarczył, aby się rozbudził zupełnie i zerwał z pościeli. Toteż już nie spał w chwili, gdy około godziny drugiej zapukano do jego drzwi. Odpowiedział natychmiast trzeźwo, przytomnie i energicznie,

Wysoki i niepewny głos jednej z pielęgniarek przekazywał mu prośbę pani Chauchat, aby niezwłocznie przyszedł na pierwsze piętro. Ze wzmożoną energią wyraził swą zgodę, zerwał się, ubrał się szybko, palcami odgarnął włosy z czoła i zszedł na dół, ani zbyt szybko, ani powoli, niepewny nie tyle, co go czeka, ile jak się to będzie przedstawiać.

Drzwi do salonu Peeperkorna i do jego jasno oświetlonej sypialni stały otworem. Zastał tam obu lekarzy, starszą siostrę von Mylendonk, Madame Chauchat i jawajskiego kamerdynera. Ten ostatni był ubrany inaczej niż zazwyczaj; miał na sobie rodzaj stroju narodowego, szeroką, do koszuli podobną bluzę w szerokie pasy, z długimi i obszernymi rękawami, zamiast spodni barwną spódnicę, a na głowie stożkową czapkę z żółtego sukna; pierś jego zdobiły liczne amulety. Stał nieruchomo ze skrzyżowanymi ramionami, po lewej stronie łóżka, na którym na wznak z wyciągniętymi rękami leżał Pieter Peeperkorn. Castorp spojrział wkoło i zbladł. Pani Chauchat była doń odwrócona plecami. Siedziała na niskim fotelu w nogach łóżka, łokcie oparła o koldrę; patrzyła w twarz swego towarzysza podróży, wpijając palce w dolną wargę.

— Dobry wieczór, chłopcze — rzekł Behrens, który rozmawiał właśnie cicho z drem Krokowskim i ze starszą siostrą; skinął z wyrazem smutku na twarzy i z uniesionym w górę siwym wąsikiem. Miał na sobie płaszcz kliniczny, z którego górnej kieszeni wyglądała słuchawka, i haftowane pantofle, był bez kołnierzyka. — Nie ma rady — dodał szeptem. — Zrobione bez zarzutu. Zbliź się pan i spojrzysz okiem znawcy. Przyzna pan, że tu skutecznie zadbano o to, aby żadna sztuka lekarska nie pomogła.

Hans Castorp zbliżył się na palcach do łóżka. Oczy Malajczyka śledziły wszystkie jego ruchy, biegały za nim bez poruszenia głowy, a tylko połyskując białkami. Spojrzawszy w bok stwierdził, że pani Chauchat nie zwróciła nań uwagi, i przybrał typową pozę przy łożu zmarłego, przeniósł ciężar ciała na jedną nogę, splótł wolno opuszczone dłonie, pochylił na bok głowę i zapadł w pełne czci i powagi zamyślenie. Peeperkorn

leżał pod czerwoną jedwabną kołdrą, w trykotowej koszuli, w jakiej go Hans Castorp tak często widywał. Jego ręce i część twarzy posiniały, nieomal szcerniały. Zmienił się przez to bardzo, choć rysy pozostały królewskie. Linie zmarszczek na wysokim, biało opłomienionym czole, ciągnące się poziomo w czterech czy pięciu szeregach i pionowo opadające na skroniach, wyżłobione bezustannym natężeniem całego życia, zaznaczały się ostro i teraz, przy opuszczonych powiekach i znieruchomiałej twarzy. Gorzko rozdarte wargi były lekko rozchylone. Posinienie wskazywało, że funkcje życiowe zahamowane zostały przez gwałtowny paraliż.

Hans Castorp czekał przez chwilę w badawczym skupieniu; nie zmieniał pozycji, w nadziei, że „wdowa” doń przemówi. Gdy to nie nastąpiło, nie chcąc przeszkadzać obejrzał się tylko poza siebie na resztę obecnych. Radca skinął głową w kierunku salonu. Hans Castorp skierował się tam za nim.

— Suicidium? * — zapytał rzeczowo, przytłumionym głosem.

— I to jakie! — odparł Behrens z gwałtownym gestem i dodał: — W pełnym tego słowa znaczeniu. W superlatywie. Czy pan kiedy widział podobny drobiazg galanteryjny? — zapytał wyciągnawszy z kieszeni lekarskiego płaszcza nieforemny futerał, z którego wyjął jakiś mały przedmiot i pokazał go młodzieńcowi... — Ja nie. Ale warto to widzieć. Człowiek nie przestaje nigdy się uczyć. Niezwykłe to i pomysłowe. Wyjąłem mu z ręki. Ostrożnie. Jeśli kropla spadnie panu na rękę, będzie pan mieć pęcherz jak od oparzenia.

Hans Castorp obracał w palcach zagadkowy przedmiot ze stali, kości słoniowej, złota i kauczuku; wyglądał bardzo dziwnie. Składał się z dwu zakrzywionych stalowych ostrzy, lekko wygiętej, sporządzonej z kości słoniowej i inkrustowanej złotem części środkowej, w której oba ostrza mogły się do pewnego stopnia elastycznie poruszać, a kończył się czymś w rodzaju balonika z półsztywnej, czarnej gumy. Długość przedmiotu nie przenosiła kilku cali.

— Co to takiego? — zapytał Hans Castorp.

— To — odparł Behrens — rodzaj strzykawki iniekcyjnej.

Albo, inaczej rzecz biorąc, mechaniczna kopia szczęk okularnika. Rozumie pan? — Zdaje się, że pan nie pojmuje — mówił dalej, bo Hans Castorp patrzył jakby odurzony na dziwny przedmiot. — Oto są zęby. Nie są całkowicie masywne, we wnętrzu ich znajduje się włoskowaty przewód, cieniutki kanałik, którego ujście może pan widzieć tu, nieco powyżej końców. Kanałiki mają oczywiście też drugie ujście u korzeni zębów, połączone z ujściem gumowego gruczołu, który kończy się tu, w oprawie z kości słoniowej. Przy nagryzieniu zęby zwracają się nieco ku wnętrzu, to jasne, naciskają na rezerwuar, tak że jego zawartość wypełnia kanałiki; w chwili gdy ostrza wbijają się w ciało, dawka trucizny tryska w żyły. Kiedy się to rozważy, wszystko jest proste. Trzeba tylko wpaść na to. Prawdopodobnie przyrząd sporządzono według jego własnych wskazówek.

— Z pewnością — rzekł Hans Castorp.

— Dawka zapewne była nieduża — ciągnął Behrens. — Ilość musiała być zastąpiona przez...

— Dynamikę — dokończył Hans Castorp.

— A no, tak. Jeszcze zbadamy, co to takiego jest. Bardzo jestem ciekawy, jaki będzie wynik, a na pewno będzie pouczający. A założmy się, że ten egzotyczny strażnik, który się dziesięcioletniej nocy tak pięknie wystroił, mógłby nam wszystko dokładnie wyjaśnić. Przypuszczam, że chodzi tu o jakąś kombinację jadu zwierzęcego i roślinnego — coś znakomitego w każdym razie, bo działanie musiało być piorunujące. Wszystko przemawia za tym, że od razu przerwało mu oddech — paraliż ośrodka oddechowego, rozumie pan, gwałtowna śmierć przez uduszenie się, zapewne bez cierpień.

— Dałby Bóg! — rzekł Hans Castorp nabożnie i, z westchnieniem wręczywszy radcy niesamowity mały przyrząd, powrócił do sypialni.

Znajdował się tam teraz tylko Malajczyk i Madame Chauchat. Tym razem Kławdia podniosła głowę, gdy młodzieniec zbliżył się do łóżka.

— Miał pan prawo do tego, bym pana wezwała — rzekła.

— Jestem pani zobowiązany — odparł i — ma pani rację. Byliśmy przyjaciółmi, byliśmy z sobą na „ty”. Wstydzę się, że się wstydzilem tak do niego mówić przy ludziach i że używałem wykretów. Była pani przy nim w ostatnich chwilach?

— Służący doniósł mi, gdy było już po wszystkim — odpowiedziała.

— Był człowiekiem takiego formatu — zaczął znów Castorp — że gdy uczucie zawiodło wobec życia, odczuł to jako kosmiczną katastrofę i bluźnierstwo. Bo musi pani wiedzieć, że uważał siebie za organ weselny Boga. To było jego królewskim głupstwem... Kiedy się jest wzruszonym, ma się odwagę używania wyrazów jaskrawych i jak gdyby pozbawionych pietyzmu, ale w gruncie rzeczy bardziej uroczystych niżli powszechnie przyjęte słowa czci.

— Cest une abdication * — rzekła. — Czy wiedział o naszej głupocie?

— Nie mogłem jej ukryć przed nim, Kławdio! Odgadł wszystko w chwili, gdy nie chciałem w jego obecności pocałować pani w czoło. Obecność jego jest wprawdzie w tej chwili raczej symboliczna aniżeli realna, ale — czy pozwoli pani, że uczynię to teraz?

Pochyliła ku niemu głowę, przymykając oczy, jakby z lekkim skinieniem. Wargami dotknął jej czoła. Brązowe, zwierzęce oczy Malajczyka patrzyły na tę scenę obrócone w słupek, błyszczące białkami.

WIELKIE OTEPIENIE

Raz jeszcze słyszymy głos radcy Behrensa — słuchajmy uważnie! Może słyszymy go po raz ostatni! Nawet ta nasza opowieść skończy się kiedyś; trwała i tak już niezmiernie długo, a raczej czas stanowiący jej treść potoczył się tak gwałtownie, że niepodobna go zatrzymać, a teraz kończy się też jej czas muzyczny. Może nie będziemy już mieli sposobności usłyszeć wesołego głosu i swoistego sposobu wyrażania się Radamantysa. Mówił on teraz do Hansa Castorpa:

— Ej, Castorp, stary wygo, widzę, że się pan nudzi! Spuszcza pan nos na kwintę, nie ma dnia, żebym tego nie zauważył, na pańskiej twarzy maluje się zniechęcenie, zblazowany z pana smarkacz. Zepsuły pana sensacje i jeśli nie dzieje się co dzień coś nadzwyczajnego, to skarży się pan na ogórkowy sezon. Mam rację, czy nie?

Hans Gastorp milczał, co świadczyło, że w jego wnętrzu naprawdę panował mrok.

— Mam rację, jak zawsze — odpowiedział sobie samemu Behrens. — I zanim zarazisz tu innych jadłem swego zniechęcenia, niezadowolony obywatelu, przekonasz się, że nie jesteś bynajmniej opuszczony przez Boga i ludzi, ale że władza wyższa ma na ciebie, mój drogi, baczne oko i niezmordowanie stara się o twoje rozrywki. Jest jeszcze na świecie stary Behrens! A teraz bez żartów, chłopcze! Wpadło mi coś do głowy w związku z panem, wymyśliłem to dla niego podczas mych bezsennych nocy. Można by powiedzieć, że miałem natchnienie — i obiecuję sobie wiele po moim pomysle — chodzi ni mniej, ni więcej, tylko o to, żeby pan pozbył się jądów i mógł w najkrótszym czasie tryumfalnie wrócić do domu.

— Ależ wytrzeszcza pan oczy — odpowiedział sam sobie po artystycznie zainscenizowanej pauzie, choć Hans Castorp oczu bynajmniej nie wytrzeszczał, lecz patrzył nań raczej sennie i z roztargnieniem. — Nie ma pan nawet pojęcia, o co chodzi staremu Behrensowi. Chodzi mi mianowicie o to. Nie uszło pewnie pańskiej szanownej uwagi, że coś z panem jest nie w porządku. Nie w porządku o tyle, że objawy zatrucia nie pozostają u pana w żadnym stosunku do stanu płuc, który się znacznie poprawił. Nie od dziś o tym myślę. Oto pańskie najnowsze zdjęcie... potrzymajmy no to cudo pod światło. Patrz pan, nawet największy zrzęda i „czarnowidz”, jak mówi nasz cesarz i władca, nie znalazłby tu powodu do obawy. Parę ognisk zresorbowało się zupełnie, gniazdo zmniejszyło się i jest ostro ograniczone, co, jak pan w swej uczoności wie, jest dowodem wyleczenia. Człowieku, na tej podstawie trudno wyflu-

maczyć niesolidność pańskiej gospodarki cieplnej; lekarz musi szukać innych przyczyn.

Hans Castorp wykonał głową ruch, który oznaczał trochę uprzejmej ciekawości.

— Pomyśli pan sobie teraz: Stary Behrens musi przyznać, że źle mnie leczył. Spudłuje pan myśląc w ten sposób i nie oceni należycie ani rzeczywistego stanu rzeczy, ani starego Behrensa. Sposób, w jaki pana leczyłem, nie był błędny, był może tylko nieco jednostronny. Zrozumiałem, że u pana może już dawniej symptomów chorobowych nie należało przypisywać wyłącznie gruźlicy, a tę możliwość wyprowadzam z prawdopodobieństwa, że obecnie ich tak już w ogóle tłumaczyć nie trzeba. Musi istnieć inne źródło zaburzeń. Zdaniem moim ma pan streptokoki, paciorkowce. To jest moje najgłębsze przekonanie — powtórzył radca z naciskiem, zauważywszy ruch głowy Hansa Castorpa. — Nie ma zresztą powodu do obaw.

(O obawie nie mogło być mowy. Mina Hansa Castorpa wyrażała raczej ironiczne uznanie czy to dla bystrości lekarza, czy też dla nowego zaszczytu przypisywanego mu hipotetycznie przez radcę.)

— Tylko bez paniki! — zmienił radca swój sposób perswadowania. — Każdy ma streptokoki. Może je mieć każdy osioł. Nie ma pan co być zarozumiały. Wiemy od niedawna, że można mieć we krwi paciorkowce nie wykazując żadnych objawów infekcji. Dochodzimy więc do rezultatu nie znanego dotąd większości moich kolegów, że również tuberkuły mogą istnieć we krwi bez dalszych konsekwencji. Jesteśmy już o krok od poglądu, że tuberkuloza jest właściwie chorobą krwi.

Hans Castorp osądził, że rzecz jest ciekawa.

— Więc kiedy mówię: streptokoki — zaczął znów Behrens — to nie powinien pan sobie zaraz wyobrażać owej ciężkiej choroby. Dopiero bakteriologiczne badanie krwi ustali, czy te małe stworzonka zagnieździły się w pańskim organizmie. A czy stan podgorączkowy należy przypisać ich działaniu — przy założeniu, że są one u pana — o tym przekonamy się po wynikach kuracji szczepionką paciorkowcową. Musimy ją rozpocząć —

oto jest nasza droga, kochny przyjacielu, spodziewam się po niej niebывałych niespodzianek. Podczas gdy gruźlica jest chorobą przewlekłą, to schorzenia tego rodzaju leczy się dziś szybko. Jeśli pan będzie reagował w ogóle na zastrzyki, to w sześć tygodni będzie pan zdrow jak ryba. I cóż pan na to? Stary Behrens jest coś wart, he?

— Przecież na razie to jedynie hipoteza — odparł obojętnie Hans Castorp.

— Hipoteza, którą można udowodnić! Nadzwyczaj płodna hipoteza! — odparł radca. — Zobaczy pan, jaka płodna, kiedy na pożywkach naszych rozmnożą się paciorkowce. Jutro po południu wypompujemy panu nieco krwi, Castorp, według wszystkich reguł sztuki wiejskich cyrulików. To już samo przez się stanowi miłą zabawę i może mieć błogosławione skutki dla duszy i ciała...

Hans Castorp oświadczył, że nie ma nic przeciw tej rozrywce, i podziękował lekarzowi za okazaną mu troskliwość. Z pochyloną w bok głową patrzył za radcą, który odchodził wiosłując rękami. Radamantys wystąpił ze swym przemówieniem właśnie w krytycznym momencie: zrozumiał dość trafnie minę i nastrój pacjenta, a nowy plan miał przewyciężyć martwy punkt, w jakim znalazł się od niedawna ów pacjent. Można to było wynioskować z jego mimiki, która przypominała zachowanie się świętej pamięci Joachima w okresie, gdy gotowały się w nim pewne dzikie i buntownicze decyzje.

Co więcej, Hansowi Castorpowi zdawało się, że nie tylko on sam znalazł się w martwym punkcie, ale że rzecz ma się podobnie z całym światem, ze „wszystkim”, a raczej zdawało mu się, że trudno tu odróżnić szczegóły od ogółu. Od czasu jak ekscentrycznie rozwiązały się jego stosunki z pewną wybitną osobistością, powodując niemałe poruszenie w sanatorium, a także od czasu jak Kławdia Chauchat opuściła ponownie sanatoryjną społeczność, od pożegnania, na które padał tragiczny cień wielkiej rezygnacji i czei dla zmarłego przyjaciela — od owego punktu zwrotnego zdawało się młodemu człowiekowi, że ze światem i życiem coś jest nie w porządku; że wszystko

bierze obrót coraz gorszy i coraz bardziej niepokojący. Jak gdyby niepodzielną władzę objął zły a bezmyślny demon, który już od dawna wywierał wpływ na wypadki, a teraz zapanował tak otwarcie i z taką bezwzględnością, że mógł budzić tajemniczy lęk i chęć ucieczki — demon, któremu na imię było: otępienie.

Powie ktoś, że autor przesadza mocno i romantyzuje łącząc pojęcie otępienia z demonizmem i przypisując mu mistyczne i przerażające działanie. A jednak nic nie zmyślamy, lecz trzymamy się osobistych przeżyć naszego skromnego bohatera, o których, co prawda, wiemy ze źródeł nie podlegających weryfikacji. Przeżycia te zaś stanowią jedyny dowód, że otępienie może w pewnych warunkach przybrać taką właśnie postać i obudzić takie uczucia. Hans Castorp spoglądał dokoła siebie... Widział dokoła niesamowitość i złośliwość i rozumiał, co widzi: życie poza czasem, życie bez troski i bez nadziei, życie pracowite, a jednak gnijące w zastoju i rozwiązłości, życie martwe.

Nie brak było w tym życiu aktywności, oddawano się w nim przeróżnym zajęciom; a od czasu do czasu jedno z nich przeradzało się w modę, w masowy szal. Tak na przykład fotografia amatorska odgrywała od dawna wielką rolę wśród gości „Berghofu”, a dwukrotnie namiętność ta na przeciąg tygodni i miesięcy przeszła w ogólne szaleństwo. Przebywający tu przez czas dłuższy mogli obserwować periodyczny powrót takich epidemii. Kto żyw, z zatroskaną twarzą pochylał głowę nad opartym o brzuch aparatem, błyskał obiektywem, a pokazywaniu odbitek przy stole nie było końca. Stało się nagle punktem honoru, aby samodzielnie wywoływać zdjęcia. Ciemnica sanatoryjna okazała się zgoła niewystarczającą. Zawieszano okna i drzwi balkonów czarnymi zasłonami; kupowano czerwone żarówki i tak długo majstrowano przy różnych chemicznych kąpielach, że aż razu pewnego wybuchł pożar; o włos, a byłby padł jego ofiarą bułgarski student, siedzący przy lepszym stole rosyjskim. Zarząd wydał na skutek tego ostry zakaz. Wkrótce znudziły się zwykłe fotografie przy dziennym świetle; w modę weszły zdjęcia przy świetle magnezjowym i fotografie barwne

według metody Lumiere'a. Unoszono się nad zdjęciami, na których postacie, oślepienie nagłym światłem, patrzyły przed siebie z twarzami skurczonymi i oczami w słupek, jak trupy ludzi pomordowanych, którym nadano pozycję siedzącą. Hans Castorp przechowywał oprawną w tekturę płytkę szklaną, którą należało ustawić pod światło, aby dojrzeć jego samego między panią Stóhr a bladą jak z kości słoniowej panną Levi. Pierwsza miała na sobie błękitny, druga zaś krwistoczerwony sweter, a on sam, z twarzą miedzianą, stał na jaskrawozielonej polanie pomiędzy żółtymi kaczeńcami, z których jeden błyszczał w jego butonierce.

Poza tym uprawiano filatelistykę: niektórzy stale zbierali znaczki pocztowe, a niekiedy zbieranie to przechodziło w masowy obłęd. Kto mógł, nalepiał, handlował, wymieniał. Abonowano czasopisma filatelistyczne, prowadzono ożywioną korespondencję ze specjalnymi firmami w kraju i za granicą, ze stowarzyszeniami filatelistów i z prywatnymi zbieraczami. Nawet i ci, których środki materialne zaledwie starczyły na długoletni nieraz pobyt w luksusowej lecznicy, znajdowali w jakiś sposób zdumiewające sumy, umożliwiające im nabywanie rzadkich okazów filatelistycznych.

Trwało to długo, aż wszystkich opanowało inne głupstwo, mianowicie wyrazem dobrego tonu stało się gromadzenie i zjadanie czekolady różnych gatunków. Wszyscy chodzili z brązowymi ustami, a najwymyślniejsze przysmaki sanatoryjnej kuchni spotykały się z krytyką i nie budziły apetytu, bo żółdki były napchane i rozstrojone jakimiś Milka-Nut, Chocolat a la creme d'amandes, Marquis-Napolitains czy złoto nakrapianymi „Kocimi języczkami”.

Rysowanie z zamkniętymi oczami świnek, zainaugurowane któregoś karnawałowego wieczoru przez najwyżej stojącą osobistość i od owej chwili bardzo popularne, doprowadziło w swych dalszych etapach rozwojowych do łamigłówek geometrycznych, które w niektórych okresach absorbowały wszystkie siły duchowe gości, a nawet ostatnie myśli i siły skazanych już na śmierć. W ciągu całych tygodni sanatorium stało

pod znakiem jakiejś skomplikowanej figury, złożonej z ośmiu wielkich i małych kół i wielu zachodzących na siebie trójkątów. Zadanie polegało na tym, aby kształt owej figury narysować jednym pociągnięciem ołówka, celem zaś najwyższym stało się dokonanie tego z zawiązanymi oczami. Udało się to wreszcie, jeśli pominąć kilka usterek formalnych, prokuratorowi Paravantowi, który wiódł prym wśród zacietrzewionych zwolenników łamigłówek.

Wiemy, że zajmował się matematyką, wiemy o tym od samego radcy, znamy cnotliwe motywy tych zainteresowań, słyszeliśmy, jak zachwalano ich działanie ochładzające i zmniejszające pożądanie cielesne. Uprawiane powszechnie, prawdopodobnie uczyniłyby zbędnymi pewne, niedawno wprowadzone innowacje, polegające za zamykaniu drzwi łączących balkony. Kąpielowy zamykał co wieczór z domyślnym uśmiechem małe drzwiczki w dzielących balkony ściankach z mlecznego szkła, które nie dochodziły do balustrady. Od tej chwili szczególnie pożądanymi stały się pokoje na pierwszym piętrze nad werandą, stamtąd bowiem po przesadzeniu balustrady można się było po wystającym szklanym daszku dostać z jednej łodzi do drugiej. Nie z powodu pana prokuratora została wprowadzona ta dyscyplinarna innowacja. Ciężka pokusa, spowodowana pojawieniem się owej egipskiej Fatme, minęła dawno, a od owego czasu nic go już nie wyprowadzało z równowagi. Rzucił się ze zdwojonym zapałem w ramiona jasnookiej bogini, o której uśmierającym działaniu tak umoralniająco mówił radca Behrens. Niegdyś z zapałem i uporem, nie opuszczającym go we dnie ani w nocy, ze sportową wytrwałością starał się dowodzić winy nieszczęsnym grzesznikom; było to przed uzyskaniem urlopu, który, wciąż przedłużany, przechodził niemal w stan spoczynku. Teraz z tym samym sportowym zapałem oddał się pewnemu problemowi, a był to ni mniej, ni więcej, tylko problem kwadratury koła.

Wykolejony urzędnik doszedł w ciągu swych rozmyślań do wniosku, że naukowe dowody niemożliwości tej konstrukcji nie wytrzymują krytyki i że Opatrzność w tym celu wybrała

jego, Paravanta, i przeniosła z niższych regionów życia tutaj, aby ów transcendentny cel zrealizował na ziemi. Rysował więc i liczył przez dzień cały, pokrywał niezliczone kartki papieru figurami geometrycznymi, literami, cyframi, symbolami algebraicznymi; jego ogorzała twarz zdrowego pozornie człowieka przybierała wizjonerski i zacięty wyraz maniaka. Rozmawiał wyłącznie i ze straszliwą monotonią o liczbie pi — o owym rozpaczliwym ułamku, który niejaki Zachariasz Dase, mistrz w rachowaniu z pamięci, obliczył ongi do dwustu miejsc dziesiętnych; a dokonał tego tylko tak, dla sportu, bo nawet dwa tysiące miejsc dziesiętnych nie zbliżyłoby nas niemal wcale do nieosiągalnej ścisłości. Wszyscy unikali umęczonego myśliciela, albowiem każdego, kogo dopadł, zalewał potokiem słów, aby wzbudzić w nim uczucie wstydu, że nieuleczalna niewymierność tej mistycznej relacji w tak haniebny sposób zanieczyszcza ludzkiego ducha. Bezpłodność odwiecznego mnożenia średnicy przez pi dla otrzymania obwodu oraz mnożenia kwadratu promienia przez pi dla otrzymania powierzchni koła — nasuwała prokuratorowi przypuszczenie, że rozwiązanie zagadnienia jest w rzeczywistości dziecinnie proste, a tylko ludzkość od czasów Archimedesusa niepotrzebnie je sobie utrudnia. Jak to, czyżby nie można wyprostować linii kolistej, a zatem także i odwrotnie, zgąć prostej i uczynić z niej koła? Chwilami zdawało się Paravantowi, że jest już bliski objawienia. Siadywał do późna w noc w opustoszałej i słabo oświetlonej jadalni i widziano go nieraz, jak nadawał kawałkowi sznurka na stole kształt koła, aby go potem gwałtownym ruchem wyprostować, po czym, oparty całym ciężarem o powierzchnię stołu, zapadał w gorzkie zamyślenie. Radca zachęcał go niekiedy do tej melancholijnej zabawy, umacniał go w jego urojeniu. Maniak zwracał się także ze swoją ulubioną troską do Hansa Castorpa, a nawet zwracał się doń często, bo trafił u niego na życzliwość, zrozumienie i zainteresowanie tajemnicą koła. Uzmysławiał więc młodemu człowiekowi rozpaczliwe pi, pokazując mu nadzwyczaj precyzyjnie wykonany rysunek, który przedstawiał koło między dwoma wielobokami, jednym wpisanym, a drugim

opisanym: boki wieloboków były tak liczne i tak drobne, że leżały na samej granicy możliwości przybliżenia. — Pi — mówił prokurator, a dolna szczęka mu drgała — pi jest to reszta, jest to łuk nie dający się przedstawić w formie liczby wymiernej, jak eter i widmo wymyka się ono obliczeniom. — Hans Castorp mimo całą swą wrażliwość nie przejmował się istotą pi tak bardzo, jak to czynił jego rozmówca. Nazywał to wszystko sowizdrzalstwem i radził Paravantowi, aby się zbytnio nie zapalał do tej zabawy w łapankę. Mówił przy tym o nieprzestrzennych punktach zwrotnych, z których składa się koło od swego nie istniejącego początku aż po nie istniejący swój koniec, o przekornej melancholii, płynącej z zamkniętej w sobie wieczności, pozbawionej kierunku trwania, a mówił z takim spokojem i nabożeństwem, że chwilami wpływał na prokuratora uspokajająco.

Pocciwy Hans Castorp był zresztą z natury predestynowany na powiernika swoich towarzyszy sanatoryjnych, którzy byli owładnięci jakąś manią i cierpieli z powodu tego, że u większości ludzi, lżej biorących życie, nie znajdowali posłuchu. Pewien były rzeźbiarz, pochodzący z jakiegoś prowincjonalnego miasta austriackiego, niemłody człowiek z siwym wąsem, orlim nosem i niebieskimi oczami, ukuł plan finansowy — i spisał go kaligraficznym pismem, podkreślając jeszcze ważniejsze miejsca sepią. Plan polegał na tym: Należy skłonić prenumeratorów gazet, ażeby odkładali codziennie 40 gramów starych gazet i odstawiali je pierwszego każdego miesiąca do odpowiedniego urzędu. Da to w jednym roku około 14 000 gramów, w dwudziestu zaś latach nie mniej niż 288 kilogramów. Licząc po 20 fenigów za kilogram papieru, będzie to przedstawiało wartość 57 marek niemieckich i 60 fenigów. Pięć milionów prenumeratorów — ciągnęło dalej memorandum — zaoszczędzi tedy w ciągu lat dwudziestu olbrzymią sumę 288 milionów marek, z czego dwie trzecie zaliczyć można na poczet dalszej prenumeraty, która dzięki temu potanieje, resztę zaś, w sumie około 100 milionów marek, będzie można zużyć na cele humanitarne, finansowanie sanatoriów dla chorych na gruźlicę, popieranie

ludzi ubogich a utalentowanych, i tym podobne. Plan był opracowany do najdrobniejszych szczegółów: nie pominięto przyrzędu mierniczego, za pomocą którego urząd zbierania starych gazet ustalać miał wartość dostarczonego papieru, ani perforowanych formularzy na kwity dla dostawców. Każdy punkt był wszechstronnie opracowany i uzasadniony. Lekkomysłne marnotrawstwo i niszczenie papieru gazetowego, praktykowane przez nieuświadomionych, którzy go palą lub topią spuszczać wodę, jest zdradą wobec naszych lasów i naszej gospodarki narodowej. Oszczędzać papier, szanować papier, znaczy tyle, co szanować celulozę, zalesienie kraju, materiał ludzki, kapitał, który zużywa się podczas fabrykacji celulozy i papieru; tak, znaczy to także szanować materiał ludzki i kapitał. A że wartość papieru gazetowego może łatwo wzrosnąć w czwórnasób, dzięki jego przeróbce na papier do pakowania i kartony, więc papier stanie się ważnym czynnikiem gospodarczym, podstawą wydajnego opodatkowania państwowego i gminnego, a zarazem odciążą czytelników gazet jako płatników podatkowych. Słowem, plan był dobry, wręcz nie do obalenia; jego niesamowitość, zbędność, ponure szaleństwo pochodziły tylko z dziwnego fanatyzmu, z jakim były artysta przywarł do jednej i tylko do tej jednej' idei ekonomicznej, której widocznie w gruncie rzeczy nie traktował na serio, skoro nie czynił najmniejszych starań, aby ją w czyn wprowadzić... Hans Castorp przysłuchiwał się mówcy, potakując pochyloną w bok głową, podczas gdy tamten rozwijał przed nim swą zbawczą myśl w gorączkowo wyrzucanych słowach; analizował równocześnie uczucia niechęci i pogardy, których wobec tego wszystkiego doznawał i które nie pozwalały mu stanąć po stronie wynalazcy przeciw bezmysłnemu światu.

Kilku mieszkańców „Berghofu” uczyło się esperanta i umiało przy stole prowadzić konwersację posługując się tą sztuczną gwarą. Nieszczęsny Hans Castorp spozierał na nich ponuro, choć zdawał sobie sprawę, że ci właśnie nie należą do najmniejbezpiecznych. Przybyła tu niedawno grupa Anglików, która wprowadziła grę towarzyską polegającą jedynie na tym,

że jeden stawiał pytanie: „Did you ever see the devil with a night-cap on?”*, na co zapytany odpowiadał: „No! I never saw the devil with a night-cap on” *. Pytanie to podawano dalej i tak wciąż w kółko. To było okropne. Ale jeszcze przykrzejszy był dla Hansa Castorpa widok stawiających pasjanse, których obserwować mógł na każdym miejscu i o każdej porze. Namiętność ta przybrała ostatnio takie rozmiary, że całe sanatorium zmieniło się dosłownie w dom gry. Hans Castorp miał powody do patrzenia na to z przerażeniem, a to tym bardziej, że sam stał się na jakiś czas ofiarą zarazy, i to w większym może stopniu niż inni. Przyczyną tego stał się pasjans zwany „jedenastką”: polega na tym, że rozkłada się karty wistowe w trzech szeregach po trzy, a potem przykrywa się nowymi dwie karty, które w sumie dają jedenaście, oraz każdą z trzech figur, jeśli jest odkryta — dopóki się nie poszczęści i pasjans nie wyjdzie. Jest rzeczą na pozór niezrozumiałą, że z tak prostych czynności wyniknąć mogą duchowe podniety, które człowieka niemalże zaczarowują. A jednak Hans Castorp wypróbował to na sobie, podobnie jak tylu innych — wypróbował z ponuro ściągniętymi brwiami, wyuzdanie bowiem nigdy nie jest wesołe. Zdany na łaskę i niełaskę chochlika karcianego, uległ czarowi fantastycznej zmienności szczęścia. Czasem tworzyły się jedenastki same przez się, a grupy walet-dama-król rosły pod ręką i talia kończyła się, zanim po raz trzeci wyłożył karty do końca (zwodniczy tryumf pobudzał nerwy do natychmiastowego podjęcia nowych prób); ale potem wykładał karty po dziewięć razy — więcej nie wolno było — bez żadnej możliwości przykrycia; kiedy indziej powodzenie, które zdawało się zapewnione, udaremniała w ostatniej chwili nagła przeszkoda. Kładł pasjanse wszędzie i o każdej porze dnia, nocą w świetle gwiazd, rankiem nie zdjawszy jeszcze pidżamy, przy stole, a nawet we śnie. Przerażało go to, ale kładł je dalej. Został go przy tym pewnego razu Settembrini, „przeszkodził” mu, co od dawna było jego misją.

— Accidenti! — rzekł. — Stawia pan sobie kabałę, inżynierze!?

— Nie o kabałę mi chodzi — odparł Hans Castorp. — Po prostu układam karty i wojuję z abstrakcyjnym przypadkiem. Zaciekawiają mnie jego kaprysy, zmienne jak pogoda, jego usłużność, a potem znów niewiarogodny opór. Dziś rano, zaraz po wstaniu, wyszedł mi pasjans łatwo trzy razy z rzędu, i to raz nawet za drugim razem, co stanowi rekord. Czy uwierzy pan, że kładę go teraz po raz trzydziesty drugi i ani razu nie udało mi się dojść chociażby do połowy talii?

Settembrini spojrzał nań smutnymi, czarnymi oczami, tak jak to często czynił w ciągu ostatnich lat.

— Bądź co bądź jest pan zajęty — rzekł. — Widzę, że nie znajdę u niego pociechy na moje kłopoty ani balsamu na rozterki wewnętrzne, które mnie dręczą.

— Rozterki? — powtórzył Hans Castorp i wykladał dalej karty.

— Jestem zdezorientowany stanem politycznym świata — westchnął mason. — Liga Bałkańska dojdzie do skutku, inżynierze, wszystkie moje informacje przemawiają za tym. Pracuje nad tym gorączkowo Rosja, a ostrze tego porozumienia zwraca się przeciw monarchii austriacko-węgierskiej; bez jej rozbitcia nie może się ziścić ani jeden punkt rosyjskiego programu. Rozumie pan moje skrupuły? Nienawidzę Wiednia z całej duszy, wie pan o tym. Ale czyż dlatego mam dawać duchowe poparcie sarmackiemu despotyzmowi, który zamierza wzniecić pożogę w naszej szlachetnej części świata? Z drugiej strony uważałbym za hańbę najmniejsze choćby współdziałanie mego kraju z Austrią. To są kwestie sumienia, które...

— Siedem i cztery — rzekł Hans Castorp. — Osiem i trzy. Walet, dama, król. Idzie dobrze, przyniósł mi pan szczęście.

Włoch zamilkł. Hans Castorp czuł, że w głębokim smutku spoczywają na nim ciemne oczy, wzrok mądry i dobry; wykladał jednak jeszcze przez chwilę karty, a potem oparł policzek na dłoni i spojrzał na stojącego przed nim mentora z fałszywą, niewinność udającą miną krnąbrnego dziecka.

— Oczy pana — rzekł ów — na próżno starają się ukryć, że wie pan dobrze, co się z panem dzieje.

— Placet experiri — odparł beczelnie Hans Castorp; Settembrini odszedł — po czym zresztą młodzieniec, pozostawszy sam, siedział przez dłuższy czas przy stole w białym pokoju i, zaniechawszy stawiania pasjansów, z głową opartą na dłoni, poruszony do głębi, rozmyślał nad niesamowitym i dziwacznym stanem, w jakim się znalazł świat pod bezrozumnym i nieokiełznanym panowaniem szczerzącego zęby demona, któremu na imię „ostateczne otępienie”.

Było to imię niedobre, apokaliptyczne, jak stworzone, by budzić tajemny strach. Hans Castorp siedział i pocierał dłonią czoło i serce. Bał się. Miał uczucie, że „to wszystko” musi się źle skończyć, że skończy się katastrofą, buntem cierpliwej natury, nadszycie burza i oczyszczający wichur, który sprawi, że pryśnie czar ciężący nad światem, wyrwie życie z „martwego punktu” i „sezon ogórkowy” postawi przed straszliwym sądem ostatecznym. Chciał uciekać — wspominaliśmy już o tym — i szczęście, że władza roztoczyła nad nim wspomnianą już przedtem „baczną opiekę”, że umiała czytać z jego twarzy i wystarała się o rozrywkę w formie nowej, owocnej hipotezy!

Władza, przemawiając językiem korporantów, oświadczyła, że jest na tropie przyczyn, dla których Hans Castorp tak niesolidnie gospodaruje swą ciepłotą. Według jej naukowej opinii przyczyny te były tak łatwe do usunięcia, że wyzdrowienie chorego i formalne zwolnienie go na niziny stało się już rzeczą bliskiej przyszłości. Serce młodego człowieka, ogarnięte sprzecznymi uczuciami, biło mocno, gdy wyciągnął rękę, aby z niej pobrano krew. Mrugając oczyma i blednąc nieco, podziwiał wspaniałą rubinową czerwień życiowego soku, którego słup wznosił się w przezroczystej strzykawce. Radca przeprowadzał osobiście małą, ale doniosłą operację, w asyście dra Krokowskiego i jednej z sióstr miłosierdzia. Potem minął szereg dni, podczas których Hansa Castorpa dręczyło pytanie, co ujawni oddana przezeń krew, obejrzana okiem nauki.

Z początku radca oświadczył, że na razie nic jeszcze naturalnie nie mogło się rozwinąć. Nic, niestety, nie chciało się rozwinąć — rzekł w parę dni później. Ale wreszcie pewnego poranku,

podczas śniadania, podszedł do Hansa Castorpa, który podówczas zajmował miejsce przy lepszym rosyjskim stole, tam gdzie niegdyś siadywał jego wspianiały przyjaciel — i począł go obсыпать swoiście sformułowanymi gratulacjami; bo jednak na jednej z pożywek stwierdzono niewątpliwie paciorkowce. Czy objawy zakażenia należy tłumaczyć gruźlicą, bądź co bądź istniejącą, choć w małym stopniu, czy też również w małej tylko ilości występującymi streptokokami — to jest zagadnienie z zakresu rachunku prawdopodobieństwa. On sam, Behrens, musi się bliżej i dokładniej zająć tą sprawą. Hodowla streptokoków nie rozrosła się jeszcze dostatecznie. — Pokazał mu ją w laboratorium; czerwona, skrzepła krew z szarymi punkcikami. To były paciorkowce. (Ale paciorkowce mógł przecież mieć każdy osioł, tak samo jak i tuberkuły; gdyby nie objawy chorobowe, stwierdzenie ich nie miałyby żadnego znaczenia.)

Skrzepła krew Hansa Castorpa spełniała w dalszym ciągu przewidywania — poza nim, pod okiem nauki. Pewnego poranku radca zaraportował wyrażając się po swojemu: streptokoki wyrosły nie tylko na jednej, ale na wszystkich pożywkach, i to w wielkich ilościach. Nie wiadomo tylko, czy to rzeczywiście są paciorkowce; jednakże jest więcej niż prawdopodobne, że objawy zakażenia pochodzą z tego źródła; niepewne jest tylko, co należy złożyć na karb niewątpliwie istniejącej niedawno jeszcze i niezupełnie wyleczonej gruźlicy. Stąd wniosek? Kuraacja szczepionką paciorkowcową. Prognoza? Nadzwyczaj korzystna — tym bardziej że próba nie jest połączona z żadnym ryzykiem i bezwarunkowo nie może zaszkodzić. Surowica została przecież sporządzona z własnej krwi Hansa Castorpa, a więc przez zastrzyk jej nie wprowadzi się do jego ciała żadnego pierwiastka chorobotwórczego, który by się i tak tam nie znajdował. W najgorszym wypadku wynik będzie równy zeru — ale i w takim razie nie stanie się nic złego, bo pacjent tak czy inaczej musi pozostać w sanatorium.

Nie, tego nie brał Hans Castorp pod rozwagę. Poddał się kuracji, choć uważał ją za śmieszna i ubliżającą. Szczepienia dokonywane za pomocą cząstki siebie samego wydawały mu się

nie komiczny, udając niewykształconego sprzedawcę zachwalającego swój towar.

— To nie aparat, nie maszyna — ciągnął dalej, zakładając igłę, wyjętą z kolorowego, blaszanego pudełeczka, które stało na tym samym stoliku — to jest instrument, Stradivarius, Guarneri, najwyższy stopień wyrafinowania rezonansu i czystości tonu. Jak państwa informuje napis na wewnętrznej stronie wieka, aparat jest marki „Polihymnia”. Niemiecki wyrób, muszą państwo wiedzieć. Nasze aparaty są stanowczo najlepsze. Najczystsza muzyka w nowoczesnej zmechanizowanej formie. Dusza niemiecka up to datę*. A tu mają państwo całą literaturę! — rzekł wskazując na szafkę ścienną, w której rzędem stały grube albumy. — Oddaję w ręce państwa ten zaklęty skarb, ale polecam go opiece publiczności. Może puścimy coś na próbę?

Pacjenci poprosili o to błagalnie, więc Behrens wyjął jedną z czarodziejskich ksiąg, niemych a pełnych treści, otworzył jej ciężkie karty i wyjął płytę z kartonowej torebki zaopatrzonej w okrągłe wycięcie, przez które widoczny był barwny tytuł. Założył płytę, włączając prąd puścił w ruch tarczę obrotową, a po upływie dwóch sekund, gdy płyta osiągnęła pełny bieg, umieścił ostrożnie cienki koniec stalowej igły na krawędzi płyty. Rozległ się lekki szelest, jakby coś ostrzono; radca obniżył wieko. W tej chwili popłynął przez otwarte drzwiczki, spomiędzy szczelin żaluzji, a nawet z całej skrzynki zgiełk instrumentów, wesoła a natarczywa melodia, pierwsze skoczne takty uwertury Offenbacha.

Wszyscy słuchali z uśmiechem na rozchylnych ustach. Koloratura dętych instrumentów drewnianych brzmiała tak czysto i naturalnie, że nie wierzono własnym uszom. Fantastyczne preludium popłynęło ze skrzypiec bez akompaniamentu. Słychać było pociągnięcia smyczka, tremolo szyjki, pełne słodczy przechodzenie jednych tonów w drugie. Wyłoniła się z tego melodia, walc. „Ach, straciłem ją, straciłem”*.

Orkiestra podchwyciła przymilną arię, w zachwycający sposób podjął ją cały zespół i powtarzał w szumnym tutti. Brzmiało to naturalnie inaczej, niż gdyby orkiestra koncertowała tu w sali. Dźwięki doznawały

perspektywicznego przytłumienia, nie tracąc zresztą swych własności; jeśli wolno dla zjawisk akustycznych użyć porównania wzrokowego, to działo się tak, jak gdyby jakiś obraz był widziany przez odwróconą lornetkę i przez to oddalał się i zmniejszał, nie tracąc przy tym nic z ostrości swych zarysów ani nasilenia barw. Utwór muzyczny, skomponowany z talentem i pełen pikanterii, w dowcipny sposób rozwijał swe niefrasobliwe pomysły. Zakończenie było już czystą swawolą, zabawnym, stopniowo się rozpędzającym galopem, bezwstydnym kankanem, wywołującym wizję potrząsanych w powietrzu cylindrów, w górę wyrzucanych nóg, wzlatających sukien; zbliżał się koniec komiczny i triumfalny, ale wciąż jeszcze nie było końca. Aż wreszcie mechanizm zatrzymał się sam. Skończyło się. Klaskano z całego serca.

Proszono o ciąg dalszy i proszono niedaremnie: z wnętrza aparatu rozległ się głos ludzki — był to męski głos, miękki i silny zarazem, sławny baryton włoski, któremu towarzyszyła orkiestra. Teraz nie było już mowy o oddaleniu i przytłumieniu dźwięku; wspaniały głos miał całą swą pełnię i siłę; gdyby wejść do sąsiedniego pokoju i nie patrzeć na aparat, miałyby się wrażenie, że w salonie obok stoi artysta we własnej osobie, z nutami w rękę, i śpiewa. Śpiewał po włosku brawurową arię operową — eh, ii barbiere. Di ąalita, di ąalita! Figaro qua, Figaro la!* Figaro, Figaro, Figaro! — Słuchacze wili się ze śmiechu, słuchając falsetowego parlando, zdumieni kontrastem olbrzymiego głosu i zawrotnej dykcji. Znawcy podziwiali artyzm frazowania i opanowania oddechu. Mistrz zniewalający tłumy, wirtuoz we włoskim smaku, lubujący się w bisowaniu, przedłużał przedostatni ton przed akordem końcowym i słuchacze mieli złudzenie, że widzą go, jak z wzniesioną ręką podchodzi do rampy — oklaski zerwały się, zanim jeszcze skończył. To było znakomite.

A było tego więcej. Pięknie i dyskretnie wykonano na waltorni wariacje na temat jakiejś melodii ludowej. Sopranistka odśpiewała z wdzięcznym spokojem i precyzją arię z „Traviaty”, pełną staccatów i trelów. Duch skrzypka o światowej sławie

zagrał jakby za zasłoną Romancę Rubinsteina przy akompaniamencie fortepianu, brzmiącym sucho jak szpinet. W cudownej kasecie jak gdyby wrzało, płynęły z niej dźwięki dzwonów, glissanda harf, huk trąb, grzmoty bębnow. Wreszcie założono płyty z muzyką taneczną. Znalazły się nawet okazy świeżo importowanego tanga, zrodzonego w egzotycznych knajpach portowych, a któremu sądzone było usunąć w cień wiedeńskiego walca. Dwie pary, obeznane z nowym tańcem, zaczęły się popisywać na dywanie. Behrens odszedł, zaleciwszy, aby igieł używać tylko raz i z płytami obchodzić się jak „ze zbitym jajkiem”. Hans Castorp zajął się aparatem.

Dlaczego on właśnie? Tak się jakoś złożyło. Powściągliwie, lecz sucho odtrącił tych, którzy po odejściu radcy chcieli zająć się zmienianiem igieł i płyt, włączaniem i wyłączaniem prądu. — Proszę pozwolić, ja to będę robił! — rzekł odsuwając ich na bok; ustąpili bez przykrości, po pierwsze dlatego, że miał taką minę, jakby od dawna znał się na rzeczy, a po wtóre, ponieważ nie zależało im na tym, by być u źródła rozkoszy zamiast w sposób wygodny i do niczego nie zobowiązujący dać się obsługiwać, póki ich ta zabawa nie znudzi.

Hans Castorp myślał inaczej. Gdy radca demonstrował nowy nabytek, usunął się w kąt, nie śmiał się i nie wyrażał swego zadowolenia, ale śledził z napięciem wszystko, kręcąc z przyzwyczajenia w dwu palcach brwi. Z pewnym niepokojem zmieniał parokrotnie miejsce za plecami zebranych, wszedł do biblioteki, aby stamtąd słuchać muzyki, a potem z rękami na plecach i z nieprzeniknionym wyrazem twarzy stanął za Behrensem przyglądając się bacznie, jak się aparat obsługuje. Coś mu szepotało: „Uwaga! To zdarzenie epokowe! Uśmiech losu!” Napęniało go zdecydowane przecucie nowej namiętności, nowego czaru, brzemienia nowej miłości. Takiego uczucia doznaje na równinie na widok dziewczyny młodzieniec, trafiony niespodzianie ostrą strzałą Amora. Od tej chwili opanowała go zazdrość. Dobro publiczne? Ciekawość bez energii nie ma ani prawa, ani siły, by cokolwiek posiadać. „Proszę pozwolić, ja to będę robił!” — wycedził przez zęby i nikt nie miał nic przeciw temu.

Tańczono jeszcze trochę przy dźwiękach lekkich utworów, które odgrywał, zażądano jeszcze jakiejś pieśni, duetu z jakiejś opery, barkaroli z „Opowieści Hoffmanna”, tak mile pieśczone ucho, a gdy wreszcie zamknął wieko, towarzystwo, lekko podniecone, odeszło gawędząc do leżalni na spoczynek. Tego tylko czekał. Zostawili za sobą nieporządek, otwarte pudełeczka z igłami i albumy, rozrzucone płyty. Niczego innego nie można się było po nich spodziewać. Udawał, że idzie z nimi, lecz na schodach odłączył się od nich, wrócił do salonu, zamknął wszystkie drzwi i pozostał tam przez połowę nocy, bardzo zajęty.

Zapoznał się dokładnie z nowym nabytkiem i korzystając z tego, że nikt mu nie przeszkadza, przejrzał cały repertuar zawarty w ciężkich albumach. Było ich dwanaście, w dwu formatach, zawierały po dwanaście płyt; wiele z tych czarnych, kolisto wyżłobionych krążków było nagranych obustronnie, bo niektóre utwory zajmowały także i odwrot płyty, a na innych dyskach były utrwalone dwa zupełnie różne utwory. Miał więc przed sobą dziedzinę trudną na razie do ogarnięcia, a nawet oszłamiającą, ale za to obiecującą wspaniałe zdobycze i możliwości. Używał specjalnych igieł, tłumiących dźwięki, aby nie zakłócać ciszy nocnej, i w ten sposób odegrał sobie ze ćwierć setki tych płyt. Ale nie stanowiły one nawet ósmej części tego, z czym mógł się zapoznać i co go kusiło. Na dziś musiał się zadowolić tym, że przejrzał tytuły, a tylko od czasu do czasu na próbę wkładał w zaczarowaną skrzynkę tę lub inną niemą płytę chcąc, aby rozległ się jej głos. Czarne ebonitowe krążki różniły się jedynie kolorowymi, umieszczonymi pośrodku etykietkami; jeden był jak drugi, wszystkie mniej lub więcej wypełnione koncentrycznymi kołami. A przecież wyżłobione w nich linie kryły najróżnorodniejszą muzykę, owoce cudownego natchnienia we wszystkich dziedzinach tej sztuki i oddawały je w sposób jak najbardziej wyszukany.

Znalazł pośród nich wiele uwertur i wyjątków ze wzniosłych uwertur symfonicznych, odegranych przez sławne orkiestry pod batutą dyrygentów wymienionych na płytach. Poza tym szereg pieśni śpiewanych przy akompaniamencie fortepia-

nu przez artystów wielkich oper — a były to zarówno pieśni kompozytorów, świadomych celu i środków artystycznych, jak i proste pieśni ludowe, a także i takie, które znajdowały się niejako pośrodku między obu rodzajami, będąc bowiem tworem aryzmu, oddawały przy tym z całą rzetelnością i pietyzmem to, co stanowi ducha ludowego; były to sztuczne pieśni ludowe, jeśli się można tak wyrazić, nie ubliżając ich szczerości; była między nimi jedna zwłaszcza pieśń, którą Hans Castorp znał od dzieciństwa, a do której powziął teraz głębokie, na tajemnych związkach oparte upodobanie; wrócimy do niej jeszcze. — Cóż tam jeszcze było, a raczej czego tam nie było? Było muzyki operowej ile dusza zapagnie. Międzynarodowy chór mieszany z dyskretnym akompaniamentem orkiestry zaprodukował głosy z bożej łaski, a jednocześnie niezwykle wyszkolone, zaprodukował je w ariach, duetach i zbiorowych scenach, pochodzących z różnych krajów i z różnych epok rozwoju opery: od sztuki Południa z jej podniosłymi, ale powierzchownymi porywami, poprzez twory ludowe niemieckiego ducha, zarazem filuterne i demoniczne, aż po sztukę francuską z jej Wielką Operą i Operą Komiczną. Czy koniec na tym? O nie. Następowala seria utworów muzyki kameralnej, kwartety i tria, sola na skrzypce, wiolonczelę i flet, pieśni estradowe z obowiązkowym akompaniamentem skrzypiec czy fletu, a także utwory czysto fortepianowe, nie mówiąc o muzyce rozrywkowej, o kuletach i płytach, na których taneczne orkiestry utrwaliły melodie wymagające grubszej igły.

Hans Castorp wszystkie te płyty przeglądał samotnie wśród nocy i układał, a część ich powierzał instrumentowi, aby w nich wzbudził życie. Potem poszedł spać podniecony, tak późno, jak po pierwszej uczcie z majestatycznej pamięci Mynheerem Peepkornem, i śnił od godziny drugiej do siódmej o zaczarowanej skrzynce. Przez sen widział dysk poruszający się z niezmierną szybkością a bezdźwięcznie; ruch ten składał się nie tylko z wirującego opływania, lecz nadto także ze swoistego falowania ku bokom i w formie elastycznego drgnienia, jakby oddechu, udzielał się zaopatrzonemu w igłę a złożonemu z wie-

lu części niklowemu ramieniu; podnosiło to, jak przypuszczać można, vibrato i portamento instrumentów smyczkowych i głosów ludzkich; jednakże we śnie było równie niezrozumiałe jak na jawie, w jaki sposób posuwanie się igły po wąziutkiej linii ponad dającą rezonans próżnią mogło za pomocą samych tylko drgań membrany odtworzyć bogatą skalę dźwięków, zalewających ucho sennego słuchacza.

Wcześniej rano, przed śniadaniem jeszcze, był już znowu w salonie, usiadł na fotelu i splótnszy ręce kazał śpiewać wspaniałemu barytonowi przy akompaniamencie harfy: „Gdy się rozglądam w tym szlachetnym gronie” *. Wyływający ze skrzynki dźwięk harfy był całkowicie naturalny, nie zdeformowany i nie osłabiony, a tak samo nabrzmiewający, dyszący, wyrzucający słowa głos ludzki. Wszystko to było podziwu godne. A trudno o coś czulszego niż duet z jednej ze współczesnych oper włoskich *, który zabrzmiał z kolei, jak skromne a serdeczne zbliżenie między głosem sławnego, wielokrotnie w albumach reprezentowanego tenora a kryształowo czystym, niewielkim sopranem, niż jego śpiew: „Da mi ii braccio, mia piccina” *, i śpiewana przez nią w odpowiedzi krótka fraza, prosta, słodka i melodyjna...

Hans Castorp wzdrygnął się, bo ktoś otworzył za nim drzwi. Był to radca, który patrzył na niego; stał przez chwilę, w klinicznym płaszczu, ze słuchawką w kieszeni, z ręką na klamce, i pokiwał głową. Castorp odpowiedział mu skinieniem przez ramię, po czym sina twarz szefa, o uniesionym z jednej strony w górę wąsiku, zniknęła, drzwi się zamknęły i Hans Castorp powrócił do pięknego śpiewu niewidzialnej parki miłosnej.

Później, w ciągu dnia, po obiedzie lub po kolacji, miał wokół siebie grono słuchaczy, zmieniającą się stale publiczność — jeśli Hansa Castorpa nie zaliczać już do publiczności, lecz raczej uważać za szafarza rozkoszy muzycznych. On sam skłaniał się do takiego rozumienia swej roli, a goście sanatoryjni przystali milcząco na to, że samowolnie objął pieczę i kierownictwo tej instytucji użyteczności publicznej. Nic ich to nie kosztowało. Bo wprawdzie zachwycali się do pewnego stopnia,

gdy, rozpływał się w melodiach tenor, bożyszcze tłumów, gdy uszczęśliwiał ich swym głosem i najwyższym kunsztem narzmiącej namiętnością kantyleny; jednakże mimo głośno wyrażanego zachwytu nie byli do głębi przejęci i przeto troskę o to wszystko gotowi byli pozostawić każdemu, kto by miał na to ochotę. Hans Castorp utrzymywał w porządku zapas płyt i na obwolutach albumów wypisał ich zawartość, tak że każda płyta była na zawołanie i w tej chwili pod ręką; samym instrumentem manipulował ruchami, które niebawem stały się wprawne, krótkie a delikatne. Cóż byliby zrobili inni? Zbzechceściliby płyty używając zużytych igieł, zostawialiby je porozrzucane po wszystkich krzesłach, płataliby niemądre figle, puszczając jakiś dostojny utwór w tempie stu dziesięciu albo nastawiając wskaźnik na O, co wywołałoby we wnętrzu skrzynki historyczny jazgot lub przytłumiony skowyt... Wszystko to już zresztą czynili. Byli wprawdzie chorzy, ale gruboskórni. Toteż wkrótce Hans Castorp zaczął nosić po prostu w kieszeni klucz od szafki z albumami i igłami, tak że trzeba było go wzywać, gdy chciano czegoś posłuchać.

Późno, po wieczornym zebraniu towarzyskim, gdy tłum się już rozszedł, czuł się najlepiej. Wtedy zostawał w salonie albo też po cichu tam wracał i muzykował do późna w nocy. Obawiał się już mniej niż z początku, że zmaćci ciszę zakładu, bo nośność tej muzyki duchów okazała się niezbyt wielką; dźwięki brzmiały potężnie w pobliżu swego źródła, ale słabły w miarę oddalania się, jak wszystko, co należy do sfery duchów. Hans Castorp był sam pośród czterech ścian z cudami swej szafki — z rozkoszami, które dawała owa ozdobna trumienka ze skrzypcowego drzewa, owa matowoczarna mała świątynia, przed której rozwartymi wrotami siedział na fotelu, ze splecionymi rękami, z przechyloną na ramię głową, z otwartymi ustami, skąpany w harmonii dźwięków.

Nie widział śpiewaków ani śpiewaczek, którym się przysłuchiwał. Ich powłoka ludzka przebywała gdzieś w Ameryce, Mediolanie, Wiedniu, Petersburgu. A niechże sobie tam przebywają, bo dali mu najlepszą swą część, swój głos; nieobec-

ność ich oczyszczała stosunek do nich, czyniła go jakby abstrakcyjnym, i cenił to, bo przez to unikał ujemnych stron zbytniego zbliżenia osobistego, a stosunek ów pozostawał dostatecznie zmysłowy, aby pozwalać — zwłaszcza gdy chodziło o jego rodaków, Niemców — na dostrzeganie różnych ich cech indywidualnych. Zdawał sobie sprawę z różnic w wymowie, w dialekcie, z pochodzenia artystów; charakter ich głosu mówił niejedno o ich właściwościach duchowych, a według tego, czy korzystali ze swych możliwości duchowego oddziaływania, czy też je marnowali, można było oceniać stopień ich inteligencji. Hans Castorp irytował się, gdy popełniali błędy. Cierpiał i gryzł ze wstydu wargi, gdy zauważał techniczne błędy w wykonaniu, siedział jak na rozżarzonych węglach, gdy w utworze, często odgrywanym, jakiś ton wypadł ostro lub wrzaskliwie, co zdarzało się niejednokrotnie, zwłaszcza w trudnych partiach kobiecych. Ale godził się i z tym, albowiem miłość musi cierpieć. Czasami pochylał się nad krążącym i jak gdyby oddychającym dyskiem, jak nad wiązaną bzu, i zanurzał głowę w obłoku dźwięków; kiedy indziej stał przed instrumentem i wzywał się we władczą radość dyrygenta, gdy ten wzniesioną ręką daje znak trąbce, by na czas wpadła. W zbiorze płyt miał swe ulubione, kilka utworów instrumentalnych i wokalnych, których mógł słuchać bez końca. Wymienimy je po kolei.

Jedna niewielka grupa płyt zawierała końcowe sceny pompatycznej opery pełnej natchnionych melodii, napisanej przez znakomitego rodaka Settembriniego, wielkiego mistrza muzyki dramatycznej Południa, w drugiej połowie ubiegłego stulecia na zlecenie wschodniego księcia z okazji uroczystego oddania na usługi ludzkości pewnego dzieła techniki *, które miało zbliżyć do siebie narody. Dzięki swym studiom Hans Castorp wiedział coś niecoś o tej operze, znał w ogólnych zarysach losy Radamesa, Amneris i Aidy, którzy ze skrzynki śpiewali do niego po włosku. Był między nimi niezrównany tenor, królewski alt ze wspaniale załamaną pośrodku skalą głosową i **srebrzysty sopran**. Nie rozumiał wielu słów, ale z pomocą **przychodziła mu znajomość** sytuacji, sympatia, zainteresowanie i **zażyłość**,

tym większa, im częściej puszczał te cztery czy pięć płyt; w końcu był w nich rzeczywiście zakochany.

Na pierwszej z nich Amneris rozprawiała się z Radamesem: Córa królewska kazała w więzach przyprowadzić przed swoje oblicze tego, którego kochała i pragnęła uratować z całej duszy, mimo że zdradził ojczyznę i okrył się hańbą dla niewolnicy z barbarzyńskiego szczepu — co prawda zapewniał on, że „wolne są od skazy i myśl, i honor” jego. Ta jednak wewnętrzna czystość połączona z ciężką przewiną niewiele mu pomogła, bo jego jawna zbrodnia oddawała go w ręce sądu duchownego, całkowicie pozbawionego ludzkich uczuć i który zasądziłby go bez wahania, o ile w ostatniej chwili nie wyrzeknie się niewolnicy i nie rzuci w ramiona królewskiemu altowi, który, akustycznie rzecz biorąc, tak bardzo na to zasługiwał. Amneris żarliwie usiłowała przekonać tenora, mającego głos dźwięczny, ale tragicznie zaślepionego i zrezygnowanego, żeby porzucił niewolnicę i ratował życie. Na zrozpaczone prośby odśpiewywał wciąż tylko: „Nie mogę!” lub „Na próżno!” — „Nie mogę!” — „Jeszcze raz jeden: wyrzecz się jej!” — „Na próżno!” — Zaślepienie pogarda śmierci i najgorętsze cierpienie miłosne łączyły się w dwuspiew niezwykle piękny, ale beznadziejny. Potem okrzyki bólu Amneris mieszały się ze straszliwie formalistycznymi debatami sądu duchownego, głucho płynącymi z oddali, a w których nieszczęsny Radames nie brał żadnego udziału.

„Radamesie, Radamesie!” — śpiewał z naciskiem arcykapłan i przedstawiał mu w czarnych barwach dokonaną przezeń zbrodnię zdrady.

„Wy tłumacz się!” — żądali chórem kapłani.

Arcykapłan zwrócił uwagę, że Radames milczy, więc sąd jednogłośnie uznał go winnym zdrady.

„Radamesie, Radamesie!” — zaczął znów przewodniczący. — „Ty opuściłeś obóz nasz przed walką!”

„Wy tłumacz się!” — wołano znów. — „Patrzcie, milczy!” — po raz wtóry stwierdził stronniczy arcykapłan, toteż i teraz głosy sędziów złączyły się z jego głosem w dźwięcznym werdykcie:

„Zdrajcą jest!”

„Radamesie, Radamesie!” — zawołał po raz trzeci nielitościwy oskarżyciel. — „Złamałeś wiarę, zdradziłeś ojczyznę, króla i honor swój.” — „Wytłumacz się!” — zabrzmiało znów. „Zdrajcą jest” — przyznali ostatecznie ze zgrozą kapłani, gdy przypomniano im, że Radames wciąż jeszcze milczy. Stać się tedy musiało, co było nieuniknione, a co zgodny chór obwieścił złoczyńcy jako sprawiedliwy wyrok: los jego jest przesądzony, zginie śmiercią przeklętych, żywcem zstąpić ma do grobu w podziemiach świątyni gniewnego boga.

Wyobraźnia słuchacza w miarę możliwości musiała sama dośpiewać sobie oburzenie Aanheris na klesze okrucieństwo kapłanów, tu bowiem kończyła się płyta. Zmieniał ją Hans Castorp cichymi, oszczędnymi ruchami, jakby ze spuszczonej oczyma. Kiedy znów siadał, aby słuchać, rozbrzmiewała ostatnia już scena melodramatu — końcowy duet Radamesa i Aidy, śpiewany na dnie piwnicznego lochu, podczas gdy nad ich głowami fanatyczni i okrutni kapłani odprawiali w świątyni obrzędy, rozkładali ramiona i mruzcili modlitwy... „Tu — in questa tomba?!”* — wołał nieopisanie wzruszający, lecz słodki i bohaterski zarazem głos Radamesa, z przerażeniem i zachwytem... Tak, przybyła do niego ukochana, dla której poświęcił cześć i życie, czekała nań tutaj, by z nim razem zostać zamkniętą i umrzeć, a melodie na ten temat, które wyśpiewywali kolejno lub wspólnie, przerywane od czasu do czasu głuchymi odgłosami odprawianych w górze obrzędów — wzruszały najgłębiej samotnego Castorpa, przysłuchującego się im pośród nocy; wzruszały go zarówno tragizmem okoliczności, jak muzycznym wyrazem. W pieśniach tych była mowa o niebie, ale one same były niebiańskie i niebiańskie było ich odtworzenie. Linia melodii, podchwytywana bez końca przez głosy Radamesa i Aidy, każdy z osobna, a potem przez oba razem, prosty i uduchowiony, na tonice i dominancie zbudowany zwrot, który wznosił się od tonu zasadniczego aż do wybitnie akcentowanej i przetrzymanej dużej septymy i ledwie musnąwszy oktawę opierał się na kwincie, wydawał się słuchaczowi czymś najbardziej pro-

miennym i podziwu godnym na świecie. Ale nie zachwyciłby się tak dźwiękami, gdyby podłożem ich nie była tragiczna sytuacja, która dopiero uczyniła jego umysł w pełni wrażliwym na ich słodycz.

Jakież to było piękne, że Aida odszukała utraconego Radamesa, aby jego los dzielić na wieki! Słusznie opierał się skazaniec złożonej dlań ofierze z tak uroczego życia, ale w jego czułym a zrozpaczonym: „No, no! troppo sei bella” * drżał przecież zachwyt i radość, że połączony jest ostatecznie z tą, której nie spodziewał się już zobaczyć. Hans Castorp odczuwał ów zachwyt i wdzięczność bez najmniejszego wysiłku wyobraźni. Wszakże najgłębsze jego uczucia wyrastały z innego źródła: Patrząc ze splecionymi rękami na małą, czarną żaluzję, za którą wykwitowało to wszystko, czuł zwycięstwo idealnego charakteru muzyki, sztuki, ludzkiego ducha, wzniosłe i niezniszczalne piękno, kładące swój odbłask na wstrętnej i nikczemnej codzienności. Należałoby sobie tylko trzeźwo uprzytomnić, co się tu właściwie działo! Dwie osoby żywcem pogrzebane zginęłyby tu w zaduchu podziemnym śmiercią głodową — równocześnie lub, co gorsza, jedna po drugiej — a potem poczęłyby się ciała ich rozkładać, aż wreszcie zostałyby na dnie lochu dwa szkielety, obojętne i niewrażliwe na to, czy leżą samotne, czy też nie. To była realna, rzeczowa strona wypadków — rzecz i sprawa odrębna, nie brana wcale w rachubę przez idealizm uczucia i w cień usunięta tryumfalnie przez ducha piękna i muzyki. Dla operowych postaci Radamesa i Aidy nie istniała rzeczowa strona wypadków. Głosy ich wznosiły się unisono ku owej uszczęśliwiającej, opóźnionej oktawie, zapewniając, że otwiera się przed nimi niebo, a tęsknocie ich poczyna przyświecać wieczność. Pokrzepiająca siła tego upiększenia rzeczywistości podnosiła słuchacza na duchu i przyczyniła się niemało do tego, że ten właśnie numer jego ulubionego programu stał mu się szczególnie miły i bliski.

Po płynącym z niej lęku i wzniosłych radościach wyczuwał zazwyczaj przy dźwiękach innego utworu, krótkiego, pełnego skoncentrowanego czaru. Był w swej treści o wiele spo-

kojnieszzy od tamtego, był sielanką, ale sielanką wyrafinowaną, odmalowaną i ukształtowaną za pomocą oszczędnych a jednocześnie skomplikowanych środków najnowszej sztuki. Był utworem wyłącznie orkiestralnym, bez śpiewu, symfonicznym preludium pochodzenia francuskiego *, skomponowanym z pomocą skąpego, jak na współczesne stosunki, aparatu technicznego, ale korzystającym ze wszystkich zdobyczy nowoczesnej techniki dźwiękowej i umiejącym wprowadzić duszę w stan marzenia.

Hans Castorp słuchał i marzył: Leżał na wznak na łące zalanej słońcem, pokrytej różnobarwnymi kwiatami, jedną nogę podciągnąwszy w górę, a drugą założywszy na tamtą. Ale były to nogi koźle. Dla własnej tylko przyjemności — bo na łące był zupełnie sam — przebierał palcami po trzymanym w ustach klarncie czy fujarce, z którego wydobywał spokojne, nosowe dźwięki. Płynęły beztrudko jeden za drugim w niewymuszonej kolejności, jednakże łącząc się w powabną całość, i wznosiły się ku ciemnobłękitnym niebiosom, pod którymi błyszcząły w słońcu wiatrem poruszane liście samotnych brzoź i jesionów. Ale wkrótce ciszę przerwały inne także głosy, prócz tej spokojnej, niedbałej, na pół melodyjnej muzyki. W gorącym powietrzu rozległo się nad trawami brzęczenie owadów, zadźwięczał nawet sam blask słoneczny, chwiejne szczyty drzew, połysk listowia — cała łagodna cisza letnia przepoiła się muzyką; prosta, własna jego pieśń na fujarce zaczęła na tym tle nabierać coraz to nowego, a zawsze zadziwiająco wyszukanego sensu harmonijnego. Symfoniczny akompaniament przycichał chwilami i milkł; ale Hans o koźlich nóżkach grał dalej i naiwną monotonią swej gry wywoływał wyszukany czar dźwięków, drzemiący w przyrodzie, aż po kilku pauzach muzyka przyrody nabrała największej siły, wzmacniana przez rosnące w swej wysokości głosy coraz to innych instrumentów, nabrzmiewała stopniowo, dochodząc do całej pełni. Była to jedna przelotna chwila, ale rozkoszna, wystarczająca, zawierająca w sobie wieczność. Młody faun na letniej łące czuł się niezmiernie szczęśliwy. Nikt tu nie wołał „Wytlumacz się”, nie było odpowiedzi-

ności ani sądu duchownego nad kimś, kto wyzbył się czci i opuścił szeregi. Panowało tu zapomnienie, błogosławiony spokój, niewinność bezczasowości, żadnym niepokojem sumienia nie zakłócone lenistwo. Była to, słowem, wymarzona apoteoza tego wszystkiego, z czym walczy zachodni nakaz aktywności. Nocny muzykant ukochał tę płytę za płynące z niej ukojenie.

A oto trzecia... A raczej znów kilka powiązanych z sobą — trzy lub cztery. Sama tylko aria tenora zajmowała jedną stronę płyty, pokrytej do połowy kolistymi wyżłobieniami. Było to znów coś francuskiego, wyjątek z opery znanej dobrze Hansowi Castorpowi, którą słyszał i widział parokrotnie w teatrze i do której treści zrobił nawet kiedyś aluzję w rozmowie, a była to pewna rozstrzygająca rozmowa... Akt drugi rozgrywał się w hiszpańskim szynku, obszernej speluncie z belkowanym pułapem, przyozdobionej chustami, o pseudomauretańskiej architekturze. Carmen oświadczyła ostrym nieco, ale charakterystycznym i ujmującym głosem, że chce zatańczyć przed sierżantem. Już zagrzechotały jej kastaniety. Ale w tej samej chwili rozległy się z dala trąbki, apel, kilka sygnałów żołnierskich. Żołnierz zerwał się. „Chwilę poczekaj! Stój!” — zawołał i nastawił uszy jak koń. A gdy Carmen pytała: „No co?” i „I cóż tam stało się?”, wołał: „Słyszysz tam ten głos?”, zdumiony, że ona nie rozumie tego, co dla niego jest jasne. Ależ to są trąbki z koszar, wieczorny capstrzyk. „Powrotu nadszedł czas!” — rzekł operowo. Ale Cyganka nie mogła, a przede wszystkim też nie chciała tego zrozumieć. Tym lepiej, odparła z głupia frant, nie trzeba będzie kastanietów, samo niebo zsyła muzykę do tańca. A więc: „Lailalala!” — był zrozpaczony. Ale własny jego ból i rozczarowanie zeszyły na drugi plan wobec wysiłków, aby jej wytłumaczyć, o co tu chodzi, i że nie ma na świecie takiej miłości, która by pozwalała nie stawić się na ten sygnał. Jakże mogła nie rozumieć czegoś tak zasadniczego i bezwzględnego! „Do koszar muszę iść, na apel stawić się!” wołał zrozpaczony takim brakiem zrozumienia, który zdwojonym ciężarem przygniatał mu i tak już ciężkie serce. Ale trzeba było słyszeć Carmen! Była wściekła, oburzona do głębi duszy, a głos jej był

głosem oszukanej i obrażonej miłości — czy może udawała tak tylko? „Musisz iść? Stawić się?” A jej serce? jej dobre, czułe serce, tak słabe — przyznaje to, tak słabe! — że chciała mu czas skrócić śpiewem i tańcem „Traterata!” I z dzikim szyderstwem podniosła do ust zwiniętą rękę, chcąc naśladować głos trąbki: „Traterata!” I to już wystarcza. Głupi żołnierz zrywa się i chce iść. Dobrze więc, niech idzie precz! Oto hełm i szabla, i pendent! Niechże pędzi do koszar, byle prędzej, prędzej! — Prosił o litość. Lecz ona szydziła zeń dalej bezlitośnie, naśladując jego ruchy i pokazując, jak na głos trąbki stracił rozum. Traterata, na apel! Na litość boską, spóźni się! A więc precz, bo przecie tam trąbią na apel — i zrywa się jak głupi w chwili, gdy ona, Carmen, chce zatańczyć! wyłącznie dla niego. Tak, tak, tak wygląda jego miłość!

Co za rozpaczliwe położenie! Nie rozumiała. Ta kobieta, ta Cyganka, nie mogła i nie chciała zrozumieć. Nie chciała — to pewna, bo w jej wściekłości i szyderstwie było coś, co wychodziło poza chwilowy nastrój i osobistą urazę, tkwiła w nich odwieczna wrogość i nienawiść do zasady, która ową francuską trąbką czy hiszpańskim wojskowym rogiem wzywała zakochanego żołnierzyka; jej najwyższą, wrodzoną i nadosobistą ambicją było zatriumfować nad tą zasadą subordynacji. Użyła więc sposobu bardzo prostego; twierdziła, że odchodząc dowiedzie, iż jej nie kocha. To już przekraczało siły Josego tam wewnątrz w skrzynce. Zaklinał, by go dopuściła do słowa. Nie chciała. Zmusił ją więc — był to moment diabelnie poważny. Fatalne dźwięki popłynęły z orkiestry, ponury, groźny motyw; Hans Castorp wiedział, że przewijać się on będzie przez całą operę aż do jej katastrofального rozwiązania; motyw ów stanowił też wstęp do arii żołnierzyka, od której zaczynała się druga płyta.

„Dar twój, ta wiązka kwiatów mała” — Jose śpiewał przepięknie, Hans Castorp często puszczał tę płytę osobno, bez związku z całością, i przysłuchiwał jej się zawsze z uwagą i sympatią. W treści tej arii nie było nic szczególnego, ale jej błagalny wyraz uczuciowy wzruszał do głębi. Żołnierz śpiewał o kwiatkach, które mu Carmen rzuciła na początku znajomości

i które były dlań wszystkim w więzieniu, do którego się dostał z jej powodu. Głęboko wstrząśnięty, wyznawał, że chwilami przeklinał los, który pozwolił, by kiedykolwiek ujrzał Carmen. Ale natychmiast gorzko żałował bluznierstwa i na klęczkach prosił Boga, by mu dozwolił zobaczyć ją jeszcze. I o t o — „oto” poczynano się tym samym wysokim tonem, co poprzednio „Ach” we frazie: „Ach, dziewczę drogie” — oto — tu w orkiestrze rozpętał się cały czar instrumentalny, z jakim zdolna jest odmalować ból, tęsknotę, utraconą czułość i słodką rozpacz żołnierzyka — oto stanęła przed jego oczami w całym swym fatalnym wdzięku i odczuł wtedy jasno i wyraźnie, że „padł straszny los” („straszny” z łkającym, całotonowym akcentem na drugiej zgłosce), padł na zawsze. „Ty szczęście me, radości moja!” — śpiewał z rozpaczą w powracającej i przez orkiestrę raz jeszcze powtórzonej żalosalnej frazie, która, wzniósłszy się o dwa stopnie od tonu zasadniczego, przechodziła z uczuciem w głębszą kwintę. „Do ciebie serce me należy”, zapewniał w sposób tuzinkowy, ale z niezmierną czułością; głos jego przy wypowiedaniu powyższej frazy spływał stopniowo aż do seksty, by dodać: „I wiecznie twoim zostać chce”. Po czym, o decymę niżej, rozległo się wrzuczone wyznanie: „Carmen, ja kocham cię!”, którego wydzwięk doznawał bolesnego opóźnienia skutkiem przetrzymania i zmiany harmonii w przedostatniej zgłosce, zanim owa zgłoska utworzyła akord podstawowy z końcowym „cię”.

— Tak, tak! — rzekł Hans Castorp ze smutkiem i wdzięcznością i nałożył jeszcze płytę z finałem, w którym wszyscy winszowali Josemu zatargu z oficerem, bo uniemożliwił mu powrót i zmusił do dezercji. Carmen, ku jego zgrozie, żądała tego już dawniej.

O pójdz z nami w jary i knieje,
Beztroski, czysty wśród skał wicher wieje

śpiewali chórem — słyszało się ich wyraźnie:

Otwarty świat — bez żadnej troski,
Ojczyznę każda strzecha;

A ponad wszystko tam żywot boski,
Wolność się w górach uśmiecha!

— Tak, tak — powtórzył raz jeszcze i przeszedł do czwartej melodii, do czegoś bardzo miłego i dobrego.

Nie jest naszą winą, że był to znów utwór francuski, i nie ponosimy odpowiedzialności za to, że i w nim także panował duch wojskowy. Była to wkładka, solo, „Modlitwa” z „Fausta” Gounoda. Śpiewał ktoś, ktoś nadzwyczaj sympatyczny, noszący imię: Walentyn, jednakże Hans Castorp nazywał go w głębi ducha inaczej, nadając mu imię bliskie i budzące smutne wspomnienia, bo tego, kto śpiewał w zaczarowanej skrzynce, utożsamiał z kimś innym, choć głos śpiewającego był o wiele piękniejszy. Był to mocny, ciepły baryton, a pieśń jego składała się z trzech części, dwu podobnych do siebie strof, początkowej i końcowej, utrzymanych w tonie religijnym, bez mała w stylu protestanckiego chorału, oraz ze strofy środkowej, agresywnej, rycerskiej, wojowniczej, lekkomyślnej, a przecie też nabożnej; to ona właśnie miała charakter żołnierski i francuski. Niewidzialny śpiewak śpiewał:

Gdy więc opuścić mi trzeba
Tę ojczyznę miłą mą

i zwracał się z prośbą do Pana niebios, by opiekował się jego uroczą siostrą! Zbliżała się wojna, rytm zmieniał się, stawał się agresywny; precz ze smutkiem i troską, on, niewidzialny, rzucił się śmiało a z wiarą, po francusku, na wroga, tam, gdzie rozgorzeje bitwa najgorętsza, gdzie niebezpieczeństwo będzie największe. A jeśli go Bóg powoła do swej chwały — śpiewał — to wtedy czuć będzie „nad nią” z góry. Mówiąc „nad nią” miał na myśli swą siostrę, jednakże słowa te wzruszały Hansa Castorpa do głębi, i wzruszenie nie ustępowało aż do końca, kiedy dzielny żołnierz w skrzynce śpiewał przy akompaniamencie chorałowych akordów:

O Boże, słysz me błaganie,
Pod pieczę Twą niech dziewczę zostanie!

Poza tym trudno coś o płycie owej powiedzieć. Wspomnieliśmy o niej mimochodem, bo Hans Castorp lubił ją tak szczególnie, ale także dlatego, że później, w szczególnych okolicznościach, odegra jeszcze pewną rolę. Na razie przechodzimy do piątego i ostatniego utworu z cyklu najulubieńszych płyt Castorpa. Nie było to już nic francuskiego, ale nawet coś szczególnie i typowo niemieckiego, nie opera, ale pieśń — jedna z owych pieśni, które łącząc ludowość z artyzmem nabierają przez to piętna duchowego i światopoglądowego... Ale nazwijmy rzecz po imieniu! Była to po prostu pieśń Szuberta „Der Lindenbaum” * zaczynająca się od znanych słów: „U studni tuż przed bramą”.

Tenor, śpiewający pieśń przy akompaniamencie fortepianu, wykazał wiele artystycznego smaku i taktu, interpretując prosto a zarazem wzniosły utwór w sposób przemyślany i subtelny i ze znajomością recytacji. Wiemy wszyscy, że ta wspaniała pieśń w ustach dzieci i ludu brzmi nieco inaczej niż w śpiewie artystycznym. Tam doznaje ona przeważnie uproszczenia, strofy powtarzają tę samą zasadniczą melodię. Tymczasem u Szuberta owa ludowa linia melodyjna przechodzi już w drugiej ośmiowierszowej zwrotce w tonację molową, powraca niezwykle pięknie do durowej na początku piątego wiersza, w następnych, w których mowa jest o podmuchu „zimnego wiatru” i zerwanym z głowy kapeluszu, rozwiązuje się dramatycznie i wraca do pierwotnej formy dopiero w ostatnich czterech wierszach trzeciej strofy, powtórzonych dla pełniejszego rozwinięcia melodii. Chwytający za serce zwrot w melodii pojawia się trzy razy, a mianowicie w drugiej, modulującej połowie pieśni, po raz trzeci już przy powtórzeniu ostatniej półstrofy: „Dalekiej odtąd drogi”. Ten czarujący zwrot, którego nie próbujemy słowami określić, przypada na fragmenty zdań „Jam wyrył w korze jej”, „Jak gdyby wołał mnie”, „Za sobą szmat już mam”. Jasny, ciepły, panujący nad oddechem i skłonny do lekkiego łkania głos tenora oddawał ów moment z takim zrozumieniem jego piękna, że w niesłychany sposób chwycił słuchacza za serce, a to tym bardziej, iż podnosił efekt niezwykle uczucio-

wymi tonami falsetowymi przy wierszach: „W szczęściu i w chwili złej”, „Tu spokój czeka cię”. Powtarzając zaś ostatni wiersz „Znalazłbyś spokój tam”, śpiewał wyraz „znalazłbyś” po raz pierwszy pełną, jakby stęsknioną pierśią, a po raz drugi dopiero jakby najdelikatniejszym flażoletem.

Tyle o pieśni i jej wykonaniu. Pochlebiamy sobie, że w poprzednich wypadkach udało nam się dać poniekąd czytelnikom zrozumienie głębokiego zainteresowania, z jakim Hans Castorp odnosił się do pewnych wybranych punktów programu swych nocnych koncertów. Natomiast jest sprawą bardzo drażliwą wyjaśnienie, czym dlań był punkt ostatni, owa stara pieśń o lipie; musimy się zabrać do rzeczy z całą ostrożnością, aby nie zaciemnić jeszcze bardziej tego, co chcemy wyjaśnić.

Postawimy rzecz w ten sposób: Przedmiot duchowy, to znaczy doniosły, właśnie dlatego jest „doniosły”, że wskazuje poza siebie i jest wyrazem i wykładnikiem czegoś duchowo ogólniej-szego, całego świata uczuć i dyspozycji, których jest mniej lub bardziej doskonałym wyrazem; tym mierzy się doniosłość przedmiotu. Sama miłość do takiego przedmiotu również jest „doniosła”. Mówi bowiem wiele o człowieku, który ją odczuwa, określa stosunek jego do zagadnień ogólnych, do świata przez ów przedmiot reprezentowanego — kto bowiem przedmiot ten ukochał, ten świadomie czy nieświadomie kocha cały ów świat duchowy.

Czy chcemy wierzyć, że nasz skromny bohater po wielu latach hermetyczno-pedagogicznego wznoszenia się w górę dość głęboko wniknął w życie duchowe, by uświadomić sobie „doniosłość” swego uczucia i jego przedmiotu? Twierdzimy i utrzymujemy, że dorósł do tego. Pieśń ta była dlań całym światem, i to światem, który widocznie kochał, bo w przeciwnym razie nie byłby go tak opętał symbol tego świata. Wiemy, co mówimy dodając — choć może nie wyda się to zbyt jasne — iż gdyby umysł jego nie był podatny na działanie uczuć i całej postawy duchowej, w tkliwy a tajemniczy sposób streszczonych przez ową pieśń, to inaczej ukształtowałyby się koleje jego losu. Ale los przyniósł z sobą nasilenia i przygody,

otworzył nowe horyzonty, narzucił problemy królowania, dzięki którym bohater nasz dojrzał i stał się zdolny do krytyki swego umiłowanego świata i jego symbolu, skądinąd tak godnego podziwu — a krytyka ta postawiła pod znakiem zapytania cały ten świat, jego symbol i miłość do niego.

Kto by sądził, że podobne zwątpienia ujmę przynoszą miłości, dałby dowód, że na jej sprawach zupełnie się nie zna. Wręcz przeciwnie, nadają jej one właściwy smak. To dopiero zwątpienie robi z miłości namiętność, tak iż można namiętność wręcz nazwać wąpiącą miłością. Na czymże polegały skrupuły i związane z królowaniem wątpliwości Hansa Castorpa, czy miłość jego ku czarownicy pieśni i jej światu jest w wyższym słowa znaczeniu miłością dozwoloną? Jakież to świat krył się poza nią, który w jego poczuciu był krajem wzbronionej miłości?

Była to śmierć.

Ależ to wyraźny obłęd! Przecież to czarująca pieśń! Arcyzdzieło zrodzone z ostatecznych i najświętszych głębin ducha ludu! Najwyższe dobro, prawzór uczucia, ucieleśniony wdzięk! Więc cóż za szkaradne oszczerstwo!

Ano tak, tak, bardzo ładnie, tak powie każdy uczciwy człowiek. A jednak poza owym pełnym wdzięku utworem kryła się śmierć! Hans Castorp utrzymywał związki ze śmiercią, w których można było znajdować upodobanie, zdając sobie jednakże w formie przeczuć i dociekań przy królowaniu sprawę, że jest to upodobanie niedozwolone. Samo przez się, w swej pierwotnej istocie nie było to wcale upodobaniem do śmierci, miało w sobie coś bardzo ludowego i pełnego życia, a przecie stawało się upodobaniem do śmierci, i choć w swych zaczątkach było czystą zbożnością i głębszą myślą (temu nikt nie przeczy), to jednak prowadziło do ciemności.

Cóż on sobie znów wmawia? — Nikt by go jednak nie przekonał, że jest inaczej. Prowadzi do ciemności? Toż to duch siepaczy z kaźni tortur i nienawiść do ludzi, odziana w hiszpańską czerń i kryzę w kształcie talerza, rozpusta, a nie miłość — jako wynik szczerzej zbożności.

Hans Castorp nie uważał wprawdzie literata Settembriniego za człowieka bezwzględnie zasługującego na zaufanie, jednakże zapamiętał dobrze jedną z nauk, której mu jasno myślący mentor u początków jego hermetycznej kariery udzielił niegdyś, mówiąc o chęci powrotu, duchowego powrotu do pewnego świata. Naukę tę pragnął zastosować ostrożnie do swej obecnej sprawy. Pan Settembrini nazwał ową chęć powrotu „chorobą” — zarówno sam pogląd na świat, jak i epoka, której ta chęć dotyczy, musiały z jego wychowawczego punktu widzenia wydawać się „chorobliwymi”. Jakżeż to! Pełna tęsknoty pieśń Hansa Castorpa, uczucia, które wyrażała, i upodobanie, które budziła — miały być chorobliwe? Ależ nie! Były najzdrowsze w świecie. A jednak były owocem, który w tej chwili jest zdrowy, wonny i świeży, ale w chwili następnej zacznie gnąć; spożyty w odpowiednim momencie — krzepił umysł, ale gdy moment ów mijał, pozostawiał w ustach spożywającej go ludzkości posmak zgnilizny i zniszczenia. Był owocem życia zrodzonym przez śmierć i śmiercią brzemienym. Był cudem ducha — najwyższym może, jeśli chodzi tylko o piękno, nie liczące się z sumieniem; natomiast z uzasadnioną nieufnością odnosić się doń musi umysł odpowiedzialny, życzliwy dla życia, chcący mieć udział w kierowaniu nim, przywiązany do organicznego świata i gotowy do przewyciężenia samego siebie, jeśli tak ostatecznie postanowi jego sumienie.

Tak, przewyciężenie samego siebie, ono bodaj stanowi istotę przewyciężenia owej miłości — owego duchowego czaru z pośepnymi konsekwencjami! Ale myśli Hansa Castorpa, czy raczej półmyśli i półuczucia, biegły wysoko, gdy on sam siedział samotnie do późna w nocy obok śpiewającej trumny — sięgały wyżej, niż mógł podążyć jego umysł, rosły jak w rękach alchemika. Jak potężny był ów czar duchowy! Wszyscy byliśmy jego synami i służąc mu mogliśmy wiele dokonać na ziemi. Nie trzeba było więcej geniuszu, lecz tylko o wiele więcej talentu, niż miał autor pieśni, by stać się czarodziejem, dać pieśni kształty olbrzymie i podbić nią świat. Można by na niej zapewne państwa budować, ziemskie, nazbyt ziemskie państwa,

krzepkie, dążące ku postępowi i bynajmniej nie chorujące na nostalgię — ale pieśń zmarniałaby w nich i zesłaby do rzędu elektrycznej, gramofonowej muzyki. A najlepszym owego czaru synem byłby zapewne ten, kto by życie swe strawił na jego przezwyciężaniu i umarł z wyrazem nowej, nie wypowiedzianej jeszcze miłości na ustach. Warto umrzeć za tę czarowną pieśń! Ale kto za nią umiera, ten umiera już właściwie nie za nią i staje się bohaterem, bo umiera w gruncie rzeczy za nowe słowo miłości i przyszłości, zrodzone w jego sercu.

To więc były najulubieńsze płyty Hansa Castorpa.

SPRAWY NAJBARDZIEJ ZAGADKOWE

Konferencje Edhina Krokowskiego wzięły z biegiem czasu nieprzewidziany obrót. Badania jego, dotyczące analizy duszy i snów, nosiły zawsze cechy czegoś podziemnego, zrodzonego w katakumbach; ostatnio wszakże (szersza publiczność nie zauważyła nawet tego przejścia) zwróciły się w kierunku kwestii magicznych, zupełnie już tajemniczych. Odbywane co dwa tygodnie w sali jadalnej wykłady — główna atrakcja zakładu, z dumą wymieniana w prospekcie — na których referent zjawiał się w tużurku i sandałach, siadał za nakrytym stolikiem i przemawiał do zamarłej w skupieniu publiczności egzotycznie przeciągającym akcentem, wykłady te zmieniły swą treść. Tematem ich nie był już ukryty erotyzm i przekształcanie się zmian chorobowych z powrotem w uświadomione afekty, lecz dziwaczne głębie hipnotyzmu i somnambulizmu, zjawiska telepatii, snów wróżebnych i jasnowidzenia, dziwy hysterii, a wszystko to niesłychanie rozszerzało horyzonty filozoficzne i ukazywało słuchaczom sprawy tak zagadkowe jak stosunek materii do ducha, a nawet samo życie, sprawy mogące budzić nadzieje, że się je na drogach niesamowitych i chorobliwych rozwiąże prędzej niż na zdrowych...

Mówimy to uważając za nasz obowiązek zadać kłam lekko-myślnym plotkom, głoszącym, że dr Krokowski wykłady swe

zaczął poświęcać wiedzy tajemnej po to tylko, aby uniknąć grożącej im beznadziejnej monotonii, a więc dla względów czysto emocjonalnych. Mówiły to złe języki, których nigdzie nie brak. To prawda, że panowie podczas poniedziałkowych wykładów bardziej niż kiedykolwiek nastawiali uszu, by lepiej słyszeć, a panna Levi bardziej jeszcze stała się podobną do woskowej figury z ukrytym wewnątrz mechanizmem. Ale takie działanie wykładów było równie usprawiedliwione jak ewolucja duchowa uczonego, nie tylko konsekwentna, ale wręcz konieczna. Przedmiotem jego studiów zawsze były ciemne a rozległe dziedziny duszy ludzkiej, które noszą miano podświadomości, choć słuszniej by tu było mówić o nadświadomości, albowiem ze sfer tych wylania się niekiedy wiedza przekraczająca znacznie wiedzę świadomą jednostki; podsuwa ona myśl, że między najniższą i ciemną strefą duszy jednostkowej a wszechwiedzącą duszą wszechbytu mogą zachodzić pewne stosunki i związki. Dziedzina podświadomości, „tajemna” w dosłownym rozumieniu tego wyrazu, okazuje się tajemną również w ciaśniejszym jego znaczeniu i tworzy jedno ze źródeł, z których płyną zjawiska, nazywane tak w braku lepszej nazwy. Ale to nie wszystko. Kto w organicznych objawach choroby dopatruje się działania zhisteryzowanych i wygnanych ze świadomości afektów, ten uznaje twórczą moc ducha w materii i moc tę zmuszony jest uznać za drugie źródło fenomenów magicznych. Taki idealista patologii czy nawet patologiczny idealista ujrzy się wkrótce u kresu myślowych procesów, znajdujących niebawem ujście w ogólnym zagadnieniu bytu, to znaczy w zagadnieniu stosunku między duchem a materią. Materialista, wychowanek filozofii ceniącej jedynie tężyźnię, nigdy nie omieszka potraktować ducha jako fosforyzującego wytworu materii. Natomiast idealista weźmie za punkt wyjścia twórczą historię i będzie skłonny i bardzo prędko zdecydowany zagadnienie prymatu ducha czy materii rozwiązać w sposób wręcz odwrotny. W gruncie rzeczy powtarza się tu raz jeszcze dylemat, co było wcześniej: kura czy jajo? — dylemat niezwykle

zawiły dzięki dwu faktom, iż nie (można pomyśleć jaja, którego nie zniosła kura, ani kury, która się nie wykluła z jaja.

Dokoła tych spraw obracały się tedy w ostatnich czasach wykłady dra Krokowskiego. Nie możemy dość silnie podkreślić raz jeszcze, że doszedł do nich rozumując organicznie, poprawnie i logicznie, i nie potrzebujemy chyba dodawać, że stało się to o wiele wcześniej, nim zjawiła się Ellen Brand i sprawy te wprowadziła w stadium empiryczne i eksperymentalne.

Któż to była Ellen Brand? Zapomnieliśmy nieledwie, że czytelnik tego nie wie, podczas gdy my, oczywiście dobrze znamy jej nazwisko. Kim była? Na pierwsze wejrzenie prawie niczym. Miłym dziewiętnastoletnim stworzeniem, nazywanym Elly, o lnianych włosach, rodem z Danii, ale nawet nie z Kopenhagi, tylko z Odense na wyspie Fionii, gdzie ojciec jej posiadał sklep z nabiałem. Pracowała już zawodowo, od paru lat siadywała na obracającym się krzeselku, z czarnym rękawem na prawym ramieniu, nad grubymi księgami, w prowincjonalnej filii pewnego stołecznego banku — i właśnie przy tym zaczęła gorączkować. Nie był to poważny wypadek, było to właściwie tylko podejrzenie, ale Elly rzeczywiście była delikatna i najwyraźniej cierpiała na blednicę; przy tym była tak sympatyczna, że miało się czasami ochotę pogłodzić ją po jasnych jak len włosach — i radca nie omieszkiwał tego robić, ilekroć rozmawiał z nią w sali jadalnej. Otaczał ją północny chłód, kryształowo czysta, dziecinnie dziewicza atmosfera, pociągająca jak pełne i czyste spojrzenie jej błękitnych oczu, wysoki głos i delikatny sposób mówienia. Mówiła łamaną niemczyzną, z typowymi błędami fonetycznymi. W rysach jej nie było nic szczególnego. Podbródek miała zbyt krótki. Siedziała przy stole obok panny Kleefeld, która jej matkowała.

Owa młoda dziewczyna, owa Elly, uprzejma, mała duńska rowerzystka i biuralistka, miała w sobie coś, o czym by się na widok jej jasnej aparycji nikomu nawet nie śniło. Zaczęło się to objawiać już w pierwszych tygodniach jej pobytu w sanatorium, a dr Krokowski zajął się wyświeceniem tych zagadkowych zjawisk.

Zdumienie uczonego wzbudziły przede wszystkim pewne fakty zaobserwowane podczas wieczornych zebrań towarzyskich. Bawiono się w „zgadywanie” albo szukano ukrytych przedmiotów z pomocą fortepianu, na którym grano głośniejsze, gdy szukający zbliżał się do kryjówki, a ciszej, gdy poszukiwania zwracał w niewłaściwym kierunku. Z biegiem czasu zmieniono zasady gry w ten sposób, że ktoś wychodził z sali, a po powrocie miał wykonać jakąś złożoną czynność, postanowioną w jego nieobecności; na przykład miał zamienić dwu osobom pierścionki, zaprosić kogoś do tańca potrójnym ukłonem, wziąć z biblioteki jakąś określoną książkę i podać ją komuś itp. Zauważyć należy, że tego rodzaju zabawy nie były w zwyczaju pośród towarzystwa sanatoryjnego. Trudno było później stwierdzić, kto je właściwie wprowadził. Nie zrobiła tego z pewnością Elly. Wszakże pomysł ten zrodził się dopiero w jej obecności.

Uczestnicy tych zabaw — byli to prawie sami starzy znajomi, a między nimi Hans Castorp — wywiązywali się z tych prób mniej lub bardziej zręcznie albo też zupełnie nieudolnie. Natomiast uzdolnienia, jakie w tym zakresie miała Elly Brand, okazały się nadzwyczajne, zadziwiające, wprost nieprzyzwoite. Jej niezawodna pewność w odnajdowaniu skrytek mogłaby jeszcze ująć, choć i ona wzbudzała oklaski i pełne podziwu wybuchy śmiechu; ale przy bardziej skomplikowanych zadaniach obecni niemieli ze zdumienia. Wykonywała wszystkie zadania, które obmyślono dla niej w tajemnicy przed nią, wykonywała natychmiast, gdy tylko weszła, z łagodnym uśmiechem, bez wahań i bez pomocy muzyki. Przyniosła z jadalni szczyptę soli, posyłała nią głowę prokuratora Paravanta, potem wzięła go za rękę, poprowadziła do fortepianu i wskazującym palcem prokuratora zagrała początek piosenki „Kommt ein Vogel geflogen”*. Potem odprowadziła go z powrotem na miejsce, dygnęła, przyniosła podnózek i usiadła u jego stóp. Było to dokładnie to samo, co z niemałym trudem dla niej wymyślono.

A więc podsłuchiwał

Zaczerwieniła się. Zawstydzenie jej sprawiło prawdziwą ulgę; lecz gdy wszyscy jeden przez drugiego czynili jej wymówki,

zapewniała: Nie, nie, tego nie robiła, proszę jej o to nie posądzać! Nie podsłuchiwała tam, za drzwiami, naprawdę!

— Nie tam, nie za drzwiami?

— Nie, nie, proszę pozwolić! — Wyznała, że słucha, ale tu, w pokoju, gdy już weszła, i że nie może inaczej.

— Nie może inaczej? W pokoju?

Opowiadała, że słyszy szept. Ktoś jej szepcze, co ma robić, cicho, ale stanowczo i wyraźnie.

Niełatwo było jej to wyznać. Czowała się poniekąd winną oszustwa. Powinna była przecie powiedzieć od razu, że nie nadaje się do tego rodzaju gry, skoro coś jej szepcze to wszystko do ucha. Współzawodnictwo traci cały swój sens, jeśli jeden z przeciwników posiada nadprzyrodzone zdolności. Toteż wyznanie Ellen dyskwalifikowało ją ze sportowego punktu widzenia; niemniej niejednego przeszedł dreszcz, gdy to usłyszał. Kilka głosów naraz zażądało wezwania dra Krokowskiego. Ktoś pobiegł, aby go odszukać; nadszedł wkrótce, krępy i jędrnie uśmiechnięty, od razu orientujący się we wszystkim, całą swą istotą zachęcający do zaufania. Zadyszani, wołali, że zaszło coś jaskrawo anormalnego, że pojawiła się jasnowidząca, dziewczyna, która słyszy głosy. — No, no, i co więcej? Spokojnie, moi drodzy! Zobaczymy, co to takiego. — Na tym terenie był jak u siebie w domu, poruszał się na nim swobodnie, podczas gdy inni chwiali się na nim, jak na lepkiem, grząskim bagnie. Wypytywał się, kazał sobie opowiadać. Tak, naprawdę, patrzcie no? — A więc to tak jest, moje dziecko? — I położył dziewczynie rękę na głowie, jak to chętnie czynili wszyscy. Są wszelkie powody do skupienia uwagi, ale nie ma żadnego do przerażenia. Zatopił swój ciemny, egzotyczny wzrok w bladoniebieskich oczach Ellen Brand i łagodnie zaczął wodzić ręką od czubka jej głowy do ramienia. Odpowiadała skromnym i coraz skromniejszym spojrzeniem, coraz bardziej w górę patrząc, bo opuszczała z wolna głowę na piersi. Wreszcie gdy oczy jej poczęły gasnąć, uczony uczynił niedbały ruch ręką w górę wzdłuż jej twarzyczki, po czym stwierdził, że wszystko jest w porządku, i kazał całemu towarzystwu rozejść się na „wieczorną służbę”, zatrzymując

tylko Ellen Brand, z którą, jak twierdził, chciał jeszcze „pogawędzić”.

Pogawędzić! Łatwo to sobie było można wyobrazić. Wszystkich przejął chłód od prostych słów wesołego kolegi Krokowskiego. Nawet Hans Castorp, udający się z opóźnieniem na swój wygodny leżak, czuł się nieswojo, wspominając, jakie uczucia wywołały w nim dziwne wyczyny Ellen i tłumaczenie ich, które wstydliwie podawała; miał wtedy wrażenie, że grunt usuwa mu się spod stóp, że mu się robi niedobrze i że w całym ciele odczuwa lęk, jakby w lekkiej chorobie morskiej. Nie przeżywał nigdy trzęsienia ziemi, ale przyszło mu na myśl, że wówczas doznaje się podobnego swoistego lęku; poza tym niesamowite własności dziewczyny budziły w nim najwyższe zaciekawienie; ciekawość ta łączyła się z poczuciem beznadziejności, bo uświadamiał sobie, że dotyczy ona niedostępnej dziedziny i że przeto jest bezowocna czy nawet grzeszna — niemniej ciekawość zostawała jednak ciekawością. Hans Castorp słyszał, jak każdy, niejedno o rzeczach tajemnych i nadnaturalnych — wspominaliśmy przecie o jakiejś ciotecznej prababce mającej dar jasnowidzenia, a której melancholijna tradycja doszła aż do niego. Ale nigdy dotąd ze światem tym, któremu nie odmawiał teoretycznego i bezstronnego uznania, nie wszedł w bezpośrednią styczność, nie zdobył o nim praktycznych doświadczeń. I żywe jego zaciekawienie równało się pewnej niechęci wobec podobnych doświadczeń, jakiejś estetycznej odrazie i odczuwanemu wobec nich sprzeciwowi ludzkiej dumy — jeśli wolno użyć tak pretensjonalnych wyrazów w związku z naszym zupełnie bezpretensjonalnym bohaterem.

Przeczuwał z góry, jasno i wyraźnie, że podobne doświadczenia, jakkolwiek się potoczą, muszą zawsze wypaść w sposób niesmaczny, niezrozumiały i nie licujący z godnością ludzką. Mimo wszystko pragnął ich gorąco. Pojmował, że niemiła alternatywa „bezowocne albo grzeszne” nie jest naprawdę alternatywą, doświadczenia te są i jednym, i drugim i że ich duchowa nicość jest tylko pozamoralnym wyrazem tego, iż są niedozwolone. Lecz zasada placet experiri, wpojona weń przez kogoś, kto

by się zresztą ostro przeciwstawił takim eksperymentom, tkwiła mocno w jego umyśle; jego etyka zlewała się, jak zwykle, z ciekawością, z tą samą bezwzględną ciekawością intelektualnego komiwojażera, z którą niegdyś kosztował tajemnicy osobowości i która zbliżyła go już wtedy do ukazującej mu się teraz dziewcziny. Rys wojskowy tej ciekawości objawiał się w tym, że nie cofała się przed zerwaniem zakazanego owocu, gdy się sposobność ku temu nadarzyła. Hans Castorp postanowił tedy czuć bacznie i nie stać na uboczu, w razie gdyby z Ellen Brand miały się dalej dziać nadzwyczajności.

Dr Krokowski wydał ostry zakaz czynienia dyletanckich eksperymentów z tajemniczymi zdolnościami panny Brand. Zajął niejako dziewczynę na rzecz nauki, odbywał z nią posiedzenia w swym analitycznym lochu, hipnotyzował ją, jak powiadano, starał się rozwinąć i poddać dyscyplinie drzemiące w niej możliwości oraz zbadać jej dotychczasowe życie duchowe. To samo zresztą czyniła również matkująca jej starsza przyjaciółka i opiekunka, Hermina Kleefeld. Dowiedziawszy się od niej w tajemnicy tych czy innych szczegółów, przekazywała je w takiej samej tajemnicy wszystkim w sanatorium, nie wyłączając odźwiernego. Dowiedziała się na przykład, że ten czy to, co podszeptywało małej rozwiązania zadań podczas zabawy, nazywało się Holger — i było młodzieńcem nazwiskiem Holger, a raczej duchem młodzieńca, bliską jej, eteryczną i oderwaną istotą, czymś w rodzaju anioła stróża małej Ellen. — A więc on to powiedział jej o szczypcie soli i wskazującym palcu Paravanta? — Tak, szeptał jej pieszczotliwie, zbliżając niewidzialne wargi do samego ucha, tak że aż czuła jakby lekkie, do śmiechu pobudzające łaskotanie. — Jakże to musiało być przyjemnie, gdy Holger dawniej podpowiadał jej w szkole, kiedy była nie przygotowana. — Ellen nie odpowiedziała. Dopiero później oświadczyła, że widocznie Holgerowi nie wolno tego robić. Zaroniono mu mieszać się do takich poważnych spraw, a zresztą może sam tego nie umiał.

Okazało się z czasem, że Ellen miewała od dzieciństwa, co prawda niezbyt często, widoczne lub niewidoczne wizje. — Ale

co ma znaczyć „niewidoczna wizja”? — Na przykład tak: Siedziała sobie jako szesnastoletnia dziewczyna w bawialnym pokoju rodziców, przy okrągłym stole, z robótką w rękę, w jasne popołudnie, a obok niej na dywanie leżał dog ojca, suka Freia. Stół przykryty był różnokolorowym tureckim szalem, takim, jaki noszą stare kobiety złożony w trójkąt; rogi szala zwisały ku ziemi. Wtem Ellen dostrzegła, że ktoś zwija powoli jeden róg, cicho, starannie, regularnie, aż gdzieś ku środkowi stołu, tak że powstaje długi wałek. Równocześnie Freia zerwała się dziko, zjeżyła sierść, przysiadła na łapach, wreszcie uciekła z wyciem do sąsiedniego pokoju, gdzie wlaźła pod kanapę, i potem przez cały rok nie można jej było skłonić, aby weszła do bawialnego pokoju.

— Czy to Holger zwijał szal? — pytała panna Kleefeld. — ■ Mała Brand nie wiedziała. — A o czymże myślała, gdy się to zdarzyło? — Nie myślała o niczym, bo rzeczywiście trudno było cokolwiek przy tym myśleć. — Czy opowiedziała o tym rodzicom? — Nie. — To dziwne. Mimo że nie można było absolutnie o niczym przy tym myśleć, czuła jednak instynktownie, że powinna to zachować dla siebie i ukrywać wstydliwie tę tajemnicę. — Czy ciężko to znosiła? — Nie, nie było w tym nic szczególnie przykrego. Cóż przykrego może być w zwijaniu się szala? Ale inne wypadki znosiła gorzej. Na przykład było tak:

Przed rokiem, również w domu rodzicielskim w Odense, wyszła raz wcześniej ze swego pokoju na parterze i przez sień poszła po schodach na górę do jadalni, aby, jak to zwykle czyniła, przygotować śniadanie dla rodziców, zanim wstaną. Minęła właśnie podest w połowie piętra, kiedy spostrzegła tuż obok siebie swoją zamężną starszą siostrę, Zofię, która mieszkała w Ameryce. Zofia miała na sobie białą szatę i, rzecz dziwna, wieniec z lilii wodnych i sitowia, ręce złożyła na piersi i skinęła jej głową. — Ależ, Zofio, czyż jesteś tutaj? — zapytała, stanąwszy jak wryta, Ellen, przerażona i jednocześnie uradowana. Wtedy Zofia raz jeszcze skinęła, a potem ulotniła się. Stała się przezroczysta; po chwili widać ją było tak, jak się widzi płynącą falę ciepłego powietrza, a potem już w ogóle nie, tak że dro-ja stanęła dla Ellen

otworem. Ale później okazało się, że o tej samej porannej godzinie siostra Zofia umarła w New Jersey na zapalenie osierdzia.

Hans Castorp, wysłuchawszy tych wiadomości z ust panny Kleefeld, pomyślał, że jednak mają jakiś sens logiczny, że można o nich słuchać bez przykrości. Śmiertelny wypadek w Ameryce, a wizja tutaj — można się w tym doszukać jakiegoś związku godnego uwagi. Zdecydował się więc, że weźmie udział w spirytystycznej zabawie towarzyskiej, którą pełni niecierpliwości kuracjusze postanowili w tajemnicy urządzić z Ellen Brand, wbrew zazdrosnemu zakazowi dra Krokowskiego.

Do wzięcia udziału w seansie zaproszono niektóre tylko zaufane osoby? rzecz miała się odbyć w pokoju Herminy Kleefeld. Oprócz gospodyni, Hansa Castorpa i małej Brand przewidziana była obecność tylko pań: Stóhr i Levi, pana Albina, Czecha Wacława i doktora Ting-Fu. Wieczorem, z uderzeniem dziesiątej, goście weszli chyłkiem i zaczęli oglądać przygotowania, jakie poczyniła Hermina; polegały na tym, że ustawiła na środku pokoju nie nakryty okrągły stół średniej wielkości i umieściła pośrodku odwrócony podstawą do góry kieliszek na wino. Na brzegu stołu leżały w odstępach małe kościane płytki, używane zazwyczaj przy grze w karty jako żetony, na których teraz było atramentem wypisanych dwadzieścia pięć liter alfabetu. Panna Kleefeld poczęstowała gości na wstępie herbatą, która została przyjęta z wdzięcznością, bo pani Stóhr i panna Levi miały zimne ręce i serce im biło, mimo że seans był dziecinną zabawką. Rozgrzawszy się towarzystwo zasiadło dokoła stolika; gospodyni, aby podnieść nastrój, zgasiła górną lampę i pozostawiła tylko nocną lampkę pod abażurem, więc pokój tonął w bladuróżowym półmroku; każdy ułożył rękę na stole tak, że koniec jednego z palców prawej ręki dotykał podstawy kieliszka. Tak nakazywała metoda. Czekano chwili, gdy kieliszek zacznie się poruszać.

Mogło to stać się łatwo, bo powierzchnia stołu była gładka, brzeg kieliszka dobrze oszlifowany i nacisk choćby jak najlżej go dotykających drżących palców, z natury rzeczy nieregularny, w jednym miejscu bardziej prostopadły, a w innym znów raczej skośny, musiał z czasem doprowadzić do tego, że kieliszek opus-

ci swe centralne miejsce. Na peryferii pola ruchu natknie się wtedy na litery; i jeśli te, ku którym się zbliży, wytworzą zrozumiałe wyrazy, to będzie to zjawiskiem tak skomplikowanym, że aż nieczystym, będzie wynikiem pomieszania świadomych, półświadomych i nieświadomych elementów. Niektórzy pomagając będą bezwiednie kieliszкови w myśl własnych życzeń i tajemnej zgody mrocznych warstw psychicznych całego zespołu, jakiegoś podziemnego współdziałania — w osiągnięciu wyników pozornie dalekich, w których jednak owe mroczne warstwy psychiczne poszczególnych uczestników będą w mniejszym lub większym stopniu mieć udział, a naturalnie najważniejszy mieć będzie mała, milutka Elly. W gruncie rzeczy wiedzieli o tym wszyscy, a Hans Castorp, jak to było jego zwyczajem, zaczął nawet mówić o tym z innymi, kiedy siedzieli i czekali z drżącymi palcami. Zimne ręce i bicie serca dam a wymuszona wesołość panów wynikały stąd jedynie, że wszystko to wiedzieli — i przez to zebranie ich w cichą noc było nieczystą grą z własną naturą, nieśmiałym a ciekawym eksperymentem z nieznaną cząstką własnej jaźni i oczekiwaniem tych bądź pozornych, bądź połowicznych faktów, które się nazywa magią. Nieomal tylko aby sprawie nadać jakąś formę, a więc ze względów konwencjonalnych, ustalono, że przez kieliszek przemawiać będą do zgromadzonych duchy zmarłych. Pana Albina uproszono, aby w imieniu wszystkich zebranych pertraktował z duchami, ponieważ tu i ówdzie brał już kiedyś udział w seansach spirytystycznych.

Minęło ponad dwadzieścia minut. Szepty ustały z braku tematu, pierwsze napięcie ustąpiło. Lewą ręką podpierano prawą, trzymając ją w łokciu. Czech Wacław był bliski zaśnięcia. Ellen Brand paluszkami dotykała lekko kieliszka i patrzyła poza stojące w pobliżu przedmioty w blask nocnej lampki.

Nagle kieliszek przechylił się, uderzył i wymknął się spod rąk siedzących wokoło. Z trudem podążyli za nim palcami. Osunął się na brzeg stołu, przez chwilę poruszał się jego skrajem, a potem w prostej linii powrócił mniej więcej na środek. Uderzył raz jeszcze i stanął bez ruchu.

Wszystkich ogarnęło na pół radosne przerażenie. Pani Stóhr

oświadczyła płaczkliwie, że woli przerwać zabawę, ale ktoś odparł, że powinna się była wcześniej zastanowić, a teraz niech cicho siedzi. Zaczynało się. Ustalono, że odpowiedzi „tak” i „nie” wyrażać się będą przez jednokrotne lub dwukrotne stuknięcie, bez uciekania się do pomocy liter.

— Czy jest ktoś między nami? — rzucił poważne pytanie w próżnię ponad głowami pan Albin... Krótkie wahanie. Potem kieliszek przechylił się i uderzył twierdząco.

— Jak się nazywasz? — zapytał pan Albin tonem niemal szorstkim i potrząsnął jeszcze głową dla dodania energii słowom.

Kieliszek ruszył z miejsca. Biegł zdecydowanie zygzakiem, od zetonu do zetonu, zwracając się po drodze wciąż ku środkowi; pobiegł ku literze H, ku O, ku L, potem zdawało się przez chwilę, że jakby zgubił drogę i nie wiedział, dokąd się zwrócić; wreszcie ruszył dalej, wskazał na G, E i R. A więc to był Holger we własnej osobie. Holger-*duch*, ten, co zdradził tajemnicę szczypty soli itd., ale nie wtrącał się oczywiście do nauki szkolnej. Był tu obecny, znajdował się gdzieś w powietrzu, unosił nad głowami zebranych. Co należało z nim począć? Wszystkich ogarnęło osłupienie. Naradzano się po cichu i jakby zakrywając usta ręką, o co go należy pytać. Pan Albin zdecydował, że należy dowiedzieć się, jakie stanowisko zajmował Holger za życia i czym się trudnił. Zadał więc pytanie, jak przedtem, tonem sędziego śledczego, surowo, ostro i z namarszczoną brwią.

Kieliszek milczał przez chwilę. Potem skierował się chwiejając i potykając ku literze P, cofnął się i wskazał O. Cóż to miało być? Napięcie rosło. Dr Ting-Fu chichocząc wyraził obawę, że Holger był zapewne policjantem. Pani Stóhr wybuchnęła histerycznym śmiechem, który jednak nie wstrzymał kieliszka w biegu; posuwał się kulejąc i klekocąc ku E, skończył na T, opuszczając błędnie ostatnią literę. Przesylabizował wyraz „poet”.

Cóż, u diabła, Holger był poetą? — Kieliszek podskoczył parokrotnie i jakby z dumą potwierdził. Panna Kleefeld spytała, czy był poetą lirycznym; Hans Castorp zauważył, że dźwięk Y wymówiła jak I, co napełniło go odrazą... Holger nie miał, zdaje się, ochoty do tego rodzaju rozróżnień. Nie dał żadnej nowej odpo-

wiedzi, tylko powtórzył szybko, pewnie i bezbłędnie dawną, dodając jeszcze na końcu literę A, o której poprzednio zapomniał.

Dobrze, zgoda, więc poeta. Zakłopotanie wzrastało — dziwne zakłopotanie, wywołane ujawnieniem się niedostrzegalnych dziecin własnej jaźni, ale wobec chwiejności i połowiczności tego objawienia skierowane znowu ku zjawiskom zewnętrznym. Zapytano, czy Holger czuje się szczęśliwy w stanie, w jakim się znajduje. Posunięcia kieliszka utworzyły marzycielsko wyraz „spokojny”. Ach tak, „spokojny”. Ano tak, nikt by sam nie wpadł na to, ale kieliszek tak wysylabizował, więc osądzili wszyscy, że to jest prawdopodobne i dobrze sformułowane. — A od jak dawna znajduje się Holger w tym stanie spokoju? — Usłyszano znów coś, co nikomu nie przysłoby do głowy, a było rozmarzające. Brzmiało to: „pośpieszne trwanie”. — Bardzo dobrze. Mogło zresztą również brzmieć „trwały pośpiech”. Była to poetycka sentencja brzuchom owcy; podobała się zwłaszcza Hansowi Castorpowi. Pośpieszne trwanie było właściwym Holgerowi elementem czasu, naturalnie, musiał za pomocą jakiejś sentencji pozbyć się pytających natrętów, a oduczył się zapewne operowania ziemskimi słowami i miarami ścisłymi. Czegóż jeszcze chciano by się odeń dowiedzieć?

Panna Levi wyznała, że jest ciekawa, jak Holger wygląda, względnie jak niegdyś wyglądał. Czy jest pięknym młodzieńcem? — Pan Albin przykazał, aby zapytała go sama, uważał bowiem, że stawianie takiego pytania jest poniżej jego godności. Spytała więc, przemawiając per „ty” do Holgera-ducha, czy ma jasne loki?

— Piękne, ciemne, ciemne loki — ciągnął dalej kieliszek, sylabizując dwukrotnie wyraz „ciemne”. W towarzystwie zapanowała radosna wesołość. Panie przyznawały się głośno, że są zakochane w Holgerze. Posyłały ku sufitowi całusy. Dr Ting-Fu zauważył chichocząc, że Mister Holger jest, jak się zdaje, cokolwiek próżny.

W tej chwili kieliszek zirytował się widocznie! Począł biec jak szalony bez ładu i składu dokoła stołu, pochylał się wściekle, aż przewrócił się i upadł na kolana pani Stóhr, która patrzyła nań

z rozłożonymi rękami, blada ze strachu. Postawiono go ostrożnie na dawnym miejscu, prosząc o przebaczenie. Zwymyślano Chińczyka. Jak mógł się odważyć na coś podobnego! Oto do czego prowadzi niewczesna ciekawość. A co będzie, jeśli Holger rozniewawszy się odejdzie i żadnej już nie da odpowiedzi? Uspokajano jego kieliszek, jak tylko się dało. Może chciałby coś zaimprovizować! Był przecie poetą, zanim znalazł się w krainie pośpiesznego trwania. Ach, jakże chcieliby wszyscy posłuchać jego wierszy! Sprawiłoby im to prawdziwą rozkosz.

Wtem pocziwy kieliszek dał znak: „Tak”. A zrobił to w sposób rzeczywiście dobrotliwy i jakby świadczący o gotowości do zgody. Po czym Holger-duch zaczął improwizować; improwizował szczegółowo, obszernie, bez pamięci, nie wiadomo jak długo — zdawało się, że nie umilknie nigdy! Był to ze wszech miar zadziwiający poemat, magiczny utwór, bezbrzeżny jak morze i w którym też głównie o morzu była mowa; poeta przemawiał jak brzuchomówca, a siedzący wokół ludzie powtarzali jego słowa z podziwem.

Wzdłuż wąskiego pasa wybrzeża, u głębokiej zatoki, w krainie wysp o stromych wydmach nadbrzeżnych wielkie kępy trawy morskiej. Patrzenie, jak dal niezmierna konająca zielenią roztopia się w wieczności. Pod szerokimi smugami mglistych zasłon, w posępnym karmazynowym przepychu i mlecznym, miękkim blasku — letnie słońce powoli, powoli chyli się ku zachodowi! Żadne usta nie wyrażą, kiedy i jak srebrny, ruchliwy odbłask wody zmienia się w błyski perłowej masy, w nie dającą się wyrazić grę barw blado opalizującej księżycowej poświaty, która pokrywa wszystko... Ach, cichy czar rozwiął się równie tajemnie, jak powstał. Usnęło morze, ale w dali zostały jeszcze ślady pożegnania ze słońcem. Zupełna ciemność nie zapadnie aż późną nocą. W sosnowym lesie, porastającym wzgórze wydm, panuje widmowa, blada jasność, w której piasek zda się śniegiem. Milczący, jakby zimowy las, którego ciszę maści szelest skrzydeł przelatującej sowy! Zatrzymajmy się tu w tę późną godzinę łagodnej nocy! Stopa tonie miętko w piasku, a tam, głęboko pod nami, morze oddycha spokojnie i szepcze przez sen. Czy tęskno

ci za nim, czy chciałbyś je znowu ujrzeć? Wstąp na gładkie niby lodowiec blade zbocze wydmy, podejdź w górę, brodząc po miękkim, chłodnym puchu, sypiącym się do obuwia. Gęste zarośla opadają stromo ku skalistym brzegom, a na skraju niknącej dali wciąż jeszcze przeblyskują widmowo resztki dnia... Spocznij tu w górze na piasku. Jest chłodny jak śmierć, sypki i jedwabisty! Spływa ci z zamkniętej dłoni bezbarwnym, wąskim strumieniem, tworząc maleńki pagórek. Czy poznajesz? Jest to bezszelestne, ciche spływanie przez wąską klepsydrę, to poważne a kruche naczynie zdobiące zagrodę pustelnika. Rozwarta księga, trupia czaszka, a na podstawce, w lekko spojonej oprawie, podwójnie wydęta bańka — w niej odrobina piasku, cząstka wieczności, zastępująca czas, spełnia swe tajemne i święte a przerażające zadanie...

Tak to Holger- duch zaczął swą liryczną improwizację od rodzinnego morza, by dziwacznymi skokami myślowymi przejść do pustelnika i klepsydry. Mówił jeszcze o innych rzeczach, ludzkich i boskich, ujmując je w marzycielskie a śmiałe słowa; zebrani z największym zdziwieniem odcyfrowywali wyrazy, a kieliszek poruszał się w zygzakach tak szybko po powierzchni stołu, że ledwie czasu starczyło na wyrażenie zachwyty; minęła godzina, a nic nie zapowiadało kresu improwizacji; bez końca mówił o troskach macierzyńskich, o pierwszym pocałunku kochanków, o koronie cierpienia i ojcowskiej dobroci Boga, zagłębiał się w losy istoty stworzonej, gubił się w dawnych czasach, nieznanym krajach, przestrzeniach gwiezdnych, napomknął nawet raz o Chaldecyzykach i o zodiaku; trwałoby to zapewne przez noc całą, gdyby ci, co wywołali ducha, nie odjęli wreszcie palców od kieliszka i wśród gorących podziękowań nie oświadczyli Holgerowi, że na ten raz trzeba przerwać seans, że improwizacja była niewypowiedzianie piękna i należy niezmiernie żałować, iż nikt jej nie zapisał, bo przez to poemat ulegnie niewątpliwie zapomnieniu, a nawet niestety już po większej części mu uległ z powodu pewnej nieuchwytności, która go upodabnia do sennego marzenia. Następnym razem wyznaczy się na czas sekretarza, a wtedy będzie się można przekonać, jak poemat wygląda, gdy

będzie spisany czarno na białym i gdy się go odczyta w całości. Na razie, nim Holger powróci spokojnie w krainę pośpiesznego trwania, może będzie lepiej, a w każdym razie będzie to z jego strony nadzwyczaj uprzejmie, jeśli zechce odpowiedzieć na kilka rzeczowych pytań; nie wiadomo jeszcze, jakie to będą pytania, ale chodzi o to, czy zasadniczo byłby łaskaw przychylić się do tej prośby?

— Tak — brzmiała odpowiedź. Ale wtedy okazało się, że nie wiedziano, o -co należy pytać. Członkowie seansu czuli się jak owi ludzie z bajki, którym wróżka czy krasnoludek obiecał spełnienie jednego życzenia i którzy oniemieli z obawy, żeby nie zmarnować jednej, drogocennej sposobności. Wiele było rzeczy w świecie i w przyszłości, o które warto by zapytać, ale nikt nie chciał wziąć na siebie odpowiedzialności za wybór. Wobec ogólnego niezdecydowania odezwał się Hans Castorp, z palcem opartym o kieliszek, podpierając dłonią lewy policzek; on pozwolił sobie zapytać, jak długo potrwa jego pobyt tu w górze, pobyt zakrojony pierwotnie na trzy tygodnie.

Dobrze! Skoro nie wymyślono nic lepszego, to niechże duch udzieli słuchaczom tej pierwszej z brzegu części swej nieprzebranej wiedzy. Kieliszek ruszył po krótkim wahaniu. Tworzył jakieś dziwne wyrazy, pozornie bez związku z pytaniem; nikt nie mógł się domyślić, o co chodzi. Odczytano zgłoskę „idź!”, a potem wyraz „w poprzek”, ale nie wiedziano, co z tym począć; potem była mowa o pokoju Hansa Castorpa; wyglądało to na lakoniczny rozkaz, by pytający „przeszedł w poprzek swojego pokoju”. — W poprzek pokoju! W poprzek numeru 34? Co to ma znaczyć? Siedziano jeszcze, naradzano się i potrząsano głowami, gdy rozległo się nagle silne uderzenie pięścią w drzwi.

Wszyscy zdrętwieli. Czy był to napad? Czy może za drzwiami stał dr Krokowski, zdecydowany rozpedzić niedozwolone zebranie? Z wyrazem zmieszania na twarzy oczekiwano wejścia oszukanego lekarza. Nagle uderzyło coś z trzaskiem w środek stołu, znów jak pięścią i jakby wyjaśniając, że i pierwsze uderzenie pochodziło od wewnątrz, a nie od zewnątrz.

To był chyba niesmaczny żart pana Albina! Zaklinał się, że jest niewinny, a zresztą i bez jego zapewnień wszyscy byli przekonani, że to nikt spośród obecnych nie uderzył w stół. A więc Holger? Spojrzeli na Elly; wszyscy zauważyli równocześnie, że zachowuje się zupełnie cicho. Końce jej palców spoczywały na skraju stołu, a przeguby rąk zwiślały ku dołowi; siedziała oparta, z głową przechyloną na ramię, z podniesionymi brwiami i ściągniętymi w dół kącikami ust, wokół których igrał na wpół skryty, na wpół niewinny uśmiezek, i patrzyła dziecinnymi, niebieskimi, jakby nie widzącymi oczami w pustkę. Poczęto na nią wołać, ale nie dawała znaku życia. W tej chwili zgasła lampka na stoliku nocnym.

Zgasła? Pani Stóhr już się nie mogła powstrzymać od okrzyków przerażenia; słyszała bowiem trzask przekręcanego wyłącznika. A więc światło nie zgasło, lecz zgasła je ręka, którą nazywano bardzo ostrożnie, mówiąc, że to obca ręka. Czy była to ręka Holgera? Był przecież dotychczas taki łagodny, układny i poetyczny, ale teraz zmienił się, zaczął płać złośliwe figle i kawały. Któż mógł ręczyć, że pięść, która waliła we drzwi i meble i łajdacko gasiła światło, nie chwyci kogoś nagle za gardło? Wołano pośród ciemności o zapalki, o latarkę. Panna Levi wrzasnęła, że ktoś ją pociągnął za włosy. Pani Stóhr straciła ze strachu panowanie nad sobą i zaczęła się głośno modlić. „Panie Boże, jeszcze tylko ten raz!” — krzyczała i błagała jękliwie, by Bóg okazał raczej swe miłosierdzie niż sprawiedliwość, choć wywołali piekielne moce. Dr Ting-Fu wpadł na zdrowy pomysł, by przekręcić wyłącznik górnej lampy; w jednej chwili w pokoju zrobiło się jasno. Co do lampki nocnej, to stwierdzono, że istotnie nie zgasła przypadkiem, lecz została zgaszona i że wystarczy ją po prostu ponownie zaświecić, aby znowu zapłonęła. Hansa Castorpa spotkała tymczasem dziwna niespodzianka, w której widział dowód, że dziecinnie figiel ze zgaszeniem światła pozostawał w szczególnym związku z nim samym. Oto na kolanach jego leżał lekki przedmiot, „pamiątka”, która niegdyś przeraziła wuja, gdy ją wziął z komody siostrzeńca — szklany diapozytyw, przedstawiający

wewnętrzny portret pani Chauchat; a na pewno Hans Castorp sam go tu nie przyniósł.

Schował go do kieszeni, nie wspominając nikomu o dziwnym zjawisku. Zakrzątnięto się dokoła Ellen Brand, która wciąż jeszcze siedziała na swoim miejscu w wyżej opisanej pozycji, z błędnym wzrokiem i wysoce nienaturalnym wyrazem twarzy. Pan Albin dmuchnął na nią i przed jej twarzą wykonał, naśladując dra Krokowskiego, jakby wachlujący ruch ręką w górę; wtedy ocknęła się i — nie wiadomo dlaczego — zaczęła popłakiwać. Głaskano ją, pocieszano, ucałowano w czoło i posłano spać. Ponieważ niekulturalna pani Stóhr, będąc silnie zdenerwowana, nie chciała pozostać sama, panna Levi oświadczyła gotowość spędzenia u niej nocy. Hans Castorp, z podarunkiem ducha w portfelu, zgodził się chętnie na zakończenie nienormalnego wieczoru wraz z innymi u pana Albina, przy koniaku; uważał bowiem, że podobne wypadki nie mają wprawdzie wpływu ani na serce, ani na umysł, działają natomiast na nerwy żołądka, i to tak uporczywie, jak morska choroba; dotknięty nią podróżny odczuwa jeszcze przez dłuższy czas na stałym lądzie kołysanie, które wywołuje mdłości.

Ciekawość jego była na razie zaspokojona. Poemat Holgera był miejscami wcale dobry, ale, jak słusznie przeczuwał, wszystko to wydawało mu się tak beznadziejne i niesmaczne, że wystarczyło mu tych kilku płomyków piekielnego ognia, które go dotknęły, i postanowił z tym skończyć. Łatwo pojął, że Settembrini, któremu opowiedział o tych przeżyciach, starał się go umocnić w tym postanowieniu. — Tego tylko jeszcze brakowało! — wołał. — O nędzo ludzka, o nędzo! — Potem osądził krótko, że mała Elly jest wyrafinowaną oszustką.

Wychowanek nie potwierdził ani nie zaprzeczył. Wzruszył ramionami i stwierdził, że nie można w sposób jednoznaczny określić, co jest rzeczywistością, a więc także, co jest oszustwem. Może granica między nimi jest płynna. Może istnieją formy przejściowe między nimi, różne stopnie realności w nic nie mówiącej i nie wartościującej naturze, między którymi nie

można rozstrzygać, bo każde rozstrzygnięcie zdaje się zależeć od czynników moralnych. A co pan Settembrini myśli o wyrazie „kuglarstwo”? W pojęciu tym mieszczą się pierwiastki snu i rzeczywistości, łącząc się w całość mniej może obcą naturze niż naszemu pospolitemu myśleniu na jawie. Tajemnica życia jest dosłownie bezdenną, cóż więc dziwnego, że to, co się z niej wyłania, bywa czasem kuglarstwem, które — i tak dalej w stylu naszego bohatera, miłym, kompromisowym i bardzo nieścisłym.

"Pan Settembrini zmył mu należycie głowę, co wywołało chwilowy przyptyw silnej woli, oraz wymusił na nim coś w rodzaju przyrzeczenia, że w przyszłości nigdy już nie weźmie udziału w takich okropnościach. Napominał go: — Inżynierze, niech pan uszanuje człowieka w sobie! Niech pan nabierze zaufania do jasnej myśli ludzkiej, a ze wstrętem odwróci się od zbroczeń umysłowych, od bagna duchowego! Kuglarstwo? Tajemnica życia? Caro mio! * Gdzie zatracą się etyczna odwaga rozstrzygania i odróżniania oszustwa od rzeczywistości, tam koniec z życiem w ogóle, z sądem, wartościowaniem, z czynem mającym ulepszyć rzeczywistość; natomiast zaczyna się tam straszliwy proces rozkładu, którego dokonuje sceptycyzm moralny. — Dodał jeszcze, że człowiek jest miarą wszechrzeczy; nikt nie może mu odebrać prawa poznawania i rozstrzygania między złem i dobrem, prawdą i fałszem. Biada temu, kto by się ośmielił zachwiać w nim wiarę w to twórcze prawo! Lepiej, by sobie przywiązał kamień młyński do szyi i utopił się w najgłębszej studni.

Hans Castorp przyznał mu rację i rzeczywiście trzymał się na razie z dala od tego rodzaju przedsięwzięć. Słyszał, że dr Krokowski urządzał z Ellen Brand posiedzenia w swojej analitycznej suterence i zapraszał na nie wybranych gości. Sam obojętnie odmawiał w nich udziału, jednakże wiedział od uczestników i od dra Krokowskiego niejedno o wynikach sesansów. Dr Krokowski hipnotyzował małą Ellen i wprawiał ją w stan snu na jawie, według wszystkich reguł sztuki; systematycznie i z pełną gwarancją ich autentyczności wywoływał

na seansach zjawiska podobne do tych, które działy się w sposób nieopanowany i przypadkowy w pokoju panny Kleefeld, mianowicie uderzenia w stół i w ściany, gaszenie lampy i tym podobne rzeczy. Okazało się, że próby te lepiej się udawały przy akompaniamencie muzyki, toteż gramofon służył często wieczorami potrzebom kółka magicznego. W Hansie Castorpie nie budziło to zbytniego niepokoju, albowiem pan Waclaw, który w tych okolicznościach opiekował się aparatem, był człowiekiem muzykalnym, na pewno więc umiał się obchodzić z gramofonem i nie zrobiłby mu krzywdy. Do tego specjalnego celu Castorp wybrał spośród zbioru płyt jeden album, w którym znalazły się rozmaite utwory lekkie, taneczne, małe uwertury i inne podobne drobiazgi; spełniały one znakomicie swą rolę, Elly bowiem nie potrzebowała bynajmniej poważniejszej muzyki.

Dowiedział się tedy, że przy wtórze tych dźwięków podniosła się pewnego razu z ziemi chustka, a raczej unióśł ją jakiś w fałdach jej ukryty „szpon”, innym znów razem zawisł pod sufitem kosz na papiery należący do doktora, wahadło zegara ściennego zostało „przez nikogo” zatrzymane i znowu puszczone w ruch, „coś wzięło” dzwonek ręczny i dzwoniło nim — i tym podobne ponure drobiazgi. Uczony kierownik eksperymentów był w tym szczęśliwym położeniu, że mógł badaniom nadawać pełne powagi naukowe nazwy greckie. Objasniał więc w wykładach i podczas rozmów prywatnych, że są to zjawiska „telekinetyczne”, wypadki przenoszenia ruchu na odległość; zaliczył je do dziedziny zjawisk nazwanych przez naukę materializacją; one właśnie były przedmiotem jego dociekań podczas eksperymentów z Ellen Brand.

Chodziło tu, jak się wyrażał, o biopsychiczne przerzutowywanie podświadomych kompleksów na świat obiektywny, o procesy, za których źródło uważać należy mediumiczne skłonności i stan hipnozy. Można by je uważać za uprzedmiotowione wyobrażenia sensne, gdyż objawia się w nich pewnego rodzaju ideoplastyczna zdolność natury, przysługująca myślom ludzkim w pewnych warunkach, a polegająca na przy-

ciąganiu ku sobie materii i uzyskiwaniu w niej przemijającej realności. Materia owa wypływa z ciała medium i formuje się przejściowo poza nim, przybierając kształt biologicznie żywych kończyn, członków zdolnych do chwytania, rąk, i stwarzając owe zadziwiające zjawiska, których świadkami byli uczestnicy seansów w laboratorium dra Krokowskiego. W pewnych warunkach były owe członki dostrzegalne i wyczuwalne, zostawiały nawet odciski w parafinie i gipsie. W innych wypadkach materializacja nie kończyła się na tym. Oczom eksperymentatorów ukazywały się głowy, twarze ludzkie o cechach indywidualnych, zjawy w pełnej postaci — i nawiązywały z nimi pewien ograniczony kontakt. W tym punkcie teorie dra Krokowskiego poczęły sięgać, gdzie wzrok nie sięga, przybierały ów chwiejny i dwuznaczny charakter, jakim odznaczały się jego dawniejsze wynurzenia o „miłości”. Albowiem teraz nie chodziło już o zrozumiałe i naukowo uzasadnione przerzuty podmiotowych przeżyć medium i jego biernych pomocników w świat obiektywny; przynajmniej w połowie, przynajmniej do pewnego stopnia wchodziły tu teraz w grę jaźnie ukazujące się z zewnątrz i z zaświatów. Chodziło — zapewne, choć niezupełnie przyznawał się do tego — o coś spoza kręgu życia, o istoty korzystające z zawilej i tajemniczej chwilowej szansy, aby ucieleśnić się na nowo i odpowiedzieć na wezwanie — słowem, o spirytystyczne zaklinalnie zmarłych.

Do takich oto wyników zmierzał kolega Krokowski wraz ze swymi współpracownikami. Barczysty i jędrnie uśmiechnięty, zachęcał do nie zmaczonego niczym zaufania, sam czując się w domu na śliskim terenie spraw podejrzanych, leżących poniżej ludzkiego poziomu, do których wciągał nawet wahających się i niezdecydowanych. Powodzenie zdawało mu się uśmiechać dzięki niezwykłym darom Ellen Brand, które usiłował rozwijać i pielęgnować: tak przynajmniej mówiono Hansowi Castorpowi. Zdarzyło się, że niektórzy uczestnicy seansów poczuli dotknięcie zmaterializowanych rąk. Prokurator Paravant dostał raz siarczasty policzek ze sfer transcendent-

nych, na który, zachowując naukową pogodę ducha, nie zareagował a nawet nadstawił drugi policzek — chociaż jako dżentelmen, prawnik i senior korporacji czułby się zmuszony zareagować w zupełnie inny sposób, gdyby cios pochodził od żywej istoty. A. K. Ferge, ten skromny cierpiętnik, dla którego wszelkie wyżyny były niedostępne, pewnego wieczoru trzymał w swej dłoni niewidzialną rękę ducha i przekonał się namacalnie, że jest zbudowana w sposób normalny i właściwy, po czym z jego uścisku, którego serdeczność nie wychodziła poza granice respektu, dłoń wysunęła się w sposób nie dający się ściśle określić.

Minął czas dość długi, około dwu i pół miesiąca, posiedzenia odbywały się dwa razy na tydzień; aż pewnego wieczoru pojawiła się nad stołem w świetle stojącej lampy przyćmionej abażurem z czerwonego papieru — ręka z zaświetów, ręka, jak się zdawało, młodego człowieka. Przesunęła się przed oczami wszystkich, poruszając palcami, i pozostawiła ślad w glinianej misce z mąką. Ale dopiero w tydzień potem, koło północy, na balkon Hansa Castorpa wpadła grupa współpracowników dra Krokowskiego, mianowicie: pan Albin, pani Stóhr, małżonkowie Magnus; na ich zmienionych twarzach był entuzjazm, rozgorączkowanie, zachwyty; drzemiącemu na ostrym mrozie opowiadali jedni przez drugich, że zjawił się Holger, że głowa jego wychyliła się spoza pleców Ellen, pogrążonej w hipnotycznym śnie; że miał naprawdę „piękne, ciemne, ciemne loki”, uśmiechał się z niezapomnianą słodyczą i melancholią, a potem znikł!

Jakże pogodzić, rozmyślał Hans Castorp, szlachetny smutek Holgera z jego zachowaniem się w innych wypadkach, z jego płaskimi dziecinnymi figlami i niewymyślnymi psotami, na przykład z owym zgoła niemelancholijnym policzkiem, na który prokurator nie zareagował? Nie można tu było najwidoczniej spodziewać się konsekwencji ni jednolitości charakteru. A może z usposobienia swego podobny był do garbuska z piosenki, z jego smutną złośliwością. Widać było, że wielbiciele Holgera nie troszczą się o to wcale. Chcieli natomiast skłonić Hansa Castorpa, aby się nie wstrzymywał od udziału w sean-

sach. Teraz, kiedy sprawy tak dobrze stoją, musi bezwzględnie wziąć udział w najbliższym posiedzeniu. Elly obiecała mianowicie we śnie, że następnym razem wywoła ducha każdego zmarłego, którego by ktokolwiek z obecnych zażądał.

Każdego? Hans Castorp mimo to trwał w swej postawie odpornej. A jednak to, że mógłby to być dowolny zmarły, nie dawało mu spokoju i sprawiło, że w ciągu trzech dni zmienił swe postanowienie. Ściśle biorąc, zmiana jego decyzji była dziełem nie trzech dni, ale kilku zaledwie minut. Zmiana ta nastąpiła, gdy wieczorem samotnie w salonie muzycznym puszczał raz jeszcze płytę, na której utrwalona była arcsympatyczna postać Walentyna. Siedział na krześle i przysłuchiwał się żołnierskiej modlitwie odchodzącego wojaka, któremu spieszno było na pole chwały i który śpiewał:

Nawet gdy Bóg mię powoła do nieba,
Będę cię bronić, gdy zajdzie potrzeba,
O Małgorzato!

Przy dźwiękach tych Hans Castorp jak zwykle odczuł tęsknotę, ale tym razem dzięki zarysowującym się możliwościom była jeszcze silniejsza i przekształciła się w wyraźne pragnienie.

„Byłaby to niezwykle dziwna i rozczulająca przygoda — pomyślał — mniejsza o to, czy byłaby bezowocna i grzeszna, czy też nie. On, o ile go znam, nie weźmie mi tego za złe, jeśli ma z tym coś wspólnego.” — Przypomniawszy sobie jego obojętny a liberalny okrzyk: „Ależ proszę!”, którym niegdyś wśród ciemności panującej w laboratorium rentgenologicznym dał mu zezwolenie na pewne optyczne niedyskrecje.

Następnego ranka zgłosił swój udział w mającym się tego wieczoru odbyć seansie; w pół godziny po kolacji przyłączył się do tych, którzy niefrasobliwie gwarząc, jak przystało na stałych bywalców, zmierzali ku suterenom gmachu. Byli to wszystko ludzie, którzy w sanatorium zapuścili korzenie, a w każdym razie przebywali w nim już od dawna, jak dr Ting-Fu i Czech Waclaw, z którymi spotkał się na schodach; nadto panowie Ferge i Wehsal, prokurator, panie: Levi i Kleefeld,

nie mówiąc już o tych, którzy mu donieśli o zjawieniu się głowy Holgera; nie brakowało też naturalnie medium, Elly Brand.

Kiedy Hans Castorp przekroczył drzwi zdobne w bilet wizytowy, dziecię Północy znajdowało się już pod opieką doktora, który, ubrany w swój czarny kitel, objął je po ojcowsku ramieniem; oboje witali gości u stóp schodków, wiodących z poziomu suterenu w dół, do mieszkania asystenta. Powitanie było wesołe i serdeczne. Postanowiono widocznie nie dopuścić do nastroju uroczystego i sztywnego. Rozmawiano i żartowano głośno i bezładnie, wymieniano szturchańce i usiłowano na wszelki sposób zachować swobodę. Dr Krokowski wciąż szczyrzył żółte zęby w jędrnym, zachęcającym do zaufania uśmiechu i powtarzał: „Pozddawiam państwa”, szczególnie zaś serdecznie powitał Hansa Castorpa, który był milczący i minę miał niezdecydowaną. Gospodarz podnosząc głowę i przechylając ją ku tyłowi zdawał się mówić: „Odwagi, przyjacielu!”, podczas gdy ręka jego ścisłała aż nazbyt mocno dłoń gościa. „Uszy do góry! Precz z obłudą i bigoterią! Tu panuje męska wesołość, jak przystało na wolnych od przesądów badaczy!” Pantomina ta nie poprawiła jednak humoru Castorpa, do którego się zwracała. Mówiliśmy, że w chwili podjęcia decyzji przypomniał sobie wypadki w laboratorium rentgenologicznym, ale to nie wystarcza do określenia jego nastroju. Nastrój ten podobny był raczej do tego swoistego i niezapomnianego uczucia, złożonego z buty, zdenerwowania, ciekawości, pogardy i skupienia, którego doznał niegdyś przed laty, gdy po pijatyce, urządzonej z kolegami, wybrał się z nimi po raz pierwszy do publicznego domu w dzielnicy Sankt Pauli.

Ponieważ towarzystwo było już w komplecie, dr Krokowski udał się z dwiema asystentkami — były nimi tym razem pani Magnus i błada jak z kości słoniowej panna Levi — do sąsiedniego pokoju, celem przeprowadzenia rewizji osobistej medium; Hans Castorp i dziewięcioro jego towarzyszy czekało w pokoju ordynacyjnym doktora na wynik tego stale powtarzanego a zawsze bezskutecznego aktu naukowej ścisłości. Znał ów pokój dobrze od czasu rozmów, które przez jakiś czas

miewał z analitykiem, poza plecami Joachima. Był to typowy lekarski pokój przyjąć, jakich wiele; biurko z fotelem gospodarza i drugim dla gościa, stojące w głębi, pod oknem, po lewej; podręczna biblioteka po obu stronach drzwi bocznych; ukośnie stojący szezlong, pokryty ceratą, na prawo w głębi, oddzielony od biurka kilkuskrzydłowym parawanem; szklana szafka na instrumenty lekarskie, umieszczona w jednym kącie, popiersie Hipokratesa w drugim i sztych „Anatomii” Rembrandta nad kominkiem gazowym na prawej ścianie bocznej. Teraz jednak poczyniono w umeblowaniu pewne zmiany dla celów specjalnych. Okrągły mahoniowy stół, otoczony krzesłami, którego miejsce było pośrodku pokoju, pod elektrycznym świecznikiem, na czerwonym dywanie, pokrywającym całą nieledwie podłogę, był teraz przesunięty w kąt ku przodowi, tam gdzie stało gipsowe popiersie. Bliżej płonącego i promieniującego suchym żarem kominka ustawiono mniejszy, nakryty stolik z lampką osłoniętą czerwonym abażurem; nad stolikiem zwisała z sufitu gruszka, okryta czerwonym, a ponadto jeszcze czarnym woalem. Na stoliku i obok niego widniało kilka osławionych przedmiotów: dzwonek ręczny, a raczej dwa, o różnej konstrukcji, mianowicie jeden do potrząsania i drugi — dzwoniący za naciśnięciem, prócz tego talerz z mąką i kosz na papiery. Stolik otaczało półkolem jakie dwanaście krzeseł różnego typu; jeden koniec półkola znajdował się w pobliżu szezlonga, drugi zaś mniej więcej w środku pokoju, pod świecznikiem. Tu, w pobliżu ostatniego krzesła, w połowie drogi do bocznych drzwi, ustawiono też gramofon. Obok na krześle leżał album z lekkimi utworami muzycznymi. Tyle o urządzeniu. Czerwonych lamp jeszcze nie zapalono. Żyrandol rozsyłał jasne światło podobne do dziennego. Okno, pod którym stało bokiem biurko, zakryte było ciemną zasłoną i zwisającymi jeszcze przed nią kremowymi, ażurowymi, jakby koronkowymi storami.

Po upływie dziesięciu minut doktor wrócił z gabinetu wraz z trzema kobietami. Wygląd Elly zmienił się zupełnie. Miała teraz na sobie rodzaj specjalnego kostiumu; była to długa sza-

ta, podobna do szlafroka, zrobiona z białej krepy i przewiązana w pasie sznurem; wąskie ramiona były obnażone. Pod tym strojem niewiele zapewne miała na sobie, bo dziewczęca pierś rysowała się pod nim miękko i swobodnie.

Powitano ją z ożywieniem. „Halo, Elly! jak uroczko dziś wygląda! Zupełnie jak czarodziejka! Pokaż, co umiesz, aniołku!” Odpowiadała uśmiechem na okrzyki, uradowana swym strojem; wiedziała, że jej w nim do twarzy. — Kontrola wstępna dała wynik ujemny — stwierdził dr Krokowski — a więc do pracy, koledzy! — dodał wymawiając egzotycznie R za pomocą jednorazowego uderzenia języka o zęby. Wszyscy poczęli zajmować miejsca w półkolu, rozmawiając głośno i poklepując się po ramionach; Hans Castorp, niemile uderzony słowami doktora, chciał właśnie usiąść, gdy wtem dr Krokowski zwrócił się wprost do niego.

— Panu, mój przyjacielu — rzekł — który jesteś dziś poniekąd naszym gościem i nowicjuszem w naszym gronie, chciałbym nadać na ten wieczór szczególne prawa honorowe. Powierzam panu kontrolę nad naszym medium. Wykonujemy ją w ten sposób. — Poprosił młodzieńca, by usiadł u jednego końca otwartego łuku, obok szeszlona i parawanu; Elly zajęła tam już miejsce na zwykłym trzcinowym krześle, z twarzą zwróconą bardziej ku drzwiom wejściowym ze schodkami niżli ku środkowi pokoju; doktor sam usiadł na takimże krześle, tuż naprzeciw medium, pochwycił obie ręce Elly, silnie przytrzymując kolanami jej kolana. — Zrób pan to samo! — rozkazał i Hans Castorp zajął jego miejsce. — Mam wrażenie, że chwyt jest zupełnie pewny. W każdym razie może pan liczyć na pomoc. Droga panno Kleefeld, czy mogę panią prosić? — Wezwana tak dworsko a egzotycznie, podeszła do grupy i przytrzymała obu rękami wiotkie przeguby rąk Elly.

Hans Castorp musiał z konieczności spojrzeć z bliska w twarz cudownego dziecka, które trzymał w uwięzi. Wzrok ich spotkał się, ale Elly spuściła oczy na znak zrozumiałego w tym położeniu zawstydzenia; uśmiechnęła się przy tym z pewną afektacją, przechylając głowę na bok i ściągając nie-

co wargi, podobnie jak niedawno podczas seansu z kieliszkiem. Na widok tej milczącej afektacji obudziło się w nadzorującym ją inne jeszcze wspomnienie. Przyszło mu na myśl, że mniej więcej tak samo uśmiechała się Karen Karstedt, kiedy stała w towarzystwie jego i Joachima nad nie otwartym jeszcze grobem w Davos-Wsi...

Wszyscy zasiedli w półkolu — trzynaście osób, nie wliczając Czecha Waclawa, który, jak zwykle, poświęcał się wyłącznie obsłudze „Polihymnii” i, przygotowawszy wszystko do puszczenia jej w ruch usiadł teraz za plecami towarzystwa na krzeselku obok aparatu. Miał przy sobie również gitarę. Dr Krokowski usiadł pod świecznikiem na drugim końcu półkola, zapaliwszy wprzód obie czerwone lampki i zgasiwszy białe światło sufitowe. Żarząca się ciemność zapanowała teraz w pokoju i dalsze jego części i kąty stały się niedostępne dla wzroku. Czerwonawe światło rozjaśniało właściwie tylko powierzchnię stołu i jego najbliższe otoczenie. W pierwszej chwili można było zaledwie rozpoznać twarze sąsiadów. Dopiero po pewnym czasie oczy przywykły do półmroku i nauczyły się korzystać z pozostawionego światła, wzmacnianego cośkolwiek przez płomyki skaczące w gazowym piecyku.

Doktor poświęcił kilka słów oświetleniu, przeproszał, że jest takie skąpe tłumacząc to względami naukowymi. Nie należy w tym widzieć pragnienia wywoływania nastroju i mistyfikacji. Mimo najlepszych chęci *nie* można zezwolić na razie na większe oświetlenie. W naturze sił, które tu mają zamiar studiować, leży, że przy jasnym świetle nie mogą się objawiać i działać. Jest to warunek bezwzględny, należy się więc z nim na razie pogodzić. Hans Castorp był zadowolony z ciemności: była przyjemna i łagodziła niezwykłość położenia. Poza tym, aby ją usprawiedliwić, wspominał gabinet do prześwietleń i panujący tam mrok, który pozwalał skupić się i jakby przemyczał oczy, aby mogły „widzieć”.

W dalszym ciągu swej wstępnej przemowy, najwyraźniej zwróconej przede wszystkim do Hansa Castorpa, dr Krokowski oświadczył, że medium nie potrzebuje już hipnotycznego

uśpiania ze strony lekarza. Elly, jak to będzie mógł skonstatować kontroler, wpada w trans sama z siebie, a wtedy przemawia przez nią jej duch opiekuńczy, znany już wszystkim Holger; do niego więc, a nie do niej należy się zwracać z życzeniami. Przy tym mylne i szkodliwe jest przekonanie, że należy wolę i myśli skupić za wszelką cenę na tym, co się będzie działo. Przeciwnie, należy uwagę poniekąd rozpraszać i zabawiać się rozmową. Hans Castorp winien przede wszystkim pilnować skrupulatnie kończyn medium.

— Utworzyć łańcuch! — zakończył dr Krokowski; dokonano tego śmiejąc się głośno, gdyż w ciemności trudno było odzyskać ręce sąsiadów. Dr Ting-Fu, siedzący obok Herminy Kleefeld, położył prawą dłoń na jej ramieniu, a lewą podał panu Wehsalowi. Obok lekarza siedzieli państwo Magnus, dalej A. K. Ferge, który — jeśli Hansa Castorpa wzrok nie mylił, trzymał za rękę bladą jak z kości słoniowej Levi, swą sąsiadkę z prawej — i tak dalej. — Muzyka! — rozkazał dr Krokowski; Czech puścił w ruch gramofon za plecami lekarza i jego gości i przytknął igłę do płyty. — Rozmowa! — zakomenderował znów Krokowski; gdy zabrzmiały pierwsze takty uwertury Millóckera, posłusznie usiłowano nawiązać rozmowę, ale była to rozmowa o niczym, o tegorocznych opadach śnieżnych, o tym, co dano ostatnio na obiad, o przybyciu nowego pacjenta, o dzikim czy legalnym odjeździe; podtrzymywana sztucznie, rwała się i znowu nawiązywała, częściowo przygłuszyła ją muzyka. Minęło kilka minut.

Płyta nie dobiegła jeszcze końca, gdy Elly wzdrygnęła się gwałtownie. Przeszył ją dreszcz, westchnęła, osunęła się ku przodowi, tak że czołem dotknęła czoła Hansa Castorpa, a ramiona jej poczęły wraz z ramionami trzymających ją za ręce dwojga osób wykonywać dziwne ruchy, jakby pompowała coś lub przyciągała i odpychała.

— Trans! — zameldowała doświadczona panna Kleefeld. Muzyka umilkła. Rozmowa urwała się. W nagłej ciszy rozległ się przeciągający miękko wyrazy baryton doktora:

— Czy Holger jest wśród nas?

Elly znów zadrżała. Zachwiała się na krześle. Potem Hans Castorp poczuł, że uściśnęła mocno i krótko obie jego dłonie.

— Ścisnęła mi dłonie! — doniósł.

— To on — poprawił go doktor. — On ścisnął panu dłonie... A więc jest obecny. — Pozdawiamy cię, Holger — ciągnął dalej z namaszczeniem. — Z serca cię witamy, przyjacielu! Pozwól, że ci przypomnę! Kiedy po raz ostatni przebywałeś wśród nas, obiecywałeś, że wezwiesz i ukazesz naszym śmiertelnym oczom ducha jakiegokolwiek zmarłego, mężczyzny czy kobiety, których wymieni ktoś z naszego grona. Czy chcesz i potrafisz dotrzymać dziś tego przyrzeczenia?

Elly wzdrygnęła się ponownie. Westchnęła i zwlekała z odpowiedzią. Powoli podniosła ku skroniom ręce własne i te, które ją trzymały w uścisku, i trwała przez chwilę w tej pozycji. Potem szepnęła tuż przy uchu Hansa Castorpa gorące „Tak!”.

Podrażnienie ucha prądem powietrza sprawiło, że nasz przyjaciel poczuł ów rodzaj naskórkowego dreszczu, zwany popularnie „gęsią skórką”, którego istotę wyjaśnił mu niegdyś radca. Nazywamy to dreszczem, aby wyraźnie odróżnić pierwiastek fizyczny od psychicznego — o przerażeniu bowiem nie mogło być mowy. Słyszając szept, myślał mniej więcej tak: „Ależ dziewczątku nie zbywa na odwadze!” — Równocześnie jednak doznał wzruszenia, a nawet wstrząsu, którym towarzyszyło zmieszanie na skutek złudnej zresztą okoliczności, że młode stworzenie, które trzyma za ręce, szepnęło mu do ucha „Tak”.

— Powiedział: Tak — zaraportował i zawstydził się.

— A więc dobrze, Holger! — mówił dr Krokowski. — Trzymamy cię za słowo. Ufamy wszyscy, że uczciwie spełnisz przyrzeczenie. Wymienimy ci zaraz imię tego ukochanego, którego chcielibyśmy widzieć. Koledzy — zwrócił się do całego towarzystwa — czy ktoś ma jakieś życzenie w pogotowiu? Kogo ma nam ukazać nasz przyjaciel Holger?

Zapadło milczenie. Każdy czekał, by się ktoś inny odezwał. W ciągu ostatnich dni ten i ów zastanawiał się, kogo pragnął-

by wywołać, ale powrót umarłych, a raczej to, czy powrót ten jest pożądany, jest sprawą złożoną i drażliwą. W gruncie rzeczy i szczerze mówiąc, pragnienie ich powrotu jest złudą, jest omyłką; jest, patrząc na to trzeźwo, równie niemożliwe, jak sam powrót, a wyszłoby to na jaw, gdyby natura chciała to niepodobieństwo powrotu choć na jeden raz odwołać; to zaś, co nazywamy żałobą, jest może nie tyle bólem z powodu niemożliwości zmartwychwstania zmarłych, ile z powodu niemożności pragnienia ich powrotu.

Czuli to wszyscy niejasno; lękali się więc widoku tego, o kim myśleli, choć nie chodziło tu przecież o rzeczywisty i mający praktyczne znaczenie powrót do życia, lecz tylko o sentymentalne, teatralne przedstawienie, podczas którego TŁOŻna by zobaczyć zmarłego bez dalszych życiowych konsekwencji. Każdy byłby wolał odstąpić bliźniemu prawo wyrażania życzeń. Wahał się również Hans Castorp, choć słyszał owo)OCziwe i wyrozumiałe „Ależ proszę!” dochodzące go z nocy, . skłonny był w ostatniej chwili ustąpić pierwszeństwa komus unemu. Trwało to jednak zbyt długo, rzekł więc przytłumionym głosem, zwracając głowę do przewodniczącego zebrania:

— Chciałbym zobaczyć mojego zmarłego kuzyna, Joachima Fiemssena.

Wszyscy odczuli ulgę. Zmarłego nie znali spośród obecnych ylko dr Ting-Fu, Czech Waclaw i samo medium. Inni — Ferge, Afehsal, pan Albin, prokurator, pan i pani Magnus, panie: >tdhr, Levi i Kleefeld, wyrazili swą zgodę głośno i z radością. sTawet dr Krokowski skinął z zadowoleniem, choć jego stosulek do Joachima był zawsze chłodny, bo ten odnosił się niechętnie do spraw analizy.

— Bardzo dobrze — rzekł lekarz. — Słyszałeś, Holger? Te/Jo, który został wymieniony, nie znałeś za życia. Czy rozpo-;nasz go na tamtym świecie i zechcesz go nam tu sprowadzić?

Napięcie osiągnęło swój szczyt. Uspiona chwiała się, wzdychała i drżała. Zdawało się, że szuka i walczy, kiedy, przechylając się to w przód, to znów ku tyłowi, szeptała do ucha lansowi Castorpowi, to znów panie Kleefeld jakieś niezro-

zumiałe wyrazy. Wreszcie Hans Castorp odczuł uścisk obu dłoni, który miał znaczyć „Tak”. Zameldował o tym i — Doskonale — zawołał dr Krokowski — Holger, do pracy! Muzyka! — wołał. — Rozmowa! — I powtórzył raz jeszcze, że nie należy trzymać się kurczowo myśli o tym, czego się oczekuje, bo swobodna i niewymuszona uwaga jest w tym wypadku najkorzystniejsza.

Teraz nastąpiły najdziwniejsze godziny, jakie dotąd przeżył nasz młody bohater; i choć niezupełnie jesteśmy pewni, jakie w przyszłości będą jego losy, choć stracimy go z oczu w pewnym punkcie opowieści, to jednak skłonni jesteśmy przypuszczać, że godziny te były w ogóle najdziwniejsze ze wszystkich, które kiedykolwiek przeżył.

Były to dwie godziny, przeszło dwie — mówimy to od razu — wliczając krótką przerwę w „pracy” Holgera, a raczej małej Elly. Praca dłużyła się tak strasznie, że wszyscy zaczęli już wątpić, czy da jakiegokolwiek wyniki, a ponadto chcieli ją przerwać z samej już tylko litości; było to bowiem zadanie niezwykle ciężkie i przekraczało wątłe siły medium, na którego barki je włożono. My, mężczyźni, o ile nie wyłamujemy się ze spraw ludzkich, znamy z pewnych sytuacji życiowych owo nieznośne współczucie, które nikomu nie przynosi korzyści, a może jest nawet całkiem niewłaściwe, owo buntownicze „dość”, wrywające się z naszej piersi, choć to „coś”, co się dzieje, ustać nie chce ani nie powinno i tak czy inaczej musi być doprowadzone do końca. Mamy tu — rzecz jasna — na myśli naszą sytuację jako męża i ojca, mówimy o akcie rodzenia; zmaganie się Elly było rzeczywiście tak niedwuznacznie i niewątpliwie doń podobne, że zauważyć to musiał nawet ktoś, kto go jeszcze wcale nie znał, jak na przykład Hans Castorp. Zapoznawał się i on teraz z tym aktem, pełnym organicznej mistyki, ponieważ i on nie wyłamywał się ze spraw życia. Ale w jakiej formie! W jakim celu! I w jakich okolicznościach! Okoliczności tych i szczegółów podochoconej, czerwono oświetlonej izby położniczej nie można było nazwać inaczej, jak tylko skandalicznymi; sprawiała to dziewicza osoba

położnicy w powłóczystym szlafroku i z nagimi ramionami, a także inne warunki, w których się akt ten odbywał, jak nieustająca ochocza muzyka gramofonowa, jak sztucznie na rozkaz podtrzymywana rozmowa półkola gości i nawoływania, za pomocą których usiłowano dodać sił walczącej. „Halo! Holger! Odwagi! Jeszcze trochę! Nie ustawaj! Holger, czekamy!” W tym wszystkim wyjątku nie stanowiła osoba i pozycja „małżonka” — jeśli za „małżonka” uważać tu Hansa Castorpa, jako tego, który wystąpił był z inicjatywą — małżonka, który ścisnął kolanami kolana „matki” i w rękach trzymał jej ręce; rączki te były równie wilgotne jak niegdyś ręce małej Leili — musiał je wciąż chwycić na nowo, aby mu się nie wysliznęły.

Kominek gazowy za plecami siedzących buchał bowiem żarem.

Mistyczny i uroczysty nastrój? Ależ nie, raczej hałaśliwe i niesmaczne było to, co się działo w czerwonej ciemności, do której oczy niebawem o tyle przywykły, iż orientowały się w zalegającym pokój mroku. Muzyka i nawoływania przypominały metody propagandowe Armii Zbawienia, porównanie z nimi narzucało się nawet komuś, kto jak Hans Castorp nigdy jeszcze nie był świadkiem religijnych obchodów tych wesołych fanatyków. Scena, choć mistyczna i tajemnicza, pobudzająca wierzącego do pobożności, nie miała jednak w sobie nic widmowego, przeciwnie, robiła wrażenie czegoś naturalnego i organicznego, a dzięki jakiemu to bliskiemu i intymnemu wewnętrznemu podobieństwu — o tym była już mowa. Wysiłki Elly powtarzały się jak powracające bóle; w przerwach zwiślała bezwładnie z krzesła, niedostępna dla podniet zewnętrznych; temu jej stanowi dr Krokowski nadał miano „głębokiego transu”. Potem zrywała się znów z jękiem, rzucała się niespokojnie, wyrwała z rąk tych, którzy jej pilnowali; szeptała im io ucha słowa gorące i bez związku, zdawało się, że gwałtownymi ruchami chce coś z siebie wyrzucić, zgrzytała zębami, i nawet ugryzła w rękaw Hansa Castorpa.

Trwało to dłużej niż godzinę. Potem kierownik seansu uznał, że leży w interesie wszystkich, aby zarządzić przerwę. Czech Waclaw, który dla odmiany zatrzymał był od pewnego czasu

gramofon i bardzo umiejętnie wydobywał to głucho, to dźwięczne tony ze swej gitary, odłożył teraz na bok instrument. Z westchnieniem ulgi przerwano łańcuch rąk. Dr Krokowski podszedł do ściany, by załączyć górną lampę. Białe światło zabłysło tak oślepiająco, że wszyscy przymknęli przyzwyczajone do mroku oczy. Elly spała, pochylona mocno ku przodowi, z twarzą nieledwie na kolanach. Wykonywała dziwne ruchy, którym Hans Castorp przyglądał się z uwagą i zdziwieniem, choć inni byli widocznie z nimi oswojeni: Przez kilka minut przesuwała dłonie tam i z powrotem wzdłuż bioder — wyciągała ręce i znowu je ku sobie przyciągała, jakby czerpiąc coś i zgarniając. Potem wzdrygnąwszy się kilkakrotnie ocknęła się, zamrugała nieprzytomnymi ze snu oczami i uśmiechnęła się.

Uśmiechnęła się — kokieteryjnie i trochę tajemniczo. Nie było naprawdę powodów roztkliwiać się nad jej wysiłkiem. Nie wyglądała na szczególnie znużoną. Może nie pamiętała o niczym. Siedziała teraz w fotelu, na którym doktor sadzał pacjentów, w tyle za stojącym pod oknem biurkiem, przed parawanem zakrywającym szeslong, ustawiła fotel w ten sposób, że mogła oprzeć się ramieniem o biurko, i spoglądała na pokój. Siedziała tak, nie mówiąc słowa, podczas całej piętnastominutowej przerwy, a tymczasem inni patrzyli na nią ze wzruszeniem i ruchami głowy dodawali jej otuchy.

Była to prawdziwa pauza — spędzona w nastroju odprężenia i satysfakcji z powodu dokonanej już pracy. Panowie wyciągnęli papierosnice. Palono beztrąsko papierosy i skupiwszy się w grupy omawiano wyniki seansu. Bynajmniej nie tracono co do nich nadziei i nie sądzono, aby do końca miały być negatywne. Nie brak było poszlak wskazujących, że zwątpienie byłoby całkowicie nieuzasadnione. Ci, którzy zajmowali miejsca na drugim końcu półkola, obok doktora, zgodnie oświadczyli, że kilkakrotnie czuli wyraźnie chłodny powiew, który zawsze płynie od medium, gdy ma nastąpić materializacja. Innym zdawało się, że zaobserwowali zjawiska świetlne, białe plamy, krążące skupienia sił, które zjawiały się w różnych

miejscach przed parawanem. Słowem, nie należy ustawać w wysiłkach! Nie wolno małodusznie wątpić! Holger dał słowo, i nikt nie ma prawa podejrzewać, że go nie dotrzyma.

Dr Krokowski dał znak do ponownego rozpoczęcia seansu. Sam odprowadził Elly na miejsce, usadowił na krześle tortur i pogłaskał jej włosy; tymczasem inni zajęli swoje miejsca. Wszystko odbywało się jak przedtem; Hans Castorp zaproponował wprawdzie, aby zwolniono go z obowiązków pierwszego kontrolera, ale kierownik seansu odrzucił tę propozycję. Oświadczył, iż zależy mu na tym, aby ten, kto wypowiedział życzenie, mógł uzyskać bezpośrednią zmysłową rękojmię, że wykluczona jest możliwość jakiegokolwiek oszustwa ze strony medium. Hans Castorp powrócił tedy do swej dziwnej pozycji. Światło ustąpiło mrocznej czerwieni, zabrzmiały znów dźwięki muzyki. Po kilku minutach wystąpił u Elly nagły wstrząs, pompujące ruchy, tylko że teraz zameldował już o tym sam Hans Castorp. „Trans!” Skandaliczny poród rozpoczął się na nowo.

Jakże był ciężki! Zdawało się, że nie czyni żadnych postępów — bo i w jaki sposób byłoby to możliwe? Co za szaleństwo! Skąd tu macierzyństwo? Rozwiązanie — z czego i w jaki sposób? „Ratunku, ratunku!” jęczało dziecko, a bóle jej zmieniały się w owe bezpłodne a niebezpieczne przeciągłe skurcze, którym uczeni położnicy nadają miano „eklampsj”. Od czasu do czasu wołała na doktora, aby położył jej ręce na głowie. Robił to wśród usilnych perswazji. To jakby magnetyczne działanie dodawało jej sił do dalszej walki.

W ten sposób minęła następna godzina; w pokoju rozlegały się na przemian głucho brzęki gitary i dźwięki lekkiego repertuaru gramofonowego; oczy, odwykłe od światła dziennego, powoli przystosowywały się znowu do czerwonego mroku. Wtem zdarzyło się coś, czego przyczyną był Hans Castorp. Zaproponował mianowicie coś, wyraził życzenie i myśl, którą już od dawna żywił, od samego początku seansu, i z którą powinien, był właściwie wystąpić wcześniej. Elly znajdowała się właśnie w „głębokim transie”, z twarzą ukrytą w przytrzymywanych dłoniach, a pan Wacław miał zamiar zmienić płytę czy też obró-

cić ją na drugą stronę, gdy nasz przyjaciel z determinacją zabrał głos i powiedział, że chciałby coś zaproponować — coś niezbyt ważnego, co jednak może okazać się pożytecznym. Mianowicie posiada... to znaczy, zbiór należący do sanatorium zawiera pewną płytę, bardzo wzruszającą: Modlitwa Walentyna z „Fausta” Gounoda, baryton przy wtórze orkiestry. Jest zdania, że należy spróbować, jakie będzie działanie tej płyty.

— A to dlaczego? — rozległo się z czerwonego mroku pytanie doktora...

— To sprawa nastroju, kwestia odczucia — odparł młodzieniec. Aria ta ma szczególny i swoisty charakter. Trzeba by więc spróbować. Zdaniem jego jest niewykluczone, że swoisty charakter arii skróci proces, o który tu chodzi.

— Czy płyta jest tutaj? — zapytał lekarz.

— Nie, jest na górze. Ale mogę ją przecież za chwilę przynieść.

— Co też panu na myśl przychodzi! — Krokowski odrzucił stanowczo propozycję. Jak to? Hans Castorp chciałby sobie pójść i wrócić, przynieść coś, a potem znów rozpocząć przerwana pracę? Widać, że brak mu doświadczenia. Nie, to jest zupełnie niemożliwe, wszystko byłoby na nic, trzeba by zaczynać od początku. Poza tym ścisłość naukowa nie zezwala na tego rodzaju wychodzenie i wchodzenie. Drzwi są zamknięte. On, Krokowski, ma w kieszeni klucz. Słowem, jeżeli płyty nie ma pod ręką, to musi się... Mówił jeszcze, gdy od gramofonu doleciały słowa Czecha:

— Płyta jest tutaj.

— Tutaj? — zapytał Hans Castorp...

— Tak, tutaj. „Faust”, modlitwa Walentyna. Proszę bardzo. Dostała się tu przypadkiem, do albumu utworów lekkich, z drugiego zielonego albumu aryj, gdzie jest jej właściwe miejsce. Przynajmniej, w nadzwyczajny sposób, przez przeoczenie, niedbalstwo, ale na szczęście dostała się pomiędzy lekkie utwory i trzeba ją tylko nałożyć.

Co na to powiedział Hans Castorp? Nic. To doktor odparł „Tym lepiej” — a kilka głosów powtórzyło jego słowa. Igła

*

zaskrzypiała, wieko opadło. Pośród dźwięków chorałowego wtóru rozpoczął męski głos: „Gdy więc opuścić mi trzeba” —

Wszyscy słuchali w milczeniu. Przy pierwszych dźwiękach Elly podjęła swą pracę. Zrywała się, drżała, jęczała, pompowała śliskimi, wilgotnymi dłońmi i podnosiła je znowu do czoła. Płyta krążyła. Rozpoczęła się część środkowa o zmiennym rytmie, część mówiąca o walce i niebezpieczeństwie, zawiadańska, pobożna i francuska. Po niej nastąpiło zakończenie, orkiestra podjęła we wzmacnionej formie melodię początkową o potężnym brzmieniu: „O Boże, słysz me błaganie” —

Hans Castorp zajęty był przy Elly. Usiłowała się wyrwać, zaczerpnęła powietrza przez ściśnięte gardło, potem opadła z przeciągłym westchnieniem i pozostała bez ruchu. Pochylił się nad nią zaniepokojony, gdy wtem usłyszał piskliwy, jęczący okrzyk pani Stóhr:

— Ziems-sen!

Nie wyprostował się. Poczł w ustach smak goryczy. Dosłyszał głos inny, niski i zimny:

— Widzę go już od dawna.

Płyta skończyła się, przebrzmiał ostatni akord dętych instrumentów. Ale nikt nie zatrzymał aparatu. Igła obiegała dalej płytę, szmer głuchego drapania rozlegał się w ciszy. Wtedy Hans Castorp podniósł głowę i oczy jego pobiegły, nie szukając ani chwili, we właściwą stronę.

W pokoju było o jednego człowieka więcej. Tam, na uboczu, w tyle, gdzie reszta czerwonego światła niemal ginęła w ciemności, tak że wzrok przedzierał się z trudem przez mroki, pomiędzy biurkiem a parawanem, w zwróconym w stronę pokoju fotelu, w którym Elly odpoczywała podczas przerwy, siedział Joachim. Był to Joachim z ostatnich dni swego życia, z cieniami na zapadłych policzkach i wojenną brodą, pośród której rysowały się usta, pełne i dumne. Siedział oparty i założył nogę na nogę. Na wychudłym obliczu — choć padał na nie cień od okrycia głowy — znać było piętno cierpienia, ale także ów męski wyraz powagi i surowości, który je tak upiększał. Na czole, między oczami osadzonymi głęboko w oczodołach, utwo-

rzyły się dwie zmarszczki, ale to nie zmieniało w niczym łagodnego spojrzenia tych pięknych, dużych, ciemnych oczu, patrzących badawczo, z cichym i przyjaznym skupieniem na Hansa Castorpa, na niego jednego tylko. Pod okryciem głowy widoczne były odstające uszy, owo drobne zmartwienie wczesnej młodości, a samo okrycie było dziwne jakies i niezrozumiałe. Kuzyn Joachim nie był po cywilnemu; szablę oparł, jak się zdawało, o nogę założoną na nogę, ręce złożył na rękojeści; miało się wrażenie, że ma u pasa rewolwer. A jednak nie był to też właściwie mundur. Nic w nim nie było świecącego ani kolorowego; była to kurtka z kołnierzem przypominającym bluzę wojskową dawnego typu i z bocznymi kieszeniami, a na niej krzyż, przypięty gdzieś dość nisko. Stopy Joachima wydawały się duże, a nogi bardzo cienkie; owinięte były ciasno na sposób sportowy raczej niż wojskowy. A okrycie głowy? Wyglądało tak, jak gdyby Joachim osłonił ją jakimś naczyniem polowym, garnkiem żelaznym, i umocował je pod brodą za pomocą rzemyka. Robiło ono wrażenie staroświeckie i wojownicze i, rzecz szczególna, było w nim Joachimowi do twarzy.

Hans Castorp czuł na dłoni oddech Ellen Brand. Obok niego dyszała panna Kleefeld. Poza tym nic nie było słyhać, tylko nieustanne drapanie igły na krążącej płycie, której nikt nie zatrzymał. Nie oglądał się na swych towarzyszy, nie chciał ich widzieć. Pochylony naprzód, z głową spuszczoną nieledwie nad kolana, wpatrywał się przez czerwony mrok w przybysza siedzącego w fotelu. Przez chwilę zdawało mu się, że serce podchodzi mu do gardła. Dławiło go w gardle, cztery czy pięć razy wstrząsnęło nim głębokie, kurczowe łkanie. „Przebacz!” szeptał bezdźwięcznie, a potem oczy zasły mu mgłą, tak że nie widział już nic.

Słyszał szepty: „Niech pan do niego przemówi!” — Potem słyszał, jak uroczysty a pogodny baryton Krokowskiego wymienił jego nazwisko i powtórzył wezwanie. Nie posłuchał, cofnął swe ręce spod twarzy Elly i wstał.

Dr Krokowski raz jeszcze wywołał jego nazwisko; tym razem tonem ostrym i karcącym. Ale Hans Castorp kilkoma krokami

Podszedł do stopni przy drzwiach wejściowych i krótkim ruchem ręki włączył białe światło elektryczne.

Przez ciało Ellen Brand przeszedł gwałtowny wstrząs. Drgała oraz w ramionach panny Kleefeld. Fotel był pusty.

Hans Castorp ruszył ku Krokowskiemu, który zerwał się z krzesła i protestował. Podszedł tuż do niego, usiłował coś powiedzieć, ale ani jedno słowo nie wydostało się z jego ust. Wyciągnął rękę i wykonał szorstki, rozkazujący ruch głową. Trzymawszy klucz, z wyrazem groźby w oczach, odwrócił się i wyszedł z pokoju.

WIELKIE ROZDRAŻNIENIE

Kiedy tak mijały latka, w zakładzie poczęło się dziać coś dziwnego, powiał nowy duch, Hans Castorp podejrzewał, że pochodzi on bezpośrednio od demona, którego złowieszcze imię wymienialiśmy w innym miejscu; studiował jego przejawy nieodpowiedzialną ciekawością intelektualnego komiwojażera, . nawet odnalazł w sobie zastraszające możliwości współdziałania w straszliwym kulcie, jakim jego otoczenie darzyło demona. Jednakże nie był stworzony na to, by dość wiernie służyć Lowemu władcy, którego panowanie, podobnie jak i władcy poprzedniego, tkwiło już zresztą dawno w zarodku i tu i ówdzie się objawiało. Mimo to zauważył ze strachem, że ilekroć przetawiał się pilnować, zaczynał w słowach, w wyrazie twarzy w całym zachowaniu ulegać infekcji, od której nikt w jego otoczeniu nie był wolny.

Cóż to się działo? Co wisiało w powietrzu? — Klótniwość. Rozdrażnienie dochodzące do punktu szczytowego. Niewypowiedziana niecierpliwość. Ogólna skłonność do zjadliwych przeczek, wybuchów wściekłości, nawet do bijatyk. Co dnia rywały się między jednostkami i całymi grupami zajadłe spory, obsypywano się nawzajem wyzwiskami, a najbardziej znanienny był fakt, że osoby nie zainteresowane, zamiast odczuwać wstręt do uczestników kłótni lub chęć pogodzenia poróżnionych

stron, uczuciowo brały udział w zatargach i same dawały się porywać w wir ogólnego podniecenia. Ludzie bledli i drżeli na całym ciele. Oczy błyskały napastliwością, usta wykrzywiała namiętność. Tym, co w danym momencie brali czynny udział w zatargach, inni zazdrościli prawa i sposobności do krzyku. Duszę i ciało dręczyła chęć naśladowania ich i kto nie miał dość sił, by uciec i ukryć się w samotności, tego beznadziejnie wciągał wir wydarzeń. Mnożyły się wypadki niepotrzebnych konfliktów i wzajemnych oskarżeń przed władzami sanatoryjnymi, które usiłowały łagodzić spory, ale same z przerażającą łatwością wpadały w ton hałaśliwy i grubiański. A kto w stanie znośnej równowagi psychicznej opuszczał zakład na parę godzin, nigdy nie wiedział, w jakim nastroju powróci. Pewna dość elegancka dama z prowincji, z Mińska, która siedziała przy lepszym stole rosyjskim, młoda jeszcze i lekko chora (miała się leczyć przez trzy miesiące, nie dłużej) — udała się raz do Uzdrowiska, by poczynić zakupy w francuskim magazynie konfekcyjnym. Tutaj pokłóciła się do tego stopnia ze sprzedawczynią, że, wróciwszy do domu w najwyższym zdenerwowaniu, dostała krwotoku i od tej chwili była chora nieuleczalnie. Wezwano jej męża i oświadczone mu, że żona będzie musiała na zawsze już pozostać tu w górze.

To jeden z przykładów. Z niechęcią wymienimy dalsze. Ten i ów zapewne przypomina sobie jeszcze ucznia czy też byłego ucznia, w okrągłych okularach, który siedział przy stole pani Salomon, młodego biedaka, który zwykł był potrawy krajać na talerzu na drobne kawałki i mieszał je z sobą, a potem, pochylony, pochłaniał je, od czasu do czasu sięgając serwetką pod grube szkła okularów. Otóż ten uczeń, czy były uczeń, siedział tak przez cały czas, połykał, wycierał sobie oczy i do tąd zaledwie dawał powody do zajmowania się jego osobą. A teraz pewnego dnia podczas pierwszego śniadania wpadł nagle i niespodziewanie we wściekłość, która zaalarmowała wszystkich i zwróciła na niego uwagę zebranych na sali. Z miejsca, gdzie siedział, dolatywały głośnie krzyki: siedział tam, błąd jak ściana, i wrzeszczał do biednej karlicy, która

mu podała śniadanie: — To kłamstwo! — Głos przechodził w pisk. — Herbata jest zimna! Herbata, którą mi podano, jest zimna jak lód! Nie chcę jej! Niech pani sama skosztuje, zanim pani skłamię, czy to nie są zimne pomyje, których przyzwoity człowiek nie może przełknąć bez odrazy! To bezczelność podawać taką herbatę! Jak pani śmie przynosić mi herbatę zimną jak lód, jak pani mogło przyjść do głowy, że można mi podać taką letnią lurę i że ja ją wypiję?! Nie będę pić! Nie chcę tego! — krzyczał dalej i począł walić w stół obu pięściami, aż naczynie zaczęło dzwięczeć i skakać. — Chcę gorącej herbaty! Chcę wrzącej, to jest moje słuszne prawo! Nie chcę tej, chcę wrzącej, niech zginę na miejscu, jeżeli choćby jeden łyk — Przekłęta kaleko! — wrzasnął nagle, jakby zrywając ostatnie więzy i upajając się najskrajniejszą wolnością szaleństwa. Wygrażał przy tym Emerencji pięściami i odsłaniał zęby, dosłownie okryte pianą. Potem bił dalej pięścią w stół i tupał nogami, wyjąc swoje „Chcę” i „Nie chcę” — a w sali tymczasem działo się to, co zwykle w tego rodzaju wypadkach. Z gorącą sympatią wszyscy spoglądali w napięciu na szalejącego ucznia. Niektórzy zerwali się i patrzyli na niego z zaciśniętymi pięściami, zaciśniętymi wargami i płonącymi oczami. Inni siedzieli, bladzi, drżący, ze wzrokiem spuszczoneym ku ziemi. Drżeli jeszcze, gdy uczeń, zupełnie wyczerpany, od dawna już siedział nad przyniesioną mu inną herbatą nie pijąc jej.

Cóż to było?

Członkiem społeczności „Berghofu” został od pewnego czasu sewien trzydziestoletni mężczyzna, niegdyś kupiec, od dawna gorączkujący, który od lat wędrował z jednego zakładu do drugiego. Był wrogiem Żydów, antysemitą ze względów zasadniczych i dla sportu, z radosnym zacietrzewieniem — ta nieustępliwa negacja stanowiła dumę i treść jego życia. Był niegdyś kupcem, przestał nim być, nie był w ogóle niczym, ale antysemitą pozostał. Był bardzo poważnie chory, dręczył go ciężki kaszel, a czasem miało się wrażenie, że kicha płucami, Dstro, krótko, raz i niesamowicie. Nie był jednak Żydem i to było jego jedyną cechą pozytywną. Nazywał się Wiedemann,

było to nazwisko chrześcijańskie, nie było nieczyste. Abonował czasopismo „Znicz Aryjski” i wygłaszał przemowy w rodzaju następującej:

— Przyjeżdżam do sanatorium X w miejscowości A... Chcę się właśnie zainstalować w leżami — patrzę — kto leży na leżaku po lewej stronie? Pan Hirsch! A kto na prawo? Pan Wolf! Naturalnie, wyjechałem natychmiast — itd.

„Dobrze ci tak!” myślał z niechęcią Hans Castorp.

Wiedemann rzucał dokoła krótkie, badawcze spojrzenia. Wyglądało to (dosłownie, nie w przenośni) tak, jakby mu przed nosem uwieszono na sznurku jakiś przedmiot, na który wciąż złośliwie zezem patrzył, nie widząc nic poza nim. Fałszywa myśl, która nim owładnęła, przekształciła się u niego w dokuczliwą podejrzliwość, w uporczywą manię prześladowczą, która skłaniała go do ciągłego wyszukiwania, demaskowania i piętnowania nieczystej rasy, ukrywającej się w jego otoczeniu. Gdziekolwiek się znalazł, robił docinki, rzucał podejrzenia, pienił się ze złości. Krótko mówiąc, egzystencję jego wypełniało stawianie pod pręgierzem wszystkich przejawów życia, nie mających tej zalety, która była jego jedyną zaletą.

Wewnętrzne okoliczności, które właśnie szkicujemy, niezmiernie spotęgowały chorobliwe nastawienie tego człowieka; a ponieważ i tu z konieczności natrafił na ludzi posiadających defekt, od jakiego on, Wiedemann, był wolny, przeto doszło pod wpływem tych okoliczności do ohydnej sceny, której Hans Castorp był naocznym świadkiem, a która posłuży nam za dalszy przykład omawianych nastrojów.

Wśród gości znajdował się mianowicie ktoś, kogo nie trzeba było nawet demaskować, wypadek bowiem był jasny. Człowiek ten nazywał się Sonnenschein, a że nie można nosić wstrętniejszego nazwiska, tedy osoba Sonnenscheina stała się od pierwszej chwili owym wiszącym przed nosem Wiedemanna przedmiotem, na który patrzył zezem, krótko i złośliwie i który uderzał ręką, nie po to, by go odepchnąć, lecz by go rozkołysać i rozdrażniać się jeszcze bardziej.

Sonnenschein, także z zawodu kupiec, był również poważnie

chory i chorobliwie wrażliwy. Ten uprzejmy, niegłupi i z natury skłonny do żartów człowiek nawzajem nienawidził śmiertelnie Wiedemanna za jego docinki i zaczepki. Pewnego dnia wszyscy zbiegli się do leżami, albowiem Wiedemann i Sonnenschein wdzili się tam za łby, owładnięci niesłychaną i zgoła zwierzęcą pasją.

Był to widok straszliwy i żałosny. Tłukli się jak mali chłopcy, ale z zapamiętaniem ludzi dorosłych, którzy są zdecydowani na wszystko.' Paznokciami orali sobie twarze, chwytali się za nosy i gardła, okładając się na oślepie pięściami, ciasno spleceni tarzali się ze straszliwą i najwyższą powagą po ziemi, opluwali się, deptali i kopali, szarpali się i z pianą na ustach nawzajem się grzmocili. Nadbiegli wreszcie urzędnicy z biura zakładu i z trudem rozdzielili rozjuszonych i zajadłych przeciwników. Ociekającemu śliną i krwią Wiedemannowi, na którego twarzy malowało się oglupienie, włosy stanęły dęba na głowie. Hans Castorp nie widział jeszcze nigdy tego zjawiska i nie wierzył w jego możliwość. Włosy zjeżyły się panu Wiedemannowi na głowie i stały tak jeszcze, sztywne i proste, kiedy wybiegał z sali, podczas gdy Sonnenschein, z zapuchniętym okiem i krwawą luką w wieńcu czarnych, kędzierzawych włosów otaczających jego czaszkę, odprowadzony został do biura i opadł tam na krzesło, płacząc gorzko, z twarzą ukrytą w dłoniach.

Tak miała się rzecz z Wiedemannem i Sonnenscheinem. Świadkowie tej sceny długo nie mogli się uspokoić. W porównaniu z tą ohydą względnie przyjemne będzie dla nas sprawozdanie z prawdziwej sprawy honorowej, która przypada również na ten okres, a która ze względu na swą uroczystą formalistykę zasługiwała aż do śmieszności na miano honorowej. Hans Castorp nie był naocznym świadkiem poszczególnych jej faz, lecz dowiedział się o zawikłanym, dramatycznym jej przebiegu z dokumentów, oświadczeń i protokołów, odnoszących się do sprawy a rozpowszechnianych w odpisach w zakładzie i poza nim, i to nie tylko w mieście, kantonie i kraju, ale za granicą i nawet w Ameryce, a nadsyłanych do wglądu

także osobom, co do których było pewne, że się sprawą tą zupełnie nie mogą i nie chcą interesować.

Był to honorowy zatarg powstały w łonie niewielkiej grupy polskiej, której członkowie spotkali się niedawno w „Berghofie” przy lepszym stole rosyjskim — (dodamy tu, że Hans Castorp nie siedział już przy nim, ale miał swe miejsce kolejno przy stole panny Kleefeld, potem pani Salomon, a w końcu panny Levi). Towarzystwo to odznaczało się taką elegancją i takim polerem rycerskości, że można było tylko pokiwać głową i być przygotowanym na wszystko. Składało się z pary małżeńskiej, młodej panny pozostającej w bliskich stosunkach z jednym z panów, a poza tym z samych młodych ludzi. Nazywali się oni: Żuławski, Cieszyński, Rosiński, Michał Łodygowski, Leon Asarapetian i tak dalej. Otóż pewnego razu niejaki pan Japoł wyraził się w restauracji zakładowej przy szampanie, wobec dwu innych panów, w sposób nie nadający się do powtórzenia o małżonce pana Żuławskiego oraz o pannie Kryłow, zaprzyjaźnionej z panem Łodygowskim. Wynikły z tego kroki, działania i formalności stanowiące treść pism, które rozdawano i rozsyłano. Hans Castorp czytał tłumaczone z oryginału polskiego oświadczenie:

„Dnia 27 marca 19.. zwrócił się pan Stanisław Żuławski z prośbą do panów dra Antoniego Cieszyńskiego i Stefana Rosińskiego, aby udali się w jego imieniu do pana Kazimierza Japoła i na drodze zgodnej z kodeksem honorowym zażądali od niego satysfakcji za ciężką obrazę i oszczerstwo rzucone przez pana Kazimierza Japoła w rozmowie z panami Januszem Teofilem Lenartem i Leonem Asarapetianem, na małżonkę pana Żuławskiego, panią Jadwigę Żuławską.

„Pan Żuławski dowiedziawszy się przed paroma dniami za pośrednictwem osób trzecich o wyżej wspomnianej rozmowie, która się odbyła z końcem listopada, poczynił natychmiast odpowiednie kroki, celem upewnienia się co do prawdziwego stanu rzeczy i istoty doznanej obrazy. Dnia wczorajszego, tj. 27 marca 19.., stwierdzono oszczerstwo i obrazę na podstawie

słów pana Leona Asarapetiana, bezpośredniego świadka wymienionej rozmowy, w której przebiegu padły obrazliwe słowa i insynuacje. Na skutek tego zwrócił się pan Stanisław Żuławski niezwłocznie do podpisanych i złożył w ich ręce pełnomocnictwa do wszczęcia sprawy honorowej przeciw panu Kazimierzowi Japołowi.

„Podpisani składają następujące oświadczenie:

1. Na podstawie jednostronnego protokołu spisanego 9 kwietnia 19.. we Lwowie przez panów Zdzisława Żygulskiego i Tadeusza Kadyja, zastępców pana Władysława Godulecznego w sprawie honorowej przeciw panu Kazimierzowi Japołowi — oraz na podstawie wyroku sądu honorowego wydanego w tejże sprawie we Lwowie, dnia 18 czerwca r. 19.., które to akty orzekają zgodnie, że pan Kazimierz Japoł nie może być uważany za dżentelmena, a to na skutek wielokrotnych jego postępków nie dających się pogodzić z pojęciem honoru —

2. podpisani wyciągają wynikające stąd konsekwencje w całej pełni: stwierdzają, że p. Kazimierz Japoł jest absolutnie niezdolny do udzielenia jakiegokolwiek satysfakcji na drodze honorowej.

3. Uważają, że niedopuszczalną jest rzeczą, by przeciw osobie honorowo zdyskwalifikowanej prowadzili sprawę honorową lub w niej zastępowali.

„W związku z powyższym stanem rzeczy zwracają podpisani uwagę panu Stanisławowi Żuławskiemu, że dochodzenie praw la panu Kazimierzowi Japolle w drodze honorowej jest bezce[owe, i radzą mu zwrócić się na drogę prawną, aby uniknąć dalszej ujmę na honorze ze strony osoby, która jest w tym ;topniu niezdolna do udzielenia satysfakcji jak pan Kazimierz Japoł. — (Data i podpisy) Dr Antoni Cieszyński, Stefan Ro- liński.”

Hans Castorp czytał dalej:

„Protokół

„świadków zajścia między panem Stanisławem Żuławskim i panem Michałem Łodygowskim

„a panami Kazimierzem Japołem i Januszem Teofilem Lernatem — które miało miejsce w barze Kurhauzu w D. dnia 2 kwietnia 19.. między godziną 7V2 a 7³A wieczorem.

„Na podstawie złożonego dnia 28 marca 19.. oświadczenia swych pełnomocników, panów dra Antoniego Cieszyńskiego i Stefana Rosińskiego, w sprawie pana Kazimierza Japoła, doszedł pan Stanisław Żuławski po dojrzałej rozwadze do przekonania, że poleczone mu zwrócenie się na drogę prawną z powodu «obrazy i oszczerstwa* rzuconego na jego małżonkę, Jadwigę, przez pana Kazimierza Japoła nie może mu dać zadośćuczynienia, a to z następujących powodów:

„1. Istnieje uzasadniona obawa, iż pan Kazimierz Japoł nie stanąłby w oznaczonym terminie przed sądem, a dalsze pociąganie go do odpowiedzialności byłoby utrudnione, a nawet wręcz uniemożliwione na skutek okoliczności, że jest on poddanym austriackim.

„2. Kara sądowa, wymierzona panu Kazimierzowi Japolle, nie jest dostatecznym zadośćuczynieniem za obrazę, za pomocą której pan Kazimierz Japoł usiłował w oszczerczy sposób okryć hańbą nazwisko i dom pana Stanisława Żuławskiego i żony jego Jadwigi.

„Pan Stanisław Żuławski wybrał tedy drogę najkrótszą, najskuteczniejszą i, zdaniem jego, zważywszy okoliczności i warunki, najodpowiedniejszą. Dowiedziawszy się za pośrednictwem osób trzecich, że pan Kazimierz Japoł ma zamiar naja- jutrz wyjechać, parokrotnie spoliczkował pana Kazimierza Japoła w barze tutejszego Kurhauzu dnia 2 kwietnia 19.. między godziną 772 a 7³A wieczór, w obecności swej małżonki, Jadwigi, oraz panów Michała Łodygowskiego i Ignacego Mellina, podczas gdy pan Japoł raczył się przy stoliku napojami wy-

skokowymi w towarzystwie pana Janusza Teofila Lenarta i dwu nie znanych bliżej dam z «American Bar».

„Bezpośrednio potem pan Michał Łodygowski spoliczkował pana Kazimierza Japoła podając jako przyczynę swego postępowania obrazę, której dopuścił się pan Japoł wobec niego samego i wobec panny Kryłow.

„Niewłócznie potem pan Michał Łodygowski spoliczkował pana Janusza Teofila Lenarta za skwalifikować się nie dającą krzywdę wyrządzoną państwu Żuławskim, a wreszcie

„pan Stanisław Żuławski bezzwłócznie spoliczkował też wielokrotnie pana Janusza Teofila Lenarta za oszczercze zniesławienie jego małżonki oraz panny Kryłow.

„Panowie Kazimierz Japoł i Janusz Teofil Lenart zachowali się podczas całego tego zajścia zupełnie biernie. (Data i podpisy:) Michał Łodygowski, Ignacy Mellin.”

Wewnętrzna sytuacja Hansa Castorpa nie pozwoliła mu wobec tego krzyżowego ognia oficjalnych policzków wybuchnąć śmiechem, jakby to w innym wypadku niewątpliwie uczynił. Zadrzał przeczytawszy to wszystko; nienaganne stosowanie przepisów kodeksu przez jedną stronę a tchórzliwy i hultajski brak honoru drugiej, rzucające się w oczy przy lekturze dokumentów, poruszyły go do głębi swym trochę niezyciowym, ale efektownym kontrastem. Podobnie miała się rzecz z innymi. W najszerszych kołach studiowano zapamiętałe akta polskiej sprawy honorowej i sprzeczano się o nią namiętnie, z zacisniętymi zębami. Otrzeźwiająco podziałała ulotka, wydana z kolei przez pana Kazimierza Japoła; stwierdzał w niej, że pan Żuławski był od początku poinformowany, iż on, Japoł, został w swoim czasie we Lwowie przez jakiegoś nadętego chłystka uznany za zdyskwalifikowanego honorowo, a zatem wszystkie owe natychmiastowe i bezzwłóczne kroki były ze strony pana Żuławskiego podłą komedią, ponieważ wiedział z góry, że nie będzie się musiał z nim bić. A ze skargi sądowej zrezygnował pan Żuławski jedynie i wyłącznie z tego powodu, że każdy, i on sam również, wie o tym dobrze, iż małżonka jego, Jadwiga

zaopatrzyła go w całą kolekcję rogów, na co mógłby podpisany z łatwością przeprowadzić dowód prawdy; także pannie Kryłów roztrząsanie przed sądem jej prowadzenia się nie przyniosłoby zaszczytu. Poza tym dyskwalifikacji honorowej dowiedziano tylko jemu, Japołowi, ale nie drugiemu rozmówcy, panu Lenartowi; pan Żuławski jednak ukrył się pod płaszczkiem pierwszej, aby nie narażać się na niebezpieczeństwo. Rolę, jaką w całej sprawie odegrał pan Asarapetian, pominięciem milczeniem. W związku zaś z incydem w barze, oświadcza Japoł, że jego ostry język i dowcip nie idą w parze z siłą fizyczną i pan Żuławski wraz ze swymi przyjaciółmi i nadzwyczaj silną Żuławską miał olbrzymią przewagę fizyczną, tym bardziej że damulki znajdujące się w towarzystwie jego i Lenarta były wprawdzie istotami wesołymi, ale bardzo tchórzliwymi. Chcąc tedy uniknąć bezmyślnej bijatyki i publicznego skandalu, skłonił sam chcącego się bronić Lenarta, by zachował spokój i cierpliwie zniósł owe rękoczyny panów Żuławskiego i Łodygowskiego, które nie były dotkliwe i przez obecnych tłumaczone były jako przyjacielskie przekomarzenie się.

Tyle Japoł, w którego obronie niewiele oczywiście można było powiedzieć. Jego zastrzeżenia mogły tylko powierzchownie zakłócić piękny kontrast między honorem a bezceństwem, jaki wyląniał się z oświadczeń przeciwników, tym bardziej że do rozpowszechniania jego ulotki brakło mu należytej techniki powielania, którą rozporządzała partia Żuławskiego. Za ledwie kilka odbitek maszynowych swojej repliki zdołał rozprowadzić między ludzi. Natomiast owe protokoły znalazły się, jak było powiedziane, w rękach wszystkich, nawet tych, co sprawą zupełnie nie byli zainteresowani. Otrzymali je np. również Settembrini i Naphta; Hans Castorp widział, jak je czytali, i nie uszło jego uwagi, że czytali z miną zaciętą i z wielkim przejęciem. Spodziewał się, że przynajmniej od pana Settembriniego usłyszy słowa wesołego szyderstwa, na które sam nie mógł się zdobyć ze względu na panujące okoliczności wewnętrzne. Ale widocznie świątły duch wolnomularza uległ również powszechnej, obserwowanej przez Hansa Castorpa infek-

cji, która odebrała mu zdolność do śmiechu i uczyniła go wielce podatnym na podniecające działanie afery policzkowej. Poza tym tego człowieka pełnego życia przygnębiały stale postępy jego choroby, z chwilowymi tylko złudnymi zmianami na lepsze; w tym czasie musiał się co parę dni kłaść do łóżka; przeklinał stan swego zdrowia i wstydził się go z zawziętą pogardą dla siebie samego.

Nie lepiej działo się jego sąsiadowi i przeciwnikowi. I w jego organizmie czyniła postępy choroba, która była fizyczną przyczyną czy raczej pretekstem przedwczesnego zakończenia kariery zakonnej, a której nie zdołały powstrzymać w rozwoju pobyt w górach ani rozrzedzone powietrze, w jakim tu przebywano. I on bywał często przykuty do łóżka; głos jego jeszcze bardziej przypominał dźwięk pękniętego talerza, a przy podniesionej temperaturze mówił jeszcze więcej niż dawniej i słowa jego kryły w sobie jeszcze ostrzejsze i bardziej gryzące szyderstwo. Obca mu była z idealistycznych pobudek płynąca oporna postawa Settembriniego wobec choroby i śmierci i dręcząca świadomość, że pobudki te muszą ulec wobec przemocy nikczemnej natury; toteż przyjmował pogarszanie się zdrowia nie ze smutkiem i żalem, lecz z bezprzykładną szyderczą wesołością i zaczepnością i z żądzą podawania wszystkiego w wątpliwość, zaprzeczania wszystkiemu, mącenia wszystkiego; wyprawdzało to z równowagi melancholijnie nastrojonego Włocha i z dnia na dzień zaostrzało ich intelektualne spory. Hans Castorp mógł naturalnie o tych tylko coś powiedzieć, których był świadkiem. Miał wszakże prawie pewność, że nie opuścił żadnego, bo do wywołania istotniejszych dysput potrzebna była jego obecność, jako tego, który był przedmiotem wychowawczych zabiegów obu przeciwników. Chociaż więc nie oszczędzał Settembriniemu tej przykrości, że uważa złośliwości Naphty za godne usłyszenia, to jednak musiał przyznać, że przechodzą one czasem wszelką miarę i niejednokrotnie granicę zdrowego rozsądku.

Naphta był człowiekiem chorym, który nie miał sił czy dobrej woli okazania się wyższym ponad chorobę, lecz stawiał ca-

ły świat pod jej znakiem. Na złość panu Settembriniemu, który wolałby, żeby wychowanek tego nie słuchał, lecz wyszedł z pokoju lub zatkał sobie uszy, dowodził, że materia jest zbyt lichym tworzywem, aby duch mógł się w niej urzeczywistnić. Kto zmierza do tego, jest głupcem. Jakie są tego wyniki? Brednie! Tak zachwalana rewolucja francuska wydała w praktyce kapitalistyczne państwo burżuazyjne — ładny to wynik! A chce się go poprawić w ten sposób, że się tę ohydę upowszechnia. Powszechna republika będzie z pewnością szczęściem! Postęp? Ach, taki sam jak w znanej opowieści o chorym, który przewraca się z boku na bok w nadziei, że mu będzie lepiej. Wrazem tego jest pragnienie wojny, do którego nikt się nie przyznaje, ale które wszyscy żywią w tajemnicy. Wojna przyjdzie — i dobrze, że przyjdzie, choć mieć będzie inne skutki, niż spodziewają się ci, co do niej prą. Naphta pogardzał mieszczańskim państwem, dbającym tylko o bezpieczeństwo. Miał okazję mówić o nim, gdy jesienią podczas przechadzki w Uzdrowisku deszcz zaczął padać, a wszyscy przechodnie otworzyli jak na komendę parasole. Było to dlań symbolem tchórzostwa i ordynarnej zniewieściałości, które są owocem cywilizacji. Atawistycznie wprawdzie, lecz orzeźwiająco działają wypadki i przestrogi takie, jak zatonięcie parowca „Titanic”. Ale potem wszystko kończy się na krzyku o zwiększenie bezpieczeństwa komunikacji. I w ogóle zawsze najwyższe oburzenie, ilekroć coś zagraża „bezpieczeństwu”. Jest to godne pożałowania i swym humanitarnym niedołęstwem doskonale harmonizuje z drapieżną żarłocznością i podłością ekonomicznego pola walki, jakim jest państwo burżuazyjne. Wojna! Wojna! Godzi się na nią, a powszechne jej pragnienie wydaje mu się czymś stosunkowo godnym szacunku.

Ilekroć jednak Settembrini wprowadzał do rozmowy wyraz „sprawiedliwość” i zalecał tę szczytną zasadę jako środek zapobiegawczy przeciw katastrofom polityki wewnętrznej i międzynarodowej, okazywało się, że Naphta, który przed chwilą tak wysoko ducha cenił, iż uważał go za zbyt doskonały, aby mógł i miał ucieleśnić się w materii tu na ziemi, usiłował teraz

nawet ten duchowy pierwiastek poniżyć i podać w wątpliwość. Sprawiedliwość! Czyż pojęcie to zasługiwało na uwielbienie? Czyż było pojęciem boskim? pojęciem najwyższej kategorii? Niesprawiedliwy jest i Bóg, i natura, mają swych faworytów, nierówno rozdając łaski, jednych w niebezpieczny sposób wyróżniając, a innym gotując łatwy, pospolity los. A człowiek obdarzony wolą? Dla niego sprawiedliwość jest obezwładniającą słabością, największym zwątpieniem — z drugiej strony fanfarą, dającą hasło do niebudzących obawy czynów. A skoro tę „sprawiedliwość” człowiek musi wciąż korygować przez tamtą „sprawiedliwość”, aby nie wykoleić się z drogi etyki — to gdzież jest wartość bezwzględna i radykalizm tego pojęcia? Zresztą jest się „sprawiedliwym” z jednego punktu widzenia albo z drugiego. Wszystko inne jest liberalizmem, któremu nikt nie da się dzisiaj wziąć na lep. Sprawiedliwość jest oczywiście tylko wyrazem, pustą łupiną mieszczańskiej retoryki, a do działania potrzebna jest przede wszystkim świadomość, którą sprawiedliwość ma się na myśli: tę, która każdemu oddaje, co mu się należy, czy też tę, która wszystkich chce równo obdzielić.

Wzięliśmy z niezliczonej ilości pierwszy z brzegu przykład tego, jak Naphta usiłował zburzyć wszystko, co oparte na rozsądku. Gorzej jeszcze było, gdy rozmowa schodziła na wiedzę — w którą nie wierzył. Mówił, że w nią nie wierzy, bo wiara lub niewiara w tej dziedzinie zależy jedynie od woli człowieka. Wiedza jest wiarą, taką samą jak każda inna wiara, a tylko gorszą i głupszą; sam termin „wiedza” jest wyrazem najgłupszego realizmu, który nie wstydzi się brać i podawać za dobrą monetę wątpliwych odbić przedmiotów w umyśle ludzkim. W ten sposób powstaje najbardziej bezmyślny i beznadziejny ze wszystkich dogmatyzmów, jakimi kiedykolwiek obdarzono ludzkość. Czy pojęcie świata zmysłowego, który istnieje sam przez się, nie stanowi najśmieszniejszej sprzeczności wewnętrznej? A tymczasem dogmatyczne przyrodoznawstwo współczesne opiera się jedynie i wyłącznie na metafizycznym założeniu, że formy poznania, właściwe naszej ducho-

wej organizacji, jak przestrzeń, czas, przyczynowość, w których rozgrywają się zjawiska, posiadają byt niezależny od naszej funkcji poznawczej. Monizm ten jest najbardziej otwartym bezwstydem, jakim kiedykolwiek poczęstowano ducha. Przestrzeń, czas i przyczynowość, czyli w języku monistów: rozwój — oto podstawowy dogmat wolnomyślicielsko-ateistycznej pseudoreligii, za pomocą której chce się obalić Mojżeszową „Księgę Rodzajów” i rzekomo ogłupiającej bajce przeciwstawić rzekome światło wiedzy. Zupełnie tak, jak gdyby Haeckel był obecny przy stworzeniu świata. Doświadczenie! A eter — czy na pewno istnieje we wszechświecie? A istnienie atomu, tego miłego żartu na temat „najmniejszych, niepodzielnych cząstek”, czy jest dowiedzione? Nauka o nieskończoności przestrzeni i czasu czy aby opiera się naprawdę na doświadczeniu? Przy odrobinie logiki dojść można zaiste do śmiesznych doświadczeń i wyników z dogmatem nieskończoności i realności przestrzeni i czasu, mianowicie: do nicości. Do przekonania, że realizm jest w gruncie rzeczy nihilizmem. Dlaczego? Z tej prostej przyczyny, że stosunek jakiegokolwiek wielkości do nieskończoności jest równy zeru. W nieskończoności nie ma wielkości, a w wieczności nie ma ani trwania, ani zmiany. W nieskończoności przestrzennej, w której każda odległość jest matematycznie równa zeru, nie mogą istnieć nawet dwa obok siebie leżące punkty, a tym bardziej ciała; i tym bardziej nie może być w niej mowy o ruchu. On, Naphta, stwierdza to, aby odeprzeć zuchwałość, z jaką materialistyczna nauka podaje jako poznanie absolutne swoje astronomiczne bzdurstwa i swą pustą gadaninę o „wszechświecie”. Pożałowania godna jest ludzkość, jeśli wystarczyło pyszałkowane nagromadzenie bezwartościowych liczb, aby w niej wywołać poczucie własnej nicości i odebrać człowiekowi górne przekonanie o własnym znaczeniu. Można to jeszcze znieść, póki rozsądek ludzki i poznanie trzyma się rzeczy ziemskich i w tych granicach swoim przeżyciom z subiektywnymi obiektami przypisuje realność. Ale z chwilą gdy sięga dalej, do odwiecznej zagadki, gdy uprawia tak zwaną kosmologię czy kosmogonię — żart się kończy, a uroszczenia

dochodzą do szczytu potworności. Jakimże w gruncie rzeczy występny nonsensem jest obliczanie „oddalenia” jakiejś gwiazdy od Ziemi w trylionach kilometrów albo w latach świetlnych i wmawianie w siebie, że za pomocą tych przechwałek liczbowych wyjaśnia się duchowi ludzkiemu istotę nieskończoności i wieczności. Przecież nieskończoność nie ma w ogóle i bezwzględnie nic wspólnego z wielkością, a wieczność — z trwaniem i odległością w czasie. Nie są one bynajmniej pojęciami przyrodniczymi i raczej stanowią wręcz zaprzeczenie wszystkiego, co nazywamy przyrodą! Doprawdy, woli sto razy naiwność dziecka, które wierzy, że gwiazdy są otworami w sklepieniu niebieskim, przez które błyszczy wieczna jasność, aniżeli pustą, bezsensowną i zarozumiałą gadaninę monistycznej nauki, (rozprawiającej o „wszechświecie”).

Settembrini zapytał, czy on sam żywi również ową naiwną wiarę w sprawie gwiazd. Odparł na to, że zastrzega sobie prawo do pokory i wolności, prawo, jakie mu daje sceptycyzm. Stąd łatwo było raz jeszcze się przekonać, co rozumie przez wolność i do czego takie jej pojęcie może prowadzić. Gdybyż przy tym pan Settembrini nie miał powodu do obaw, że Hans Castorp uzna to wszystko za godne usłyszenia!

Złośliwy Naphta czyhał tylko na sposobność, aby podchwycić słabe strony ujarzmiającego przyrodę postępu i aby jego pionierom i apostołom wypomnieć ich ludzkie nawroty ku irracjonalizmowi. Lotnicy, mówił, są po większej części marnymi podejrzanymi indywiduami, a przede wszystkim są niezmiernie zabobonni. Biorą na pokład swych powietrznych statków świnki, mające przynieść szczęście, wrony, plują po trzy razy na wszystkie boki, wkładają rękawiczki szczęśliwych pilotów. Jak można ten prymitywny brak rozsądku pogodzić ze światopoglądem, na którym opiera się ich zawód? Rozkoszował się sprzecznością, którą wykazał, sprawiała mu zadowolenie i rozwodził się nad nią długo... Ale wyławiamy tę i ową próbkę spośród niewyczerpalnej różnorodności przejawów wrogiego nastawienia Naphty, gdy tymczasem należy opowiedzieć o sprawach aż nadto konkretnych.

Pewnego popołudnia w miesiącu lutym umówili się panowie na wycieczkę do Monstein, oddalonego o półtorej godziny jazdy saniami od ich stałego miejsca pobytu. Byli to Naphta i Settembrini, Hans Castorp, Ferge i Wehsal. Wyruszyli z miejsca zamieszkania Settembriniego i Naphty około godziny trzeciej, ciepło okryci, rozmieściwszy się w dwu jednokonnych saniach. Hans Castorp siedział z humanistą, Naphta zaś z Fergem i Wehsalem, który zajął miejsce na koźle. Miłe dźwięki dzwonek rozległy się w cichym, zaśnieżonym pejzażu; sunęli wprost na południe, wzdłuż prawego stoku, poprzez Frauenkirch i Glaris. Śnieżne chmury napływały szybko z tej strony, tak że wkrótce tylko z tyłu nad łańcuchem Rhatikonu widać było bladoniebieską smugę nieba. Był silny mróz, w górach leżała mgła. Wąska droga, niby nie zaopatrzona w poręcz platforma między ścianą a przepaścią, wznosiła się stromo ku jodłowej puszczy. Jechali stępa. Mijali ich sportowcy zjeżdżający w dół na saneczkach, z których przy spotkaniu musieli wstawać. Spoza zakrętów zabrzmiały dźwięcznie i ostrzegawczo inne dzwonki i nadjechały sanki zaprzężone w dwa konie w szpic, wymijanie się wymagało dużej ostrożności. Gdy byli już blisko celu, rozwarł się piękny widok na skalistą partię drogi prowadzącej dalej na południe. Wysiedli, odrzuciwszy koce, przed małą gospodą w Monstein, która nosiła miano Kurhauzu; zostawili sanie i poszli jeszcze parę kroków pieszo, by przyjrzeć się grani „Stulsergrat”, wznoszącej się na południowy wschód od Monstein. Olbrzymia ściana, wysoka ma trzy tysiące metrów, tonęła we mgle. Tylko gdzieś w górze wyrastała znad zadymki podniebna skalna turnia, nadziemska, daleka jak wizja Walhalli, święta i niedostępna. Hans Castorp zachwycił się widokiem i domagał się od innych, aby czynili to samo. To on właśnie w poczuciu własnej małości rzucił wyraz „niedostępna” i wywołał tym uwagę pana Settembriniego, że jednakże ludzie wchodzili już naturalnie niejednokrotnie na tę skałę. Niedostępna natura, nie tknięta dotychczas stopą ludzką — ależ tego w ogóle nieledwie już nie ma zupełnie. Mała przesada i zadzieranie nosa, odparł Naphta. Wymienił Mount Everest,

który — jak dotąd — przeciwstawia wszelkim wysiłkom ludzkim lodowaty chłód i ma, jak się zdaje, zamiar trwać i nadal w tej rezerwie. Humanista zirytował się. Panowie powrócili do Kurhauzu, przed którym stało już, obok ich własnych, kilka par wyprzęgniętych sani.

Był to też dom mieszkalny. Na piętrze znajdowały się pokoje hotelowe i jadalnia, urządzona w stylu chłopskim i dobrze opalona. Wycieczkowcy zamówili u usługowej gospodyni przekąskę złożoną z kawy, miodu, bułek i ciasta z gruszkami, stanowiącego miejscową specjalność. Woźnicom posłano nieco czerwonego wina. Przy innych stołach siedzieli Szwajcarzy i Holendrzy.

Mielibyśmy ochotę stwierdzić, że ciepła i doskonała kawa skierowała rozmowę naszych pięciu przyjaciół na wznioślejsze tematy. Popełnilibyśmy jednak pewną nieścisłość, rozmowa bowiem była właściwie monologiem Napty, który rozpoczął go po paru zaledwie uwagach zrobionych przez innych, a wygłaszał go w sposób dość dziwny i towarzysko niewłaściwy. Eksjezuita zwracał się mianowicie w uprzejmym, pouczającym tonie wyłącznie do Hansa Castorpa, odwracając się plecami do pana Settembriniego, który był jego sąsiadem z drugiej strony, i nie zwracając najmniejszej uwagi na pozostałych dwu panów.

Trudno byłoby dać jakiś tytuł jego improwizacji, której Hans Castorp słuchał, na wpół potakując głową. Poruszała różne tematy, obracała się swobodnie w sferze ducha, dotykając coraz to innego przedmiotu; jednakże zmierzała wyraźnie do tego, by odbierać wszelką otuchę, i wykazywała, że zjawiska życia duchowego są jak najbardziej dwuznaczne, że wysnute z nich podstawowe pojęcia mieniają się jak tęcza i jako oręż myślowy pozbawione są wszelkiej wartości i że absolut pojawia się na ziemi w pstrej szacie.

W każdym razie wykład jego dotyczył głównie zagadnienia wolności, które omawiał tak, aby wprowadzić w nie zamieszanie. Mówił między innymi o romantyzmie i o fascynującej dwuznaczności tego europejskiego prądu z początków **XIX wieku, prądu, który pokazał, że pojęcia reakcji i rewolucji nic nie**

są warte, jeśli nie zespolą się dla wyższego celu. Naraża się bowiem w sposób oczywisty na śmieszność ten, kto pojęcie rewolucji sprzęga z postępem i zwycięsko atakującym Oświeceniem. Europejski romantyzm był przede wszystkim ruchem wolnościowym, antyklasycy stycznym, anty akademickim, zwróconym przeciw starofrancuskiemu smakowi, przeciw starej szkole rozumu, której zwolenników przezywał „pudrowanymi łbami”.

I Naphta zaczął mówić o wojnach wolnościowych, o Fichteńskim entuzjazmie, o owych szumnych i pełnych śpiewu powstaniach ludowych przeciw nieznośnej tyranii, za którą niestety, he, he, uważano wówczas wolność, to znaczy: idee rewolucji. Czyż to nie zabawne? Oto z głośnym śpiewem na ustach chwycono za broń, aby rewolucyjną tyranię rozbić na korzyść bata reakcyjnych książąt i — dokonano tego w imię wolności.

Młodociany słuchacz będzie mógł zauważyć tu różnicę czy nawet przeciwieństwo między zewnętrzną a wewnętrzną wolnością — i stanie przed ciekawym pytaniem, jaki rodzaj niewoli da się najłatwiej — he, he — najtrudniej uzgodnić z honorem narodowym.

Pojęcie wolności — mówił dalej — jest właściwie tworem raczej romantyzmu niż Oświecenia, albowiem z romantyzmem wspólny mu jest nierozzerwalny splot właściwych ludzkości popędów do ekspansji z namiętnie zacieśniającym podkreśleniem jaźni. Indywidualistyczna żądza wolności wydała historyczno-romantyczny kult nacjonalizmu; jest to kult wojowniczy, a humanitarny liberalizm zwie go ponurym, choć przecie sam wyznaje indywidualizm — tylko nieco inaczej pojęty. Romantycznym i średniowiecznym pierwiastkiem indywidualizmu jest przekonanie o nieskończonej, kosmicznej wartości jednostki, a z tego przekonania wypływa wiara w nieśmiertelność duszy, geocentryzm i astrologia. Ale z drugiej strony indywidualizm jest poglądem liberalizującego humanizmu, który jest skłonny do anarchii, a w każdym razie pragnie swą ukochaną jednostkę uchronić przed tym, by ją złożono w ofierze na ołtarzu

dobra ogólnego. Oto czym jest indywidualizm, to tym, to znów owym, jest słowem, które może niejedno oznaczać.

Trzeba jednak przyznać, że patos wolnościowy stworzył najwspanialszych wrogów wolności, że powołał do życia najinteligentniejszych obrońców przeszłości, walczących z postępek i jego rozkładowym działaniem, dla którego nie ma nic świętego. Tu Naphta wymienił Arndta, przeklinającego industrializm i gloryfikującego stan szlachecki, Górrsa, autora „Chrześcijańskiej mistyki”. A czyż mistyka nie ma nic wspólnego z wolnością? Czyż nie była zawsze antyscholastyczna, antydogmatyczna, antyklerykalna? Zapewne, w hierarchicznym ustroju nie można nie widzieć czynnika wolności, ponieważ położył tamę nieograniczonej monarchii. Ale mistyka późnego średniowiecza zadokumentowała swój wolnościowy charakter, bo była poprzedniczką reformacji — reformacji, he, he, w której również łączą się w nierozzerwalną całość wolność i średniowieczne wstecznictwo...

Czyn Lutra... Ach tak, zaletą jego jest, że zademonstrował najbardziej naocznie, jak wątpliwą rzeczą jest czyn jako taki, czyn w ogóle. A czy słuchacz Naphty wie, co to jest czyn? Czynem było na przykład zamordowanie radcy stanu Kotzebuego przez korporanta Sanda. Co, mówiąc językiem literatury kryminalnej, „wcisnęło Sandowi broń do ręki”? Naturalnie entuzjastyczne umiłowanie wolności. Jeśli wszakże przyjrzeć się bliżej, okazuje się, że działało tu raczej fanatyczne pojmanie moralności i nienawiść do obcego ludowi libertynizmu. Kotzebue pozostawał wprawdzie w służbie rosyjskiej, a więc w służbie Świętego Przymierza — wynikałoby więc, że Sand dokonał zamachu w obronie wolności, ale to znów o tyle jest nieprawdopodobne, że pośród jego najbliższych przyjaciół znajdowali się jezuita. Słowem, cokolwiek by można powiedzieć o czynie, to w każdym razie jest nieodpowiednim wyrazem zapatrywań i mało się przyczynia do uporządkowania duchowych problemów.

— Czy wolno mi zapytać, kiedy pan ma zamiar skończyć swe śliskie wywody?

Pytanie to postawił pan Settembrini, i to ostro. Siedział dotąd bez słowa, bębnił palcami po stole i kręcił węża. Teraz miał już tego dosyć. Cierpliwość jego wyczerpała się. Był bardzo błądy. Siedział prosto, więcej niż prosto; jeśli tak rzecz można, siedząc stanął na palcach, tak że tylko uda jego dotykały krzesła — i w takiej pozycji spoglądał błyszczącymi, czarnymi oczami na przeciwnika, który z udanym zdziwieniem zwrócił się ku niemu.

— Pan raczył się wyrazić? — Naphta odpowiedział pytaniem na pytanie.

— Raczyłem powiedzieć — rzekł Włoch i przełknął — że jestem zdecydowany przeszkodzić panu w dalszym nagabywaniu dwuznacznikami bezbronnej młodzieży.

— Panie, niech pan się liczy ze słowami.

— Wezwanie to jest niepotrzebne, mój panie. Zwykłem liczyć się ze słowami, a słowa me będą ściśle odpowiadać faktom, gdy stwierdzę, że pański sposób wprowadzania zamętu w chwiejne już skądinąd umysły młodzieży, uwodzenia jej i odbierania jej siły moralnej jest bezecnością, dla którego nie wystarczą słowne ciągi...

Wymawiając słowo „bezecność” Settembrini uderzył dłonią w stół i odsuwając krzesło przybrał pozycję już zupełnie stojącą. Reszta towarzystwa uczyniła to samo. Scenę tę poczęli obserwować siedzący przy innych stołach, a raczej przy jednym tylko, bo szwajcarscy goście opuścili już gospodę i jedynie Holendrzy, ze zdumionymi minami, przysłuchiwali się wybuchłej * sprzeczce. •

Przy naszym stole wszyscy stali sztywni i wyprostowani. Hans Castorp i obaj przeciwnicy, a naprzeciw nich Ferge i Wehsal. Wszyscy pobledli, oczy im się rozszerzyły, a usta drżały. Czy ci trzej, którzy nie brali udziału w sporze, nie mogli załagodzić sytuacji i za pomocą jakiegoś żartu lub ludzkiej perswazji doprowadzić do pomyślnego jej rozwiązania? Nikt nie podjął tej próby. Na przeszkodzie stały im okoliczności wewnętrzne. Nawet A. K. Ferge, któremu notorycznie wszelkie wyżyny były obce i który z góry zrezygnował z oce-

ny ważności sporu — i on nawet był przekonany, że idzie tu o śmierć i życie i że nawet jeśliby się kto w sprawę tę wmieszał, nie mógłby zrobić nic innego, jak tylko zostawić ją własnemu jej biegowi. Jego pocziwe wąsiska wznosiły się gwałtownie i opadały.

W ciszy, która zapadła, słychać było, jak Naphta zgrzyta zębami. Dla Hansa Castorpa było to podobne zjawisko jak włosy stające dęba Wiedemannowi na głowie. Sądził dotąd, że tak się tylko mówi, ale nic podobnego nie zdarza się w rzeczywistości. Jednakże teraz Naphta naprawdę zgrzytał zębami wśród zaległej ciszy, był to strasznie nieprzyjemny a dziwny odgłos, który zresztą okazał się oznaką jakiegoś strasznego opanowania, bo Naphta nie podniósł głosu, lecz powiedział cicho, jakby dysząc i na wpół się śmiejąc:

— Bezceństwo? Cięgi? Więc cnotliwe osły zaczynają się narowić? Czy pedagogiczna policja cywilizacji doszła już do tego, że chwyta za broń? Jest to pewien sukces, jak na początek — ale dodać muszę z lekceważeniem, że sukces łatwy do osiągnięcia, jeśli wystarczyła tak łagodna zaczepka, by w cnotcie stojącej na straży wzbudzić gniew. Znajdzie się i reszta, mój panie! Także i „ciągi”, także one. Mam nadzieję, że, mimo swe przekonania cywila, pan wie, co mi jest winien, w przeciwnym razie byłbym zmuszony przekonania te wystawić na próbę, za pomocą środków, które...

Settembrini wykonał jedynie sztywny ruch, więc Naphta mógł mówić dalej:

— Ach, widzę, że to nie będzie potrzebne. Stoję panu w drodze i pan mnie również, dobrze więc, postaramy się wyrównać tę drobną niezgodność na właściwym terenie. Na razie jedno tylko. Pański obłudny lęk o scholastyczny system pojęć jacobinńskiej rewolucji widzi pedagogiczną zbrodnię w moim sposobie budzenia wątpliwości w młodzieży, obalania przyjętych kategorii i odbierania ideom ich akademickiej godności moralnej. Lęk ten jest aż nadto usprawiedliwiony, bo z pańskim humanizmem, może być pan pewny, już koniec, koniec raz na zawsze. Dziś jest on już anachronizmem, niesmacznym pseudo-

klasycyzmem, duchową nudą, wywołującą ziewanie. Nowa, nasza rewolucja skończy z nim raz na zawsze. Gdy jako wychowawcy siejemy zwątpienie głębsze niż to, o jakim kiedykolwiek śniło wasze skromne Oświecenie — wiemy dobrze, co czynimy. Tylko z radykalnego sceptycyzmu, z moralnego chaosu zrodzi się bezwzględny, święty terror, którego domaga się nasza epoka. Tyle dla usprawiedliwienia tego, co robię, i dla pouczenia pana. Co się tyczy reszty — to inna sprawa. Przyjmnę się panu jeszcze.

— Stanie się wedle pańskiego życzenia, mój panie — zawołał za nim Settembrini, po czym Naphta odszedł od stołu ku wieszadłom i sięgnął po swoje futro. Wtedy mason upadł ciężko na krzesło i przycisnął rękami serce.

— Distruttore! Cane arrabbiato! Bisogna ammazzarlo! * — wyrzucał z siebie zadyszany.

Inni stali wciąż jeszcze dokoła stołu. Wąsy Fergego dalej podnosiły się i opuszczały. Wehsal wykrzywił dolną szczękę. Hans Castorp opierał brodę tak, jak to niegdyś czynił jego dziadek, bo czuł drżenie karku. Wszystkim przyszło na myśl, że wyjeżdżając na wycieczkę nie spodziewali się takiego obrotu spraw. Wszyscy, nie wyłączając Settembriniego, pomyśleli też sobie, jakie to szczęście, że wyjechali dwoma, a nie jednymi saniami. Ta okoliczność ułatwiała na razie przynajmniej powrót. Ale co dalej?

— Wyzwał pana — rzekł Hans Castorp ze ściśniętym sercem.

— Rzeczywiście — odparł Settembrini i popatrzył na stojącego obok niego, a potem odwrócił się i oparł głowę na rękę.

— Przyjmuje pan? — dopytywał się Wehsal...

— Pan pyta? — odparł Settembrini obrzucając i jego przez chwilę spojrzeniem... — Moi panowie — ciągnął dalej i powstał, opanowany już zupełnie — bardzo mi żal, że wycieczka nasza wzięła taki obrót, ale na podobne wydarzenia musi każdy mężczyzna być w życiu przygotowany. Teoretycznie potępiam pojedynki, myślę kategoriami prawnymi. W praktyce jednak rzecz wygląda inaczej; bywają sytuacje, w których — prze.ci-

wieństwa, które — słowem, jestem do dyspozycji tego pana. Dobrze, że kiedyś, za młodu uczyłem się trochę szermierki. Parę godzin ćwiczenia, a przegub mojej ręki odzyska swą elastyczność. Chodźmy! Trzeba będzie omówić szczegóły. Sądzę, że tamten pan już kazał zaprzęgać.

Podczas drogi powrotnej i później jeszcze Hans Castorp miał chwile, w których doznawał zawrotu głowy na myśl o straszliwych wypadkach, jakie mogły zajść, zwłaszcza gdy się okazało, że Naphta nie chce słyszeć o białej broni, lecz upiera się przy pojedynku na pistolety, i że ma prawo wyboru broni, gdyż wedle kodeksu honorowego jest stroną obrażoną. Przychodziły na młodego człowieka momenty, w których do pewnego przynajmniej stopnia odnajdował siebie i wyzwalał się z zamroczenia, w jakie umysł jego wpędziły okoliczności wewnętrzne, i mówił sobie, że wszystko to jest przecie szaleństwem i że należy temu przeszkodzić.

— Gdybyż to była prawdziwa zniewaga! — wołał w rozmowie z Settembrinim, Fergem i Wehsalem, który już w powrotnej drodze zgodził się być sekundantem Naphty i pośrednikiem między obu zwaśnionymi stronami. — Obraza, jakich wiele w burżuazyjnym towarzystwie! Gdyby to jeden zhańbił dobre imię drugiego, gdyby chodziło o kobietę czy o inną podobną, uchwytną fatalną sytuację życiową, z której nie widzi się innego wyjścia! Dobrze, w takim wypadku pojedynek może ostatecznie stanowić jedyne rozwiązanie. Gdy w ten sposób uczyni się zadość wymaganiam honoru i rzecz skończy się względnie szczęśliwie, gdy zostanie zaprotokołowane, że „przeciwnicy pogodzili się” — to można powiedzieć, że instytucja pojedynku jest dobra, zbawienna i godna stosowania w pewnych zawikłanych wypadkach. Ale cóż on właściwie zrobił? Nie chcę go bynajmniej bronić, ale pytam tylko, czym pana obraził? Obalał pewne kategorie. Odbierał, jak się wyraził, ideom ich akademicką godność. Pan poczuł się tym obrażony, przypuścimy, że słusznie...

— Przypuścimy? — powtórzył pan Settembrini i spojrział na niego...

— Więc słusznie, słusznie! Była w tym obraza, ale nie było zniewagi! To jest różnica — proszę pozwolić! Chodzi tu o rzeczy abstrakcyjne, duchowe. One mogą stać się przyczyną obrazy, ale nie przedmiotem zniewagi. To jest maksyma, którą by uznał każdy sąd honorowy, zapewniam pana na wszystko co święte. Z tego samego powodu nie jest zniewagą to, co mu pan odparł o „bezeceństwie” i „ciągach”, bo i to było rozumiane w sensie duchowym, wszystko obracało się w dziedzinie ducha i zupełnie nie miało do czynienia ze sprawami osobistymi, a przecie tylko w ich obrębie można mówić o zniewadze. Sfera ducha nie może nigdy mieć cech osobistych — to jest uzupełnienie i objaśnienie poprzedniej maksymy — i dlatego —

— Myli się pan, przyjacielu — odparł Settembrini z zamkniętymi oczami. — Myli się pan, najpierw, przyjmując, że sprawy duchowe nie mogą nabrać charakteru osobistego. Nie powinien pan tak sądzić — rzekł z nieznacznym a bolesnym uśmiechem. — Przede wszystkim jednak fałszywa jest w ogóle pańska ocena pierwiastka duchowego, jeśli mu pan nie przypisuje dość siły, by mógł wywoływać konflikty i namiętności równie potężne jak te, które stwarza realne życie i dla których nie ma innego rozstrzygnięcia, jak tylko z bronią w rękę. AH'incontro!* To, co oderwane, oczyszczone, idealne, to jest zarazem absolutne, a więc bezwzględne; jest też źródłem o wiele głębszej i radykalniejszej nienawiści, stwarza bardziej bezwzględne, nieprzejednane przeciwieństwa aniżeli życie społeczne. Nic tedy dziwnego, że drogą jeszcze prostszą i bardziej nieubłaganą prowadzi do sytuacji najradykalniejszej, do alternatywy: ty albo ja, do pojedynku, do fizycznej walki dwu osób. Pojedynek, mój drogi, nie jest „instytucją” jak każda inna. Jest czymś ostatecznym, powrotem do pierwotnego stanu natury, lekko tylko złagodzonym pewnymi, zresztą bardzo powierzchownymi przepisami natury rycerskiej. Istotą sytuacji jest tu moment całkowicie pierwotny, moment fizycznej walki; dla każdego mężczyzny, mimo że oddalił się od stosunków pierwotnych, jest obowiązkiem stanąć na wysokości takiej sytuacji. Może się spotkać z nią każdej chwili. Kto nie potrafi spraw idealnych bronić

własną osobą, ramieniem, krwią, ten nie jest ich godzien; chodzi o to, aby przy tym uduchowieniu pozostać jednak mężczyzną.

Taką to nauzkę dostał Hans Castorp. Cóż mógł odpowiedzieć? Milczał, pogrążony w ciężkich rozmyśleniach. Słowa pana Settembriniego robiły wprawdzie wrażenie logicznych i spokojnych, a jednak brzmiały w jego ustach obco i nienaturalnie. Jego myśli nie były jego własnymi myślami — nie byłby także nigdy wpadł sam na pomysł pojedynkowania się, lecz przejął go od małego terrorysty, jakim był Naphta; świadczyły o wpływie owych powszechnych okoliczności wewnętrznych, których niewolnikiem i narzędziem stał się jasny umysł Settembriniego. Jak to, pierwiastek duchowy, dlatego że jest czymś bezwzględny, miałyby prowadzić do zwierzęcego traktowania zatargów, do ich rozstrzygania w walce fizycznej? Hans Castorp buntował się przeciw temu, a raczej usiłował się buntować, ale stwierdzał ku swemu przerażeniu, że nie potrafi tego zrobić. Owe okoliczności wewnętrzne opanowały także i jego. On również nie umiał się im oprzeć. Jako coś strasznego i nieodwołalnego wyłonił mu się z pamięci obraz, jak to Wiedemann i Sonnenschein tarzali się rozpaczliwie w zwierzęcej walce, i pojął z przerażeniem, że u kresu wszechrzeczy jest jedynie ciało, kły i pazury. Tak, tak, należy stanąć do walki, bo w ten sposób można przynajmniej pierwotny stan natury złagodzić rycerskimi przepisami... Hans Castorp zaproponował panu Settembriniemu, że będzie jego sekundantem.

Settembrini odmówił. — Nie, to nie wypada, nie godzi się — odparł mu najprzód Włoch z nieznacznym a bolesnym uśmiechem, a potem to samo powiedzieli Ferge i Wehsal, którzy stwierdzili, również nie podając powodów, że nie wypada, aby Hans Castorp w tym charakterze brał udział w pojedynku. Raczej jako bezstronny — obecność takiej osoby należała przecież do rycerskich przepisów, mających złagodzić zwierzęcość walki — może być obecny na miejscu spotkania. Nawet sam Naphta przez usta swego honorowego zastępcy, Wehsala, wypowiedział się za tym rozwiązaniem; Hans Castorp był z tego

zadowolony. Jako świadek czy osoba bezstronna zyskiwał w każdym razie wpływ na ustalenie warunków, co niestety okazało się bardzo potrzebne.

Warunki bowiem, które stawiał Naphta, przekraczały wszelkie dopuszczalne granice. Żądał odległości pięciu kroków i trzykrotnej wymiany strzałów, gdyby zaszła tego potrzeba. Tę szaloną propozycję postawił jeszcze wieczorem w dniu targu przez usta Wehsala, który stał się oddanym rzecznikiem jego interesów i upierał się twardo przy takich warunkach na podstawie danych mu pełnomocnictw a częściowo także idąc za swoim upodobaniem. Settembrini nie miał naturalnie nic do powiedzenia przeciw temu, ale jego sekundant, Ferge, i Hans Castorp byli oburzeni, a nawet ten ostatni przemówił ostro i nieuprzejmie do nędznego Wehsala. Pytał go, czy nie wstydzi się piętrzyć tylu trudności, skoro chodzi o abstrakcyjny pojedynek, a nie było konkretnej zniewagi! Dość już chyba, że spotkanie odbyć się ma na pistolety, po cóż jeszcze owe mordercze warunki szczegółowe! Tu kończy się już rycerskość. Może by po prostu postanowiono strzelać na dystans chustki do nosa! Wehsahowi łatwo zdobyć się na taką krwiozerczość, bo to przecież nie do niego będzie się strzelało z takiej odległości — i tak dalej. Wehsal nic nie odpowiadał, tylko wzruszał ramionami, dając tym do zrozumienia, że sytuacja jest właśnie krytyczna; tym samym rozbrajał do pewnego stopnia stronę przeciwną, która skłonna była zapominać o tej okoliczności. W każdym razie stronie tej udało się w ciągu pertraktacji dnia następnego zredukować trzykrotną wymianę strzałów do jedno-razowej i uregulować sprawę dystansu w ten sposób, że przeciwnicy mieli stać naprzeciw siebie w odległości piętnastu kroków i wolno im było postąpić przed strzałem o pięć kroków naprzód. Ale i to zostało osiągnięte jedynie pod warunkiem, że nie będą robione próby doprowadzenia do zgody. Zresztą nie było pistoletów.

Miał je pan Albin. Oprócz małego błyszczącego rewolweru, którym lubił straszyć damy, posiadał parę oficerskich pistoletów, **spoczywających we wspólnym pluszowym futerale; były**

to automatyczne belgijskie browningi o rękojeściach z brązowego drzewa — w których znajdowały się magazynki — o stalowym, niebieskawym mechanizmie i błyszczących lufach, zakończonych precyzyjnymi celownikami. Hans Castorp widział je kiedyś u tego fanfaronu i zaofiarował się, choć wbrew własnemu przekonaniu, z czystej bezstronności, że je po prostu od niego wypożyczy. Zrobił to nie kryjąc celu, do jakiego mają być użyte, i zobowiązał go tylko do dyskrecji, odwołując się, nie bez powodzenia, do jego poczucia rycerskości. Pan Albin nie czynił trudności, pouczył nawet Hansa Castorpa, jak się broń ładuje, i oddał przy nim próbne strzały z obu pistoletów.

Wszystko to zajęło jednak niemało czasu, toteż minęły dwa dni i trzy noce do chwili spotkania. Hans Castorp obmyślił miejsce: zaproponował malowniczą, latem błękitnie kwitnącą okolicę, w której niegdyś chętnie spędzał chwile samotnego królowania. Tu miało nastąpić rozstrzygnięcie na trzeci dzień po sprzeczce, skoro świt. W przeddzień dopiero, dość późnym wieczorem, wpadło bardzo podnieconemu Hansowi Castorpowi na myśl, że konieczna jest przecież obecność lekarza na polu walki.

Omówił natychmiast z Fergem tę sprawę, która okazała się trudna do załatwienia. Radamantys był wprawdzie ongi korporantem, ale od lekarza naczelnego zakładu nie można było wymagać, by brał udział w czymś tak sprzecznym z ustawami, tym bardziej że chodziło tu o chorych. W ogóle mała była nadzieja, by znaleziono tu lekarza, który by zechciał przyłożyć rękę do pojedynku między dwoma ciężko chorymi ludźmi. Co do Krokowskiego, nie było nawet pewności, czy ten teoretyk zna się w ogóle na opatrywaniu ran.

Obecny podczas narady Wehsal zakomunikował, że Naphta zajął już w tej sprawie stanowisko, oświadczając, iż nie życzy sobie lekarza. Nie idzie na miejsce spotkania, aby dać się smarować maściami i owijać bandażami, ale żeby się bić, i to całkiem serio. Obojętne mu jest, co potem nastąpi — a zresztą, jakoś to będzie! Oświadczenie to brzmiało ponuro, ale Hans Castorp usiłował je sobie wytłumaczyć w ten sposób, że Naphta

spodziewa się w cichości ducha, iż nie trzeba będzie lekarza. Czyż i Settembrini nie odpowiedział przez wysłanego doń Fergo, żeby nie roztrząsano tej sprawy, która go wcale nie obchodzi? Można było przypuszczać, że obaj przeciwnicy mają w gruncie rzeczy zamiar nie dopuścić do rozlewu krwi. Już dwie noce przespano od czasu owej wymiany słów i miano jeszcze przespać trzecią. To otrzeźwia i rozjaśnia w głowie, żaden nastrój nie może się oprzeć zwycięsko biegowi godzin. Jutro rano z bronią w ręku żaden z nich nie będzie już tym samym człowiekiem, co w chwili zatargu. Postępować będą co najwyżej jeszcze mechanicznie, kierując się zasadami honoru, a nie wolną, w danej chwili działającą wolą, nie tak jak wówczas, gdy postępowanie ich płynęło z rzeczywistej chęci i przekonania. Przecież w jakiś sposób będzie można uniknąć takiego wyparcia się ich aktualnej jaźni na rzecz dawniejszej!

Hans Castorp miał do pewnego stopnia rację rozumując w ten sposób — ale, niestety, ani mu się śniło, dlaczego tak jest. Miał nawet rację zupełną, w odniesieniu do Settembriniego. Gdyby jednak przeczuwał, w jakim kierunku do chwili rozstrzygnięcia czy w samej jego chwili Leon Naphta zmieni swe zamiary, to nawet pod wpływem okoliczności wewnętrznych, z których zrodziło się to wszystko, nie byłby dopuścił do tego, co miało nastąpić.

Około godziny siódmej słońce nie wyszło jeszcze bynajmniej zza swej góry, ale rozpoczynał się już mglisty, mozolny świt, gdy Hans Cas*torp po źle przespanej nocy opuścił zakład „Berg-hof", aby się udać na miejsce spotkania. Służące, które sprzątały hall, spoglądały nań ze zdziwieniem. Główna brama była już jednak otwarta, widocznie przeszli przez nią Ferge i Wehsal, razem czy też osobno, pierwszy, aby pójść do Settembriniego, a drugi — po Naphtę. On, Hans, szedł sam, ponieważ jako nie należącemu do żadnej ze stron nie wolno mu było przyłączyć się do żadnej z nich.

Szedł machinalnie, ulegając nakazom honoru i pod naciskiem okoliczności. Rozumiało się samo przez się, że musi być obecny przy pojedynku. Wymówić się od tego i oczekiwać wyników

leżąc w łóżku było dlań niemożliwe, po pierwsze dlatego — nie dokończył jednak tego, „po pierwsze” i dodał od razu, że, po drugie, nie wolno wypadków pozostawiać ich naturalnemu rozwojowi. Chwała Bogu, nie zdarzyło się jeszcze nic złego i nie musiało się zdarzyć; było to nawet nieprawdopodobne, żeby się zdarzyło. Trzeba było wstawać przy sztucznym świetle, nie można było zjeść śniadania i trzeba było spotkać się teraz w dotkliwym porannym mrozie — ale tak było umówione. Potem za to pod jego, Castorpa, wpływem obróci się wszystko z pewnością na lepsze — w jaki sposób, nie wiadomo jeszcze, i lepiej nie starać się tego odgadnąć, bo doświadczenie uczy, że nawet najskromniejsze wydarzenie ma przebieg inny, aniżeliśmy go sobie w myślach próbowali z góry wyobrazić.

Mimo wszystko nie pamiętał równie przykrego poranka. Osłabiony i niewyspany, miał skłonność do nerwowego szczękania zębami i w głębi duszy zaczynał tracić zaufanie do perswazyj, którymi sam usiłował się uspokoić. Czasy były tak szczególnie... Dama z Mińska, którą zgubił atak kłótlivosti, oszalały student, Wiedemann i Sonnenschein, sprawa policzkujących się Polaków — wszystkie te wspomnienia kłębiły mu się w głowie. Nie mógł sobie wyobrazić, by przed jego oczami, w jego obecności dwóch ludzi mogło do siebie strzelać i ranić się do krwi. Ale kiedy wspomniał, że te same oczy jego patrzyły na to, co się działo z Wiedemannem i Sonnenscheinem, tracił zaufanie do siebie i do swego świata i pod futrzaną kurtkę przeszywał go dreszcz. Z drugiej jednak strony podnosiło go na duchu i dodawało energii poczucie nadzwyczajności i patosu położenia, a powietrze poranka działało nań wzmacniająco.

Wśród tak mieszanych i gniewnych uczuć i myśli szedł w rozjaśniającym się powoli świetle w górę ku Wsi, od zakończenia toru bobslejowego, najwęższą ścieżką wznosząc się po stoku, dotarł do głęboko zaśnieżonego lasu, przeszedł przez drewniane mostki, pod którymi biegł tor, i kroczył dalej pośród drzew, drogą, którą stopy ludzkie ubiły mocniej niż łopaty. Szedł szybko, toteż wkrótce dopędził Settembriniego i Fergego, który niósł w ręce skrzynkę z bronią, ukrytą pod

szerokim płaszczem. Hans Castorp nie krępując się przyłączył się do nich, a ledwie się z nimi zrównał, dostrzegł niedaleko przed nimi Naphtę i Wehsala.

— Zimny ranek, najmniej osiemnaście stopni — rzekł naiwnie i przeraził się sam brzmienia swych beztróskich słów. Dodał natychmiast: — Proszę panów, jestem przekonany...

Tamci milczeli. Ferge podnosił i opuszczał swe pocziwe wąsy. Po chwili Settembrini stanął, ujął rękę Castorpa w obie swoje dłonie i rzekł:

— Mój przyjacielu, ja nie będę zabijać. Nie będę. Wystawię się na jego kulę, oto wszystko, co mi nakazywać może honor. Ale nie będę zabijać, może pan być tego pewny!

Puścił rękę Castorpa i zaczął iść dalej. Hans Castorp był głęboko wzruszony, ale po kilku krokach rzekł znowu:

— Jakież to piękne stanowisko, ale — z drugiej strony... Gdyby on...

Pan Settembrini potrząsnął tylko głową. Hans Castorp rozmyślał tymczasem, że jeśli jeden nie strzeli, to i drugi nie będzie mógł tego uczynić, a więc wszystko zapowiada się szczęśliwie i jego przypuszczenia zaczynają się sprawdzać. Kamień spadł mu z serca.

Minęli kładkę nad przepaścią, gdzie w lecie spadał milczący dziś w okowach lodu wodospad, który tak wiele malowniczości dodawał okolicy. Naphta i Wehsal chodzili tam i z powrotem przed grubo pokrytą śniegiem ławką, na której Hans Castorp niegdyś, snując niezwykle żywe wspomnienia, musiał czekać, aż ustanie jego krwotok z nosa. Naphta palił papierosa, a Hans Castorp zastanawiał się, czy miałby ochotę pójść za jego przykładem, nie znalazł jednak w sobie najmniejszej ku temu chęci i wyciągnął stąd wniosek, że tym bardziej u Naphty palenie jest w tej chwili objawem afektacji. Rozejrzał się dokoła z upodobaniem, jakie odczuwał na widok zacisznego miejsca, nie mniej pięknego w lodowej szacie niż w okresie swego błękitnego kwitnięcia. Pień i gałęzie pochyłej sosny pokrywała ciężka okiść śnieżna.

— Dzień dobry! — zawołał wesoło, chcąc wprowadzić natu-

ramy ton, który miał się przyczynić do rozproszenia chmur, ale nie znalazł oddźwięku, nikt mu nie odpowiedział. Przywitano się wymieniając nieme ukłony, tak sztywne, że prawie niewidoczne. Nie zachwiało to jednak jego decyzji, by podniecenie serca i ciepło, które miał w sobie po szybkim marszu w zimowy poranek, spożytkować niezwłocznie dla dobrego celu. Zaczął więc:

— Proszę panów, jestem przekonany...

— Innym razem da pan wyraz swoim przekonaniom — prze-rwał zimno Naphta. — Proszę o broń — dodał z tą samą wyniosłością. Hans Castorp zamilkł i patrzył tylko, jak Ferge wyjmował spod płaszcza fatalny futerał i jak Wehsal, który się doń zbliżył, otrzymał od niego jeden z pistoletów i wręczył go Naphcie. Settembrini wziął swoją broń z ręki Fergego. Po-tem trzeba było usunąć się na bok; Ferge poprosił o to pół-głosem i począł mierzyć krokami i wytyczać dystanse. Ze-wnętrzne granice oznaczył grzebiąc obcasami krótkie linie w twardym śniegu. Bariery wewnętrzne zaznaczył za pomocą dwóch lasek, własnej i Settembriniego.

Czymże to zajmował się poczciwy cierpiętnik? Hans Castorp nie wierzył własnym oczom. Ferge miał długie nogi i stawiał kroki możliwe największe, tak że piętnaście ich wytworzyło odległość dość znaczną — gdyby tylko nie owe bariery we-wnętrzne, które były rzeczywiście blisko siebie. Z pewnością nie działał w złym zamiarze. Ale w jakimż zamroczeniu umy-słu musiał robić przygotowania o tak przeraźliwym znaczeniu?

Naphta rzucił futro w śnieg, tak że widać było podbicie z nurków, i stanął z bronią w rękę na jednej z zewnętrznych linii, skoro tylko została przeprowadzona i zanim jeszcze Ferge odmierzył dystans. Gdy skończył, zajął swe miejsce także Settembrini, rozpiąwszy zniszczoną, futrzaną kurtkę. Hans Ca-storp otrząsnął się z osłupienia i wystąpił raz jeszcze gwałtownie naprzód.

— Proszę panów — rzekł dobitnie — tylko bez pośpiechu! Mimo wszystko jest moim obowiązkiem...

— Milcz pani — przeciął Naphta. — Czekam na znak.

Ale nikt znaku nie dawał. Nie przewidziano tego należycie. Nie pomyślano o tym, a w każdym razie nie wspomniano, że straszne wezwanie ma paść z ust tego, kto nie należy do żadnej ze stron. Hans Castorp milczał, a nikt go nie wyręczył.

— Zaczynamy! — oświadczył Naphta. — Proszę iść naprzód i strzelać! — zawołał do przeciwnika i począł sam zbliżać się doń z wyciągniętą ręką i pistoletem wymierzonym w jego pierś. Był to widok niewiarogodny. Settembrini uczynił to samo. Posunąwszy się o trzy kroki — tamten stanął już obok bariery, nie oddając strzału — podniósł broń ku górze i nacisnął cyngiel. Ostry strzał odbił się wielokrotnym echem. Góry podawały sobie wzajem dźwięk, rozbrzmiewała nim dolina, a Hans Castorp pomyślał, że za chwilę zaczną zbiegać się ludzie.

— Strzelił pan w powietrze — rzekł Naphta panując nad sobą i opuścił broń.

Settembrini odparł:

— Strzelam, gdzie mi się podoba.

— Będzie pan raz jeszcze strzelał.

— Ani myślę. Teraz kolej na pana. — Pan Settembrini podniósł głowę, spozierając w niebo, i stanął zwrócony nieco bokiem, niezupełnie frontem do przeciwnika. Był to wzruszający widok. Jasne było, że słyszał, iż nie należy prosto wystawiać się na strzał przeciwnika, i że postępuje w myśl tej wskazówki.

— Tchórz! — krzyknął Naphta; w okrzyku tym brzmiało ludzkie przyznanie, że trzeba więcej odwagi, by strzelać do drugiego, aniżeli by pozwolić strzelać do siebie. Potem podniósł broń w sposób, który nie miał już nic wspólnego z walką, i wypalił sobie prosto w skroń.

Żałosny, niezapomniany widok! Zatoczył się o parę kroków wstecz, podczas gdy góry głośno i przenikliwie odrzucały sobie jak piłkę echo jego czynu, po czym runął wyrzucając nogi ku przodowi i, opisawszy całym ciałem łuk ku prawej stronie, padł twarzą w śnieg.

Przez chwilę stali wszyscy jak wryci. Settembrini odrzucił daleko od siebie broń i pierwszy podbiegł do niego.

— Infelice! — wołał. — Che cosa fai per l'amor di Dio! *

Hans Castorp pomógł mu odwrócić na wznak ciało. Ujrzeni przy skroni czarnoczerwony otwór. Spojrzeli w **stygnącą** twarz i woleli ją zakryć jedwabną chusteczką, której jeden róg wystawał z kieszeni surduta Naphty.

GROM

Przez siedem lat Hans Castorp przebywał tu w górze — liczbę lat nie dość okrągłą dla zwolenników systemu dziesiętnego, ale bądź co bądź dobrą, przydatną w swoim rodzaju — mityczno-malowniczy szmat czasu, można by rzec — o wiele bardziej przemawiającą do uczucia niżeli chociażby suche pół tuzina. Siedział przy wszystkich siedmiu stołach jadalni, mniej więcej przez rok przy każdym. W końcu zajmował miejsce przy gorszym stole rosyjskim, obok dwu Armeńczyków, dwu Finów, Bucharyjczyka i Kurda. Zapusił tymczasem małą bródkę, jasnoblond bródkę dość nieokreślonego kształtu; musimy ją uważać za dowód pewnej filozoficznej obojętności wobec własnego wyglądu. Musimy nawet pójść dalej i skłonność jego do zaniedbywania własnej osoby powiązać z taką skłonnością, którą otaczający go świat miał w stosunku do niego. Władza zwierzchnia przestała dlań obmyślać rozrywki. Radca już dość rzadko z nim rozmawiał, jeśli nie liczyć retorycznego i sumarycznego porannego pytania, czy dobrze spał. Podobnie zachowywała się Adriatica von Mylendonk (w czasie, o którym mówimy, miała na oku dojrzały jęczmień), która, ściśle rzecz biorąc, mówiła z nim rzadko lub wcale nie. Zostawiono go w spokoju — trochę jak ucznia, któremu przysługuje ten szczególnie miły przywilej, że nauczyciele go nie pytają i że nie potrzebuje nic robić, ponieważ jest rzeczą postanowioną, że zostanie na drugi rok, więc machnięto na niego ręką. Dodajmy, że wolność, jakiej doznawał, miała orgiastyczną postać, ale zadajmy sobie też pytanie, czy wolność może kiedykolwiek mieć inną postać? W każdym razie władza zwierzchnia nie miała potrzeby zajmować się nim zbyt troskliwie, widziała bowiem, że w jego

piersi nie dojrzeją już żadne dzikie, buntownicze postanowienia, że jest człowiekiem pewnym i skończonym, który nie wiedziałby, co ma robić z sobą poza zakładem, nie był w ogóle zdolny myśleć o powrocie na równiną... Czyż niedbałość, z jaką go traktowano, nie wyrażała się choćby w tym, że został przeniesiony do gorszego rosyjskiego stołu? Stołowi temu nie chcemy zresztą przez to bynajmniej ubliżyć! Między siedmiu stołami nie było żadnych uchwytnych różnic. Stanowiły, wyrażając się śmiało, demokratyczny zespół stołów, z których każdy był zaszczytny. Przy wszystkich podawano te same przeobfite posiłki; przy każdym po kolei siadywał sam Radamantys i splatał przed talerzem olbrzymie swe dłonie. Przy wszystkich jadali ludzie różnych szczepów będących szanownymi członkami ludzkości, choć nie znały łaciny i nie zachowywały się zbyt wytwornie przy jedzeniu.

Czas jest podobny nie do zegarów na dworcach, których wskazówka posuwa się skokami, raz na pięć minut, lecz raczej do malutkich zegarków, których wskazówki poruszają się niewidocznie, albo do trawy, która rośnie niepostrzeżenie, aż pewnego dnia okazuje się, że urosła! Czas jest prostą złożoną z samych nieprzestrzennych punktów (tragicznie zmarły Naphta zapytałby tu prawdopodobnie, w jaki sposób szereg nieprzestrzenności wytworzyć może linię). Owóż czas, pełnząc we właściwy sobie niedostrzegalny, tajemniczy, a przecie niezmordowany sposób, nie przestawał dokonywać zmian. Na przykład chłopiec imieniem Teddy przestał pewnego dnia być chłopcem; mówimy „pewnego dnia”, choć dnia tego naturalnie niepodobna określić. Panie nie mogły go już brać na kolana, kiedy czasami wstawał, zamiast pidżamy wkładał sportowe ubranie i schodził na dół. Zanim się spostrzeżono, karta odwróciła się, teraz przy takich okazjach on brał owe panie na kolana i sprawiało to obu stronom taką samą, a nawet większą przyjemność. Stał się, jeśli nie kwitnącym, to w każdym razie wybujałym młodzieńcem; Hans Castorp nie widział tego, co się z Teddym działo, aż zobaczył to, co się już stało. Zresztą czas i rośnięcie nie wyszły Teddy'emu na zdrowie, nie był do tego stworzony.

Rozstał się z tym światem — umarł w dwudziestym pierwszym roku życia wskutek choroby, do której miał dyspozycję — i w pokoju jego zrobiono gruntowne porządki. Opowiadamy o tym ze spokojem, bo pomiędzy jego nowym a dotychczasowym stanem nie było wielkiej różnicy.

Zdarzały się też ważniejsze, na równinie zachodzące wypadki śmierci, które bliżej obchodziły naszego bohatera, a przynajmniej dawniej byłyby go bliżej obeszły. Mówimy o niedawnym zgonie starego konsula Tienappla, wuja-dziadka i opiekuna Hansa. Zacierał się już teraz w pamięci siostrzeńca. Choć wystrzegał się starannie niekorzystnych dla zdrowia zmian ciśnienia atmosferycznego i pozostawił to wujowi Jamesowi, aby narażając się na nie kompromitował się, przecież nie uniknął ataku apopleksji. Telegraficzna, krótka, ale ostrożnie i delikatnie sformułowana wiadomość o zgonie zastała Hansa Castorpa na wygodnym leżaku — ostrożnie i delikatnie była ułożona raczej ze względu na zmarłego niż na tego, kto wiadomość miał otrzymać. Hans Castorp zakupił papier listowy z czarną obwódką i odpisał wujom-kuzynom, że on, sierota bez ojca i matki, czuje się teraz raz jeszcze, potrójnie już, osierocony, a ból jego jest tym większy, że nie wolno mu pod żadnym warunkiem przerwać tutejszego pobytu i nie może oddać ostatniej posługi wujowi.

Mówić tu o żałobie byłoby upiększać rzeczywistość, ale bądź co bądź oczy Hansa Castorpa miały w owych dniach wyraz bardziej zamyślony niż zwykle. Śmierć ta nigdy nie miałaby dla niego większego uczuciowego znaczenia, a lata rozłąki zmniejszyły je nieledwie do zera, jednakże przecinała jeszcze jedną nić, jeszcze ostatnie więzy łączące go z równiną i sprawiała, że to, co Hans Castorp nazywał słusznie wolnością, stało się teraz całkowite. Rzeczywiście, w tych końcowych czasach, o których mówimy, zniknęły resztki kontaktu, jaki miał dotąd z niziną. Nie wysyłał ani nie otrzymywał żadnych listów. Nie sprowadzał już stamtąd cygar marki „Maria Mancini”. Znalazł tu w górze inną markę, która mu odpowiadała i której był równie wierny jak niegdyś tamtej przyjaciółce. Był to wyrób,

który nawet podbiegunowym podróżnikom mógł być pomocny w znoszeniu trudów, bo gdy się go paliło, miało się wrażenie, że leży się na brzegu morza — i można było wszystko wytrzymać! Było to dobre cygaro, zwane „Rutlischwur”, krótsze nieco niż Maria, koloru mysiego, z niebieskawą opaską, łagodnie i miłe, tworzące gęsty i biały jak śnieg popiół, w którym znać było żyłkowanie wierzchniego liścia; spalało się tak równo, że mogłoby naszemu młodzieńcowi posłużyć zamiast klepsydry do mierzenia czasu, a nawet, gdy było potrzeba, służyło mu do tego celu, bo już nie nosił swego kieszonkowego zegarka. Zepsuł się, spadł pewnego razu z nocnego stolika, a on nie oddał go do naprawy i nie dał go znowu wprawić w okrężny ruch mierzący czas — z tych samych względów, z jakich zrezygnował z posiadania kalendarza, zarówno takiego, w którym codziennie zdziera się kartki, jak i takiego, który poucza, kiedy wypadają takie czy inne dni i święta: uczynił to więc na cześć „wolności” na cześć przechadzki po wybrzeżu, wiecznego trwania i hermetycznego czaru, na który on — obcy sprawom ziemskim — okazał się podatny i który stał się podstawową przygodą jego duszy, tłem, na którym w tej prostej opowieści rozegrały się wszystkie alchemistyczne przygody.

Tak miały się jego sprawy i w tych warunkach pośrodku lata przyszła — choć nie pamiętał o niej — siódma rocznica jego przyjazdu.

Wtem zagrzmiało —

Ale wstyd i nieśmiałość nie pozwalają nam rozwodzić się szeroko nad tym, co się rozległo i wydarzyło. Tylko bez przechwałek i bez blagi! Spuśćmy z tonu i powiedzmy, że zagrzmiał dobrze nam znany grom, ogłuszająca detonacja nagromadzonej od dawna złowróźbnej mieszaniny otępienia i rozdrażnienia — mówiąc z pewnym respektem, historyczny grom, który wstrząsnął podstawami ziemi, dla nas jednak dokonał tego, że rozbił czarodziejską górę i poza jej bramy wyrzucił niepoprawnego śpiocha. Siedzi teraz zdumiony, rozgląda się i przeciera oczy, jak ktoś, kto mimo niejedno upomnienie nie czytywał gazet.

Śródziemnomorski przyjaciel i nauczyciel starał się od dawna

poniekąd temu zaradzić i w ogólnych zarysach pouczyć swego utrapionego wychowanka o tym, co się dzieje na dole, ale niewiele znajdował posłuchu. Bo ten królując snuł sobie myśli o duchowych cieniach rzeczy, ale na rzeczy same nie zwracał uwagi, gdyż pycha kazała mu brać cienie za rzeczy, a w rzeczach widzieć tylko cienie. Nie należy go nawet zbyt ganić z tego powodu, albowiem stosunek obu tych światów nie jest ostatecznie wyświetlony.

Nie działo się już teraz tak jak dawniej, gdy pan Settembrini zapaliwszy zniecka światło siedział przy łóżku Hansa Castorpa, skazanego na pozycję poziomą, i usiłował korygować jego poglądy na sprawy życia i śmierci. Teraz, przeciwnie, to Hans Castorp siadywał z dłońmi wciśniętymi między kolana u łóżka humanisty w małej sypialni lub też za dnia w zacisznej mansardowej pracowni z krzesłami karbonariusza i karafką na wodę; dotrzymywał mu towarzystwa i słuchał uprzejmie rozważań o światowej sytuacji politycznej. Pan Lodovico leżał bowiem teraz przeważnie w łóżku. Niesamowita śmierć Naphty, terrorystyczny czyn zrozpaczonego opozycjonisty był ciężkim ciosem dla jego wrażliwej natury, po którym nie mógł przyjść do siebie i zapadł w stan wielkiego wyczerpania i osłabienia. Urwała się współpraca w „Socjologii cierpienia”, encyklopedia wszystkich dzieł literatury pięknej mających za przedmiot cierpienie ludzkie nie posuwała się naprzód. Liga Organizacji Postępu czekała nadaremno na zamówiony przez nią tom encyklopedii, pan Settembrini musiał ograniczyć swe współdziałanie z ową Ligą do ustnych wykładów, a jedyną do tego sposobnością były dlań przyjacielskie wizyty Hansa Castorpa.

Mówił głosem słabym, ale wiele, pięknie i serdecznie o doskonaleniu się ludzkości na drodze społecznej. Mowa jego była najpierw gołębim łagodna, ale wkrótce, gdy poruszał na przykład temat jednoczenia się wolnych narodów dla osiągnięcia powszechnej szczęśliwości, przenikał do jego słów — choć sam tego nie chciał i nie wiedział o tym — jakby szum orlich skrzydeł; był w tym bez wątpienia wpływ polityki, dziedzictwa po dziadku, która zespoliła się z humanistycznym dziedzictwem

po ojcu i w osobie jego, Lodovica, przyjęła postać literatury pięknej. Podobnie łączył się humanizm z polityką, głosząc podniosłą koncepcję cywilizacji, koncepcję o gołębiej łagodności a orlej potędze, i czekając, kiedy nadejdzie jej dzień i zaświta jutrzienka ludów, kiedy skończy się panowanie zasady bezwładności i powstanie Święte Przymierze demokracji... Słowem, nie wszystko było tu z sobą w zgodzie. Pan Settembrini był człowiekiem humanitarnym, ale przy tym i właśnie na skutek tego usposobiony był wojowniczo, choć na wpeł tylko dawał temu wyraz. W pojedynku z paradoksalnym Naphtą zachował się jak przystało na człowieka, ale wobec wielkich spraw, w których humanitaryzm łączy się w entuzjastycznym porywie z polityką, aby wytworzyć ideę zwycięstwa i panowania cywilizacji, i przychodzi czas złożenia piki na ołtarzu ludzkości, stawało się wątpliwe, czy on sam, choć nie osobiście, nie zechce umoczyć rąk we krwi; wewnętrzne okoliczności sprawiały, że nawet w pięknym sposobie myślenia pana Settembriniego wybijała się coraz wyraźniej na plan pierwszy orla odwaga z uszczerbkiem dla gołębiej łagodności.

Jego stosunek do wielkich konstelacji politycznych świata bywał nieraz niekonsekwentny, pełen skrupułów i niezdecydowany. Niedawno, półtora czy dwa lata temu, niepokoiło go dyplomatyczne współdziałanie jego ojczyzny z Austrią w sprawie Albanii; podnosiło go na duchu, bo było skierowane przeciw nie znającej łaciny pół-Azji, knutom i Schhisselburgowi, ale jednocześnie niepokoiło go, jako niepożądane przymierze z dziedzicznym wrogiem, z zasadą bezwładności i uciemienia narodów. Poprzedniej jesieni równie sprzeczne uczucia wzbudziła w nim wielka pożyczka, której Francja udzieliła Rosji na rozbudowę linii kolejowej w Polsce. Pan Settembrini należał bowiem w swym kraju do stronnictwa frankofilskiego, co nie może dziwić, jeśli się zważy, że dziadek jego dnie rewolucji lipcowej stawił na równi z dniem stworzenia świata; ale z drugiej strony o przyjaźni oświeconej republiki z bizantyńską Scytia myślał ze ściśniętym sercem, bo nie godziła się z jego pojęciami moralnymi — jednakże znów budziła w nim nadzie-

ję i radość, gdy uświadamiał sobie, że ową sieć kolejową budowano ze względów strategicznych. Potem nastąpił zamach na księcia, bojowe hasło dla wszystkich, prócz niemieckich śpiochów, wyraźny znak dla świadomych głów, do których słuszenie należy zaliczyć pana Settembriniego. Hans Castorp widział, że jako człowiek prywatny Włoch wzdrygał się przed tym aktem terroru, że jednak radość rozpieiera jego pierś na myśl, iż dokonano czynu narodowego i wolnościowego, zwróconego przeciw bastionom znienawidzonej przezeń potęgi; co prawda, że ściśniętym znów sercem w czynie tym musiał widzieć owoc starań moskiewskich. Niemniej w trzy tygodnie później ultimatum postawione Serbii przez monarchię uznał za obrazę ludzkości i straszliwą zbrodnię ze względu na następstwa, które przewidywał jako wtajemniczony i które w wielkim podnieceniu powitał...

Krótko mówiąc, uczucia pana Settembriniego były bardzo złożone, podobnie jak zbliżające się groźne wydarzenia. Widział, jak szybko zbierają się chmury, i usiłował wychowankowi otworzyć na nie oczy; robił to zresztą półsłówkami, bo od pełnej szczerości powstrzymywało go coś jakby narodowa grzeczność i litość. W dniach pierwszych mobilizacji, pierwszych wypowiedzeń wojny przyjął zwyczaj wyciągania do gościa obu rąk i ściskania obu jego dłoni; chwyciło to za serce naszego głuptaska, choć nie bardzo rozumiał, o co chodzi. — Przyjacielu! — mówił Włoch — proch strzelniczy, prasa drukarska — to wasze wynalazki, niewątpliwie! Ale jeśli pan sądzi, że ruszymy przeciw rewolucji... Caro...

Podczas dni dusznego oczekiwania, które trzymały w napięciu i torturowały nerwy Europy, Hans Castorp nie widywał Settembriniego. Rozwydrzone dzienniki wtargnęły bezpośrednio z nizin na jego balkon, wstrząsnęły całym zakładem, napęłniły salę jadalną "zapiierającą oddech wonią siarki i dostały się nawet do pokojów ciężko chorych i oczekujących śmierci. Były to chwile, w których legendarny śpioch * budzi się powoli nie wiedząc, co się stało, i przecierając oczy podnosi się z trawy... Doprowadźmy to porównanie do końca, aby w ten sposób

przedstawić jak należy rozwój uczuć naszego bohatera. Podciągnął pod siebie nogi, wstał, rozejrzał się dokoła. Zrozumiał, że czar prysł, że jest wyzwolony, uwolniony. Przyznać musiał ze wstydem, że stało się to bez udziału jego woli, dzięki działającym z zewnątrz żywiołowym mocom, dla których uwolnienie go było czymś najzupełniej ubocznym. Ale choćby nawet jego własny, drobny los był niczym w porównaniu z losem świata — to czyż nie przejawiała się w tym boska dobroć i sprawiedliwość, ku niemu osobiście się zwracająca? Jeśli życie przyjmowało z powrotem swe grzeszne, utrapione dziecię — to nie mogło się to stać byle jak, lecz tylko w ten właśnie sposób, poważnie i surowo, jako dopust Boży, który w tym wypadku dla grzesznika znaczył może nie tyle co życie, tyle jednak co trzy honorowe salwy. Padł tedy na kolana, wznosił twarz i ręce ku niebiosom, które były wprawdzie przesłonięte groźnymi chmurami, ale nie były już sklepieniem grotty w górze grzechu.

W tej sytuacji zastał go Settembrini; należy to naturalnie rozumieć bardzo przenośnie, bo w rzeczywistości, jak wiemy, powściągliwość obyczajów naszego bohatera wykluczała podobnie teatralne sceny. W rzeczywistości mentor zastał go przy pakowaniu kufrów. — od chwili bowiem obudzenia Hans Castorp znalazł się w wirze dzikich odjazdów, wywołanych przez grom, który uderzył w nizinę. „Ojczyzna” przypominała mrowisko w panice. Ludzie przebywający tu w górze śpieszyli na łeb, na szyję o pięć tysięcy stóp w dół, w krainę dopustu bożego, wisząc na stopniach wagonów, bez pakunków, jeśli zachodziła tego potrzeba, których stopy zalegały peron. Zdawało się, że swąd spalenizny przedostaje się z nizin i obejmuje rojący się od tłumu dworzec. Hans rzucił się za innymi. W tłoku uściskał go Lodovico, zamknął go dosłownie w swe ramiona i ucałował w oba policzki, jak południowiec (czy też jak Rosjanin?), co mimo gorączkowego podniecenia niemało zażenowało naszego podróżnika. A w ostatniej chwili tego dzikiego odjazdu o mało nie stracił panowania nad sobą, gdy pan Settembrini nazwał go po imieniu, mianowicie „Giovanni” — i potem, za-

niechawszy zwykłej, używanej przez cywilizowany Zachód formy, zaczął mówić mu „ty”!

— E cosi in giu — rzekł — in giu finalmente! Addio, Giovanii mio! * Nie takiego wyjazdu pragnąłem dla ciebie, ale może właśnie dlatego bogowie postanowili to tak, a nie inaczej. Spodziewałem się, że cię wyślę do pracy, tymczasem będziesz walczył pośród swoich. Mój Boże, tobie to było przeznaczone, a nie naszemu porucznikowi. Jak dziwnie życie się plecie... Walcz dzielnie w szeregach tych, z którymi cię łączą więzy krwi! Więcej! nikt dziś zrobić nie może! A mnie przebac, jeśli resztki sił swych zużyję na to, by i moją ojczyznę pchnąć do walki po tej stronie, którą wskazuje duch narodu i jego święte samolubstwo! Addio!

Hans Castorp wsunął głowę między dziesięć innych, wypełniających ramę okna. Skinął ponad nimi. Pan Settembrini żegnał go ruchem prawej ręki, serdecznym palcem lewej z lekka dotykając kącika oka.

*

Gdzie jesteśmy? Cóż to jest? Dokąd uniósł nas sen? Zmierzch, deszcz i brud, luna na ponurym niebie, nieustanny ryk ciężkich grzmotów napełniających wilgotne powietrze, rozdierane przez różliwym gwizdem, wściekłym, piekielnym, pędzącym wyciem, które kończy się trzaskiem i błyskiem, fontanną ziemi i ognia, jękami i krzykiem, metalicznym dźwiękiem, a jednocześnie wtórem bębnow, nagłym do coraz większej szybkości... Oto las, z którego wylewa się bezbarwna chmara ludzka, biega, padają i zrywają się. Oto pasmo wzgórz na tle dalekiej pozozi, której żar wybucha raz po raz płomieniami. Dokoła nas faliste orne pola, poryte i rozmiękłe. Szosa błotnista i niczym las pokryta odłamkami gałęzi, zorana głębokimi bruzdami, bezdenna polna droga odbiega od niej łukiem ku wzgórzom, w zimnym dżdżu sterczą kikuty drzew, nagie, pozbawione gałęzi...

Tu stoi drogowskaz — lecz po co go pytać? Mrok uczyniłby

pismo nieczytelnym, gdyby nawet deski z napisem nie przeszły na wskroś pocisk. Wschód czy zachód? To równina, to wojna. A my jesteśmy nieśmiałyimi cieniami przy drodze, zawstydzeni tym, że jako cienie jesteśmy bezpieczni, ani więc nam w głowie samochwalstwo i blaga; przywiódł nas tu duch naszej opowieści, abyśmy jednemu z tych szarych, biegnących, padających, naprzód gnanych żołnierzy, którzy wychylają się z lasu, abyśmy spojrzeli w twarz jednemu z nich, który nam towarzyszy od tyłu lat, grzesznikowi, którego głos słyszeliśmy tak często — abyśmy spojrzeli raz jeszcze w jego prostoduszną twarz, zanim stracimy go z oczu.

Rzucono ich w bój, by rozstrzygnęli ostatecznie całodzienną bitwę, której celem było zdobycie straconej przed dwoma dniami pozycji na wzgórzach i płonących za nimi wiosek. Jest to pułk ochotniczy, młodzież sama, przeważnie studenci, od niedawna dopiero w polu. Zaalarmowano ich w nocy, jechali koleją do rana, a potem maszerowali w deszczu po zniszczonych drogach, a raczej bezdrożami, bo szosy były zapchane. Szli więc po polach i bagnach, przez siedem długich godzin, w ciężkich od deszczu płaszczach, w rynsztunku szturmowym, nie był to, zaiste, przyjemny spacer, bo kto nie chciał zgubić po drodze butów, musiał się nieledwie co krok pochylać, chwycić palcami za cholewy i wyciągać nogi z rozmokłego gruntu. Godzinę trwało, nim przeszli małą łączkę. Teraz jednak doszli już tutaj, młodzież zwyciężyła wszystkie trudności, ciała podniecone, już wyczerpane, ale trzymane w napięciu przez najgłębsze zasoby życia, nie pytają o wzbroniony spoczynek ani o pożywienie. Wilgotne, zbrzyzgane błotem, paskiem hełmu obramowane twarze płoną pod hełmami w szarych pokrowcach. Płoną z wysiłku i na widok strat, jakie ponieśli przechodząc przez bagnisty las. Bo wróg wiedząc, że nadchodzą, otworzył ogień zaporowy szrapneli i granatów wielkiego kalibru, które już w lesie uderzały i pękały pośród ich drużyn, a i teraz wyją, bryzgają, płoną na szerokim ogorze.

Ale muszą go przejść, te trzy tysiące rozgorączkowanych chłopców, ta rezerwa, która swymi bagnietami ma rozstrzygnąć

atak na okopy przed pasmem wzgórz i poza nimi aż do płonących wsi i ma posunąć się do punktu oznaczonego w rozkazie spoczywającym w kieszeni dowódcy. Jest ich trzy tysiące po to, aby ich było dwa tysiące, gdy dojdą do wzgórz i wsi; dlatego jest ich tak wielu. Stanowią jedno ciało, którego celem jest, by mimo wielkie straty móc jeszcze działać i zwyciężyć, i zwycięstwo powitać jeszcze okrzykiem wydanym przez tysięczne głosy — stanowią jedno ciało, bez względu na tych, którzy się odeń oddzielili padając. Niejeden już się oddzielił, padł w forsownym marszu, do którego okazał się za młody i za słaby; bladł i chwiał się, zbierał zaciekle ostatki sił, a jednak w końcu zostawał w tyle. Włókł się jeszcze przez chwilę obok kolumny marszowej, mijany kolejno przez wszystkie oddziały, aż zniknął, padał tam, gdzie nie powinien był. A potem był ów las pełen pękających granatów. Jednak w kolumnie zostało jeszcze wielu; trzy tysiące mogą znieść upust krwi i pozostać wciąż jeszcze rojącym się tłumem. Zalali już chłostaną pociskami, od deszczu rozmokłą przestrzeń, szosę, drogę polną, błotniste pola; my, przydrożne cienie patrzące na nich, jesteśmy pośród nich. Na skraju lasu wyćwiczonymi ruchami nakładają bagnety, trąbki przynaglają ich, bębny biją i huczą głębokim grzmotem — i niebawem runą naprzód jak kto może, z ostrym krzykiem, z nogami ciężącymi jak zły sen, bo niezgrabne buty oblepione są ciężkimi jak *olów* grudami ziemi.

Rzucają się na ziemię przed nadlatującymi z wyciem pociskami, by za chwilę znów się zerwać i śpieszyć dalej, z młodzieńczym okrzykiem odwagi, bo pociski ich nie trafiły. A trafieni potem w czoło, w serce, we wnętrzości, padają trzepocząc rękami, leżą twarzami w błocie, już bez ruchu. Leżą, plecami wsparci o tornistry, z głowami wciśniętymi w bagno, z palcami jak szpony zakrzywionymi, chwytając powietrze. Lecz z lasu nadciągają inni, którzy rzucają się na ziemię, zrywają się i między tymi, którzy padli, biegną z krzykiem czy w milczeniu.

Młodzież z plecakami i bagnetami, w brudnych płaszczach i butach! Humanistyczny pięknoduch patrząc na nią wyma-

rzyłby sobie inny obraz, wyobraziłby sobie młodych ludzi, jak pławią konie w zatoce morskiej, jak przechadzając się na brzegu z ukochanymi, szepczą, zbliżają usta do uszu gibkich oblubienic albo jak po przyjacielsku, uszczęśliwieni, uczą się wzajem strzelania z łuku! Zamiast tego leżą tu, z nosem w oognistym błocie. A że czynią to radośnie, choć w bezgranicznym lęku i niewypowiedzianej tęsknocie za domem matczynym — to inna już sprawa, wzniosła i zawstydzająca, która jednak nie uzasadnia tego, by ich narażano na takie męki.

Oto nasz dobry znajomy, oto Hans Castorp! Poznaliśmy go już z daleka po bródce, która mu urosła, gdy siedział jeszcze przy gorszym stole rosyjskim. Pała, choć przemoczony do nitki, jak wszyscy. Nogi mu ciężą z powodu grud ziemi, ale biegnie z bagnetem w zwisającej pięści. Patrzcie, nastąpił na rękę koleźce, który padł — wdeptuje ją podkutymi butami w błotniste, odłamkami gałęzi pokryty grunt. A jednak to on. I co takiego — śpiewa! Nuci tak czasem człowiek osłupiały w bezmyślnym podnieceniu, nie wiedząc, że to robi — i tak on zużywa swój rwący się oddech, by sobie podśpiewywać:

Niejedno miłe słowo
Jam wrył w korze jej —

Pada. Nie, rzucił się tylko na ziemię, albowiem nadlatuje wyjąc piekielny pies, olbrzymi granat, diabelska głowa cukru. Leży twarzą w chłodnym błocie, z rozstawionymi nogami, odwrócone stopy wbija obcasami w ziemię. A twór zdziczałej nauki, naładowany tym, co najokropniejsze, pada jak szatan o trzydzieści kroków na ukos przed nim, zarywszy się głęboko w grunt, pęka tam z okropną mocą i wybucha wysoką fontanną ziemi, ognia, żelaza, ołowiu i rozerwanych ciał ludzkich. Leżeli tam dwaj przyjaciele, którzy przytulili się do siebie w potrzebie; teraz mieszała się z sobą i zniknęli.

O wstydzmy się my, którzy będąc cieniami jesteśmy bezpieczni! Przerwijmy naszą opowieść! Czy nasz znajomy został trafiony? Sądził przez chwilę, że tak. Ogromna gruda ziemi

uderzyła go w udo, zabolalo mocno, ale to nic. Zrywa się, zatacza się kulejąc, nogi mu ciężą i śpiewa nieprzytomnie:

A po-szum jej gałę-ęzi
Jak gdy-by wołał mnie —

I tak w zgiełku, w deszczu, w zmierzchu znika nam z oczu. Bądź zdrów, bądź zdrów, ty poczciwy utrapięncze! Opowieść o tobie już skończona! Opowiedzieliśmy ją do końca; nie była ani zajmująca, ani nudna, była opowieścią hermetyczną. Opowiadaliśmy ją dla niej samej, a nie dla ciebie, który byłeś istotą nieskomplikowaną. Lecz w końcu stała się przecie opowieścią o tobie: treść jej musiała mieć związek z tobą, skoro tobie się wydarzyła. I nie myślimy zaprzeczyć, że w jej przebiegu powzięliśmy dla ciebie pewną skłonność pedagogiczną, sprawiającą, iż mogliśmy końcem palca dotknąć z lekka kącika oka na myśl, że już nie będziemy cię w przyszłości widzieć ni słyszeć o tobie.

Żegnaj więc — bez względu na to, czy żyć będziesz, czy też padniesz. Złe masz widoki na przyszłość, straszliwy tan, który cię porwał, potrwa jeszcze dobrych parę latek i nie założylibyśmy się, czy wyjdiesz z tego cało. Szczerze mówiąc, pozostawiamy beztrosko kwestię tę otwartą. Przygody cielesne i duchowe wzbogaciły twą prostoduszność i pozwoliły ci duchem przetrwać czas, którego zapewne nie przetrwasz ciałem. Miałeś chwile wieszczego królowania, w których ze śmierci i wyuzdania cielesnego wyrasta twój sen o miłości. Czy z tych śmiertelnych zapasów, z gorączkowej orgii, która wokół ciebie zapala teraz dżdżyste niebo wieczorne, zrodzi się również kiedyś miłość?